

MARGARET MITCHELL

# PRZEMINEŁO Z WIATREM

*Tom 3*

*Gone With The Wind*

*Tłumaczyła Celina Wieniewska*



## ROZDZIAŁ XL

Scarlett mało spała tej nocy. Kiedy zaczęło się rozjaśniać i słońce wynurzyło się zza ciemnych sosen na pagórkach, wstała z rozrzuconego łóżka i siadając na taborecie przy oknie oparła zmęczoną głowę na ręce, po czym popatrzyła przez podwórze i sad w stronę plantacji. Wszystko było świeże, pokryte rosą, ciche i zielone, widok więc ten podziałał jak balsam i pociecha na jej strapione serce. Tara była teraz dobrze zagospodarowana i mimo że pan jej nie żył, tchnęła spokojem i bezpieczeństwem. Niski kurnik pokryty był warstwą gliny dla ochrony przed szczurami i łasicami i gęsto pobielony wapnem, podobnie jak stajnia. Ogród warzywny z grzędami kukurydzy, jasnożółtych dyń, fasoli i rzep, był porządnie wypielony i ogrodzony płotem. W sadzie pod długimi rzędami drzew rosły w trawie tylko stokrotki. Na jabłkach i na różowych, pokrytych puszkami brzoskwiń, ledwie widocznych w gąszczu liści, lśniły promienie słońca. Za sadem ciągnęły się faliste pola bawełny, ciche i zielone pod błękitem jasnego nieba. Kaczki i kurczęta szły w stronę pól, bo pod krzaczkami, w miękkiej ornej ziemi znajdowały najtłuściejsze robaki i ślimaki.

Serce Scarlett przepełniło się czułością i wdzięcznością dla Willa, który tego wszystkiego dokonał. Mimo miłości do Ashleya ani przez chwilę nie sądziła, że to on jest sprawcą tego dobrobytu, bo rozkwit Tary nie był dziełem plantatora-arystokraty, ale niezmiernie pracującego „małorolnego”, który ziemię tę ukochał. Tara była teraz fermą - nie wielką plantacją jak w dawnych czasach, z pastwiskami pełnymi mułów i pięknych koni, z polami bawełny i kukurydzy, ciągnącymi się, jak daleko wzrok sięgał. Ta jednak część, na której Will gospodarował, była w doskonałym stanie, a gdy z nastaniem lepszych czasów obsieje się akry leżące odłogiem, będą rodzić jeszcze piękniej niż dawniej.

Will dokonał jeszcze czegoś więcej. Z powodzeniem zwalczył sosnę karłowatą i krzaczki jeżyn, dwoje wrogów georgijskich plantacji. Nie rozplenili się podstępnie w ogrodzie, na pastwiskach, polach bawełny i trawnikach, nie rozrosły się bezczelnie koło ganków Tary, jak działo się to w niezliczonych plantacjach na przestrzeni całego stanu.

Serce Scarlett zamarło na chwilę, gdy pomyślała, jak mało brakowało, by Tara zarosła chwastem. We dwoje z Willem dokonali niemałego zadania. Oparli się Jankesom, Carpetbaggerom i roszczeniom natury. Co najważniejsze zaś, Will powiedział jej, że po zbiorach na jesieni nie będzie już potrzebowała przysyłać mu pieniędzy - chyba że jakiś inny Carpetbagger zapragnie Tary i podwyższy podatki. Scarlett wiedziała, że bez jej pomocy Will przeżyje niejedną ciężką chwilę, ale podziwiała i szanowała jego niezależność. Póki był w

sytuacji płatnego rządcy, mógł korzystać z jej pieniędzy, ale teraz, gdy miał zostać szwagrem jej i panem domu, chciał być samowystarczalny. Tak, Willa zesłał jej chyba sam Pan Bóg.

Pork wykopał grób dla Geralda poprzedniego wieczora, tuż przy grobie Ellen, stał więc teraz z łopata w dłoni przy wzgórku czerwonej, wilgotnej gliny, którą wkrótce miał znowu zsytać na dawne miejsce. Scarlett stała za nim w cieniu sękatego, niskiego cedru i starała się nie patrzeć w czerwony dół przed sobą. Jim Tarleton, mały Hugon Munroe, Aleks Fontaine i najmłodszy McRae szli wolno i niezgrabnie ścieżką od domu, niosąc trumnę Geralda na ramionach. Za nimi, w odpowiedniej odległości, sunął spory rozproszony tłum sąsiadów i znajomych, nędznie ubranych, milczących. Kiedy ukazali się na oświetlonej słońcem drodze w ogrodzie, Pork pochylił głowę na trzon łopaty i zapłakał. Scarlett stwierdziła ze zdumieniem, że jego kędzierzawa czupryna, tak kruczoczarna jeszcze kilka miesięcy temu, teraz zaczęła siwieć.

Dziękowała Bogu, że wyplakała wszystkie łzy poprzedniego wieczora i że teraz mogła stać sztywno, z suchymi oczyma. Odgłos szlochów Zueli, stojącej tuż za nią, irytował ją niepomierne. Musiała zaciskać pięści, aby powstrzymać się od odwrócenia się i uderzenia jej po zapuchłej twarzy. Zuela była przyczyną śmierci ojca, choć z pewnością jej nie chciała, powinna więc mieć tyle przynajmniej rozumu, by opanować się w obecności wrogo nastrojonych sąsiadów. Nikt z nią tego ranka nie zamienił ani słowa, nikt nie rzucił współczującego spojrzenia. Spokojnie całowali Scarlett, ściskali jej dłoń, szeptali słowa pociechy do Kariny i nawet do Porka, ale Zuelę przeoczała, jakby jej wcale nie było.

Zdaniem sąsiedztwa zrobiła coś znacznie gorszego od spowodowania śmierci ojca: starała się go namówić do zdrady Południa. Dla tej posępnej i zamkniętej społeczności równało się to narażeniu na szwank honoru ich wszystkich. Przełamała zwarty front, którym powiat przeciwstawiał się światu. Usiłując wy dostać pieniądze od rządu jankeskiego stanęła w jednym rzędzie z Carpetbaggerami i Scallawagami, wrogami bardziej znieawidzonymi niż niegdyś jankescy żołnierze. Ona, córka starej i lojalnej konfederackiej rodziny plantatorskiej, przeszła do obozu nieprzyjaciela i tym samym okryła wstydem wszystkie rodziny powiatu.

Wszyscy obecni kipieli z oburzenia. Troje spośród nich odczuło śmierć O'Hary szczególnie boleśnie: stary pan McRae, który był przyjacielem Geralda od chwili, gdy wiele lat temu przywędrował w te strony z Savannah, babcia Fontaine, która lubiła go bardzo, ponieważ był mężem Ellen, wreszcie pani Tarleton, której Gerald bliższy był od innych sąsiadów, bo, jak często mawiała, był jedynym w powiecie człowiekiem, umiejącym odróżnić ogiera od wałacha.

Widok wzburzonych twarzy tych trojga w ciemnym salonie, gdzie Gerald spoczywał

przed pogrzebem, zaniepokoił Ashleya i Willa, wyszli więc do kantorku Ellen na naradę.

- Ktoś z nich coś powie o Zueli - rzekł Will i przegryzł nieodłączną słomkę na pół. - Zdaje im się, że powinni coś powiedzieć. Może to i prawda. Nie mnie o tym sądzić. Ale, Ashleju, czy mają rację, czy nie, my będziemy musieli zareagować, bo jesteśmy jedynymi mężczyznami w rodzinie, i wybuchnie awantura. Ze starym McRae nie można nic zrobić, bo jest głuchy jak pień i nie wie, co się do niego mówi. Wiem także, że nikt na całym świecie nie potrafi babci Fontaine powstrzymać od powiedzenia tego, co myśli. Co się zaś tyczy pani Tarleton... Czyś widział, jak przewraca brunatnymi oczami, ilekroć patrzy na Zuelę? Ledwo może się powstrzymać od wybuchu. Jeżeli zaczną mówić, będziemy się musieli odezwać, a mamy i bez zatargów z sąsiadami dość kłopotów w Tarze.

Ashley westchnął z zakłopotaniem. Znał temperament swoich sąsiadów lepiej niż Will i dobrze pamiętał, że kłótnie i strzelaniny w czasach przedwojennych przeważnie wynikały na tle przemówień nad trumnami zmarłych sąsiadów. Mowy pogrzebowe bywały zwykle bardzo pochlebne, ale zdarzały się wyjątki. Czasem słowa pomyślane jako dowód wielkiego szacunku dla zmarłego bywały źle rozumiane przez przeczulonych krewnych i awantury zaczynały się, jak tylko na trumnę padła ostatnia garść ziemi.

Wobec braku księdza modły miał odprawić Ashley z książki do nabożeństwa Kariny, ponieważ rodzina nie życzyła sobie pastora żadnej z sekt w Jonesboro czy Fayetteville. Karina, będąc bardziej żarliwą katoliczką od siostr, była bardzo zmartwiona, że Scarlett nie przywiozła ze sobą księdza z Atlanty, pocieszyła się dopiero zapewnieniem, że ksiądz, który przyjedzie pobłogosławić Willa i Zuelę, będzie mógł także odprawić nabożeństwo nad grobem Geralda. To głównie ona przeciwstawiła się zawezwaniu protestanckich pastorów z sąsiedztwa i wreszcie oddała sprawę w ręce Ashleya, zakreślając mu w książce ustępy, które miał przeczytać. Ashley, opierając się teraz o stary sekretarzyk Ellen, czuł, że powinien zapobiec awanturze, ale znając łatwo zapalne temperamenty sąsiadów, nie wiedział, jak ma postąpić.

- Nie ma na to rady, Will - powiedział wreszcie, wodząc dłonią po jasnych włosach. - Nie mogę podnieść ręki na babcię Fontaine ani na starego McRea, nie mogę też zamknąć ust pani Tarleton. Powiedzą prawdopodobnie, że Zuela jest zbrodniarką i zdrajczynią i że gdyby nie ona, pan O'Hara żyłby dotąd. Niech diabli wezmą ten zwyczaj przemówień nad grobem. To barbarzyństwo.

- Słuchaj, Ashley - rzekł wolno Will. - Nie mam zamiaru słuchać wyrzutów w stosunku do Zueli, nie dbam też o to, co oni myślą. Zostaw mnie tę sprawę. Gdy skończysz odprawianie modlitwy i powiesz: „Może by ktoś z obecnych chciał wypowiedzieć parę słów”

- spójrz na mnie, a ja wtedy zacznę pierwszy.

Scarlett, patrząc na trudności żałobników przy przenoszeniu trumny przez wąską furtkę cmentarza, nie przewidywała wcale możliwości awantur po pogrzebie. Z ciężkim sercem myślała, że grzebiąc Geralda zrywa jedno z ostatnich ogniw łączących ją z dawnymi czasami szczęścia i bez troski.

Wreszcie mężczyźni postawili trumnę tuż nad grobem i stanęli z boku rozprostowując zbolące palce. Ashley, Melania i Will wsunęli się także i stanęli za córkami Geralda. Ci z sąsiadów, którzy mogli się przedostać, stanęli za nimi, reszta zaś - za niskim murem. Scarlett widząc ich właściwie teraz po raz pierwszy, zdziwiła się i wzruszyła liczbą obecnych. Ładnie było z ich strony, że przyjechali, tym bardziej, że brakło środków lokomocji. Zebrało się około sześćdziesięciu osób, niektórzy z tak daleka, że dziwiła się, jak mogli się tak szybko dowiedzieć o śmierci Geralda. Zjawiły się całe rodziny z Jonesboro, Fayetteville i Lovejoy, i garstka murzyńskiej służby. Przyszli mali farmerzy zza rzeki, małorolni z lasów i ludzie z moczarów. Mieszkańcy moczarów byli szczupłymi, brodatymi olbrzymami w samodziałach i czapkach oposowych; na ramionach mieli strzelby, policzki ich zaś były wypchane tytoniem do żucia. Razem z nimi przyszły ich żony, bosymi nogami mocno stąpając po ziemi. Twarze ich pod czepkami były blade i malaryczne, ale czysto wymyte, a świeżo wyprasowane perkalowe suknie błyszczały krochmalem.

Bliżsi sąsiedzi stawili się wszyscy bez wyjątku. Babcia Fontaine, zwiędła, pomarszczona i żółta jak stary oskubany ptak, opierała się na lasce, za nią zaś stały Sally Munroe-Fontaine i młoda pani Fontaine. Usiłowały szeptami i ciągnięciem za spódnicę zmusić staruszkę, aby usiadła na murku. Męża babci, starego doktora, nie było przy niej. Umarł przed dwoma miesiącami i od tego czasu ogniki złośliwej radości życia znikły na zawsze ze starych oczu babci. Kasia Calvert-Hilton stała osobno, jak przystało osobie, której mąż przyczynił się do tragedii Geralda - w spleśniałym czepku, który zasłaniał jej pochyloną twarz. Scarlett z przerażeniem stwierdziła, że na perkalowej sukni Kasi widać tłuste plamy i że ręce jej są pokryte piegami i brudne. Miała nawet czarne paznokcie! Nie widać było na Kasi ani śladu dobrego pochodzenia. Wyglądała jak „biała nędza”, byle jak, niedbale, tandetnie.

„Jeszcze tylko brakuje, aby zażywała tabaki - pomyślała Scarlett ze zgrozą. - Boże miłosierny! Jaki to upadek!”

Wzdrygnęła się odwracając oczy od Kasi, bo uświadomiła sobie, jak wąska jest granica między dobrze urodzonymi plantatorami a „białą nędzą”.

„Gdyby nie mój tupet, i ja bym tak wyglądała - pomyślała i wezbrała w niej duma, bo

przypomniała sobie, że ona i Kasia były po kapitulacji w takim samym położeniu. Jedynym ich kapitałem były gołe ręce i własny rozum. - Nie poszło mi znowu tak źle” - pomyślała wysuwając naprzód podbródek i uśmiechając się do siebie.

Uśmiech znikł jednak natychmiast z jej twarzy, gdy poczuła na sobie zgorzone spojrzenie pani Tarleton. Oczy jej były zaczerwienione od łez; od Scarlett odwróciła się teraz ku Zueli i wzrok jej, zły i gniewny, nic dobrego nie wróżył. Za nią i za jej mężem cisnęła się czwórka dziewcząt, których ogniste loki wyglądały dziwnie krzykliwe na tle tego posepnego zgromadzenia. Brązowe ich oczy ciągle jeszcze były ogniste i niebezpieczne jak oczy młodych zwierząt.

Tupot nóg ustał. Teraz odsłonięte głowy, spleciono ręce i obciążnięto po raz ostatni spódnice, Ashley zaś wysunął się naprzód z modlitewnikiem Kariny w ręce. Przez chwilę stał bez ruchu, z oczami wlepionymi w ziemię, a promienie słońca grały na jego złotych włosach. Wśród zgromadzonych zapadło głębokie milczenie, tak głębokie, że słychać było wyraźnie suchy szelest liści magnoliowych poruszanych wiatrem, daleki zaś, monotony głos drozda rozbrzmiał głośno i smutnie. Gdy Ashley zaczął czytać modlitwy, pochyliły się wszystkie głowy; z ust jego płynęły krótkie i uroczyste słowa, wymawiane dźwięcznym i pięknie modulowanym głosem.

„Och - pomyślała Scarlett ze ściśniętym gardłem. - Jakież on ma piękny głos! Skoro już musi się ktoś modlić za ojca, rada jestem, że robi to Ashley. Wolę go od księdza. Wolę, aby ojca żegnał ktoś bliski niż jakiś nieznajomy”.

Kiedy Ashley doczytał do zaznaczonych przez Karinę modlitw o duszach czyścowych, zamknął nagle książkę. Zauważyła to tylko Karina i spojrzała na niego zdumiona, bo zaczął teraz Ojczy Nasz. On jednak wiedział, że połowa obecnych nigdy nie słyszała o czyścocy, ci zaś, którzy o nim wiedzieli, uznaliby za zniewagę osobistą przypuszczenie choćby w modlitwie, że człowiek tak wspaniały jak Gerald O'Hara nie poszedł wprost do nieba. Ze względu więc na opinię publiczną Ashley opuścił wszelkie aluzje do czyścoca. Zgromadzeni żarliwie przyłączyli się do modlitw, głosy ich wszakże zamarły w zakłopotanym milczeniu, gdy Ashley zaczął odmawiać Zdrowaś Maryja. Nigdy tej modlitwy nie słyszeli, spoglądali więc ukradkiem po sobie, gdy córki Geralda, Melania i Murzynki z Tary odpowiadały: „Módl się za nami, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”.

Po chwili Ashley podniósł głowę i stał bez ruchu, niezdecydowany. Oczy sąsiadów spoczywały na nim w oczekiwaniu - wszyscy poprawili się na swoich miejscach, spodziewając się długotrwałych obrzędów. Nie przypuszczali, że to już może być koniec modlitw. Pogrzeby w powiecie trwały zawsze długo. Pastorzy metodystów i baptystów,

którzy odprawiali nabożeństwa, nie mieli określonych modlitw, ale improwizowali zależnie od okoliczności i doprowadzali zgromadzonych do łez, a osierocone kobiety do szlochów. Sąsiedzi byliby zmartwieni, oburzeni i nawet zgorszeni, gdyby te krótkie modlitwy miały starczyć za całe nabożeństwo nad grobem ich przyjaciela, Ashley zaś dobrze o tym wiedział. Sprawę tę roztrząsano by przy posiłkach przez długie tygodnie i cały powiat byłby zdania, że córki Geralda nie okazały pamięci ojca należnego szacunku.

Ashley rzucił więc szybkie spojrzenie na Karinę i skłaniając znów głowę zaczął recytować z pamięci anglikańskie modlitwy pogrzebowe, które często odmawiał nad grobami niewolników w Dwunastu Dębach.

- Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem... i ktokolwiek... wierzy we mnie, żyć będzie wiecznie.

Nie przypominał sobie wszystkiego od razu, mówił więc wolno, z przerwami, czekając, aż zdania modlitwy nasuną mu się na pamięć. Słowa, odmierzane tak skąpo, były bardziej wzruszające, więc i ci z obecnych, którzy dotąd mieli suche oczy, zaczęli teraz sięgać po chusteczki. Będąc gorliwymi metodystami czy baptystami, przekonani byli, że nabożeństwo jest katolickie, zmienili więc teraz poprzednie swoje zdanie, że obrzędy katolickie są chłodne i sztywne. Scarlett i Zuela także niczego nie spostrzegły i uważały, że słowa, które słyszą, są piękne i pokrzepiające. Tylko Melania i Karina zorientowały się, że nad grobem wierzącego katolika, Irlandczyka, odprawia się anglikańskie modły, Karina zaś była zbyt zboląła i zbyt dotknięta zdradą Ashleya, by móc mu przeszkodzić.

Skończywszy, Ashley otworzył szeroko smutne szare oczy i rozejrzał się po tłumie. W pewnej chwili, gdy wzrok jego spoczął na Willu, zapytał: - Czy ktoś z państwa zechce wygłosić parę słów?

Pani Tarleton drgnęła nerwowo, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Will wystąpił naprzód i stając przy trumnie zaczął przemawiać.

- Przyjaciele - mówił swym równym, niskim głosem - wyda wam się może, że przemawiając pierwszy wynoszę się ponad innych... ja, który znałem pana O'Hare tylko rok, gdy wy znaliście go lat przeszło dwadzieścia. Ale mam usprawiedliwienie. Gdyby pan O'Hara żył choćby o miesiąc dłużej, miałbym go prawo nazywać ojcem.

Obecni drgnęli ze zdumienia. Byli zbyt dobrze wychowani, aby szeptać między sobą, zaczęli jednak przestępować z nogi na nogę i patrzeć na pochyloną głowę Kariny. Wszyscy wiedzieli o skrytej miłości Willa do niej. Mimo że widział kierunek ich spojrzeń, Will ciągnął dalej, jak gdyby niczego nie zauważył:

- A więc, ponieważ mamy się pobrać z panną Zuelą, jak tylko przyjedzie tu ksiądz z

Atlanty, uważałem, że mam prawo przemawiać pierwszy.

Ostatnia część jego zdania zatonała w nikłym syku, który przeszedł przez tłum, w gniewnym szumie. W dźwięku tym brzmiało rozczarowanie i oburzenie. Wszyscy lubili Willa, wszyscy szanowali go za to, co zrobił dla Tary, i znali jego uczucia dla Kariny, wiadomość więc, że ma się teraz żenić z pariaską okolicy, bardzo ich wzburzyła. Dobry pocziwy Will miałby się żenić z tą złośliwą, podstępą Zuelą?

Przez chwilę atmosfera była napięta. Oczy pani Tarleton rzucały błyski, wargi powtarzały jakieś bezdźwięczne słowa. W milczeniu dał się słyszeć piskliwy głos starego pana McRae, który prosił swego wnuka, aby mu powiedział, co się stało. Will patrzył na zgromadzonych, jeszcze spokojny, ale w jasnyniebieskich jego oczach jarzyło się wyzwanie dla osoby, która by się ośmieliła powiedzieć coś złego o jego przyszłej żonie. Przez sekundę ważyły się szale między szczerym szacunkiem, jaki wszyscy mieli dla Willa, a pogardą dla Zueli. Will wreszcie zwyciężył. Ciągnął dalej, jak gdyby pauza jego była zupełnie naturalna.

- Nie znałem pana O'Hary w młodości, jak wy wszyscy. Kiedy go poznałem, był miłym starszym panem, już niezbyt zdrowym. Słyszałem jednak od wszystkich po trosze, jaki był dawniej. I chcę to tylko powiedzieć: był odważnym Irlandczykiem, prawdziwym dżentelmenem z Południa i najbardziej lojalnym z konfederatów. Są to trzy najlepsze rzeczy, jakie można o kimś powiedzieć. I trudno się spodziewać, abyśmy mieli w przyszłości wielu podobnych do niego, ponieważ czasy, które tworzyły ludzi tego pokroju, minęły z nim razem. Urodził się w obcym kraju, ale był gorętszym georgijczykiem niż którykolwiek z nas. Żył naszym życiem, kochał naszą ziemię i jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, umarł za naszą sprawę jak żołnierz. Był jednym z nas i miał te same co my wady, te same zalety, miał tę samą siłę co my i także przywary. Zaletą jego było, że nic go nie mogło zawrócić z raz obranej drogi i że nie bał się nikogo na świecie. Nie mogła go pokonać żadna zewnętrzna przeciwność. Nie zląkł się angielskich władz, które chciały go powiesić. Po prostu wziął nogi za pas i opuścił ojczyznę. A kiedy przyjechał zupełnie biedny do naszego kraju, także nie bał się niczego. Zaczął pracować i dorobił się majątku. Nie bał się zapuścić w te okolice, chociaż były częściowo dzikie i choć dopiero niedawno wypędzono stąd Indian. Pustkowie przestoczył w wielką plantację. A kiedy przyszła wojna i pieniądze jego zaczęły topnieć, nie bał się ponownej biedy. A kiedy Jankesi przeszli przez Tarę i chcieli spalić mu dom, nie był ani wylękniony, ani się nie poniżył. Wystąpił odważnie i trzymał się swego. Dlatego mówię, że posiadał wszystkie nasze zalety. Nic z zewnątrz i nas nie potrafi pokonać. Miał jednak te same co my wady, ponieważ łatwo go było dotknąć śmiertelnie od wewnątrz. Chcę powiedzieć, że to, czego cały świat nie mógł zrobić, uczyniło własne jego serce; został



pokonany. I człowiek, który chodził między nami, był już innym człowiekiem.

Will przerwał i oczy jego powędrowały wolno po kręgu twarzy. Tłum stał w gorącym słońcu, wczarowany w ziemię. Nie pamiętali już o oburzeniu na Zuelę. Will spojrzął na chwilę na Scarlett i oczy jego ledwie dostrzegalnie drgnęły w kącikach, jak gdyby chciał się do niej uśmiechnąć zachęcająco. Scarlett, która walczyła ze łzami, poczuła się pokrzepiona. Słowa Willa cechował zdrowy rozsądek, nie klepał idiotyzmów o spotkaniu na innym i lepszym świecie i poddaniu się woli Boga, Scarlett zaś zawsze czerpała siłę i pociechę ze wskazań zdrowego rozsądku.

- Nie chciałbym też, abyście go potępiali za jego chwile słabości. Wszyscy my tutaj, i ja, i wy, jesteśmy do niego podobni. Przechodzimy te same upadki. Nic, co żywe, nie może nas złamać, tak samo jak jego złamać nie mogło - ani Jankesi, ani Carpetbaggerzy, ani ciężkie czasy, ani wysokie podatki, ani nawet przymieranie głodem. Ta jednak słabość, która kryje się w naszych sercach, może nas pokonać w mgnieniu oka. Nie zawsze strata ukochanej istoty jest tego przyczyną, jak było w przypadku pana O'Hary. Mechanizm każdego człowieka działa inaczej. I chcę to jeszcze powiedzieć - uważam, że lepiej, gdy ludzie, których wewnętrzna sprężyna pękła, przestają żyć. Nie ma dla nich miejsca w obecnych czasach na ziemi, i szczęśliwsi są po śmierci... Dlatego sądzę, że nie mamy powodu opłakiwać teraz pana O'Hary. Opłakiwać go należało, kiedy Sherman tędy przechodził i kiedy stracił panią O'Hara. Teraz, gdy ciało jego połączyło się z jego sercem, nie uważam, abyśmy powinni go żałować, bo byłoby to samolubne z naszej strony! A mówię to ja, który kochałem go jak własnego ojca..! Sądzę, że nikt nie będzie miał nic przeciw temu, by nie było więcej przemówień. Rodzina jest zbyt zboląła, aby ich słuchać, i lepiej jej tego oszczędzić.

Will przerwał i odwracając się do pani Tarleton powiedział przyciszonym głosem: Czyby pani nie mogła z łaski swojej odprowadzić Scarlett do domu? Nie powinna stać tak długo na słońcu. I starsza pani Fontaine, jeżeli wolno mi to powiedzieć, także nie wygląda zbyt dobrze.

Zdumiona nagłym przejściem Willa ze wspomnień o Geraldzie na jej osobę, Scarlett zaczerwieniła się z zakłopotania, tym bardziej że wszyscy na nią spojrzeli. Dlaczego Will podkreślił tą swoją troskliwością jej tak widoczną ciążę? Rzuciła mu oburzone i zawstydzone spojrzenie, ale pod spokojnym jego wzrokiem opuściła oczy. „Zrób to dla mnie - mówił jego wzrok. - Wiem, co robię”.

Postępował jak pan domu, nie chcąc więc robić scen, Scarlett zwróciła się bezradnie do pani Tarleton, która wzięła ją pod ramię zapominając o Zueli.

- Chodź ze mną do domu, kochanie.

Na twarzy jej ukazał się wyraz łagodnego, życzliwego zainteresowania i Scarlett musiała pozwolić poprowadzić się przez tłum, który się przed nią rozstępował. W miarę jak przechodziła, rozlegały się współczujące szepty i wyciągały się ręce, aby ją przyjaźnie pogłaskać. Kiedy zrównała się z babcią Fontaine, stara pani wyciągnęła do niej chudą dłoń i powiedziała: - Podaj mi ramię, dziecko - dodając z groźnym spojrzeniem na Sally i młodą panią Fontaine: - Nie, wy nie idźcie ze mną. Nie potrzebuję was teraz.

Przeszły wolno przez tłum, który zamknął się za nimi, i poszły cienistą dróżką w stronę domu, a pomocna dłoń pani Tarleton tak mocno podtrzymała Scarlett za łokieć, że bez mała unosiła ją w górę.

- Dlaczego Will to zrobił? - zawołała Scarlett ze wzburzeniem, gdy oddaliły się tak, że nikt już jej słyszeć nie mógł. - To tak jakby powiedział: „Popatrzcie na nią! Ona spodziewa się dziecka!”

- Ależ na Boga, przecież to prawda - rzekła pani Tarleton. - Will dobrze zrobił. Głupio byłoby z twojej strony, gdybyś stała na słońcu i naraziła się na zemdlenie czy poronienie.

- Willa nie obchodziło w tej chwili zdrowie Scarlett - rzekła babcia trochę zadyszana, drepcząc przez ogród w stronę ganku. Na twarzy jej ukazał się gorzki, domyślny uśmiech. - Will jest sprytny. Chciał się pozbyć mnie i ciebie, Beatrice, znad grobu. Bał się tego, co mogłybyśmy powiedzieć, i wiedział, że tylko w ten sposób może się od nas uwolnić. I jeszcze mu na czymś zależało. Nie chciał, aby Scarlett słyszała, jak grudki ziemi spadają na trumnę. I miał rację. Pamiętaj o tym, Scarlett, jak długo nie słyszysz tego dźwięku, nie masz wrażenia, że zmarły odszedł bezpowrotnie. Kiedy to jednak usłyszysz... To jest najstraszniejszy, najbardziej ostateczny dźwięk na ziemi... Pomóż mi wejść na schodki, dziecko, a ty, Beatrice, podaj mi rękę. Scarlett jej wcale nie potrzebuje, ja zaś, jak Will zauważył, nie czuję się zbyt dobrze... Will wiedział, że byłaś ulubienicą swego ojca, i nie chciał ci rozstania z nim jeszcze utrudniać. Uważał, że dla twoich siostr będzie to łatwiejsze. Zuelę podtrzymuje wstyd, a Karinę - wiara. Ty jedna nie masz żadnej podpory, prawda, dziecko?

- Nie - odrzekła Scarlett wprowadzając staruszkę na schodki, lekko zdziwiona prawdą, brzmiałą w drżącym starczym głosie. - Nigdy nie miałam żadnej podpory poza matką.

- Ale kiedy ją straciłaś, przekonałaś się, że potrafisz stać sama, co? Widzisz, są ludzie, którzy tego nie potrafią. Ojciec twój należał do nich. Will ma rację. Nie żałuj go. Nie mógł żyć bez Ellen i szczęśliwy jest tam, gdzie teraz odszedł. Tak samo i ja będę szczęśliwa, gdy połączę się z doktorem Fontaine.

Mówiąc to nie oczekiwała słów pociechy. Mówiła tak żywo i naturalnie, jak gdyby mąż jej żył i był w Jonesboro - i dzieliła ich od siebie krótka droga bryczką. Babcia była zbyt stara

i zbyt wiele widziała w życiu, aby bać się śmierci.

- Ale... i pani potrafi stać bez podpory - rzekła Scarlett. Staruszka rzuciła na nią bystre spojrzenie.

- Tak, ale to czasami bardzo niewygodne.

- Niech pani posłucha, babciu - przerwała pani Tarleton - nie powinna pani w ten sposób rozmawiać ze Scarlett. Jest już i tak dość przygnębiona. Zmęczenie podróży tutaj, ciasna suknia i upał - to dość przyczyn, aby wywołać poronienie, niech więc pani z nią na dodatek nie rozmawia o rzeczach bolesnych i smutnych.

- Do stu piorunów! - zawołała Scarlett z irytacją. - Ja nie należę do tych chorowitych kobiet, które ronią!

- Tego nigdy nie można wiedzieć - rzekła pani Tarleton ostrzegawczo. - Straciłam pierwsze dziecko, kiedy zobaczyłam, jak byk bodzie jednego z naszych Murzynów i... czy pamiętasz naszą kasztankę, Nelly? Na pozór była to najzdrowsza klacz pod słońcem, ale była tak nerwowa i wrażliwa, że gdybym jej nie pilnowała...

- Cicho już, Beatrice - rzekła babcia. - Scarlett nie poroni, mogę się założyć. Usiądźmy tutaj w hallu, gdzie chłodniej. Tu jest trochę przewiewu. A teraz idź, Beatrice, i przynieś nam po szklance maślanki, jeżeli znajdziesz w kuchni. Albo lepiej zajrzyj do spiżarni i sprawdź, czy nie ma wina. Napiłabym się kieliszek. Posiedzimy tu trochę, póki ludzie nie przyjdą się pożegnać.

- Scarlett powinna się położyć do łóżka - upierała się pani Tarleton wodząc po niej doświadczonego wzrokiem osoby, która umie obliczać ciężę do ostatniej chwili jej trwania.

- Idź już - rzekła babcia trącając ją końcem laski. Pani Tarleton skierowała się do kuchni, po drodze zrzucając kapelusz na kredens i przyglądając wilgotne rude włosy.

Scarlett rozparła się wygodnie w krześle i odpięła dwa górne guziki ciasnego stanika. W wysokim hallu było chłodno i mroczno, a lekki przewiew od otwartych na przestrzał drzwi był bardzo orzeźwiający po słonecznym upale. Popatrzyła przez hali do salonu gdzie niedawno jeszcze spoczywał Gerald, potem odrywając od niego myśli, spojrzała na kominek, na pocięty bagnetami portret babci Robillard. Widok jej postaci o wysoko upiętej fryzurze, półnagich piersiach i pogardliwym wyrazie oczu, podziałał na nią jak zwykle krzepiąco.

- Nie wiem, co dotknęło Beatrice Tarleton boleśniej, strata synów czy koni - rzekła babcia Fontaine. - Jak wiesz, nigdy szczególnie nie kochała Jima ani dziewcząt. Ona także należy do ludzi, o których mówił Will. Pękła główna sprężyna jej życia. Czasem dziwię się, że nie stało się z nią to samo co z twoim ojcem. Była najszczęśliwsza, gdy konie i dzieci rodziły się koło niej, a teraz, kiedy żadna z jej córek nie wyszła za mąż i nie ma już nadziei na

złapanie dla niech mężów w tym powiecie, nie ma już nic, co by ją interesowało. Gdyby nie miała serca wielkiej damy, byłaby po prostu wulgarna... Czy Will powiedział prawdę mówiąc, że się żeni z Zuelą?

- Tak - przytaknęła Scarlett patrząc starej pani prosto w oczy. Boże święty, jakże dobrze pamiętała czasy, gdy bała się śmiertelnie babci Fontaine! Od tego czasu bardzo dorosła i teraz potrafi jej powiedzieć, żeby się nie wtrącała w nie swoje sprawy.

- Mógłby znaleźć coś lepszego - rzekła babcia szczerze.

- Czy rzeczywiście? - zapytała Scarlett lodowato.

- Nie mów do mnie tym tonem, panienko - rzekła cierpko stara pani. - Nie mam zamiaru napadać na twoją szanowną siostrę, chociaż zrobiłabym to, gdybym została na cmentarzu. Chciałam to tylko powiedzieć, że wobec braku mężczyzn w okolicy Will mógłby się ożenić teraz z każdą prawie panną. Mamy tu cztery postrzelone Tarletonówny, panny Munroe i panny McRae...

- Will żeni się z Zuelą i nie ma o czym mówić.

- Powinna być zadowolona, że go zdobyła.

- To Tara raczej powinna być zadowolona.

- Kochasz to miejsce, prawda?

- Tak.

- Czy tak bardzo, że godzisz się, aby twoja siostra wyszła za człowieka niższej sfery, byleby Tara miała dobrego dziedzica?

- Za człowieka niższej sfery - rzekła Scarlett, zdumiona tą myślą. - Sfera? Cóż za znaczenie ma sfera, jeżeli dziewczyna dostaje męża, który potrafi się nią opiekować?

- To rzecz dość sporna - rzekła starszka. - Niektórzy ludzie powiedzieliby, że mówisz bardzo rozsądnie. Inni twierdziliby, że usuwasz przegrody, których nie powinno się zniżyć ani o cal. Will nie pochodzi z tak dobrej sfery jak część twojej rodziny.

Jej przenikliwe stare oczy spoczęły na portrecie babki Robillard.

Scarlett pomyślała o Willu, chudym, niepozornym, łagodnym, zawsze żującym słomkę. Wygląd jego, jak i większości małorolnych, nie świadczył o dobrej rasie. Will nie miał za sobą długiego szeregu przodków, bogatych, wybitnych, dobrze urodzonych. Pierwszy z jego rodziny, którego stopa stanęła w Georgii, należał może do osiedleńców Oglethorpe'a lub emigrantów, pańszczyźnianych włościan. Will nie chodził do gimnazjum. Całym jego wykształceniem była czteroletnia nauka w szkole w jego zaścianku. Był uczciwy, oddany, cierpliwy i pracowity, ale z pewnością nie był dobrze wychowany. Według miary rodziny Robillardów Zuela niewątpliwie popełniała megalians.

- A więc pogodziłaś się z tym, że Will będzie członkiem twojej rodziny?

- Tak - odrzekła Scarlett zapalczywie, gotowa do wybuchu za pierwszym słowem potępienia ze strony pani Fontaine.

- Możesz mnie pocałować - rzekła niespodzianie babcia i uśmiechnęła się. - Dotąd nie bardzo cię lubiłam, Scarlett. Już jako dziecko byłaś twardym orzechem do zgryzienia, ja zaś nie lubię twardych kobiet, poza sobą oczywiście. Podoba mi się jednak sposób, w jaki godzisz się z życiem. Nie przejmujesz się rzeczami, na które nie ma rady, nawet jeżeli nie są dla ciebie przyjemne. Przeszkody bierzesz łatwo, jak dobry koń.

Scarlett uśmiechnęła się niepewnie i posłusznie cmoknęła nadstawiony jej, pomarszczony policzek. Przyjemnie było znowu słyszeć pochwały, chociaż niezbyt rozumiała ich znaczenie.

- Dużo będzie w powiecie ludzi, którzy cię skrytykują, że pozwalasz Zueli wyjść za Willa - chociaż wszyscy go tutaj lubią. Powiedzą jednym tchem, że to bardzo przyzwoity człowiek i że to straszne, iż panna O'Hara wychodzi za męża za człowieka ze złej rodziny. Ty się tym jednak nie przejmuj.

- Nie przejmuję się nigdy tym, co ludzie mówią.

- Słyszałam o tym. - W starym głosie było nieco złośliwości. - Nie zwracaj zatem uwagi na to, co ludzie powiedzą. To z pewnością będzie bardzo dobre małżeństwo. Pewnie, że Will przez całe życie będzie wyglądał jak małorolny i że Zuela nie wpłynie na poprawę jego akcentu. I choćby nawet zarobił całą górę pieniędzy, nigdy nie doda Tarze takiego blasku jak twój ojciec. Małorolni nie mają tego we krwi. Will jednak jest w sercu dżentelmenem. Ma dobre odruchy. Tylko urodzony dżentelmen mógł tak dokładnie zrozumieć, czego nam wszystkim brak i powiedzieć to tak wyraźnie, jak on teraz nad grobem. Świat cały nie zdoła nas pokonać, gubimy się jednak sami przez zbyt mocne pragnienie rzeczy, których już nie posiadamy - i przez zbyt uporczywe życie wspomnieniami! Tak, Will będzie bardzo dobry dla Zueli i dla Tary.

- A zatem pochwała pani moją zgodę na ich małżeństwo?

- Na Boga, nie! - Stary głos był zmęczony i gorzki, ale mocny. - Chciałabyś, abym pochwaliła wchodzenie małorolnych w stare rodziny? Czyż mogę pochwalić kojarzenie kuca z arabem? O tak, małorolni są dobrzy, solidni i uczciwi, ale...

- Ale powiedziała pani przecież, że będzie to dobrane małżeństwo! - zawołała Scarlett w zdumieniu.

- Och, sądzę, że małżeństwo z Willem jest szczęściem dla Zueli - małżeństwo w ogóle - bo bardzo już potrzebuje męża. A gdzież by mogła kogoś innego złapać? Gdzież byś ty mogła

znaleźć tak dobrego rządcę dla Tary? Nie znaczy to jednak, że podoba mi się ta sytuacja. Tak samo jak nie podoba się tobie.

„Mnie się przecież podoba - -myślała Scarlett starając się pojąć znaczenie słów staruszki. - Jestem bardzo szczęśliwa, że Will żeni się z Zuelą. Dlaczego babcia przypuszcza, że mam coś przeciwko temu? Dlaczego uważa, że krzywię się na te tak samo jak ona?”

Była zdziwiona i trochę zawstydzona, jak zwykle, gdy ludzie przypisywali jej uczucia i motywy, które żywili sami.

Babcia powachlowała się przez chwilę liściem palmowym i żywo ciągnęła dalej: - Nie pochwalam tego związku tak samo jak ty, ale jestem tak samo jak ty praktyczna. Jeżeli zaś ma się zdarzyć coś, czemu nie można zapobiec, nie widzę sensu w płaczu i sarkaniu. Nie można w ten sposób ustosunkowywać się do niespodzianek życia. Wiem o tym, bo i moja rodzina, i rodzina doktora dość ich przeżyły. Jeżeli mamy teraz jakąś dewizę życiową, to chyba tylko tę: „Nie rozpaczaj - uśmiechaj się i czekaj sposobnej chwili”. Przetrwaliśmy w ten sposób niejedno, uśmiechając się i czekając na lepsze czasy, i możemy się już uważać za biegłych w przetrzymywaniu. Stawialiśmy zawsze na złe konie. Uciekliśmy z Francji z hugonotami, z Anglii z Kawalerami, ze Szkocji z dobrym księciem Karolem, z Haiti wypędzili nas Murzyni, teraz zaś zwyciężyli nas Jankesi. Zawsze jednak po kilku latach byliśmy górą. A czy wiesz dlaczego?

Podniosła głowę; Scarlett pomyślała, że staruszka jest podobna do starej, wścibskiej papugi.

- Nie, nie wiem - odparła grzecznie. Była jednak szczerze znudzona, tak samo jak w dniu, gdy babcia wspominała powstanie Indian.

- A więc dlatego, że skłaniamy się przed tym, co nieuniknione. Nie jesteśmy podobni do pszenicy, lecz do hreczki. Kiedy nadciąga burza, łamie przede wszystkim dojrzałą pszenicę, która jest sucha i niełatwo się chyli. Dojrzała hreczka ma jednak w sobie wiele soku i chyli się z łatwością. A kiedy wiatr przechodzi, podnosi się prawie tak wysoko jak przedtem. Nie należymy do ludzi o sztywnych karkach. Jesteśmy bardzo giętki, gdy wieją silne wiatry, bo wiemy, że giętkość się oplaca. Kiedy nadchodzi zawierucha, chylimy się przed nieuniknionym bez narzekań, pracujemy, uśmiechamy się i czekamy sposobnej chwili. Zadajemy się z gorszymi od siebie i bierzemy od nich, ile się da. A gdy stajemy się znowu mocni, kopujemy ludzi, na których karkach wspięliśmy się w górę. Na tym, moje dziecko, polega tajemnica przetrwania. - I po pauzie dodała: - Powierzam ci ją.

Zachichotała, jak gdyby mimo goryczy swoich słów była nimi ubawiona. Popatrzyła na Scarlett w oczekiwaniu odpowiedzi, Scarlett jednak słuchała nieuważnie, więc nie

przychodziło jej teraz nic na myśl.

- Tak, tak - ciągnęła babcia - ludzie do nas podobni uginają się, ale zawsze powstają. Nie można tego jednak powiedzieć o wszystkich z naszego otoczenia. Popatrz na Kasię Calvert. Zobacz, jak nisko upadła. Jest na poziomie „białej nędzy”! Stoi niżej od swego męża. Spójrz na rodzinę McRae. Zupełnie przybici, bezradni, nie wiedzą, co robić, nie wiedzą, do czego się zabrać. Nawet się o to nie starają. Spędzają życie w żalu za przeszłością. I spójrz na... spójrz na prawie wszystkich w tym powiecie, z wyjątkiem mojego Aleksa, Sally, ciebie, Jima Tarletona i jego córek, i kilku innych osób. Cała reszta poszła na dno, bo nie miała w sobie żywotności, nie miała tupetu, aby powstać znowu. Ludzie ci mieli pieniądze i Murzynów, teraz więc, kiedy tego nie mają, w ciągu jednej generacji schodzą do rzędu małorolnych.

- Zapomniała pani o Wilkesach.

- Nie, nie zapomniałam. Pomyślałam tylko, że będę taktowna i nie wspomnę o nich, ponieważ Ashley jest gościem w twoim domu. Skoro jednak ty napomknęłaś o nich - przypatrz im się dobrze! India, wedle tego, co mówią, jest już zasuszoną starą panną, stroi się we wdowie piórka, bo poległ Stuart Tarleton, i nie stara się już nawet o męża. Pewnie, że jest niemłoda, ale mogłaby znaleźć sobie może jakiegoś wdowca z rodziną, gdyby się o to postarała. Biedna Honey zawsze uganiała się za chłopcami jak oszalała i miała nie więcej rozumu od kury. Jeżeli zaś chodzi o Ashleya, to przyjrzyj mu się tylko!

- Ashley jest bardzo szlachetnym człowiekiem! - powiedziała Scarlett z zapalem.

- Ależ tak, rozumie się, ale jest niezaradny jak żółw leżący na grzbiecie. Jeżeli rodzina Wilkesów przetrwa te ciężkie czasy, będzie to zasługą Meli, nie Ashleya.

- Meli? Boże święty, babciu! Co też pani mówi? Dość długo mieszkałam z Melą pod jednym dachem, aby wiedzieć, że jest chorowita, lękliwa i tak mało przedsiębiorcza, że sobie muchy nie odgoni sprzed nosa.

- A dlaczegoż by się miała zajmować odganianiem much? Zawsze mi się to wydawało stratą czasu. Może nie umie odganiać much sprzed nosa. Potrafi się jednak przeciwstawić światu, rządowi jankeskiemu lub czemukolwiek, co zagraża jej Ashleyowi, jej dziecku czy jej zasadom przyzwoitości. Nie robi tego tak jak ty, Scarlett, lub ja. Tak jak Mela, postępowałaby twoja matka, gdyby żyła... Mela przypominała mi zawsze twoją matkę, kiedy była młoda... Możliwe, że uda się jej podtrzymać rodzinę Wilkesów.

- Och, Mela jest dobrą, głupiutką istotką. A pani jest bardzo niesprawiedliwa dla Ashleya. On...

- Ech, zawracanie głowy! Ashley był wychowany na to, aby czytać książki i nic poza

tym nie robić. To człowiekowi nie pomaga do wydostania się ze ślepego zaułka, w jakim jesteśmy teraz wszyscy. Słyszałam, że jest najgorszym rolnikiem w całym powiecie! Porównaj go tylko z moim Alekssem! Przed wojną Aleks był najbardziej rozleniwionym dandysem pod słońcem i myślał wyłącznie o nowych krawatach, o pijatykach, bójkach i uganianiu się za dziewczkami. Ale spójrz na niego teraz! Nauczył się gospodarować, bo musiał. Inaczej umarłby z głodu, a z nim i my wszyscy. Teraz rodzi mu się najlepsza bawełna w całym powiecie - tak, panienko! Sto razy lepsza od bawełny w Tarze! I wie, jak doglądać świń i drobiu. Ha! To dobry chłopak, mimo swoich humorów. Potrafi czekać na odpowiednią chwilę i zmieniać się wraz ze zmieniającymi się warunkami, a kiedy nędza rekonstrukcji skończy się wreszcie, zobaczysz, że mój Aleks będzie bogatym człowiekiem, jak ojciec jego i dziadek. Ale Ashley...

Scarlett pieniała się, że babcia krytykuje Ashleya.

- To wszystko mówi mi bardzo mało - powiedziała chłodno.

- Bardzo się temu dziwię - odparła babcia patrząc na nią przenikliwie. - Bo ty robisz dokładnie to samo, od czasu gdy wyjechałaś do Atlanty. O, tak! Słyszymy o twoich sprawkach, mimo żeśmy zakopani na wsi. Ty się także zmieniłaś. Słyszymy tutaj, że przestajesz z Jankesami, białą hołotą i zbogaconymi Carpetbaggerami i ciągniesz od nich pieniądze. Podobno jesteś bardzo praktyczna. I trzymaj się tego dalej, mówię ci. Wydostawaj z nich, ile możesz, ale kiedy zbierzesz dość pieniędzy, kopnij ich mocno, bo już nie będą ci potrzebni. Nie zapomnij jednak tego zrobić, bo błoto na połach płaszczu zaszkodzi ci tylko.

Scarlett popatrzyła na nią z czołem zmarszczonym z wysiłku, aby zrozumieć jej słowa. Jeszcze ciągle nie pojmowała ich dobrze i ciągle jeszcze była zła, że babcia nazwała Ashleya niezaradnym jak żółw na grzbiecie.

- Sądzę, że jest pani niesprawiedliwa dla Ashleya - powiedziała krótko.

- Scarlett, jesteś niemądra.

- Tak się pani zdaje? - powiedziała Scarlett niegrzecznie, żałując, że nie można na starsze panie podnieść ręki.

- Och, dobrze sobie radzisz w sprawach pieniężnych. To jest zaradność męska. Ale wcale nie masz mądrości właściwej kobiecie. Nie znasz się na ludziach ani trochę.

Oczy Scarlett zaczęły rzucać ognie, a dłonie jej zaciskać się w pięści.

- Pochwaliłam cię i rozżłościłam, prawda? - zapytała z uśmiechem staruszka. - Tego właśnie chciałam.

- Och, naprawdę? Chciała pani tego? A dlaczego to, jeżeli wolno spytać?

- Miałam dużo ważnych powodów.



Babcia rozparła się lepiej w krześle i Scarlett nagle uświadomiła sobie, że jest nieskończenie stara i bardzo zmęczona. Małe, szponiaste dłonie złożone na wachlarzu były żółte i woskowe jak dłonie trupa. Złość opuściła Scarlett, bo przyszło jej coś na myśl. Pochyliła się i wzięła jedną z dłoni babci w obie swoje.

- Jest pani bardzo kochanym kłamcą - powiedziała. - Nie myślała pani tego wszystkiego na serio. Rozmawiała pani ze mną, bo chciała pani odwrócić moje myśli od papy.

- Nie przymilaj się do mnie! - zawołała babcia zrzędnie, wrywając jej rękę. - Częściowo w tym celu, częściowo dlatego, żeby ci powiedzieć prawdę, tylko ty jesteś za głupia, by to zrozumieć.

Uśmiechnęła się jednak i słowa jej nie były już tak ostre. Scarlett przestała się gniewać na nią z powodu Ashleya. Przyjemnie jej było, że babcia nie mówiła serio.

- Dziękuję pani za to. Ładnie z pani strony, że porozmawiała pani ze mną, i zadowolona jestem, że myśli pani to co ja na temat Willa i Zuela, mimo że... mimo że inni go krytykują.

Pani Tarleton wróciła do hallu niosąc w szklankach maślanek. Nie nadawała się do takich rzeczy, płyn przelewał się ze szklanek.

- Musiałam schodzić po to aż do piwnicy - powiedziała - wypijcie szybko, bo ludzie już wracają z cmentarza. Scarlett, czy naprawdę pozwalasz, aby Zuela wyszła za Willa? On jest wprawdzie sto razy za dobry dla niej, ale pochodzi z małorolnych i...

Scarlett spojrzała na babcię. W starych oczach zaświecił złośliwy ogieniek i taki sam pojawił się w młodych.



## ROZDZIAŁ XLI

Kiedy przebrzmiały ostatnie pożegnania i ucichł turkot kół i tętent kopyt, Scarlett weszła do kantorku Ellen i pomiędzy pożółkłych papierów na półeczkach sekretarzyka wyjęła błyszczący przedmiot, który ukryła tam poprzedniego dnia. Słyszając, że Pork nakrywając do stołu w jadalni pociąga głośno nosem, zawołała go. Wszedł do pokoju przygnębiony i smutny jak bezpański pies.

- Pork - powiedziała surowo. - Jeżeli nie przestaniesz płakać, ja... ja... zacznę także. Musisz przestać.

- Tak, p'sze pani. Staram się, ale ile razy pomyślę o panu Geraldzie i...

- No, więc nie myśl już teraz. Mogę znieść łzy wszystkich dokoła, tylko nie twoje. Czy nie rozumiesz tego? - dodała łagodnie. - Nie mogę znieść twoich łez, bo wiem, jak bardzo kochałeś ojca. Wydmuchaj sobie nos, Pork. Mam dla ciebie prezent.

Jakaś iskierka zaświeciła w oczach Murzyna, gdy posłusznie ucierał nos, ale była to raczej uprzejmość niż zainteresowanie.

- Czy pamiętasz tę noc, gdy cię postrzelono podczas okradania kurników?

- Na Boga, Miss Scarlett! Ja nigdy...

- Owszem, kradłeś, więc nie zapieraj się tego teraz, po tak długim czasie. Pamiętasz, że ci przyrzekłam zegarek za to, żeś był nam tak oddany?

- Tak, p'sze pani, pamiętam. Zdawało mi się, że pani zapomniała.

- Nie, nie zapomniałam: oto zegarek.

Podawała mu masywny złoty zegarek, z monogramem na kopercie i dewizką, z której zwieszały się breloki i pieczętki.

- Boże drogi, Miss Scarlett! - krzyknął Pork. - Przecież to zegarek pana Geralda! Widziałem z milion razy, jak na niego spoglądał!

- Tak, to ojca zegarek, Pork. Daruję go tobie. Weź go.

- Och nie! - Pork cofnął się ze zgrozą. - To jest zegarek białego dżentelmena, i w dodatku pana Geralda! Dlaczego pani mówi, że mi go pani daruje? Ten zegarek należy się małemu Wade'owi.

- Należy się tobie. Cóż Wade Hamilton zrobił dla ojca? Czy doglądał go, kiedy był chory i słaby? Czy kąpał go, ubierał i golił? Czy był przy nim, kiedy przyszli Jankesi? Czy kradł dla niego? Nie bądź głupi, Pork. Ty najwięcej ze wszystkich zasłużyłeś na zegarek i wiem, że ojciec byłby zadowolony, że dałam go tobie. Bierz...

Podniosła czarną dłoń Porka i położyła na niej zegarek. Pork patrzył nań z szacunkiem; z wolna na jego twarzy zaczął rozlewać się zachwyty.

- Więc to naprawdę dla mnie, Miss Scarlett?

- Tak, rozumie się.

- No więc... dziękuję pani.

- Czy chciałbyś, abym zabrała zegarek do Atlanty do grawera?

- A co to takiego ten grawer? - Głos Porka brzmiał podejrzliwie.

- To człowiek, który by wyrył na odwrocie napis, coś w rodzaju: „Porkowi - rodzina O'Hara... w podzięcie za wierną służbę”.

- Nie, p'sze pani, dziękuję bardzo. Już mniejsza o ten napis. - Pork cofnął się o krok, mocno ściskając w ręku zegarek.

Nieznaczny uśmiezek zaigrał na wargach Scarlett.

- O co ci chodzi, Pork? Czy nie dowierzasz mi, że go przywiozę z powrotem?

- Owszem, wierzę pani, tylko, no, może pani zmienić zamiar.

- Ależ skądże znowu!

- No, to mogłaby go pani sprzedać. Pewnie wart jest kupę pieniędzy.

- Czy sądzisz, że sprzedałabym zegarek papy?

- Tak, p'sze pani, gdyby pani potrzebne były pieniądze.

- Za to warto by cię wybić, Pork. Powinnam ci odebrać zegarek.

- Nie, p'sze pani, nie robi pani tego! - Pierwszy błady uśmiech ukazał się na strapionej twarzy Murzyna. - Ja panią znam... i, Miss Scarlett?

- Co, Pork?

- Gdyby pani była dla białych ludzi w połowie tak dobra jak dla Murzynów, sądzę, że świat lepiej by panią traktował.

- Traktuje mnie i tak dobrze - powiedziała. - A teraz idź, znajdź pana Ashleya i powiedz mu, że chcę z nim tutaj porozmawiać.

Ashley usiadł w małym foteliku Ellen i długie jego ciało przytłoczyło zupełnie delikatny mebel. Scarlett ofiarowała mu połowę udziałów w tartaku. Nie spojrzał na nią ani razu i nie przerwał jej ani słowem. Siedział bez ruchu, patrząc na swoje ręce, obracając je powoli, przyglądając się najpierw dłoni, potem jej wierzchowi, jak gdyby widział je po raz pierwszy w życiu. Mimo ciężkiej pracy pozostały jeszcze szczupłe i nerwowe, były też wyjątkowo dobrze utrzymane, jak na ręce rolnika.

Jego pochylona głowa i uporczywe milczenie bardzo zmieszały Scarlett, podwoiła więc wysiłki, aby zainteresować go tartakiem. Uciekła się też do najwdzięczniejszych uśmiechów i

spojrzeń, na jakie ją było stać, wszystko jednak szło na marne, bo Ashley nie podnosił oczu. Gdybyż chociaż na nią popatrzeć! Nie wspomniała wcale o tym, że wie od Willa o jego zamiarze wyjazdu na Północ, i mówiła tak, jak gdyby zakładała, że nie ma żadnych przeszkód, aby zgodził się na jej plan. On jednak wciąż nic nie mówił, więc wreszcie słowa jej utonęły w milczeniu. Usta miał zacięte w sposób niepokojący. Niemożliwe przecież, aby odmówił! Jakież mógłby mieć powody do odmowy?

- Ashleyu - zaczęła znowu i przerwała. Nie chciała użyć swojej ciąży jako argumentu, przykro jej było, że Ashley widzi ją tak zniekształconą i brzydką, ale ponieważ inne argumenty nie zdawały się robić na nim wrażenia, postanowiła ciężę i swoją bezradność wygrać jako ostatnią kartę.

- Musisz przenieść się do Atlanty. Potrzebuję teraz koniecznie twojej pomocy, bo nie mogę się zajmować tartakami. Upłyną miesiące, zanim znowu będę mogła, bo... widzisz... no, bo...

- Proszę cię! - powiedział ostro. - Na Boga, Scarlett!

Wstał i szybko podszedł ku oknu; stał odwrócony do niej plecami, przyglądając się kaczkom, uroczystym szeregiem sunącym przez podwórze.

- Czy dlatego... dlatego nie chcesz na mnie patrzeć? - zapytała żałośnie. - Wiem, że wyglądam...

Odwrócił się błyskawicznie i szare jego oczy spojrzały na nią tak przenikliwie, że aż dech w niej zamarł.

- A cóż to ma za znaczenie! - powiedział gwałtownie. - Wiesz, że dla mnie jesteś zawsze piękna.

Ogarnęło ją uczucie takiego szczęścia, że aż łzy napłynęły jej do oczu.

- Jak to ładnie z twojej strony, żeś to powiedział! Tak się wstydziłam, że widzisz mnie taką...

- Ty się wstydzisz? Dlaczego byś się miała wstydzić? To ja powinienem palić się ze wstydu - i robię to zresztą. Gdyby nie moja głupota, nie znalazłabyś się w tym położeniu. Nie wyszłabyś nigdy za Franka. Nie powinienem był ci pozwolić wyjeżdżać z Tary zeszłej zimy. Och, jakimże ja głupcem byłem! Powinienem był cię zrozumieć, wiedzieć, że jesteś w rozpacz, w takiej rozpacz, że... powinienem był... powinienem... - Twarz jego sposepniała.

Serce Scarlett zabiło mocno. Żałował, że z nią wtedy nie uciekł!

- Powinienem był przynajmniej ruszyć się z miejsca i raczej obrabować kogoś lub zabić, a zdobyć pieniądze na podatki dla ciebie, która nas przygarnęłaś do siebie bez grosza! Och, wszystko jest moją winą!

Serce jej ścisnęło się z zawodu. Uleciała z niego radość, bo spodziewała się innych słów.

- Pojechałabym tak czy owak - powiedziała ze znużeniem. - Nie mogłabym ci na nic podobnego pozwolić. A zresztą to już się stało.

- Tak, już się stało - rzekł z goryczą. - Minie nie pozwoliłabyś zrobić nic takiego, ale potrafiłaś się sprzedać człowiekowi nie kochanemu i rodzisz mu dziecko, abym ja z rodziną nie umarł z głodu. To szlachetne z twojej strony, że tak osłaniasz moją niezaradność.

Drgnienie jego głosu świadczyło o tym, że boli go jeszcze nie zagojona rana; zawstydziała się tymi jego słowami. Zauważył to od razu i złagodniał.

- Nie przypuszczasz chyba, że cię potępiam? Na miłość boską, Scarlett! Nie. Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam. Ja siebie potępiam.

Odwrócił się znowu do okna. Ramiona jego zwisały bezradnie. Scarlett przez długą chwilę czekała w milczeniu, w nadziei, że Ashley znowu zacznie mówić o jej piękności, że wypowie parę słów, które by mogła przechowywać jak skarb. Nie widziała go od bardzo dawna i żyła tylko wspomnieniami, trochę już zatartymi. Wiedziała, że jeszcze ją kocha. Mówił o tym każdy jego ruch, każda gorzka, pełna potępienia dla samego siebie uwaga, ból, że Scarlett będzie matką dziecka Franka, tak bardzo chciała, aby ubrał to w słowa, chciała sama coś takiego powiedzieć, co wywołałoby wyznanie, nie miała jednak odwagi. Pamiętała obietnicę, daną mu zeszłej zimy w sadzie, że nigdy więcej nie będzie mu się narzucała. Ze smutkiem powiedziała sobie, że musi tej obietnicy dotrzymać, jeżeli chce, by Ashley został przy niej. Jeden okrzyk miłości czy rozpacz, jedno spojrzenie wyrażające tęsknotę za jego objęciem, a sprawa przepadnie na zawsze. Ashley pojedzie wtedy do Nowego Jorku. Nie może do tego dopuścić.

- Och, Ashleyu, nie potępiaj się tak surowo! Jakże to może być twoją winą? Prawda, że przeniesiesz się do Atlanty, aby mi pomagać?

- Nie.

- Ależ, Ashleyu - głos jej zaczął się łamać z rozczarowania i udreki - ja przecież na ciebie liczyłam. Potrzebny mi jesteś bardzo. Frank nie może mi pomagać. Zajęty jest sklepem. Jeżeli ty nie przyjedziesz, nie wiem, jak sobie poradzę! Wszyscy zdolniejsi ludzie w Atlancie zajęci są własnymi sprawami, reszta jest do niczego i...

- Nic na to nie poradzę, Scarlett.

- Więc pojechałbyś raczej do Nowego Jorku i żył między Jankesami, niż przeniósł się do Atlanty?

- Kto ci o tym powiedział? - Odwrócił się i popatrzył na nią ze zmarszczonym z

przykrości czołem.

- Will.

- Tak, postanowiłem jechać na Północ. Stary znajomy, z którym byłem w Europie przed wojną, zaproponował mi posadę w banku swego ojca. Tak będzie lepiej, Scarlett. Na nic nie mógłbym ci się zresztą przydać. Nie znam się na handlu drzewem.

- Ale na bankowości znasz się równie mało, a jest znacznie trudniejsza! Ja zaś będę daleko pobłażliwsza dla ciebie niż Jankesi!

Zmarszczył się; zrozumiała, że nie powinna była tego powiedzieć. Odwrócił się i znowu spoglądał oknem.

- Nie chcę, abyś była dla mnie pobłażliwa. Chcę być oceniany według swoich zasług. Czego dotąd dokonałem w życiu? Czas już, abym coś ze sobą zrobił... lub poszedł na dno z własnej winy. Już dość długo jestem na twoim utrzymaniu.

- Ależ ja ci ofiaruję połowę udziału w tartaku, Ashleyu! Staniesz na własnych nogach, bo to przecież będzie twoje własne przedsiębiorstwo.

- Wyjdzie na to samo. Nie kupuję przecież tego udziału. Dostaję go w prezencie. Już za dużo darowałaś mi, Scarlett - utrzymanie, dach nad głową i nawet odzież dla mnie, Melanii i dziecka. A nic ci nie daję w zamian.

- Och, to nieprawda! Will nie mógłby...

- Umiem już teraz nieźle rąbać drwa.

- Och, Ashleyu! - krzyknęła z rozpaczą i lzy stanęły jej w oczach, gdy usłyszała te pełne ironii słowa. - Co się z tobą stało od czasu mego wyjazdu? Taki jesteś twardy i zgorzkniały. Dawniej nigdy taki nie byłeś.

- Co się stało? Bardzo ważna rzecz, Scarlett. Dużo myślałem. Nie wydaje mi się, abym naprawdę myślał od czasu kapitulacji do chwili twego wyjazdu z Tary. Byłem w stanie letargu i wystarczyło mi, że mam co jeść i gdzie spać. Kiedy jednak ty pojechałaś do Atlanty i podjęłaś się zadania mężczyzny, spostrzegłem się, że ja znacę mniej niż przeciętny mężczyzna - a nawet mniej niż kobieta. Myśli takie nie są przyjemnym towarzystwem, toteż chciałybym się ich szybko pozbyć. Inni mężczyźni wyszli z wojny gorzej niż ja, a przypatrz im się teraz. Postanowiłem więc pojechać do Nowego Jorku.

- Ależ ja ciebie nie rozumiem! Jeżeli chcesz pracować, dlaczego nie wolisz Atlanty od Nowego Jorku? A mój tartak...

- Nie, Scarlett. To moja ostatnia nadzieja. Pojadę na Północ. Jeżeli przeniosę się do Atlanty i będę pracował u ciebie, zgubiony będę na zawsze.

Słowo „zgubiony - zgubiony - zgubiony” - zabrzmiało w jej sercu przerażająco, jak

dzwon pogrzebowy. Szybko spojrzała mu w oczy, szeroko otwarte, szare jak kryształy, i patrzące poprzez nią w dal, na przeznaczenie jakiegoś, którego nie widziała i nie rozumiała.

- Zgubiony? Czy chcesz powiedzieć, że zrobiłeś coś, za co Jankesi w Atlancie mogą cię uwięzić? Myślę - za pomoc w ucieczce Tonia czy... czy... Och, Ashleyu, nie należysz chyba do Ku-Klux-Klanu, prawda?

Dalekie jego spojrzenie wróciło ku niej; uśmiechnął się lekko.

- Zapomniałem, że ty wszystko zawsze rozumiesz dosłownie. Nie, nie obawiam się Jankesów. To miałem na myśli, że jeżeli pojedę do Atlanty i przyjmę pomoc od ciebie, pogrzebię na zawsze nadzieję usamodzielnienia się kiedykolwiek w życiu.

- Och - odetchnęła z ulgą - jeżeli tylko ci o to chodzi!

- Tak - i uśmiechnął się znowu, bardziej jeszcze martwo niż przedtem. - Tylko o to. Chodzi tylko o moją męską dumę, o szacunek dla samego siebie i jeżeli pozwolisz to tak nazwać, o moją nieśmiertelną duszę.

- Ale - przeszła szybko na inny tor - mógłbyś stopniowo odkupywać ode mnie tartak, który należałby wtedy tylko do ciebie i...

- Scarlett - przerwał gwałtownie - mówię ci, że nie! Są jeszcze inne powody.

- Jakie?

- Znasz je lepiej niż ktokolwiek inny.

- Och... o to ci chodzi? Ale z tym nie będzie kłopotu - zapewniła go szybko. - Przyrzekłam ci to przecież zeszłej zimy w sędzie i przyrzeczenia swego dotrzymam.

- Jesteś wobec tego bardziej pewna siebie niż ja. Ja nie mógłbym być pewien, że takiej obietnicy dotrzymam. Nie powinienem był tego powiedzieć, ale chciałem, żebyś mnie zrozumiała. Scarlett, nie chcę o tym więcej mówić. To rzecz postanowiona. Po ślubie Willa z Zuelą przeniosę się do Nowego Jorku.

Gdy patrzył na nią, w jego oczach malowało się silne wzburzenie, po chwili szybko przeszedł przez pokój. Dłoń jego była już na klamce. Scarlett patrzyła na niego w rozpacz. Rozmowa była skończona, przegrała. Nagle jednak, wyczerpana przeżyciami i bólem minionego dnia i obecnym rozczarowaniem, przestała panować nad sobą i krzyknęła: - Och, Ashleyu! - i rzucając się na zapadniętą kanapę, wybuchła szalonym płaczem.

Usłyszała, że Ashley niepewnie odchodzi od drzwi i że bezradnym głosem powtarza raz po raz jej imię. Rozległ się szybki tupot stóp biegnących przez hali od kuchni i do pokoju wpadła Melania z oczami rozszerzonymi niepokojem.

- Scarlett... czy dziecko...?

Scarlett ukryła głowę w zakurzonych poduszkach i zaczęła szlochać.



- Ashley... on jest taki niedobry! Taki wstrętny!

- Ashleyu, co się stało? - Melania rzuciła się na podłogę przy kanapie i otoczyła Scarlett ramieniem. - Coś jej powiedział? Jakżeś mógł! Mogła przedwcześnie urodzić! Słuchaj, kochanie, oprzyj głowę na moim ramieniu! Co ci się stało?

- Ashley... on jest... taki uparty i uparty!

- Ashleyu, bardzo ci się dziwię! Jak możesz tak denerwować Scarlett, kiedy jest w poważnym stanie i ledwie ochłoneła po pogrzebie ojca!

- Nie krzycz na niego! - zawołała Scarlett niemądrze, podnosząc głowę tak nagłym ruchem, że włosy jej wysypały się z siatki i opadły na zalaną łzami twarz. - Ma prawo postępować, jak mu się podoba!

- Melu - powiedział Ashley, bardzo blady - pozwól, abym ci wytłumaczył. Scarlett była tak uprzejma, że ofiarowała mi posadę zarządzającego w jednym ze swoich tartaków...

- Zarządzającego! - zawołała Scarlett z oburzeniem. - Ofiarowałam mu połowę udziałów, a on...

- A ja odpowiedziałem jej, że ułożyłem już wszystko w związku z naszą przeprowadzką na Północ, ona zaś...

- Och - zawołała Scarlett i znowu zaczęła łkać - powtarzałam bez końca, jak bardzo mi jest potrzebny, jak nie mogę nikogo znaleźć, kto by zarządzał tartakiem, że wkrótce będę miała dziecko - a on mi odmówił! A teraz... teraz będę musiała sprzedać tartak, choć wiem, że nie dostanę przyzwoitej ceny, stracę pieniądze i znowu będziemy przymierali głodem, ale jego to nic nie obchodzi. On jest taki niedobry!

Znowu ukryła głowę na szczupłym ramieniu Melanii; i opuściła ją w pewnej mierze rozpacz, bo zbudziła się w niej iskierka nadziei. Wyczuła, że w Melanii ma sprzymierzeńca, że Melania jest oburzona, iż ktoś, choćby jej ukochany mąż, mógł doprowadzić Scarlett do łez. Podbiegła do Ashleya jak mała nastroszona gołąbka i po raz pierwszy w życiu zaczęła mu robić wymówki.

- Ashleyu, jak mogłeś jej odmówić? Po tym wszystkim, co dla nas zrobiła! Jakże musimy się jej wydawać niewdzięczni! Jest taka bezradna z powodu ciąży... Jakie to nierycerskie z twojej strony! Ona nam pomogła, kiedy potrzebowaliśmy pomocy, a teraz ty jej swojej odmawiasz!

Scarlett spojrzała chyłkiem na Ashleya i zobaczyła na jego twarzy zdumienie i niepewność, gdy patrzył w ciemne, płonące oburzeniem oczy Melanii. Scarlett także była zaskoczona gwałtownością ataku Meli na Ashleya, ponieważ wiedziała, że Mela uważa swego męża za człowieka bez zarzutu, a postanowienia jego za równie nieomyślne jak

zrządzenia boskie.

- Melu - zaczął i opuścił bezsilnie ręce.

- Ashleyu, jakże się nawet możesz wahać? Pomyśl, co ona zrobiła dla nas - dla mnie! Umarłabym w Atlancie, kiedy urodził się Beau, gdyby nie ona! I ona... tak, zabiła w naszej obronie Jankesa. Czy wiedziałeś o tym? Zabiła dla nas człowieka. Pracowała i harowała przed zjawieniem się Willa i twoim powrotem do domu, abyśmy mieli co do ust włożyć. A kiedy pomyślę, jak orała i zbierała bawełnę, mogłabym po prostu... Och, moje kochanie! - Objęła Scarlett za głowę i całowała ją po włosach w przystępie gorącej czułości. - A teraz, kiedy po raz pierwszy prosi nas o coś...

- Nie potrzebujesz mi mówić, ile Scarlett dla nas zrobiła.

- Ale, Ashleyu, pomyśl tylko! Niezależnie od przysługi dla Scarlett, pomyśl tylko, jakie to dla nas będzie miało znaczenie, że będziemy mieszkali w Atlancie, między swoimi, a nie wśród Jankesów! Jest tam ciocia i wuj Henryk, i wszyscy nasi przyjaciele, Beau będzie miał mnóstwo kolegów i będzie mógł chodzić do szkoły. Gdybyśmy pojechali na Północ, nie mógłby chodzić do szkoły, aby nie spotykać się z dziećmi jankeskimi i nie mieć w klasie kolegów-Murzynów! Musielibyśmy mieć guwernantkę, a nie wiem, czy moglibyśmy sobie pozwolić...

- Melu - rzekł Ashley, a głos jego był śmiertelnie spokojny - czy rzeczywiście tak bardzo chcesz mieszkać w Atlancie? Nigdy nie mówiłaś mi o tym, kiedyśmy projektowali zamieszkanie w Nowym Jorku. Nigdy nie dałaś mi do zrozumienia...

- Och, ale kiedyśmy mówili o wyjeździe do Nowego Jorku, sądziłam, że nie znajdziesz sobie zajęcia w Atlancie, poza tym zaś nie uważałam za stosowne zabierać głosu. Obowiązkiem żony jest iść za mężem. Ale teraz, kiedy jesteśmy Scarlett potrzebni i możesz mieć posadę, do której tylko ty się nadajesz, możemy jechać do domu! Do domu!!! - Głos jej brzmiał zachwytem, gdy znowu ścisnęła Scarlett. - I znowu zobaczę Pięć Znaków i Brzoskwiniową i... i... Och, jakże ja za tym tęskniłam! I może będziemy mieli własny dom! Choćby malutki i nędzny, ale własny nasz dom!

Oczy jej płonęły entuzjazmem i radością. Scarlett i Ashley patrzyli na nią w zdumieniu, Ashley z dziwnym wyrazem twarzy, Scarlett z irytacją pomieszaną ze wstydem. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że Melania może tak bardzo tęsknić za Atlantą i tak bardzo pragnąć własnego domu. Wydawała się w Tarze tak zadowolona, że tęsknota jej za domem była dla Scarlett zupełną niespodzianką.

- Och, Scarlett, jak to szlachetnie z twojej strony, żeś to wszystko tak dobrze obmyśliła! Wiedziałaś chyba, jak tęsknię za domem!

Jak zwykle, kiedy Melania przypisywała jej wzniosłe pobudki, gdy nie należało szukać wzniosłości, Scarlett czuła się zakłopotana i zła i trudno jej było podnieść oczy na Ashleya i Melanię.

- Moglibyśmy znaleźć sobie malutki własny domek. Czy wiesz, że jesteśmy już pięć lat po ślubie, a jeszcześmy nie mieli własnego domu?

- Możecie zamieszkać z nami u ciotki Pitty. To jest wasz dom - mruknęła Scarlett bawiąc się poduszką i spuszczać oczy, aby ukryć w nich wyraz tryumfu, który zaświtał, gdy poczuła, że szala przechyliła się na jej stronę.

- Nie, ale dziękuję ci w każdym razie za zaproszenie, kochanie. Byłoby nam za ciasno. Poszukamy sobie domu... Ashleyu, proszę cię, powiedz: „tak”!

- Scarlett - rzekł Ashley bezdźwięcznym głosem - popatrz na mnie.

Zdumiona podniosła głowę i spojrzała w jego szare oczy, pełne teraz gorczy, zmęczone i zrezygnowane.

- Scarlett, przeniosę się do Atlanty... Nie potrafię walczyć z wami obydwoma.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Poczucie tryumfu, który ją wypełniał, zostało przytłumione nagłym lękiem. Wyraz jego oczu przy ostatnich słowach był taki sam jak w chwili, gdy mówił, że będzie zgubiony, jeżeli przyjedzie do Atlanty.

Po ślubie Willa z Zuelą i wstąpieniu Kariny do klasztoru w Charlestonie, Ashley i Melania z synkiem przenieśli się do Atlanty, zabierając ze sobą Dilcey w charakterze kucharki i niani. Prissy z Porkiem zostali w Tarze do czasu, aż Will przyjmie do pomocy innych Murzynów, a potem i oni mieli się przeprowadzić do miasta.

Mały domek z cegieł, który Ashley wynajął dla swojej rodziny, stał przy ulicy Bluszczowej graniczącej z tyłami domu ciotki Pitty. Podwórka domów łączyły się ze sobą, oddzielone tylko przerośniętym żywopłotem z ligustrów. Melania wybrała ów dom właśnie z powodu sąsiedztwa. Pierwszego ranka po powrocie do Atlanty, gdy śmiejąc się i płacząc obejmowała Scarlett i ciotkę Pitty, powiedziała, że dość długo była z daleka od rodziny i że odtąd chciałyby być najbliżej swoich najdroższych.

Dom był niegdyś dwupiętrowy, ale po kapitulacji właściciel nie miał pieniędzy na odbudowanie drugiego piętra, zburzonego przez pociski w czasie oblężenia. Zadowolił się więc pokryciem pierwszego piętra płaskim dachem, przez co dom zyskał przysadkowaty, nieharmonijny wygląd mieszkania dla lalek, zbudowanego z pudełek od obuwia. Stał na wysokich fundamentach, miał obszerne piwnice, a wysokie schodki, które doń prowadziły, czyniły go trochę śmiesznym. Wady te jednak nie były zbyt widoczne, bo dom ocieniały dwa piękne dęby, a koło frontowych schodków rosła magnolia, ciężka od białych kwiatów.

Trawnik był szeroki i zielony od gęstej koniczyny, obramowany nierównym, źle utrzymanym żywopłotem z ligustrów zmieszanych z wysokimi powojami o słodkim zapachu. Na trawniku kilka obłamanych krzaków róż wypuszczało nowe pędy, a białe mirty kwitły tak obficie, jak gdyby nie przeszła nad nimi wojna i konie jankeskie nie obgryzały ich gałązek.

Scarlett uznała dom Ashleyów za najbrzydsze miejsce na świecie, dla Melanii jednak był on piękniejszy nawet od Dwunastu Dębów z całą ich wspaniałością. Miała wreszcie własny dom - i Ashley, ona i mały Beau zamieszkali wreszcie pod własnym dachem.

India Wilkes wróciła z Macon, gdzie przebywała z Honey od r. 1864, aby zamieszkać razem z bratem, mimo ciasnoty małego domu. Ashley i Melania przyjęli ją bardzo serdecznie. Czasy zmieniły się, pieniędzy było mało, ale nic nie zmieniło zwyczaju Południa, że dla ubogich czy niezamożnych krewnych zawsze musi się znaleźć miejsce u rodziny.

Honey wyszła za mąż i, zdaniem Indii, popełniła mezalians, bo połączyła się ze „zwyczajnym” człowiekiem, pochodzącym znad Missisipi, który osiedlił się w Macon. Miał on czerwoną twarz, donośny głos, swobodny sposób bycia. India nie była zadowolona z tego związku i dlatego nie czuła się dobrze w domu szwagra. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że Ashley ma teraz własny dom, bo mogła się wreszcie wyzwolić z nieprzyjemnego otoczenia i pozbyć się widoku siostry, tak nedorzecznie szczęśliwej z człowiekiem, który jej był niewart.

Reszta rodziny myślała w duchu, że chichocząca i ograniczona Honey zrobiła znacznie lepszą partię, niż można było przypuszczać, i wszyscy dziwili się, że w ogóle złapała męża. Mąż jej był dżentelmenem i człowiekiem dość zamożnym; Indii jednak, urodzonej w Georgii i wychowanej w tradycji wirgińskiej, każdy, kto nie pochodził z wschodniego wybrzeża, wydawał się chamem i barbarzyńcą. Mąż Honey był prawdopodobnie równie szczęśliwy, że pozbywa się towarzystwa szwagierki, bo wcale nie była w tych czasach miłą w codziennym życiu.

Staropanieństwo wyryło już na niej ostateczne swe piętno. Miała lat dwadzieścia pięć i na tyle wyglądała, przestała się więc starać o podniesienie swoich wdzięków. Jasne jej, bezrzęse oczy spoglądały na świat ostro i bezwzględnie, a wąskie wargi były wyniośle skrzywione. Tchnęła teraz godnością i dumą, które, o dziwo, pasowały do niej lepiej niż sztuczna dziewczęca łagodność w czasach Dwunastu Dębów. Uważała się za wdowę. Wszyscy wiedzieli, że Stuart Tarleton byłby się z nią ożenił, gdyby nie poległ pod Gettysburgiem, otaczano ją więc szacunkiem należnym kobiecie, która mężczyznę zdobyła, choć nie wzięła z nim ślubu.

W sześciu pokojach małego domku na Bluszczowej stanęły wkrótce najlichsze sprzęty

sosnowe i dębowe ze składu Franka, bo ponieważ Ashley był bez grosza i musiał kupować na kredyt, kupował tylko rzeczy najtańsze i najniezbędniejsze. Wprawiało to w zakłopotanie Kennedy'ego, który lubił Ashleya, Scarlett zaś doprowadzało do rozpacz. Tak ona, jak i Frank daliby mu chętnie bez zapłaty najpiękniejsze mahonie i palisandry, jakie mieli, Wilkesowie jednak uparcie odmawiali ich przyjęcia. Dom ich był przygnębiająco nagi i brzydki i Scarlett martwiła się, że Ashley mieszka w pokojach pozbawionych dywanów i firanek. Nie zdawał się jednak zwracać uwagi na otoczenie, Melania zaś była dumna z pierwszego własnego domu. Scarlett umierałaby z upokorzenia, gdyby znajome odwiedzały ją w mieszkaniu bez portier, dywanów, poduszek i właściwej ilości krzeseł, filizanek i łyżeczek, Melania jednak czyniła honory domu tak, jak gdyby pełen był grubych pluszowych portier i miękkich sof.

Mimo to wszakże, mimo widocznego zadowolenia, Melania nie czuła się dobrze. Urodzenie małego Beau zabrało jej zdrowie, a ciężka praca w Tarze pozbawiła resztek sił. Była tak chuda, że cienkie jej kości zdawały się przebijać białą skórę. Z daleka, podczas zabawy z dzieckiem w ogródku, wyglądała jak mała dziewczynka, bo talię miała nieprawdopodobnie cienką, biust i biodra tak płaskie jak mały Beau, a ponieważ nie miała dość próżności czy rozsądku (zdaniem Scarlett), aby wszywać falbanki pod stanik lub nosić turniurę, chudość jej była bardzo widoczna. Podobnie jak ciało, twarz jej była także szczupła i zbyt blada, a jedwabiste brwi, sklezione i delikatne jak czułki motyla, odcinały się zbyt ciemną linią od bezbarwnej skóry. W tej za małej twarzyczce oczy wydawały się zbyt duże, tym bardziej że stale były podkrążone, ale wyraz ich nie uległ zmianie od czasu szczęśliwego dzieciństwa Melanii. Wojna, stałe niedomagania i ciężka praca nie zdołały wpłynąć na jej pogodny spokój. Miała oczy szczęśliwej kobiety - kobiety, koło której mogą się przewalać burze nie zmacając wcale głębin jej istoty.

„Jakim cudem Mela ma takie oczy? - myślała Scarlett patrząc na nią z zazdrością. Wiedziała dobrze, że w jej oczach kryło się spojrzenie zgłodniałego kota. Co to powiedział kiedyś Rett o oczach Melanii - głupstwo jakieś, że podobne są do świec? O tak: że są jak dwa dobre uczynki wśród bezmiaru zła. Tak, były jak świece osłonięte od podmuchów wiatru, jak dwa łagodne światełka jarzące się szczęściem, że jest wreszcie w domu, między swoimi”.

Mały dom zawsze był pełen gości. Melania już jako dziecko była faworytką wszystkich i teraz miasto garnęło się, aby ją przywitać. Każdy przynosił jej jakieś upominki - bibeloty, obrazki, srebrne łyżki, lniane powłoczki, serwetki, dywaniki, drobiazgi uratowane przed Shermanem, które teraz darowywano jej z zapewnieniem, że jej się bardzo przydadzą.

Starzy panowie, którzy wojowali w Meksyku z jej ojcem, przychodzili w odwiedziny

przyprawdzając innych, aby poznali „uroczą córkę starego pułkownika Hamiltona”. Dawne przyjaciółki jej matki także cisnęły się do niej, bo Melania okazywała starszym pełen uległości szacunek, bardzo przyjemny w tych strasznych czasach, kiedy młodzież najwidoczniej nie pamiętała o dobrym wychowaniu. Rówieśniczki jej, młode żony, matki i wdowy kochały ją, bo przeszła to samo co one, a nie zgorzkniała i zawsze ze współczuciem słuchała ich zwierzeń. Młodzież zjawiała się też, jak zwykle zjawia się tam, gdzie można się dobrze bawić i spotykać wszystkich znajomych.

Dokoła osoby Melanii, skromnej i taktownej, utworzyło się szybko kółko ludzi młodych i starych, reprezentujących resztki najlepszego przedwojennego towarzystwa Atlanty - ludzi, którzy choć zubożeli, byli dumni ze swego pochodzenia i nieprzejednani pod każdym względem. Wydawało się, jak gdyby towarzystwo Atlanty, rozproszone i zrujnowane przez wojnę, zdziesiątkowane śmiercią i oszołomione zmianą warunków życia, znalazło w Melanii punkt centralny, wokół którego mogło się odradzać.

Melania była młoda, ale miała w sobie wszystkie te zalety, które ta garstka nieprzejednanych ceniła - była biedna i dumna z biedy, odważna, wesoła, gościnna, dobra i nade wszystko wierna dawnym tradycjom. Melania nie chciała się zmienić, nie chciała nawet uznać, że istnieje potrzeba przystosowania się do zmienionego świata. Pod dachem jej miało się wrażenie, że dawne czasy wróciły, ludzie więc weseleli przy niej i czuli wzmogoną pogardę dla fali, która w szalonym pędzie wynosiła na powierzchnię życia Carpetbaggerów i świeżo wzbogaconych republikanów.

Patrząc w młodą twarz Melanii i widząc w niej niezłomną wierność dla dawnych dni, mogli zapomnieć na chwilę zdrajców ze swego własnego środowiska, którzy budzili w nich wściekłość, obawę, strapienie. A tych było bardzo wielu. Zdarzali się wśród nich ludzie z dobrych rodzin, doprowadzeni nędzą do rozpacz, którzy przechodzili do obozu nieprzyjaciela, stawali się republikanami i przyjmowali z rąk zwycięzców posady, byle rodziny ich nie potrzebowały korzystać ze wsparcia. Zdarzali się byli żołnierze, którym brakło odwagi do odbudowania w długoletnim mozole swoich fortun. Ci młodzi ludzie szli pod wodzą Retta Butlera ręka w rękę z Carpetbaggerami i bogacili się przy pomocy nie najbardziej czystych metod.

Najgorsze jednak spośród zdrajców były córki niektórych najlepszych rodzin Atlanty. Panny te, które dorosły po kapitulacji, niejasno pamiętały wojnę, brakło im też zaciętości, która ożywiała starszych. Nie straciły mężów ani kochanków. Słabo pamiętały dawne bogactwo i wspaniałość, a jankescy oficerowie byli przystojni, dobrze ubrani, beztroscy... Wydawali szumne bale, jeździli pięknymi końmi i po prostu ubóstwiali dziewczyny z

Południa! Traktowali je jak królowe, starali się nie urazić ich dumy, więc ostatecznie - dlaczego nie widywać się z nimi?

Byli o wiele bardziej pociągający od miejscowych kawalerów, ubranych nędznie, bardzo poważnych, ciężko pracujących i nie mających czasu na zabawę. Zdarzyło się więc, że kalka panien, ku rozpaczy krewnych, uciekło z jankeskimi oficerami. Istniały rodziny, w których bracia nie kłaniali się siostronom na ulicy i rodzice nigdy nie wymawiali imion córek. Na wspomnienie tych tragedii krew burzyła się w tych, których dewizą było: „Nie poddać się nigdy”. Zdaniem starszej generacji, Melania była doskonałym i zbawiennym przykładem dla młodych panien Atlanty. A ponieważ nie szczyciła się głośno swoimi cnotami, panienki uznawały ją i lubiły.

Melania nie zdawała sobie wcale z tego sprawy, że staje się osią nowego towarzystwa. Cieszyła się, że ludzie przychodzą do niej i zapraszają do kółek, klubów i towarzystw muzycznych. Atlanta była zawsze muzykalna i lubiła dobrą muzykę, chociaż inne miasta Południa zarzucały jej brak kultury. Teraz zaznaczył się wśród wszystkich wzrost zainteresowania sztuką, które tym bardziej wznosiło się, im czasy były cięższe i trudniejsze. Przy dźwiękach muzyki łatwiej było zapomnieć o zuchwałych czarnych twarzach na ulicach i niebieskich mundurach garnizonu.

Melania była trochę zakłopotana, gdy wybrano ją na przewodniczącą nowo założonego „Muzycznego Kółka Sobotniego”. Tłumaczyła sobie ten zaszczyt tym tylko, że umiała akompaniować wszystkim, nie wyłączając panien McLure, które upierały się, aby śpiewać duety, chociaż fałszowały niemiłosiernie.

Stało się to jednak dlatego, że potrafiła dyplomatycznie połączyć „Stowarzyszenie Harfiarek”, „Klub Śpiewaczy Męski” i „Towarzystwo Mandolinistek i Gitarzystek” z „Sobotnim Kółkiem Muzycznym”, tak że teraz Atlanta miała rzeczywiście dobrą muzykę. Zdaniem niektórych wykonanie „Dziewczęcia Cygańskiego” przez kółko o wiele przewyższało przedstawienie w Nowym Jorku i Nowym Orleanie. Kiedy Melanii udało się nakłonić „Stowarzyszenie Harfiarek” do przystąpienia do kółka, pani Merriweather oświadczyła paniom Meade i Whiting, że Melania powinna zostać prezeską. - Jeżeli dała sobie radę z harfiarkami, poradzi sobie ze wszystkimi - twierdziła pani Merriweather, która sama grała na organach w kaplicy metodystów i z tego powodu niewielkim szacunkiem darzyła harfy i harfiarki.

Melania została ponadto sekretarką „Towarzystwa Opieki nad Grobami Poległych” i „Kółka Szycia dla Wdów i Sierot Konfederacji”. Nowe te zaszczyty spadły na nią po burzliwym zebraniu tych dwóch towarzystw, które omal nie skończyły się awanturą i

wypowiedzeniem wieloletnich przyjaźni. Zatarg wybuchł na tle tego, czy należy plewić chwasty na grobach żołnierzy Unii pochowanych obok żołnierzy Konfederacji. Wygląd opuszczonych grobów jankeskich paraliżował wysiłki pań, zmierzające do upiększenia grobów ich własnych poległych. W jednej chwili płomienie, które żarzyły się pod ciasnymi stanikami, rozgorzały żywo, i dwie organizacje poróżniły się i patrzyły na siebie zaczepnie. „Kółko Szycia” było za usuwaniem chwastów, panie z „Towarzystwa Opieki” sprzeciwiały się temu gwałtownie.

Pani Meade wyraziła poglądy tych ostatnich, wołając: - To ja miałabym wrywać chwasty z grobów jankeskich? Z przyjemnością wyrzuciłabym wszystkich Jankesów na miejski śmietnik!

Na te grzmiące słowa członkinie obu towarzystw zerwały się z miejsc i wszystkie panie naraz zaczęły wypowiadać swoje zdania, których nikt nie słuchał. Zebranie odbywało się w salonie pani Merriweather i dziadek Merriweather, którego wygnano do kuchni, opowiadał później, że hałas przypominał granie dział przed bitwą pod Franklinem. I, dodał, wydawało mu się, że znacznie bezpieczniej było pod Franklinem niż na tym damskim sejmiku.

Melania w jakiś sposób przedostała się w środek podnieconego grona; głos jej zazwyczaj cichy, wybił się teraz ponad tumult. Gardło miała ściśnięte ze strachu, że ośmiela się zwracać do tak wzburzonego audytorium i głos jej drżał, ale nie przestawała wołać: - Proszę pań! - póki hałas nie ucichł.

- Chciałam powiedzieć... to znaczy, sędzę już od dawna, że... że nie tylko powinnyśmy powrywać chwasty, ale zasiewać kwiaty na... Ja... mnie... wszystko jedno, co panie pomyślą, ale ilekroć zanoszę kwiaty na grób Karolka, zawsze zostawiam parę na najbliższej mogile nieznanego Jankesa. Wygląda... tak smutno!

Zamęt wybuchł na nowo, głośniejszy teraz, bo obie organizacje połączyły się i wołały jednomyślnie:

- Na grobie Jankesa! Och, Melu, jakże można! - Oni zabili Karolka! Omal nie zabili i ciebie! Przecież Jankesi mogli zabić Beau zaraz po urodzeniu! Chcieli was podpalić w Tarze.

Melania trzymała się kurczowo poręczy krzesła, aby nie upaść, bo prawie ugięła się pod ciężarem wymówek, z którymi nigdy dotąd się nie spotkała.

- Och, moje panie. - zawołała. - Proszę, pozwólcie mi skończyć! Wiem, że nie mam prawa przemawiać w tej sprawie, bo poza Karolkiem nikt z moich najbliższych nie zginął na wojnie, a grób Karolka jest mi, Bogu dzięki, znany! Ale tyle jest między nami osób, które nie wiedzą, gdzie spoczywają ich synowie, mężowie czy bracia, i...

Głos jej załamał się. W pokoju zapanowało śmiertelne milczenie.



Oczy pani Meade przygasły. Po bitwie pod Gettysburgiem odbyła tam długą podróż, aby odnaleźć ciało Darcy'ego, ale nikt jej nie mógł powiedzieć, gdzie został pochowany. Prawdopodobnie w pośpiesznie wykopanym grobie w kraju nieprzyjaciela. Wargi pani Allan zdrzętały. Mąż jej i brat wzięli udział w nieszczęsnej wyprawie Morgana na Ohio i ostatecznie wiadomości o nich brzmiały, że padli gdzieś nad rzeką, podczas ataku kawalerii jankeskiej. Nie wiedziała, gdzie są pochowani. Syn pani Allison umarł w więzieniu na Północy, ona zaś, najbiedniejsza z biednych, nie była w stanie sprowadzić jego ciała do domu. Inne jeszcze panie wyczytały na listach poległych: „Zaginiony - prawdopodobnie zabity” i słowa te stanowiły ostatnią wiadomość o mężczyznach, których niegdyś żegnały przy wymarszu.

Teraz wszystkie zwróciły na Melanię oczy, mówiące wyraźnie: „Dlaczego otwierasz te rany? Nie zagoją się nigdy - nawet nie wiemy, gdzie spoczywają nasi ukochani”.

W milczącym pokoju głos Melanii przybrał na sile.

- Groby ich znajdują się gdzieś w kraju jankeskim i ach, jakie by to było straszne, gdybyśmy wiedziały, że Jankeski postanowiły ich nie dotykać i...

Pani Meade wydała cichy, straszny jęk.

- Ale jak by to było przyjemnie wiedzieć, że jakaś dobra Jankeska... Bo przecież muszą być i dobre Jankeski. Bez względu na to, co mówią ludzie, wszystkie nie mogą być złe. Jak przyjemnie byłoby wiedzieć, że wrywają chwasty z mogił naszych chłopców i składają na nich kwiaty, chociaż to nieprzyjaciele. Gdyby Karolek umarł na Północy, byłabym spokojniejsza wiedząc, że ktoś... I nie dbam o to, co panie o mnie pomyślą - głos jej załamał się znowu - wystąpię z obydwu klubów i... będę wrywała chwasty z wszystkich jankeskich grobów i sadziła na nich kwiaty, i... niech mnie ktoś spróbuje powstrzymać!

Rzuciwszy to ostateczne wyzwanie, Melania wybuchła płaczem i potykając się poszła w stronę drzwi.

Dziadek Merriweather, bezpieczny w męskim otoczeniu baru „Pod Współczesną Dziewczyną”, w godzinę później opowiedział Henrykowi Hamiltonowi, że po tych słowach wszystkie panie poczęły płakać i całować Melanię i że wydarzenie zakończyło się zapewnieniami o wzajemnej miłości i obraniem Melanii sekretarką obu towarzystw.

- No, i teraz będą wrywały chwasty. Najgorsze jest, że Dolly zobowiązała się za mnie, że i ja chętnie im pomogę, bo mam niewiele do roboty. Nie mam nic przeciw Jankesom i uważam, że Melania miała rację, a nie żadna z tych wściekłych bab, ale żebym ja, w moim wieku i z moim ischiasem, miał wrywać chwasty !!!

Melania należała do zarządu sierocińca i brała udział w zbiorce książek dla nowo założonego Towarzystwa Bibliotecznego. Nawet Towarzystwo Teatru Amatorskiego, które

dawało przedstawienia raz na miesiąc, prosiło o jej współpracę. Była zbyt nieśmiała, aby występować, ale umiała szyc kostiumy nawet z worków, jeżeli nie było niczego innego pod ręką. Za jej sprawą uchwalono w Kółku Miłośników Szekspira, aby poza urywkami z dzieł poety czytać jeszcze wyjątki z pism Dickensa i Bulwera-Lyttona, nie zaś poematy Byrona, jak proponował pewien młody i zdaniem Melanii mało poważny młodzieniec.

W wieczory późnego lata jej mały, źle oświetlony domek był zawsze pełen gości. Nigdy nie starczało krzeseł dla wszystkich, często więc panie musiały siadać na stopniach ganku, a panowie na poręczach za nimi lub też na skrzyniach na trawniku przed domem. Czasem, gdy Scarlett widziała gości siedzących na trawie i pijących herbatę - jedyny poczęstunek, na jaki było Wilkesów stać - zastanawiała się, jak Melania może się zdobyć na tak bezwstydną obnażanie swojej biedy. Do czasu doprowadzenia domu ciotki Pitty do stanu przedwojennego, do czasu gdy będzie sobie mogła pozwolić na dobre wino, szynkę i zimne mięsiwa, nie miała zamiaru przyjmować gości - zwłaszcza tak dostojnych jak ci, którzy odwiedzali Melanię.

Generał John B. Gordon, wielki bohater Georgii, często bywał z rodziną u Wilkesów. Ojciec Ryan, ksiądz-poeta Konfederacji, zawsze składał im wizytę, gdy przejeżdżał przez Atlantę. Czarował zebranych swoim dowcipem, nie dawał się prosić i recytował swój „Miecz generała Lee” i nieśmiertelny „Zdobyty sztandar”, który zawsze wyciskał paniom łzy z oczu. Aleksander Stephens, były wiceprezydent Konfederacji, przychodził, ilekroć był w mieście, a kiedy rozchodziła się wiadomość o jego obecności u Melanii, dom zapełniał się ludźmi, którzy godzinami wsłuchiwali się w donośny głos wątłego inwalidy. Zwykle bywało jeszcze po kilkoro dzieci, drzemiących na kolanach rodziców lub czuwających, choć minęła pora kładzenia się na spoczynek. Wszyscy rodzice życzyli sobie, aby dzieci ich po latach mogły opowiadać, że całował je wielki wiceprezydent i że ścisnęła dłoń, która przewodziła Sprawie. Każda ważna osobistość trafiała do domu Wilkesów i niejednokrotnie spędzała tam noc. Narażało to na niewygodę mieszkańców małego domku: India musiała wtedy spać na sienniku w maleńkim pokoiku Beau, a Dilcey biegła przez podwórze do ciotki Pitty, aby pożyczyć kilka jaj na śniadanie - ale Melania przyjmowała gości z takim wdziękiem, jak gdyby mieszkała w pałacu.

Nie, Melania nie zdawała sobie sprawy, że ludzie skupiali się przy niej jak pod ukochanym, choć zdartym sztandarem. Była więc zdumiona i zakłopotana, gdy pewnego razu doktor Meade po mile spędzonym w jej domu wieczorze, gdy dobrze się spisał czytając rolę Makbeta, pocałował ją w rękę i tonem, którym dawniej wygłaszał przemówienia na rzecz świętej Sprawy, powiedział:

- Droga moja Melu, wizyta w twoim domu jest przyjemnością i zaszczytem, bo ty... i kobiety twego pokroju... jesteście sercem naszym, jedynym, co nam pozostało. Zabrano nam kwiat naszej młodzieży i śmiech naszych dziewcząt. Poderwano nam zdrowie, skrzywiono życie i zmieniono obyczaje. Zrujnowano nasze bogactwo, cofnięto kulturę o pięćdziesiąt lat, a na barki chłopców, którzy powinni być jeszcze w szkołach, i starców, którzy powinni się już grzać na słońcu, nałożono zbyt ciężkie brzemiona. Możemy się jednak odrodzić, bo mamy pośród nas serca takie jak twoje. Dopóki zaś to mamy, możemy Jankesom pozostawić całą resztę!

Dokąd figura jej nie przybrała takich rozmiarów, że nawet wielki szal ciotki Pitty przestał osłaniać ciężę, Scarlett często przemykała się z Frankiem przez podwórze i przyłączała do grupy zebranej na ganku Meli. Siadała zawsze w cieniu, gdzie nie było jej widać i skąd mogła bezpiecznie wpatrywać się w twarz Ashleya.

Tylko Ashley przyciągał ją do tego domu, bo rozmowy nudziły ją i przygnębiały. Zawsze obracały się dokoła ustalonych tematów; przede wszystkim mówiono o ciężkich czasach, po wtóre - o sytuacji politycznej, na ostatku zaś, niezmiennie o wojnie. Panie narzekały na drożyznę i pytały panów, czy dobre czasy kiedykolwiek wrócą. Wszechwiedzący panowie odpowiadali na to, że, owszem, wrócą na pewno i że to tylko kwestia czasu. Ciężkie czasy są zjawiskiem przejściowym. Panie wiedziały, że panowie kłamią, panowie zaś nie łudzili się, że panie o tym nie wiedzą. Mimo to kłamali dla dodania im i sobie otuchy, a panie udawały, że im wierzą. Wszyscy jednak doskonale zdawali sobie sprawę, że ciężki czas będą trwały wiecznie.

Kiedy sprawa ciężkich czasów została omówiona, panie zaczynały o coraz wzmagającej się zuchwałości Murzynów, o występkach Carpetbaggerów i o upokorzeniu, jakie cierpią na widok jankeskich żołnierzy. Czy panowie są zdania, że Jankesi kiedykolwiek przerwą dzieło „rekonstrukcji” Georgii? Panowie z właściwym sobie optymizmem zapewniali, że rekonstrukcja minie bardzo szybko - to jest, jak tylko demokraci odzyskają prawo głosu. Panie były tak rozsądne, że nie pytały, kiedy to nastąpi. Kiedy załatwiono się z tematami politycznymi, zaczynała się rozmowa o wojnie.

Ilekróć spotykali się dwaj konfederaci, nie istniał dla nich inny temat rozmowy, kiedy zaś zbierało się kilku czy kilkunastu, było z góry do przewidzenia, że cała historia walk zostanie odświeżona w pamięci. Zawsze też bardzo istotną rolę w rozmowie odgrywało słówko „gdyby”.

- Gdyby Anglia nas uznała... Gdyby Davis zarekwirował wszystką bawelnę i przesłał ją do Anglii przed zacieśnieniem się blokady... Gdyby Longstreet wykonał rozkazy pod

Gettysburgiem... Gdyby generał Stuart był wtedy, gdy go Marse Bob potrzebował... Gdybyśmy nie stracili Stonewalla Jacksona... Gdyby Vicksburg nie skapitulował... Gdybyśmy mogli przetrzymać jeszcze rok... - I zawsze: - Gdyby nie zastąpiono Johnstona Hoodem - lub: - gdyby zamiast Johnstona, zrobiono Hooda dowódcą Daltonu...

Gdyby! Gdyby! Ciche śpiewne głosy nabrzmiewały dawnym podnieceniem, gdy tak w ciemności rozmawiali żołnierze z piechoty, kawalerii, artylerii - przywołując wspomnienia dni, kiedy życie było bujne i dojrzałe, wspominając pełnię lata życia w tym ponurym zmierzchu jego zimy.

„Nie rozmawiają nigdy o niczym innym - myślała Scarlett. - Jedyne i wyłącznie o wojnie. Zawsze o wojnie. I o niczym innym nie będą rozmawiali aż do samej swojej śmierci”.

Rozglądała się dokoła, widziała małych, chłopców na kolanach ojców, z błyszczącymi oczyma przysłuchujących się opowiadaniom o wypadach nocnych, szalonych atakach kawaleryjskich, o chorągwiach zatykanych na okopach nieprzyjaciela. Słyszeli warczenie bębnow, dźwięk trąbek i hasła powstańcze, widzieli mężczyzn kulejących na deszczu, wlokących poszarpane sztandary.

„I nawet te dzieci nie potrafią nigdy mówić o niczym innym. Będą sądziły, że walka z Jankesami, otrzymywanie ran lub padanie na polu bitew było rzeczą wspaniałą, waleczną i bohaterską. Wszyscy lubią wspominać wojnę i rozmawiać o niej. Ja jednak nie lubię nawet o niej myśleć. Zapomniałabym najchętniej, gdybym mogła - ach, gdybym tylko mogła!”

Przysłuchiwała się z niechęcią, jak Melania opowiadała o Tarze robiąc ze Scarlett bohaterkę, bo stawiała czoło najeźdźcom i uratowała szablę Karola, jak chwaliła ją, że ugasila pożar. Scarlett nie czuła dumy na wspomnienie tych spraw. Nie, nie miała ochoty w ogóle o nich pamiętać.

„Och, dlaczego nie potrafią zapomnieć? Dlaczego nie patrzą naprzód zamiast wstecz? Byliśmy szaleni, żeśmy prowadzili tę wojnę. I im prędzej o niej zapominamy, tym lepiej będzie dla nas...”

Nikt jednak nie chciał zapomnieć, nikt prócz niej, była więc zadowolona, gdy mogła wreszcie Meli powiedzieć, że wstydzi się pokazywać ludziom nawet w ciemności. Mela, przewrażliwiona we wszystkich kwestiach dotyczących rodzenia dzieci, zrozumiała wymówkę od razu. Sama bardzo pragnęła drugiego dziecka, ale zarówno doktor Meade jak doktor Fontaine ostrzegli ją, że urodzenie go może przypłacić życiem. Tak więc, godząc się tylko w połowie z losem, spędzała długie godziny ze Scarlett, zastępczo radując się tą cudzą ciążą. Scarlett, która była niezadowolona ze zbliżającego się porodu i zirytowana, że przychodzi tak nie w porę, postawa Meli wydawała się szczytem sentymentalnej głupoty.

Czerpała jednak pewno przewrotną przyjemność z tego, że wyrok doktorów uniemożliwia prawdziwą intymność między Ashleyem a jego żoną.

Scarlett widywała teraz Ashleya często, ale nigdy sam na sam. Wstępował do niej co wieczór po drodze z tartaku do domu, aby zdać jej sprawę ze zdarzeń dnia, zwykle jednak asystowała przy tym Pitty i Frank lub, co gorzej, Melania i India. Mogła zadawać mu tylko czysto rzeczowe pytania, poddawać pewne pomysły i potem mówić: - Ładnie z twojej strony, żeś wstąpił. Dobranoc.

Gdybyż tylko nie oczekiwała dziecka! Miałaby znakomitą sposobność wyjeżdżać z Ashleyem co rano do tartaku, przez samotne lasy, z dala od śledzących ich oczu. Mogliby sobie wyobrażać, że znowu są w rodzinnej okolicy, że wróciły spokojne dni przedwojenne.

Nie, nie usiłowałaby go sprowokować do wyznań miłosnych! Nie wspominałaby w ogóle o swoich uczuciach. Poprzysięgła sobie, że już nigdy tego nie zrobi. Ale może gdyby był z nią sam na sam, zrzuciłby na chwilę tę maskę obojętnej uprzejmości, którą przywdział od chwili przyjazdu do Atlanty. Może by znowu był sobą, dawnym Ashleyem, którego знаła w czasach, nim wspomnieli o swojej miłości. Skoro się im nie wolno było kochać, mogli przynajmniej być przyjaciółmi, i Ashley mógłby w żarze swojej przyjaźni ogrzewać jej zimne i samotne serce.

„Gdybym się wreszcie mogła pozbyć tego dziecka - myślała niecierpliwie - mogłabym co dzień jeździć z Ashleyem do tartaku i rozmawiać...”

Nie samo tylko pragnienie zbliżenia z Ashleyem przyczyniało się do jej niecierpliwości. Była potrzebna w tartakach. Szły gorzej od czasu, gdy przestała się nimi zajmować i zdała prowadzenie interesów Ashleyowi i Hugonowi.

Hugon był bardzo niezaradny, jakkolwiek miał najlepsze chęci. Był złym kupcem i jeszcze gorszym zwierchnikiem. Potargowawszy się z nim, każdy mógł uzyskać najniższą cenę. Jeżeli sprytny jakiś klient twierdził, że drzewo jest w niedobrym gatunku i niewarte swojej ceny, Hugon uważał, że jako dżentelmen powinien przeprosić i wziąć cenę niższą. Kiedy Scarlett usłyszała, jaką wziął cenę za tysiąc stóp klepki, wybuchła łzami rozpacz. Była to najlepsza klepka, jaką tartak wydawał, a Hugon odstąpił ją za pół darmo! Nie umiał także kierować robotnikami. Murzyni upierali się, aby im wypłacał pensję codziennie, często przepijali ją od razu i następnego dnia wcale nie zjawiali się do pracy. W wypadkach takich Hugon musiał się starać o nowych robotników i tartak ruszał z opóźnieniem. Wobec tych trudności Hugon całymi tygodniami nie mógł wyjeżdżać do miasta ani sprzedawać drzewa.

Widząc, jak zarobki wymykają się spomiędzy jego palców, Scarlett szalała z powodu własnej bezsilności i jego głupoty. Jak tylko się dziecko urodzi i będzie mogła powrócić do

pracy, pozbędzie się Hugona i przyjmie kogoś innego. Każdy byłby lepszy od niego.. I już nigdy nie będzie zatrudniała wyzwoleńców. Jakże można było pracować normalnie, gdy ci podli Murzyni co chwila wymawiali?

- Franku - powiedziała po burzliwej rozmowie z Hugonem na temat jego robotników - już prawie postanowiłam, że przyjmę do pracy w tartakach więźniów. Niedawno rozmawiałam z Janem Gallegherem, majstrem Tomka Wellburna, o kłopotach, jakie mam z Murzynami, którzy nie chcą pracować. Zapytał mnie, czemu nie przyjmuję więźniów. Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Mówi, że mogłabym ich podnając za grosze i tanio żywić. I mówi, że mogłabym ich zmuszać do pracy wszelkimi sposobami i że nie miałabym nic do czynienia z Biurem Wyzwoleńców, które teraz wtrąca się do wszystkiego, nawet do rzeczy, które nikogo nie powinny obchodzić. Jak tylko wygaśnie kontrakt Geralda z Wellburnem, przyjmę go do tartaku Hugona. Człowiek, który potrafi zmusić do pracy tych dzikich Irlandczyków, z pewnością będzie mógł dopilnować i więźniów.

Więźniów! Frank zupełnie oniemiał. Najmowanie więźniów do pracy było najgorszym ze wszystkich szalonych postanowień Scarlett, gorszym nawet od zamiaru wybudowania szynku.

W każdym razie wydało się rzeczą potworną Frankowi i konserwatywnym panom, wśród których się obracał. Nowy system najmowania do pracy więźniów wszedł w życie w związku z zubożeniem Georgii po wojnie. Nie mogąc wyżywić więźniów stan wypożyczał ich osobom, którym potrzebni byli robotnicy do budowy kolei, do wyrębu drzew czy do pracy w tartakach. Frank i jego bogobojni znajomi uznając, że system ten stał się koniecznością, oplakiwali go mimo to. Wielu z nich było wrogami niewolnictwa i uważało to za rzecz znacznie od niewolnictwa gorszą.

I Scarlett miała zamiar zatrudniać więźniów! Frank czuł, że jeżeli Scarlett to zrobi, on nie będzie mógł nigdy chodzić z podniesioną głową. To było bez porównania straszniejsze od prowadzenia tartaków czy innych jej sprawek. Dawne jego sprzeciwy zawsze szły w parze z pytaniem: „Co ludzie powiedzą?” To jednak... to jednak dotykało go głębiej niż obawa przed opinią. Uważał to za handel ludźmi na poziomie prostytutki, grzech, który zaciąży na jego duszy, jeżeli nie zdoła Scarlett odwieść od tego zamiaru.

Przekonany, że ma rację, Frank zebrał się na odwagę i zakazał Scarlett nawet myśleć o zrobieniu czegoś podobnego, uwagi zaś jego były tak stanowcze, że ona, przerażona, umilkła. Wreszcie, aby go uspokoić, powiedziała wymijająco, że nie ma zamiaru zrobić tego naprawdę. Była tylko tak zniechęcona do Hugona i do wyzwolonych Murzynów, że straciła cierpliwość. W tajemnicy jednak i z pewnym żalem wciąż myślała o nowym projekcie. Praca

więźniów rozwiązałyby jeden z jej najtrudniejszych problemów, ale jeżeli Frank takie zacnie robić z tego powodu historie...

Westchnęła Gdyby przynajmniej jeden tartak szedł dobrze... Ashley jednak pracował nie lepiej niż Hugon.

Z początku Scarlett była zgorziona i rozczarowana, że pod zarządem Ashleya tartak nie przynosił dwa razy tyle, co pod jej zarządem. Ashley był mądry i przeczytał tyle książek, że nie było powodu, by nie miał doskonale pracować i masę zarabiać. A jednak wcale nie powodziło mu się lepiej niż Hugonowi. Niedoświadczeniem, pomyłkami, brakiem sprytu do interesów i

skrupułami gdy chodziło o cenę, dorównywał Hugonowi.

Jednakże miłość do Ashleya spiesznie podsunęła jej okoliczności łagodzące: nie mogła sądzić obu mężczyzn jednakową miarą. Hugon był po prostu bezgranicznie głupi, podczas gdy Ashley mało się rozumiał na handlu drzewem. Niespodziewanie jednak przeszła jej przez głowę myśl, że Ashley nie umie szybko rachować w pamięci ani podawać od razu dokładnej ceny drzewa. Czasem też zastanawiała się, czy kiedykolwiek nauczy się odróżniać deski od progów kolejowych. Ponieważ zaś był dżentelmenem godnym zaufania, ufał każdemu łotrowi, który się nadarzył, i kilka razy zaprzepściłby jej pieniądze, gdyby delikatnie nie zainterweniowała w porę. Jeżeli zaś kogoś lubił - a zdawał się lubić bardzo wiele osób! - sprzedawał drzewo na kredyt nie starając się nawet dowiedzieć, czy ów ktoś ma konto w banku lub nieruchomości. Pod tym względem był nie lepszy od Franka.

Z pewnością jednak z czasem się nauczy! A w okresie nauki miała dla jego pomyłek czułą i matczyną wyrozumiałość. Gdy zjawiał się wieczorami w jej domu, zmęczony i zniechęcony, podsuwała mu cierpliwie rozmaite zbawienne myśli. Mimo jednak wszystkich jej wysiłków i stałego dodawania mu otuchy, w oczach miał ten sam dziwny, martwy wyraz. Nie mogła go zrozumieć i była tym bardzo przerażona. Ashley był inny, zupełnie inny niż dawniej. Gdyby mogła porozmawiać z nim sam na sam, odkryłaby może, co jest tego przyczyną.

Taka sytuacja odbierała jej sen. Martwiła się z powodu Ashleya, gdyż wiedziała, że jest niezadowolony i że niezadowolenie osłabia jego zapał do handlu drzewem. Torturą było dla niej, że powierzyła tartaki pieczy dwóch ludzi tak niezdolnych do interesów jak Hugon i Ashley, serce jej się krajało, gdy widziała, że konkurenci odbierają jej najlepszych klientów, mimo iż pracowała tak ciężko i uplanowała wszystko tak dokładnie na czas trudnych miesięcy. Och, gdybyż już prędzej mogła zacząć pracować! Zajęłaby się Ashleyem i z pewnością nauczyłaby go wszystkiego. Jan Gallegher mógłby wtedy poprowadzić drugi

tartak, ona zajmowałaby się sprzedażą i wszystko poszłoby jak z płatka. Hugon mógłby odwozić towar, jeżeli zależało mu na posadzie u niej. Tylko do tego się nadawał.

Pewnie, że Gallegher robił wrażenie człowieka bez skrupułów, chociaż był bardzo układny - kogóż jednak mogła przyjąć? Czemuż inni mężczyźni, zaradni i uczciwi, tak się odnieśli do propozycji pracowania u niej? Gdyby teraz miała u siebie choć jednego z nich zamiast Hugona, nie musiałaby się tak bardzo martwić, ale...

Tomasz Wellburn był mimo swego kalectwa najbardziej wziętym przedsiębiorcą w mieście i jak mówili ludzie, zbierał pieniądze. Pani Merriweather i Picardom powodziło się dobrze - otworzyli teraz piekarnię w centrum miasta. Rene zarządzał nią z isticie francuską oszczędnością, dziadek Merriweather zaś, zadowolony, że może wyjść ze swego kąta przy piecu, rozwoził teraz pieczywo. Młodzi Simmonsonowie mieli tyle roboty, że w swojej cegielni pracowali na trzy zmiany, Kells Whiting zaś doskonale zarabiał na swej maszynie do prostowania włosów, ponieważ wmówił Murzynom, że nie wolno im będzie głosować za partią republikańską, jak długo będą mieli kędzierzawe włosy.

To samo dotyczyło się wszystkich zdolnych ludzi, których Scarlett знаła - lekarzy, adwokatów, właścicieli sklepów. Apatia, która ich cechowała tuż po wojnie, znikła zupełnie i teraz zbyt byli zajęci gromadzeniem własnych majątków, aby chcieć jej pomagać. Ludzie nie zajęci należeli do typu Hugona czy Ashleya.

Jakże trudne było jednoczesne prowadzenie interesów i rodzenie dzieci!

- Już nigdy nie będę miała dzieci - postanowiła stanowczo. - Nie mam zamiaru iść w ślady innych kobiet i co rok mieć dziecko. Dobry Boże, to by znaczyło przecież, że sześć miesięcy do roku musiałabym spędzać w domu! Widzę zaś teraz, że nie mogę sobie pozwolić nawet na jednodniową przerwę w pracy. Będę musiała po prostu powiedzieć Frankowi, że nie chcę więcej dzieci.

Frank zamierzał mieć dużą rodzinę, ale jakoś chyba pozwoli się przekonać. Jej postanowienie już zapadło. To będzie jej ostatnie dziecko. Tartaki są znacznie ważniejsze od dzieci.





## ROZDZIAŁ XLII

Dziecko Scarlett było dziewczynką, małą łysą istotką, brzydką jak bezwłosa małpka i śmiesznie podobną do Franka. Nikt z wyjątkiem zachwyconego ojca nie mógł się w niej dopatrzeć urody, ale sąsiedzi byli o tyle łaskawi, że zapewniali, iż wszystkie brzydkie dzieci wyrastają na przystojnych ludzi. Nadano dziewczynce imiona Ella Lorena - Ella po babce Ellen, a Lorena, bo było to najmodniejsze w tych czasach imię żeńskie, podobnie jak dla chłopców Rober Lee i Stonewall Jackson, a dla dzieci murzyńskich Abraham Lincoln i Emancypacja.

Urodziła się w tygodniu, gdy Atlanta wrzała podnieceniem, a powietrze było naładowane przecuciem nieszczęścia. Murzyn jakiś, który przechwalał się, że zgwałcił białą kobietę, został zaarrestowany, ale zanim zdążył stanąć przed sądem, Ku-Klux-Klan zaatakował więzienie i spokojnie Murzyna powiesił. Klan wmieszał się, aby uchronić nie znaną jeszcze z nazwiska ofiarę od świadczenia w sądzie. Ojciec jej i brat woleliby ją zastrzelić niż pozwolić jej na publiczne przyznanie się do swej hańby, zlinchowanie więc Murzyna wydawało się ludności miasta rozsądnym wyjściem z sytuacji, jedynym właściwie wyjściem. Władze wojskowe wpadły jednak we wściekłość. Nie mogły zrozumieć, dlaczego by dziewczyna miała się wstydić świadczenia w sądzie.

Żołnierze dokonywali aresztowań na prawo i lewo i przysięgali, że zniszczą Klan, choćby mieli uwięzić wszystkich białych w Atlancie. Murzyni, przerażeni i posepni, szemrali i odgrażali się, że zaczną palić domy. Przekazywano sobie pogłoski, że będą masowe egzekucje jak tylko Jankesi wykryją winnych, o zorganizowanym powstaniu Murzynów przeciw białym. Ludność kryła się po domach, za zamkniętymi drzwiami i okiennicami, a mężczyźni bali się wychodzić do pracy i pozostawiać bez opieki żony i dzieci.

Scarlett, leżąc wyczerpana w łóżku, w duchu dziękowała Bogu, że Ashley jest zbyt rozsądny, aby należeć do Klanu, a Frank zbyt stary i nieśmiały. Jakże okropna byłaby świadomość, że Jankesi mogą się zjawić w każdej chwili i zaarrestować ich obu! Dlaczego ci szaleni młodzieńcy z Klanu nie zostawiali licha w spokoju i nie przestawali drażnić Jankesów? Prawdopodobnie dziewczyna wcale nie została zgwałcona. Z pewnością przstraszyła się tylko śmiertelnie i teraz przez nią mnóstwo ludzi mogło postradać życie.

W tej atmosferze szarpiącej nerwy tak jak obserwowanie płomienia lontu, który zbliża się do beczki z prochem, Scarlett szybko wróciła do sił. Żywotność i zdrowie, które umożliwiły jej przetrwanie ciężkich dni w Tarze, przydały się jej teraz: w dwa tygodnie po

wydaniu na świat Elli Loreny była dość silna, aby siadać na łóżku i trapić się swoją bezczynnością. Po trzech tygodniach wstała i oświadczyła, że musi jechać do tartaków. Oba stały teraz, bo Hugon i Ashley bali się wychodzić z domu i zostawiać rodziny bez opieki.

Wtedy uderzył grom.

Frank, dumny z powodu swego świeżego ojcostwa, zebrał się na odwagę i zabronił Scarlett wychodzić z domu, jak długo sytuacja jest tak naprężona. Zakazem jego nie przejęłaby się wcale i wbrew niemu zajęłaby się swoimi sprawami, gdyby nie to, że kazał odstawić jej konia i bryczkę do remizy i wydał polecenie, aby nie zaprzęgano go dla nikogo prócz niego. Co gorsza, kiedy Scarlett leżała, on i Mammy cierpliwie przeszukali dom i znaleźli jej ukryte pieniądze. Frank złożył je w banku na swoje imię, tak że teraz Scarlett nie miała nawet za co wynająć powozu.

Początkowo była wściekła na Franka i Mammy, potem zaczęła ich prosić, a wreszcie przeplakała pewnego dnia cały ranek jak rozszoszczone dziecko, któremu się dorośli sprzeciwiają. Wszystkie jej usiłowania spotykały się jednak tylko ze spokojnym: - Cicho, złotko! Jesteś małą, chorą dziewczynką. - I: - Scarlett, jeżeli nie przestaniesz, mleko ci się wzburzy i dziecko dostanie kolek, to pewne jak słońce na niebie.

Nie posiadając się ze złości, Scarlett przebiegła przez podwórze do Melanii i tam sobie ulżyła krzycząc na cały głos, że pójdzie do tartaków pieszo, że powie całej Atlancie, za jakiego idiotę wyszła, że nie pozwoli się traktować jak głupie i psotne dziecko. Weźmie ze sobą pistolet i zastrzeli każdego, kto jej zechce grozić. Zastrzeliła już jednego człowieka i z przyjemnością, tak, z przyjemnością zastrzeli drugiego. Pójdzie...

Melania, która bała się wychylić nosa na własny ganek, przeraziła się takimi pogróżkami.

- Och, nie możesz się przecież narażać na niebezpieczeństwo! Umrę, jeżeli się coś tobie stanie! Och, proszę cię...

- Ja pójdę! Pójdę! Pójdę!

Melania popatrzyła na nią i zrozumiała, że to nie jest histeria kobiety osłabionej porodem. Na twarzy Scarlett malowało się to samo zacięte, niebezpieczne postanowienie, co na twarzy Geralda, gdy był na coś zdecydowany. Otoczyła Scarlett ramieniem i mocno ją do siebie przycisnęła.

- To wszystko moja wina, że nie jestem tak odważna jak ty i trzymam Ashleya przez cały czas przy sobie, chociaż powinien być w tartaku. Och, Boże! Ale ze mnie jest taki tchórz! Kochanie, powiem Ashleyowi, że wcale się nie boję, pójdę do was, a wtedy on będzie mógł iść do pracy i...

Nawet przed samą sobą Scarlett nie chciała się przyznać, że uważa, iż Ashley nie da sobie sam rady, krzyknęła więc: - Nie pozwolę ci tego zrobić! Co komu z tego przyjdzie, że Ashley pójdzie do tartaku, jeżeli przez cały czas będzie o ciebie niespokojny? Wszyscy jesteście wstrętni! Nawet wuj Piotr nie chce ze mną wyjść na ulicę! Ale wszystko mi jedno! Pójdę sama! Sama pójdę do tartaku i zbiorę nowy zespół Murzynów do pracy.

- Och, nie! Nie rób tego! Może ci się zdarzyć coś strasznego. Podobno osada murzyńska na drodze do Decatur pełna jest złych Murzynów, a ty musisz właśnie tamtędy przechodzić. Poczekaj chwilę... Kochanie, przyrzeknij mi, że dzisiaj nic nie postanowisz, to coś wymyślę. Przyrzeknij mi, że pójdziesz do domu i położysz się do łóżka. Wyglądasz bardzo źle. Przyrzeknij mi.

Zbyt wyczerpana złością, aby się Meli sprzeciwić Scarlett niechętnie przyrzekła i poszła do domu, wyniosłe odmawiając zawarcia zgody z domownikami.

Tego samego popołudnia dziwna postać wychyliła się zza żywopłotu Melanii i weszła na podwórze ciotki Pitty. Był to prawdopodobnie jeden z tych mężczyzn, o których Manimy i Dilcey mówiły: „te szumowiny, które pani Mela zbiera na mieście i nocuje w swojej piwnicy”.

W suterrenach domu Melanii były trzy izby, dawniej służące za mieszkanie dla służby i piwnicę win. Teraz jedną z nich zajmowała Dilcey, a dwie pozostałe oddane były do dyspozycji nędznych i obdartych gości przelotnych. Jedna tylko Melania wiedziała, skąd przychodzą i dokąd zmierzają, i tylko jej było wiadomo, gdzie ich zbierać. Możliwe, że Murzynki miały rację i że zabierała ich z ulicy. Tak samo jednak jak poważni i sławni ludzie trafiali do jej saloniku, tak nędzarze znajdowali drogę do piwnicy, gdzie ich karmiono, nocowano i odsyłano w dalszą drogę z paczkami jedzenia... Lokatorami dwóch izb byli przeważnie żołnierze konfederacji pochodzący z ludu, analfabeci, bezdomni, nigdzie nie przynależni i wędrujący po okolicy w nadziei znalezienia pracy.

Często spędzały tam noce ogorzale i wyniszczone chłopki z gromadkami milczących dzieci o konopiastych włosach, kobiety, które straciły mężów na wojnie, zostały wywłaszczone z zagród i szukały rozproszonych czy zaginionych krewnych. Często sąsiedztwo gorszyło się obecnością cudzoziemców, słabo rozumiejących po angielsku, którzy ściągali na Południe, zwabieni opowiadaniem o łatwych fortunach. Raz nawet nocował tam republikanin. W każdym razie tak twierdziła Mammy, która zapewniała, że potrafi nosem wyczuć republikanina, podobnie jak koń wyczuwa grzechotnika. Nikt jednak nie wierzył Mammy, bo wszyscy uważali, że nawet dobroć Meli ma pewne granice. Bądź co bądź wygodniej było tak myśleć.

„Tak - myślała Scarlett siedząc na ganku w bladym słońcu listopadowym i trzymając dziecko przy piersi - to z pewnością jeden z »kulawych psów« Melanii. Ten zresztą naprawdę kuleje!”

Człowiek, który szedł przez podwórze, miał podobnie jak Will Benteen drewnianą nogę. Był wysokim, chudym starcem o łysej czaszce, różowawej i brudnej, i brodzie siwiejącej i tak długiej, że mógłby ją zatkać za pas. Miał lat ponad sześćdziesiąt, jeżeli sędzić po twardej, poranej zmarszczkami twarzy, ale ciało jego było jeszcze bardzo krzepkie. Był niezgrabny i przygarbiony, ale mimo swojej drewnianej nogi poruszał się szybko jak wąż.

Wszedł po schodkach i zbliżył się do Scarlett. Zanim zdążył przemówić zdradzając się nosowym akcentem i podkreślaniami „r”, że nie pochodzi z nizin, Scarlett domyśliła się, że jest górą. Chociaż odzież jego była brudna i złachmaniona, miał w sobie tak jak większość górą jakąś groźną dumę, która nie pozwalała na poufałość i nie dopuszczała żartów. Brodę miał poplamioną sokiem tytoniu do zucia, a jeden policzek wypchany sporą jego grudką. Nos miał cienki i garbaty, brwi krzaczaste i łukowate, a z konch jego uszu wystawały bujne włosy nadając im puszysty wygląd uszu rysia. Pod jedną brwią miał pustą dziurę, z której szła przez cały policzek blizna, przecinająca skośną linią brodę. Pozostałe oko było małe, jasne i zimne, o spojrzeniu bezwzględny i czujny. Za pas spodni zatknięty miał duży pistolet, a zza cholewy zniszczonego buta wyglądała rękojeść noża.

Popatrzył chłodno na Scarlett i zanim do niej przemówił, splunął przez poręcz ganku. Jedyne jego oko wyrażało pogardę, nie specjalnie dla niej, lecz w ogóle dla całego niewieściego rodu.

- Pani Wilkes przysłała mnie, abym się tu zgodził do roboty - powiedział krótko. Mówił z trudem, jak człowiek nie przywykły do rozmowy, i słowa jego padały wolno i chropowato. - Nazywam się Archie.

- Żałuję bardzo, ale nie mam dla pana pracy, panie Archie.

- Archie to moje imię.

- Przepraszam pana. Jak pana nazwisko?

Znowu splunął. - To moja rzecz - powiedział. - Archie wystarczy.

- Nie interesuje mnie pana nazwisko! Nie mam dla pana pracy.

- Zdaje mi się, że pani ma. Pani Wilkes martwi się, że pani chce sama latać po mieście jak wariatka, i przysłała mnie tutaj, abym panią woził.

- Czyżby? - krzyknęła Scarlett, oburzona ordynarnością człowieka i wtrącaniem się Meli do jej spraw.

Oko jego spoczęło na niej z bezosobową wrogością. - Tak. Kobieta nie powinna

przeszkadzać mężowi, kiedy chce się nią opiekować. Ale skoro się pani upiera, żeby wyjść z domu, ja panią będę woził. Nienawidzę Murzynów... i Jankesów także.

Przesunął grudkę tytoniu pod drugi policzek i nie czekając na zaproszenie Scarlett usiadł na najwyższym stopniu schodków. - Nie powiem, żebym lubił wozić kobiety, ale pani Wilkes była dla mnie dobra, pozwoliła mi spać w piwnicy i przysłała mnie tutaj abym panią woził.

- Ale - zaczęła Scarlett bezradnie, po czym przerwała i spojrzała na mężczyznę. Po chwili zaczęła się uśmiechać. Nie podobała jej się powierzchowność tego starego zabijaki, ale obecność jego przy niej mogła wszystko uprościć. Pod jego opieką mogła jechać do miasta, do tartaków, odwiedzać klientów. W towarzystwie tego człowieka byłaby zupełnie bezpieczna, bo sam jego wygląd wystarczał, aby uchronić ją od skandalu.

- To się dobrze składa - powiedziała po chwili. - Zapytam męża, czy mi pozwoli wyjeżdżać.

Po rozmowie z Archiem Frank niechętnie przystał na wszystko i dał znać do remizy, aby wydano Scarlett bryczkę i konia. Był dotknięty i rozczarowany, że macierzyństwo nie wpłynęło na Scarlett tak, jak tego oczekiwał, ale skoro upierała się, aby jeździć do swoich przeklętych tartaków, towarzystwo Archiego było zrządzeniem bożym.

Taki był początek ich znajomości, która początkowo oburzyła Atlantę. Archie i Scarlett byli parą śmiesznie niedobraną - groźny, brudny starzec o drewnianej nodze, która sztywno wystawała z kozła, i śliczna, ładnie ubrana kobieta, która marszcząc czoło, nad czymś rozmyślała. Można ich było widzieć o każdej porze dnia i w każdej okolicy miasta i za miastem; rzadko rozmawiali ze sobą, wyraźnie się nie lubili, ale związani byli wzajemną potrzebą - jemu potrzebny był zarobek, jej opieka. - Ostatecznie - mówiły w mieście panie - lepiej, że Scarlett z nim jeździ, niż żeby się bezwstydnie pokazywała z tym Butlerem. - Dziwiły się, gdzie się podziewa Rett; przed trzema miesiącami nagle wyjechał i nikt, nawet Scarlett, nie wiedział, gdzie przebywa.

Archie był człowiekiem milczącym, nigdy sam nie zaczynał rozmowy, a odpowiadał przeważnie chrząkaniem. Co rano wynurzał się z piwnicy Melanii i siadał na frontowych schodkach domu Pitty, żując tytoń i plując, aż Scarlett wyszła i Piotr wyprowadził konia ze stajni. Wuj Piotr bał go się trochę tylko mniej od diabła czy Ku-Klux-Klanu i nawet Mammy chodziła koło niego milcząco i z lękiem. Archie nienawidził Murzynów, oni zaś wiedzieli o tym i unikali go. Do swego pistoletu i noża dodał teraz drugi pistolet. Sława jego rozniosła się szeroko wśród ludności murzyńskiej. Nie potrzebował nigdy wyciągać pistoletu ani nawet sięgać ręką do pasa. Wystarczała sama jego reputacja. Gdy Archie był w pobliżu, żaden

Murzyn nie odważył się nawet zaśmiać.

Scarlett zapytała go kiedyś, dlaczego nienawidzi Murzynów. Była zdumiona, że jej odpowiedział, bo zwykle wszystkie pytania zbywał krótkim: „To moja rzecz”.

- Nienawidzę ich, tak jak wszyscy ludzie z gór. Nigdyśmy ich nie lubili i nigdyśmy ich nie kupowali. Ci przekłęci Murzyni wywołali wojnę. Nienawidzę ich też dlatego.

- Ale Archie przecież bił się na wojnie.

- To chyba jest przywilejem mężczyzny. Jankesów także nienawidzę, więcej niż Murzynów. Prawie tak samo jak nie cierpię gadatliwych kobiet.

Taka szczerza bezczelność sprawiała, że Scarlett milkła z wściekłością i zastanawiała się, jak by się Archiego najprędzej pozbyć. Jakże się jednak mogła bez niego obejść? Jak inaczej mogłaby mieć tyle swobody? Był gburowaty, brudny i bynajmniej nie pachnący, ale spełniał swoje zadanie. Woził ją do tartaków i z powrotem, towarzyszył do klientów, plując i patrząc w przestrzeń, gdy rozmawiała lub wydawała polecenia. Gdy wysiadała z bryczki, szedł za nią i nie odstępował jej ani na chwilę. Kiedy była między robotnikami, Murzynami czy żołnierzami jankeskimi, szedł przy niej.

Wkrótce Atlanta przywykła do widoku Scarlett i jej anioła stróża, a po pewnym czasie panie zaczęły jej zazdrościć swobody ruchów. Od chwili zlinczowania Murzyna przez Ku-Klux-Klan kobiety były właściwie uwięzione po domach i do miasta wychodziły tylko w grupach po kilka. Z natury bardzo towarzyskie, zaczęły się nudzić i przymilnie prosiły Scarlett o wypożyczenie Archiego. Kiedy nie był jej potrzebny, odstępowała go łaskawie innym paniom.

W krótkim czasie Archie stał się instytucją i panie na wyścigi dobijały się o jego wolne chwile. Prawie co rano przysyłano do Scarlett małych lub dorosłych Murzynów z kartkami: „Jeżeli nie potrzebujesz Archiego po południu, bądź łaskawa przysłać go do mnie. Chciałabym pojechać z kwiatami na cmentarz”. „Mam przymiarę u modystki”. „Chciałabym, aby Archie pojechał z ciocią Nelly na spacer”. „Muszę iść w odwiedzinę na Peters Street, a dziadek czuje się niedobrze i nie może mnie podwieźć. Czy Archie...”

Woził je wszystkie, panny, mężatki i wdowy, i do wszystkich odnosił się z tą samą niewzruszoną pogardą. Było oczywiste, że z wyjątkiem Melanii nie więcej lubił kobiety niż Murzynów i Jankesów. Panie, początkowo oburzone jego niegrzecznością, w końcu przyzwyczały się do niej, a ponieważ stale milczał i tylko czasem głośno splotał, nie zwracały na niego większej uwagi niż na konie, którymi kierował. Pewnego razu pani Merriweather opowiedziała pani Meade dokładne szczegóły porodu swojej siostrzenicy, zapomniawszy zupełnie o siedzącym na koźle Archiem.

Przed wojną sytuacja taka byłaby nie do pomyślenia. Przed wojną Archie nie miałby wstępu nawet do kuchni przyzwoitego domu. Podawano by mu jedzenie przez drzwi i odsyłano z powrotem do jego zajęć. Teraz jednak panie zadowolone były z jego krzepiącej obecności. Chociaż ordynarny, brudny i nie uczony, stanowił mur odgradzający je od niebezpieczeństw rekonstrukcji. Nie był ani przyjacielem, ani służącym. Był najemnym strażnikiem broniącym kobiet, podczas gdy mężowie ich w dzień pracowali lub wieczorem wychodzili z domu.

Scarlett miała wrażenie, że od czasu gdy Archie u niej pracował, Frank zaczął częściej wychodzić wieczorami. Mówił, że musi doprowadzić do porządku księgi, a sklep szedł teraz tak dobrze, że miał na to mało czasu za dnia. Poza tym odwiedzał chorych przyjaciół. Ponadto organizacja demokratów odbywała co środę zebrania celem omawiania sposobów odzyskania prawa wyborczego i Frank nigdy tych zebrań nie opuszczał. Scarlett przypuszczała, że głównym ich celem są jałowe sprzeczki, czy zasługi generała Johna Gordona i generała Lee przewyższają zasługi innych dowódców, oraz wspomnienia wojenne. Nie mogła jakoś wcale zauważyć postępu w kierunku odzyskania praw wyborczych, Frank jednak lubił najwidoczniej owe zebrania, bo siedział na nich do późna w noc.

Ashley także odwiedzał chorych, także chodził na zebrania demokratów i wychodził przeważnie w te same wieczory co Frank. W owe dni Archie eskortował Pitty, Scarlett, Wade'a i małą Ellę przez podwórze do domu Melanii i obie rodziny spędzały czas razem. Panie szyły, Archie zaś leżał chrapiąc na kanapie w salonie, a szare jego wąsy chwiały się za każdym oddechem. Nikt go nie prosił, aby zajmował kanapę, a ponieważ był to najładniejszy mebel w pokoju, panie jęczały w duchu, ilekroć kładł się na niej i niszczył butami piękne pokrycie. Żadna z nich nie miała jednak serca zwrócić mu uwagi. Zwłaszcza po jego oświadczeniu, iż cieszy się, że ma mocny sen, bo inaczej głosy kobiet, paplających jak stado perliczek, z pewnością doprowadziłyby go do szału.

Scarlett czasem myślała o tym, skąd Archie przybył i jakie prowadził życie, zanim zamieszkał w piwnicy Meli, ale nie pytała go o nic. Jego ponure jednookie oblicze nie zachęcało do pytań. Wiedziała jedynie, że akcent jego świadczy o pochodzeniu z gór na północy i że na krótko przed kapitulacją stracił nogę i oko. Dopiero słowa jej, wypowiedziane w napadzie złości na Hugona Elsinga, rzuciły światło na przeszłość Archiego.

Pewnego ranka stary zawiózł Scarlett do tartaku Hugona. Przekonała się, że tartak stoi, Murzynów nie ma, a Hugon siedzi zrozpaczony pod drzewem. Żaden z robotników nie przyszedł do roboty i Hugon nie wiedział, co robić. Scarlett wpadła w pasję i nie kryła się wcale ze swą złością, bo właśnie dostała duże, w dodatku terminowe zamówienie na deski.



Musiała zużyć wiele energii, targów i uśmiechów, aby je zdobyć, a teraz oto tartak stał.

- Zawieźcie mnie do drugiego tartaku - rozkazała. - Tak, wiem, że to długo potrwa i że nie będziemy jedli obiadu, ale za cóż wam w końcu płacę? Muszę poprosić pana Wilkesa, aby przerwał swoją robotę i zrobił mi te deski. Tylko, że prawdopodobnie i jego ludzie nie pracują. Do stu tysięcy piorunów! Nigdy w życiu nie widziałam takiej pokraki jak Hugon Elsing! Wymówię mu, jak tylko Jan Gallegher wykończy sklepy, które teraz buduje. Co mnie obchodzi, że Gallegher walczył po stronie Jankesów? Ważne jest, że będzie pracował. Nie spotkałam nigdy jeszcze leniwego Irlandczyka. I dość już mam wyzwolonych Murzynów. Nie można wcale na nich polegać. Przyjmę Galleghera i powiem mu, aby mi najął więźniów. Ci będą pracowali i..., Archie odwrócił się ku niej, oko jego wyrażało złość, a kiedy przemówił, w chropawym jego głosie brzmiał gniew.

- W dzień, kiedy pani przyjmie więźniów, ja podziękuję za służbę - powiedział.

Scarlett była zdumiona. - Na miłość boską! Dlaczego?

- Bo wiem coś o pracy więźniów. To tortura nie praca. Kupuje się ludzi, jak gdyby to było bydło. Traktuje się ich gorzej niż muły. Bije się ich, głodzi, zabija. I kogo to obchodzi? Stan się nie wtrąca, bo dostaje za to pieniądze. Ludzie, którzy najmują więźniów, także o to nie dbają. Zależy im tylko na tym, aby pożywienie ich nie kosztowało drogo i aby ludzie harowali ile sił. Do pioruna, nigdy nie myślałam dobrze o kobietach, ale teraz myślę o nich jeszcze gorzej.

- A cóż to was może obchodzić?

- Pewnie, że obchodzi - rzekł Archie lakonicznie i po chwili dodał: - Sam byłem więźniem przez blisko czterdzieści lat.

Scarlett otworzyła usta i na chwilę oparła się ciężko o poręcz bryczki. A więc miała odpowiedź na zagadkę, dlaczego Archie nie chciał powiedzieć, jak się nazywa ani skąd pochodzi, ani jak żył, dlaczego niechętnie rozmawia i okazuje światu zimną nienawiść. Czterdzieści lat! Musiał zatem zostać wtrącony do więzienia w młodym wieku! Czterdzieści lat! Wobec tego był chyba dożywotnim, dożywotni zaś...

- Czy to było... morderstwo?

- Tak - odparł Archie krótko, ściągając lejce. - Zabiłem żonę.

Scarlett z przerażenia zatrzepotała powiekami.

Usta pod zarostem poruszały się, jak gdyby Archie uśmiechnął się posepnie, widząc jej przerażenie. - Pani nie mam zamiaru zabić, więc niech się pani nie boi. Kobiety zabija się tylko w jednym wypadku.

- Zabiliście własną żonę!

- Spała z moim bratem. On zwał. Wcale nie żałuję, że ją zabiłem. Płochę kobiety należy zabijać. Sąd nie powinien więzić za to mężczyzn, ale mnie skazali.

- Ale... jakżeście się wydostali? Czyście uciekli? Czy was ułaskawiono?

- Można to nazwać ułaskawieniem. - Zmarszczył gęste brwi, jak gdyby zmęczony wysiłkiem łączenia słów w zdania. - W roku sześćdziesiątym czwartym, kiedy Sherman przechodził przez Georgię, siedziałem w więzieniu w Milledgeville. Jak zresztą od czterdziestu lat. Dozorca zwołał nas wszystkich i powiedział, że idą Jankesi, że palą i zabijają. Jeżeli jest coś na świecie, czego bardziej nie cierpię od Murzyna i kobiety, to chyba Jankesa.

- Dlaczego? Czyście... Czyście znali kiedy Jankesów?

- Nie. Ale słyszałem o nich dużo. Słyszałem, że zawsze wtrącają się do cudzych spraw. Nienawidzę takich ludzi. I po co przychodzili do Georgii, po co wyzwalali naszych Murzynów, palili nam domy i zabijali bydło? No więc, dozorca nam powiedział, że armia potrzebuje żołnierzy, i ci z nas, którzy wstąpią do wojska, będą po wojnie zwolnieni - jeżeli wyjdą z niej cało. Powiedział jednak, że nas, dożywotnich, nawet armia nie chce. Nas mieli wysłać do innego więzienia. Na to powiedziałem dozorczy, że nie jestem podobny do innych dożywotnich. Że tylko zabiłem własną żonę, bo musiałem to zrobić. I że chcę się bić z Jankesami. Dozorca mnie zrozumiał i wypuścił wraz z innymi więźniami.

Przerwał i odchrząknął.

- Hm. To było bardzo śmieszne. Wsadzili mnie do więzienia za to, że zabiłem, a wypuścili z bronią i ułaskawili, abym znowu zabijał. Bardzo przyjemnie było znowu stać się wolnym człowiekiem i mieć karabin w ręku. My, ludzie z Milledgeville, dobrze się bili i zabijali i wielu z nas padło. Nie było między nami ani jednego, który by zdezerterował. A kiedy zawarto pokój, odzyskaliśmy wolność. Straciłem na wojnie nogę i oko. Ale nie żałuję.

- Och - rzekła Scarlett niewyraźnie.

Starła się sobie przypomnieć to wszystko, co słyszała o uwolnieniu więźniów z Milledgeville, w ostatnim rozpaczliwym wysiłku powstrzymania naporu armii Shermana. Frank mówił o tym na Boże Narodzenie 1864 r. Co wtedy powiedział? Wspomnienia jej z tego okresu były bardzo chaotyczne. Znowu odczuła przestach, usłyszała granie dział, zobaczyła rzędy wozów, z których ciekła na drogę krew, odmarsz gwardii, małych kadetów, jak Filip Meade, i starców, jak wuj Henryk Hamilton i dziadek Merriweather. Wtedy poszli i więźniowie, aby marznąć w śniegu i deszczu tej ostatniej kampanii w Tennessee, umierać w zmierzchu Konfederacji.

Przez chwilę pomyślała, że starzec ten jest głupcem, bo walczył za stan, który zabrał mu czterdzieści lat życia. Georgia wzięła mu młodość i średni wiek za zbrodnię, która dla niego

nie była zbrodnią, a mimo to oddał za nią nogę i oko. Gorzkie słowa Retta, wypowiedziane w pierwszych dniach wojny, przypomniały jej się znowu: mówił wtedy, że nie chce walczyć w obronie społeczeństwa, które go uczyniło wyrzutkiem. Kiedy jednak nadeszła potrzeba, walczył za nie tak samo jak Archie. Wydało jej się, że wszyscy ludzie z Południa, niezależnie od pochodzenia, byli sentymentalnymi głupcami, którzy mniej dbali o swoją skórę niż o słowa bez znaczenia.

Spojrzała na sękatę rękę Archiego, na jego nóż i dwa pistolety i znowu ją strach obleciał. Czy na wolności było wielu jeszcze takich eks-więźniów, morderców, zabijaków, złodziei, ułaskawionych teraz w imię Konfederacji? Ależ każdy przechodzień na ulicy może być mordercą! Gdyby Frank dowiedział się kiedykolwiek prawdy o Archiem, zrobiłby piekło. Albo ciotka Pitty... Pitty z wrażenia dostałaby ataku. A co się tyczy Melanii... Scarlett miała ochotę powiedzieć Melanii prawdę o Archiem. Przyda jej się to i oduczy od przygarniania hołoty i polecenia swoim krewnym i znajomym.

- Dziękuję wam, żeście mi to powiedzieli, Archie. Nie powiem o tym nikomu. Byłoby ciężkim przejściem dla pani Wilkes i innych pań, gdyby o tym wiedziały.

- Hm. Pani Wilkes wie. Powiedziałem jej to tej nocy, gdy pierwszy raz spałem w jej piwnicy. To pani przypuszczała, że pozwoliłbym, aby taka dobra pani wzięła mnie do swego domu nic o mnie nie wiedząc?

- W Imię Ojca i Syna! - zawołała Scarlett przerażona. Melania wiedziała, że człowiek ten jest mordercą, i w dodatku mordercą kobiety, i nie odmówiła mu schronienia! Pozwoliła mu przebywać z jej synem, z ciotką, bratową i wszystkimi znajomymi! I ona, najbardziej nieśmiała z kobiet, nie bała się zostawać z nim sama pod jednym dachem.

- Pani Wilkes jest bardzo rozsądna jak na kobietę. Wiedziała, że jestem porządnym człowiekiem. Wiedziała, że kłamca będzie zawsze kłamał, że złodziej nie przestanie kraść, ale że człowiek morduje tylko jeden raz w życiu. I uważała, że każdy, kto walczył za Konfederację, zmazał tym wszystkie swoje grzechy. Chociaż ja nie uważam, abym zrobił coś złego zabijając swoją żonę... Tak. Pani Wilkes jest bardzo rozsądna, jak na kobietę... A pani powiadam, że w dniu, gdy przyjmie pani więźniów do roboty, ja podziękuję za służbę.

Scarlett nic nie odpowiedziała, pomyślała tylko:

„Im wcześniej mi podziękujesz, tym lepiej. Morderca!!!”

Jak Melania mogła być tak... tak... Nie znajdowała słów na określenie postępków Meli. Przygarnęła tego starego zbrodniarza nie mówiąc nikomu, że to skazaniec. A więc służba w wojsku zmazywała wszystkie grzechy! Melania pomyliła to chyba z chrztem świętym! Ale bo też Mela była zwariowana na punkcie Konfederacji, weteranów wojennych i wszystkiego, co

miało jakikolwiek z tym związek! Scarlett w milczeniu przeklinała Jankesów i dodała jeszcze jedną kreskę do licznych oskarżeń. Im zawdzięczała przecież, że zmuszona była do przebywania z mordercą, który czuwał nad jej bezpieczeństwem!

Jadąc z Archiem w chłodnym mroku do domu, Scarlett ujrzała zator koni, bryczek i wozów przed barem „Pod Współczesną Dziewczyną”. Ashley siedział na koniu, ożywiony i podniecony. Młodzi Simmonsonowie wychylali się ze swej bryczki przesadnie gestykulując; Hugon Elsing, z potarganymi włosami, wymachiwał rękoma. Wóz piekarski dziadka Merriweather stał pośrodku zatoru, a podjeżdżając bliżej Scarlett zobaczyła, że na koźle siedzą ze starym panem Tomasz Wellburn i Henryk Hamilton.

„Wolałabym - pomyślała Scarlett ze złością - aby wuj Henryk nie jeździł do domu taką »karetą«. Powinien się wstydzić, że go w niej ludzie widzą. Wygląda to, jak gdyby nie miał własnego konia. Robi to dlatego, żeby móc co wieczór chodzić z dziadkiem do baru”.

Kiedy zbliżyła się do tłumu, podniecenie udzieliło się i jej, chociaż nie była wrażliwa, i serce jej ścisnęło się obawą.

„Och! - pomyślała. - Mam nadzieję, że nie było żadnego gwałtu! Jeżeli Ku-Klux-Klan zlincuje znowu Murzyna, Jankesi wymordują nas wszystkich”. - A głośno powiedziała: - Archie, zatrzymajcie się tutaj. Coś się musiało stać.

- Nie będzie się pani zatrzymywała przed szynkiem - rzekł Archie.

- Słyszeliście, co powiedziałam? Zatrzymajcie się. Dobry wieczór wszystkim. Ashleyu, wuju Henryku, czy stało się coś złego? Wszyscy tak wyglądacie...

Mężczyźni odwrócili się do niej zdejmując kapelusze i uśmiechając się, ale z oczu ich nie znikło podniecenie.

- Stało się coś jednocześnie dobrego... i złego - huknął wuj Henryk. - Zależy, z jakiej strony na to patrzeć. Ja uważam, że rząd nie mógł wydać innych przepisów.

„Rząd” - pomyślała Scarlett z uczuciem ulgi. Mało ją to interesowało, bo czuła, że to nie dotyczy jej bezpośrednio. Bała się tylko perspektywy ponownych rabunków jankeskich.

- A co rząd zrobił?

- Odmówił ratyfikacji poprawki - rzekł dziadek Merriweather i w głosie jego brzmiała duma. - To Jankesów nauczy.

- I będziemy za to musieli diabelnie drogo zapłacić - dodał Ashley.

- Ach, chodzi o poprawkę! - zapytała Scarlett udając, że wie, o co chodzi.

Polityka przerastała jej rozumienie, rzadko więc o niej myślała. Była jakaś tam Trzynasta Poprawka, ratyfikowana dawniej, czy może Szesnasta Poprawka, ale nawet nie wiedziała, co to jest ratyfikacja. Mężczyźni zawsze się przejmowali sprawami tego rodzaju.

Brak jej zainteresowania musiał być widoczny, bo Ashley uśmiechnął się do niej.

- To ta poprawka, wiesz, na mocy której Murzyni mają prawo głosować - wytłumaczył.

- Przedłożono ją rządowi stanowemu i ten odmówił ratyfikacji.

- Jak to głupio z ich strony! Przecież Jankesi wymuszą to na nas!

- To właśnie miałem na myśli mówiąc, że to nas drogo będzie kosztowało - rzekł Ashley.

- A ja jestem dumny z rządu, dumny z ich odwagi! - krzyczał wuj Henryk. - Jankesi nie wymuszą na nas nic, czego nie zechcemy przyjąć.

- Wymuszą z pewnością. - Głos Ashleya był spokojny, ale w oczach jego malowała się troska. - I sytuacja nasza stanie się jeszcze cięższa.

- Ach, Ashleyu, to niemożliwe! Niemożliwe, aby było jeszcze gorzej niż teraz!

- Owszem, może być gorzej, daleko gorzej. Pomyśl, co będzie, jeżeli rząd będzie się składał z Murzynów? Lub jeżeli gubernatorem będzie Murzyn? Wyobraź sobie, że władze wojskowe będą jeszcze surowsze niż teraz?

Oczy Scarlett rozszerzyły się ze strachu, bo zaczynała lepiej rozumieć sens słów Ashleya.

- Zastanawiam się, co byłoby lepsze dla Georgii, lepsze dla nas wszystkich. - Twarz Ashleya była chmurna. - Czy należy walczyć jak rząd i wzburzyć Północ przeciw nam, co sprowadzi nam na kark całą armię jankeską, która nas zmusi do przyjęcia tej poprawki, czy też należy przełknąć upokorzenie, poddać się i znieść tę całą rzecz możliwie najspokojniej. Wyjdzie w końcu na jedno. Jesteśmy bezsilni. Musimy przyjmować najgorsze leki, jakie nam podają. Może byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy je przyjmowali bez awantur.

Scarlett ledwie słyszała jego słowa, a znaczenia ich nie pojmowała zupełnie. Wiedziała tylko, że Ashley swoim zwyczajem i tę sprawę rozpatruje obiektywnie. Ona myślała tylko o jednym: jak się ten „policzek” dla Jankesów na niej odbije.

- Oho, widzę że stajesz się radykałem i mało brakuje, a będziesz głosował na republikanów, Ashleyu! - zadrwił dziadek Merriweather.

Nastąpiło napięte milczenie. Scarlett zobaczyła, że dłoń Archiego szybko sięga do pistoletu i po chwili się zatrzymuje. Archie często mówił otwarcie, że dziadek jest starym durniem, teraz więc nie miał zamiaru pozwolić mu na obrażanie męża pani Melanii, chociaż mąż pani Melanii przemawiał jak głupiec.

Zakłopotanie znikło z oczu Ashleya i zapalił się w nich gniew. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, wuj Henryk napadł na dziadka.

- Ty przekłety... ty... dumny... przepraszam cię, Scarlett! Dziadku, ty osłe, nie mów

takich rzeczy na Ashleya!

- Ashley da sobie radę sam, bez twojej obrony - odrzekł chłodno dziadek. - A mówi jak Scallawag. Poddać się, o rany!

- Nie miałem wiary w secesję - rzekł Ashley, a głos mu drżał z gniewu. - Kiedy jednak Georgia przystąpiła do secesji, poszedłem ze wszystkimi. Nie wierzyłem w wojnę, ale biłem się jak inni. Nie wierzę też, że należy jeszcze bardziej rozjątrzać Jankesów. Ale skoro rząd tak postanowił, będę popierał rząd.

- Archie - rzekł nagle wuj Henryk - zawieźcie panią Scarlett do domu. Tu nie miejsce dla niej. Polityka nie jest zajęciem dla kobiet, tym bardziej, że za chwilę wybuchnie tu kłótnia. Jedźcie, Archie. Dobranoc, Scarlett.

Kiedy jechali ulicą Brzoskwiniową, serce Scarlett waliło ze strachu. Czy głupia uchwała rządu odbije się na niej? Czy tak rozwścieczy Jankesów, że jej tartaki przepadną?

- No, no - mruczał Archie - słyszałem o królikach, które pluja w mordy buldogów, ale dotąd jeszcze tego na oczy nie widziałem. Rząd mógł równie dobrze huknąć „niech żyje Davis i Konfederacja Południa” i skutek byłby taki sam dla niego - i dla nas. Ci przyjaciele Murzynów, Jankesi, postanowili z nich zrobić naszych władców. A my mamy jeszcze podziwiać odwagę rządu!

- Podziwiać ich? „Do stu piorunów! Podziwiać? Należałoby ich powystrzelać! Jankesi rzucają się na nas i rozszarpią. Dlaczego nie radyfi... radyfi... nie zrobili tego, co mieli zrobić, i nie ułagodzili Jankesów, zamiast ich znowu przeciw nam podburzać? I tak nas zmuszą do zupełnej uległości, lepiej więc poddać się teraz niż później.

Archie skierował na nią lodowate spojrzenie.

- Poddać się bez walki? Kobiety mają nie więcej dumy niż kozy.

Kiedy Scarlett najęła do pracy dziesięciu więźniów, po pięciu do każdego tartaku, Archie spełnił swoją groźbę i nie chciał z nią mieć więcej nic wspólnego. Ani prośby Melanii, ani obietnice Franka, że podwyższy mu pensję, nie mogły go skłonić do wożenia Scarlett. Chętnie towarzyszył do miasta Melanii, Pitty, Indii i ich znajomym, tylko nie Scarlett. Nie chciał nawet wozić żadnej z tych pań, kiedy i Scarlett siedziała w powozie. Było to dość kłopotliwe, że stary zabijaka tak ostro przeciw niej wystąpił, jeszcze zaś bardziej kłopotliwy był fakt, że rodzina Scarlett i przyjaciele podzielali zdanie Archiego.

Frank prosił ją, aby nie przyjmowała więźniów. Ashley początkowo nie chciał pozwolić, aby więźniowie pracowali w jego tartaku, wreszcie wbrew swojej woli został przekonany przy pomocy łez, prośb i przyrzeczeń, że kiedy czasy będą lepsze, przyjmie do roboty wyzwolonych Murzynów. Sąsiedzi tak mało kryli się ze swym potępieniem, że Frank,

Pitty i Melania nie mieli odwagi patrzeć ludziom w oczy. Nawet Piotr i Mammy oświadczyli, że wyzysk więźniów przyniesie nieszczęście i że wszystko to się źle skończy. Wszyscy mówili, że grzechem jest korzystanie z nieszczęścia i nędzy bliźnich.

- A nie mieliście żadnych skrupułów wyzyskując niewolników! - wołała Scarlett z oburzeniem.

Ach, to było co innego. Niewolnicy nie byli ani nieszczęśliwi, ani biedni. Murzyni w czasach niewolnictwa mieli się znacznie lepiej niż teraz, po otrzymaniu wolności, a jeżeli Scarlett temu nie wierzy, wystarczy, aby się rozejrzała dokoła! Ale, jak zwykle, powszechny sprzeciw tylko utwierdził Scarlett w jej postanowieniu. Usunęła Hugona ze stanowiska kierownika tartaku, kazała mu rozwozić drzewo po mieście i zawarła umowę z Gallegherem.

Był on jedynym człowiekiem, który nie miał nic przeciwko zatrudnianiu więźniów. Skinął okrągłą głową i powiedział, że to mądre posunięcie. Scarlett patrząc na tego byłego dżokeja, mocno stojącego na krótkich kabłąkowatych nogach, pomyślała: „Człowiek, który pozwalał mu jeździć na swoich koniach, pewnie nie bardzo dbał o nie. Ja bym go nie dopuściła na odległość dziesięciu stóp do swojego konia”.

Nie miała jednak żadnych skrupułów powierzając mu zwierzchnictwo nad gromadką więźniów.

- A czy daje mi pani wolną rękę w postępowaniu z nimi? - zapytał i oczy jego były tak zimne jak szare agaty.

- Wolną rękę. Chcę tylko, aby tartak szedł i aby mi pan dostarczał drzewa, ile mi potrzeba i kiedy mi potrzeba.

- Jestem do pani usług - rzekł Gallegher krótko. - Powiem panu Wellburnowi, że odchodzę.

Kiedy znikł w cizbie murarzy, cieśli i noszących wapno robotników, Scarlett doznała pewnej ulgi i poweselała. Gallegher był człowiekiem, jakiego jej było potrzeba. Był silny, twardy i zdecydowany. „Marny Irlandczyk na dorobku” - tak nazwał go pogardliwie Frank, ale Scarlett ceniła go właśnie dlatego. Wiedziała, że Irlandczyk, zdecydowany na dojście do pieniędzy, jest nieocenionym pracownikiem, niezależnie od właściwości swego charakteru. I czuła więcej wspólnego z nim niż z jakimkolwiek mężczyzną swojej klasy, ponieważ Gallegher znał wartość pieniądza.

W pierwszym tygodniu po przejęciu tartaku usprawiedliwił wszystkie jej nadzieje, bo przy pomocy pięciu więźniów wydał więcej drzewa niż Hugon, kiedy miał pod sobą dziesięciu Murzynów. Ponadto Scarlett miała teraz więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek po przyjeździe do Atlanty, bo Gallegher nie lubił, aby przychodziła do tartaku, i powiedział

jej to otwarcie.

- Niech się pani zajmuje sprzedażą, bo to pani sprawa, a ja się będę zajmować obróbką drzewa - powiedział. - Obóz więźniów nie jest miejscem dla damy i ja to pani mówię, Gallagher, skoro pani sama tego nie rozumie. Dostarczam pani tyle drzewa, ile pani potrzeba, prawda? No i nie mam ochoty, aby mnie pani kontrolowała co dzień jak pana Wilkesa. Może on potrzebuje kontroli. Ja nie.

Tak więc Scarlett wbrew swojej woli nie zaglądała do tartaku Gallaghera obawiając się, że wymówi jej, jeżeli będzie przychodziła zbyt często, to zaś byłoby dla niej klęską. Uwaga jego, że Ashley potrzebuje kontroli, ukłuła ją, bo była bardziej słuszna, niż Scarlett chciała przyznać sama przed sobą. Ashley radził sobie z więźniami nie lepiej niż z wolnymi pracownikami, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Ponadto wstydził się jak gdyby, że zatrudnia więźniów, i mało ze Scarlett rozmawiał.

Scarlett martwiła się zmianą, jaka w nim zaszła. W jasnej jego czuprynie zaczęły się pojawiać siwe włosy, ramiona zwisały mu smutnie, rzadko się uśmiechał. Nie był już owym dawnym dobrodusznym Ashleyem, którego pokochała wiele lat temu. Wyglądał jak człowiek, którego toczy tajemny, nieznośny ból, i wkoło jego ust pojawił się ponury grymas, który Scarlett zdumiewał i urażał. Pragnęła przyciągnąć jego głowę do swojej piersi, pogłodzić po siwiejących włosach i zawołać: „Powiedz mi, co cię trapi! Naprawię to! Ułatwię ci wszystko!”

Ale jego zimna, zamknięta twarz nie pozwalała na poufałość.





## ROZDZIAŁ XLIII

Był jeden z tych ciepłych dni grudniowych, gdy słońce grzało prawie tak mocno jak u schyłku lata. Zeschłe czerwone liście zwisały jeszcze z dębu w ogródku ciotki Pitty, a obumierająca trawa barwiła się żółtą zielonością. Scarlett wyszła z dzieckiem na ręku na ganek i usiadła w słońcu w fotelu na biegunach. Nosila nową zieloną suknię, obrzeżoną niezliczoną ilością jardów czarnej taśmy, i nowy koronkowy czepek, który jej zrobiła ciotka Pitty. Było jej bardzo do twarzy i w czepku, i w sukni, wiedziała o tym i bardzo była z tego rada. Jak przyjemnie było znowu ładnie wyglądać po długich miesiącach zaniedbania!

Kiedy tak siedziała kołysząc dziecko i nucąc sobie z cicha, usłyszała tętent kopyt w bocznej ulicy i patrząc ciekawie przez gąszcz zeschłych gałęzek wina zobaczyła zbliżającego się Retta Butlera.

Nie było go w Atlancie od wielu miesięcy, znikł wkrótce po śmierci Geralda i dawno przed urodzeniem Elli Loreny. Brakło jej jego towarzystwa, teraz jednak chciała go w jakiś sposób uniknąć. Widok jego ciemnej twarzy wzbudził w jej piersi coś w rodzaju lęku. Pewna dotycząca Ashleya sprawa ciążyła jej na sumieniu i nie chciała na ten temat rozmawiać z Rettem, czuła jednak, że on nie bacząc na jej niechęć sprowokuje tę rozmowę.

Zatrzymał się przed furką i lekko zeskoczył z konia. Scarlett pomyślała patrząc na niego niespokojnie, że wygląda jak pirat na obrazkach w czytankach Wade'a.

„Brakuje mu tylko kolczyka w uchu i noża w zębach - pomyślała. - Ale mimo że wygląda jak pirat, nie uda mu się dzisiaj zarzucić mi pętli na szyję”.

Gdy skierował się w stronę ganku, przywitała go głośno, rzucając mu najśłodszy z uśmiechów. Jak dobrze się stało, że nosila nową suknię i twarzowy czepek i że wyglądała tak ładnie! Kiedy ją obrzucił szybkim spojrzeniem, wiedziała, że zauważył, jaka jest śliczna.

- Nowe dziecko! Ależ, Scarlett, to przecież niespodzianka! - zaśmiał się pochylając, by odsłonić kołderkę zakrywającą brzydką twarzyczkę Elli.

- Nie rób głupich żartów - powiedziała z rumieńcem. - Jak się miewasz, Rett? Nie było cię tutaj bardzo dawno.

- To prawda. Pozwól mi wziąć dziecko, Scarlett. Och, ja umiem trzymać dzieci. Posiadam wiele nieoczekiwanych umiejętności. Ach, wygląda zupełnie jak Frank. Brakuje mu tylko wąsów, ale i to przyjdzie z czasem.

- Mam nadzieję, że nie. To dziewczynka.

- Dziewczynka? To jeszcze lepiej. Chłopcy są niemożliwi. Nie miej już nigdy

chłopców, Scarlett.

Miała na końcu języka ostrą odpowiedź, że w ogóle nie ma zamiaru mieć więcej dzieci, chłopców zarówno jak dziewczynek, ale się powstrzymała w porę, i uśmiechnęła, szukając w myślach tematu rozmowy, który by odsunął na dalszy plan sprawę Ashleya.

- Jak ci przeszła podróż, Rett? Gdzie byłeś tym razem?

- Och, na Kubie, w Nowym Orleanie, w wielu miejscowościach. Czekaj, Scarlett, weź ode mnie dziecko. Zaczyna się ślinić, a nie mogę wyciągnąć chusteczki. To miłe dziecko, ale mimo to nie chcę, aby mi zmoczyło gors koszuli.

Scarlett wzięła niemowlę od Retta, który usiadł wygodnie na poręczy ganku i wyciągnął cygaro ze srebrnej cygarnicy.

- Stale jeździsz do Nowego Orleanu - powiedziała z trochę nadąsaną minką - a nigdy nie chcesz mi powiedzieć, co tam robisz.

- Ciężko pracuję, Scarlett, może więc to interesy mnie tam wzywają?

- Ciężko pracujesz! Ty? - roześmiała się arogancko. - Tyś nigdy w swoim życiu nie pracował. Jesteś na to zbyt leniwy. Ty tylko finansujesz złodziejstwa Carpetbaggerów, dzielisz się z nimi zyskiem i dajesz łapówki urzędnikom jankeskim, aby zezwalali ci na rzeczy, rujnujące nas, którzy płacą podatki.

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno.

- Wyobrażam sobie, że pragnęłabyś mieć już dość pieniędzy na przekupywanie urzędników, aby móc iść za moim przykładem!

- Także pomysł!... - zaczęła się złościć.

- Może jednak zarobisz wkrótce dość pieniędzy, aby było cię stać na olbrzymie łapówki. Może zbogacisz się na pracy tych więźniów, których najęłaś.

- Och - odpowiedziała trochę zakłopotana - skąd dowiedziałeś się tak prędko o moich nowych robotnikach?

- Przyjechałem wczoraj i spędziłem, wieczór w barze „Pod Współczesną Dziewczyną”, gdzie słyszy się wszystkie nowinki miejskie. To rynsztok, do którego spływają wszystkie plotki. Znacznie lepszy niż kółko szyjących pań. Wszyscy po kolei mówili mi, żeś najęła więźniów i zaangażowała tego małego Galleghera, aby wyzyskiwał ich na śmierć.

- To kłamstwo - powiedziała z gniewem. - On wcale ich nie wyzyskuje. Ja nad tym czuwam.

- Czy naprawdę?

- Rozumie się! Jak możesz mnie podejrzewać, że jest inaczej?

- Och, bardzo panią przepraszam, pani Kennedy! Powinienem był wiedzieć, że intencje

pani są zawsze czyste. Mimo to jednak Gallegher pozostanie bezwzględny małym tyranem. Pilnuj go lepiej, bo będziesz miała kłopoty z inspekcją.

- Pilnuj swoich interesów, a ja będę pilnowała swoich - rzekła z oburzeniem. - I nie mam już ochoty rozmawiać dłużej o więźniach. Wszyscy mi ich wytykają. To chyba moja rzecz, kto u mnie ma pracować... Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robisz w Nowym Orleanie. Jeździsz tam tak często, że wszyscy mówią... - Przerwała. Nie miała zamiaru tyle powiedzieć.

- Co mówią?

- No... że masz tam ukochaną. Że się prawdopodobnie ożenisz. Czy to prawda, Rett?

Ciekawa tego była od tak dawna, że nie mogła się powstrzymać od zadania mu tego pytania. Odczuła ukłucie dziwnej zazdrości na myśl, że Rett mógłby się ożenić, choć nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego jest zazdrosna.

Spokojne jego oczy nagle zaświeciły. Spojrzał w oczy Scarlett i nie odwracał spojrzenia, aż blady rumieniec wystąpił na jej policzki.

- Czyby cię to bardzo obeszło?

- Owszem, trochę. Nie chciałabym stracić twojej przyjaźni - rzekła z przesadną uprzejmością, a potem z pozorną obojętnością pochyliła się nad Ellą i otuliła ją lepiej w kołderkę.

Roześmiał się krótko i rzekł: - Popatrz na mnie, Scarlett. Podniosła niechętnie oczy i zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Możesz zatem powiedzieć twoim ciekawym znajomym, że jeżeli się ożenię, będzie to znak, że nie mogłem w inny sposób zdobyć kobiety, która mi się spodobała. Dotąd zaś żadna kobieta nie podobała mi się tak bardzo, abym się chciał z nią ożenić.

Teraz Scarlett zmieszała się i zawstydziła naprawdę, bo przypomniała sobie noc na tym samym ganku, podczas oblężenia, i słowa Retta: „Nie należę do mężczyzn, którzy się żenią”, i propozycję, aby została jego kochanką... Przypomniała sobie także okropną wizytę u niego w więzieniu i oblała się wstydem na to wspomnienie. Złośliwy uśmiech zaczął powoli wpływać na jego twarz, ponieważ czytał w jej myślach.

- Zaspokoję jednak twoją prostą ciekawość, skoro zadałaś mi już tak niedyskretne pytanie. To nie ukochana ciągnie mnie do Nowego Orleanu. To dziecko, mały chłopczyk.

- Mały chłopczyk! - Zdumienie jej z powodu niespodziewanej wiadomości całkowicie pokryło poprzednie zmieszanie.

- Tak, jestem jego prawnym opiekunem i sprawuję nad nim pieczę. Chodzi w Nowym Orleanie do szkoły. Często go tam odwiedzam.

- I zawozisz mu podarki? - „A więc dlatego - pomyślała - Rett tak dobrze wie, co Wade

lubi dostawać!”

- Tak - powiedział krótko i niechętnie.

- No, no, no! Czy to ładny chłopczyk?

- Zbyt ładny. Niebezpiecznie ładny.

- Czy jest grzeczny?

- Nie. To nieprawdopodobny urwis. Wolałbym, żeby się nie był urodził. Chłopcy to niezdolne stworzenia. Czy chciałabyś jeszcze coś wiedzieć?

Stał się nagle zły i nachmurzył się, jak gdyby żałując już, że poruszył tę sprawę.

- Oczywiście że nie, jeżeli mi nie masz ochoty nic więcej powiedzieć - rzekła wyniośle, chociaż paliła się z ciekawości. - Trudno mi tylko sobie ciebie wyobrazić w roli opiekuna - i roześmiała się, chcąc go wprowadzić w zakłopotanie.

- Tak, nie przypuszczam, aby ci to mogło przyjść łatwo. Wyobrażnię masz dość ograniczoną.

Nie powiedział nic więcej i przez chwilę palił w milczeniu. Szukała odpowiedzi równie niegrzecznej jak jego słowa, ale nic jej nie przychodziło na myśl.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś się tą wiadomością z nikim nie dzieliła - rzekł wreszcie.

- Przypuszczam jednak, że to niemożliwe, aby kobieta umiała utrzymać język za zębami.

- Ja potrafię dochować tajemnicy - rzekła z urażoną godnością.

- Doprawdy? Bardzo miło dowiadywać się niespodziewanych rzeczy o przyjaciółkach. A teraz przestań się dąsać, Scarlett. Przepraszam cię, że byłem niegrzeczny, ale zasłużyłaś na to, boś była wścibska. Uśmiechnij się do mnie i porozmawiajmy przyjemnie przez kilka chwil, zanim poruszę temat niezbyt miły.

„O, Boże - pomyślała. - Teraz zaczniesz mówić o Ashleyu i tartaku” - i pośpiesznie uśmiechnęła się i pokazała dołeczki, aby odciągnąć uwagę Retta. - Gdzie jeszcze byłeś Rett? Przecież chyba nie siedziałeś przez cały czas w Nowym Orleanie?

- Nie, przez ostatni miesiąc byłem w Charlestonie. Umarł mój ojciec.

- Och, jakże mi przykro!

- Wcale nie powinno ci być przykro. Pewien jestem, iż ojciec był zadowolony, że umiera, ja zaś nie martwię się zbytnio jego śmiercią.

- Rett, jakże możesz mówić podobne rzeczy!

- Znacznie straszniejsze byłoby, gdybym udawał, że się martwię, gdy tak nie jest, prawda? Nigdyśmy się z moim ojcem nie lubili. Nie przypominam sobie czasów, kiedy starszy pan był ze mnie zadowolony. Byłem zbyt podobny do jego ojca, on zaś bardzo mego dziadka nie lubił. A w miarę jak dorastałem, niezadowolenie ze mnie przekształciło się w

wyraźną niechęć, której przyczyn, przyznaję, nie starałem się wcale usunąć. Wszystko, czego ojciec po mnie oczekiwał i czego sobie ode mnie życzył, było tak nudne...

Wreszcie wyrzucił mnie z domu bez grosza i bez żadnego przygotowania do życia poza tym, że byłem dżentelmenem z Południa, doskonałym strzelcem i jeszcze lepszym pokerzystą. Potem zaś uważał za osobistą zniewagę, że nie umarłem z głodu, tylko wyzyskałem umiejętność gry w pokera i utrzymywałem się po królewsku z kart. Był tak oburzony, że członek rodziny Butlerów stał się zawodowym graczem, że gdy po raz pierwszy przyjechałem do domu, zabronił matce widywać się ze mną. I podczas wojny, kiedy trudniłem się w Charlestonie przemytem przez blokadę, matka musiała się wyklamywać przed ojcem i wymykać z domu, aby mnie widzieć. To oczywiście nie wzmoгло miłości ojca do mnie.

- Ach, nie wiedziałam o tym wszystkim!

- Ojciec mój był w całym tego słowa znaczeniu przyzwoitym starszym panem dawnego typu, to znaczy, że był głupi, uparty, nietolerancyjny i niezdolny do myślenia w sposób odbiegający od przekonań innych przyzwoitych starszych panów dawnego typu. Wszyscy w mieście okazywali mu podziw, że wyrzucił mnie z domu i traktował jak zmarłego. „Jeżeli skrzywdzi cię prawa żrenica, wykol ją”. Ja byłem jego prawą żrenicą, najstarszym synem, wykłuł mnie więc z zawziętością.

Uśmiechnął się blado, ale snuł te wspomnienia z ponurym wyrazem twarzy.

- Wybaczyłbym mu to wszystko, nie mogę jednak zapomnieć, jak postąpił po wojnie w stosunku do matki i siostry. Rodzina moja była w zupełnej nędzy. Dwór na plantacji został spalony i pola ryżowe leżały odłogiem. Dom w mieście sprzedano za zaległe podatki i wszyscy mieszkali w dwóch pokoikach, gorszych od dawnych kwater murzyńskich. Posyłałem matce pieniądze, ale ojciec je stale odsyłał - nieczyste pieniądze, rozumiesz! - kilkakrotnie więc musiałem jeździć do Charlestonu i dawać coś siostrze ukradkiem. Ojciec jednak zawsze dowiadywał się o tym i robił jej takie piekło, aż w końcu zupełnie tej biednej dziewczynie zatrzał życie. No i pieniądze wracały do mnie. Nie wiem, jak mogli wyżyć... Przepraszam, wiem. Brat mój dawał im ile mógł, chociaż sam miał niewiele i ode mnie także nic nie chciał przyjąć... bo, widzisz, pieniądze spekulanta przynoszą nieszczęście! Wspierali ich przyjaciele. Twoja ciotka Eulalia była dla nich bardzo dobra. Jest jedną z najlepszych przyjaciółek matki. Dawała im odzież i... Dobry Boże! Matka moja korzystała ze wsparcia!

Był to jeden z nielicznych wypadków, gdy Scarlett widziała Retta bez maski. Twarz jego wyrażała szczerą nienawiść do ojca i żal z powodu położenia matki.

- Ciotka Eulalia! Ależ na Boga, Rett, ona także nic nie ma poza tym, co ja jej posyłam!

- Ach, a więc to stąd pochodzi! Jak to brzydko z twojej strony, że się tym chwalisz, choć widzisz moje upokorzenie. Musisz pozwolić, abym ci te pieniądze zwrócił!

- Z przyjemnością - powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Ach, Scarlett, jakże ci się oczy świecą na myśl o pieniądzach! Czy jesteś pewna, że nie masz w sobie poza krwią irlandzką domieszki krwi szkockiej lub żydowskiej?

- Nie bądź nieznośny! Nie chciałam wcale wspominać o tym, że pomagam ciotce Eulali. Jej się jednak wydaje, że siedzę na pieniądzach. Ciągłe pisze do mnie prosząc o więcej, a Bóg jeden wie, że i bez utrzymywania całego Charlestonu mam dość obowiązków; Na co umarł twój ojciec?

- Przypuszczam, że z wyczerpania nędzą. Dobrze mu tak. Chciał, aby matka i Rosemary zginęły z nim razem. Teraz po jego śmierci mogę im już pomagać. Kupiłem im dom na Baterii i przyjąłem służbę, która się nimi opiekuje. Tylko, że oczywiście nie mogą się przyznać, iż pieniądze pochodzą ode mnie.

- Dlaczego?

- Moja droga, przecież ty chyba znasz Charleston! Bywałeś tam kiedyś. Rodzina moja, mimo że biedna, musi dbać o swoje stanowisko, które zostałyby zachwiane, gdyby się dowiedziano, że utrzymuje się z pieniędzy zdobytych grą w karty i spekulacją. Powiedziały ludziom, że ojciec zostawił wielką polisę ubezpieczeniową, że żył w zupełnej nędzy i umarł z głodu, ale płacił premie, aby po jego śmierci rodzina była zabezpieczona. Uważany jest więc teraz za jeszcze doskonalszego dżentelmena starego typu niż dawniej... Za coś w rodzaju męczennika. Mam nadzieję, że przewraca się w grobie widząc, że matka i Rosemary żyją teraz przyzwoicie, mimo jego starań... Właściwie martwię się trochę, że umarł, ponieważ chciał umrzeć - zadowolony był, że umiera.

- Dlaczego?

- Och, umarł już właściwie w chwili kapitulacji generała Lee. Znasz ludzi tego typu. Nie mógł się wcale przystosować do nowych warunków i bez przerwy mówił o dobrych starych czasach.

- Rett, czy wszyscy starzy ludzie są tacy sami? - Miała na myśli Geralda i to, co jej Will o nim powiedział.

- Ależ nie, na Boga! Przypatrz się tylko wujowi Henrykowi i temu staremu zawadiace, dziadkowi Merriweather, żeby tylko ich dwóch wymienić! Zaczęli nowe życie, w chwili gdy wymaszerowali z gwardią w pole, i wydaje mi się, że odtąd stają się coraz młodszy i pełniejsi wigoru. Spotkałem dzisiaj starego Merriweathera, gdy jechał wozem Renego i kłął na konie

jak zawodowy furman. Powiedział mi, że czuje się o dziesięć lat młodszy od chwili, gdy wyostał się z domu spod czulej opieki synowej i zaczął rozwozić po mieście pieczywo. Twój wuj zaś zwalcza z zamięłowaniem Jankesów w obrębie sądu i poza nim, broni wdów i sierot - obawiam się, że darmo - przed zakusami Carpetbaggerów. Gdyby nie było wojny, dawno by się wycofał z czynnego życia i pielęgnował swoje reumatyzmy. Obaj są znowu młodzi, bo czują się potrzebni. I lubią nowe czasy, które dają starcom tyle możliwości. Wielu jednak jest ludzi młodych, którzy czują jak mój ojciec i twój. Nie mogą i nie chcą się przystosować - to zaś naprowadza mnie, Scarlett, na niemiły temat, który chciałem z tobą poruszyć.

To nagle przejście tak ją zmieszało, że zdołała tylko wyjąkać: - Co takiego... - w duchu zaś jęknęła: „O Boże! A więc to jednak przyszło! Ciekawam, czy będę go mogła ugłaskać?”

- Nie powinienem był oczekiwać od ciebie prawdomówności, honoru ani uczciwości, ponieważ znam cię zbyt dobrze. Mimo to zaufałem ci.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wydaje mi się, że wiesz. W każdym razie wyglądasz jak winna. Kiedy przed chwilą w drodze do ciebie przejeżdżałem przez ulicę Bluszczową, wyobraź sobie, że zza żywopłotu zawołała do mnie pani Wilkes! Zatrzymałem się oczywiście i porozmawiałem z nią chwilę.

- Naprawdę?

- Tak, bardzośmy sobie przyjemnie pogawędzili. Powiedziała mi, że od dawna chciała mi wyrazić swoje uznanie, że jednak poszedłem z Konfederacją, choć stało się to w ostatniej godzinie.

- Zawracanie głowy! Mela jest głupia. Z powodu twego bohaterstwa omal owej nocy nie umarła!

- Przypuszczam, że uważałyby, iż oddała życie dla dobrej sprawy. A kiedy zapytałem ją, co robi w Atlancie, wydała się bardzo zdumiona i powiedziała mi, że teraz mieszka tutaj z rodziną i żeś ty ofiarowała panu Wilkesowi udział w jednym z tartaków.

- No więc cóż z tego? - zapytała Scarlett krótko.

- Kiedy dałem ci pieniądze na kupno tartaku, zastrzegłem sobie jeden warunek, na który się zgodziłaś: że mianowicie pieniędzy tych nie obrócisz na pomaganie Ashleyowi Wilkes.

- Obrażasz mnie teraz. Zwróciłam ci pieniądze, tartak jest mój i mogę z nim robić, co mi się podoba.

- Może mi wobec tego powiesz, jak zarobiłaś na zwrot tej pożyczki?

- Ależ na sprzedaży drzewa, oczywiście.

- Zarobiłaś dzięki pieniądзом, które ci dałem na początek. To chyba chciałaś powiedzieć. Moje pieniądze służą do wspierania Ashleya. Jesteś kobietą wyzutą z honoru i



gdybyś mi nie zwróciła pożyczki, z wielką przyjemnością upomniałbym się o nią teraz i zlicytowałbym cię nawet, gdybyś nie mogła zapłacić.

Mówił żartobliwie, ale oczy jego rzucały gniewne błyski. Scarlett pośpiesznie przeniosła walkę na teren nieprzyjaciela.

- Dlaczego nienawidzisz Ashleya? Czyżbyś był o niego zazdrosny?

Powiedziawszy to chciała się ugryźć w język, bo Rett odrzucił w tył głowę i zaczął się tak śmiać, że Scarlett musiała się zarumienić.

- Jesteś więc nie tylko pozbawiona honoru, ale i zarozumiała - powiedział. - Ciągle jeszcze zdaje ci się, że jesteś piękną dziewczyną swego powiatu. Zawsze myślisz, że jesteś najrozkoszniejszą dziewczyną na świecie i że każdy spotkany mężczyzna wędnie z miłości do ciebie.

- Wcale tak nie jest! - zaprzeczyła ze złością. - Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego tak bardzo nienawidzisz Ashleya, i to wydało mi się jedynym możliwym wytłumaczeniem.

- No, więc poszukaj czym prędzej innego, piękna pani, bardziej prawdopodobnego. A co się tyczy rzekomej mojej nienawiści do Ashleya, to ani go nienawidzę, ani lubię. Właściwie jedynym uczuciem, jakie żywię dla niego i jemu podobnych, jest litość.

- Litość?

- Tak, oraz lekka pogarda. Teraz powinnaś rozzłościć się i powiedzieć mi, że jeden Ashley wart jest tysiąca łotrów mego pokroju i że zarozumiałością z mojej strony jest, iż czuję dla niego litość czy pogardę. Kiedy przestaniesz się złościć, powiem ci, co o tym myślę, jeżeli cię to ciekawi.

- Nie, nie ciekawi mnie wcale.

- Powiem ci to jednak, bo nie mogę pozwolić, abyś trwała w złudzeniu co do mojej rzekomej zazdrości. Lituję się nad nim, ponieważ powinien był umrzeć, a żyje. A gardzę nim, bo nie wie, co począć ze sobą teraz, gdy świat jego przeminął.

Wygłoszony przez Retta pogląd wydawał się Scarlett znajomy. Przypominała sobie mętnie, że słyszała już podobne słowa, ale nie mogła sobie uprzytomnić gdzie i kiedy. Nie miała zresztą czasu o tym myśleć, ponieważ trzęsła nią wściekłość.

- Cieszyłbyś się prawdopodobnie, gdyby wszyscy przyzwoici ludzie Południa wymarli!

- Gdyby mogli wybierać, Ashley i jemu podobni, z pewnością woleliby nie żyć. Woleliby spoczywać pod pięknymi nagrobkami z napisem: „Tu leży żołnierz Konfederacji poległy dla Ojczyzny” lub „Dulce et decorum est...”, lub czymś w tym rodzaju.

- Nie wiem, dlaczego tak przypuszczasz!

- Bo ty nigdy niczego nie rozumiesz, co nie jest wypisane wołowymi literami i

podstawione ci przed nos do przeczytania. Gdyby nie żyli, nie mieliby kłopotów, nie mieliby przed sobą problemów, których nie można rozwiązać. Co więcej, rodziny ich byłyby z nich dumne przez niezliczone pokolenia. Słyszałem także, że umarli są podobno szczęśliwi. Czy przypuszczasz, że Ashley Wilkes jest szczęśliwy?

- Ależ oczywiście... - zaczęła, po czym przypomniała sobie wyraz jego oczu w ostatnich czasach i przerwała zdanie.

- Czy szczęśliwy jest on, Hugon Elsing lub doktor Meade? Czy ojcowie nasi byli szczęśliwi?

- No, może nie byli bardzo zadowoleni z życia, bo potracili swoje majątki.

Roześmiał się.

- Tu nie chodzi o stratę majątków, moja śliczna. Tu chodzi o stratę świata, ich świata - tego, w którym wyrosli. Czuli się ostatnio jak ryby bez wody lub koty, którym by wyrosły skrzydła. Wychowani zostali, aby być kimś, robić określone rzeczy, zajmować określone stanowiska. Te zaś rzeczy i miejsca i ci ludzie znikli na zawsze, gdy generał Lee przybył do Appomattox. Och, Scarlett, nie miej tak głupiej miny! Cóż Ashley Wilkes ma na świecie do roboty teraz, gdy nie ma domu, gdy mu plantację zabrano za podatki, a eleganckich dżentelmenów można nabyć po cenach wyprzedajowych? Czy umie pracować głową lub rękoma? Założę się, żeś straciła dużo pieniędzy od chwili, gdy prowadzi twój tartak.

- Nieprawda, nie straciłam!

- No, to doskonale. Czy pozwolisz mi przejrzeć swoje księgi którejs niedzieli wieczorem, gdy będziesz miała czas?

- Możesz iść do diabła nie czekając niedzieli, a nic mnie to nie obejdzie!

- Kochanie moje, byłem już u diabła i bardzo mi się tam nudziło. Nie chciałbym tam wracać, nawet dla ciebie... Wzięłaś ode mnie pieniądze, ponieważ były ci bardzo potrzebne, i zużyłaś je. Mieliśmy umowę co do tego, jak mają być zużytkowane - umowę tę zламаłaś. Pamiętaj tylko, moja mała krętaczko, że przyjdzie taka chwila, gdy będziesz chciała pożyczyć ode mnie jeszcze więcej. Będziesz chciała, abym cię finansował i brał za to śmieszny procent, bo będą ci potrzebne tartaki, nowe muły i nowe szynki. Wtedy zaś długo na pieniądze poczekaasz.

- Jeżeli będą mi potrzebne pieniądze, dostanę je w banku, dziękuję - rzekła zimno, ale pierś jej falowała ze wzburzenia.

- Doprawdy? Spróbuj to zrobić. Mam spory pakiet akcji banku.

- Rzeczywiście?

- Tak, mam pewne udziały i w uczciwych przedsiębiorstwach.

- Są jeszcze inne banki...

- O, bardzo wiele. Postaram się jednak, aby w żadnym z nich nie dano ci kredytu. Jak będą ci potrzebne pieniądze, będziesz się mogła zwrócić do lichwiarzy.

- Zwrócę się do nich z przyjemnością.

- Która szybko zniknie, gdy dowiesz się, jaki biorą procent. Moja śliczna, w świecie interesów należy płacić za nieuczciwe postęпки. Powinnaś była być w stosunku do mnie szczerą.

- O, z ciebie jest niezwykle przyzwoity człowiek! Taki jesteś bogaty i wpływowy, ale gnębisz ludzi, którym jest ciężko, jak Ashleya i mnie.

- Nie zaliczaj się do tej kategorii ludzi, co on. Tobie nie jest ciężko. Nigdy ci ciężko nie będzie. Jemu jednak jest ciężko i będzie tak zawsze, o ile jakaś energiczna osoba nie pokieruje nim i nie zaopiekuje się przez resztę jego życia. Nie mam ochoty dawać pieniędzy na użytek podobnych osób.

- A jednak mnie pomogłeś, kiedy byłam w nędzy i...

- Tyś była dobrą lokatą, moja droga, interesującą lokatą. Dlaczego? Bo nie czekałaś na pomoc spokrewnionych z tobą mężczyzn i nie wzdychałaś za dawnymi czasami. Zakrzętnęłaś się, rozepchnęłaś łokciami i teraz ugruntowałaś swoją fortunę przy pomocy pieniędzy skradzionych z portfela zabitego mężczyzny i pieniędzy zabranych Konfederacji. Po stronie aktywów swoich masz morderstwo, odbicie męża, usiłowanie cudzołóstwa, kłamstwa, wzysek i rozmaite pomniejsze grzeszki, których z bliska lepiej nie oglądać. Wszystko to są rzeczy bardzo godne podziwu. Dowodzą one, że jesteś osobą energiczną i zdecydowaną na wszystko, a zatem dobrą lokatą pieniędzy. To bardzo pasjonujące - pomagać ludziom, którzy sami sobie umieją radzić. Pożyczyłbym bez zabezpieczenia nawet i dziesięć tysięcy dolarów tej starej rzymskiej matronie, pani Merriweather. Zaczęła od tacy ciastek, a przypatrz jej się teraz! Ma piekarnię zatrudniającą kilkanaście osób, uszczęśliwiła starego dziadka, powierzając mu rozwożenie towaru, i zmusiła tego leniwego małego Kreola, Renego, do ciężkiej pracy, którą odrabia z przyjemnością... Albo ten biedak, Tomek Wellburn, który pracuje za dwóch, choć ma ciało niecałego mężczyzny, i pracuje doskonale - albo... no, dość już zresztą, nie chcę cię nudzić

- Znudziłeś mnie już. Śmiertelnie nawet - rzekła Scarlett lodowato, przypuszczając, że go obrazi i odwróci jego uwagę od nieszczęsnego Ashleya. On jednak roześmiał się tylko i nie podjął rękawicy.

- Ludziom takim jak oni warto pomagać. Ale Ashley Wilkes - ba! Ludzie jego pokroju nie mają miejsca ani wartości w świecie tak zwariowanym jak nasz. Gdziekolwiek następują

dziejowe przemiany, ludzie jego typu giną najpierw. Tak zresztą być powinno. Nie zasługują na to, aby żyć, ponieważ nie walczą, nie umieją walczyć. Nie jest to pierwszy wypadek, kiedy się świat wykręcił na opak, i nie ostatni. Zdarzało się to często i nie przestanie zdarzać. A kiedy się to zdarza, wszyscy tracą wszystko i stają się sobie równi. Potem zaś wszyscy zaczynają od nowa, nic nie mając. To znaczy: nic z wyjątkiem sprytu, rozumu i siły w rękach. Niektórzy jednak ludzie, jak Ashley, nie mają ani sprytu, ani siły, albo jeżeli mają, nie starają się ich wyzyskać. Idą więc na dno, bo na to zasługują. To rzecz naturalna - światu lepiej jest bez nich. Zawsze jednak zdarza się garstka osób umiejących się przebić; po pewnym czasie znowu są na tym samym miejscu, które zajmowali, zanim świat się przekręcił.

- Ty sam byłeś biedny! Przed chwilą powiedziałeś, że ojciec wyrzucił cię z domu bez grosza! - rzekła Scarlett wściekła. - Zdaje mi się, że choćby dlatego powinieneś mieć zrozumienie i sympatię dla Ashleya!

- Rozumiem go - powiedział Rett - ale współczuć mu nie mogę. Po kapitulacji miał znacznie więcej niż ja, kiedy znalazłem się na bruku. Miał przynajmniej przyjaciół, którzy mu pomagali, podczas gdy ja byłem jak Izmael. Czego jednak Ashley dokonał?

- Nie będziesz go chyba porównywał ze sobą, ty zarozumiałcze? On, dzięki Bogu, nie jest podobny do ciebie! Nie potrafi walać sobie rąk jak ty i zarabiać przy pomocy Carpetbaggerów, Scallawagów i Jankesów. Jest uczciwy i sumienny!

- Nie dość jednak sumienny i uczciwy, by nie korzystać z pomocy i pieniędzy kobiety.

- Cóż mu innego pozostało?

- A skądże ja to mam wiedzieć? Wiem tylko, co sam robiłem, i wtedy, gdy mnie wyrzucono z domu, i teraz. Wiem także, co robili inni mężczyźni. Widzieliśmy koniunkturę w upadku cywilizacji i wyzyskaliśmy tę koniunkturę jak najlepiej, jedni uczciwie, inni mniej - i dotąd ją jeszcze wyzyskujemy. Ashleyowie tego świata mają te same okazje i nie chcą z nich korzystać. Nie są zaradni, Scarlett, a na przetrwanie zasługują wyłącznie ludzie zaradni.

Scarlett ledwie słyszała, co Rett mówił, bo teraz wreszcie przypomniała sobie, co męczyło ją od początku rozmowy. Przypomniała sobie zimny wiatr, hulający w Tarze po sadzie, i Ashleya opartego o stertę palików i patrzącego w przestrzeń. Powiedział wtedy... cóż on takiego powiedział? Jakieś dziwne cudzoziemskie słowo, które brzmiało jak bluźnierstwo... Mówił też o końcu świata. Nie wiedziała, co miał wtedy na myśli, teraz jednak zaświtało jej zrozumienie... a wraz z nim nieprzyjemne, męczące uczucie.

- Ashley powiedział mi kiedyś...

- Co?

- Kiedyś w Tarze powiedział coś o... zmierzchu bogów, końcu świata i takich tam

głupstwach...

- Ach, o „Gottterdammerung”! - Oczy Retta zaświeciły zainteresowaniem. - I co jeszcze powiedział?

- Och, nie przypominam sobie dokładnie. Nie zwróciłam na to wielkiej uwagi. A tak, jeszcze coś o silnych, którzy się przebijają, i o słabych, którzy zostają zmieceni.

- A zatem wie o tym. Tym cięższe musi to być dla niego. Większość jemu podobnych nic o tych rzeczach nie wie i nigdy się nie dowie. Przez całe swoje życie będą się zastanawiali, czemu przysł czar ich życia. Będą cierpieli w dumnym i niewłaściwym milczeniu. On jednak rozumie. Wie, że został zmieciony.

- To nieprawda! I nie będzie prawdą, dopóki ja żyć będę!

Popatrzył na nią spokojnie i pogodnie.

- Scarlett, w jaki sposób uzyskałaś jego zgodę na przyjazd do Atlanty i zajęcie się tartakiem? Czy bardzo ci się opierał?

Uprzytomniła sobie błyskawicznie scenę z Ashleyem po pogrzebie Geralda, ale odsunęła od siebie to wspomnienie.

- Rozumie się, że nie - odparła z oburzeniem. - Kiedy mu wytłumaczyłam, że potrzebuję jego pomocy, bo nie ufam temu łotrowi, który zarządza tartakiem, bo Frank jest zbyt zajęty, aby mi pomagać, a ja oczekuję - no, miała się urodzić Ella Lorena... Był bardzo zadowolony, że może mi pomóc.

- Słodkie są przywileje macierzyństwa! A więc w ten sposób go omotałaś! Masz go zatem, gdzie chciałaś go mieć, i biedak jest teraz tak spętany zobowiązaniami wobec ciebie, jak twoi więźniowie łańcuchami. Życzę wam obojgu wiele przyjemności. Ale jak zaznaczyłem na początku tej rozmowy, nie dostaniesz ode mnie już nigdy ani centa na żaden z twoich przyziemnych projektów, moja dwulicowa paniusiu.

Palila ją złość i rozczarowanie. Od pewnego czasu nosiła się z zamiarem pożyczania od Retta pieniędzy na kupno placu w centrum miasta i założenia tam składu drzewa.

- Mogę się obejść bez twoich pieniędzy - zawołała. - Zarabiam dużo na tartaku, którym zarządza Gallegher, nawet bardzo dużo, odkąd nie zatrudniam wyzwolonych Murzynów, mam poza tym trochę dochodu z hipotek, a Frank w sklepie gromadzi grosze murzyńskich klientów.

- Tak, słyszałem o tym. Jak to mądrze z waszej strony, że obdzieracie ze skóry biedaków, wdowy, sieroty i ignorantów! Skoro jednak musisz kraść, Scarlett, dlaczego nie okradasz bogatych i silnych zamiast słabych i biednych? Już w czasach Robina Hooda uważano to za rzecz bardzo moralną.

- Ponieważ - odparła krótko - znacznie łatwiej jest, jak ty to nazywasz, okradać biednych.

Roześmiał się bezgłośnie i zatrząsły mu się ramiona.

- Scarlett, jesteś przedziwnie uczciwą łotrzącą!

Łotrzącą! Dziwne, że ta nazwa tak bardzo ją ubodła. Nie jest łotrzącą, pomyślała z oburzeniem. Przynajmniej nie chciała nią być. Chciała być wielką damą. Na chwilę wróciła pamięcią do dawnych lat i ujrzała matkę swoją, poruszającą się z szelestem spódnic pachnących werbeną, niezmordowanie zajęta służbą dla innych - kochaną, szanowaną, wielbioną. I nagle ścisnęło jej się serce.

- Jeżeli chcesz mi zrobić przykrość - rzekła ze znużeniem w głosie - to nie trudź się tak bardzo. Wiem, że nie jestem ostatnio tak... sumienna, jak być powinnam. Nie jestem tak dobra i uprzejma, jak by należało. Ale nie mam na to rady, Rett. Naprawdę nie mam. Cóż innego mogłabym robić? Co stałoby się ze mną, z Wadem, z Tarą i z wszystkimi innymi, gdybym była łagodna, gdy Jankesi weszli do Tary? Powinnam była być inną, ale teraz nie chcę nawet o tym myśleć. A kiedy Jonasz Wilkerson chciał mi odebrać mój dom rodzinny, coż by się stało, gdybym była łagodna i sumienna? Gdzież byśmy teraz byli? A gdybym chciała być dobra i głupia i nie męczyła Franka o te jego należności... och, mniejsza już z tym. Może jestem łotrzącą, ale nie będę nią wiecznie, Rett. W ciągu wszystkich tych lat, Rett, i nawet teraz - jakież miałam wybór? Jak miałam postępować? Musiałam podczas burzy kierować łodzią zbyt obciążoną. Tyle mnie wysiłku kosztowało utrzymanie się na powierzchni wody, że nie mogłam już myśleć o sprawach bez znaczenia, o rzeczach, z którymi mogłam się rozstać bez żalu, jak dobre maniery i im podobne sprawy. Tak się bałam, iż łódź moja się przechyli, że za burtę wyrzucałam rzeczy, które wydawały mi się najmniej ważne.

- Dumę, honor, prawdę, cnotę i dobroć - wyliczył. - Masz słuszność, Scarlett. Nie są to sprawy ważne, gdy łódź tonie. Rozejrzyj się jednak dokoła. Popatrz na twoich przyjaciół. Albo szczęśliwie doprowadzają do brzegu łodzie z nie tkniętym ładunkiem albo idą na dno z wysoko wzniesionym sztandarem.

- To banda głupców - powiedziała krótko. - Na wszystko jest pora. Gdy zdobędę dość pieniędzy, będę tak miła, jak tylko sobie można wymarzyć. Będę łagodna jak baranek. Wtedy stać mnie będzie na to.

- Stać cię wtedy będzie na to, ale taka nie będziesz. Niełatwo jest odzyskać zatopiony ładunek, a jeżeli się go nawet wyławia, jest zwykle uszkodzony bezpowrotnie. Dlatego obawiam się, że jeżeli stać cię będzie na wyłowienie z odmetów honoru, cnoty i dobroci, wyrzuconych za burtę, przekonasz się, że morze je odmieniło, lecz nie w rzeczy dziwne i

piękne.

Wstał nagle i wziął kapelusz.

- Idziesz już?

- Tak. Powinnaś być zadowolona. Zostawiam cię z resztkami twego sumienia.

Przerwał i popatrzył na dziecko wysuwając palec, aby go schwyciło.

- Frank pewnie bardzo jest dumny z tej małej?

- No tak, rozumie się.

- Pewnie już snuje dla niej piękne plany, prawda?

- Och, wiesz przecież, jak niemądrzy są mężczyźni, gdy chodzi o ich dzieci.

- A więc powiedz mu - rzekł Rett i przerwał z dziwną miną - powiedz mu, że jeżeli mu zależy na spełnieniu tych planów, lepiej zrobi, jeżeli częściej będzie przebywał wieczorami w domu.

- Jak to rozumiesz?

- Tak, jak powiedziałem. Powiedz mu, aby siedział w domu.

- Och, ty podły człowieku! Czy sądzisz, że biedny Frank mógłby...

- Ach, Boże wielki! - Rett wybuchnął głośnym śmiechem. - Wcale nie miałem na myśli, że lata za kobietami! Frank! Dobry Boże!

Zszedł po schodkach, nie przestając się śmiać.





## ROZDZIAŁ XLIV

Popołudnie marcowe było wietrzne i zimne. Scarlett, jadąc ulicą Decatur w stronę tartaku Galleghera, podciągnęła derkę wysoko pod pachy. Samotne wyjazdy były w tym czasie bardzo ryzykowne, jak o tym dobrze wiedziała, bardziej niebezpieczne niż dawniej, ponieważ teraz nikt już nie miał władzy nad Murzynami. Jak Ashley przewidywał, trzeba było drogo płacić za odmowę ratyfikowania poprawki do ustawy. Stanowcza forma odmowy była policzkiem dla rozwścieczonej Północy, represje więc nie dały na siebie czekać. Północ postanowiła narzucić Georgii prawo wyborcze dla Murzynów i w tym celu ogłoszono, że znajduje się ona, jako stan zbuntowany, pod rygorem najsurowszego prawa wojennego. Georgia przestała nawet istnieć jako oddzielny stan i stała się wraz z Florydą i Alabamą „Terytorium Wojskowym Numer Trzeci”, pod komendą generała federacji.

Życie, już i przedtem niepewne i przerażające, stało się teraz jeszcze trudniejsze. Przepisy wojskowe, które rok temu wydawały się bardzo ostre, okazały się łagodne w porównaniu z zarządzeniami generała Pope'a. Perspektywa władzy murzyńskiej sprawiała, że przyszłość rysowała się ciemno i beznadziejnie, a rozgoryczeni mieszkańcy Georgii cierpieli i borykali się bezsilnie. Znaczenie, jakiego nabrali, uderzyło Murzynom do głowy; zdając sobie sprawę, że mają za sobą armię jankeską, zaczęli się dopuszczać coraz śmielszych gwałtów. Nikt nie czuł się bezpieczny.

W tych strasznych i niespokojnych czasach Scarlett bała się bardzo, ale zdecydowana na wszystko, nadal jeździła sama po mieście, z zatkniętym za fartuch bryczki pistoletem Franka. W milczeniu przeklinała rząd, że sprowadził na ludność miasta gorsze jeszcze represje. Cóż dobrego przyszło z tej dzielnej postawy, z gestu, który wszyscy nazywali odważnym? Pogorszyło to tylko stan rzeczy.

Kiedy dojechała do ścieżki, która poprzez aleję nagich drzew prowadziła w dolinę, gdzie stały baraki murzyńskie, cmoknęła na konia, aby pobiegł szybciej. Czowała się nieswojo przejeżdżając koło tego brudnego, plugawego roju rozwalonych wojskowych namiotów i na wpół skleconych chat. Zakątek ten miał najgorszą opinię spośród wszystkich części Atlanty czy jej okolic, tu bowiem gnieździł się w brudzie zdeklasowani Murzyni, czarne prostytutki i zbieranina białych najgorszego gatunku. Mówiono, że tu chronią się przestępcy, biali i czarni, i tu przede wszystkim kierowali się poszukujący zbrodniarzy żołnierze jankescy. Strzelanie i ciosy nożem zdarzały się tutaj tak często, że władze rzadko kiedy przeprowadzały śledztwa i przeważnie pozostawiały mieszkańcom Shantytown (bo tak nazywano to osiedle)

regulowanie własnych ciemnych spraw. Głęboko w lasach ukryta była potajemna gorzelnia, która fabrykowała taną żytniówkę. Nocami chaty w dolinie rozbrzmiewały pijanym krzykiem i przekleństwami.

Nawet Jankesi przyznawali, że miejsce to jest zapowietrzone i że powinno być zmiecione z powierzchni ziemi, ale nie przedsięwzięli w tym kierunku żadnych kroków. Mieszkańcy Atlanty i Decatur, którzy zmuszeni byli korzystać z drogi łączącej dwa miasta, pienili się z oburzenia. Mężczyźni przejeżdżali koło Shantytown z pistoletami w garści, a przyzwoite kobiety starały się osadę omijać, nawet jadąc w męskim towarzystwie, bo przy drodze siedziały zwykle pijane murzyńskie dziewczki, rzucające obelgi i wywrzaskujące ordynarne słowa.

Dopóki Archie był u jej boku, Scarlett nie myślała o Shantytown, bo nawet najbardziej bezwstydną kobietą murzyńską nie odważyła się roześmiać w jego obecności. Od czasu jednak, gdy zmuszona była jeździć sama, zdarzyło jej się wiele nieprzyjemnych i denerwujących wypadków. Ilekroć przejeżdżała, murzyńskie dziewczuchy zdawały się przechodzić same siebie. Nie miała innego wyboru, jak tylko ignorować je i pnieć się z wściekłości. Nie mogła nawet ulżyć sobie zwierzeniem swoich kłopotów rodzinie czy sąsiadom, bo sąsiedzi powiedzieliby z tryumfem: „Ach, a czego się spodziewałaś?”, rodzina zaś przejęłaby się tym bardzo i starałaby się zatrzymać ją siłą w domu. Ona zaś nie miała zamiaru przerywać swoich wyjazdów.

Bogu dzięki, że choć dziś nie było przy drodze obdartych kobiet! Kiedy przejechała koło ścieżki, prowadzącej w dół do osady, popatrzyła z obrzydzeniem na grupę chałup przycupniętych nisko i oświetlonych skośnymi promieniami popołudniowego słońca. Wiał chłodny wiatr, do nozdrzy jej dochodził pomieszany zapach palącego się drzewa, piekącej się wieprzowiny i nie uprzątanых wychodków. Zatykając nos, mocno uderzyła lejcami po grzbiecie konia i pognęła go za zakręt drogi.

W chwili gdy już chciała odetchnąć z ulgą, gardło ścisnęło jej się nagłym strachem, bo zza dużego dębu wysunął się w milczeniu rosły Murzyn. Przeraziła się - nie tak bardzo jednak, aby stracić głowę, i w jednej chwili ściągnęła konia i schwyciła pistolet Franka.

- Czego chcecie? - wykrzyknęła z całą surowością, na jaką się mogła zdobyć. Wysoki Murzyn schował się za drzewo, a głos, który jej odpowiedział, brzmiał przerażeniem:

- Na Boga, Miss Scarlett, niech pani nie strzela do Dużego Sama!

Duży Sam! Przez chwilę nie rozumiała jego słów. Duży Sam, ekonom z Tary, którego ostatni raz widziała w czasie oblężenia? Cóż na Boga...

- Wyjdz stamtąd, bo chcę się przekonać, czy to naprawdę Duży Sam!

Ociągając się Murzyn wysunął się ze swej kryjówki, olbrzymi, przygarbiony, bosy, ubrany w bawełniane spodnie w paski i w kurtkę niebieskiego munduru Unii, za krótką na niego i ciasną. Kiedy przekonała się, że to naprawdę Duży Sam, schowała pistolet i uśmiechnęła się z radością.

- Och, Sam! Jak się cieszę, że ciebie widzę!

Sam dobiegł pędem do bryczki, wywracając z radości oczyma i świecąc białymi zębami, i ujął jej wyciągniętą rękę obiema dłońmi, wielkimi jak szynki. Różowawożółty jego język wysunął się z ust, całe ciało chwiało się na wszystkie strony, a radosne wykrzywania były tak śmieszne jak podskoki ciężkiego brytana.

- Mój Boże, jak to dobrze, że znowu widzę kogoś z rodziny! - zawołał ściskając rękę Scarlett tak mocno, że omal nie połamał jej kości. - Dlaczego była pani taka niedobra, że chciała pani do mnie strzelać, Miss Scarlett?

- Tylu jest teraz złych ludzi, że muszę nosić przy sobie broń, Samie. Ale co ty tu robisz w tak obrzydliwym miejscu jak Shantytown, ty, przyzwoity Murzyn? I dlaczego nie przyszedłeś mnie w mieście odwiedzić?

- Ależ, Miss Scarlett, ja wcale nie mieszkam w Shantytown. Jestem tu tylko chwilowo. Nie mieszkałbym tu za nic. Nigdy w życiu nie widziałem takiej hołoty. Nie wiedziałem zresztą, że pani jest w Atlancie. Myślałem, że pani jest w Tarze. Miałem zamiar iść do domu, do Tary, jak tylko będę mógł.

- Czy mieszkasz w Atlancie od czasu oblężenia?

- Nie, p'sze pani! Podróżowałem! - Puścił jej dłoń, którą rozprężyła z trudem, chcąc się przekonać, czy ma całe kości. - Czy pamięta pani, kiedyśmy się ostatni raz widzieli?

Scarlett pamiętała gorący dzień przed początkiem oblężenia, kiedy siedziała z Rettem w powozie, a oddział Murzynów z Dużym Samem na czele przemaszerował po zapyłonej ulicy w stronę okopów, śpiewając „Znijdź, Mojżeszu”. Skinęła głową.

- No więc, pracowałem jak koń kopiąc doły i napełniając piaskiem worki, aż Konfederaci wyszli z Atlanty. Pan kapitan, który mi rozkazywał, został zabity i nie było nikogo, kto by Dużemu Samowi powiedział, co ma robić, więc ukrywałem się w zaroślach. Chciałem spróbować przedostać się do domu, ale powiedzieli mi ludzie, że wszystkie wsie w tej okolicy spalone. Zresztą nie znałem drogi i bałem się, że mnie patrole schwytają, bo nie miałem przepustki. Potem przyszli Jankesi i jeden jankeski pan, pułkownikiem był, polubił mnie i wziął do czyszczenia konia i butów. Tak, p'sze pani! Byłem bardzo dumny, bo stałem się lokajem jak Pork, kiedy dotąd byłem tylko parobkiem. Powiedziałem pułkownikowi, że jestem parobkiem z pola, a on... Ale przecież, Miss Scarlett, ci Jankesi to nieuki! Nie

rozumiał, co to za różnica! Tak więc zostałem z nimi i pojechałem do Savannah, jak tam poszedł generał Sherman, i jak mi Bóg miły, Miss Scarlett, nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego jak w tej drodze do Savannah. Kradli i palili... czy spalili Tarę, Miss Scarlett?

- Podłożyli ogień, ale udało się nam go ugasić.

- Bardzo się cieszę, p'sze pani, że to słyszę. Tara to mój dom i mam tam zamiar wrócić. A kiedy się wojna skończyła, pułkownik mi powiedział: „Słuchaj, Sam. Pojedź ze mną na Północ. Będę ci płacił dobrą pensję”. A ja, proszę pani, jak wszyscy Murzyni, miałem chęć spróbować tej wolności przed powrotem do domu, więc pojechałem z pułkownikiem na Północ. Tak, p'sze pani, pojechaliśmy do Waszyngtonu i do Nowego Jorku, i do Bostonu, gdzie mieszkał pułkownik. Tak, proszę pani, ja teraz jestem bywałym Murzynem! Miss Scarlett, tam na tych jankeskich ulicach tyle jest koni i powozów, że ani szpilki już wetknąć nie można! Ciągle się tylko bałem, aby mnie nie przejechali!

- Czy podobało ci się na Północy, Samie?

Sam poskrobał się w kędzierzawą głowę.

- I tak, i nie. Pułkownik to bardzo miły pan i on rozumiał Murzynów. Ale jego żona, to zupełnie co innego. Jego żona powiedziała do mnie „Proszę pana”, jak mnie pierwszy raz zobaczyła. Tak, p'sze pani, tak powiedziała, a ja myślałem, że się pod ziemię zapadnę ze wstydu. A pułkownik zaraz jej powiedział, żeby do mnie mówiła „Sam”, więc tak już mnie potem wołała. Ale inni Jankesi, widząc mnie po raz pierwszy, mówili do mnie „Panie O'Hara”. I prosili mnie, abym z nimi siadał, jakbym był tak samo dobry jak oni. No, a ja nigdy w życiu nie siadałem z białymi ludźmi i jestem już za stary, aby się tego uczyć. Traktowali mnie, jak gdybym był tak samo dobry, jak oni, Miss Scarlett, ale w swych sercach nie lubili mnie wcale, bo w ogóle nie lubią Murzynów. I bali się mnie trochę, że taki jestem duży. I ciągle mnie pytali o psy gończe, które mnie ścigały, i o bicie, jakie dostawałem. A ja przecież, Miss Scarlett, nigdy w życiu nie dostałem bicia! Pani wie najlepiej, że pan Gerald nie pozwoliłby nikomu podnieść ręki na Murzyna, który tyle kosztował co ja!

Kiedy im to wyjaśniłem i opowiedziałem, jaka dobra była dla Murzynów pani Ellen i jak pielęgnowała mnie kiedyś przez cały tydzień, gdy leżałem na zapalenie płuc, nie chcieli mi wcale wierzyć. Więc ja, Miss Scarlett, zacząłem tak tęsknić za panią Ellen i za Tarą, że nie mogłem już więcej wytrzymać i pewnej nocy uciekłem do domu i dojechałem towarowymi wagonami aż tutaj do Atlanty. Jeżeli mi pani kupi bilet do Tary, będę szczęśliwy, że uciekłem do domu. Chętnie zobaczę znowu pana Geralda i panią Ellen. Dość już mam wolności. Chcę, aby mnie ktoś znowu dobrze karmił i mówił mi, co mam robić, a czego nie, i opiekował się

mną, jeżeli zachoruję. Może znowu dostanę kiedyś zapalenia płuc? Czy się ta jankeska pani mną zajmie? Nie, p'sze pani! Będzie mnie nazywała „Panem O'Hara”, ale nie będzie mnie pielęgnowała... Co jest pani, Miss Scarlett?

- Ojciec i mama nie żyją, Samie.

- Nie żyją? Czy pani ze mnie kpi, Miss Scarlett? Nie powinna mnie pani tak traktować!

- Nie kpię, niestety. To prawda. Mama umarła, kiedy Sherman przechodził przez Tarę, a ojciec... odszedł w czerwcu. Och, Samie, nie płacz! Proszę cię, nie płacz! Jeżeli nie przestaniesz, to i ja się rozpłaczę. Samie, dość już! Nie zniosę tego dłużej. Nie mówmy o tym teraz. Opowiem ci o tym wszystkim innym razem... W Tarze jest teraz panna Zuela i mąż jej, bardzo miły człowiek, pan Will Benteen. A panna Karina jest w... - Scarlett przerwała. Nie potrafi nigdy wytłumaczyć temu czarnemu olbrzymowi, co to jest klasztor. - Mieszka teraz w Charlestonie. Ale Pork i Prissy są w Tarze. No już, Samie, wytrzymaj sobie nos. Czy naprawdę chcesz jechać do domu?

- Tak, p'sze pani, ale to już nie będzie tak, jak sobie myślałem, jeśli pani Ellen i...

- Samie, a może byś chciał zostać w Atlancie i pracować u mnie? Potrzebny mi stangret, i to bardzo, teraz, kiedy tylu jest tutaj złych ludzi.

- Tak, p'sze pani. Bardzo pani potrzebny stangret. Miałem właśnie powiedzieć, że nie powinna pani jeździć sama, Miss Scarlett. Nie ma pani pojęcia, jak źli są teraz niektórzy Murzyni, szczególnie ci stąd, z Shantytown. Tu nie jest dla pani bezpiecznie. Jestem tu dopiero od dwóch dni, ale słyszałem, że o pani mówili. A wczoraj, kiedy pani przejeżdżała i te wstrętne czarne dziewczuchy do pani krzyczały, ja panią poznałem, ale pani tak szybko przejechała, że nie mogłem do pani podbiec. Ale już tym Murzynom natarłem skórę! O, porządnie nawet. Czy pani nie zauważyła, że dzisiaj nie ma tu nikogo?

- Zauważyłam to i bardzo ci jestem wdzięczna, Samie. No więc, czy chciałbyś być moim stangretem?

- Dziękuję, Miss Scarlett, ale myślę, że wolałbym wrócić do Tary.

Duży Sam patrzył w ziemię, a gołe palce jego stóp kreśliły jakieś znaki na piasku. Stał się nieswój i niepewny.

- Ale dlaczego? Będę ci dobrze płaciła. Powinieneś tutaj zostać.

Duża czarna twarz, głupia i tak łatwa do przeniknięcia jak twarz dziecka, podniosła się i odmalował się na niej strach. Sam zbliżył się do Scarlett i pochylając się nad bryczką wyszeptał:

- Miss Scarlett, ja muszę wyjechać z Atlanty. Muszę dostać się do Tary, gdzie mnie nikt nie znajdzie. Ja... ja zabiłem człowieka.

- Murzyna?

- Nie. Białego. Jankeskiego żołnierza. Już mnie szukają. Dlatego jestem tutaj w Shantytown.

- Jak to się stało?

- Był pijany i powiedział coś takiego, czego nie mogłem ścierpieć, więc schwyciłem go za szyję... nie chciałem go zabić, Miss Scarlett, ale mam strasznie mocne ręce i zanim się spostrzegłem, już nie żył. Tak się przeląknęłam, że nie wiedziałem, co robić! Przyszedłem się więc tutaj ukryć i jak panią widziałem przejeżdżającą wczoraj, powiedziałem sobie: „Bogu dzięki! To moja Miss Scarlett! Ona się mną zaopiekuje. Nie pozwoli, aby mnie Jankesi znaleźli. Wyśle mnie do Tary”.

- Mówisz, że cię szukają? Czy wiedzą, żeś to ty zrobił?

- Tak, p'sze pani, jestem taki duży, że nie można się omylić. Jestem pewnie najwyższym Murzynem w Atlancie. Już byli po mnie tutaj zeszłej nocy, ale jedna dziewczyna ukryła mnie w jaskini w lesie i tam siedziałem, póki nie poszli.

Scarlett przez chwilę siedziała w milczeniu i ze zmarszczonym czołem. Nie przeraziło jej to ani nie zmartwiło, że Sam popełnił morderstwo, ale była rozczarowana, że nie będzie mógł jej wozić. Murzyn wzrostu Sama byłby nie mniej dobrą ochroną jak Archie. No trudno, musi mu pomóc jakoś się przedostać do Tary, aby go sprawiedliwość nie dosięgła. Był zbyt dobrym Murzynem, aby zginąć na szubienicy. Jakże, był przecież najlepszym ekonomem, jakiego miała Tara! Wcale nie przyszło jej na myśl, że Sam jest wolny. Należał jeszcze do niej, jak Pork, Mammy, Piotr, kucharka czy Prissy. Był dotąd „jednym z rodziny” i dlatego należała mu się pomoc.

- Wyślę cię dziś wieczorem do Tary - powiedziała wreszcie. - Ale teraz słuchaj, muszę pojechać jeszcze dalej, ale będę wracała tędy przed zachodem słońca. Czekać na mnie, dopóki nie wrócę. Nie mów nikomu, dokąd idziesz, i jeżeli masz kapelusz, włóż go zaraz, aby sobie zasłonić twarz.

- Nie mam kapelusza.

- Więc masz tutaj pół dolara. Kup sobie kapelusz od któregoś z tutejszych Murzynów i czekaj tu na mnie.

- Dobrze, p'sze pani. - Twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem, że znowu znalazł kogoś, kto mu wydaje polecenia.

Scarlett odjechała w zamyśleniu. Will będzie z pewnością zadowolony z dobrego parobka. Pork dotąd nie umiał pracować na roli i nie było widoków, aby się nauczył. Gdyby Sam został na jego miejscu, Pork mógłby przyjechać do Atlanty i połączyć się z Dilcey, jak

mu to Scarlett przyrzekła po śmierci Geralda.

Kiedy przybyła do tartaku, słońce zachodziło. Zajechała później, niż przypuszczała. Jan Gallegher stał w drzwiach nędznej budy, która służyła za kuchnię dla małej kolonii drwali. Na pniu przed skleconą z desek chatą, służącą za sypialnię, siedzieli czterej więźniowie, spośród pięciu, zatrudnionych w tartaku. Ich więzienne ubrania były brudne i prze poczone, kajdany dzwoniły im na kostkach za każdym znużonym ruchem, unosiła się dokoła nich atmosfera przygnębienia i rozpacz. Są chudzi i wymizerowani, pomyślała Scarlett przyglądając im się bacznie, a kiedy ich zwolniła z więzienia jeszcze nie tak dawno temu, wyglądali bardzo zdrowo. Nawet nie podnieśli oczu, kiedy wysiadała z bryczki, Gallegher jednak odwrócił się do niej, niedbale zdejmując kapelusz. Jego mała ciemna twarz była zacięta, kiedy ją witał.

- Nie podoba mi się wygląd tych ludzi - powiedziała krótko - Żle wyglądają. Gdzie jest piąty?

- Mówi, że chory - odparł Gallegher lakonicznie. - Leży w domu.

- Co mu dolega?

- Prawdopodobnie lenistwo.

- Wejść do niego.

- Niech pani tego nie robi. Pewnie leży nago. Już ja go doglądam. Jutro wróci do pracy.

Scarlett zawahała się. Zauważyła, że jeden z więźniów podnosi zmęczoną głowę i rzuca na Galleghera spojrzenie pełne zawziętej nienawiści, a potem szybko opuszcza wzrok.

- Czy pan bił tych ludzi?

- Przepraszam bardzo, pani Kennedy, kto właściwie zarządza tym tartakiem? Pani mnie przyjęła i kazała mi go pani prowadzić. Powiedziała pani, że mam wolną rękę. Nie ma się pani powodu na mnie uskarżać, prawda? Czy nie dostarczam pani dwa razy więcej towaru niż pan Elsing?

- Owszem, dostarcza pan - rzekła Scarlett, ale przeszedł ją niemiły dreszcz.

Dokoła tartaku i brzydkich chałup mieszkalnych unosiło się coś złowrogiego, coś, czego nie czuło się, kiedy pracował tu Hugon Elsing. Był to jakiś smutek, dziwne opuszczenie, które aż ją zmroziło. Więźniowie ci byli pozostawieni samym sobie, tak całkowicie zdani na łaskę Galleghera, że jeżeli bił ich nawet lub w inny sposób znęcał się nad nimi, nie będzie się mogła o tym prawdopodobnie nigdy dowiedzieć. Więźniowie będą się bali skarżyć z obawy przed gorszą karą po jej odjeździe.

- Ludzie ci są wychudzeni. Czy daje im pan dość jedzenia? Bóg jeden wie, ile daję pieniędzy na ich wyżywienie, powinni być wypasieni jak wieprze. Sama mąka i wieprzowina kosztowały w zeszłym miesiącu trzydzieści dolarów. Co mają dziś na kolację?

Zbliżyła się do szopy mieszczącej kuchnię i zajrzała do wnętrza. Tłusta Mulatka, która pochylała się nad zardzewiałym starym piecem, ukloniła się jej i dalej mieszała groch, warzący się w dużym garnku. Scarlett wiedziała, iż Gallagher z nią żyje, ale wolała udawać, że o tym nie wie. Zobaczyła teraz, że prócz grochu i placka z kukurydzy Mulatka nie przygotowuje nic więcej na kolację.

- Czy nie macie czegoś więcej dla tych ludzi?

- Nie, p'sze pani.

- Czy nie ma słoniny do grochu?

- Nie, p'sze pani.

- Nie gotuje się w nim boczek? Przecież biały groch jest niedobry bez boczku. Nie jest pożywny. Dlaczego nie ma boczku?

- Pan Jan mówi, że nie trzeba wkładać słoniny.

- Włóżcie zaraz boczek. Gdzie trzymacie zapasy?

Mulatka zaczęła ze strachem wywracać oczyma w stronę małej szafy w ścianie, służącej za spiżarnię. Scarlett otworzyła drzwi do niej. Na podłodze stała otwarta baryłka mąki kukurydzowej, mały worek mąki, funt kawy, trochę cukru, litrowy dzbanek sorgo i dwie szynki. Jedna z nich, leżąca na półce, była niedawno ugotowana, ale ukrojone z niej były najwyżej dwa plasterki. Scarlett zwróciła się z furią do Gallaghera i spotkała jego zimny, zły wzrok.

- Gdzie jest pięć worków białej mąki, które tu przysłałam w zeszłym tygodniu? I worek cukru i kawy? Wysłałam też pięć szynek, dziesięć funtów słoniny i Bóg wie ile buszli yamów i ziemniaków. Gdzie się to wszystko podziało? Nie mógł pan tego zużyć w ciągu tygodnia, nawet jeżeliby ludzie dostawali po pięć posiłków dziennie. Sprzedał je pan! Pan to zrobił, złodzieju! Sprzedał pan moje dobre produkty, włożył pan pieniądze do własnej kieszeni, a teraz karmi pan tych ludzi grochem i plackiem z kukurydzy. Nic dziwnego, że tacy są chudzi. Proszę się odsunąć!

Wypadła przed drzwi.

- Wy, człowieku, wy tam z brzega... tak, wy! Chodźcie tutaj! Mężczyzna wstał i niechętnie podszedł w jej stronę dzwoniąc kajdanami. Zauważyła, że gołe jego kostki są czerwone i otarte od żelaza.

- Kiedyście ostatni raz jedli szynkę?

Człowiek patrzył w ziemię.

- Mówcie!

Więzień stał w dalszym ciągu milczący i przygnębiony. Wreszcie podniósł wzrok,



spojrzał błagalnie w twarz Scarlett i znowu spuścił oczy.

- Boicie się mówić, co? No więc, idźcie do spiżarni i weźcie sobie tę szynkę z półki. Rebeko, daj mu nóż. Zabierzcie ją do tamtych i rozdzielcie między sobą. Rebeko, zrób grzanki i kawę dla tych ludzi. I daj im dużo sorgo. Zabierz się do tego w tej chwili, jeszcze przy mnie.

- To jest osobista mąka i kawa pana Jana - wymamrotała Rebeka z przestraczem.

- Pana Jana, rzeczywiście! I pewnie jego osobista szynka, co? Zrób, co ci mówię. No, zaczynaj. Panie Gallegher, pan pójdzie ze mną do bryczki.

Przeszła przez zarzucone wiórami podwórze i wdrapała się na bryczkę stwierdzając z ponurym zadowoleniem, że więźniowie rozdierają szynkę i wielkie jej kawały łapczywie pchają sobie do ust. Wyglądało to tak, jak gdyby bali się, że lada chwila im ją odbiorą.

- Wyjątkowy z pana łajdak! - zawołała Scarlett z pasją do Galleghera, który stanął przy bryczce w kapeluszu zsuniętym z czoła. - Zwróci mi pan to, co wydałam na zapasy. Na przyszłość będę dostarczała pożywienia co dzień, zamiast zamawiać je raz na miesiąc. Wtedy nie będzie mnie pan mógł oszukiwać.

- W przyszłości nie będzie mnie tutaj - odparł Gallegher.

- Czy to ma znaczyć, że pan odchodzi?

Przez chwilę miała na końcu języka okrzyk: - Niech pan idzie i szczęśliwej podróży! - ale wstrzymała ją zimna dłoń rozsądku. Cóż pocznie, jeżeli Gallegher odejdzie? Dostarczał jej dwa razy więcej drzewa niż Hugon. A właśnie teraz miała duże zamówienie, największe z dotychczasowych, i w dodatku terminowe. Musiała jak najprędzej mieć to drzewo. Jeżeli Gallegher odejdzie, kogo przyjmie na jego miejsce?

- Tak, odchodzę. Dała mi pani tutaj zupełnie wolną rękę i powiedziała mi pani, że oczekuje ode mnie maksymalnej ilości drzewa. Wtedy nie mówiła mi pani, jak mam prowadzić tartak, i nie mam zamiaru pytać się o to teraz. Nic panią nie powinno obchodzić, co robię, aby dostarczyć pani drzewa. Nie może się pani uskarżać, że nie wywiązuję się z umowy. Dzięki mnie zarobiła pani mnóstwo pieniędzy, ja zaś dobrze zapracowałem na swoją pensję - i na to, co mogłem mieć z boku. Aż nagle zjawia mi się pani tutaj, wtrąca się, zadaje pytania i podważa mój autorytet wobec tych ludzi. Jak pani chce, abym mógł ich teraz utrzymać w dyscyplinie? Cóż z tego, że czasem tych ludzi pobiję? Te leniuchy zasługują na lepsze baty. Cóż z tego, że ich nie tuczę i nie rozpieszczam? Nie zasługują na lepsze traktowanie. Albo przestanie się pani wtrącać w moje sprawy i zajmie się tylko swoimi, albo odejdę jeszcze dzisiaj.

Jego mała twarz miała wyraz bardziej stanowczy niż kiedykolwiek przedtem, Scarlett

więc była w kłopotcie. Jeżeli Gallegher z miejsca odejdzie, cóż pocznie? Nie może przecież zostać w tartaku przez całą noc, aby pilnować więźniów!

Wątpliwości te Gallegher wyczytał zapewne z jej oczu, bo wyraz jego twarzy zmienił się trochę i stał się nieco łagodniejszy. W głosie zabrzmiała teraz przyjacielska nutka:

- Robi się późno, pani Kennedy, i lepiej będzie, jeżeli pojedzie pani do domu. Nie poróżnimy się chyba o sprawę tak drobną, prawda? Niech mi pani potrąci dziesięć dolarów z przyszłej pensji, a będziemy kwita, dobrze?

Oczy Scarlett powędrowały mimo woli ku wynędzniałym ludziom przezuwającym ostatek szynki, pomyślała także o chorym, który leżał w zimnej chałupie. Powinna się czym prędzej pozbyć Galleghera. Był nieuczciwy i okrutny. Trudno sobie wyobrazić, jak postępował z więźniami, kiedy jej nie było. Z drugiej jednak strony, był bardzo zaradny, a Bóg świadkiem, jak bardzo potrzebny jej był człowiek zaradny. Trudno, nie mogła się z nim teraz rozstać. Przysparzał jej pieniędzy. Będzie po prostu musiała w przyszłości pilnować, aby więźniowie dostawali odpowiednie racje.

- Potrącę panu z pensji dwadzieścia dolarów - rzekła krótko - i wrócę tu rano, aby omówić dokładniej tę sprawę.

Pochwyciła lejce. Dobrze wiedziała, że nie powróci już do tej kwestii. Wiedziała, że sprawa została zakończona. Wiedziała także, że Gallegher o tym wie.

Kiedy jechała ścieżką do szosy, sumienie jej walczyło z żądzą pieniędzy. Dobrze wiedziała, że nie powinna była zdawać istnień ludzkich na łaskę i niełaskę tego okrutnego człowieka. Jeżeli Gallegher doprowadzi do śmierci jednego z nich, wina spadnie w równej mierze i na nią, bo wiedząc o jego brutalności nie wymówiła mu posady. Ale, z drugiej strony - no, z drugiej strony ludzie nie powinni się dostawać do więzień. Jeżeli łamali prawo i dawali się na tym przyłapać, zasługiwali całkowicie na swój los. Ta myśl częściowo uspokoiła jej sumienie. Im dalej jednak jechała, tym częściej jawiły się w jej pamięci tępe, wychudłe twarze więźniów.

- Och, zajmę się tym później - postanowiła, przestając myśleć o tej sprawie.

Słońce zaszło zupełnie, gdy dojechała do zakrętu drogi koło Shantytown. Lasy okoliczne były już ciemne. Wraz ze zniknięciem słońca na ziemię opadł przejmujący chłód i po ciemnych lasach wiał zimny wiatr szeleszcząc suchymi liśćmi i świszcząc w nagich gałęziach. Nigdy dotąd nie jechała sama o tak późnej porze, czuła się więc nieswojo i żałowała, że nie jest w domu.

Dużego Sama nie było nigdzie widać i kiedy wstrzymała konia, aby na niego poczekać, zaniepokoiła się, czy go już nie schwytali Jankesi. Nagle od strony osady usłyszała kroki i

odetchnęła z ulgą. Da Samowi burę, że tak długo musiała na niego czekać.

Zza zakrętu nie wyszedł jednak Sam.

Ukazał się na drodze wysoki, pochylony biały człowiek, a za nim krępy Murzyn o ramionach i piersi goryla. Scarlett szybko smagnęła konia lejcami i schwyciła za pistolet. Koń ruszył truchtem, ale nagle nastraszył się, bo biały człowiek wyciągnął rękę.

- Pani - powiedział - niech mi pani da dziesiątkę. Jestem głodny.

- Odsuńcie się - odrzekła starając się, aby głos jej brzmiał pewnie. - Nie mam pieniędzy. Idźcie.

Jednym szybkim ruchem mężczyzna schwycił konia za uzdę.

- Trzymaj ją! - krzyknął na Murzyna. - Pewnie ma pieniądze za stanikiem.

To, co się stało, było koszmarem, działo się zresztą w błyskawicznym tempie. Wyciągnęła szybko pistolet, ale instynkt jakiś kazał jej nie mierzyć w białego, aby przypadkiem nie trafić w konia. Kiedy Murzyn podbiegł do bryczki z twarzą wykrzywioną pożądlivym uśmiechem, wypaliła prosto w niego. Nie wiedziała, czy trafiła go, czy nie, bo w następnej chwili pistolet został jej wytracony z ręki uderzeniem, które prawie przetrąciło jej kiść. Murzyn stał teraz koło niej, tak blisko, że czuła bijący od niego odór, gdy usiłował ściągnąć ją z bryczki. Wolną ręką zaczęła, wściekle walczyć, bijąc go w twarz, aż nagle poczuła dłoń jego na gardle: stanik jej został rozdarty od szyi aż po pas. Czarna dłoń zaczęła przebierać między jej piersiami, zdjęło ją przerażenie i wstręt taki, jakiego nigdy dotąd nie знаła. Zaczęła wrzeszczeć jak szalona.

- Ucisz ją! Ściągnij ją z bryczki! - krzyknął biały i czarna dłoń skierowała się niepewnie ku ustom Scarlett. Ugryzła ją jak mogła najmocniej i znowu wrzasnęła; poprzez własny krzyk usłyszała przekleństwo białego i zrozumiała, że na ciemnej drodze pojawił się teraz jeszcze ktoś trzeci. Czarna dłoń opadła z jej twarzy i Murzyn odskoczył, bo rzucił się na niego Duży Sam.

- Niech pani ocieka, Miss Scarlett! - krzyknął Sam mocując się z Murzynem. Scarlett więc trzęsąc się i łkając odszukała jakoś lejce i bat i zaczęła okładać konia. Szarpnął się raptownie naprzód. Poczwała, że koła przechodzą po czymś miękkim, co stawia opór. Był to biały, rozciągnięty na drodze, na którą go Sam powalił.

Oszalała ze strachu, smagała konia raz po raz. Pędził teraz tak szybko, że bryczka chwiała się i podskakiwała. Mimo przerażenia usłyszała tupot biegnących po drodze stóp, krzyknęła więc na konia, aby go jeszcze bardziej przyspieszyć. Jeżeli ten czarny goryl złapie ją znowu, umrze pod jego dotknięciem na miejscu.

Usłyszała za sobą głos. - Miss Scarlett!

Nie zwalniając spojrzała przez ramię i zobaczyła Dużego Sama biegnącego tuż za nią. Czarne jego nogi pracowały jak dwa tłoki. Kiedy się zbliżył, wstrzymała konia. Rzucił się na bryczkę, przeważając ją na swoją stronę. Pot i krew spływały mu po twarzy, gdy wykrztusił:

- Czy ranili panią? Boli panią?

Nie mogła mówić, ale widząc w co się wpatrywał i że umknął szybko wzrokiem, przypomniała sobie, że ma stanik rozdarty aż do pasa i że widać jej gorset i gołe piersi. Drżącą dłonią przyciągnęła do siebie dwie poły stanika i pochylając głowę zaczęła łkać boleśnie.

- Niech im pani odda lejce - rzekł Sam wyrywając je z jej ręki. - Ruszaj prędzej!

Bat świsnął, a przerażony koń popędził dzikim galopem, omal nie wrzucając bryczki do rowu.

- Mam nadzieję, że zabiłem tę czarną małpę. Nie wiem na pewno, bo nie chciałem czekać - mówił łapiąc oddech. - Ale jeżeli panią skrzywdził, Miss Scarlett, to wrócę i sprawdzę, czy żyje.

- Nie... nie... jedź prędzej - łkała.



## ROZDZIAŁ XLV

Tego wieczora, gdy Frank odprowadził ciotkę Pitty, dzieci i ją do Melanii i odjechał w dół ulicy z Ashleyem, Scarlett nie posiadała się z wściekłości i żalu. Dlaczego Frank poszedł na zebranie polityczne właśnie tego wieczora? Zebranie polityczne! Tego samego wieczora, gdy ją napadnięto, gdy mogło jej się Bóg wie co zdarzyć! Dowodziło to egoizmu i braku współczucia z jego strony. Przyjął też całą tę sprawę z denerwującym spokojem, który nie opuścił go od chwili, gdy Sam wniósł ją do domu płaczącą, ze stanikiem rozdartym do pasa. Ani razu nie poskubał nawet brody, kiedy mu wszystko opowiedziała. Pytał ją tylko łagodnie: - Złotko, czy ranili cię, czy tylko nastraszyli?

Nie mogła odpowiedzieć, bo dławiły ją gniew i łzy, więc wyręczył ją Sam mówiąc, że tylko nastraszyli.

- Ja nadszedłem, zdążyli więc tylko podrzeć suknię.

- Jesteś dobrym chłopcem, Samie, i nie zapomnę ci nigdy tego, coś zrobił dla pani Scarlett. Gdybym ci się mógł w jakiś sposób odwdziżyć...

- Owszem, może pan. Niech mnie pan jak najprędzej wyśle do Tary. Jankesi szukają mnie tutaj.

Frank i tego oświadczenia wysłuchał ze spokojem i o nic Sama nie pytał. Wyglądał prawie tak samo, jak owej nocy, gdy Tonio Fontaine zapukał do ich drzwi - jak gdyby i to uważał za sprawę czysto męską, którą należy załatwić bez zbytecznych słów i wzruszenia.

- Pakuj się do bryczki. Piotr zawiezie cię w nocy do Rough and Ready, do rana będziesz się ukrywał w lasach, a potem wsiądziesz w pociąg do Jonesboro. Tak będzie bezpiecznie... Złotko, przestań już płakać. Wszystko już minęło i właściwie nic ci się nie stało. Miss Pitty, czy może mi pani podać sole trzeźwiące? Mammy, przynieś Miss Scarlett szklanekę wina.

Scarlett wybuchła ponownie łzami, tym razem łzami wściekłości. Pragnęła pocieszenia, słów oburzenia, zaprzysiężenia zemsty. Wolałaby nawet, aby Frank na nią krzyczał, aby mówił, że właśnie przed tym wielokrotnie ją ostrzegał; wolałaby wszystko od tej obojętności i od traktowania jej przygody jak sprawy mało ważnej. Frank był wprawdzie miły i łagodny, ale w sposób obojętny, jak gdyby zajęty był czymś daleko ważniejszym.

I wreszcie okazało się, że tą ważniejszą sprawą jest małe zebranie polityczne!

Scarlett ledwie uszom swoim wierzyła, gdy Frank kazał jej przebrać się i przygotować do wyjścia do Melanii na cały wieczór. Powinien był wiedzieć, jak przykre było to przejście, powinien wiedzieć, że nie miała ochoty spędzić wieczoru u Melanii, kiedy tak zmęczona i

bardzo zdenerwowana tęskniła tylko do ciepłego łóżka - do gorącej cegły, która by rozgrzała jej stopy, i gorącej polewki, która by ukoła jej obawy. Gdyby ją Frank rzeczywiście kochał, nic w świecie nie mogłoby go oderwać od jej boku tego właśnie wieczora. Zostałby w domu, trzymałby jej dłoń w swojej i powtarzałby raz po raz, że umarłby, gdyby jej się coś złego przytrafiło. Po jego powrocie do domu, gdy zostanie z nim sama, z pewnością mu to wszystko wypomni.

Mały salonik Melanii wyglądał tak pogodnie jak zwykle wieczorami, gdy Franka i Ashleya nie było i kobiety zbierały się razem, aby szyć przy lampie. Pokój był ciepły i wesoły, oświetlony ogniem na kominku. Lampa stojąca na stole rzucała spokojne żółte światło na cztery pochylone nad igłą i gładko przyczesane głowy. Cztery suknie spływały w skromnych fałdach do ziemi, osiem małych stóp spoczywało na niskich podnóżkach. Przez otwarte drzwi pokoju dziecinnego dochodziły równe oddechy Wade'a, Elli i Beau. Archie siedział na taborecie przy kominku, plecami zwrócony do ognia, usta miał pełne tytoniu i pilnie coś wycinał z drzewa. Kontrast między brudnym obrośniętym starcem a czterema schludnymi, wytwornymi paniami był tak wielki jak między posiwiałym, krnąbrnym, starym psem łańcuchowym i czterema małymi kotkami.

Cichy, zabarwiony oburzeniem głos Melanii rozbrzmiewał w pokoju, gdy opowiadała szczegółowo o niedawnym wystąpieniu „Stowarzyszenia Harfiarek”. Nie mogąc się pogodzić ze śpiewaczym Klubem Męskim w sprawie programu następnego recitalu, panie przyszły tego popołudnia do Melanii oświadczając, że postanowiły zupełnie wystąpić z „Kółka Muzycznego”. Melania musiała użyć wszelkich chwytów dyplomatycznych, aby nakłonić je do odwołania tej decyzji.

Scarlett, zupełnie wyczerpana, omal nie krzyknęła: - Och, niech licho porwie „Stowarzyszenie Harfiarek”! - Chciała rozmawiać o swoim okropnym przejściu. Chciała je opowiedzieć szczegółowo, aby strasząc inne dać upust własnemu przerażeniu. Chciała się pochwalić, jaka była dzielna, aby upewnić się brzmieniem własnych słów, że rzeczywiście spisała się odważnie. Ilekroć jednak naprowadzała rozmowę na ten temat, Melania zwracała ją na inne i bezpieczniejsze tory. Irytowało to Scarlett nieznośnie. Wszyscy byli dziś dla niej tak samo niedobrzy jak Frank.

Dlaczego byli tak spokojni i opanowani, kiedy ona ledwie uniknęła straszego losu? Nie okazywali jej nawet tyle uprzejmości, aby pozwolić jej się wygadać.

Wypadki popołudnia wstrząsnęły nią głębiej, niż chciała się do tego przyznać sama przed sobą. Ilekroć przypominała sobie wstrętną twarz, patrzącą na nią z cienia mrocznej drogi leśnej, zaczynała drzeć na całym ciele. Kiedy myślała o czarnej dłoni na swojej piersi i

o tym, co się mogło stać, gdyby się Duży Sam nie zjawił, nisko pochylała głowę i mocno zaciskała powieki. Im dłużej siedziała w spokojnym pokoju, starając się szyc i słuchać słów Melanii, tym bardziej wzmagало się jej napięcie. Czuła, że lada chwila usłyszy, jak jej napięte do ostatka nerwy pękają niczym struny banjo.

Struganie Archiego bardzo ją denerwowało. Rzuciła mu złe spojrzenie spod oka. Naraz wydało się jej dziwne, że starzec siedzi tak przy piecu i coś sobie dłubie. Zwykle wieczorami, gdy sprawował straż w domu, leżał na sofie, śpiąc i chrapiąc tak gwałtownie, że długa jego broda powiewała w powietrzu za każdym oddechem. Jeszcze dziwniejsze było, że ani Melania, ani India nie zwróciły mu uwagi, aby położył na podłogę kawał papieru i na to rzucał drzazgi. Na dywaniku przed kominkiem zebrał się już zupełny śmietnik, ale żadna z kobiet nie zdawała się tego spostrzegać.

Kiedy mu się tak przyglądała, Archie odwrócił się nagle do ognia i wypluł przeżuty tytoń z taką gwałtownością, że India, Melania i Pitty podskoczyły na krzesłach, jak gdyby wybuchła bomba.

- Czy musicie spluwać tak głośno? - zawołała India głosem, który załamał się ze zdenerwowania. Scarlett spojrzała na nią ze zdziwieniem, ponieważ India była zazwyczaj doskonale opanowana.

Archie popatrzył na nią zimno.

- Owszem, muszę - odrzekł spokojnie i znowu splunął. Melania rzuciła na Indię spojrzenie z ukosa.

- Zawsze byłam taka rada, że mój drogi ojciec nie żuł tytoniu - zaczęła Pitty, a Melania z marsmem na czole zwróciła się teraz ku niej i przemówiła bardzo ostro:

- Och, niechże się ciocia uspokoi! Nie ma ciocia za grosz taktu!

- Och, Boże! - Pitty opuściła szycie na kolana i wydeła usta w grymasie obrazy. - Przysięgam, że nie wiem, co się wam dzisiaj stało. Obie z Indią jesteście dzisiaj jadowite i kąśliwe niczym osy.

Nikt jej nie odpowiedział. Melania nawet jej nie przeprosiła za swoją napaść, tylko znowu zabrała się gwałtownie do szycia.

- Robisz calowe ściegi - oświadczyła Pitty z pewną dozą zadowolenia. - Będziesz musiała wszystko to spruć. Co się z tobą dzieje?

Ale Melania znowu nic nie odrzekła.

„Czy rzeczywiście kryje się coś pod tym wszystkim?” - zastanawiała się Scarlett. Czy była zbyt zajęta własnymi obawami, aby coś zauważyć? Tak, mimo wysiłków Melanii, aby wieczór ten niczym się pozornie nie różnił od pięćdziesięciu podobnych, które spędziły



razem, atmosfera była jednak inna. Była w niej nerwowość, której nie można było przypisać wyłącznie przejęciu się pań zdarzeniami popołudnia. Scarlett spojrzała ukradkiem na swoje towarzyszki i spotkała się ze wzrokiem Indii. Zmieszała się pod tym spojrzeniem, ponieważ było przenikliwe, badawcze i w zimnej swojej głębi kryło coś silniejszego od nienawiści, coś bardziej dotkliwego od pogardy.

„Jak gdyby myślała, że to, co się stało, jest moją winą” - pomyślała Scarlett z oburzeniem.

India spojrzała z kolei na Archiego i wzrok jej, w którym nie było już złości, wyrażał niepokój i pytanie. Archie jednak nie patrzył na nią. Spojrzał tylko na Scarlett równie zimno i bezwzględnie jak India.

Tępe milczenie zaległo teraz pokój, bo Melania przestała podtrzymywać rozmowę. W ciszy Scarlett słyszała szum wiatru zrywającego się na dworze. Wieczór stał się nagle wyraźnie nieprzyjemny. Zaczęła teraz odczuwać w powietrzu napięcie. Czuć je było prawdopodobnie przez cały czas, tylko ona była zbyt przygnębiona, aby je zauważyć. Archie wyglądał, jak gdyby na coś w napięciu czekał, a jego obrośnięte włochate uszy zdawały się być nadstawione jak uszy rysia. Niepokój Melanii i Indii, choć siłą powstrzymywany, sprawiał, że podnosiły głowy od szycia za każdym dźwiękiem kopyt na drodze, za każdym skrzypem poruszanych wiatrem nagich konarów i szelestem zeschniętych liści, toczących się po trawniku. Kiedy płonące główne spalały się z cichym trzaskiem w kominku, wzdragały się, jak gdyby na dźwięk skradających się kroków.

Coś groźnego wisiało w powietrzu i Scarlett nie wiedziała, co by to mogło być. Coś się kroilo, o czym nic jej nie było wiadome. Spojrzenie na pulchną, szczerą twarz ciotki Pitty, bardzo jeszcze nadąsaną, powiedziało jej, że stara pani wie równie mało jak ona. Ale Archie, Melania i India wiedzieli o wszystkim. W panującym milczeniu prawie namacalnie mogła wyczuć myśli Melanii i Indii, kołujące wściekle jak wiewiórki w klatce. Wiedziały o czymś, czekały, mimo iż starały się udawać, że wszystko jest po dawnemu. Wewnętrzny ich niepokój udzielił się wreszcie Scarlett i spotęgował jeszcze jej zdenerwowanie. Niezgrabnie wetknąwszy igłę w materiał ukłuła się w duży palec i z okrzykiem bólu i złości, na który wszyscy drgnęli nerwowo, naciskała palec poty, póki nie ukazała się na nim mała kropelka krwi.

- Jestem dziś zbyt zdenerwowana, aby móc szyć - oświadczyła rzucając cerowanie na podłogę. - Jestem tak zdenerwowana, że chciałabym krzyczeć. Chcę iść do domu i położyć się do łóżka. Frank wiedział, w jakim jestem stanie, i nie powinien był wychodzić. Gada, gada bez końca o obronie kobiet przed Murzynami i Carpetbaggerami, a kiedy nadchodzi pora, aby

je bronić, gdzie go szukać? Czy w domu u mego boku? Nie, wręcz przeciwnie, włóczy się z kupą innych mężczyzn, także spędzających czas na gadaniu i...

Rozpalony jej wzrok spoczął na chwilę na twarzy Indii. Przerwała. India oddychała szybko, a blade jej bezręse oczy wlepione były w twarz Scarlett z wyrazem śmiertelnego chłodu.

- Jeżeli nie sprawi ci to zbyt wiele przykrości, Indio - zaczęła z sarkazmem - będę ci wdzięczna, jeśli mi powiesz, dlaczego mi się tak przypatrujesz przez cały wieczór? Czy twarz mi pozieleniała lub coś w tym rodzaju?

- Wcale mi nie sprawi przykrości, jeśli ci na to odpowiem. Przeciwnie, zrobię to z przyjemnością - rzekła India i oczy jej zabłyśły. - Złości mnie, że nie doceniasz tak szlachetnego człowieka jak pan Kennedy, bo gdybyś wiedziała...

- Indio! - rzekła Melania ostrzegawczo, splatając ręce na szyciu.

- Zdaje mi się, że męża swego znam lepiej niż ty - rzekła Scarlett i możliwość kłótni, pierwszej otwartej kłótni z Indią, sprawiła, że humor jej się poprawił i zdenerwowanie przeszło. Melania spojrzała na Indię i India z wysiłkiem zamknęła usta. Po sekundzie jednak znowu przemówiła, a głos jej brzmiał teraz, zimną nienawiścią:

- Mdli mnie, Scarlett O'Hara, kiedy ty zaczynasz mówić o potrzebie obrony! Nie dbasz wcale o to, aby cię broniono! Gdyby ci na tym zależało, nigdy byś się nie narażała tak, jak w ostatnich miesiącach, nie rozjeżdżałaś po mieście, pokazując się obcym mężczyznom w nadziei, że będą cię podziwiali! Zasłużyłaś na to, co ci się zdarzyło po południu, i gdyby istniała na świecie sprawiedliwość, oberwałabyś jeszcze znacznie gorzej.

- Och, Indio, przestań! - zawołała Melania.

- Pozwól jej mówić! - krzyknęła Scarlett. - Bardzo mnie to bawi. Wiedziałam zawsze, że India mnie nienawidzi, była tylko zbyt wielką hipokrytką, aby się do tego otwarcie przyznać. Gdyby przypuszczała, że ktoś ją będzie podziwiał, chodziłaby od rana do nocy po ulicach nago.

India zerwała się na równe nogi, a szczupłe jej ciało drżało z oburzenia.

- Nienawidzę cię naprawdę - rzekła wyraźnie, choć głos jej drżał. - Ale nie hipokryzja była powodem, że to ukrywałam. Raczej może coś, czego ty nie możesz zrozumieć, ponieważ nie masz żadnego... żadnego obojętności, prymitywnych dobrych manier. Było to przekonanie, że jeżeli nie będziemy się wszyscy trzymali razem i zapominali o drobnych naszych nienawiściach, nie potrafimy się oprzeć Jankesom. Ale ty... ty... tyś zrobiła wszystko, co w twojej mocy, aby poniżyć godność przyzwoitych ludzi, pracowałaś i przynosiłaś wstyd dobremu mężowi, dając Jankesom i innej hołocie prawo, aby nas wyśmiewali i robili

obelżywe uwagi na temat naszego braku manier. Jankesi nie wiedzą, że nie należysz do nas i nigdy nie należałaś. Jankesi nie mają dość rozumu, aby stwierdzić, że nie ma w tobie żadnej godności. A kiedy jeździłaś po lasach i narażałaś się na napaści, narażałaś na nie tym samym wszystkie przyzwoite kobiety w mieście, bo wodziłaś na pokuszenie Murzynów i najgorszą białą nędzę. I życie naszych mężczyzn narażałaś na niebezpieczeństwo, bo muszą...

- O mój Boże, Indio! - zawołała Melania i mimo swej złości Scarlett zdumiała się, że Melania wzywa imię Boże nadaremnie. - Uspokój się! Ona nie wie o niczym i... bądź cicho! Przyrzekłaś...

- Och, dziewczęta! - powiedziała błagalnie panna Pittypat drżącymi ustami.

- O czym ja nie wiem? - Scarlett porwała się na nogi, wściekła patrząc na rozpaloną do białości Indię i na błagalną minę Melanii.

- Stado kwok - rzekł nagle Archie z pogardą w głosie. Zanim którakolwiek z nich mogła go ofuknąć, szybko odwrócił siwą głowę i zerwał się z krzesła. - Ktoś idzie ścieżką. To nie pan Wilkes. Przestańcie gdakać.

Głos jego brzmiał autorytetem mężczyzny, kobiety więc nagle umilkły i gniew znikł z ich twarzy, gdy Archie pokuśtykał przez pokój w stronę drzwi.

- Kto idzie? - zapytał, nim zapukano.

- Kapitan Butler. Proszę mnie wpuścić.

Melania przebiegła przez pokój tak szybko, że krynolina jej zakołysała się gwałtownie i odsłoniła pantalonki aż do kolan, i zanim Archie mógł sięgnąć do klamki, otwarła szeroko drzwi. Stał w nich Rett Butler; miękki kapelusz miał nisko nasunięty na oczy, a ostry wiatr rozwiewał mu pelerynę szeroko. Dobre maniery opuściły go teraz zupełnie. Nie zdjął kapelusza ani nie przywitał się z nikim w pokoju. Patrzył na Melanię i od razu przystąpił do rzeczy, bez wstępów.

- Dokąd poszli? Proszę mi natychmiast powiedzieć. To sprawa życia lub śmierci.

Scarlett i Pitty, przerażone i zdumione, niemo patrzyły na siebie, ale India, jak stary chudy kot, przebiegła przez pokój do boku Melanii.

- Nie mów mu nic - zawołała zapalczywie. - To szpieg, to Scallawag!

Rett nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

- Szybko, pani Wilkes! Jeszcze nie jest za późno.

Melania znieruchomiała ze strachu i bez słowa patrzyła na Retta.

- Co, na Boga... - zaczęła Scarlett.

- Niech pani zamknie buzię - rozkazał Archie krótko. - I pani też, pani Melu. A pan niech się stąd wynosi, przeklęty Scallawagu!

- Nie, Archie, nie! - zawołała Melania i położyła drżącą dłoń na ramieniu Retta, broniąc go jak gdyby przed Archiem. - Co się stało? Skąd pan... skąd pan wie?

Na ciemnej twarzy Retta zniecierpliwienie walczyło o lepsze z uprzejmością.

- Dobry Boże, pani Wilkes, podejrzani są od samego początku, tylko że jak dotąd udawało im się wszystko, do dziś! Skąd wiem? Grałem wieczorem w pokera z dwoma pijanymi kapitanami jankeskimi i ci się wygadali. Jankesi wiedzieli, że na dziś w nocy szykują się niepokoje, i byli na nie przygotowani. Ci głupcy wpadli w pułapkę.

Przez chwilę zdawało się, że Melania upadnie jak pod ciężkim uderzeniem, ale ramię Retta podtrzymało ją w porę.

- Nie mów mu nic! On knuje jakiś podstęp! - wołała India patrząc nienawistnie na Retta.  
- Czy nie słyszałaś, jak mówił, że był dziś wieczorem w towarzystwie jankeskich oficerów?

Rett wciąż jeszcze nie patrzył na nią. Oczy jego spoczywały na białej twarzy Melanii.

- Niech mi pani powie. Dokąd poszli? Czy mają jakieś miejsce spotkania?

Mimo swego strachu i zmieszania Scarlett pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała twarzy bardziej pozbawionej wyrazu niż twarz Retta, Melania jednak musiała w niej wyczytać coś więcej - coś, co dodało jej otuchy. Wyprostowała wątłe ciało, odsunęła podpierające ją ramię i powiedziała głosem spokojnym, choć drżącym:

- Na szosie do Decatur, w pobliżu Shantytown. Spotykają się w piwnicy dawnej plantacji Sullivanów, tej na wpół spalonej.

- Dziękuję pani. Pojadę szybko. Gdyby Jankesi tu przyszli, nikt z was nie wie o niczym.

Odszedł tak szybko, czarna jego peleryna tak nagle zlała się z ciemnością, iż trudno im było uwierzyć, że był rzeczywiście, póki nie usłyszeli zgrzytania żwiru i szalonego pędu konia, ruszającego galopem.

- Jankesi mieliby tu przyjść? - zawołała Pitty i opadła bezwładnie na kanapę zbyt przerażona, by płakać.

- O co tu chodzi? Co to ma znaczyć? Zwariuję, jeżeli mi w tej chwili nie powiecie! - Scarlett położyła ręce na ramionach Melanii i potrząsnęła nią gwałtownie, jak gdyby siłą chciała z niej wyrwać odpowiedź.

- Co to znaczy? To znaczy, że to ty będziesz prawdopodobnie przyczyną śmierci Ashleya i pana Kennedy'ego! - Mimo śmiertelnego niepokoju, w głosie Indii brzmiała nutka tryumfu. - Przestań potrząsać Melą. Już i tak jest ledwie żywa.

- Nie, nic mi nie jest - wyszeptła Melania i schwyciła się za poręcz krzesła.

- Boże mój, Boże! Nic nie rozumiem! Zabijają Ashleya? Proszę, niech mi ktoś powie...

Głos Archiego, skrzypiący jak zardzewiałe zawiasy, przeciął słowa Scarlett:

- Siadajcie - rozkazał krótko. - Podnieście szycie. Szyjcie, jak gdyby nic się nie stało. Nie wiadomo, może Jankesi szpiegują już przed domem od zmierzchu. Siadajcie, mówię, i szyjcie.

Uśluhały go drząc, nawet Pitty podniosła skarpetkę i trzymała ją w trzęsących się palcach, a oczy jej, dziecinne i okrągłe z przerażenia, krążyły po obecnych z niemym pytaniem.

- Gdzie jest Ashley? Co się z nim dzieje, Melu? - zawołała Scarlett.

- A gdzie twój mąż? Czy to cię wcale nie interesuje? - Błade oczy Indii świeciły obłąkaną złością, kiedy gnioła i prostowała na kolanach ręcznik, który łątała.

- Indio, proszę cię! - Melania panowała już nad głosem, ale blada jej twarz i umęczone oczy świadczyły o gnębiącym ją niepokoju. - Scarlett, powinnyśmy ci były może powiedzieć, ale... ale... tyle przeszłaś po południu, że... Frank uważał... zresztą występowałaś zawsze tak zdecydowanie przeciw Klanowi...

- Przeciw Klanowi...?

Scarlett tak wypowiedziała to słowo, jak gdyby go nigdy dotąd nie słyszała i nie rozumiała jego znaczenia, a potem:

- Klan! - krzyknęła prawie. - Ashley przecież nie należy chyba do Klanu! Ani Frank! Och, przecież mi przyrzekł!

- Rozumie się, że pan Kennedy należy do Klanu, i Ashley, i wszyscy panowie, których znamy! - wołała India. - Są przecież mężczyznami, prawda? Są białymi i południowcami. Powinnaś być dumna z twego męża, nie zaś dopuszczać do tego, aby się wykradał z domu, jak gdyby popełniał jakąś niegodziwość, i...

- Wszyscyście wiedzieli o tym od dawna, a ja...

- Baliśmy się, że się tym zanadto przejmiesz - rzekła Melania ze skrucą.

- A więc to tam chodzą, kiedy się wybierają niby na zebrania polityczne? Och, Frank przyrzekł mi przecież! Teraz Jankesi zabiorą mi tartaki i sklep, a jego wsadzą do więzienia... och, co miał na myśli Rett Butler?

Oczy Indii spoczęły na Melanii z dzikim przerażeniem. Scarlett wstała rzucając szycie na ziemię.

- Jeżeli mi nie powiecie wszystkiego, pójdę do miasta i dowiem się sama. Będę pytała wszystkich, póki się nie dowiem...

- Niech pani siada - rzekł Archie patrząc jej prosto w oczy. - Ja powiem. Ponieważ podobało się pani znowu wałęsać się dziś po południu i z własnej winy miała pani przykrość, pan Wilkes, pan Kennedy i inni panowie wyszli wieczorem, aby odnaleźć tego Murzyna i

tego białego, i zabić ich, i aby zniszczyć całe Shantytown. A jeżeli to, co mówił ten Scallawag, jest prawdą, znaczy, że Jankesi coś podejrzewali albo dowiedzieli się jakoś o tym i wysłali na nich wojsko. W takim razie nasi weszli w zasadzkę. A jeżeli to, co Butler powiedział, nie jest prawdą, to znaczy, że on jest szpiegiem i że to on ich wyda Jankesom, a wtedy zabiją ich i tak. Ale jak on ich wyda, to ja go zabiję, choćby to był ostatni uczynek w moim życiu. A jeżeli ich nawet nie zabiją, to wszyscy będą musieli uciekać do Texas, ukrywać się tam i może już nigdy nie wrócą. Wszystko to jest pani winą i teraz ma pani krew na swoich rękach.

Gniew zmazał teraz strach z twarzy Melanii. Widziała, że Scarlett powoli zaczyna pojmować i że ogarnia ją przerażenie. Wstała i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Jeszcze jedno słowo, a wyjdziecie z tego domu, Archie - powiedziała stanowczo. - To nie jest wina Scarlett. Robiła tylko to, co uważała za słusne. A nasi panowie także postępują, jak uważają za właściwe. Ludzie tak właśnie powinni postępować. Nie wszyscy myślimy jednakowo ani jednakowo postępujemy i źle jest... sądzić innych wedle własnej naszej miary. Jak możecie wy i ty, Indio, mówić tak okrutne rzeczy, kiedy mąż Scarlett, podobnie jak mój mąż, są może... są może...

- Cicho! - przerwał jej Archie szeptem. - Niech pani siada. Słyszę konie.

Melania opadła na krzesło, wzięła w ręce koszulę Ashleya i pochylając nad nią głowę zaczęła bezwiednie odpruwać z niej plisy.

Stukot kopyt stał się głośniejszy, konie skierowały się przed dom. Rozległo się dźwięczenie uprzęży, skrzyp skóry i głosy. Kiedy wreszcie konie zatrzymały się przed domem, jeden głos zagórował nad innymi w komendzie i dały się słyszeć kroki kierujące się przez ogród w stronę kuchennego ganku. Wydało im się, jak gdyby tysiące wrogich oczu patrzyło na nich przez nie zasłonięte okna. Cztery kobiety ze strachem w sercach pochylały głowy i pilnie szyły. Serce Scarlett kołatało w piersiach: „Zabiłam Ashleya! To ja go zabiłam!” I w strasznej tej chwili nie pomyślała nawet, że zabiła może i Franka. W pamięci miała miejsce tylko na obraz Ashleya rozciągniętego ze zbroczonymi krwią włosami u stóp jankeskich kawalerzystów.

Kiedy u drzwi rozległo się ostre, szybkie pukanie, spojrzała, na Melanię i zobaczyła, że mała, napięta jej twarz przybiera nowy wyraz, tak nieprzenikniony jak przed chwilą twarz Retta Butlera - łagodny, obojętny wyraz twarzy pokerzysty, który bluffuje o wielką stawkę, mając tylko parę asów.

- Archie, otwórzcie drzwi - powiedziała spokojnie.

Wsuwając nóż za cholewę i obluźniając pistolet za pasem, Archie pokuśtykał do drzwi i

otworzył je szeroko. Pitty wydała krótki jęk, jak mysz, która widzi, że się pułapka zamyka, bo zobaczyła zgromadzone w drzwiach oddział żołnierzy jankeskich pod wodzą kapitana. Pozostali nic nie powiedzieli. Scarlett z uczuciem pewnej ulgi stwierdziła, że zna dowodzącego oficera. Był to kapitan Tomasz Jaffery, znajomy Retta. Kupił u niej drzewo na budowę domu. Wiedziała, że jest dżentelmenem. Może wobec tego nie zawlecze ich od razu do więzienia. On także poznał ją natychmiast i zdejmując kapelusz skłonił się z pewnym zmieszaniem.

- Dobry wieczór, pani Kennedy. Która z pań jest panią Wilkes?

- Ja jestem panią Wilkes - odrzekła Melania wstając. Mimo swego małego wzrostu była pełna godności. - Czemu zawdzięczam to najście panów?

Oczy kapitana przebiegły szybko po pokoju zatrzymując się na chwilę na każdej twarzy, z twarzy przechodząc na stół i szaragi, jak gdyby w poszukiwaniu śladów mężczyzn.

- Chciałbym porozmawiać z panem Wilkesem i panem Kennedym, jeżeli można.

- Nie ma ich tutaj - rzekła Melania lodowatym głosem.

- Czy jest pani tego pewna?

- Niech pan nie poddaje w wątpliwość słów pani Wilkes - rzekł Archie i broda mu się zjeżyła.

- Przepraszam panią, pani Wilkes. Nie chciałem pani dotknąć. Jeżeli da mi pani na to słowo, nie będę przeszukiwać domu.

- Daję panu słowo. Ale może pan szukać, jeżeli pan sobie życzy. Panowie są na zebraniu w mieście, w sklepie pana Kennedy'ego.

- Nie ma ich w sklepie. Nie było tam dziś zebrania - odrzekł kapitan ponuro. - Poczekamy przed domem, aż wrócą.

Skłonił się sztywno i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Kobiety usłyszały ostry rozkaz, stłumiony trochę wiatrem: - Otoczyć dom. Postawić ludzi przed wszystkimi drzwiami i oknami. - Rozległo się szuranie stóp. Scarlett powstrzymała odruch przerażenia, gdy ujrzała brodate twarze, patrzące na nią przez okna. Melania usiadła i dłonią, która nie drżała, sięgnęła po leżącą na stole książkę. Był to zniszczony egzemplarz „Nędzników” - książki, którą tak sobie upodobali żołnierze Konfederacji, że czytali ją przy ogniskach obozowych. Otworzyła ją w środku i zaczęła czytać wyraźnym, monotonnym głosem.

- Szyjcie - zakomenderował Archie ochryłym szeptem i trzy kobiety, uspokojone chłodnym głosem Melanii, znowu pochyliły głowy nad szyciem.

Jak długo Melania czytała pod kręgiem czujnych oczu, Scarlett nie wiedziała, wydawało jej się jednak, że wieki całe. Nie zrozumiała ani jednego słowa. Teraz zaczęła już

myśleć o Franku, nie tylko o samym Ashleyu. A więc to było przyczyną jego pozornego spokoju wieczorem! A przyrzekł jej, że nie będzie miał nic wspólnego z Klanem. Och, właśnie tego obawiała się od dawna! Cała praca ostatnich lat pójdzie teraz na marne. Wszystkie jej wysiłki, zachody i trudy - w deszcz i mrozy - na próżno. I któż mógłby przypuszczać, że stary, spokojny Frank zapłacze się w niebezpieczne sprawy Klanu? Może już w tej chwili nie żyje. Jeżeli zaś żyje i schwytają go Jankesi, zostanie powieszony. I Ashley także!!!

Tak mocno wbiła paznokcie' w dłonie, że ukazały się na nich czerwone półksiężyce. Jak Melania może czytać tak spokojnie, kiedy Ashleyowi grozi niebezpieczeństwo powieszenia? Kiedy już może nie żyje? Coś jednak w chłodnym, cichym głosie, czytającym o nieszczęściach Jana Valjeana, dodało jej sił, powstrzymało od zerwania się na równe nogi i głośnego krzyku.

Wróciła myślą do owej nocy, kiedy przyjechał do Atlanty Tonio Fontaine, ścigany, ledwie żywy, bez grosza. Gdyby nie dostał się do ich domu, nie otrzymał pieniędzy i nowego konia, na pewno by nie żył od dawna. Jeżeli Frank i Ashley jeszcze żyją, są z kolei w takim jak Tonio położeniu, właściwie zaś w znacznie gorszym. Wobec otoczenia domu przez żołnierzy nie mogą wrócić po pieniądze i ubrania bez narażenia się na schwytanie. I prawdopodobnie wszystkie domy na całej ulicy są pod podobną strażą, tak że nie mogą nawet prosić o pomoc przyjaciół. Może już teraz jadą co koń wyskoczy w noc, w stronę Texas.

Ale Rett... może Rett dotarł do nich w porę. Rett miał zawsze dużo pieniędzy przy sobie. Może pożyczycy im tyle, żeby wystarczyło na wszystko. To jednak dziwne. Dlaczego Rett tak się troszczy o bezpieczeństwo Ashleya? Nie lubił go, to pewne, czuł dlań wyraźną pogardę. Dlaczego więc... Zagadka ta trapiła ją jednak krótko wobec wzmagającego się niepokoju o losy Ashleya i Franka.

„Och, to wszystko moja wina! - lamentowała w duchu. - India i Archie mają rację. To moja wina. Ale skąd mogłam wiedzieć, że są tak niemądrzy, aby przystać do Klanu! Nie sądziłam też, że coś złego może mnie spotkać! Nie mogłam zresztą inaczej postąpić. Mela ma rację. Ludzie powinni robić to, co uważają za słuszne. Musiałam przecież utrzymać tartaki w ruchu! Musiałam zarabiać! A teraz stracę pewnie wszystko, i w dodatku z własnej winy!”

Po długim czasie głos Melanii załamał się, ściszył, wreszcie zamilkł. Zwróciła głowę do okna i popatrzyła w nie, jak gdyby nie widząc wpatrzonych w nią zza szyby Jankesów. Inni także podnieśli głowy i zaczęli nasłuchiwać za jej przykładem.

Rozległ się tętent kopyt i śpiew, stłumiony jeszcze, rozplywający się na wietrze, dość jednak wyraźny. Był to „Marsz przez Georgię”, nienawistna i znienawidzona pieśń o



żołnierzach Shermana, a śpiewał ją Rett Butler.

Ledwie skończył pierwszą zwrotkę, kiedy dwa inne głosy pijane zagłuszyły go - głosy zapite, błazeńskie, które nie wypowiadały słów i zamazywały sylaby. Na ganku padł jakiś szybki rozkaz kapitana Jaffery'ego, potem zatupotały stopy żołnierzy. Zanim jeszcze rozległy się te dźwięki, panie spojrzały na siebie w zdumieniu, pijane bowiem głosy, wydzierające się na wyścigi z Rettem, należały do Ashleya i Hugona Elsinga.

Na podjeździe zrobiło się głośno. Kapitan Jaffery pytał o coś krótko, Hugon zanosił się idiotycznym, ostrym śmiechem, głos Retta brzmiał głęboko i zuchwale, a Ashleya dziwnie obco, gdy wrzeszczał: - Co u diabła! Co u diabła!

„To nie może być Ashley! - pomyślała Scarlett z niepokojem. - On się nigdy nie upija! A Rett, kiedy jest pijany, staje się zupełnie spokojny, nigdy tak nie krzyczy!”

Melania wstała, a za nią Archie. Usłyszeli ostry głos kapitana: - Ci dwaj ludzie są aresztowani. - Dłoń Archiego zacisnęła się na kolbie pistoletu.

- Nie - wyszeptwała Melania stanowczo. - Nie. Pozostaw to mnie.

Na twarzy jej malował się ten sam wyraz, który Scarlett poznała już w Tarze, gdy Melania stała u szczytu schodów i patrzyła na zabitego. Jankesa, a słaba jej dłoń ledwie mogła udźwignąć ciężką szablę - była to twarz istoty łagodnej i bojaźliwej, którą okoliczności doprowadziły do chytrłości i furii tygrysy. Teraz szeroko otworzyła frontowe drzwi.

- Niech go pan tu wprowadzi, kapitanie Butler! - zawołała jasnym, pełnym jadu głosem. - Zdaje mi się, że spoił go pan znowu. Niech go pan tu wprowadzi.

Z ciemnego wietrznego ganku przemówił kapitan jankeski: - Przykro mi, pani Wilkes, ale mąż pani i pan Elsing są aresztowani.

- Aresztowani! Za co? Za pijaństwo? Gdyby w Atlancie każdego mężczyznę, który pije, miano aresztować, cały jankeski garnizon musiałby bez przerwy przebywać w więzieniu. No, niechże pan go wreszcie wprowadzi, panie Butler... oczywiście, jeżeli pan sam może się utrzymać na nogach.

Mózg Scarlett nie był w stanie szybko pracować. Przez chwilę nie rozumiała nic. Wiedziała, że ani Ashley, ani Rett nie są pijani i że Melania o tym wie. Mimo to Melania, zwykle tak łagodna i dystygowana, wydierała się teraz w obecności Jankesów jak sekutnica i krzyczała, że obaj są zbyt pijani, aby chodzić o własnych siłach.

Rozległa się krótka, niewyraźna kłótnia, przerywana przekleństwami, i niepewne stopy zaczęły wchodzić na schodki. W drzwiach ukazał się Ashley, blady, z chwiejącą się głową, z roztarganymi włosami, od szyi aż po kolana owinięty czarną peleryną Retta. Hugon Elsing i Rett, także niezbyt pewni na nogach, podtrzymywali go z obu stron. Widoczne było, że

zwaliliby się na podłogę, gdyby nie ich pomoc. Za nimi wszedł kapitan jankeski, a na twarzy jego malowała się podejrzliwość zmieszana z rozbawieniem. Stał w otwartych drzwiach, a żołnierze zagłądali mu ciekawie przez ramię; zimny wiatr powiał po domu.

Scarlett, przerażona i zaskoczona tym wszystkim, popatrzyła na Melanię, potem na bezwładnego Ashleya, i zaczęła coś niecoś rozumieć. Chciała zawołać: „Ależ on z pewnością nie jest pijany!”, ugryzła się jednak w język. Zdała sobie sprawę, że jest świadkiem komedii, rozpaczliwej komedii, od której zależy życie ludzkie. Wiedziała, że nie ma w niej roli do odegrania ani ona, ani ciotka Pitty, reszta jednak recytowała swe kwestie tak swobodnie jak aktorzy często próbowanej sztuki. Zrozumiała wszystko tylko częściowo, to wystarczyło jednak, aby zachowała milczenie.

- Posadźcie go na krzesło! - zawołała Melania z oburzeniem. - A pan, kapitanie Butler niech natychmiast opuści ten dom! Jak się pan śmie tutaj pokazywać, kiedy znowu doprowadził pan mego męża do takiego stanu!

Dwaj mężczyźni posadzili wreszcie Ashleya w fotelu. Rett zataczając się schwycił za poręcz krzesła, aby zachować równowagę, i z bólem w głosie zwrócił się do kapitana.

- Ładne mi podziękowanie, co? Za to, że nie pozwoliłem, aby go aresztowała policja, że go przyprowadziłem do domu, choć wrzeszczał i bił się ze mną.

- A za ciebie, Hugonie, bardzo mi wstyd! Co powie twoja biedna matka? Upijasz się i włóczysz z... z kapitanem Butlerem, Scallawagiem i stronnikiem Jankesów! Och, panie Wilkes, jakże mogłeś coś podobnego uczynić?

- Melu, ja nie jestem znowu tak bardzo pijany - wymamrotał Ashley i mówiąc to pochylił się ku przodowi i położył łokcie na stole, a na nich twarz.

- Archie, proszę zaprowadzić pana do jego sypialni i ułożyć go do łóżka, jak zwykle - rozkazała Melania. - Ciociu, proszę cię, pobiegnij i pościel mu łóżko i... oooch - nagle zanosła się płaczem. - Och, jakże on mógł? Dał mi przecież słowo!

Archie wziął już Ashleya pod ramię, a Pitty, przerażona i niepewna, zerwała się na nogi, kiedy wtrącił się znowu kapitan.

- Proszę go nie ruszać. Jest aresztowany. Sierżancie!

Kiedy do pokoju wszedł sierżant z karabinem w ręku, Rett, starając się utrzymać równowagę, położył dłoń na ramieniu kapitana i z widocznym wysiłkiem popatrzył mu w oczy.

- Tomku, za co go aresztujesz? Nie jest przecież tak bardzo pijany. Bywał już w gorszym stanie.

- Co mi do tego, że pijany! - zawołał kapitan. - Dla mnie może leżeć choćby w

rynsztoku. Nie jestem policjantem. Aresztuję pana Elsinga i jego za udział w dzisiejszym najściu Klanu na Shantytown. Zabito Murzyna i białego. Pan Wilkes był jednym z przywódców.

- Dziś wieczorem? - Rett zaczął się śmiać. Śmiał się tak serdecznie, że aż usiadł na sofie i objął rękami głowę. - Chyba nie dzisiaj, Tomku - powiedział, kiedy znowu mógł mówić. - Obaj byli ze mną dziś wieczorem, od ósmej, kiedy to rzekomo poszli na zebranie.

- Z tobą, Rett? Ale... - Kapitan zmarszczył czoło i popatrzył niepewnie na chrapiącego Ashleya i jego płaczącą żonę. - A gdzieś ty był?

- Wolałbym nie mówić - i Rett rzucił chytre spojrzenie w stronę Melanii.

- Powiedz lepiej!

- Wyjdź na ganek, to ci powiem.

- Powiedz mi tutaj.

- Nie chciałbym tego mówić w obecności pań. Gdyby panie zechciały wyjść z pokoju...

- Ja nie wyjdę - zawołała Melania, ze złością ocierając oczy. - Mam prawo wiedzieć. Gdzie był mój mąż?

- W barze Belli Watling - rzekł Rett, bardzo zmieszany. - On tam był, i Hugon, i Frank Kennedy, i doktor Meade, i... cała ta ich paczka. Mieli tam zabawę. Dużą zabawę. Szampan. Dziewczeta...

- U... u Belli Watling?

Głos Melanii wznosił się nagle i załamał w takim bólu, że oczy wszystkich zwróciły się z przerażeniem w jej stronę. Dłoń przycisnęła do piersi i zanim Archie zdążył ją podeprzeć, zemdląca. Powstało zamieszanie. Archie podnosił Melanię, India pobiegła do kuchni po wodę, Pitty i Scarlett wachlowały Melę i biły ją po rękach, podczas gdy Hugon Elsing krzyczał raz po raz: - No i masz teraz! No i masz teraz!

- Teraz już całe miasto będzie o tym wiedziało - rzekł Rett z wściekłością. - Jesteś chyba zadowolony, Tom. Nie będzie w Atlancie ani jednej żony, która by chciała rozmawiać ze swoim mężem.

- Rett, nie miałem pojęcia... - Mimo, że chłodny wiatr wiał mu przez otwarte drzwi w plecy, kapitan zlany był potem. - Słuchaj! Czy możesz przysiąc, że oni byli w... u... hhm... Belli?

- Rozumie się - warknął Rett. - Idź do Belli i zapytaj ją, jeżeli mnie nie wierzysz. A teraz pozwól mi zanieść panią Wilkes do jej pokoju. Dajcie mi ją na ręce, Archie. Tak, ja ją zaniosę. Panno Pitty, może pani zechce mi poświecić.

Wziął bezwładne ciało Melanii z rąk Archiego.

- Wy przenieście pana Wilkesa na łóżko, Archie. Po tym, co dziś zaszło, nie chcę go ani widzieć, ani dotykać.

Dłoń Pitty drżała tak, że zachodziła obawa, iż zrzuci lampę i podpali dom, jednak utrzymała się jakoś i podreptała w stronę ciemnej sypialni. Archie odchrząknąwszy wziął Ashleya pod ramiona i podniósł go.

- Ale... ja mam rozkaz aresztowania tych ludzi!

Rett odwrócił się w mrocznym korytarzyku:

- To zaaresztuj ich rano. W takim stanie nie mogą uciec, a zresztą nie wiedziałem dotąd, że picie w barze jest karalne. Na Boga, Tom, z pięćdziesiąt osób zaświadczy, że oni byli dzisiaj u Belli.

- Zawsze się znajdzie pięćdziesięciu świadków, kiedy trzeba dowieść, że południowiec był tam, gdzie go wcale nie było - rzekł kapitan posepnie. - Pan pójdzie ze mną, panie Elsing. Pana Wilkesa zwolnię na odpowiedzialność...

- Jestem siostrą pana Wilkesa. Mogę odpowiadać za jego obecność - rzekła India chłodno. - A teraz może by pan zechciał nas opuścić? Dość nam pan sprawił kłopotu jak na jeden wieczór.

- Żałuję tego niezmiernie. - Kapitan skłonił się niezgrabnie. - Mam tylko nadzieję, że obaj panowie potrafią dowieść swojej bytności w domu panny... pani... Watling. Może zechce pani powiedzieć bratu, że musi się stawić jutro rano u komendanta miasta na przesłuchanie.

India odkloniła się obojętnie i kładąc dłoń na klamce dała do zrozumienia, że byłoby pożądane, aby kapitan, jak najprędzej sobie poszedł. Kapitan i sierżant wycofali się tyłem, zabierając Hugona Elsinga, a India zatrzęsnęła za nimi drzwi. Nie patrząc nawet na Scarlett, podeszła po kolei do wszystkich okien i zapuściła rolety. Scarlett, pod którą uginały się kolana, złapała się poręczy krzesła, na którym siedział Ashley. Patrząc na nie spostrzegła, że na poduszce oparcia widnieje ciemna wilgotna plama, większa od jej dłoni. Dotknęła jej zdziwiona i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że ma na dłoni czerwony ślad.

- Indio - wyszeptała - Indio, Ashley... jest ranny.

- Ty głupia! Czy przypuszczałaś, że naprawdę jest pijany?

India zapuściła ostatnią roletę i szybko poszła w stronę sypialni, tuż za nią Scarlett ze ściśniętym z przerażenia gardłem. Rett wielką swoją postacią zasłaniał wejście, ale przez jego ramię Scarlett zobaczyła Ashleya, bardzo bladego, leżącego nieruchomo na łóżku. Melania, dziwnie przytomna jak na osobę jeszcze tak niedawno zemdloną, małymi nożyczkami rozcinała szybko jego przesiąkniętą krwią koszulę. Archie trzymał lampę nisko nad łóżkiem, a jeden z jego sękatych palców dotykał ręki Ashleya.

- Czy żyje? - zawołały Scarlett i India.

- Tak, zemdłał tylko z upływu krwi. Przeszrzelono mu ramię - rzekł Rett.

- Dlaczego przyniósł go pan tutaj, głupcze? - krzyknęła India. - Niech mnie pan do niego puści! Niech mnie pan puści! Przyniósł go pan tutaj, aby go aresztowano!

- Był zbyt słaby, aby wytrzymać dłuższą podróż. Poza tym nie było go dokąd zanieść, panno Wilkes. A zresztą, czy chciałaby pani, aby został wygnańcem jak Tonio Fontaine? Czy chciałaby pani, aby kilkunastu pani najbliższych sąsiadów musiało do końca życia być w Texas pod przybranymi nazwiskami? Jest nadzieja, że uratujemy ich wszystkich, jeżeli Bella...

- Niech mnie pan puści!

- Nie, panno Wilkes. Mam dla pani inne zadanie. Musi pani iść po doktora. Nie po doktora Meade, który jest w tę sprawę wmieszany i prawdopodobnie w tej chwili tłumaczy się przed Jankesami. Niech pani znajdzie jakiegoś innego doktora. Czy boi się pani chodzić po nocy sama?

- Nie - rzekła India z błyskiem w bladych oczach. - Wcale się nie boję. - Wzięła pelerynę z kapiszonem wiszącą na haku w hallu. - Pójdę po starego doktora Deana. - Głos jej brzmiał już spokojniej, po chwili mówiła już zupełnie normalnie. - Przykro mi, że nazwałam pana szpiegiem i głupcem. Nie rozumiałam. Jestem panu głęboko wdzięczna za to, co pan zrobił dla Ashleya, ale mimo to gardzę panem.

- Doceniam pani szczerłość i dziękuję za nią. - Rett skłonił się i lekko uśmiechnął. - A teraz niech pani biegnie szybko tylnymi ulicami. Jeżeli wracając zobaczy pani, że żołnierze są w pobliżu, niech pani nie wchodzi do domu.

India rzuciła na Ashleya ostatnie niespokojne spojrzenie i otulając się w pelerynę lekko zbiegła po schodach i wyszła kuchennymi drzwiami w ciemność.

Wyteżając wzrok ode drzwi, Scarlett odetchnęła z ulgą widząc, że Ashley otwiera oczy. Melania wzięła z umywalni złożony ręcznik i przytknęła go do jego broczącego ramienia, on zaś uśmiechnął się do niej blado, uspokajająco. Scarlett czuła na sobie twardy, przenikliwy wzrok Retta, wiedziała, że uczucia jej wypisane są wyraźnie na twarzy, ale wszystko jej było jedno. Ashley krwawił tutaj, może umierał, i to ona, która go kochała, była tego przyczyną. Chciała biec do łóżka, uklęknąć przy nim i przytulić go do siebie, ale kolana tak pod nią drżały, że nie mogła przestąpić progu. Z dłonią przy ustach patrzyła, jak Melania przykładła świeży ręcznik do rany, przyciskając go mocno, jak gdyby chciała wcisnąć krew z powrotem w ciało Ashleya. Ręcznik jednak zaczerwienił się w okamgnieniu.

Czy możliwe, aby człowiek krwawił tak bardzo, a mimo to żył? Ale, Bogu dzięki, nie

miął krwawej piany na ustach - tej strasznej, zwiastującej śmierć piany, którą tak dobrze pamiętała od dnia bitwy w Dolinie Brzoskwiniowej, kiedy ranni żołnierze umierali na trawniku przed domem.

- Uspokój się - rzekł Rett i w głosie jego zabrzmiała ostra, trochę drwiąca nuta. - Ashley nie umrze. A teraz weź lampę i poświeć pani Wilkes. Chcę, aby Archie poszedł mi coś załatwić.

Archie spojrział spod lampy na Retta.

- Ja od pana żadnych poleceń nie wezmę - rzekł krótko, przesuwając grudkę tytoniu z jednego policzka pod drugi.

- Zrobicie, co kapitan mówi - rzekła Melania surowo - i to natychmiast. Róbcie wszystko, co każe kapitan Butler. Scarlett, weź od niego lampę.

Scarlett weszła do pokoju i wzięła lampę, trzymając ją obiema rękami, aby jej nie upuścić. Ashley miał znowu zamknięte oczy Naga jego pierś podnosiła się powoli i opadała szybko, a między drobnymi palcami Melanii przeciekała czerwona strużka krwi. Słyszała, jak Archie kieruje się przez pokój w stronę Retta. Myśli jej były tak skupione dokoła osoby Ashleya, że słyszała tylko: - Weź mego konia... przywiązany na dworze... pędź jak diabeł.

Archie wymamrotał jakieś pytanie, Rett odpowiedział: - W starej plantacji Sullivana. Kaptury znajdziesz w najwyższym kominie. Spal je.

- Uhu - mruknął Archie.

- W piwnicy są dwa... dwaj mężczyźni. Weź ich na konia i przewieź na pusty plac za domem Belli, ten między domem a torem kolejowym. Bądź ostrożny. Jeżeli cię ktoś zobaczy, pójdziesz na szubienicę, a z tobą i my wszyscy. Zostaw ich na tym placu i połóż koło nich pistolety, wetknij je im w ręce. Masz tutaj, weź moje.

Scarlett odwracając się zobaczyła, jak Rett sięga pod połę surduta i wyjmuje dwa rewolwery, które Archie wsunął sobie za pas.

- Wystrzel z każdego po jednej kuli. Ma to wyglądać na pojedynek. Rozumiesz?

Archie skinął głową, jak gdyby rozumiał doskonale, i niechętny blask podziwu zaświecił w jego chłodnym oku. Scarlett jednak nic nie rozumiała. Ostatnie pół godziny było tak koszarne, że odtąd, jak jej się zdawało, nic już nie będzie nigdy jasne i proste. Rett jednak zdawał się najzupełniej panować nad tą zawiłą sytuacją i to stanowiło pewną pociechę. Archie poszedł ku drzwiom, potem odwrócił się: jedyne jego oko spoczęło pytająco na Recie.

- On?

- Tak.

Archie chrząknął i splunął na podłogę.

- Drogo zapłacił - rzekł i pokuśtykał przez hali do kuchennych drzwi.

W tej ostatniej cichej wymianie słów było coś takiego, co sprawiło, że nowe obawy i podejrzenia powstały w piersi Scarlett jak lodowata, nadymająca się bańka. Kiedy ta bańka pęknie...

- Gdzie jest Frank? - zawołała.

Rett szybko przeszedł w stronę łóżka, zwinnie i bezszelestnie jak duży kot.

- Wszystko w odpowiednim czasie - rzekł i uśmiechnął się krótko. - Popraw płomień, Scarlett. Nie masz chyba ochoty spalić pana Wilkesa. Pani Melu...

Melania podniosła głowę jak dzielny mały żołnierz, czekający rozkazów. Sytuacja była tak naprężona, że nie spostrzegła, iż Rett po raz pierwszy nazwał ją zdrobniałym imieniem, używanym tylko przez jej rodzinę i najbliższych przyjaciół.

- Przepraszam bardzo, chciałem powiedzieć: pani Wilkes...

- Och, kapitanie Butler, niech mnie pan nie przeprasza! Byłoby dla mnie zaszczytem, gdyby mi pan mówił „Melu”, nawet z pominięciem „pani”! Wydaje mi się, jak gdyby pan był moim... bratem czy... kuzynem. Jaki pan jest dobry i jaki mądry! Czym będę się panu mogła odwdziaczyć?

- Dziękuję pani - rzekł Rett i przez chwilę wydawał się prawie zakłopotany. - Przecenia mnie pani z pewnością, ale, pani Melu - i w głosie jego zabrzmiała skrucha - przykro mi, iż musiałem powiedzieć, że pan Wilkes był u Belli Watling. Przykro mi, że musiałem jego i innych zamieszać w taką... Musiałem jednak szybko coś wymyślić, gdy stąd odjeżdżałem, i to był jedyny plan, jaki mi przyszedł na myśl. Wiedziałem, że słowa moje znajdą wiarę, bo mam wśród oficerów jankeskich wielu przyjaciół. Robią mi wątpliwy zaszczyt uważając mnie prawie za jednego ze swoich, ponieważ znana im jest - czy wolno mi tak się wyrazić? - moja niepopularność wśród moich współziomków. Widzi pani, wcześniej wieczorem grałem w pokera w barze Belli. Przynajmniej tuzin żołnierzy jankeskich może to poświadczyć. A Bella i jej dziewczęta z radością zakłamią się w żywe oczy i będą twierdziły, że pan Wilkes i inni byli na górze przez cały wieczór. Jankesi uwierzą im z pewnością, są dość dziwni pod tym względem. Nie przyjdzie im na myśl, aby kobiety... tego... zawodu zdolne były do lojalności czy szczerego patriotyzmu. Nie daliby wiary słowom żadnej przyzwoitej damy w Atlancie o poczynaniach mężczyzn, którzy byli rzekomo wieczorem na zebraniu. Mam wrażenie, że słowo honoru Scallawaga i tuzina lekkich kobiet może uratuje ich wszystkich z opresji.

Na twarzy jego rozlał się ironiczny uśmiech, który znikł, kiedy Melania zwróciła na niego oczy rozjaśnione wdzięcznością.

- Panie kapitanie, jest pan taki rozumny! Nie miałabym panu za złe, gdyby pan

powiedział nawet, że byli dziś w piekle, jeżeliby to miało ich uratować! Bo i ja wiem, i wszyscy wiedzą, że mąż mój nigdy nie był w tak okropnym miejscu!

- Hmm - zaczął Rett z wahaniem - właściwie był nawet dzisiaj u Belli...

Melania wyprostowała się z godnością.

- Nigdy nie uwierzę w podobne kłamstwo!

- Ależ, pani Melu! Niech mi się pani pozwoli wytłumaczyć! Kiedy przyjechałem na starą plantację, zastałem pana Wilkesa rannego, z nim zaś był Hugon Elsing, doktor Meade i stary pan Merriweather...

- Ten starzec?! - zawołała Scarlett.

- Mężczyźni rzadko kiedy mądrzeją z wiekiem. I wuj pani, Henryk...

- Boże miłosierny! - zawołała ciotka Pitty.

- Inni rozbiegli się po utarczce z żołnierzami, a ta grupa, która trzymała się razem, wróciła na plantację, aby ukryć w kominie kaptury i zbadać, czy pan Wilkes jest ciężko ranny. Gdyby nie jego rana, byłiby teraz wszyscy w drodze do Texas, on jednak nie mógłby daleko zajechać, a zostawić go nie chcieli. Należało dowieść, że byli nie tam, a gdzie indziej, więc tylnymi drogami zaprowadziłem ich do Belli.

- Och, rozumiem... Przepraszam pana bardzo za moją niegrzeczność, panie kapitanie. Widzę teraz, że było koniecznością, aby tam byli, ale... Och, panie kapitanie, ludzie musieli przecież widzieć, jak oni tam wchodzili!

- Nikt nas nie widział. Weszliśmy prywatnym tylnym wejściem, które wychodzi na tor kolejowy. Jest zawsze nieoświetlone i zamknięte.

- W jaki więc sposób?

- Ja mam klucz - rzekł Rett lakonicznie i spokojnie popatrzył Melanii w oczy.

Kiedy całe znaczenie tych słów doszło do jej świadomości, Melania tak się zmieszała, że poplątała bandaż, który zsunął się z rany.

- Nie chciałam być niedyskretna - rzekła zdławionym głosem i zaczerwieniła się, przesuwając ręcznik na miejsce.

- Żałuję, że musiałem pani wyznać coś podobnego.

„A więc to prawda! - pomyślała Scarlett z dziwną przykrością. - A więc jednak żyje z tą okropną kreaturą! I dom jej należy do niego!”

- Widziałem Bellę i wszystko jej wytłumaczyłem. Daliśmy jej listę mężczyzn, którzy wyszli dzisiaj na wyprawę, a ona i jej dziewczęta poświadczą, że byliśmy wszyscy razem w jej lokalu. Aby nasze wyjście było bardziej widoczne, zawołała dwóch zabijaków, którzy pilnują u niej porządku, i kazała nas siłą zrzucić ze schodów, wywlec przed bar i wypchnąć na



ulicę jako pijanych awanturników, którzy zakłócają spokój.

Roześmiał się do siebie. - Doktor Meade wyglądał niezbyt przekonująco. Był urażony w swej godności, że znajduje się w takim miejscu. Ale wuj pani i stary pan Merriweather spisali się doskonale. Scena straciła w nich dwóch wielkich aktorów. Zdawali się doskonale bawić całą tą sprawą. Obawiam się, że z powodu zapału, jaki pan Merriweather okazywał dla swej roli, wuj pani ma podbite oko. On...

Drzwi otwały się i weszła India, a za nią doktor Dean o roztarganej siwej czuprynie, niosący pod peleryną zniszczoną walizeczkę. Skłonił się wszystkim lekko i szybko zdjął bandaż z ramienia Ashleya.

- Za wysoko jak na płuco - powiedział. - Jeżeli kula nie dotknęła obojczyka, sprawa nie będzie wcale groźna. Niech panie dadzą dużo ręczników, trochę waty i koniaku.

Rett wziął lampę od Scarlett i postawił na stole, podczas gdy Melania i India krzątały się spełniając polecenia doktora.

- Nie jesteś tutaj potrzebna. Chodź do saloniku, usiądziemy przy ogniu. - Wziął ją pod rękę i przeprowadził przez pokój. Głos jego i ruchy nacechowane były niezwykłą jak na niego łagodnością. - Miałaś bardzo ciężki dzień, prawda?

Pozwoliła się zaprowadzić do frontowego pokoju i choć stanęła przed kominkiem, zaczęła gwałtownie drzeć. Bańka podejrzenia w jej sercu zaczęła się raptownie wydymać. Było to więcej niż podejrzenie. Była to prawie pewność, okropna pewność. Popatrzyła w nieruchomą twarz Retta i przez chwilę nie mogła głosu wydobyć. Potem zapytała:

- Czy Frank był u Belli Watling?

- Nie.

Głos Retta brzmiał głucho.

- Archie przenosi go teraz na pusty plac koło jej domu. Nie żyje. Dostał kulę w głowę.



## ROZDZIAŁ XLVI

Mało ludzi w północnej części miasta spało tej nocy, bo nowina o rozsypce Klanu i wiadomość o fortelu Retta rozniosły się szybko: India Wilkes bezszelestnie jak cień wsuwała się w podwórza, szeptała coś gwałtownie przy kuchennych drzwiach i znikwała w wietrznej ciemności. Zostawiała po sobie strach i rozpaczliwą nadzieję.

Na zewnątrz domy były ciemne, ciche, zmożone snem, ale wewnątrz głosy szeptały zapamiętale aż do samego świtu. Nie tylko ci, którzy wzięli udział w nocnym najeździe, ale wszyscy członkowie Klanu gotowi byli do wyjazdu i we wszystkich prawie stajniach wzdłuż ulicy Brzoskwiniowej stały w ciemności osiodłane konie z pistoletami w olstrach i paszą w workach. Zbiorowej ucieczce zapobiegało jedynie zlecenie Indii: - Kapitan Butler mówi, żebyście nie uciekali. Drogi będą strzeżone. Umówił się z tą Bellą Watling... - W ciemnych pokojach mężczyźni szeptali: - Dlaczego wierzyć temu przekłętemu Scallawagowi? Może to pułapka! - A głosy kobiece błagały: - Nie jedź. Skoro uratował Ashleya i Hugona, uratuje może i innych. Przecież ufają mu India i Melania. - Oni zaś dawali się niechętnie przekonać i zostawali, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Przed północą żołnierze przeszukali cały szereg domów i aresztowali tych, którzy nie mogli czy nie chcieli powiedzieć, gdzie byli wieczorem. Rene Picard, jeden z siostrzeńców pani Merriweather, młodzi Simmonsonowie i Andy Bonnell należeli do liczby tych, którzy noc spędzili w więzieniu. Brali oni udział w nieszczęsnym napadzie, ale po strzelaninie zostali odcięci od innych. Wrócili co koń wyskoczy do domów i zostali aresztowani, zanim zdążyli się dowiedzieć o planie Retta.

Szczerze, na wszystkie pytania odpowiadali, że byli wieczorem tam, gdzie im się podobało, i że przeklętym Jankesom nic do tego. Zamknięto ich w więzieniu do czasu dalszego przesłuchania. Stary pan Merriweather i wuj Henryk Hamilton oświadczyli bezwstydnie, że spędzili wieczór w domu Belli Watling, i omal nie pobili kapitana Jaffery, kiedy z irytacją zauważył, że są na takie rozrywki za starzy.

Bella Watling na wezwanie kapitana sama podeszła do drzwi i zanim jeszcze zdołał powiedzieć, o co mu chodzi, krzyknęła, że lokal jest na noc zamknięty. Banda kłótliwych pijaków była u niej wcześniej wieczorem, pobiła się, zniszczyła cały dom, potłukła jej najpiękniejsze lustra i tak nastraszyła dziewczęta, że trzeba było zamknąć zakład na całą noc. Ale jeżeli kapitan Jaffery chce się tylko czegoś napić, bar jest jeszcze czynny...

Kapitan Jaffery zdając sobie sprawę z drwiących uśmiechów swoich ludzi i czując, że walczy z niewiadomym, oświadczył ze złością, że nie chce ani usług dziewcząt, ani alkoholu,

i zapytał, czy Bella zna nazwiska swoich przykrych klientów. O, tak, Bella знаła je dobrze. Byli jej stałymi klientami. Przychodzili co środę wieczór i kazali się nazywać Demokratami Środowymi, dlaczego - nie wie i nic ją to nie obchodzi. A jeżeli nie zapłacą jej za stłuczone na górze lustro, wytoczy im sprawę. Prowadzi przyzwoity dom... Ach, nazwiska ich? Bella bez wahania wypaliła jedno po drugim nazwiska dwunastu podejrzanych. Kapitan Jaffery uśmiechnął się gorzko.

- Ci przekłeci buntownicy są tak niezawodnie zorganizowani jak nasza służba wywiadowcza - powiedział. - Ty i twoje panny stawicie się jutro przed dowódcą żandarmerii.

- Czy każą tym ludziom zapłacić za moje lustro?

- Do diabła z twoimi lustrami! Niech ci Rett Butler za nie zapłaci. To przecież jego dom, prawda?

Przed świtem wszystkie rodziny dawnych konfederatów wiedziały o wszystkim. I służba murzyńska, której nic nie powiedziano, wiedziała o tym także, dzięki swoistemu sposobowi porozumiewania się, nie do pojęcia dla człowieka białego. Wszyscy znali szczegóły najazdu, wiedzieli o śmierci Franka Kennedy'ego i kaleki Tomasza Wellburna i o tym, jak Ashley został ranny przy przenoszeniu ciała Franka w ukrycie.

Gorzka nienawiść, jaką kobiety pały do Scarlett za jej przyczynienie się do tej tragedii, trochę złagodziła świadomość, że mąż jej został zabity, że wiedziała o tym i nie mogła nawet zgłosić się po jego ciało. Do czasu, kiedy ciała zostaną znalezione i władze zawiadomią ją o tym, musiała udawać, że o niczym nie wie. Frank i Tomasz z pistoletami w zimnych dłoniach sztywnieli więc wśród chwastów na pustym placu Belli. Jankesi wywnioskują, że zabili się w zwyczajnej pijackiej bójce o dziewczynę z domu Belli. Wszyscy gorąco współczuli Fanny, żonie Tomasza, która niedawno urodziła dziecko, ale nikt nie mógł się do niej przekraść w ciemności ani jej pocieszyć, bo oddział Jankesów otoczył jej dom, czekając powrotu Tomasza. Drugi oddział otoczył dom Pitty i czekał na Franka.

Przed świtem rozeszła się wiadomość, że przesłuchanie, podejrzanych odbędzie się tego samego dnia. Ludność miasta, zmęczona bezsennością i niespokojnym czekaniem, wiedziała, że los najwybitniejszych obywateli Atlanty zależy od trzech czynników - czy Ashley Wilkes będzie się mógł utrzymać na nogach, stawić w dowództwie żandarmerii i udawać, że nie dolega mu nic poza bólem głowy po przepitej nocy, czy Bella Watling zaświadczy, że wszyscy podejrzani byli u niej przez cały wieczór, czy Rett Butler zezna, że był razem z nimi.

Miasto wściekało się z powodu zależności od tych dwojga. Bella Watling! Zawdzięczać życie swoich najbliższych właśnie jej! To było nie do zniesienia! Kobiety, które widząc Bellę ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy, zastanawiały się teraz, czy pamięta o tym, i

drżały na myśl, że pamięta. Mężczyźni mniej byli upokorzeni, że zaciągają wobec Belli dług wdzięczności, bo wielu z nich uważało, że to dobra kobieta. Bolało ich jednak, że bezpieczeństwo i wolność mają zawdzięczać Rettowi, który był spekulantem i Scallawagiem. Bella i Rett, najpopularniejsza kokota miasta i najbardziej znenawidzony w mieście mężczyzna! I właśnie im winni byli wdzięczność!

Drugą rzeczą, która ich przyprawiała o bezsilną pasję, była świadomość, że Jankesi i Carpetbaggerzy będą się z nich śmieli. Och, jakże się będą śmieli! Dwunastu najwybitniejszych obywateli miasta okazało się stałymi bywalcami domu Belli Watling! Dwaj zostali zabici w bójce o tanią dziewczkę, innych wyrzucono na ulicę jako zanadto pijanych nawet dla Belli, a resztę aresztowano, ponieważ nie chcieli się przyznać, że byli w domu publicznym, chociaż wszyscy już o tym wiedzieli!

Obawy Atlanty, że Jankesi będą się śmieli, były uzasadnione. Zbyt długo musieli znosić chłód i pogardę południowców, teraz więc nie posiadali się z radości. Oficerowie budzili szeregowych i opowiadali nowinę. Mężowie budzili o świcie żony i dzielili się z nimi szczegółami, dostępnymi dla kobiecych uszu. Kobiety zaś ubrawszy się pośpiesznie pukały do drzwi sąsiadek i roznosiły wiadomość dalej. Panie jankeskie zachwycone były tym wszystkim i śmiały się do łez. A więc to taka jest rycerskość i waleczność południowców! Może wreszcie teraz damy, które wysoko zadzierały nosa i nie odpowiadały na żadne awanse, zejść ze swego piedestału, skoro już wszyscy wiedzą, gdzie przebywali ich mężowie w czasie domniemanych zebrań politycznych! Zebrania polityczne! A jużci! Ach, jakież to było śmieszne!

Ale Jankeski, mimo że się śmiały, bardzo ubolewały nad tragedią Scarlett. Scarlett była prawdziwą damą, jedną z niewielu w Atlancie, które były dla Jankesów uprzejme. Zyskała ich sympatię, choćby przez to, że musiała pracować, bo mąż jej nie mógł czy nie chciał odpowiednio jej utrzymywać. Jakkolwiek był takim niedołęgą, musiało być straszne dla biedaczki, kiedy się dowiedziała, że ją zdradzał. Podwójnie zaś straszne było, że śmierć jego przyszła równocześnie z dowodem zdrady. Ostatecznie, nawet zły jest lepszy od żadnego, panie jankeskie postanowiły więc, że będą dla Scarlett podwójnie miłe. Innym jednak paniom, pani Meade, pani Merriweather, pani Elsing, wdowie po Tomaszu Wellburnie, przede wszystkim zaś pani Ashleyowej Wilkes postanowiły śmiać się w oczy. To je może nauczy większej uprzejmości.

Szepty, które trwały nieprzerwanie w ciemnych pokojach północnej części miasta, obracały się koło tego samego tematu. Żony konfederatów namiętnie zapewniały swoich mężów, że nie dbają ani trochę o opinię Jankesów, w duchu jednak myślały, że publiczne

batożenie byłoby lepsze od konieczności znoszenia w milczeniu jankeskich drwin i od niemożności wyznania prawdy o mężach.

Doktor Meade nie posiadając się z oburzenia z powodu sytuacji, na jaką Rett naraził jego i innych, oświadczył pani Meade, że gdyby nie okoliczność, iż wydałby swoich przyjaciół, wolałby wyznać prawdę i zginąć na szubienicy niż twierdzić, że był w domu Belli.

- To zniewaga dla ciebie, pani Meade - oburzał się.

- Ale wszyscy przecież wiedzą, że nie byłeś tam, aby... aby...

- Jankesi nie będą wiedzieli. Będą nam musieli uwierzyć, jeżeli zdołamy uratować swoją skórę. I będą się z nas śmieli. Myśl, że ktoś w to uwierzy i będzie się śmiał, wprawia mnie we wściekłość. I jest zniewagą dla ciebie - ponieważ, moja droga, zawsze byłem ci wierny.

- Wiem o tym - pani Meade w ciemności uśmiechnęła się i wsunęła szczupłą dłoń pod dłoń doktora. - Wolałabym jednak, aby to było prawdą, niż aby spał ci choć jeden włos z głowy.

- Pani Meade, czy wiesz, co mówisz? - wykrzyknął doktor, zdumiony niespodziewaną trzeźwością żony.

- Owszem, wiem. Straciłam Darcy'ego i Filipa, ty jesteś jedynym, co mi zostało, i wolałabym, abyś stale chodził do tego przybytku, niżbym miała cię stracić.

- Jesteś nieprzytomna! Nie wiesz, co mówisz!

- Ty stary głupcze - rzekła pani Meade z czułością i oparła głowę o ramię męża.

Doktor Meade sapał w milczeniu z gniewu i gładził ją po policzku, aż wreszcie znowu wybuchł: - Mieć dług wdzięczności w stosunku do Butlera! Powieszenie byłoby w porównaniu z tym drobnostką. Nie, nie będę dla niego uprzejmy, mimo że zawdzięczam mu życie. Zuchwałość jego jest niebywała, a bezwstydną spekulowanie doprowadza mnie do szału! Zawdzięczać życie człowiekowi, który nawet nie był w wojsku...

- Melania mówi, że zaciągnął się po upadku Atlanty.

- To nieprawda. Mela wierzy byle łajdakowi. A najmniej rozumiem, dlaczego on to wszystko zrobił i narażał się na niebezpieczeństwo. Przykro mi powiedzieć, ale... ludzie od dawna gadają o nim i o pani Kennedy. Widywałem ich jadących powozem bardzo często w tym roku. Zrobił to pewnie ze względu na nią.

- Gdyby mu chodziło o Scarlett, palcem by nie kiwnął. Byłby zadowolony, że powieszą Franka Kennedy'ego. Mnie się zdaje, że to z powodu Meli...

- Pani Meade, nie chcesz chyba powiedzieć, że tych dwoje coś łączy!

- Och, nie bądź głupi! Ale Mela lubi go bardzo od czasu, gdy starał się o uwolnienie

Ashleya z niewoli. I trzeba przyznać, że do niej nigdy się złośliwie nie uśmiecha. Jest w stosunku do niej prosty, przyjemny i uważny - zupełnie jak inny człowiek. Sądząc z tego, jaki jest dla Meli, można by powiedzieć, że umiałby być bardzo miły, gdyby mu na tym zależało. Ja przypuszczam, że zrobił to wszystko, bo... - Przerwała. - Doktorze, nie spodoba ci się moje podejrzenie.

- Nic mi się w tej całej sprawie nie podoba!

- A więc wydaje mi się, że zrobił to po części ze względu na Melanię, ale głównie dlatego, żeby nam wszystkim wyplatać figła. Nienawidziliśmy go bardzo i okazywaliśmy mu to wyraźnie, a teraz doprowadził was do takiej sytuacji, że musicie się albo przyznać, że byliście w domu tej panny Watling i skompromitować wobec Jankesów siebie i swoje żony, albo powiedzieć prawdę i zginąć na szubienicy. Butler wie, że będziemy mieli dług wdzięczności wobec niego i jego... kochanki, chociaż wolelibyśmy wisieć, niż im coś zawdzięczać. Och, mogłabym się założyć, że cieszy się z tego.

Doktor jęknął: - Rzeczywiście śmiał się do siebie, kiedy nas prowadził do Belli.

- Doktorze - pani Meade zawahała się przez chwilę - a jak tam wygląda?

- O czym ty mówisz, pani Meade?

- O tym domu. Jak tam wygląda? Czy wiszą tam kryształowe kandelabry? I czerwone portiere pluszowe, i tuziny długich luster w złotych ramach? I czy dziewczyny... były bardzo rozebrane...?

- Dobry Boże! - wykrzyknął doktor i zaniemówił, bo nigdy nie przypuszczał, aby ciekawość przyzwoitej kobiety mogła być tak nienasycona, gdy chodzi o jej upadłe siostrzyce.

- Jakże możesz zadawać tak nieskromne pytania? Co się z tobą dzieje? Dam ci proszek na uspokojenie.

- Nie chcę proszku! Chcę wiedzieć. Och, Boże, to jedyna w moim życiu sposobność dowiedzenia się, jak wygląda dom publiczny, a ty jesteś tak wstrętny, że mi nic nie mówisz!

- Nic nie widziałem. Byłem zbyt zawstydzony, że znajduję się w podobnym miejscu, aby zwracać uwagę na swoje otoczenie - rzekł doktor chłodno, bardziej zmartwiony niespodziewanym wejrzeniem w prawdziwe oblicze swej żony niż innymi zdarzeniami wieczora. - Ale teraz przepraszam cię bardzo, chcę spróbować zasnąć.

- No dobrze, a więc kładź się spać - odrzekła pani Meade z zawodem w głosie. Po chwili, kiedy doktor pochylił się, aby ściągnąć buty, przemówiła w ciemności weselszym tonem. - Przypuszczam, że Dolly wszystko to wyciągnęła od starego pana Merriweathera i rano mi opowie!

- Na miłość boską, pani Meade! Czy chcesz przez to powiedzieć, że przyzwoite kobiety rozmawiają między sobą o podobnych sprawach...!?

- Och, idź już spać - odrzekła pani Meade.

Następnego dnia padał śnieg z deszczem, ale kiedy zapadł zimny zmierzch, śnieg ustał i powiał mroźny wiatr. Otulona w płaszcz, Mela wyszła zdumiona przed dom za nieznanym stangretem-Murzynem, który wywołał ją tajemniczo do zamkniętego powozu, stojącego na ulicy. Kiedy się doń zbliżyła, otwały się drzwiczki i zobaczyła w ciemnym wnętrzu zarys postaci kobiecej.

Pochylając się naprzód i wpatrując się w ciemność, Melania zapytała: - Kto to? Czy nie zechciałaby pani wejść do domu? Tak zimno...

- Proszę, niech pani wejdzie i posiedzi ze mną chwilę tutaj, pani Wilkes - doszedł ją z głębi powozu jakiś znajomy głos, trochę zakłopotany.

- Och, to pani... panna... Watling! -zawołała Melania. - Tak bardzo chciałam panią widzieć! Proszę, niech pani wejdzie do mieszkania.

- Tego nie mogę zrobić, pani Wilkes! - W głosie Belli zabrzmiało zgorzzenie. - Niech pani wejdzie do powozu i minutkę ze mną posiedzi.

Melania wsiadła, a stangret zatrzasnął za nią drzwiczki. Usiadła przy Belli i wyciągnęła do niej dłoń.

- Jakże mam pani dziękować za to, co pani dziś zrobiła! Czy potrafimy się pani kiedykolwiek za to odwdzińczyć?

- Pani Wilkes, nie powinna mi pani była przysłać dziś rano tego listu. Nie znaczy to, że nie jestem dumna, że pani do mnie napisała, ale Jankesi mogli list przejąć. Co się zaś tego tyczy, że mnie pani odwiedzi, aby mi podziękować osobiście... ależ, pani Wilkes, pani chyba nie wie, co pani mówi! Cóż to za pomysł! Przyjechałam tutaj, jak tylko się ściemniło, bo chciałam pani powiedzieć, żeby to sobie pani z głowy wybiła. Gdzie ja... gdzie pani... to stanowczo nie wypada!

- Nie wypadałoby, abym złożyła wizytę i podziękowała szlachetnej kobiecie, która uratowała memu mężowi życie?

- Och, co tam, pani Wilkes! Pani wie, co mam na myśli!

Melania zamilkła na chwilę, zakłopotana aluzją. Ta siedząca w głębi powozu przystojna, statecznie ubrana kobieta zupełnie nie miała wyglądu ani sposobu mówienia kobiety złego prowadzenia się, patronki domu publicznego, jak ją sobie Melania wyobrażała. Akcent miała... no, może trochę zwyczajny i chłopski, ale głos jej brzmiał przyjemnie i serdecznie.



- Świetnie się pani dzisiaj spisała przed dowódcą żandarmerii, pani Watling! Pani i te... młode panie uratowały życie naszym mężczyznom.

- To pan Wilkes był godny podziwu. Nie rozumiem, jak się mógł w ogóle trzymać na nogach i odpowiadać na pytania, w dodatku tak obojętnie. Wczoraj, kiedy go widziałam, strasznie krwawił. Czy miewa się teraz dobrze?

- Tak, dziękuję pani. Doktor mówi, że to tylko powierzchowna rana, chociaż upływ krwi był duży. Dziś rano uraczył się koniakiem, bo inaczej nie miałby siły sprawić się tak dzielnie. Ale to pani, pani Watling, uratowała ich wszystkich. Kiedy się pani rozzłościła i mówiła o stłuczonych lustrach, była pani bardzo, bardzo przekonywająca.

- Bardzo pani dziękuję. Uważam, że... kapitan Butler także był doskonały - rzekła Bella z nieśmiałą dumą w głosie.

- Och, on był po prostu wspaniały! - zawołała Melania z zapalem. - Jankesi wbrew woli musieli mu uwierzyć. Tak się mądrze zachował w całej tej sprawie. Nigdy mu się nie potrafię odwdziżyć... ani pani! Jaka pani jest dobra i miła!

- Dziękuję pani uprzejmie, pani Wilkes. Zrobiłam to z przyjemnością. Nie miała mi pani chyba za złe, że powiedziałam, iż pan Wilkes przychodzi regularnie do mego lokalu. Jak pani wie, on nigdy jeszcze...

- Tak, wiem i nie miałam pani tego za złe. Jestem pani bardzo wdzięczna.

- Założyłabym się, że inne panie wcale mi nie są wdzięczne - rzekła Bella z nagłą złością. - Ani kapitanowi Butlerowi. Pewna jestem, że jeszcze go bardziej nienawidzą. Pani będzie na pewno jedyną, która mi podziękowała. Założę się, że tamte panie nawet nie spojrzą mi w oczy, jak mnie zobaczą na ulicy. Ale nie dbam o to. Nie zmartwiłabym się wcale, gdyby wszystkich ich mężów powieszono. Ale pana Wilkesa było mi szkoda. Widzi pani, nie zapomniałam jeszcze, jaka pani była dla mnie miła podczas wojny, gdy chodziło o pieniądze na szpital. W tym mieście żadna z pań nie była dla mnie tak dobra jak pani, a ja mam dobrą pamięć. I myślałam o tym, jakie to będzie smutne, jak pani zostanie sama z małym synkiem, gdy pana Wilkesa powieszą. A... to ładny mały chłopczyk, ten pani synek, pani Wilkes. Ja sama mam synka, więc...

- Och, doprawdy? Czy mieszka... hm...

- Ach, nie, proszę pani! Nie ma go w Atlancie. Nigdy tutaj nie był. Jest w szkole. Nie widziałam go od czasu, gdy był malutki. No, mniejsza z tym... kiedy kapitan Butler prosił mnie, abym skłamała dla tych mężczyzn, chciałam wiedzieć, co to są za jedni, a gdy usłyszałam, że pan Wilkes jest między nimi, nie namyślałam się wcale. Powiedziałam moim dziewczętom: „Wydrapię wam wszystkim oczy, jeżeli nie powiecie, żeście były przez cały

wieczór z panem Wilkesem”.

- Och! - rzekła Melania, coraz bardziej zakłopotana szczerością Belli i nawiązywaniem do jej „dziewcząt”. - Och, to było... bardzo ładnie z pani strony... z ich strony też.

- Zasłużyła pani na to - rzekła Bella serdecznie. - Nie zrobiłabym tego dla byle kogo. Gdyby to chodziło tylko o męża tej pani Kennedy, nie stuknęłabym palcem o palec, choćby kapitan Butler nie wiem co mówił.

- Dlaczego?

- No bo, proszę pani, ludzie z mego zawodu wiedzą mnóstwo rzeczy. Przyzwoite kobiety byłyby bardzo zdziwione i zgorzzone, gdyby wiedziały, ile my o nich wiemy. A pani Kennedy nic nie jest warta, pani Wilkes. Zabiła swego męża i tego małego pana Wellburna, chociaż to nie ona do nich strzelała. Ona to wszystko spowodowała, bo paradowała po Atlantycie sama, kusząc Murzynów i inną hołotę. Przecież żadna z moich dziewcząt...

- Niech pani z łaski swojej nie mówi źle o mojej bratowej. - Melania wyprostowała się z godnością.

Bella położyła dłoń na ramieniu Melanii i zaraz ją cofnęła.

- Niech pani mnie nie mrozi, pani Wilkes. To byłoby bardzo przykre po tym, gdy była pani dla mnie taka miła i dobra. Zapomniałam, że pani ją bardzo lubi, i przykro mi, że to powiedziałam. Przykro mi także, że zabito biednego pana Kennedy. To był porządny człowiek. Kupowałam u niego niektóre rzeczy do mego domu - zawsze był dla mnie grzeczny. Ale pani Kennedy... no, ona nie należy do tej samej klasy ludzi co pani, pani Wilkes. Uważam, że to zimna kobieta, i zdania swego nie zmienię... Kiedy odbędzie się pogrzeb pana Kennedy'ego?

- Jutro rano. I nie ma pani racji co do pani Kennedy. Jest teraz pogrążona w bólu.

- Możliwe - rzekła Bella z widocznym niedowierzaniem. - No, muszę już jechać. Boję się, że ludzie poznają mój powóz, jeżeli tu dłużej postoję, a to byłoby niedobrze dla pani. I jeszcze coś, pani Wilkes: jeżeli mnie pani spotka kiedyś na ulicy, niech się pani ze mną nie wita. Ja zrozumiałam.

- Będę dumna, jeżeli wolno mi będzie przywitać się z panią. Dumna, że tyle pani zawdzięczam. Mam nadzieję, że... zobaczymy się jeszcze.

- Nie - rzekła Bella. - To nie wypada. Dobranoc pani.



## ROZDZIAŁ XLVII

Scarlett siedziała w swojej sypialni jedząc bez apetytu kolację, którą przyniosła jej na tacy Manimy, i przysłuchiwała się jękowi wiatru. Dom był przeraźliwie cichy, cichszy jeszcze niż parę godzin temu, kiedy ciało Franka leżało w salonie. Wtedy słychać było ostrożne kroki i przyciszone głosy, ciche pukanie do frontowych drzwi, wchodzenie sąsiadów, którzy składali kondolencje, i od czasu do czasu głośne szlochy siostry Franka przybyłej na pogrzeb z Jonesboro.

Teraz dom był pogrążony w milczeniu. Mimo że drzwi jej pokoju były otwarte, z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Wade i Ella byli u Melanii od chwili przeniesienia ciała Franka do domu, brak więc było Scarlett kroków małego i gaworzenia Elli. W kuchni zapanował rozejm, nie dochodziły z niej odgłosy kłótni Piotra i Mammy z kucharką. Nawet ciotka Pitty szanując żalobę Scarlett nie bujała się w skrzypiącym fotelu w bibliotece.

Nikt jej nie przeszkadzał, w przekonaniu, że chce być sama ze swoim bólem, samotność jednak była ostatnią rzeczą, której by sobie Scarlett życzyła. Gdyby towarzyszył jej wyłącznie ból, zniosłaby go może, tak jak znosiła już nieraz. Z żalem jednak i poczuciem straty mieszał się strach i ciężkie wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy w życiu żałowała swoich postępów, żałowała ich z zabobonnym strachem, sprawiającym, że rzucała długie ukradkowe spojrzenia na łóżko, w którym sypiała z Frankiem.

Zabiła Franka. Zabiła go tak niewątpliwie, jak gdyby to jej palec pociągnął za cyngiel karabinu. Błagał ją, aby nie wyjeżdżała sama, ale go nie usłuchała. A teraz zginął z powodu jej uporów. Bóg ukarze ją za to. Na sumieniu jej zresztą ciążyła inna sprawa, gorsza i bardziej nawet przerażająca niż przyczynienie się do jego śmierci - sprawa, o której nie myślała do chwili, gdy spojrzała na twarz Franka w trumnie. Na tej nieruchomej twarzy malowała się bezradność jakaś i tragizm, które zrozumiwała jako oskarżenie. Bóg skarał ją, ponieważ odbiła Franka Zueli. Będzie musiała pokajać się przed sądem ostatecznym i odpowiadać za te kłamstwa, które mu powiedziała wracając w jego bryczce z jankeskiego więzienia.

Nie pomoże teraz przekonywanie, że cel uświęca środki, że zmuszona była wyjść za niego, ponieważ na jej barkach spoczywał los zbyt wielu osób, aby mogła się zastanawiać nad prawami lub szczęściem Franka czy Zueli. Prawda rysowała się jasno - musiała teraz spojrzeć jej w oczy. Poślubiła Franka z wyrachowania i z wyrachowaniem wyzyskiwała. Unieszczęśliwiła go w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, mimo że mogła uczynić go szczęśliwym. Bóg skarże ją za to, że nie była dla niego lepsza - skarże ją za łajanie, wybuchy

złości i docinki, za poróżnienie go z przyjaciółmi i przynoszenie mu wstydu z powodu prowadzenia tartaków, zbudowania szynku i najęcia więźniów do pracy.

Frank był z nią nieszczęśliwy, a ona wiedziała o tym - znosił to jednak jak prawdziwy dżentelmen. Jediną rzeczą, jaka mu naprawdę sprawiła przyjemność, było obdarzenie go Ellą. Wiedziała jednak, że gdyby mogła zapobiec urodzeniu się dziecka, Ella nie urodziłaby się nigdy.

Zadrżała z przerażenia i pożałowała, że Frank nie żyje, bo teraz byłaby dla niego bardzo dobra, aby wszystko mu wynagrodzić. Och, gdybyż Bóg nie był tak gniewny i mściwy! Och, gdyby minuty nie wlokły się tak powoli i dom nie był tak cichy! Gdybyż nie była tak samotna!

Gdyby Melania była blisko niej, ukoiłaby z pewnością jej obawy. Ale Mela była w domu, u boku Ashleya. Przez chwilę Scarlett pomyślała o zawołaniu Pittypat, aby stanęła między nią a jej sumieniem, zawahała się jednak... Pitty prawdopodobnie jeszcze utrudniłaby wszystko, bo szczerze opłakiwała Franka. Był rówieśnikiem raczej jej niż Scarlett i bardzo była do niego przywiązana. Znakomicie ucieleśniał marzenia Pitty o „mężczyźnie w domu”, bo często przynosił jej małe podarki i ploteczki, wieczorami czytał jej gazetę i rozmawiał z nią o bieżących sprawach, podczas gdy ona cerowała mu skarpetki. Opiekowała się nim czule, przygotowywała mu specjalne przysmaki i pielęgnowała podczas niezliczonych zaziębień. Teraz boleśnie odczuła jego brak, powtarzała więc raz po raz, ocierając czerwone, spuchnięte oczy: - I po co on przyłączył się do Klanu!

Gdybyż był na świecie ktoś taki, kto mógłby Scarlett pocieszyć, ukoić jej obawy, wytłumaczyć jej, co znaczą przeróżne strachy, mrozące jej serce! Gdybyż Ashley - odepchnęła czym prędzej tę myśl. Omal nie zabiła Ashleya tak samo jak Franka. I gdyby Ashley wiedział o tym, jak skłamała Frankowi, aby go skłonić do małżeństwa, jak była dla niego niedobra, z pewnością przestałby ją kochać. Ashley miał silne poczucie honoru, był tak prawdomówny, tak szlachetny, prostolinijny i szczerzy... Ale gdyby znał całą prawdę, zrozumiałby z pewnością. O, tak, zrozumiałby aż za dobrze! Przestałby ją kochać. Nigdy więc nie będzie znał prawdy, ponieważ życzyła sobie, aby zawsze ją kochał. Jakże by mogła żyć, gdyby zabrano jej to tajemne źródło siły, jego miłość? Ale jakąż by jej ulgę sprawiło, gdyby mogła złożyć głowę na jego ramieniu, wypłakać się i zrzucić ciężar z grzesznego serca!

Milczenie domu i atmosfera śmierci działały na nią tak przytłaczająco, że czuła, iż nie zniesie ich dłużej. Wstała ostrożnie, na wpół zamknęła drzwi i zaczęła grzebać pod bielizną w dolnej szufladzie komody. Wyjęła butelkę koniaku ciotki Pitty „od omdleń”, którą tam ukryła, i podniosła ją pod światło. Była do połowy pusta. Niemożliwe, aby tyle wypiła od ostatniej

nocy! Nalała sobie sporo do szklanki i szybko przełknęła. Będzie musiała jeszcze przed ranem odstawić butelkę do kredensu i napełnić ją wodą. Mammy szukała jej tuż przed pogrzebem, bo żałobnicy chcieli się napić - kuchnia była naładowana wzajemnymi podejrzeniami Mammy, kucharki i Piotra.

Koniak palił ją ognisnie, przyjemnie. Nie było nic lepszego nad trunek, kiedy człowiek łaknął pokrzepienia. Właściwie koniak dobry był o każdej niemal porze dnia, znacznie lepszy od mdłego wina. Dlaczego, na Boga, wypada, aby kobieta piła wino, a nie wolno jej pić alkoholu? Pani Merriweather i pani Meade najwyraźniej wachały jej oddech na pogrzebie, a potem zamieniły tryumfujące spojrzenia. Wstrętne stare baby!

Nalała sobie drugą szklankę. Jeżeli nawet wstawi się trochę, to i tak położy się zaraz do łóżka i najwyżej wypłucze sobie usta wodą kolońską, zanim Mammy przyjdzie ją rozsznurować. Żałowała, że nie może upić się tak zupełnie i do nieprzytomności, jak Gerald w dniach sesji sądowej. Może by mogła wtedy zapomnieć zapadniętą twarz Franka i wypisane na niej oskarżenie, że zrujnowała mu życie i przyczyniła się do jego śmierci.

Zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy w mieście uważają, że Frank zginął z jej winy. Na pogrzebie znajomi byli dla niej dość chłodni. Jedynymi osobami, które w kondolencje włożyły trochę serdeczności, były żony jankeskich oficerów, z którymi prowadziła interesy. Wszystko zresztą jedno, nie dbała o to, co miasto o niej mówi. Jakże się to wydawało nieważne w porównaniu z tym, za co odpowie przed Bogiem!

Na tę myśl znowu się napiła, wzdrygając się, gdy koniak gorącą strugą spływał jej przez gardło. Było jej teraz bardzo ciepło, ale wciąż jeszcze nie mogła się uwolnić od myśli o Franku. Jakże głupi byli ludzie twierdzący, że alkohol pomaga zapomnieć! Póki nie upije się do nieprzytomności, będzie ciągle widziała przed sobą twarz Franka, po raz ostatni proszącego ją, aby nie jeździła sama - nieśmiało, z wyrzutem, z żalem.

Kołatka przy frontowych drzwiach uderzyła tępo, po cichym domu rozniosło się echo. Usłyszała w hallu człapanie ciotki Pitty, potem otwarcie drzwi. Rozległy się powitania i niewyraźne szepty. Pewnie jakaś sąsiadka, która przyszła porozmawiać o pogrzebie lub przyniosła do skosztowania galaretkę. Pitty będzie z tego zadowolona. Rozmawiała z kondolentami z przyjemnością i poczuciem ważności.

Przez chwilę Scarlett zastanawiała się bez ciekawości, kto to taki, aż głos męski, dźwięczny i przeciągły, zagórował nad pogrzebowym szeptem Pitty. Ogarnęła ją nagle radość i poczucie ulgi. Był to Rett. Nie widziała go od chwili, gdy przyniósł jej wiadomość o śmierci Franka, teraz jednak poczuła, że jest on jedynym człowiekiem, który mógł jej pomóc.

- Mam wrażenie, że mnie przyjmie - doszedł ją głos Retta.

- Ale ona położyła się, panie kapitanie, i nie chce nikogo widzieć. Biedne dziecko, taka jest zrozpaczona. Nie...

- Zdaje mi się, że mnie przyjmie. Niech jej pani z łaski swojej powie, że wyjeżdżam jutro i nie będzie mnie tu dość długo. To bardzo ważne.

- Ale... - zaczęła się wykręcać ciotka Pitty.

Scarlett wybiegła do hallu, ze zdziwieniem stwierdzając, że niepewnie stoi na nogach, i oparła się o poręcz schodów.

- Schodzę w tej chwili, Rett! - zawołała.

Widziała w przelocie pulchną, w górę zwróconą twarz ciotki Pittypat i oczy jej, okrągłe ze zdziwienia i zgorzienia. „Teraz całe miasto będzie już wiedziało, że zachowałam się niewłaściwie w dniu pogrzebu męża - myślała Scarlett wracając pospiesznie do sypialni, aby przyczesać sobie włosy. Zapięła pod sam podbródek czarny stanik i przypięła kołnierzyk żalobną broszką Pitty. - Nie wyglądam bardzo pięknie - myślała pochylając się nad lustrem - jestem blada i wylękniona. - Ręka jej bezwiednie skierowała się do skrytki, w której trzymała róż, ale cofnęła się po chwili. Biedna Pittypat byłaby naprawdę zmartwiona, gdyby ukazała się na dole różowa i świeża. Przechyliła butelkę wody kolońskiej, nabrała sporo jej w usta, starannie je wypłukała i splunęła wodę do kubła.

Z szumem spódnic zbiegła po schodach w stronę tych dwojga, jeszcze ciągle stojących w hallu, bo Pittypat była zanadto pod wrażeniem postępowania Scarlett, aby poprosić Retta do pokoju. Ubrany był w uroczystą czerń, koszulę miał sztywno wykrochmaloną i zachowywał się, jak przystoi staremu przyjacielowi, który składa wizytę osieroconej niewieście. Zachowywał się tak bardzo poprawnie, że trąciło to groteską, chociaż Pittypat tego nie dostrzegła. Przeprosił Scarlett, jak należy, że ją niepokoi, i usprawiedliwił się, że z powodu nawału zajęć związanych z wyjazdem nie mógł być na pogrzebie.

„Co go naszło, że przyszedł? - dziwiła się w duchu Scarlett. - Przecież nie myśli tego, co mówi”.

- Przykro mi, że panią trudzę w takiej chwili, ale mam do omówienia pewną sprawę handlową, nie cierpiącą zwłoki. Planowaliśmy coś wspólnie z panem Kennedym...

- Nie wiedziałam wcale, że pan miał jakieś interesy z panem Kennedym - rzekła ciotka Pittypat, prawie urażona, że nie знаła jakichś projektów Franka.

- Pan Kennedy był człowiekiem o tak różnorodnych zainteresowaniach - rzekł Rett z szacunkiem. - Czy mógłbym wejść do salonu?

- Nie! - zawołała Scarlett patrząc na zasunięte drzwi. Jeszcze ciągle miała przed oczyma obraz stojącej w tym pokoju trumny. Nie chciała do tego pokoju nigdy więcej zaglądać. Pitty

wyjątkowo zachowała się taktownie i rzekła:

- Proszę, wejdźcie państwo do biblioteki. Ja muszę... powinnam właściwie iść na górę i poszyć trochę. Bardzo wszystko zaniedbałam w ostatnim tygodniu. Doprawdy...

Weszła na schody rzucając na odchodnym spojrzenie pełne wyrzutu, którego nie zauważyła jednak ani Scarlett, ani Rett. Rett otworzył drzwi przed Scarlett.

- Jakież interesy miałeś z Frankiem? - zapytała.

Podszedł do niej bliżej i szepnął: - Żadnych w ogóle. Chciałem tylko pozbyć się panny Pitty. - Przerwał i pochylił się nad nią. - To nie ma sensu, Scarlett.

- Co?

- Woda kolońska.

- Zapewniam cię, że nie wiem, o czym mówisz.

- Przysięgłbym, że wiesz. Piłaś.

- No więc, cóż z tego? To chyba nie twoja rzecz.

- Co za uosobienie uprzejmości, nawet w najgłębszym smutku! Nie pij w samotności, Scarlett. Ludzie zawsze się o tym dowiadują, to szkodzi opinii. Poza tym zaś, samotne picie to rzecz bardzo zła. Co ci dolega, kochanie?

Poprowadził ją do kanapki z drzewa różanego; usiadła w milczeniu.

- Czy mogę zamknąć drzwi?

Scarlett wiedziała, że jeżeli Mammy zobaczy zamknięte drzwi, będzie bardzo zgorzonna i będzie gderać i prawić na ten temat morały bez końca - gorzej jednak byłoby, gdyby miała usłyszeć tę rozmowę o picciu, szczególnie teraz, wobec zniknięcia butelki koniaku. Skinęła więc głową i Rett zamknął drzwi. Kiedy wrócił i usiadł koło niej, a ciemne jego oczy spoczęły badawczo na jej twarzy, zmora śmierci ustąpiła trochę, pokój wydał się znowu miły i zaciszny, a światło lampy różowe i ciepłe.

- Co ci jest, kochanie?

Nikt na świecie nie umiał tego czułego słówka wypowiadać tak pieśczośliwie jak Rett, nawet gdy żartował - a teraz wyglądał bardzo serio. Podniosła na niego udęczone spojrzenie i znalazła pewną pociechę widząc, że twarz jego jest spokojna i nieprzenikniona. Zdziwiła się, Rett zwykle bywał dokuczliwy i nieczuły. Czasem myślała, że wszyscy ludzie, których w życiu swoim знаła, byli dla niej obcy, poza jedynym Rettem.

- Czy nie możesz mi powiedzieć? - podniósł jej dłoń bardzo łagodnie. - Czy jeszcze coś cię trapi poza śmiercią poczciwego Franka? Czy potrzebne ci pieniądze?

- Pieniądze? Ach, nie! Och, Rett, tak się boję!

- Nie bądź gąską, Scarlett, nigdy w życiu niczego się nie bałaś.



- Och, Rett, boję się.

Słowa cisnęły się jej na usta szybciej, niż mogła je wypowiedzieć. Jemu można było wszystko powiedzieć. Nabroił w swoim życiu tak wiele, że z pewnością nie osądzi jej surowo. Jak to dobrze, że zna kogoś, kto był niedobry i niehonorowy, kto oszukiwał i kłamał, gdy świat cały pełen był ludzi, którzy nie skłamaliby nawet we własnej obronie i którzy by raczej umarli z głodu, niż postąpili nieuczciwie!

- Boję się, że umrę i pójdę do piekła.

Gdyby ją wysmiał, umarłaby na miejscu. On jednak nie uśmiechnął się nawet.

- Jesteś bardzo zdrowa, poza tym zaś nie wiadomo, czy piekło istnieje.

- Och, istnieje z pewnością, Rett! Wiesz o tym dobrze!

- Wiem, że istnieje, ale znajduje się tutaj, na ziemi. Nie ma go po śmierci. Po śmierci nie ma już nic, Scarlett. Piekło swoje przeżywamy teraz.

- Och, Rett, to przecież bluźnierstwo!

- Ale bardzo pocieszające. Powiedz mi, dlaczego przypuszczasz, że pójdiesz do piekła?

Teraz już kpił z niej trochę, poznawała to po błysku jego oczu, ale nie miała mu tego za złe. Ręce jego były ciepłe i silne, uścisk bardzo krzepiący..

- Rett, nie powinnam była wychodzić za Franka. To było grzechem. Był wielbicielem Zueli i kochał ją, nie zaś mnie. A ja go okłamałam, powiedziałam mu, że Zuela wychodzi za Tonia Fontaine. Och, jakże mogłam to zrobić!

- Ach, a więc to w ten sposób się stało! Zawsze się nad tym zastanawiałem.

- A potem tak go unieszczęśliwiłam. Zmuszałam go do robienia rzeczy, których nie chciał robić, kazałam mu wyduszać pieniądze z ludzi, którzy doprawdy nie mieli czym płacić rachunków. I bolał tak bardzo nad tym, że prowadzę tartaki, że zbudowałam szynk i najęłam więźniów... Ze wstydu nie mógł patrzeć ludziom w oczy. I Rett... to ja go zabiłam. Tak, ja! Nie wiedziałam, że należy do Klanu. Nie przypuszczałam, że ma tyle odwagi. Ale powinnam była o tym wiedzieć. I zabiłam go.

- „...Mógłżeby cały ocean te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?”<sup>1</sup>

- Co mówisz? .

- Mniejsza z tym. Mów dalej.

- Mówić dalej? To już wszystko. Czy to nie dość? Wysłałam za niego, unieszczęśliwiłam go, a teraz zabiłam. O, Boże, Boże! Nie rozumiem, jak mogłam to zrobić!

---

<sup>1</sup> Macbeth, II, 2. Tłum. J. Paszkowski.

Skłamałam, aby móc go poślubić. Wszystko to wydawało mi się bardzo właściwe, kiedy to robiłam, a teraz nagle widzę, że źle postępowałam. Rett, zdaje mi się, jak gdybym to nie ja zrobiła te wszystkie straszne rzeczy. Byłam dla niego tak niedobra, a ja w rzeczywistości wcale nie jestem zła. Wychowano mnie zupełnie inaczej. Matka... - przerwała i przełknęła ślinę. Przez cały dzień unikała myśli o Ellen, ale teraz nie mogła już dłużej odpędzić wspomnienia o niej.

- Zastanawiam się często, jaka była twoja matka. Ty wydajesz mi się bardzo podobna do swego ojca

- Matka była... Och, Rett, po raz pierwszy w życiu jestem zadowolona, że już nie żyje i że mnie nie może widzieć. Nie wychowała mnie na istotę złą. Była taka miła dla wszystkich, taka dobra. Wolałaby pewnie, abym umarła z głodu, niżbym miała zrobić to, co zrobiłam. A ja tak pragnęłam być do niej pod każdym względem podobna - i nie jestem podobna wcale... Nie myślałam o tym dotąd, musiałam myśleć o tylu innych sprawach, ale zawsze chciałam być taka jak matka. Nie chciałam się wdać w ojca. Kochałam go, ale on był... trochę bezmyślny. Rett, czasem bardzo się starałam być miła dla ludzi i dobra dla Franka, wtedy jednak znowu wracał mój koszmar i tak mnie przerażał, że chciałam biec przed siebie i wrywać ludziom pieniądze, moje czy nie moje.

Łzy spływały niepowstrzymanie po jej twarzy, ścisnęła go za rękę tak mocno, że paznokcie jej wpijały mu się w ciało.

- Jaki koszmar? - Głos Retta brzmiał spokojnie i krzepiąco.

- Och, zapomniałam, że ty o nim nie wiesz. No więc zawsze wtedy, gdy starałam się być miła dla ludzi i mówiłam sobie, że pieniądze nie są wszystkim, kładąc się spać śniłam, że znowu jestem w Tarze, tuż po śmierci matki, zaraz po przejściu Jankesów. Rett, nie możesz sobie wyobrazić... zimno mi się robi, gdy o tym pomyślę. Wszystko jest spalone, jest bardzo cicho i nie ma nic do jedzenia... Och, Rett, śni mi się, że jestem znowu głodna...

- Mów dalej.

- Jestem głodna, a ojciec, siostry i Murzyni nie mają nic do jedzenia i powtarzają mi raz po raz: „Jesteśmy głodni”; żołądek mój jest tak pusty, że aż boli, i jestem śmiertelnie przerażona. Powtarzam sobie w duchu: „Jeżeli to przetrzymam, nigdy, przenigdy więcej w życiu nie będę głodna”, a potem sen zmienia się: opada szara mgła, a ja biegnę, biegnę wśród niej, biegnę tak szybko, że serce mi omal nie pęka - goni mnie coś, a ja nie mogę tchu złapać, ale myślę bez przerwy, że jeżeli dobiegnę, będę uratowana. Nie wiem jednak, dokąd staram się dobiec. A potem budzę się, jestem zimna z przerażenia i znowu bardzo się boję, że będę głodna. Kiedy wstaję po takim śnie, wydaje mi się, że na całym świecie nie ma dość

pieniędzy, które by mnie uchroniły przed obawą głodu. Kiedy więc Frank bywał ślamazarny i ustępliwy, musiałam się na niego złościć i gniewać. Nie rozumiał pewno, dlaczego taka jestem, a ja nie mogłam mu tego wytłumaczyć. Myślałam wciąż, że wynagrodzę mu to wszystko kiedyś w przyszłości, gdy będę miała pieniądze i nie będę się już bała głodu. A teraz on nie żyje i jest już za późno... Och, wszystko wydawało mi się tak słuszne, kiedy to robiłam, a było tak złe... Gdybym mogła to teraz odrobić, postępowałabym zupełnie inaczej.

- Cicho - powiedział Rett wyplątując dłoń z jej rozpaczliwego uścisku i wyciągając z kieszeni chusteczkę. - Wytrzymaj sobie twarz. Nie ma sensu, abyś się tak szarpała.

Wzięła chustkę i otarła wilgotne policzki. Czuła teraz pewną ulgę, jak gdyby część swoich ciężarów przeniosła na jego szerokie barki. Wyglądał rozumnie i spokojnie, i nawet lekki jego uśmiezek stanowił pokrzepienie, bo świadczył, że rozpacz jej i niepokój są zbędne.

- Czy czujesz się lepiej teraz? No więc, wyczerpmy tę sprawę do dna. Mówisz, że gdybyś mogła to wszystko odrobić, postępowałabyś inaczej. Czy jesteś tego pewna? Zastanów się nad tym.

- No...

- Nie, zrobiłabyś po raz wtóry to samo. Czy miałaś inne wyjście?

- Nie.

- Czego więc żałujesz?

- Byłam taka niedobra, a teraz on nie żyje.

- Gdyby żył, byłabyś znowu niedobra. Tak jak ja to rozumiem, nie żałujesz właściwie, że poślubiłaś Franka, że dokuczałaś mu i nieopatrnie spowodowałaś jego śmierć. Jest ci źle, ponieważ boisz się, że pójdziesz do piekła. Czy tak?

- No... to bardzo skomplikowane.

- Twoja moralność jest także bardzo skomplikowana. Jesteś w położeniu złodzieja, który został schwytany na gorącym uczynku i nie żałuje, że ukradł, ale bardzo, bardzo żałuje, że idzie do więzienia.

- Złodzieja...

- Och, nie bierz wszystkiego tak dosłownie! Innymi słowy, gdyby nie głupia myśl, że będziesz skazana na wieczysty ogień piekielny, myślałabyś może, żeś się znakomicie pozbyła Franka.

- Rett, jakże możesz!

- Och, dajże spokój! Spowiadasz się przede mną, więc lepiej, abyś wyznała całą prawdę niż zacne kłamstwo. Czy twoje... hmm... sumienie bardzo ci się dawało we znaki, kiedy

miałaś zamiar - jak by to powiedzieć? - rozstać się z owym klejnotem, który jest rzekomo droższy od życia, za sumę trzystu dolarów?

Koniak snuł jej się teraz po głowie, była zamroczona i obojętna na wszystko. Na co się zda okłamywanie Retta? Zawsze zdawał się czytać w jej myślach.

- Wtedy mało właściwie myślałam o Bogu czy piekle. A jeżeli myślałam... no, to wydawało mi się po prostu, że Bóg zrozumie.

- Dlaczego jednak odmawiasz Bogu rozumienia, gdy chodzi o sprawę wydania się za Franka?

- Rett, jakże możesz mówić o Bogu, kiedy wcale w Niego nie wierzysz?

- Ale ty przecież wierzysz w Boga Zemsty i to jest w tej chwili ważne. Dlaczego by Pan Bóg nie miał rozumieć? Czy żałujesz, że Tara dotąd należy do ciebie i że nie mieszkają tam Carpetbaggerzy? Czy żałujesz, że nie jesteś głodna i obdarta?

- Och, nie!

- A czy miałaś inny wybór niż poślubienie Franka?

- Nie.

- Nie potrzebował się przecież z tobą żenić, prawda? Mężczyźni mają własną wolę. I nie potrzebował ci pozwalać na dokuczanie sobie i zmuszanie do robienia rzeczy, których nie miał ochoty robić, prawda?

- No...

- A więc dlaczego się tym martwisz, Scarlett? Gdybyś miała zrobić powtórnie to samo, znowu byłabyś zmuszona do kłamstwa, a on do ożenku z tobą. Znowu narażałabyś się na niebezpieczeństwo, on zaś musiałby cię pomścić. Gdyby ożenił się z siostrą twoją, Zuelą, ona nie stałaby się może przyczyną jego śmierci, ale uczyniłaby go prawdopodobnie dwa razy nieszczęśliwszym niż ty. Nie mogło być inaczej.

- Mogłam jednak być dla niego lepsza.

- Mogłabyś, gdybyś była inna. Zostałaś jednak stworzona do dokuczania każdemu, kto ci na to pozwoli. Silni stworzeni są do panowania, a słabi do ulegania. To wina Franka, bo nie bił cię batem... Dziwię się, Scarlett, że po tylu latach rodzi się w tobie sumienie. Oportuniści twego pokroju nie powinni mieć sumienia.

- Co to jest opór... jak to powiedziałaś?

- Człowiek, który umie wyzyskiwać sprzyjające okoliczności.

- Czy to coś złego?

- To nigdy nie cieszyło się dobrą sławą, zwłaszcza u tych, którzy posiadali takie same możliwości i wyzyskać ich nie umieli.

- Och, Rett, znowu żartujesz, a ja przypuszczałam, że będziesz dzisiaj miły!

- Jestem miły, jak na mnie. Scarlett, kochanie, jesteś wstawiona. Tylko to ci dolega i nic więcej.

- Ośmielasz się powiedzieć mi...

- Tak, ośmielałam się. Jesteś na progu tego, co się wulgarnie nazywa „ululaniem się na smutno”, zmienię więc temat i rozerwę cię trochę pewną nowiną, która cię na pewno ubawi. Właściwie przyszedłem tu dzisiaj, aby ci przed wyjazdem tę nowinę oznajmić.

- Dokąd jedziesz?

- Do Anglii, nie będzie mnie przez parę miesięcy. Zapomnij o swoim sumieniu, Scarlett. Nie mam zamiaru dłużej rozmawiać o zbawieniu twojej duszy. Czy nie jesteś ciekawa mojej nowiny?

- Ale... - zaczęła niepewnie i przerwała. Dzięki alkoholowi, który łagodził ostrość wyrzutów sumienia, i kpiącym, ale krzepiącym słowom Retta, blade widmo Franka nikło w cieniu. Może Rett ma słuszność. Może Bóg rozumie. Przyszła do siebie już o tyle, że mogła odsunąć te myśli na dalszy plan i postanović: „Pomyślę o tym wszystkim jutro”.

- Co to za nowina? - zapytała z wysiłkiem, wydmuchując nos w chusteczkę Retta i przyglądając włosy, które zdążyły się roztargać.

- Nowina jest następująca - odrzekł uśmiechając się do niej. - Nadal jeszcze pragnę cię bardziej od wszystkich znanych mi kobiet, uważałem więc, że ponieważ Frank już nie żyje, powinienem ci o tym powiedzieć.

Scarlett wyrwała mu rękę z uścisku i skoczyła na równe nogi.

- Ja... jesteś najgorzej wychowanym człowiekiem na świecie! Przychodzisz tutaj w takiej chwili z twoimi brudnymi... Powinnam była wiedzieć, że nie zmienisz się nigdy. Kiedy ciało Franka nie zdążyło jeszcze ostygnąć! Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości... Może zechcesz opuścić ten...

- Uspokój się lepiej, bo panna Pittypat zjawi się tutaj za chwilę - rzekł nie wstając, tylko wyciągając rękę i biorąc w nią obie jej piąstki. - Obawiam się, żeś mnie źle zrozumiała.

- Nie. zrozumiałam cię? Zrozumiałam doskonale. - Chciała mu się znowu wyrwać. - Puść mnie i idź sobie stąd. Nigdy nie słyszałam rzeczy podobnie niesmacznej. Nie...

- Uspokój się - powiedział. - Proponuję ci, abyś wyszła za mnie za mąż. Czy mam uklęknąć, aby dowieść powagi moich zamiarów?

Powiedziała ze ściśniętym gardłem „Och” i ciężko opadła na kanapę.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy to alkohol płata jej figle, przypominając sobie jego drwiny: „Moja droga, nie należę do ludzi, którzy się żenią”. Albo to

ona jest pijana, albo też on oszalał. Ale Rett nie wyglądał wcale na szaleńca. Był tak spokojny, jakby rozmawiał o pogodzie, i w jego przyjemnie przeciągającym głosie nie było szczególnego wzruszenia.

- Zawsze cię pragnąłem, Scarlett, od owego pierwszego dnia, kiedy poznałem cię w Dwunastu Dębach, kiedy stłukłaś wazonik, klęłaś i dałaś dowody, że wcale nie jesteś damą. Zawsze zamierzałem cię zdobyć tak czy inaczej. Ponieważ jednak dorobiliście się z Frankiem pieniędzy, wiem, że nie będziesz musiała zwracać się do mnie z interesującymi propozycjami pożyczek i gwarancją. Widzę więc, że będę się musiał z tobą ożenić.

- Recie Butler, czy to znowu jeden z twoich nieprzyjemnych żartów?

- Obnażam przed tobą serce, a ty tak mnie podejrzewasz! Nie, Scarlett, to szczerza i uczciwa propozycja. Przyznaję, że nie jest w najlepszym guście, iż zwracam się z nią do ciebie w takiej chwili, mam jednak bardzo dobre usprawiedliwienie. Wyjeżdżam jutro na dość długo i obawiam się, abyś do czasu mego powrotu nie wyszła za męża za kogoś innego, kto ma gotówkę. Pomyślałem więc sobie, że przecież i moje pieniądze są dobre. Doprawdy, Scarlett, nie mogę przecież stracić całego życia na czekaniu, aż cię przyłapię między jednym mężem a drugim.

Mówił poważnie. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Wargi jej zeschły, kiedy to sobie uświadomiła. Z trudem przetykała ślinę i starając się go przeniknąć, patrzyła mu w oczy. Były pełne wesołości, ale kryło się w nich, głęboko, jeszcze coś innego, coś czego w nich dotąd nie widziała, błysk jakiś, którego nie umiała zanalizować. Siedział niedbale, wygodnie, ale czuła, że obserwuje ją bacznie jak kot wpatrzony w mysia norę. Za spokojem jego kryła się skupiona siła, przed którą cofnęła się trochę przestraszona.

Rzeczywiście poprosił ją o rękę. Zrobił tę rzecz niewiarygodną. Kiedyś planowała sobie, że będzie go dręczyć, gdyby się jej kiedykolwiek oświadczył. Kiedyś myślała, że jeżeli Rett wypowie te słowa, upokorzy go i wykaże swoją nad nim władzę, i znajdzie w tym przyjemność. Teraz przemówił wreszcie, nie myślała jednak o swym postanowieniu, bo nie miała nad nim władzy. To on

właściwie całkowicie panował nad sytuacją, a ona była zmieszana jak młoda dziewczynka, której się oświadcza pierwszy mężczyzna. Rumieniła się i jąkała.

- Ja... ja nigdy już nie wyjdę za męża.

- Ależ owszem, wyjdiesz za męża. Stworzona jesteś do tego. Wyjdź za mnie.

- Ależ, Rett, ja... ja ciebie nie kocham.

- To nie powinno być przeszkodą. Nie przypominam sobie, aby miłość grała najważniejszą rolę w dwóch twoich poprzednich związkach.

- Och, jakże możesz tak mówić? Wiesz, jak byłam przywiązana do Franka!

Nic nie powiedział.

- Byłam! Byłam!

- No dobrze, nie będziemy się o to sprzeczać. Czy rozważysz moją propozycję podczas mej nieobecności?

- Rett, nie lubię spraw, które się wloką. Wolałabym odpowiedzieć ci teraz. Pojadę wkrótce do domu, do Tary, a India Wilkes przeprowadzi się do ciotki Pitty. Chcę pojechać do domu na długo i... nie mam zamiaru ponownie wychodzić za mąż.

- Nonsens. Dlaczego?

- Och, no bo... mniejsza z tym, dlaczego. Nie podoba mi się stan małżeński.

- Ależ moje biedne dziecko, tyś nigdy nie była naprawdę zamężną. Jakże możesz coś o tym wiedzieć? Muszę przyznać, że nie miałaś szczęścia... raz wyszłaś za mąż na złość, a raz dla pieniędzy. Czy myślałaś kiedyś o wyjściu za mąż dla przyjemności?

- Dla przyjemności?! Nie mów głupstw. W małżeństwie nie ma żadnej przyjemności.

- Nie? A dlaczego?

Wrócił jej spokój, a z nim wrodzona szczerłość, którą alkohol jeszcze zaostrzał.

- Małżeństwo jest może przyjemne dla mężczyzn, choć Bóg jeden wie, dlaczego. Nigdy tego nie mogłam zrozumieć. Kobieta jednak tylko tyle ma z tego, że ma co jeść, musi znosić humory męża, ma dużo pracy i co rok dziecko.

Roześmiał się tak głośno, że aż echo rozległo się w ciszy. Scarlett usłyszała zgrzyt drzwi kuchennych.

- Cicho! Mammy ma słuch jak ryś. Nie wypada zresztą śmiać się tak zaraz po... przestań się śmiać. Wiesz, że mam rację. Przyjemność! Zawracanie głowy!

- Powiedziałem, że nie miałaś szczęścia, i słowa twoje dowodzą, że miałem słusność. Mężem twoim był najpierw chłopiec, potem człowiek stary, w dodatku zaś matka twoja powiedziała ci z pewnością, że kobieta musi znosić „te rzeczy” z racji przyszłych rozkoszy macierzyństwa. Ale wszystko to jest nieprawdą. Dlaczego nie miałabyś spróbować małżeństwa z przystojnym młodym człowiekiem, który ma złą reputację i umie postępować z kobietami? Może to się okaże przyjemne?

- Jesteś ordynarny i zarozumiały. Zdaje mi się, że rozmowa zaszła już zbyt daleko. Jest... jest dość niesmaczna.

- I dość przyjemna, prawda? Założę się, żeś o stosunkach małżeńskich nie rozmawiała nigdy dotąd z żadnym mężczyzną, nawet z Karolem i Frankiem.

Spojrzała na niego ze złością. Rett wiedział zbyt wiele. Zastanawiała się, gdzie się

nauczył tego wszystkiego, co wie o kobietach. Było to aż nieprzyzwoite.

- Nie marszcz się. Wyznacz datę, Scarlett. Ze względu na twoją opinię, nie nalegam na szybki ślub. Oczekamy właściwy czas. A propos, jak długo trwa „właściwy czas”?

- Nie powiedziałam jeszcze, że zgadzam się wyjść za ciebie. W takiej chwili nie wypada nawet rozmawiać o tych sprawach.

- Wytlumaczyłem ci, dlaczego o nich mówię. Jutro wyjeżdżam, a jestem zbyt namiętym kochankiem, aby namiętność swoją powstrzymywać dłużej. Może jednak byłem zbyt gwałtowny w moich zapalach.

Z nagłością, która ją zaskoczyła, zsunął się z kanapy na kolana i z ręką lekko przytkniętą do serca szybko wyrecytował:

- Wybacz mi, że przerażani cię gwałtownością moich uczuć, droga moja Scarlett... to jest, droga pani Kennedy. Nie mogło ujść twojej uwagi, że od pewnego czasu przyjaźń, jaką żywiłem dla ciebie, przemieniła się w moim sercu w głębsze uczucie, uczucie piękniejsze, czystsze i świętsze. Czy wolno mi je nazwać? Ach! To miłość dodaje mi odwagi!

- Proszę cię, wstań! - błagała. - Wyglądasz jak wariat! Mammy może wejść i zobaczy cię tutaj!

- Będzie zdumiona z powodu pierwszych oznak mojej dżentelmenerii - rzekł Rett, lekko się podnosząc. - Słuchaj, Scarlett, nie jesteś dzieckiem ani pensjonarką i nie odprawiaj mnie głupimi wymówkami o przyzwoitości lub czymś w tym rodzaju. Powiedz, że wyjdiesz za mnie po moim powrocie, albo jak mi Bóg miły, nie pojedę wcale. Będę krążył koło ciebie i co wieczór grał pod twoim oknem na gitarze, będę śpiewał na cały głos i skompromituję cię tak, że będziesz musiała za mnie wyjść dla uratowania opinii.

- Rett, bądźże rozsądny. W ogóle nie chcę wychodzić za mąż.

- Nie? Nie podajesz mi prawdziwego powodu. Nie jest to dziewczęca nieśmiałość. A zatem co?

Nagle pomyślała o Ashleyu, zobaczyła go tak wyraźnie, jak gdyby stał przy niej - jasnowłosa, o marzących oczach, pełen godności, tak zupełnie różny od Retta. On był prawdziwą przyczyną tego, że nie chciała wychodzić za mąż, chociaż zastrzeżeń co do Retta nie miała żadnych i chwilami szczerze go lubiła. Należała do Ashleya na zawsze. Nigdy nie należała do Karola czy Franka, nigdy nie mogła należeć naprawdę do Retta. Każda cząstka jej istoty, prawie wszystko, co robiła w życiu, do czego dążyła, co osiągała, należało do Ashleya, robione było w imię miłości do niego. Ashley i Tara - im oddała się wyłącznie. Uśmiechy i pocałunki, którymi darzyła Karola i Franka, należały do Ashleya, chociaż wcale ich nie żądał i nigdy nie mógł zażądać! Gdzieś głęboko w jej duszy kryło się pragnienie oszczędzania się



dla niego, choć wiedziała, że on jej nigdy nie weźmie.

Nie zdawała sobie sprawy, że zmienił się wyraz jej twarzy, że marzenie nadało jej miękkość, której Rett nigdy w niej dotąd nie widział. Patrzył na skośne zielone oczy, szeroko otwarte i zamglone, na miękką linię jej warg i na chwilę wstrzymał oddech. Potem usta jego skrzywiły się gwałtownie i zaklął z niecierpliwością:

- Scarlett O'Hara, jesteś idiotką!

Zanim mogła wrócić myślami z dalekich przestrzeni, otoczył ją ramionami tak pewnie i mocno jak dawno temu na ciemnej drodze do Tary. Poczowała znowu obezwładniającą bezradność, poddanie się, falę nagłego ciepła, od którego osłabła. Spokojna twarz Ashleya Wilkesa zatarła się i rozplynęła w nicość. Rett przechylił jej głowę przez swoje ramię i całował ją, lekko z początku, potem coraz gwałtowniej, aż zaczęła się tulić do niego coraz mocniej, jak do jedyne go oparcia w kołującym pijanym świecie. Natarczywe jego usta rozchyłały jej drżące wargi, wprawiały ją w silne podniecenie, wywoływały w niej wrażenia, o które nigdy się nie posądzała. I jeszcze zanim ogarnął ją upojny zawrót głowy, poczuła, że oddaje mu pocałunki.

- Przestań, proszę, słabo mi! - wyszeptała starając się odwrócić głowę. On jednak przycisnął ją mocniej do swego ramienia: przez chwilę widziała niejasno jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte i dziwnie płonące - przeraziło ją drżenie jego ramion.

- Chcę, aby ci było słabo. Powinno ci być słabo. Czekając na to od lat. Żaden z tych głupców, których znałaś, nie całował cię w ten sposób, prawda? Ani twój drogi Karol, ani Frank czy ten głupi Ashley.

- Proszę cię...

- Powiedziałem: ten głupi Ashley. Wszystko to dżentelmeni... cóż wiedzą o kobietach? Co wiedzieli o tobie? Tylko ja ciebie znam.

Usta jego znowu spoczęły na jej ustach. Poddała się bez oporu, zbyt słaba teraz, aby odwrócić głowę; serce jej tłukło się przeraźliwie, ogarnął ją strach przed jego siłą i swoją bezwładną słabością. Co on z nią robił? Zemdleje, jeśli nie przestanie. Żeby już przestał, żeby nigdy nie przestawał!

- Powiedz „tak”! - Usta jego były tuż nad jej ustami, a oczy były tak blisko, że wydawały się olbrzymie, zapełniające świat cały. - Powiedz „tak”, u licha, bo...

Wyszeptała „tak”, zanim zdążyła pomyśleć. Zdawało jej się, jak gdyby on wymógł na niej to słowo, a ona wypowiadała je nie z własnej woli. Kiedy je jednak powiedziała, uspokoiła się od razu, w głowie przestało jej się kręcić, ustąpiło nawet zamroczenie koniakiem. Przyniękała, że wyjdzie za niego, chociaż nie miała zamiaru przyniękać. Nie

wiedziała dobrze, jak się to wszystko stało, ale nie żałowała niczego. Wydawało jej się teraz bardzo naturalne, że powiedziała „tak” - zupełnie, jak gdyby za wstawiennictwem bożym ręką silniejszą od jej własnej czuwała nad jej losem, rozwiązywała za nią jej problemy.

Kiedy to powiedziała, Rett odetchnął głęboko i pochylił się, jak gdyby chciał pocałować ją znowu, ona zaś zamknęła oczy i odchyliła głowę. Cofnął się jednak i Scarlett poczuła lekkie rozczarowanie. Było jej dziwnie, że całowana jest w podobny sposób, jednocześnie zaś było to bardzo podniecające.

Siedział bardzo spokojnie, trzymając jej głowę opartą na swoim ramieniu; drżenie jego rąk ustąpiło, jak gdyby powstrzymał je siłą. Odsunął się trochę od Scarlett i popatrzył na nią. Otworzyła oczy i przekonała się, że dziwna łuna ustąpiła z jego twarzy. Nie mogła jednak patrzeć mu teraz w oczy, była zawstydzona i zmieszana.

Kiedy przemówił, głos jego był bardzo spokojny.

- Czy nie cofniesz słowa?

- Nie.

- Czy to nie tylko dlatego, że... jak to się mówi?... zwałem cię z nóg moim - hm - zapałem?

Nie mogła odpowiedzieć, bo nie wiedziała, co powiedzieć, nie mogła też spojrzeć mu w oczy. Wziął ją pod brodę i podniósł jej twarz do siebie.

- Powiedziałem ci kiedyś, że wszystko z twojej strony zniosę z wyjątkiem kłamstwa. A teraz żądam prawdy. Dlaczego powiedziałaś „tak”?

Jeszcze ciągle brakło jej słów, ponieważ jednak wróciła do równowagi, miała teraz skromnie spuszczone oczy, a kąciki ust rozciągnęły się w lekkim uśmiešku.

- Popatrz na mnie. Czy to ze względu na moje pieniądze?

- Ależ Rett! Cóż to za pytanie!

- Podnieś głowę i nie staraj się być przesadnie miła. Nie jestem Karolem, Frankiem czy innym młodzieńcem z twego powiatu i nie dam się złapać na trzepotanie powiekami. Czy to ze względu na moje pieniądze?

- No, może trochę.

- Trochę?

Nie był tym wcale dotknięty. Znowu odetchnął głośno i z pewnym wysiłkiem opanował zniecierpliwienie, „jakie to wyznanie w nim wywołało, zniecierpliwienie, którego Scarlett nie zauważyła.

- No bo, Rett - płątała się bezradnie - pieniądze są dość ważne, jak wiesz, tym bardziej że Frank nie zostawił mi zbyt wiele. A poza tym... wiesz, Rett, że się dobrze rozumiemy. I

jesteś jedynym mężczyzną spośród moich znajomych, któremu kobieta może powiedzieć prawdę, bardzo też mi będzie przyjemnie mieć męża, który nie uważa, że jestem głupią gęsią i nie oczekuje ode mnie przyjemnych kłamstewek - no i poza tym - lubię cię bardzo.

- Lubisz mnie?

- No - rzekła z irytacją - gdybym powiedziała, że jestem w tobie zakochana do szaleństwa, kłamałabym, a co więcej... i ty byś wiedział, że kłamię.

- Czasem sędzę, że zbyt daleko posuwasz swój nałóg mówienia prawdy, moja śliczna. Czy nie uważasz, że choćby to było kłamstwem, byłoby bardzo właściwe, gdybyś powiedziała teraz, że mnie kochasz, mimo że tak nie jest?

Do czego on zmierza, dziwiła się, coraz bardziej zakłopotana. Wyglądał bardzo dziwnie, był niespokojny, drwiący, przejęty. Puścił teraz jej rękę, dłonie wsunął głęboko w kieszenie spodni; widziała, że zacisnął je w pięści. „Choćbym go miała stracić, będę mówiła prawdę” - pomyślała posepnie, rozjątrzona jak zwykle, kiedy jej dokuczał.

- Rett, to byłoby nieprawdą, zresztą po cóż mielibyśmy się bawić w te głupstwa? Bardzo cię lubię, jak powiedziałam. Wiesz, co to znaczy. Powiedziałeś mi kiedyś, że mnie nie kochasz, ale że mamy ze sobą wiele wspólnego. Para łotrów, tak nas kiedyś...

- Och, Boże! - wyszeptał odwracając szybko głowę. - Złapałem się we własne sidła!

- Coś powiedział?

- Nic - popatrzył na nią i roześmiał się, ale śmiech ten brzmiał nieprzyjemnie. - Wyznacz, datę, moja droga - zaśmiał się znowu, pochylił i pocałował ją w obie ręce. Była zadowolona, że przeszedł mu zły humor i że najwidoczniej poweselał, więc uśmiechnęła się także.

Pieścił przez chwilę jej dłoń, potem uśmiechnął się do niej.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś czytać w powieściach o starej jak świat sytuacji, że obojętna żona zakochuje się we własnym mężu?

- Wiesz, że nie czytam powieści - powiedziała i chcąc dostroić się do jego żartobliwego tonu, dodała: - Poza tym zaś powiedziałaś kiedyś, że to w bardzo złym stylu, jeżeli małżonkowie się kochają.

- U licha, mówiłem kiedyś zbyt wiele głupstw! - odrzekł krótko i wstał.

- Nie klnij.

- Będziesz się musiała do tego przyzwyczaić i także nauczyć kłąć. Będziesz musiała znosić wszystkie moje złe narowy. To będzie częścią ceny, jaką zapłacisz za to, że... bardzo mnie lubisz i że dorwiesz się do moich pieniędzy.

- No, nie złość się tak bardzo, że nie skłamałam i nie starałam się pochlebić ci. Przecież

nie jesteś we mnie zakochany, prawda? Dlaczego więc ja miałabym ciebie kochać?

- Nie, moja droga, nie jestem w tobie zakochany, tak samo jak ty we mnie, a gdybym cię nawet kochał, byłabyś ostatnią osobą, której bym to wyznał. Niechaj Bóg ma w swej opiece człowieka, który cię naprawdę pokocha. Złamiesz mu serce, śliczna moja, okrutna, psotna kotko, która tak jest nieuważna i pewna siebie, że nie stara się nawet osłaniać swoich pazurków.

Porwał ją na nogi i znowu pocałował, teraz jednak usta jego były inne, bo zdawał się nie zważać, czy sprawia jej ból - wydawało się, że chce ją dotknąć, obrazić. Wargi jego zsunęły się po jej szyi i wreszcie przycisnął je do jej okrytej taftą piersi tak mocno i tak gorąco, że oddech jego parzył jej skórę. Zaczęła go odpychać z urażoną miną.

- Nie rób tego! Jak śmiesz!

- Serce twoje bije jak serce królika - rzekł drwiąco. - Gdybym był zarozumiały, powiedziałbym, że zbyt szybko jak na zwykle lubienie. Przyglądź swoje stargane piórka i nie rób tych dziewiczych minek. Powiedz mi lepiej, co ci przywieźć z Anglii. Może pierścionek? Jaki byś chciała?

Zawahała się przez chwilę, zaciekawiona ostatnimi jego słowami, jednocześnie pragnąc przedłużenia sceny wybuchem złości i oburzenia.

- Och z diamentem!... i Rett, żeby kamień był bardzo duży!

- Tak duży, abyś mogła się nim chwalić przed twoimi ubogimi przyjaciółmi i mówić: „Patrzcie, co ja mam!” Doskonale, dostaniesz duży kamień, tak duży, że twoje mniej szczęśliwe przyjaciółki będą się mogły pocieszać szeptami, że to bardzo wulgarnie nosić tak wielkie diamenty.

Przeszedł szybko przez pokój w stronę zamkniętych drzwi, za nim zaś podążyła Scarlett, bardzo zdziwiona.

- Co się stało? Dokąd idziesz?

- Do siebie, kończyć pakowanie.

- Och, ale...

- Ale co?

- Nic. Życzę ci przyjemnej podróży.

- Dziękuję ci.

Otworzył drzwi i wyszedł do hallu. Scarlett podreptała za nim, trochę zmieszana, trochę rozczarowana nieoczekiwanym obrotem spraw. Zarzucił płaszcz, wziął kapelusz i rękawiczki.

- Napiszę do ciebie. Zawiadom mnie, gdybyś się rozmyśliła.

- Czy nie...

- Co? - Zdawało się, że mu się bardzo śpieszy.

- Czy nie pocałujesz mnie na pożegnanie? - powiedziała szeptem, z uwagi na domowników.

- Czy nie uważasz, że miałaś już dość pocałunków jak na jeden wieczór? - odpowiedział i uśmiechnął się blado. - I pomyśleć, że skromna, dobrze wychowana młoda dama... A co, czy nie mówiłem ci, że to przyjemnie?

- Och, jesteś niemożliwy! - zawołała w złości, nie dbając o to, że Mammy może ją usłyszeć. - I nie zmartwię się, jeżeli nigdy nie wrócisz.

Odwróciła się i poszła w stronę schodów spodziewając się, że ciepła jego dłoń spocznie na jej ramieniu i zatrzyma ją. On jednak otworzył już drzwi frontowe, przez które powiał zimny wiatr.

- A jednak wrócę - powiedział i wyszedł, ona zaś stała na pierwszym stopniu schodów i długo patrzyła na zamknięte drzwi.

Pierścionek, jaki Rett przywiózł Scarlett z Anglii, był rzeczywiście okazały, tak okazały, że Scarlett wstydziła się go nosić. Lubiła krzykliwą i kosztowną biżuterię, teraz jednak miała nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy mówią, zresztą zgodnie z prawdą, iż pierścionek jest wulgarny. Środkowy kamień był czterokaratowym diamentem, otaczały go zaś szmaragdy. Sięgał do kłykcia jej palca i przytłaczał całą dłoń. Scarlett podejrzewała, że Rett specjalnie wybrał jej pierścionek, który by jak najbardziej rzucał się w oczy.

Do chwili powrotu Retta do Atlanty i włożenia pierścionka na palec nie powiedziała nikomu, nawet rodzinie, o swoich zamiarach, kiedy więc ogłosiła zaręczyny, zerwała się istna burza nieprzyjemnych plotek. Od czasu sprawy z Klanem, Rett i Scarlett stali się najbardziej nie lubianymi obywatelami miasta. Wszyscy krytykowali Scarlett już od dawna, od chwili gdy zdjęła żałobę po Karolu Hamiltonie. Krytyka przeistoczyła się w niechęć z powodu jej nieodpowiedniego dla kobiety postępowania w sprawie tartaków, nieskromności, jakiej dowodziło publiczne pokazywanie się podczas ciąży, oraz wielu innych rzeczy. Kiedy jednak przyczyniła się do śmierci Franka i Tomasza i naraziła na niebezpieczeństwo kilkunastu innych mężczyzn, niechęć przeistoczyła się w publiczne potępienie.

Co się tyczy Retta, to już ściągnął na siebie nienawiść miasta swymi spekulacjami w czasie wojny, potem zaś jeszcze bardziej naraził się współobywatelom przez stosunki z republikanami. Co dziwniejsze jednak, najgorszą nienawiść w sercach dam wzbudził fakt, że to on uratował życie kilku najwybitniejszym obywatelom miasta.

Nie znaczy to, aby żałowały, że mężowie ich pozostali przy życiu. Dotknięte jednak były tym, że zawdzięczają ocalenie swoich bliskich tak kłopotliwemu postępkowi człowieka

pokroju Retta. Przez długie miesiące wiły się w bezsilnej złości, gdy z nich drwili Jankesi. Głośno wypowiadały zdanie, że gdyby Rett miał rzeczywiście dobro Ku-Klux-Klanu na sercu, przeprowadziłby tę całą sprawę o wiele przyzwoiciej. Mówiły, że rozmyślnie wciągnął do sprawy Bellę Watling, aby szanowanych ludzi narazić na dwuznaczną sytuację. Nie zasłużył więc ani na wdzięczność za uratowanie mężczyzn, ani na odpuszczenie mu dawnych grzechów.

Kobiety te, tak współczujące, tak dobre dla nieszczęśliwych, tak wytrzymałe w niedoli, potrafiły być nieubłagane jak istne furie w stosunku do renegatów, którzy przekroczyli choćby jeden drobny nakaz ich niepisanego kodeksu. Kodeks ten był bardzo prosty: cześć dla Konfederacji, szacunek dla jej weteranów, wierność tradycji, duma z ubóstwa, otwarte serca dla przyjaciół i nienawiść do Jankesów - to były jego wytyczne. Scarlett i Rett przekroczyli wszystkie te przepisy.

Mężczyźni, których Rett uratował, z przyzwoitości i pewnego rodzaju wdzięczności starali się ułagodzić swoje żony, ale się to im wcale nie udawało. Przed ogłoszeniem swoich zaręczyn Rett i Scarlett byli już bardzo niepopularni, chociaż ludzie okazywali im pozorną uprzejmość. Teraz nawet uprzejmość ustała. Wiadomość o ich zamierzonym małżeństwie podziałała wstrząsająco, jak wybuch, a kiedy potoczyła się przez miasto, nawet najłagodniejsze kobiety bez ogródek mówiły, co sobie o tym myślą. Wychodzić za mąż w rok za ledwie po śmierci Franka, którego śmierci była przyczyną! I wychodzić za Butlera, który był właścicielem domu publicznego, bratał się z Jankesami i Carpetbaggerami i wspólnie z nimi obmyślał złodziejstwa! Oddzielnie można ich było jeszcze tolerować - bezwstydne jednak połączenie się Scarlett i Retta było już nie do zniesienia. Podli i ordynarni! Należałoby ich wypędzić z miasta!

Atlanta okazałaby może większą pobłażliwość, gdyby wiadomość o zaręczynach Retta i Scarlett nie rozeszła się w czasie, kiedy przyjaciele Retta, Scallawagowie i Carpetbaggerzy, stali się dla szanujących się obywateli bardziej nienawistni niż kiedykolwiek przedtem. Powszechna nienawiść do Jankesów i ich sprzymierzeńców dosięgła wtedy szczytowego punktu, bo właśnie padła ostatnia twierdza oporu Georgii przeciw władzy Jankesów. Długa kampania, rozpoczęta, kiedy Sherman przed czterema laty zaczął się posuwać od Daltonu na południe, osiągnęła wreszcie zenit: upokorzenie stanu było zupełne.

Minęły właśnie trzy lata rekonstrukcji: były to trzy lata terroru. Wszyscy uważali, że sytuacja jest beznadziejna. Teraz Georgia miała się przekonać, że najgorsze czasy rekonstrukcji dopiero się rozpoczynają.

Przez trzy lata rząd federalny starał się narzucać Georgii obce idee i obce prawa, co

przy pomocy armii, która dbała o wykonanie rozporządzeń, udawało się w dużej mierze. Nowy ustrój trzymał się wyłącznie dzięki okupacji wojskowej. Stan wbrew swojej woli znajdował się pod panowaniem Jankesów. Przywódcy polityczni Georgii nie przestawali walczyć o prawo stanu do rządu się wedle własnych przekonań. Nie przestawali przeciwstawiać się wysiłkom zmierzającym do ugięcia ich karków i uznania dyktanda Waszyngtonu za konstytucję stanową.

Oficjalnie rząd Georgii wcale nie skapitulował, opór był jednak płonny, bo z góry skazany na niepowodzenie. Była to walka, której wygrać nie było można, ale tocząc ją odsuwało się przynajmniej to, co nieuniknione. W wielu stanach Południa Murzyni analfabeci już zajmowali wysokie urzędy publiczne, w samorządach zaś niejednokrotnie mieli większość Murzyni i Carpetbaggerzy. Georgia jednak, zawdzięczając upartemu oporowi, uniknęła jak dotąd tego ostatecznego poniżenia. Przez znaczny okres nowych trzech lat kongres stanu pozostawał pod kontrolą białych i demokratów. Wobec rozsiania wojsk jankeskich wszędzie, członkowie rządu nie mogli robić nic więcej jak protestować i stawiać opór. Władza ich była nominalna, ale utrzymali przynajmniej przy sterze rządów stanowych rodowitych Georgijczyków. Teraz padła nawet i ta ostatnia twierdza.

Podobnie jak przed czterema laty odparto krok po kroku Johnstona i jego ludzi z Daltonu do Atlanty, tak poczynając od r. 1865 zaczęto zewsząd wypierać demokratów georgijskich. Wpływy rządu federalnego na interesy stanu i na życie jego obywateli wzrastały stale. Gwałt następował za gwałtem, a coraz liczniejsze zarządzenia wojskowe z dnia na dzień podważały władzę cywilną. Wreszcie kiedy Georgia stała się właściwie prowincją pod zarządem władz wojskowych, dopuszczono do urn wyborczych Murzynów, mimo że konstytucja stanowa na to nie zezwalała.

Na tydzień przed ogłoszeniem zaręczyn Retta i Scarlett odbyły się wybory gubernatora. Demokraci Południa wysunęli kandydaturę generała Johna B. Gordona, jednego z najbardziej ukochanych i poważanych obywateli Georgii. Kontrkandydatem jego był republikanin nazwiskiem Bullock. Wybory trwały trzy dni zamiast jednego. Murzyni wysyłani byli całymi pociągami z miasta do miasta i po drodze głosowali w każdym obwodzie. Bullock oczywiście przeszedł.

Jeżeli podbój Georgii przez Shermana wywołał rozgoryczenie, ostateczne zdobycie władzy nad stanem przez Carpetbaggerów, Jankesów i Murzynów spowodowało natężenie nienawiści takie, jakiego stan nigdy przedtem nie doświadczał. Atlanta i Georgia kipiały i wrzały.

Rett Butler zaś był przyjacielem znieawidzonego Bullocka!

Scarlett z właściwą sobie obojętnością na sprawy nie dotyczące jej bezpośrednio ledwie zauważyła, że odbyły się wybory. Rett nie brał w nich udziału, a jego stosunki z Jankesami były takie same jak poprzednio. To nie zmieniło jednak faktu, że był Scallawagiem i przyjacielem Bullocka. Po zawarciu z nim małżeństwa Scarlett także przejdzie na stronę Scallawagów. Atlanta nie była teraz w nastroju pobłażania czy życzliwości dla nikogo z obozu nieprzyjaciela, więc na wiadomość o zaręczynach Scarlett z Rettem miasto przypomniało sobie o młodej parze wszystko złe, a zapomniało o dobrym.

Scarlett wiedziała, że miasto jest wzburzone, nie doceniała jednak siły tego oburzenia, aż pani Merriweather, przynaglona przez swój komitet kościelny, podjęła się porozmawiać z nią w imię jej własnego dobra.

- Ponieważ twoja droga matka nie żyje, a panna Pitty nie będąc mężatką nie ma kwalifikacji do... no, do rozmawiania z tobą na taki temat, uważam, że to ja powinnam cię ostrzec, Scarlett. Kapitan Butler nie jest odpowiednią partią dla kobiety z dobrej rodziny. Jest...

- Potrafił jednak uratować dziadka Merriweathera, a także pani siostrzeńca!

Pani Merriweather nadeła się w milczeniu. Zaledwie przed godziną miała irytującą rozmowę z dziadkiem. Stary pan powiedział, że chyba nie bardzo jej zależy na jego skórze, skoro nie ma dla Retta Butlera żadnej wdzięczności, nawet jeśli jest Scallawagiem i łotrem.

- Zrobił to tylko dlatego, Scarlett, żeby nam wypłatać figła, żeby nas upokorzyć w oczach Jankesów - ciągnęła pani Merriweather po chwili. - Wiesz równie dobrze jak ja, że ten człowiek jest łajdakiem. Zawsze nim był, a teraz stał się zupełnie niemożliwy. Po prostu nie należy do ludzi, których się przyjmuje w przyzwoitych domach.

- Nie? To dziwne, pani Merriweather. W pani salonie bywał jednak podczas wojny dość często. I podarował Maybelle biały atłas na suknię, prawda? Czy też mnie może pamięć zawodzi?

- Podczas wojny sprawy miały się zupełnie inaczej, przyzwoici ludzie łączyli się z wielu osobami nie bardzo... Wszystko to robione było dla Sprawy i dlatego bardzo właściwe. Nie możesz przecież myśleć poważnie o poślubieniu człowieka, który nie był w wojsku i kpił z ludzi zaciągających się do armii?

- Przeciwnie, Rett był w wojsku. Był w wojsku przez osiem miesięcy. Przez cały czas ostatniej kampanii. Walczył pod Franklinem, a w czasie kapitulacji był w pułku generała Johnstona.

- Nie słyszałam o tym - rzekła pani Merriweather i miała taką minę, jak gdyby w to wcale nie wierzyła. - Ale nie był ranny - dodała z tryumfem.



- Podobnie jak wielu innych.

- Każdy, kto się liczy, był ranny. Przynajmniej ja nie znam nikogo, kto by nie był ranny. Scarlett wpadła we wściekłość.

- Przypuszczam więc, że wszyscy mężczyźni, których pani znała, byli tak głupi, że nie wiedzieli, kiedy schronić się przed gradem kul. A teraz niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie, co następuje - upoważniam panią także do powtórzenia tego pani wścibskim przyjaciółkom: wychodzę za mąż za kapitana Butlera i nie powstrzymałaby mnie od tego nawet świadomość, że walczył po stronie Jankesów.

Kiedy godna matrona wyszła z jej domu w czepku przekrzywionym z pasji, Scarlett wiedziała, że zamiast krytykującej znajomej ma teraz otwartego wroga. Nie przejęła się tym zbyt. Nie dbała o to, co pani Merriweather powie i co pomyśli. Nie obchodziło jej niczyje zdanie z wyjątkiem zdania Mammy.

Scarlett zniosła spokojnie zemdlenie Pitty na wiadomość o jej zaręczynach i reakcję Ashleya, który nagle sposepniał i życząc jej szczęścia nie patrzył jej w oczy. Ubawiły ją trochę, a trochę rozżłościły listy od ciotki Pauliny i Eulali z Charlestonu, oszołomionych nowiną, zabraniających małżeństwa i przepowiadających, że to nie tylko podważy stanowisko towarzyskie Scarlett, ale i na nich odbije się niekorzystnie. Śmiała się nawet, kiedy Melania ze zmarszczonymi poważnie brwiami powiedziała jej szczerze: - Pewnie, że kapitan Butler jest daleko lepszy, niż ludzie przypuszczają, i w bardzo dobry i mądry sposób uratował Ashleya. Walczył także po stronie Konfederacji. Ale, Scarlett, czy nie wydaje ci się, że nie powinnaś się decydować tak szybko?

Nie, nie dbała o to wcale, co mówią wszyscy - z jedynym wyjątkiem Mammy. Słowa Mammy najbardziej ją rozżłościły i najwięcej ubodły.

- Patrzyłam, jak robiłaś rzeczy, które by zmartwiły panią Ellen, gdyby o nich wiedziała. I mnie one bardzo zasmucały. Ale to jest już najgorsze ze wszystkiego. Wyjść za mąż za człowieka z hołoty! Tak, powiedziałam: z hołoty! Nie mów mi, że pochodzi z dobrej rodziny. To nie stanowi żadnej różnicy. Hołota przychodzi z różnych sfer, a on jest z hołoty! Tak, Scarlett, widziałam, jak odbiłaś pana Karola Miss Honey, chociaż go wcale nie lubiłaś. I widziałam, jak własnej siostrze odebrałaś pana Franka. I nie otwierałam ust, kiedy robiłaś to wszystko, co robiłaś - kiedy sprzedawałaś marne drzewo jako dobre, opowiadałaś kłamstwa o innych panach, co handlują drzewem, jeździłaś sama i pokazywałaś się wyzwolonym Murzynom, sprowadziłaś śmierć na pana Franka i tak mało dawałaś do jedzenia tym biednym więźniom, że mało nie poumierali z głodu. Nie otwierałam ust, chociaż pani Ellen w Ziemi Obiecanej mówiła: „Mammy, Mammy! Źle pilnujesz mojego dziecka!” Tak, Scarlett,

zniosłam to wszystko, ale tego nie zniosę. Dopóki ja żyję na świecie, nie wyjdiesz za mąż za byle kogo.

- Wyjdę, za kogo mi się podoba - rzekła Scarlett zimno. - Zdaje mi się, że się zapominasz, Mammy.

- Już najwyższy czas na to! Jeżeli ja nie powiem ci tego, co myślę, kto to zrobi?

- Mammy, zastanawiałam się nad tym długo i uważam, że najlepiej dla ciebie będzie, jeżeli wrócisz do Tary. Dam ci trochę pieniędzy i...

Mammy wyprostowała się z całą godnością, na jaką ją było stać.

- Ja jestem wolna, Scarlett. Nie możesz mnie posłać tam, gdzie nie będę chciała pojechać. A do Tary pojedę, jeżeli ty pojedziesz ze mną. Nie zostawię dziecka pani Ellen i nic na świecie nie zmusi mnie do wyjazdu. I nie opuszczę także wnuczków pani Ellen, aby je wychowywał byle jaki ojczym. Tu jestem i tu zostanę!

- Nie chcę, abyś w moim domu zachowywała się niegrzecznie w stosunku do kapitana Butlera. Wychodzę za niego, i to wszystko, co mam ci do powiedzenia.

- Ale ja mam ci jeszcze coś więcej do powiedzenia - odparła Mammy wolno i w jej starych, zmętniałych oczach pojawiły się wojownicze błyski. - Miałam zamiar nigdy tego nie powiedzieć nikomu z rodziny pani Ellen. Ale, Scarlett, teraz mnie słuchaj. Nie jesteś niczym więcej jak mułem w końskiej uprzęży. Można czyścić kopyta muła, szcztokować jego sierść, powiesić na jego grzbiecie mosiężne sprzączki i zaprząć go do pięknego powozu - mułem i tak zostanie. Nikogo nie oszuka. Z tobą jest tak samo. Masz jedwabne suknie i tartaki, sklep i pieniądze, udajesz pięknego konia, ale jesteś tylko mułem. I także nikogo nie możesz oszukać. I ten Butler tak samo: pochodzi z dobrej rodziny i taki jest gładki jak wyścigowy koń, ale jest jak ty: mułem w końskiej uprzęży.

Mammy rzuciła przenikliwe spojrzenie na swoją panią. Scarlett zaniemówiła; drżała z oburzenia.

- Skoro mówisz, że za niego wyjdiesz, zrobisz to, bo jesteś uparta jak twój ojciec. Ale pamiętaj, Scarlett, że ja nie odejdę. Zostanę tutaj i zniosę jeszcze i to.

Nie czekając na odpowiedź, Mammy odwróciła się i wyszła z pokoju; gdyby powiedziała: „Spotkamy się pod Filippi!” głos jej nie mógłby brzmieć bardziej złowroźnie.

W Nowym Orleanie podczas podróży poślubnej Scarlett opowiedziała Rettowi o słowach Mammy. Ku oburzeniu jej i zdziwieniu roześmiał się słysząc zdanie o „mułach w końskiej uprzęży”.

- Nigdy dotąd nie słyszałem podobnie głębokiej prawdy wyrażonej tak zwięźle - powiedział. - Mammy jest mądrą osobą i jedną z niewielu, których zaufanie i życzliwość

chciałbym pozyskać. Ale ponieważ jestem mułem, nie doczekam się z jej strony ani jednego, ani drugiego. Odmówiła nawet przyjęcia dziesięciu złotych dolarów, które jej w zapale dałem po ślubie. Znam bardzo mało osób, które by nie miękły na widok gotówki. Ona jednak popatrzyła mi tylko w oczy, podziękowała i powiedziała, że nie jest wyzwoloną Murzynką i że moich pieniędzy nie potrzebuje.

- Dlaczego ona tak się tym przejęła? Dlaczego wszyscy nie przestają o mnie gadać? To moja sprawa, za kogo wychodzę za mąż i ile razy to robię. Nigdy nie wtrącałam się w cudze sprawy. Dlaczego inni ludzie wtrącają się w moje?

- Moje złotko, ludzie potrafią prawie wszystko wybaczyć z wyjątkiem niewtrącania się w cudze sprawy. Ale dlaczego krzyczysz teraz jak oparzony kot? Powtarzałaś dość często, że nie dbasz o to, co ludzie o tobie mówią. Czemu nie dajesz dowodu tego? Wiesz dobrze, że narażałaś się niejednokrotnie na krytyki w drobnych sprawach, trudno więc, abyś uniknęła plotek w sprawie tak ważnej. Wiedziałaś, że będzie gadanie, kiedy wyjdiesz za takiego obwiesia jak ja. Gdybym był łajdakiem niskiego pochodzenia, i biednym, ludzie nie byłiby tak wściekli. Bogaty jednak, znakomicie prosperujący drań - to jest oczywiście nie do wybaczenia.

- Chciałabym, abyś czasem bywał poważny.

- Ależ ja jestem poważny. To zawsze jest przykre dla ludzi czcigodnych, kiedy mniej czcigodnym powodzi się tak jak mnie. Nie martw się, Scarlett, powiedziałaś mi przecież kiedyś, że chcesz mieć dużo pieniędzy głównie dlatego, aby móc wszystkim na świecie powiedzieć, żeby poszli do diabła. Masz teraz doskonałą sposobność.

- Ależ to ty przecież byłeś tym, któremu przede wszystkim chciałam to powiedzieć - rzekła Scarlett i roześmiała się.

- Czy jeszcze i teraz masz na to ochotę?

- No już nie tak często jak dawniej.

- Ale mów mi to, ile razy zechcesz, jeśli ci to sprawia przyjemność.

- Nie sprawia mi szczególnej przyjemności - rzekła Scarlett i pochylając się pocałowała go niedbale. Ciemne jego oczy szybko przebiegły po jej twarzy wypatrując czegoś, czego nie znalazły. Roześmiał się krótko.

- Zapomnij o Atlancie. Zapomnij o tych starych plotkach. Przywiozłem cię do Nowego Orleanu, abyś się rozerwała, i chcę, abyś się dobrze bawiła.

## CZEŚĆ PIĄTA

## ROZDZIAŁ XLVIII

Scarlett bawiła się w istocie doskonale, prawie tak dobrze jak owej ostatniej wiosny przed wojną. Nowy Orlean był dziwnym, czarownym miejscem i Scarlett używała życia z takim zapalem jak dożywotni więzień, którego ułaskawiono. Carpetbaggerzy łupili miasto, uczeni ludzie tracili dachy nad głowami i nie wiedzieli, skąd wziąć na następny obiad - stanowisko gubernatora zajmował Murzyn. Ten jednak Nowy Orlean, który jej Rett pokazywał, był najweselszym miastem pod słońcem. Ludzie, których poznawała, mieli pieniądze pod dostatkiem i nie mieli żadnych trosk. Rett przedstawił jej wiele pań, ładnych pań w barwnych sukniach, pań, które miały gładkie, nie noszące śladów ciężkiej pracy ręce - które śmiały się ze wszystkiego i nigdy nie rozmawiały o nudnych poważnych rzeczach czy ciężkich czasach. A nowo poznani mężczyźni - jacyż byli interesujący! I jak różni od mężczyzn w Atlancie - walczyli o to, który ma z nią tańczyć pierwszy, i prawili jej wyszukane komplementy, jak gdyby była młodą dziewczyną.

Mężczyźni ci mieli, podobnie jak Rett, wzrok bezwzględny i twardy. Oczy ich były zawsze czujne, jak oczy ludzi tak przywykłych do niebezpieczeństwa, że nigdy nie potrafią o nim zapomnieć. Nie mieli przeszłości ani przyszłości i grzecznie zniechęcali Scarlett do indagacji, kiedy dla podtrzymania rozmowy pytała ich, czym się zajmowali i gdzie mieszkali przed osiedleniem się w Nowym Orleanie. Już choćby i to było dziwne, bo w Atlancie każdy szanujący się nowo przybyły spieszenie przedstawiał swoje listy polecające. Opowiadał z dumą o swoim domu i rodzinie i starał się rozwikłać kręte labirynty powinowactwa, które łączyło wszystkich prawie mieszkańców Południa.

Ci mężczyźni jednak byli milczący i słowa dobierali ostrożnie. Czasem, kiedy Rett był z nimi sam, a Scarlett siedziała w sąsiednim pokoju, słyszała ich śmiechy i nic jej nie mówiące fragmenty rozmów, urywki słów, tajemnicze nazwy: Kuba i Nassau w czasach blokady, gorączka złota, przywłaszczanie sobie działek, przemyt broni i korsarstwo, Nicaragua, William Walker i jego śmierć pod ścianą w Truxillo. Pewnego razu nagłe jej wejście przerwało rozmowę o losach bandy gerylasów Quantrilla, dosłyszała też nazwiska Franka i Jesse Jamesów.

Wszyscy ci panowie mieli jednak doskonałe maniery, byli pięknie ubrani i pełni dla niej szczerego podziwu, więc mało Scarlett obchodziło, że chcieli żyć wyłącznie teraźniejszością. Ważne dla niej było tylko to, że byli przyjaciółmi Retta, że mieli duże domy i piękne powozy, że obwozili ją z Rettem po mieście, zapraszali na kolacje i urządzali na ich cześć przyjęcia.

Scarlett lubiła ich bardzo. Rett był ubawiony, kiedy mu o tym powiedziała.

- Przypuszczałem, że ci się spodobają - powiedział i roześmiał się.

- Czemu nie? - śmiech jego zbudził w niej jak zwykle podejrzenia.

- To wszystko ludzie pośledniejszego gatunku, parszywe owce, łajdacy. Są to awanturnicy lub arystokraci między Carpetbaggerami. Dorobili się pieniędzy na spekulacji żywnością, podobnie jak twój kochający małżonek na wątpliwych dostawach rządowych lub też w inny niezbyt czysty sposób.

- Nie wierzę w to. Chcesz mi dokuczyć. To przemili ludzie...

- Najlepsi ludzie w tym mieście przymierają głodem - rzekł Rett. - I żyją z godnością w norach, w których na pewno nie zostałbym przyjęty. Widzisz, moja droga, podczas wojny byłem tutaj zaangażowany w pewne nieczne sprawy, a ludzie ci mają doskonałą pamięć... Scarlett, jesteś dla mnie źródłem nieustannej radości. Zawsze umiesz sobie dobrać nieodpowiednich ludzi i nieodpowiednie rzeczy.

- Ale to przecież są twoi przyjaciele?

- Tak, ale ja lubię łajdaków. Wczesną młodość spędziłem jako szuler na parowcu rzeczonym, rozumiem więc takich ludzi. Nie mam jednak złudzeń co do nich. Podczas gdy ty - znowu się zaśmiał - nie masz żadnego instynktu, jeżeli chodzi o ludzi, nie rozróżniasz między tym, co niskie i co wielkie. Czasem myślę, że jedynymi wielkimi damami, które znałaś, były twoja matka i pani Mela, chociaż żadna z nich nie wywarła na ciebie większego wpływu.

- Mela! ależ ona jest brzydka jak rozdeptany trzewik, ma zawsze wymięte suknie i nie potrafi dwóch słów śmiało powiedzieć!

- Zaoszczędź mi tego wybuchu zazdrości, Scarlett. Piękność nie czyni z kobiety damy ani suknie- wielkiej damy.

- Rzeczywiście? Czekaj tylko, Recie Butler, a przekonam cię! Teraz, kiedy mam... kiedy mamy pieniądze, stanę się największą damą, jaką kiedykolwiek znałeś.

- Będę czekał cierpliwie - powiedział.

Bardziej interesujące od świeżo poznanych ludzi były suknie, które jej Rett kupował doglądając sam wyboru koloru, materiałów i fasonów. Krynoliny wyszły już z mody, a nowe fasony były po prostu urocze: spódnice ściągnięte do dołu i udrapowane na turniurach przybieranych pękami kwiatów, kokardami lub falbanami z koronki. Scarlett wspominała skromne krynolinki z lat wojennych i czuła się trochę zakłopotana nosząc nowe suknie, bardzo uwydatniające jej kształty. A te rozkoszne małe czepeczki, które nie były właściwie czepekami, ale płaskimi, nasuniętymi na jedno oko talerzykami, przystrojonymi owocami, piórami, kwiatami lub wstążkami! (Że też Rett był taki niemądry i spalił jej sztuczny

warkocz, który kupił, aby powiększyć węzeł gładko zaczesanych włosów, mających wystawać spod kapelusza!). A delikatna, w klasztorach szyta bielizna! Jaka była śliczna, ile kompletów sobie nakupiła! Miała koszulki, nocne koszule i halki z najcieńszego płótna, brzeżone ślicznym haftem i malutkimi groszkami. I atlasowe pantofelki, które jej Rett sam kupował! Z obcasami na trzy cale i wielkimi błyszczącymi klamrami ze strasu. I pończochy jedwabne, całe tuziny, bez stóp bawełnianych! Cóż za bogactwo!

Kupowała z zachłannością podarki dla rodziny: puszyste szczenię św. Bernarda dla Wade'a, który od dawna o takim piesku marzył, perskiego kota dla Beau, bransoletkę z koralami dla małej Elli, ciężki naszyjnik z selenitów dla ciotki Pitty, wydanie zbiorowe Szekspira dla Melanii i Ashleya, dla wuja Piotra wytworną liberię z wysokim cylindrem, materiały na suknie dla Dilcey i kucharki, kosztowne prezenty dla wszystkich w Tarze.

- A co kupiłaś dla Mammy? - zapytał Rett patrząc na stertę zakupów zawalającą łóżko hotelowe i wynosząc pieska i kotka do garderoby.

- Nic. Zachowała się wstrętnie. Dlaczego miałabym jej kupić prezent, skoro nazwała nas „mułami”?

- Dlaczego tak nie lubisz prawdy, moje złotko? Powinnaś coś kupić dla Mammy. Pękłoby jej serce, gdybyś jej nic nie przywiozła, a serca takie jak jej są zbyt cenne, aby je łamać.

- Nie przywiozę jej nic. Nie zasłużyła na to.

- Wobec tego ja jej coś kupię. Przypominam sobie, że moja piastunka zawsze sobie życzyła mieć, kiedy pójdzie do Nieba, halkę taftową tak sztywną, aby nie można jej było złożyć, i tak szeleszczącą, aby Pan Bóg myślał, że zrobiona jest ze skrzydeł anielskich. Kupię dla Mammy czerwoną taftę i każę jej z tego uszyć elegancką halkę.

- Nie przyjmie nic od ciebie. Raczej skona, niż ją włoży.

- Nie wątpię o tym. Ale mimo to dam jej tę halkę.

Sklepy w Nowym Orleanie były bogate i interesujące, a robienie zakupów w towarzystwie Retta stanowiło przeżycie, tak samo zresztą jak jądanie z nim - bo wiedział, co zamawiać, i znał się na kuchni. Wina, likiery i szampan w Nowym Orleanie były dla Scarlett podniecającą nowością, ponieważ dotąd znała tylko domowe wino porzeczkowe i koniak „od omdleń” ciotki Pitty. Jakie jednak Rett zamawiał potrawy! Najlepsze bodaj ze wszystkiego w Nowym Orleanie było jedzenie. Przypominając sobie czasy głodowania w Tarze i późniejszy niedostatek, Scarlett czuła, że nigdy się dość nie naje tych doskonałych potraw: zupy żółtowiej i krewetek, gołąbków w winie, ostryg w cieście ze śmietanowym sosem, pieczarek i wątróbek indyjskich, ryb smażonych wymyślnie w przesyconym oliwą papierze. Nigdy nie

mogła zaspokoić apetytu, bo ilekroć przypominała sobie o suszonej fasoli i bulwach w Tarze, czuła potrzebę nasycenia się na nowo kreolskimi smakołykami.

- Jesz, jak gdyby każdy posiłek był ostatni w twoim życiu - powiedział kiedyś Rett. - Nie skrob talerza, Scarlett. W kuchni z pewnością jest jeszcze dużo jedzenia. Wystarczy tylko poprosić kelnera. Jeżeli nie przestaniesz tak się objadać, staniesz się tłusta jak Kubanki i zmuszony będę rozwieść się z tobą.

W odpowiedzi pokazała mu tylko język i zamówiła jeszcze jednego ptysia z kremem, polanego czekoladą.

Jak przyjemnie było wydawać tyle pieniędzy; ile człowiek chciał, nie liczyć się z groszem i nie myśleć o tym, że należałoby zaoszczędzić na podatki czy kupno mułów. Jak przyjemnie było przebywać między ludźmi, którzy byli weseli i bogaci, a nie dostojnie ubodzy jak znajomi w Atlancie. Jak przyjemnie było nosić szeleszczące suknie brokatowe, które obciskały stan, odsłaniały szyję, ramiona oraz dość znacznie piersi, i wiedzieć, że mężczyźni są pełni zachwytu. I jeść wszystko, co się podoba, bez obawy nagany, że dama tak się nie zachowuje. I pić szampana, ile dusza zapagnie. Kiedy pierwszy raz się wstawiła, zawstydzona była budząc się następnego dnia ze straszną migreną i przypominając sobie, że w drodze do hotelu, jadąc otwartym powozem przez ulice miasta, śpiewała „Niebieski Sztandar”. Nigdy dotąd nie spotkała wstawionej damy, a jedyną pijaną kobietą, jaką widziała, była Bella Watling w dniu upadku Atlanty. Wstydziła się spojrzeć Rettowi w oczy, tak bardzo się czuła upokorzona, ale zdarzenie to zdawało się go tylko bawić. Wszystko, co robiła, bawiło go bardzo, jak gdyby była figlującą kotką.

Przyjemnie było pokazywać się u boku Retta, ponieważ był bardzo przystojny. Dziwnym zbiegiem okoliczności nigdy dotąd nie myślała o jego urodzie, bo w Atlancie wszyscy zanadto byli zajęci jego wadami, by zwracać uwagę na jego wygląd. Tutaj jednak, w Nowym Orleanie, spostrzegła, jak śledzą za nim oczy innych kobiet i jak kobiety okazują zmieszanie, gdy pochyla się nad ich dłońmi. Świadomość, że inne panie interesują się jej mężem i prawdopodobnie zazdroszczą jej go, sprawiła, iż zaczęła być dumna z pokazywania się u jego boku.

„Bardzo z nas ładna para” - myślała z zadowoleniem.

Tak, Rett miał słuszność przepowiadając, że małżeństwo może być sprawą bardzo przyjemną. Nie tylko było przyjemne, ale i pouczające. Dziwne to, ponieważ Scarlett była przekonana, że życie nie może jej już niczego więcej nauczyć. Teraz czuła się jak dziecko, które co dzień odkrywa nowe światy.

Przede wszystkim dowiedziała się, że małżeństwo z Rettem jest czymś zupełnie innym



niż małżeństwo z Karolem czy Frankiem. Tamci dwaj szanowali ją i bali się wybuchów jej złości. Zabiegali o jej względy, którymi darzyła ich, gdy miała ochotę. Rett nie bał się jej ani, jak czasem myślała, zbyt jej nie szanował. Robił wszystko, na co miał ochotę, a jeżeli to nie przypadło Scarlett do smaku, śmiał się z niej jeszcze. Nie kochała go, ale musiała przyznać, że był bardzo interesujący we współżyciu. Najciekawsze w nim było to, że nawet podczas wybuchów namiętności - czasem zaprawionej okrucieństwem, czasem denerwującą ironią - zdawał się trzymać zawsze na wodzy, zawsze kontrolować swoje uczucia.

„To pewnie dlatego, że mnie nie kocha naprawdę - myślała i zadowalała się takim stanem rzeczy. - Nawet nie chciałabym wcale, aby tracił panowanie nad sobą”. A jednak myśl o takiej możliwości bardzo podniecała jej ciekawość.

Żyjąc z Rettem poznała go z wielu nowych stron, chociaż myślała, że zna go bardzo dobrze. Dowiedziała się, że głos jego mógł być jedwabisty jak sierść kota w jednej chwili, a szorstki i nabrzmiął przekleństwami w następnej. Potrafił wspominać szczerze i z widocznym uznaniem dzieje odwagi, honoru, cnoty i miłości ludzi, których spotykał w swoim urozmaiconym życiu, a zaraz potem rozpustne i cyniczne anegdotki. Scarlett wiedziała, że mąż nie powinien takich rzeczy opowiadać swej żonie, były jednak zajmujące i przemawiały do jakiejś pierwotnej i przyziemnej strony jej natury. Na krótką chwilę potrafił być gorącym, nawet czułym kochankiem, i prawie natychmiast dokuczliwym kpiarzem, który podzegał jej wybuchowy temperament, wywoływał krótkie spięcie i zdawał się nim cieszyć. Przekonała się, że komplementy jego miały zawsze dwa ostrza, a najczulsze wylewy brzmiały podejrzenie. Podczas tych tygodni w Nowym Orleanie dowiedziała się o Recie wszystkiego właściwie poza tym, jakim jest naprawdę.

Niekiedy rano zwalniał służącą, przynosił jej sam śniadanie do pokoju i karmił ją, jak gdyby była dzieckiem, potem brał od niej szczotkę i szczotkował jej długie ciemne włosy, aż trzeszczały. A w inne dni wyrywał ją bezlitośnie z głębokiego snu, ściągając z niej kołdrę i łechcąc w gołe stopy. Czasem słuchał z zainteresowaniem szczegółów jej transakcji i chwalił jej spryt, a kiedy indziej nazywał jej wątpliwe interesy zdzierstwem, złodziejstwem i rabunkiem. Zabierał ją do teatru i zanudzał szeptami, że Bóg prawdopodobnie nie pochwała takich rozrywek - i do kościołów, gdzie półgłosem opowiadał jej śmieszne dowcipy, a potem ganił ją, gdy się śmiała. Zachęcał ją do głośnego wypowiedzenia prawdy, do błyskotliwych i ryzykownych uwag. Nauczyła się od niego lotnych słówek i złośliwości i używała ich często, bo dawało jej to pewnego rodzaju przewagę nad innymi ludźmi. Nie miała jednak humoru, który łagodził jego złośliwość, ani charakterystycznego dla Retta uśmiechu, którym szydził zarówno z siebie, jak z innych.

Rett umożliwił jej zabawę, a prawie już nie umiała się bawić. Życie było przecież poważne i gorzkie. Sam umiał się bawić, więc i ją ciągnął za sobą. Nigdy jednak nie bawił się jak chłopiec; był mężczyzną i nigdy nie pozwalał jej o tym zapominać. Nie mogła patrzeć na niego z góry, z wyżyn kobiecej przewagi, ani uśmiechać się lekceważąco, jak zwykle kobiety, gdy kpią z dziwactw mężczyzn, którzy w duszy pozostali chłopcami.

Złościło ją to trochę, gdy o tym myślała. Byłoby przyjemnie móc okazać Rettowi swoją wyższość. Wszystkich innych mężczyzn, których знаła, mogła była skwitować na wpół pogardliwym określeniem: „Jaki to dzieciak!” - ojca swego, braci Tarletonów z ich zamiłowaniem do figłów, małych Fontaine'ów z ich dziecinnymi napadami pasji, Karola, Franka, wszystkich mężczyzn, którzy ją adorowali podczas wojny - wszystkich właściwie, z wyjątkiem Ashleya. Tylko Ashley i Rett wymykali się spod jej rozumienia i władzy, bo obydwaj byli dorośli i brakło im cech chłopięcych.

Nie rozumiała Retta ani nie starała się go zrozumieć, chociaż pewne rzeczy zastanawiały ją czasem. Zwykł na przykład patrzeć na nią dziwnie, gdy przypuszczał, że tego nie widzi. Odwracając się szybko dostrzegała, że obserwuje ją czujnym, bacznym, wyczekującym spojrzeniem.

- Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? - zapytała raz ze złością. - Jak kot na mysia nore!

Twarz zmieniła mu się jednak szybko i tylko się roześmiał. Wkrótce Scarlett zapomniała i nie myślała więcej ani o tym, ani o innych cechach jego charakteru. Był zbyt nieobliczalny, aby sobie nim głowę zawracać, a życie było bardzo przyjemne - jak długo nie myślała o Ashleyu.

Rett zanadto ją pochłaniał, aby mogła często marzyć o Ashleyu. W dzień Ashley rzadko zajmował jej myśli, ale nocą, kiedy zmęczona była tańcem albo kręciło jej się w głowie od nadmiaru szampana - zaczynała go wspominać. Często, kiedy senna leżała w ramionach Retta przy padającym na łóżko świetle księżyca, myślała, jak piękne byłoby życie, gdyby to ramiona Ashleya obejmowały ją tak mocno, gdyby to Ashley zakrywał sobie jej włosami twarz i omotywał szyję.

Pewnego razu myśląc o tym westchnęła i odwróciła głowę w stronę okna. Po chwili mocne ramię pod jej szyją stwardniało jak stal i w ciszy rozległ się głos Retta:

- Niech Bóg potępi na wieki twoją kłamliwą duszę!

Wstał, ubrał się i wyszedł z pokoju mimo jej zdumionych protestów i pytań. Zjawił się następnego ranka, gdy jadła śniadanie, potargany, pijany w sztok i w najzłośliwszym z nastrojów i ani jej nie przeprosił, ani nie wytłumaczył swojej nieobecności.

Scarlett nie pytała go o nic i była bardzo chłodna, jak przystało obrażonej małżonce, a skończywszy śniadanie ubrała się pod jego nalany krwią spojrzeniem i wyszła za sprawunkami. Po powrocie nie zastała go; przyszedł dopiero w porze kolacji.

Jedli w zupełnym milczeniu i humor Scarlett stawał się coraz gorszy, ponieważ był to ich ostatni wieczór w Nowym Orleanie. Chciała pożegnać się z krabami, a nie mogła jeść pod spojrzeniem Retta. Mimo to zjadła sporego kraba i wypła dość dużo szampana. To właśnie połączenie przyczyniło się może do nawrotu jej koszmarnego snu, ponieważ zbudziła się z płaczem, złana zimnym potem. Znowu była w opustoszałej Tarze. Matka nie żyła, a z nią odeszła jej siła i mądrość. Na całym świecie nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, komu mogłaby zaufać. Ścigało ją coś straszego, biegła i biegła. Serce tłukło jej się w piersiach, biegła w gęstej mgle, krzycząc, ślepo szukając niewiadomej, nieznannej, bezpiecznej przystani, która była gdzieś blisko.

Gdy się obudziła, Rett pochylał się nad nią. Bez słowa wziął ją na ręce jak małe dziecko i trzymał mocno przy sobie, twarde jego mięśnie krzepiły ją, a szept nieartykułowany pocieszał, aż wreszcie ustały jej łkania.

- Och, Rett, było mi tak zimno, byłam głodna i zmęczona i nie mogłam „tego” odszukać. Biegłam we mgle, biegłam i nie mogłam znaleźć.

- Czego znaleźć, złotko?

- Nie wiem. Chciałabym wiedzieć.

- Czy to twój dawny sen?

- Ach tak!

Posadził ją łagodnie na łóżku, poszperał w ciemności i zapalił świecę. W słabym świetle twarz jego o nabiegłych krwią oczach i ostrych rysach wydała się Scarlett niezbadana jak kamień. Koszula jego, odpięta do pasa, odsłaniała brązową pierś, pokrytą gęstym czarnym włosiem. Scarlett, ciągle jeszcze drżąc ze strachu, pomyślała sobie, że pierś ta jest silna i nieustępliwa, i wyszeptała: - Przytul mnie do siebie, Rett.

- Kochanie moje! - powiedział szybko i biorąc ją znowu na ręce usiadł w dużym fotelu, i mocno przycisnął do siebie.

- Och, Rett, to takie straszne, kiedy człowiek jest głodny.

- Wyobrażam sobie, że to straszne, jeżeli śni się o głodzie po obiedzie z siedmiu dań i zjedzeniu olbrzymiego kraba. - Uśmiechnął się, ale wyraz oczu miał łagodny.

- Och, Rett, biegnę i biegnę, gonię za czymś, a nie wiem za czym. Zawsze się to kryje we mgle. Wiem, że gdybym mogła to znaleźć, byłabym po wsze czasy bezpieczna i nigdy już głodna ani zziębnięta.

- Czy to osoba, czy rzecz, której szukasz?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Rett, jak ci się zdaje, czy przyśni mi się kiedyś, że schroniłam się w bezpieczne miejsce?

- Nie - powiedział przyglądając jej stargane włosy - nie przypuszczam. Sny nie bywają takie. Zdaje mi się jednak, że jeżeli przyzwyczaisz się do bezpieczeństwa, ciepła i sytości w życiu codziennym, przestanie cię ten sen nawiedzać. O to zaś już ja się postaram.

- Rett, jesteś bardzo dobry.

- Dziękuję ci za okruchy z twego stołu, Scarlett. Chciałbym, abyś sobie mówiła co rano, kiedy się obudzisz: „Nigdy już nie będę głodna i nic złego nie może mi się stać, dopóki Rett jest przy mnie, a rząd Stanów Zjednoczonych u władzy”.

- Rząd Stanów Zjednoczonych? - zapytała prostując się zdumiona, z nie otartymi łzami na policzkach.

- Dawne pieniądze konfederackie stały się wreszcie uczciwe. Ulokowałem większą ich część w pożyczce rządowej.

- Do stu tysięcy piorunów! - zawołała Scarlett zapominając o niedawnym przerażeniu. - Czy chcesz mi powiedzieć, żeś pożyczył swoje pieniądze Jankesom?

- Na doskonały procent.

- Wszystko mi jedno, choćby to było i sto procent! Musisz natychmiast sprzedać pożyczkę. Cóż to za pomysł, by Jankesi korzystali z twoich pieniędzy!

- A co mam z nimi zrobić? - zapytał z uśmiechem, zauważywszy, że oczy jej nie są już rozszerzone strachem.

- Ależ... ależ... kupić nieruchomości na Pięciu Znakach. Założyłabym się, że za pieniądze, jakie masz, mógłbyś wykupić wszystkie tereny.

- Dziękuję ci, nie chcę Pięciu Znaków. Teraz, gdy rząd Carpetbaggerów rzeczywiście zawładnął Georgią, nie można przewidzieć, co się może zdarzyć. Niczego bym nie zostawił na pastwę tych sępów, które opadły Georgię z Północy, Wschodu, Południa i Zachodu. Zadaję się z nimi, rozumiesz, bo powinien to robić każdy dobry Scallawag, ale im wcale nie ufam. I nie chcę lokować pieniędzy w nieruchomościach. Wolę papiery państwowe. Można je ukryć. Nieruchomości ukryć jest trudniej.

- Czy przypuszczasz... - zaczęła blednąc na myśl o tartakach i sklepie.

- Nie wiem. Nie miej tak wystraszonej miny, Scarlett. Nasz nowy uroczy gubernator jest moim dobrym znajomym. Tylko że czasy są teraz niepewne, nie chcę więc zbyt wiele pieniędzy lokować w nieruchomościach.

Przesunął Scarlett na jedno kolano i odchyliwszy się trochę do tyłu sięgnął po cygaro,

które zapalił. Scarlett siedziała przebierając gołymi nogami, przyglądając się grze mięśni na szerokiej piersi Retta, zapomniawszy już zupełnie o strachach.

- Ale skoro już mowa o nieruchomościach, Scarlett - rzekł Rett - muszę ci powiedzieć, że zamierzam wybudować dom. Mogłaś nakłonić Franka do mieszkania w domu ciotki Pitty, mnie do tego nie namówisz. Nie zdaje mi się, abym mógł znieść jej zemdlenia trzy razy dziennie, ponadto zaś przypuszczam, że wuj Piotr zamordowałby mnie raczej, niż pozwolił mieszkać pod świętym dachem Hamiltonów. Panna Pitty może poprosić Indię Wilkes, aby z nią zamieszkała i odpędzała jej strachy. Po powrocie do Atlanty zamieszkamy w apartamencie w hotelu National, póki nie wykończą naszego domu. Przed wyjazdem pertraktowałem o ten duży plac na Brzoskwiniowej, obok domu Leydenów. Czy wiesz, o którym mówię?

- Och, Rett, jak to wspaniale! Bardzo chciałabym mieć własny dom. Duży dom.

- A więc wreszcie zgadzamy się co do czegoś. Jak by ci się podobał biały, otynkowany, z bramą z kutego żelaza, taki jak tutejsze domy kreolskie?

- Ale nie, Rett. Nie chcę nic staromodnego jak domy w Nowym Orleanie. Doskonale wiem, czego bym chciała. To rzecz najnowsza, ponieważ widziałam podobny dom na obrazku - poczekaj, gdzie? - w tygodniku Harpera, który przeglądałam. Był w stylu szwajcarskiego szaletu.

- Czego?

- Szwajcarskiego szaletu.

- Powiedz mi, jak się to pisze. Usłyszała.

- Aha - powiedział i podkreślił wąsa.

- Był śliczny. Miał wysoki mansardowy dach z balustradą na szczycie i dwie wieżyczki z kolorowych dachówek. A w wieżach były okna o czerwonych i granatowych szybach. To wyglądało bardzo wytwornie.

- Przypuszczam, że ganki miały rzeźbione poręcze?

- Tak.

- I że nad gankami były rzeźbione daszki?

- Tak. Musiałeś chyba widzieć podobny dom?

- Owszem, ale nie w Szwajcarii. Szwajcarzy to inteligentny naród i bardzo wrażliwy na piękno architektury. Czy rzeczywiście chcesz mieć taki właśnie dom?

- O tak!

- Miałem nadzieję, że pożycie ze mną poprawi ci smak. Dlaczego nie chcesz domu w stylu kreolskim albo kolonialnym, białego, z sześcioma kolumnkami?

- Mówię ci przecież, że nie chcę niczego, co by wyglądało staromodnie. A wewnątrz będziemy mieli czerwone tapety i czerwone aksamitne portiery na wszystkich rozsuwanych drzwiach i całe masy drogich orzechowych mebli, i duże miękkie dywany, i... Och, Rett, wszyscy zzielenieją z zazdrości, jak zobaczą nasz dom!

- Czy koniecznie trzeba, aby wszyscy ci zazdrościli? Jeżeli chcesz, mogą i zzielenieć. Ale, Scarlett, czy nie przyszło ci na myśl, że trochę w złym smaku urządzać sobie dom z takim przepychem, kiedy wszyscy dokoła są tak biedni?

- Chcę właśnie tego - rzekła z uporem. - Chcę, aby wszyscy, którzy byli dla mnie źli, zaczęli tego żałować. Będziemy wydawali wielkie przyjęcia, o których będzie mówiło całe miasto.

- Ale kto będzie na nie przychodził?

- Ależ wszyscy, oczywiście.

- Bardzo wątpię. Stara gwardia umiera, ale się nie poddaje.

- Och, Rett, co też ty mówisz! Ludzie są zawsze życzliwi, jeżeli ma się pieniądze.

- Nie południowcy. Pieniądzom spekulantów trudniej się przedostać do najlepszych salonów niż wielbładowi przejść przez ucho igielne. Jeżeli zaś chodzi o Scallawagów - to jest o mnie i o ciebie, kochanie - powinniśmy być zadowoleni, jeżeli ludzie nie będą za nami słuwaliby. Jeżeli jednak chcesz spróbować szczęścia, pomogę ci i z pewnością bardzo się będę cieszył, jak ci się powiedzie. Skoro zaś mówimy o pieniądzach, pozwól mi sobie pewne rzeczy wyjaśnić. Będziesz miała, ile chcesz, gotówki na dom i swoje fatalaszki. Jeżeli lubisz biżuterię, będę ci ją kupował, ale ja będę wszystko wybierał. Masz okropny gust, moje złotko. Dostaniesz wszystko, co zechcesz, dla Wade'a i Elli. A jeżeli Will Benteen będzie miał trudności z bawełną, chętnie mu pomogę i wesprę tę plantację, którą tak kochasz. To przyzwoicie, prawda?

- Rozumie się. Jesteś bardzo hojny.

- A teraz słuchaj uważnie. Ani centa nie dam na sklep i ani centa na twoje fabryki drewek.

- Och - rzekła Scarlett i posmutniała. Podczas miodowych tygodni myślała niejednokrotnie o tym, jakby poruszyć sprawę tysiąca dolarów, których potrzebowała na kupno placu dla rozszerzenia tartaku.

- Myślałam, że rzeczywiście jesteś wyrozumiały i nie dbasz o to, co ludzie mówią o moim prowadzeniu interesów, ale okazuje się, że nie różnisz się od innych mężczyzn... boisz się, aby ludzie nie powiedzieli, że to ja noszę spodnie w rodzinie.

- Nigdy nie będzie najmniejszej wątpliwości co do tego, kto nosi spodnie w rodzinie

Butlerów - powiedział przeciągając. - Nie dbam o to, co mówią głupcy. Przeciwnie, jestem dość źle wychowany, żeby być dumny z zaradnej żony. Chcę, abyś dalej prowadziła tartaki i sklep. To twoje dzieci. Kiedy Wade dorośnie, nie będzie mu przyjemnie, że jest na utrzymaniu ojczyma, i wtedy on będzie mógł przejąć twoje interesy. Ja jednak nie dam na nie ani grosza.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mam ochoty przyczyniać się do utrzymywania Ashleya Wilkesa.

- Czy już znowu zaczynasz?

- Nie. Pytałaś mnie jednak, więc musiałem ci wyjaśnić moje stanowisko. I jeszcze jedno. Nie przypuszczaj, że będziesz mogła fałszować księgi i przesadzać wysokości wydatków na dom i na suknie, aby móc te pieniądze obracać na kupno mułów lub nowych tartaków dla Ashleya. Będę sprawdzał wszystko i ograniczał twoje wydatki, jak zajdzie potrzeba, bo wiem, ile co kosztuje. Och, nie obrażaj się teraz. Będziesz mi posłuszna. Nie będę ci w najmniejszym stopniu ufał. Nie mogę ci wcale ufać, gdy chodzi o Tarę czy Ashleya. Nie mam nic przeciw Tarze. Ashleya jednak muszę wykreślić na zawsze. Popuszczam ci cugle, moje złotko, ale nie zapominaj, że nie rozstanę się z ostrogami i szpicrutą.





## ROZDZIAŁ XLIX

Pani Elsing nastawiła uszu w stronę hallu. Słyszając, że kroki Melanii ucichły w kuchni, gdzie szcęknięcie talerzy i dźwięczenie nakryć świadczyło o przygotowaniach do poczęstunku, odwróciła się cicho i powiedziała do pań, siedzących półkolem w salonie, z koszyczkami do szycia na kolanach:

- Jeżeli o mnie chodzi, nie mam zamiaru składać Scarlett wizyty ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości - powiedziała z większą jeszcze niż zwykle dystynkcją i chłodem.

Inne członkinie „Kółka szycia dla wdów i sierot Konfederacji” pośpiesznie odłożyły igły i zsunęły bliżej fotele na biegunach. Wszystkie damy umierały z niecierpliwości, aby porozmawiać o Scarlett i Recie, ale obecność Melanii wstrzymywała je od tego. Poprzedniego dnia młoda para wróciła z Nowego Orleanu i zajęła apartament w hotelu National.

- Hugon mówi, że powinnam im złożyć wizytę kurtuazyjną, bo kapitan Butler uratował mu życie - ciągnęła dalej pani Elsing. - A biedna Fanny trzyma jego stronę i mówi, że także ich odwiedzi. Powiedziałam jej: „Słuchaj, Fanny, gdyby nie Scarlett, Tomek żyłby jeszcze dotąd. Wizyta twoja będzie zniewagą wyrządzoną jego pamięci”. Fanny odpowiedziała mi niemądrze: „Mamo, nie składam wizyty Scarlett, tylko kapitanowi Butlerowi. Starał się, jak mógł, aby uratować Tomka, i nie powiodło mu się to nie z jego winy”.

- Dziwna jest ta młodzież - rzekła pani Merriweather. - Składać wizytę, rzeczywiście! - Obfita jej pierś wyduła się oburzeniem, bo przypomniała sobie, jak niegrzecznie Scarlett przyjęła jej rady dotyczące małżeństwa z Rettem. - Moja Maybelle jest równie głupia jak twoja Fanny. Mówi, że pójdą do niej z Rene z wizytą, ponieważ kapitan Butler uchronił Rene od szubienicy. Ja zaś mówię, że gdyby nie Scarlett, Rene nigdy nie znalazłby się w niebezpieczeństwie. Dziadek Merriweather także się do nich wybiera. Zachowuje się jak człowiek niespełna rozumu i powiada, że czuje dla tego łajdaka wdzięczność! Przysięgam, że od czasu, gdy mój teść był w domu tej kreatury, Belli Watling, zachowuje się w sposób niegodny! Wizytę złożyć, rzeczywiście! Ja z pewnością tego nie zrobię. Scarlett przez połączenie się z takim człowiekiem postawiła się poza nawiasem społeczeństwa. Był dość nieznośny, gdy spekulował podczas wojny i bogacił się na naszej nędzy, ale teraz, kiedy idzie ręką w rękę z Carpetbaggerami i Scallawagami i kiedy jest przyjacielem tego wstrętnego łotra, gubernatora Bullocka...! Wizytę mu składać, jeszcze czego!

Pani Bonnell westchnęła. Była pulchną ciemnowłosą kobietką o wesołej twarzy.

- Złożę im tylko jedną grzecznościową wizytę, Dolly. Nie jestem pewna, czy można ich

potępiać. Słyszałam, że wszyscy mężczyźni, który owej nocy wzięli udział w najeździe, zamierzają ich odwiedzić, i uważam, że powinni to zrobić. Trudno mi jakoś uwierzyć, że Scarlett jest dzieckiem swojej matki. Chodziłam z Ellen Robillard do szkoły w Savannah. Nie było ładniejszej od niej dziewczyny - zawsze ją bardzo lubiłam. Gdybyż ojciec jej nie sprzeciwił się jej małżeństwu z Filipem Robillardem! Właściwie nie można było niczego temu chłopcu zarzucić. Przecież chłopcy muszą się wyszumieć. Ellen jednak postanowiła wyjść za starego O'Hare i Scarlett jest tego rezultatem! Mimo to uważam, że powinnam raz do niej pójść ze względu na pamięć Ellen.

- Sentymentalne bzdury! - warknęła pani Merriweather z przekonaniem. - Kitty, czy rzeczywiście chcesz złożyć wizytę kobiecie, która wyszła za mąż ledwo w rok po śmierci męża? Kobiecie...

- Przecież to właśnie ona zabiła pana Kennedy'ego - przerwała India. Głos jej był chłodny i cierpki. Ilekroć myślała o Scarlett, trudno jej było zdobyć się na uprzejmość, bo stale, stale przypominała sobie Stuarta Tarletona. - I zawsze mi się wydawało, że jeszcze przed śmiercią pana Kennedy'ego łączyło ją z Butlerem więcej, niż ludzie podejrzewali.

Zanim panie mogły otrząsnąć się ze zdumienia, że niezamężna panna ośmiela się wypowiadać tego rodzaju przypuszczenie, Melania stanęła w drzwiach. Tak były pochłonięte plotkami, że nie usłyszały lekkich jej kroków, i teraz, widząc przed sobą gospodynię domu, wyglądały jak niesforne uczennice, przyłapanie przez nauczycielkę na gorącym uczynku. Ze zmieszaniem ich łączyła się konsternacja z powodu nagłej zmiany w twarzy Melanii. Była zaczerwieniona z oburzenia, łagodne jej oczy rzucały płomień, nozdrza drżały. Nikt dotąd nie widział Melanii w złości. Żadna z pań nie przypuszczała, że w ogóle zdolna jest się gniewać. Wszystkie ją kochały, ale uważały ją za najłagodniejszą, najbardziej uległą młodą kobietę, pełną szacunku dla starszych i nie mającą nigdy własnego zdania.

- Indio, jak śmiesz tak mówić! - zawołała cichym, drżącym głosem. - Dokąd jeszcze zawiedzie cię twoja zazdrość? Wstydzilibyś się!

India pobladła, ale głowę trzymała wysoko.

- Nie cofam niczego - powiedziała krótko. Ale w duszy burzyła się.

„Czyżbym naprawdę była zazdrosna?” - pomyślała. Ale czy nie miała powodu do zazdrości o Scarlett z powodu Stuarta Tarletona i Karola, odbitego Honey? Czy nie miała powodu jej nienawidzić, zwłaszcza teraz, kiedy podejrzewała, że Scarlett zdołała w jakiś sposób usidlić Ashleya? Myślała: „Mogłabym ci niejedno opowiedzieć o Ashleyu i twojej kochanej Scarlett!” Rozdarta była między chęcią osłonięcia Ashleya milczeniem a wyplątania go z siideł Scarlett przez podzielenie się swoimi podejrzeniami z Melanią i całym światem. To

zmusiłoby Scarlett do zrezygnowania z Ashleya, jeżeli miała jakieś w stosunku do niego zamiary. Teraz jednak chwila była nieodpowiednia. Nie miała żadnych dowodów, jedynie podejrzenie.

- Nie cofam niczego - powtórzyła.

- A więc doskonale się składa, że nie mieszkam już pod twoim dachem - rzekła Melania i słowa jej zabrzmiały lodowato.

India porwała się na nogi, a krew zalewała jej bladą twarz.

- Melanio, ty, moja bratowa, nie poróżnisz się ze mną o tę flirtiarę...

- Scarlett jest także moją bratową - rzekła Melania patrząc Indii ostro w oczy, jak gdyby była dla niej obca. - I jest mi droższa, niż gdyby była moją rodzoną siostrą. Możliwe, że ty nie pamiętasz o dobrodziejstwach, jakich od niej doznałam, ja jednak o nich nie zapominam. Scarlett została ze mną w Atlancie podczas oblężenia, mimo że mogła pojechać do domu, bo nawet ciotka Pitty uciekła do Macon. Była przy urodzeniu mego dziecka, gdy Jankesi dochodzili do Atlanty, i wzięła mnie i Beau w tę straszliwą podróż do Tary, chociaż mogła była zostawić mnie w szpitalu na pastwę Jankesów. Pielęgnowała mnie i żywiła, mimo że była wyczerpana i sama nie miała co jeść. Miałam najlepszy materac w Tarze, ponieważ byłam chora i słaba. Gdy wstałam, dostałam jedyną parę całych butów. Ty możesz nie pamiętać tego wszystkiego, Indio, ja muszę. A kiedy Ashley wrócił do domu chory, zniechęcony, bezdomny, bez grosza w kieszeni, przyjęła go jak siostra. A kiedy chcieliśmy wyjechać na Północ i serce nam pękało na myśl o opuszczeniu Georgii, Scarlett pomogła nam i oddała mu prowadzenie tartaku. Kapitan Butler zaś uratował życie Ashleya tylko z dobrego serca. Ashley wcale nie mógł tego od niego oczekiwać! Jestem wdzięczna, wdzięczna z całego serca i Scarlett, i kapitanowi Butlerowi. A ty, Indio? Jakże możesz nie pamiętać tych łask, którymi Scarlett obsypywała mnie i Ashleya? Jak możesz tak nisko sobie cenić życie swego brata, by rzucać cień na człowieka, który go uratował? Gdybyś na kolanach poszła do Scarlett i kapitana Butlera, jeszcze by to było mało.

- Ależ, Melu - zaczęła pani Merriweather gwałtownie, bo zdążyła już odzyskać panowanie nad sobą - nie powinnaś w ten sposób mówić do Indii.

- Słyszałam też, co pani mówiła o Scarlett! - zawołała Melania zwracając się ku tęgiej matronie z miną szermierza, który wyciągnąwszy broń z ciała jednego pokonanego przeciwnika zwraca się natychmiast do następnego. - I pani, pani Elsing. Nie obchodzi mnie wcale, co panie czują w swoich niskich duszach, bo to wasza sprawa. Obchodzi mnie jednak to, co mówicie o Scarlett w moim domu, niemal przy mnie. Jak jednak możecie myśleć tak straszne rzeczy, a tym bardziej je wypowiadać? Czy wasi mężczyźni tak wam są obojętni, że

wszystko wam jedno, czy żyją, czy nie? Czy nie czujecie wdzięczności dla człowieka, który ich uratował, i to z narażeniem własnego życia? Jankesi byliby przypuszczali, że i on jest członkiem Klanu, gdyby prawda wyszła na jaw! Byliby go powiesili. On jednak naraził się dla waszych mężczyzn. Dla pani teścia, pani Merriweather, dla zięcia pani i dwóch siostrzeńców. I dla brata pani, pani Bonnell... dla pani syna i zięcia, pani Elsing. Jesteście niewdzięczne, ot co! Żądam, aby mnie wszystkie panie przeprosiły.

Pani Elsing porwała się na nogi, zacięła wargi i rzuciła szycie do koszyczka.

- Gdybym to mogła przewidzieć, że będziesz tak źle wychowana, Melu... Nie, nie przeproszę cię. India ma rację. Scarlett jest zalotną, rozflirtowaną kobietą. Nie mogę zapomnieć o tym, jak się zachowywała podczas wojny. I nie mogę zapomnieć, jak niegodnie się zachowuje od czasu, gdy ma trochę pieniędzy...

- Przede wszystkim zaś nie może pani zapomnieć - rzekła Melania podpierając się pod boki małymi piąstkami - że usunęła Hugona, bo nie był dość zaradny, aby prowadzić jej tartak.

- Melu! - jęknął cały chór głosów.

Pani Elsing wysoko podniosła głowę i skierowała się w stronę drzwi. Z dłonią na klamce frontowych drzwi zatrzymała się i odwróciła.

- Melu - rzekła i głos jej brzmiał łagodniej - kochanie, nie łam mi serca. Byłam najlepszą przyjaciółką twojej matki, pomagałam doktorowi Meade, kiedy przychodziłaś na świat, i kochałam cię jak własną córkę. Gdyby to była rzecz ważna, nie byłoby mi może tak ciężko słuchać twoich słów. Ale że chodzi tu o kobietę pokroju Scarlett O'Hara, która by tobie wypłatała brzydkiego figla równie chętnie jak każdej z nas...

Łzy ukazały się w oczach Melanii na pierwsze słowa pani Elsing, ale twarz jej spochmurniała, gdy stara pani skończyła.

- Chcę jasno postawić sprawę - powiedziała. - Ta pani, która nie złoży wizyty Scarlett, może nigdy nie odwiedzać i mnie.

Rozległ się głośny szept głosów i zamieszanie, bo wszystkie panie naraz powstały na nogi. Pani Elsing rzuciła swój koszyczek na podłogę i wróciła do pokoju, a sztuczna jej grzywka przekrzywiła się żałośnie.

- Nie godzę się na to! - krzyknęła. - Nie chcę się zgodzić! Nie wiesz, co mówisz, Melu, i nie jesteś za siebie odpowiedzialna. Będiesz nadal moją przyjaciółką, a ja będę twoją. Nie chcę, aby nas poróżniła ta sprawa.

Zaczęła płakać; w niewiadomy sposób Melania znalazła się w jej ramionach także płacząc i powtarzając wśród szlochów, że spełni wszystkie swoje groźby. Kilka innych pań

również wybuchło płaczem, a pani Merriweather, głośno ocierając nos w chusteczkę, zaczęła obejmować i panią Elsing, i Melanię. Ciotka Pitty, która była niemym świadkiem całej sceny, nagle osunęła się na podłogę, tym razem w prawdziwym omdleniu. Wśród łez, zamieszania, pocałunków i bieganiny po koniak i sole trzeźwiące, jedna tylko osoba pozostała spokojna, jedna para oczu sucha. India Wilkes wyszła, nie zauważona przez nikogo.

Dziadek Merriweather, spotkawszy w kilka godzin później Henryka Hamiltona w barze „Pod Współczesną Dziewczyną”, opowiedział o zajściu z przyjemnością, bo był zachwycony, że ktoś na świecie okazał się dość odważnym, aby przeciwstawić się jego groźnej synowej. On sam nigdy nie miał tak wiele odwagi.

- No, i co ta banda idiotek postanowiła ostatecznie? - zapytał wuj Henryk z irytacją.

- Nie wiem na pewno - rzekł dziadek - ale zdaje mi się, że Mela odniosła łatwe zwycięstwo. Założę się, że wszystkie złożą Scarlett wizytę przynajmniej jeden raz. Ludzie bardzo lubią tę twoją bratanicę, Henryku.

- Mela jest głupia, a te panie mają rację. Scarlett to niebezpieczna sztuka, nie rozumiem, dlaczego się z nią Karolek w ogóle ożenił - rzekł wuj Henryk ponuro. - Ale i Mela miała trochę słuszności. Wypada, aby rodziny mężczyzn, których kapitan Butler uratował, złożyły mu wizytę. Jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, to właściwie nie mam nic przeciw Butlerowi. Tej nocy, gdy uratował nam skórę, dowiódł, że jest przyzwoitym człowiekiem. To raczej Scarlett działa mi na nerwy. Jest za sprytna i sama na tym najgorzej wychodzi. No, ale będę im musiał złożyć wizytę. Taka czy inna, Scarlett jest ostatecznie moją bratanicą. Miałem zamiar iść tam po południu.

- Pójdę z tobą, Henryku. Dolly wpadnie w szal, kiedy się dowie, że tam poszedłem. Poczekaj, napiję się jeszcze jednego.

- Nie, dostaniemy coś do picia u kapitana Butlera. To mu muszę przyznać: zawsze ma dobre trunki.

Rett przepowiedział, że stara gwardia nigdy się nie podda, i miał słuszność. Wiedział, jak mało znaczenia mają nieliczne wizyty, które im składano, i wiedział, dlaczego je złożono. Rodziny mężczyzn, którzy brali udział w nieszczęsnej wyprawie Klanu, odwiedzały ich początkowo, później jednak zjawiały się coraz rzadziej i wcale nie zapraszały Butlerów do siebie.

Rett twierdził, że znajomi nie zjawiliby się w ogóle, gdyby nie strach przed Melanią. Skąd wpadł na ten pomysł, Scarlett nie wiedziała, ale zlekceważyła jego słowa, jak na to zasługiwały. Bo jaki też wpływ mogła mieć Melania na osoby pokroju pani Elsing czy pani Merriweather? Nie martwiła się wcale, że panie te nie zjawily się z ponowną wizytą;

właściwie wcale nie spostrzegła ich braku, ponieważ pokoje jej pełne były gości innego pokroju. Dawni mieszkańcy Atlanty nazywali ich „nowymi ludźmi” i to było najbardziej pochlebne z możliwych określeń.

W hotelu National mieszkało sporo tych „nowych ludzi”, którzy podobnie jak Scarlett i Rett czekali na wykończenie swoich domów. Byli to ludzie weseli, zamożni, przypominający znajomych Retta z Nowego Orleanu, elegancko ubrani, nie liczący się z pieniędzmi i dość niejasno mówiący o swojej przeszłości. Wszyscy mężczyźni byli republikanami i przebywali w Atlancie „w interesach związanych z rządem stanowym”. Jakie to były interesy, Scarlett nie wiedziała i nie starała się dowiedzieć.

Rett mógłby jej o tym powiedzieć - były to te same interesy, które sprowadzają sępy nad padlinę. Czuli z daleka śmierć i przyciągali zewsząd, aby się nasycić. Sprawowanie rządów przez obywateli Georgii należało do przeszłości, stan był bezsilny, awanturnicy zjawiali się więc całymi rojami.

Zony znajomych Scallawagów i Carpetbaggerów przychodziły do Scarlett tłumnie, tak samo jak „nowi ludzie”, których poznawała sprzedając im drzewo na budowę domów. Rett mówił, że skoro robiła z nimi interesy, powinna ich była przyjmować, przyjąwszy ich zaś raz, uznała, że towarzystwo ich jest przyjemne. Nosili piękne ubrania i nigdy nie rozmawiali o wojnie ani o ciężkich czasach, lecz ograniczali konwersację do nowych mód, plotek i omawiania partyjek wista. Scarlett nigdy dotąd nie grała w karty, zabrała się więc do wista z ochotą i w krótkim czasie zaczęła grać bardzo dobrze.

Ilekróć była w hotelu, apartament jej pełen był graczy. W hotelu bywała jednak w tym okresie dość rzadko, bo zbyt pochłaniała ją budowa domu, aby mogła mieć czas dla gości. Nie zależało jej wówczas wcale na nich. Chciała życie towarzyskie odwlec do czasu wykończenia domu, do chwili, gdy stanie się panią największego pałacyku w Atlancie, urządzającą najwspanialsze w mieście przyjęcia.

Przez długie ciepłe dni przypatrywała się, jak okazale wznosi się jej dom z czerwonego kamienia i szarych dachówek, jak zaczyna wyrastać nad inne domy na Brzoskwiniowej. Zaniedbując sklep i tartaki spędzała cały czas na placu, kłócąc się ze stolarzami, wadząc z murarzami, dręcząc przedsiębiorcę. Kiedy mury szybko wyrastały, myślała z zadowoleniem, że po wykończeniu będzie to największy i najpiękniejszy dom w mieście. Będzie nawet okazalszy od pobliskiej rezydencji Jamesów, która została niedawno zakupiona na oficjalną siedzibę gubernatora Bullocka.

Pałac gubernatora pokryty był rzeźbami na balustradach, ale skomplikowane rzeźby na domu Scarlett zupełnie zaćmiły tamte. Pałac miał salę balową, która w porównaniu z

olbrzymią salą, zajmującą całe trzecie piętro domu Scarlett, wyglądała jak stół bilardowy. Dom jej był bogatszy od pałacu czy jakiegokolwiek innego domu w mieście - miał mnóstwo kopulek, wieżyczek, balkonów, piorunochronów i okien o kolorowych szybach.

Weranda otaczała go dookoła, a prowadziły do niej schodki z czterech stron. Ogród był obszerny, bardzo zielony - stały w nim żelazne ławki, żelazna altanka, która, jak zapewniano Scarlett, była w czystym gotyckim stylu, oraz dwie duże rzeźby z lanego żelaza - jeleń i pies, wielkości szetlandzkiego kuca. Dla Wade'a i Elli, trochę przytłoczonych wielkością, wspaniałością i modną ponurością wewnątrz nowego domu, te dwa metalowe zwierzaki stanowiły jedyną radość.

Wewnątrz dom umeblowany był tak, jak sobie tego życzyła Scarlett: podłogi były wybite czerwonym grubym sukmem, portiery były z czerwonego aksamitu, meble z bardzo polerowanego czarnego orzecha - rzeźbione, gdzie się dało, i wyściełane tak, że panie siadały na fotelach z największą ostrożnością, z obawy, aby się nie zapaść w nie. Na ścianach lśniły okrągłe lub długie lustra w złożonych ramach - jak mawiał Rett, było ich prawie tyle co u Belli Watling. Między nimi wisiały sztychy w ciężkich ramach, niektóre długie na osiem stóp i specjalnie zamówione przez Scarlett w Nowym Jorku. Ściany wylepione były ciemną tapetą, dom więc zawsze tonął w mroku, bo okna były zawieszane ciężkimi, zasłaniającymi światło firankami.

W sumie był to dom tak wspaniały, że onieśmielał. Scarlett stąpając po miękkich dywanach i wylegując się na miękkich puchach łóżek przypominała sobie zimne podłogi i słomą wypchane sienniki Tary i była dumna i szczęśliwa. Uważała, że dom jej jest najwytworniejszy i najpiękniej umeblowany ze wszystkich, jakie знаła, Rett jednak twierdził, że jest koszmarny. Ale, mówił, wystarczyło mu, że ona jest zadowolona.

- Nieznajomy, który nic o nas nie wie, może się od razu domyślić, że dom ten powstał z nieczystych pieniędzy - powiedział. - Wiesz chyba o tym, Scarlett, że pieniądze zarobione nieuczciwie nigdy nic dobrego nie przynoszą. Dom ten może stanowić dowód tej tezy. Dom tego rodzaju mógł sobie zbudować jedynie paskarz.

Scarlett jednak, przepełniona dumą i zadowoleniem i pełna planów co do przyjęć, jakie będzie wydawała, kiedy się na dobre urządzi, wytargała go tylko żartobliwie za ucho i powiedziała: - Zawracanie głowy! Co też ty wygadujesz!

Wiedziała już teraz, że Rett lubi ją upokarzać i umiałby jej popsuć każdą przyjemność, gdyby zwracała uwagę na jego kpiny. Gdyby go brała poważnie, musiałaby się z nim kłócić, a nie miała ochoty kruszyć z nim kopii, ponieważ z utarczek wychodziła zawsze pokonana. Ledwie więc słuchała tego, co mówił, a jeżeli musiała już słyszeć, starała się słowa jego

obrócić w żart. Starła się o to przynajmniej z początku.

Podczas podróży poślubnej i pobytu w hotelu National żyli ze sobą w zgodzie. Zaledwie jednak wprowadzili się do nowego domu i Scarlett zaczęła się otaczać nowymi przyjaciółmi, zaczęli się kłócić często i ostro. Kłótnie ich były krótkie, bo nie można się było długo sprzeczać z Rettem, który nie zwracał uwagi na ostre słowa i czekał tylko sposobności, aby ukłuć w nie osłonięte miejsce. To ona wyklócała się o wszystko - nie Rett. On zadowalał się wypowiedaniem niedwuznacznej opinii o niej, o jej postępkach, o jej domu i nowych znajomych. A niektóre z jego opinii były takie, że nie mogła ich ignorować ani obrócić w żart.

Kiedy na przykład postanowiła zmienić szyld „Magazyn Kennedy'ego” na bardziej efektowny, poprosiła go, aby obmyślił nazwę, której częścią byłoby słowo „emporium”. Rett poddał projekt „Caveat Emporium” zapewniając ją, że będzie to nazwa bardzo stosowna dla rodzaju towarów, sprzedawanych w sklepie. Scarlett uważała, że nazwa brzmi bardzo imponująco, i kazała nawet wymalować szyld, gdy Ashley, bardzo zakłopotany, przetłumaczył jej, co te słowa znaczą. A Rett wyśmiewał się tylko z jej wściekłości.

Poza tym - kłócili się o Mammy. Mammy nie odstąpiła ani o cal od swego przekonania, że Rett jest „mułem w końskiej uprzęży”. Była dla niego grzeczna, ale chłodna. Zwracała się do niego zawsze per „panie kapitanie”, nigdy per „panie Recie”. Nie dygnęła nawet, kiedy Rett podarował jej czerwoną halkę, i nigdy jej nie nosiła. Starła się usuwać mu z drogi Wade'a i Elle, mimo że Wade ubóstwiał wuja Retta, a Rett chłopca najwyraźniej lubił. Zamiast jednak zwolnić Mammy ze służby czy zwracać się do niej krótko i surowo, Rett odnosił się do niej z najwyższym szacunkiem, ze znacznie większą uprzejmością niż do pań z nowego koła znajomych Scarlett. Traktował ją nawet znacznie uprzejmiej niż Scarlett. Zawsze pytał o pozwolenie Mammy, gdy chciał wziąć Wade'a na przejażdżkę, i radził się jej co do wyboru lalek dla Elli. Mammy była dlań zaledwie grzeczna.

Scarlett uważała, że powinien być dla Murzynki surowszy, jak przystało prawdziwej głowie domu, Rett jednak wyśmiał ją tylko i odpowiedział, że to Mammy jest prawdziwą głową domu.

Rozwścieczył pewnego dnia Scarlett oświadczając chłodno, że za kilka lat będzie godna pożałowania, bo w Georgii skończą się rządy republikanów i demokraci wrócą do władzy.

- Z chwilą gdy demokraci będą mieli większość w rządzie, wszyscy twoi nowi znajomi zostaną zmieceni z powierzchni i odesłani do usługiwania w szynkach i wyprzątania rynsztoków, gdzie zresztą jest ich właściwe miejsce. Ty zaś zawisniesz w próżni, bez przyjaciół. No, ale nie myśl o jutrze.



Scarlett roześmiała się nie bez słuszności, ponieważ w tym czasie Bullock bezpiecznie siedział na stolcu gubernatorskim, w rządzie było dwudziestu siedmiu Murzynów, a tysiące demokratów w Georgii straciło prawo wyborcze.

- Demokraci nigdy nie wrócą do władzy. Drażnią tylko Jankesów i odsuwają tym samym dzień, kiedy będą mogli wrócić do rządów. Nie robią nic, tylko gadają i nocą robią wypadki Ku-Klux-Klanu.

- A jednak wrócą. Znam południowców. Znam Georgijczyków. To zacięci i uparci ludzie. Jeżeli trzeba będzie stoczyć drugą wojnę, aby wrócić na dawne miejsca, stoczą ją. Jeżeli trzeba będzie wzorem Jankesów kupować głosy murzyńskie, zrobią to. Jeżeli trzeba będzie do urn stawiać „martwe dusze”, jak to robili Jankesi, do wyborów pójdą wszyscy nieboszczycy ze wszystkich cmentarzy Georgii. Sprawy przybiorą obrót tak straszny pod łagodnymi rządami naszego przyjaciela, Rufusa Bullocka, że Georgia prędzej czy później go wypluje.

- Rett, nie używaj przynajmniej tak ordynarnych wyrażeń! - zawołała Scarlett. - Mówisz, jak gdybym ja nie życzyła sobie powrotu demokratów. Wiesz dobrze, że tak nie jest! Będę bardzo zadowolona, jeżeli wrócą. Czy wydaje ci się, że miło mi widzieć wszędzie tych żołnierzy, którzy przypominają mi... czy przypuszczasz, że... przecież i ja jestem Georgijką! Bardzo bym chciała, aby demokraci wrócili. Nie mogą jednak wrócić. Jeszcze nie. A nawet gdyby to się stało, w czym to dotyczy moich znajomych? Przecież będą mieli pieniądze, prawda?

- Jeżeli potrafia je utrzymać. Nie wierzę jednak, aby którykolwiek z nich mógł mieć pieniądze dłużej niż przez pięć lat przy skali ich wydatków. Łatwo przyszły, łatwo pójdą. Pieniądze zresztą nie zdadzą się im na nic. Tak samo jak się moje na nic nie zdały tobie. W każdym razie dotąd nie uczyniły z ciebie konia, prawda, mój piękny mule?

Kłótnia, która wybuchła po tej ostatniej uwadze Retta, trwała przez kilka dni. Po czterech dniach dąsów Scarlett i wyraźnego, choć milczącego czekania na przeprosiny, Rett wyjechał do Nowego Orleanu, zabierając ze sobą mimo protestów Mammy Wade'a. Nie było go tak długo, że nastroje Scarlett zdążyły tymczasem minąć. Została w niej uraza, że nie zdołała Retta upokorzyć.

Kiedy Rett wrócił z Nowego Orleanu, zimny i ugrzeczniony, przełknęła złość, jak mogła najlepiej, i odsunęła ją na daleki plan, aby pomyśleć o niej kiedy indziej. Nie chciała zajmować się teraz niczym nieprzyjemnym. Chciała być w dobrym humorze, ponieważ myślała bez ustanku o pierwszym przyjęciu, które miała wydać w nowym domu. Miała to być olbrzymia zabawa, z palmami, orkiestrą, daszkami płóciennymi nad werandą i kolacją, na

myśl o której ślinka szła jej do ust. Chciała zaprosić na nią wszystkich znajomych, zarówno starych przyjaciół, jak i przemiłych nowych, poznanych po powrocie z podróży poślubnej. Podniecenie zabawą zatarło w znacznej mierze pamięć o docinkach Retta. Scarlett czuła się szczęśliwa, szczęśliwsza niż od wielu lat, gdy obmyślała bal we wszystkich szczegółach.

Och, jak przyjemnie być bogatą! Przyjmować gości i nie liczyć się z kosztem! Kupować najdroższe meble, suknie, najlepsze produkty i nigdy nie myśleć o rachunkach! Jak cudownie było móc wysyłać okazałe czeki ciotkom Paulinie i Eulalii do Charlestonu i Willowi do Tary. Och, jakimiż zazdrosnymi głupcami byli ci, którzy twierdzili, że pieniądze nie są wszystkim! Jakie to perfidne ze strony Retta, że mówił, iż pieniądze na nic jej się nie zdały!

Scarlett wysłała zaproszenia wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym, starym i nowym, nawet tym, których nie lubiła. Nie pominęła nawet pani Merriweather, która była prawie niegrzeczna, gdy przysłała z oficjalną wizytą do hotelu National, ani pani Elsing, która była lodowata. Zaprosiła panią Meade i panią Whiting, które nie lubiły jej i prawdopodobnie nie miały odpowiednich sukien na tak wytworne przyjęcie. Bo otwarcie salonów Scarlett - kolacja połączona z balem - było z pewnością najwykwintniejszym zebraniem towarzyskim od czasu istnienia Atlanty.

Nocy owej dom i osłonięta płótnem weranda pełne były gości, którzy pili kruszon z szampana, jedli pasztety i ostrygi i tańczyli pod dźwięki muzyki starannie ukrytej za ścianą palm i fikusów. Z tych jednak, których Rett nazwał „starą gwardią”, nie było nikogo z wyjątkiem Melanii i Ashleya, ciotki Pitty i wuja Henryka, doktorostwa Meade i dziadka Merriweathera.

Wielu członków „starej gwardii”, mimo że niechętnie, postanowiło zjawić się u Scarlett. Niektórzy przyjęli zaproszenie ze względu na postawę Melanii, inni - bo uważali, że mają w stosunku do Retta dług wdzięczności za uratowanie życia im samym czy ich krewnym. Ale na dwa dni przed przyjęciem rozeszła się po Atlancie pogłoska, że gubernator Bullock także został zaproszony. Stara gwardia wyraziła swoje potępienie przysłaniem stosu kart z zawiadomieniem o niemożności skorzystania z miłego zaproszenia, mała zaś grupa przyjaciół, którzy się zjawili, wyszła zakłopotana, ale stanowcza, z chwilą gdy gubernator wszedł do domu Scarlett.

Scarlett była tak wściekła z powodu tych afrontów, że nie miała żadnej przyjemności z przyjęcia. Jej wytworna zabawa! Przygotowała ją tak starannie, a starzy przyjaciele i starzy wrogowie nie zjawili się wcale i nie mogli podziwiać jej domu! Kiedy ostatni goście rozeszli się o świcie, omal nie zaczęła płakać i spazmować, ale bała się, że Rett wybuchnie śmiechem, że w jego iskrzących się czarnych oczach wyczyta: „A mówiłem!”, chociaż słów tych głośno

nie wypowie. Przełknęła więc złość, jak mogła najlepiej, i udała obojętność.

Tylko przed Melanią pozwoliła sobie następnego dnia na luksus wybuchu.

- Obraziłaś mnie ciężko, Melanio Wilkes, i z twojej winy obraził mnie Ashley i cała reszta! Wiesz dobrze, że nie poszliby do domu tak wcześnie, gdybyś ty ich nie wyciągnęła. Och, widziałam to dokładnie! W chwili gdy szłam w waszą stronę z gubernatorem Bullockiem, aby go wam przedstawić, czmychnęłaś jak zając!

- Nie wierzyłam, nie chciałam uwierzyć, że on rzeczywiście będzie u ciebie - odrzekła Melania ze smutkiem. - Mimo że wszyscy mówili o tym...

- Wszyscy? A więc wszyscy gadali na mnie i plotkowali, prawda? - zawołała Scarlett z pasją. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że ty także byś nie przyszła, gdybyś wiedziała, że zaprosiłam gubernatora?

- Nie - odrzekła Melania cicho patrząc w podłogę. - Kochanie, po prostu nie mogłabym przyjść.

- Do stu piorunów! A więc i ty obraziłaś mnie równie ciężko jak inni.

- Och, zlituj się! - zawołała Mela w prawdziwej rozpacz. - Nie miałam cię zamiaru dotknąć. Jesteś moją siostrą, kochanie, wdową po moim Karolku, i ja...

Położyła nieśmiało dłoń na ramieniu Scarlett, Scarlett jednak otrząsnęła się żalując, że nie potrafi ryknąć tak głośno jak Gerald w ataku gniewu. Melania jednak nie przełękła się jej złości. A kiedy patrzyła w zielone oczy Scarlett, rzucające teraz pioruny, szczupłe jej ramiona wyprostowały się i spłynęła na nią wielka duma, bardzo kontrastująca z jej dziecinną twarzyczką i figurą.

- Przykro mi, że się gniewasz, moja droga, ale nie mogę spotykać się z gubernatorem Bullockiem ani z żadnym republikaninem czy Scallawagiem. Nie mam zamiaru spotykać ich ani w twoim domu, ani w żadnym innym. Nie, choćbym miała być... miała być - Melania szukała najgorszych słów jakie by mogła powiedzieć. - Choćbym miała być niegrzeczna.

- Czy to znaczy, że krytykujesz moich przyjaciół?

- Nie, kochanie. Ale są to przyjaciele twoi, a nie moi.

- Czy masz mi za złe, że zaprosiłam do siebie gubernatora? Nawet przyparta do muru Melania wciąż jeszcze patrzyła Scarlett w oczy.

- Kochanie, motywy wszystkiego, co robisz, są z pewnością słuszne, a ja kocham cię, ufam ci i nie mam prawa cię krytykować. Nie pozwolę także, aby ktokolwiek inny krytykował cię w mojej obecności. Ale, ach, Scarlett! - Nagle zaczęły się jej cisnąć na usta ostre, gniewne wyrzuty i w głosie jej zabrzmiała nieugięta nienawiść. - Czy możesz zapomnieć, czegośmy doznali od tych ludzi? Czy możesz zapomnieć o śmierci naszego

Karolka, o zrujnowaniu Ashleyowi zdrowia i spaleniu Dwunastu Dębów? Scarlett, jestem pewna, że nie zapomniałaś o tym strasznym, zastrzelonym człowieku, który miał w rękach szkatułkę twojej matki! Z pewnością pamiętasz ludzi Shermana w Tarze, którzy zabrali nam nawet bieliznę! Którzy chcieli spalić dwór i nawet nie uszanowali szabli mego ojca! Och, Scarlett, zaprosiłaś do swego domu tych samych ludzi, którzy nas okradali, którzy nas męczyli i narażali na śmierć głodową. Tych samych, którzy Murzynom pozwalają panoszyć się nad nami, którzy nas grabią, a mężczyzn naszych pozbawili praw wyborczych! Ja nie mogę zapomnieć. Nie zapomnę nigdy. Nie dopuszczę, aby mój Beau zapomniał, nawet wnuki moje nauczę nienawiści do tych ludzi i wnuki moich wnuków, jeżeli Bóg pozwoli mi żyć dość długo! Scarlett, jak mogłaś o tym zapomnieć?

Melania przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, a Scarlett patrzyła na nią, niepomna własnego gniewu, zdumiona nutą gwałtowności w jej głosie.

- Czy przypuszczasz, że jestem idiotką? - zapytała niecierpliwie. - Rozumie się, że nie zapomniałam! Ale to należy do przeszłości, Melu. Naszym zadaniem jest nie zaogniać tych spraw i właśnie o to się staram. Gubernator Bullock i przyzwoitsi republikanie mogą nam bardzo pomóc, jeżeli będziemy umieli z nimi postępować.

- Nie ma przyzwoitych republikanów - rzekła Melania głucho. - Nie życzę sobie ich pomocy. I nie moją rzeczą jest cośkolwiek łagodzić, jeżeli to ma jakąś łączność z Jankesami.

- Na miłość boską, Melu, ale dlaczego wpadasz w taką złość?

- Och! - zawołała Melania z zakłopotaniem. - Jakże się rozgadałam! Scarlett, nie chciałam cię obrazić ani skrytykować. Każdy myśli inaczej i każdy ma prawo do własnych przekonań. Słuchaj, kochanie, kocham cię, wiesz o tym dobrze, i żaden twój postępek nie zmieni moich uczuć. Prawda, że i ty mnie jeszcze kochasz? Nie zaczęłaś mnie nienawidzić, prawda, Scarlett? Nie zniósłabym, aby coś kiedykolwiek stało między nami... po tym, co przecierpiałymy razem! Powiedz, że już się nie gniewasz.

- Zawracanie głowy, Melu. Robisz burzę w szklance wody - rzekła Scarlett mruklawie, ale nie zrzuciła już ręki, która ją nieśmiało objęła.

- No więc, wszystko w porządku - rzekła Melania z zadowoleniem, ale dodała cicho: - Chcę, abyśmy bywały u siebie jak dotąd, kochanie. Musisz mnie tylko uprzedzać, w jakie dni przychodzą do ciebie republikanie i Scallawagowie, a ja będę wtedy zostawała w domu.

- To sprawa najzupełniej dla mnie obojętna, czy będziesz przychodziła do mnie, czy nie - powiedziała Scarlett nakładając czepek i zabierając się ze złością do domu. Pewnym zadośćuczynieniem jej zranionej próżności był wyraz bólu na twarzy Melanii.

W tygodniach, które nastąpiły po pierwszym przyjęciu, Scarlett bardzo musiała się

wysilać, aby podtrzymać pozory obojętności na opinię publiczną. Kiedy przestali ją odwiedzać starzy przyjaciele, z wyjątkiem Melanii, Pitty, wuja Henryka i Ashleya, i przestała dostawać zaproszenia na ich skromne przyjęcia, była szczerze zmieszana i dotknięta. Czy nie dała dowodu, że zapomniała o starych waśniach i że nie żywi w stosunku do tych ludzi urazy za ich plotki i oszczerstwa? Powinni przecież wiedzieć, że nie bardziej niż oni lubi gubernatora Bullocka, ale że wypada, by była dla niego uprzejma. Idioci! Gdyby wszyscy byli uprzejmi dla republikanów, Georgia bardzo prędko wyszłaby z obecnego impasu.

Nie zdawała sobie wcale sprawy, że jednym posunięciem przecięła na zawsze kruchą więź łączącą ją jeszcze z dawnymi czasami, z dawnymi przyjaciółmi. Nawet wpływ Melanii nie mógł naprawić tej pajęczej nici, tym bardziej że Melania, zdumiona, zraniona, ale jeszcze lojalna dla Scarlett, nie starała się jej wcale naprawiać. Gdyby nawet Scarlett chciała wrócić do dawnych zwyczajów i dawnych przyjaciół, odcięła już sobie powrót. Twarz miasta była teraz niewzruszona i kamienna. Nienawiść, którą wzbudziły rządy Bullocka, rozciągnęła się i na Scarlett - nienawiść, w której było mało ognia i furii, ale dużo zaciętej nieustępliwości. Scarlett złączyła swoje losy z nieprzyjaciółmi, więc bez względu na urodzenie i stosunki rodzinne przeszła teraz do kategorii renegatów, przyjaciół Murzynów, zdrajców, republikanów i Scallawagów.

Po krótkim okresie przygnębienia udana obojętność Scarlett przeistoczyła się w prawdziwą. Nigdy nie umiała długo się przejmować kapryśnością ludzkich postępków ani martwić, kiedy zawodziła ją jakaś linia postępowania. Po bardzo niedługim czasie zobojętniała na to, co rodziny Merriweather, Elsing, Whiting, Meade, Bonnell i inne myślały sobie o niej. Wystarczało jej, że Melania odwiedza ją i przyprawia męża, o niego zresztą chodziło jej najbardziej. Ponadto zaś - byli w Atlancie inni ludzie, którzy chętnie bywali na jej przyjęciach, ludzie daleko dla niej odpowiedniejsi niż te sztywne stare kwoki. Mogła mieć dom pełen gości, ilekroć tego chciała, i goście ci byli daleko ciekawszy i daleko piękniej ubrani od tych przesadnych, cnotliwych bab, które, jej nie uznawały.

Ludzie ci byli nowymi przybyszami. Niektórzy byli znajomymi Retta, inni wraz z nim zajmowali się tajemniczymi sprawami, które określał jako „nudne interesy, złotko”. Było kilka par małżeńskich, które Scarlett poznała mieszkając w hotelu National, była i garstka współpracowników gubernatora Bullocka.

Towarzystwo, w którym Scarlett obracała się teraz, było bardzo różnorodne. Należeli doń państwo Gelert, którzy zamieszkiwali już w kilku stanach i wynosili się pośpiesznie z każdego po kolei, gdy odkrywano ich oszustwa; państwo Connington, których stosunki z Biurem Wyzwoleńców w pewnym odległym stanie były niezwykle rentowne, kosztem

ciemnych Murzynów; państwo Deal, którzy z takim powodzeniem sprzedawali tekturowe buty rządowi Konfederacji, że ostatni rok wojny musieli spędzić w Europie; państwo Hundon, którzy byli notowani w kronikach policyjnych wielu miast, ale mimo to z powodzeniem zdobywali przetargi na dostawy rządowe; państwo Carahan, którzy zaczęli karierę w domu gry, teraz zaś grali o większe stawki budując nie istniejące linie kolejowe za pieniądze stanu; państwo Flaherty, którzy skupowali sól po cencie za funt w r. 1861 i dorobili się fortuny, gdy sól podskoczyła do pięćdziesięciu centów w r. 1863; wreszcie państwo Bart, którzy podczas wojny byli właścicielami największego domu publicznego w pewnej północnej stolicy, a teraz obracali się w najlepszych kołach towarzystwa Carpetbaggerów.

Ludzie ci byli zażyłymi przyjaciółmi Scarlett. Inni jednak, których zapraszała na większe przyjęcia, posiadali niejednokrotnie pewną kulturę i wytworność, a wielu pochodziło z doskonałych rodzin. Poza arystokracją Carpetbaggerów do Atlanty przybywali także i przyzwoici ludzie z Północy, przyciągnięci nieustającą aktywnością miasta w tym okresie rozbudowy i rozrostu. Bogate rodziny jankeskie wysyłały synów do pracy pionierskiej na Południe, a jankescy oficerowie po skończeniu służby osiedlali się na stałe w mieście, które tak trudno im było ujarzmić. Z początku, czując się obco w Atlancie, z ochotą przyjmowali zaproszenia na wspaniałe przyjęcia bogatej i gościnnej pani Butler, wkrótce jednak i oni odsunęli się od Scarlett. Byli przyzwoitymi ludźmi. Wystarczała im tylko krótka znajomość z Carpetbaggerami i ich rządem, aby się do nich uprzedzić jak rodowici Georgijczycy. Wielu z nich z biegiem czasu stało się demokratami i większymi patriotami Południa niż urodzeni południowcy.

Inne także nie dobrane do kółka Scarlett osoby tkwiły w nim tylko dlatego, że nie miały wstępu gdzie indziej. Milsze byłyby im spokojne salony „starej gwardii”, ale stara gwardia nie chciała ich u siebie widzieć. Do osób tych należały jankeskie nauczycielki, które przyjechały na Południe w zamiarze duchowego podźwignięcia Murzynów, oraz Scallawagowie, którzy urodzili się dobrymi demokratami, ale po kapitulacji przeszli do republikanów.

Trudno powiedzieć, których z nich szczerzej nienawidziła ludność dawno osiadła: niemożliwe nauczycielki czy też Scallawagów - szala przechylała się prawdopodobnie jednak na stronę tych ostatnich. Nauczycielki zbywało się krótkim: - No, i czegoż można oczekiwać od Jankesów? Zrozumiałe, że myślą, iż Murzyni są nie gorsi od nich! - Dla Georgijczyków jednak, którzy stali się republikanami, nie było żadnego usprawiedliwienia.

- Jeżeli przymieranie głodem jest dobre dla nas, powinno być dobre i dla was - tak mniej więcej myśleli członkowie starej gwardii. Wielu żołnierzy Konfederacji, znając

rozpaczliwe położenie mężczyzn, których rodziny były w potrzebie, bardziej pobłażliwie odnosiło się do towarzyszków broni, którzy zmienili barwy polityczne, aby zabezpieczyć byt swoich najbliższych. Kobiety „starej gwardii” były jednak nieustępliwe i nieugięte i one to miały istotną władzę w społeczeństwie. Przegrana Sprawa była im droższa teraz i bliższa niż w chwilach największej swej chwały. Teraz stała się fetyszem. Wszystko, co się jej tyczyło, było święte - groby poległych za nią, pola bitwy, podarte sztandary, na krzyż zawieszono na ścianach szable, płowiejące listy z frontu, weterani. Kobiety te nie dawały wsparcia, pociechy czy schronienia dawnym nieprzyjaciółom, a do tych zaczęły teraz zaliczać i Scarlett.

Mieszane towarzystwo, zespolone ze sobą wymaganiami sytuacji politycznej, jedną jeszcze rzecz miało wspólną: pieniądze. Ponieważ większość ich nie posiadała nawet dwudziestu pięciu dolarów przed wojną, rzucili się teraz w taką orgię wydawania, jakiej Atlanta nigdy dotąd nie przeżywała.

Od czasu gdy republikanie rozsiedli się w politycznym siodle, miasto weszło w okres rozrzutności i przepychu, a pozory wytworności tylko cienką warstwą pokrywały zepsucie i ordynarność, kryjące się od spodu. Nigdy dotychczas rozłam między bardzo bogatymi a bardzo biednymi nie zaznaczał się tak wyraźnie. Ludzie u szczytu drabiny społecznej nie poświęcali mniej szczęśliwym ani jednej myśli. Z wyjątkiem oczywiście Murzynów. Murzyni musieli mieć wszystko, co najlepsze. Najlepsze szkoły i mieszkania, najlepszą odzież i rozrywki - ponieważ byli kluczem do władzy i każdy głos murzyński się liczył. Jeżeli chodzi jednak o niedawno zubożałą ludność Atlanty - mogła umierać z głodu i padać na ulicach, a nowo wzbogaceni republikanie nie przejmowali się tym wcale.

Na fali tej wulgarności Scarlett jechała w tryumfie - była młodą mężatką, piękną i elegancką, majątek Retta zapewniał jej bezpieczeństwo. Nastąpiła teraz epoka, która jej bardzo odpowiadała - niewyrafinowana, okazała, ordynarna, pełna wystrojonych kobiet, przeładowanych meblami domów, biżuterii, koni, powozów, jadła i napojów. Kiedy w nieczęstych chwilach Scarlett. myślała o tych sprawach, rozumiała dobrze, że Ellen żadnej z nowych znajomych nie nazwałaby damą. Zbyt jednak często łamała zasady Ellen od owego dnia, gdy w salonie Tary postanowiła, że zostanie kochanką Retta, aby teraz odczuwać wyrzuty sumienia.

Może istotnie nowi jej znajomi nie byli w ścisłym tych słów znaczeniu damami i dżentelmenami, ale, podobnie jak znajomi Retta w Nowym Orleanie, byli bardzo zabawni. O tyle bardziej interesujący od spokojnych, pobożnych, czytających Szekspira przyjaciół z czasów pierwszego jej pobytu w Atlancie! A poza okresem krótkiej- podróży poślubnej, Scarlett nie bawiła się od tak dawna! Nie czuła się także od dawna bezpieczna. Teraz więc,

wreszcie zabezpieczona, chciała tańczyć, bawić się, hulać, napychać jedzeniem i dobrym winem, okrywać jedwabiami i atlasami, tarzać na miękkich łózkach i sofach. Używała więc wszystkiego do woli. Ośmielona pobłażliwością Retta, oswobodzona z zakazów krępujących ją w dzieciństwie, wolna wreszcie od obawy ubóstwa, pozwalała sobie na luksus, o którym marzyła często - robienia wszystkiego, co chciała, i oświadczenia ludziom, którym się to nie podobało, aby czym prędzej szli do diabła.

Ogarnęło ją teraz przyjemne odurzenie, właściwe tym, których samo istnienie jest policzkiem dla zorganizowanego społeczeństwa - jak gracze, konfidenci, eleganckie awanturnice, wszyscy, którzy opierają istnienie swoje na własnej przemyślności. Mówiła i robiła wszystko, co jej się podobało, i w niedługim czasie zuchwałość jej przeszła wszelkie granice.

Nie wahała się zachowywać arogancko w stosunku do znajomych republikanów i Scallawagów, najbardziej jednak niegrzeczna i zuchwała była wobec jankeskich oficerów i ich rodzin. Z różnorodnej masy ludzi, którzy zbiegli się do Atlanty, wojskowi byli jedynymi, których nie chciała przyjmować i tolerować. Wysilała się nawet bardzo, aby okazywać im niegrzeczność. Nie tylko Melania nie mogła zapomnieć niebieskich mundurów. Dla Scarlett mundury te i złote guziki były synonimem niepewności obłożenia, strachu, ucieczki, łupienia i palenia, rozpaczliwej biedy i ciężkiej pracy w Tarze. Teraz, gdy była bogata i bezpieczna dzięki przyjaźni gubernatora i wielu wybitnych republikanów, mogła zachowywać się obelżywie w stosunku do każdego niebieskiego munduru, jaki spotykała. I robiła to stale.

Rett kiedyś wytknął jej niedbale, że większość mężczyzn, którzy zbierali się pod jej dachem, nosiła te same niebieskie mundury przed bardzo niedawnym czasem, ale Scarlett odpowiedziała mu na to, że Jankes nie wydawał jej się Jankesem, jeśli nie miał na sobie munduru. Na co Rett odparł: - Konsekwencjo, tyś jest wielką cnotą - i wzruszył ramionami.

Scarlett, w nienawiści swojej do niebieskich mundurów, tym bardziej lubiła robić wojskowym afronty, że to wprawiało ich w zdumienie. Rodziny oficerów garnizonu słusznie się temu dziwiły, bo byli to spokojni, dobrze wychowani ludzie, osamotnieni we wrogim kraju, pragnący powrotu na Północ, trochę wstydzący się rządów hołoty, którą musieli osłaniać - ludzie ze znacznie lepszej sfery niż inni znajomi Scarlett. Żony oficerów nie mogły się nadziwić, że elegancka pani Butler kuma się z takimi kobietami jak rudowłosa Brygida Flaherty, a im - przeciwnie - stara się wyrządzać afronty.

Lecz nawet panie, które Scarlett darzyła względami, musiały wiele od niej znosić. Godziły się na to chętnie. Dla nich była nie tylko bogata i elegancka - była przedstawicielką starego ustroju, dobrych nazwisk, Starych rodzin, starych tradycji, którym koniecznie starali



się dorównać. Rodziny, do których się panie z nowej arystokracji garnęły, wyrzekły się Scarlett, o tym jednak one nie wiedziały. Wiedziały jedynie, że ojciec Scarlett był właścicielem wielkiej liczby niewolników, matka pochodziła z Robillardów z Savannah, a mężem jej był Rett Butler z Charlestonu. To im zupełnie wystarczało. Scarlett była klinem mającym je wepchnąć do starego towarzystwa, do towarzystwa, które nimi gardziło, nie rewizytowało ich, a w kościołach odpowiadało lodowato na ukłony. Scarlett była nawet więcej niż klinem. Dla nich, które świeżo, wydostały się na szersze wody, była symbolem „towarzystwa”. Ponieważ same udawały prawdziwe damy, w pretensjach Scarlett, aby uchodzić za wielką damę, orientowały się nie lepiej niż ona sama. Brały ją za taką, jaką chciała im się wydawać, i znosiły jej fochy, łaski, humory, arogancję, wyraźną niegrzeczność i jawną krytykę ich błędów.

Powstały z niczego tak niedawno i tak im brakło pewności siebie, że chcąc udawać dystynkcję obawiały się okazać złość czy ostro odpowiedzieć, żeby Scarlett nie uznała ich za źle wychowane. Chciały być damami za wszelką cenę. Miały pretensje do wielkiej subtelności, skromności i niewinności. Ktoś, kto by przysłuchiwał się ich rozmowom, mógłby pomyśleć, że nie miały nóg, nie spełniały naturalnych funkcji i wcale nie znały podłego, zepsutego świata. Nikt by nie mógł przypuszczać, że ruda Brygida Flaherty, o białej skórze i przeraźliwym irlandzkim akcencie, skradła oszczędności swego ojca i przyjechała do Ameryki na posadę pokojówki w nowojorskim hotelu. Obserwując humory Sylwii (dawniej Sadie) Connington i Mamie Bart, nikt by nie mógł podejrzewać, że pierwsza wychowała się pod szynkiem ojca w portowej dzielnicy Nowego Jorku i usługiwała gościom w godzinach wielkiego ruchu, a druga, jak głosiła fama, pochodziła z domu publicznego swego męża. Teraz jednak były to delikatne, niezaradne stworzenia.

Mężczyźni, mimo że dorobili się majątków, trudniej przyswajali sobie nowe maniery i mniej mieli cierpliwości, aby podporządkować się nowym kodeksom. Pili dużo na przyjęciach u Scarlett, zbyt dużo nawet, i zwykle po kolacjach proszonych kilku gości nocowało w jej domu. Nie upijali się tak jak mężczyźni, których Scarlett pamiętała z dzieciństwa. Stawali się ogłupiali, wstrętni i nieprzyzwoici. Poza tym zaś, choćby nie wiadomo ile spluwaczek stawiała na widocznych miejscach, zawsze po przyjęciach miała dywany poplamione sokiem tytoniowym.

Scarlett gardziła tymi ludźmi, ale dobrze się czuła w ich towarzystwie. Dlatego zapraszała ich do siebie - ale ponieważ nimi gardziła, kazała im się wynosić, jak tylko miała ich dość. Oni jednak znosili wszystko.

Znosili nawet uwagi Retta, co było sprawą trudniejszą, bo Rett znał ich na wylot i nie

krył się z tym wcale. Nie wahał się im mówić prawdy nawet w swoim domu, i to w taki sposób, że nie mogli nic odpowiedzieć. Nie wstydząc się tego, jak doszedł do majątku, udawał, iż wydaje mu się, że i oni nie wstydzą się swoich początków, i rzadko przepuszczał sposobność robienia uwag na temat spraw, które za wspólnym porozumieniem wszyscy woleli pozostawiać w przyjemnym cieniu.

Nie można było nigdy przewidzieć, kiedy zauważy nad szklanką ponczu: „Ralf, gdybym miał więcej rozumu, starałbym się zrobić fortunę jak ty - na sprzedaży akcji nie istniejących kopalni złota wdowom i sierotom, a nie na blokadzie. To o tyle pewniejszy interes”. „Słuchaj, Bili, widzę, że masz nową parę koni. Znowu więc chyba sprzedałeś kilka tysięcy akcji nie istniejących kolei? Dobrześ się spisał, chłopie!” „Winszuję ci, Amos, tej nowej dostawy rządowej. Szkoda tylko, żeś tyle rąk musiał posmarować”.

Panie uważały, że jest obrzydliwie, nieznośnie wulgarny. Mężczyźni mawiali za jego plecami, że jest świnią i łotrem. Nowa Atlanta nie więcej lubiła Retta niż stara, on zaś równie mało starał się o względy jednej jak i drugiej. Szedł swoimi drogami, ubawiony, wzdurliwy, nie liczący się z opinią publiczną i tak uprzejmy, że już sama uprzejmość jego była obelgą. Dla Scarlett stanowił jeszcze ciągle zagadkę, ale zagadkę, nad której rozwiązaniem przestała sobie łamać głowę. Była przekonana, że nic mu się nigdy nie podoba i nigdy podobać nie będzie, że albo bardzo czegoś chciał i nie mógł zdobyć, albo nigdy niczego szczerze nie pragnął i dlatego o nic nie dbał. Śmiał się ze wszystkiego, co robiła, zachęcał ją do wybryków i zuchwałości, drwił z jej pretensji - i płacił rachunki.



## ROZDZIAŁ L

Rett nawet w najbardziej intymnych chwilach nie przestawał się zachowywać w stosunku do Scarlett uprzejmie, poprawnie, gładko - Scarlett jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że obserwuje ją ukradkiem. Wiedziała, że jeżeli odwróci nagle głowę, spostrzeże w jego oczach badawcze, wyczekujące spojrzenie, spojrzenie prawie nadludzkiej cierpliwości, którego nie mogła zrozumieć.

Czasami był bardzo miły we współżyciu, mimo że nadal bardzo konsekwentnie nie tolerował jakichkolwiek kłamstw, puszenia się czy też przechwałek. Słuchał opowiadań Scarlett o sklepie, tartakach czy szynku, o więźniach i koszcie ich wyżywienia i dawał jej mądre, praktyczne rady. Miał nie wyczerpaną energię do zabaw i przyjęć, które lubiła, nie kończący się zapas sprośnych historyjek, którymi raczył ją podczas nielicznych wieczorów, gdy siedzieli sami przy kawie i likierach. Przekonała się, że Rett podaruje jej wszystko, czego zapagnie, odpowie na każde pytanie, dopóki będzie szczerą - że jednak odmówi jej wszystkiego, co zechce zdobyć podstępem, fintą czy kobiecymi sztuczkami. Miał żenującą umiejętność domyślania się jej intencji i głośnego ich wyśmiewania.

Uprzytomniając sobie łagodną obojętność, z jaką ją zwykle traktował. Scarlett zastanawiała się niejednokrotnie, ale bez ciekawości, po co się Rett z nią ożenił. Mężczyźni żenili się z miłości, żeby mieć własny dom i dzieci, albo dla pieniędzy - on zaś nie poślubił jej dla żadnego z tych powodów. Pewne było, że jej nie kochał.

O pięknym jej domu mówił, że jest architektonicznie potworny i że osobiście wolałby mieszkać w dobrze prowadzonym hotelu niż w tym domu. I ani razu nie napomknął o dzieciach, jak Frank czy Karol. Razu pewnego, gdy chciała go skokietować, zapytała go, po co się z nią ożenił, i rozżłościła się, kiedy odpowiedział z błyskiem wesołości w oczach: - Ożeniłem się z tobą, moja droga, ponieważ chciałem mieć w domu ładne zwierzątko.

Nie, nie poślubił jej dla żadnego z tych powodów, dla których mężczyźni żenili się z kobietami. Ożenił się z nią tylko dlatego, że jej pragnął, a nie mógł jej zdobyć w inny sposób. Wyznał jej to tego wieczora, gdy się jej oświadczył. Pragnął jej tak samo jak niegdyś Belli Watling. Nie była to przyjemna myśl. Właściwie była to nawet wielka zniewaga. Odsunęła jednak tę myśl daleko, jak odsuwała wszystkie niemile dla siebie prawdy. Zawarła z Rettem umowę, z której osobiście była zupełnie zadowolona. Miała nadzieję, że i on jest zadowolony, ale nie obchodziło to jej zbyt wiele.

Pewnego jednak popołudnia, kiedy poszła do doktora Meade po poradę w jakiejś

żołądkowej dolegliwości, dowiedziała się nieprzyjemnej nowiny, którą trudno jej było odsunąć z myśli. Z prawdziwą nienawiścią w oczach wpadła o zmierzchu do sypialni i powiedziała Rettowi, że spodziewa się dziecka.

Leżał w jedwabnym szlafroku, otoczony kłębam dymu, i gdy to mówiła, oczy jego badawczo, spoczywały na jej twarzy. Nic jednak nie powiedział. Obserwował ją w milczeniu, ale postawa jego, gdy czekał jej następnych słów, wyrażała napięcie, które uszło uwagi Scarlett. Oburzenie i rozpacz pochłaniały ją tak dalece, że nie miała czasu na inne myśli.

- Wiesz dobrze, że nie chcę więcej dzieci! Nigdy w ogóle nie chciałam mieć dzieci. Ilekroć zaczyna mi być dobrze na świecie, zjawia się dziecko! Och, nie siedź tak spokojnie i nie śmieję się! I ty przecież nie chcesz dziecka! Och, Matko święta!

Jeżeli rzeczywiście czekał na jej słowa, nie tych się spodziewał. Twarz jego spochmurniała trochę i oczy stały się posępne.

- A więc dlaczego byś nie miała go oddać Meli? Mówiłaś mi przecie, że ona jest taka nierozsądna, iż pragnie drugiego dziecka?

- Och, miałabym ochotę cię zabić! Nie chcę go, mówię ci, że go nie chcę!

- Nie? No, i co z tego?

- Och, są na to sposoby. Nie jestem już głupią wieśniaczką, jaką byłam dawniej. Teraz wiem, że kobiety nie muszą mieć dzieci, jeżeli nie chcą! Są sposoby...

Zerwał się na nogi i chwycił ją za rękę. a twarz jego wyrażała obłądny strach.

- Scarlett, ty głupia, powiedz mi prawdę! Czy zrobiłaś coś takiego?

- Nie, nie zrobiłam, ale mam zamiar. Czy przypuszczasz, że pozwolę, aby mi się figura znowu popsukała, teraz właśnie, kiedy wreszcie jestem szczupła w pasie i dobrze się bawię, i...

- Kto ci podał tę myśl? Kto ci o tym powiedział?

- Mamie Bart... ona...

- Oczywiście, że „ciocia” z domu publicznego zna takie sztuki! Ta kobieta nie przestąpi więcej progę tego domu. rozumiesz? Ostatecznie to mój dom i ja tu jestem panem. Nie będę nawet więcej z nią rozmawiał.

- Zrobię, jak mi się podoba. Puść mnie. Co cię to może obchodzić?

- Nie obchodzi mnie. czy będziesz miała jedno dziecko, czy tuzin, ale obchodzi twoje życie czy śmierć.

- Śmierć? Moja?

- Tak, śmierć. Nie przypuszczam, aby Mamie Bart powiedziała ci, na co się naraża kobieta, która robi podobne rzeczy.

- Nie - rzekła Scarlett niechętnie. - Powiedziała tylko, że to by zapobiegło wszystkiemu.

- Na Boga, zabiję tę babę! - krzyknął Rett. a twarz poczerniała mu z pasji. Spojrzał na zalaną łzami twarz Scarlett i gniew trochę mu przeszedł, ale twarz pozostała jeszcze zacięta i zła. Nagle wziął ją w ramiona i usiadł z nią na krześle, trzymając ją blisko przy sobie, mocno, jak gdyby się bał, że może mu się wyrwać.

- Słuchaj, dziecinko, nie chcę, abyś narażała życie. Czy słyszysz? Dobry Boże, nie chcę dzieci tak samo jak ty, ale mogę sobie pozwolić na ich wychowanie. Nie chcę już więcej słyszeć głupstw na ten temat, a jeżeli ośmielisz się spróbować... Scarlett, byłem świadkiem śmierci pewnej dziewczyny, która umarła od tego. Była tylko... mniejsza z tym. ale była dobrą dziewczyną. To nie jest lekka śmierć.

- Ależ Rett! - zawołała, mimo zmartwienia poruszona do głębi wzruszeniem w jego głosie. Nigdy nie widziała go w podobnym stanie. - Gdzie, kto...

- W Nowym Orleanie, och, dużo lat temu. Byłem młody i wrażliwy. - Pochylił nagle głowę i dotknął wargami jej włosów. - Będziesz miała dziecko, Scarlett, choćbym miał cię przykuć do siebie kajdanami na najbliższych dziewięć miesięcy.

Usiadła mu na kolanach i popatrzyła w twarz ze szczerą ciekawością. Pod jej spojrzeniem twarz ta stała się nagle nieodgadniona i uprzejma, jak gdyby magicznym sposobem wyprana ze wzruszenia. Brwi Retta podniosły się, a jeden kącik ust opadł.

- Czy naprawdę znaczę dla ciebie tak wiele? - zapytała spuszczać powieki.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie, jak gdyby chcąc ocenić, ile kokieterii kryje się pod tym pytaniem. Wyczytawszy prawdziwą jej intencję, odpowiedział obojętnie:

- No owszem. Widzisz, ulokowałem w tobie dość dużo pieniędzy i nie chciałbym ich stracić.

Melania wyszła z pokoju Scarlett zmęczona napięciem, ale rozczulona do łez narodzinami córki Scarlett. Rett stał w hallu, bardzo zdenerwowany, otoczony niedopałkami cygar, które powypalały dziury w kosztownym dywanie.

- Może pan już wejść, kapitanie - rzekła nieśmiało.

Wyminąwszy ją szybko Rett wszedł do pokoju. Przez krótką chwilę, zanim doktor Meade zamknął drzwi, Melania widziała, jak się pochylał nad nagim noworodkiem, którego Mammy trzymała na rękach. Melania opadła na fotel i twarz jej zaróżowiła się ze zmieszania, że przypadkiem stała się świadkiem tak intymnej sceny.

„Ach! - myślała. - Jakie to wzruszające! Jak się biedny kapitan Butler niepokoił! I przez cały ten czas nie wypił ani kropelki! Jak to ładnie z jego strony. Zdarzają się mężczyźni, którzy są zupełnie wstawieni, kiedy dzieci ich przychodzą na świat. Zdaje mi się jednak, że kieliszek wódki bardzo by mu się przydał. Czy mam mu o tym powiedzieć? Nie, to byłoby

zbyt niedelikatne z mej strony”

Rozsiadła się wygodniej w fotelu, bo plecy, ostatnio stale obolałe, sprawiały jej teraz ból, jak gdyby miały w pasie pęknąć na dwoje. Och, jakże szczęśliwa była Scarlett, że kapitan Butler stał za jej drzwiami, podczas gdy rodziła. Gdyby Ashley był przy niej owego strasznego dnia narodzin Beau, nie byłaby wcale cierpiała. Gdybyż ta maleńka dziewczynka za zamkniętymi drzwiami była jej, a nie Scarlett! „Och, jakaż ja jestem podła - pomyślała ze skruchą. - Zazdroszczę Scarlett dziecka, mimo że była dla mnie taka dobra. Przebacz mi, Panie. Nie chciałabym wcale dziecka Scarlett, ale... ale tak bardzo bym chciała mieć jeszcze jedno własne!”

Podsunęła małą poduszczkę pod swoje bolące plecy i zaczęła myśleć o upragnionej własnej córeczce. Doktor Meade nie odstępował jednak od swego zdania w tej sprawie. I chociaż ona chętnie by naraziła życie dla dziecka, Ashley nie chciał o tym słyszeć. Córka... Jakżeby Ashley kochał córkę!

Córka! Na miłość boską! Wyprostowała się z niepokojem. Nie powiedziała nawet kapitanowi Butlerowi, że to córka! A on oczywiście oczekiwał chłopca. Och, jakie to straszne!

Melania wiedziała, że dla kobiety każde dziecko jest jednakowo drogie, ale dla mężczyzny, zwłaszcza tak despotycznego jak kapitan Butler, dziewczynka będzie ciosem, skazą na jego męskości. Och, jakże wdzięczna była Bogu za to, że pozwolił, aby jej jedyne dziecko było chłopcem! Wiedziała, że gdyby to ona była żoną groźnego kapitana Butlera, wolałaby raczej umrzeć przy porodzie, niż obdarzyć go córką jako pierworodną.

Mammy jednak, która przyczłapała uśmiechnięta z sypialni, uspokoiła jej obawy - Melania zaczęła się więc zastanawiać, jakiego rodzaju człowiekiem jest właściwie kapitan Butler.

- Kiedy kąpałam teraz to dziecko - zaczęła Mammy - przeprosiłam pana Retta, że to nie chłopiec. Ale czy wie pani, Miss Melu, co powiedział? Powiedział: „Uspokój się, Mammy! Któż by chciał chłopca? Chłopcy nie są zabawni. Człowiek ma z nimi tylko kłopoty. Dziewczynki, to zupełnie co innego. Nie zamieniłbym tej małej na cały tuzin chłopców”. Potem chciał zabrać ode mnie to dziecko, naguteńkie, jak było, a ja uderzyłam go po ręce i powiedziałam: „Jak się pan zachowuje, panie Recie! Poczekamy, aż przyjdzie chłopiec, i wtedy się będę śmiała, bo pan będzie krzyczał z radości”. A on się uśmiechnął, potrząsnął głową i powiedział:

„Mammy, jesteś niemądra. Chłopcy są do niczego: czy ja nie jestem tego dowodem?” Tak, Miss Melu, zachował się, jak przystało na dżentelmena - zakończyła Mammy łaskawie.

Melania zauważyła, że dzięki swemu postępowaniu Rett bardzo wiele zyskał w oczach Mammy. - Może ja się troszkę myliłam co do pana Retta. To bardzo szczęśliwy dzień dla mnie, pani Melu. Przewijałam już trzy pokolenia dziewczynek w rodzinie Robillardów... to bardzo szczęśliwy dla mnie dzień.

- O tak, szczęśliwy dzień, Mammy! Najszczęśliwsze są dni, kiedy rodzą się dzieci!

Dla jednej osoby w domu dzień ten nie był szczęśliwy. Łajany i prawie zupełnie zapomniany, Wade Hampton kręcił się smutnie po jadalni. Z rana Mammy obudziła go nagle, ubrała pośpiesznie i posłała z Ellą na śniadanie do ciotki Pitty. Wy tłumaczono mu jedynie, że matka jego jest chora i że hałas może jej zaszkodzić. W domu ciotki Pitty panowało zamieszanie, bo wiadomość o chorobie Scarlett sprawiła, że starsza pani poczuła się słabo i położyła do łóżka, a kucharka musiała ją pielęgnować, śniadanie zaś było bardzo skromne, bo przygotował je dla dzieci wuj Piotr. Wraz z mijaniem godzin, Wade'a zaczęły ogarniać obawy. A jeżeli mamusia umrze? Matki innych chłopców umierały przecież. Widział karawany zajeżdżające przed domy i słyszał łkania swoich małych przyjaciół. A jeżeli jego mamusia także umrze? Wade bardzo kochał swoją matkę, prawie tak bardzo, jak się jej obawiał, i myślał, że wywiozą ją w czarnym karawanie, zaprzężonym w czarne konie z pióropuszcami, sprawiła mu taki ból, że serce mu się ścisnęło i ledwie mógł oddychać.

Kiedy przyszło południe i Piotr zajęty był w kuchni, Wade wysliznął się przez drzwi frontowe i gnany wielkim strachem pobiegł do domu tak szybko, jak mu na to pozwoliły jego krótkie nóżki. Wuj Rett, ciocia Mela lub Mammy z pewnością powiedzą mu prawdę. Ale wuja Retta ani cioci Meli nie było widać, a Mammy i Dilcey wbiegały i zbiegały po kuchennych schodach z ręcznikami i miednicami gorącej wody i nie zauważyły go wcale we frontowym hallu. Z góry, ilekroć otwierały się drzwi, słyszał krótkie rozkazy doktora Meade. Raz usłyszał jęk matki, wybuchnął więc płaczem przerywanym czkawką. Czuł, że matka umrze. Na pocieszenie zaczął rozmawiać z żółtym kotem, który leżał w słońcu na parapecie okna. Tom jednak, sędziwy i lubiący spokój, naprężył ogon i począł cicho parskać.

Wreszcie jednak Mammy, zszedłszy po frontowych schodach w zgniecionym i zaplamionym fartuchu, w przekrzywionej chustce na głowie, zauważyła go i zasępiła się groźnie. Mammy była zawsze podporą Wade'a, więc mina jej napełniła go przerażeniem.

- Jesteś najgorszym chłopcem, jakiego znam - powiedziała.- Posłałam cię przecież do panny Pitty! Wracaj tam zaraz!

- Czy mamusia, czy mamusia umrze?

- Jesteś najnieznośniejszym dzieckiem pod słońcem! Umrze? Na Boga, nie! Boże, cóż to za chłopiec! Nie rozumiem, po co Pan Bóg daje ludziom małych chłopców. A teraz wynoś



mi się stąd w tej chwili!

Wade jednak został. Schował się za portierę w hallu, na wpół tylko przekonany o prawdziwości słów Mammy. Uwaga, że chłopcy są niezdolni, dotknęła go bardzo, ponieważ zawsze starał się być grzeczny. W pół godziny później zeszła na dół ciocia Mela, blada i zmęczona, ale uśmiechnięta. Przeraziła się prawie, kiedy w cieniu draperii zauważyła zrozpaczoną twarzyczkę Wade'a. Zwykle ciocia Mela nie szczędziła mu czasu. Nigdy nie mówiła tak jak mamusia: - Nie przeszkadzaj mi teraz. Spiesz się - albo: - Zmykaj, Wade. Jestem zajęta.

Teraz jednak nawet ciocia Mela powiedziała - Wade, jesteś bardzo niegrzeczny. Dlaczego nie zostałeś u cioci Pitty?

- Czy mamusia umrze?

- Ale skądże znowu. Wade! Nie bądź głuptaskiem - i potem, łagodniej: - Doktor Meade przed chwilą przyniósł jej małe śliczne dziecko, małą siostrzyczkę, z którą będziesz się bawił, a jeżeli będziesz bardzo grzeczny, zobaczysz ją może dziś wieczorem. A teraz baw się, ale nie hałasuj.

Wade wsunął się do cichej teraz jadalni. Mały jego i niepewny świat zadrżał w posadach. Czy w ten słoneczny dzień, kiedy dorośli zachowywali się tak dziwnie, nigdzie na świecie nie było miejsca dla strapionego siedmioletniego chłopca? Usiadł w niszy na parapecie okna i zaczął skubać listki nasturejki rosnącej w skrzynce na słońcu. Były tak pieprzne, że łzy zakręciły mu się w oczach i zaczął płakać. Mama prawdopodobnie umiera, nikt na niego nie zwraca uwagi, przejęci są tym nowym dzieckiem - dziewczynką w dodatku. Wade nie interesował się dziećmi, zwłaszcza dziewczynkami. Jediną małą dziewczynką, jaką znał, była Ella, która jak dotąd nie potrafiła zjednać sobie jego szacunku czy sympatii.

Po dłuższym czasie zeszli z góry doktor Meade z wujem Rettem i stanęli w hallu rozmawiając przyciszonym głosem. Kiedy drzwi zamknęły się za doktorem, wuj Rett szybko wszedł do jadalni, nalał sobie whisky z karafki i wtedy dopiero zauważył Wade'a. Wade cofnął się przygotowany, że znowu usłyszy, iż jest niegrzeczny i powinien wracać do ciotki Pitty, zamiast tego jednak wuj Rett uśmiechnął się do niego. Wade nigdy nie widział go tak uśmiechniętego i rozradowanego, więc ośmielony, zeskoczył z okna i podbiegł ku niemu.

- Masz siostrzyczkę - rzekł Rett obejmując go. - Daję słowo, że to najpiękniejsze dziecko, jakie widziałem! Co to, dlaczego płaczesz?

- Mamusia...

- Mamusia je teraz obfity obiad, kurczę w potrawce i kawę, a za chwilę zrobimy jej lody, i ty dostaniesz dużą porcję, jeżeli zechcesz. I pokaże ci także twoją siostrę.

Ogarnięty radością, Wade chciał powiedzieć coś miłego na temat tej nowej siostry, ale nie mógł. Wszyscy interesowali się tą dziewczynką. Nikt nie dbał już o niego - ani ciocia Mela, ani wuj Rett.

- Wuju Recie - zaczął - czy ludzie bardziej lubią małe dziewczynki, czy małych chłopców?

Rett odstawił szklanę i spojrzał przenikliwie w małą twarz dziecka, a wyraz zrozumienia pojawił się w jego oczach.

- Nie, tego bym nie powiedział - odrzekł poważnie, jak gdyby z głębokim zastanowieniem. - Tylko że dziewczynki są bardziej nieznośne niż chłopcy, więc ludzie muszą się nimi zajmować bardziej niż chłopcami.

- A Mammy dopiero co powiedziała, że chłopcy są nieznośni.

- No, Mammy pewnie była zmęczona. Nie mówiła serio.

- Wuju Recie, a czy wuj nie wolałby mieć małego chłopczyka zamiast małej dziewczynki? - zapytał Wade z nadzieją w głosie.

- Nie - odrzekł Rett szybko, ale widząc, że chłopczyk się zasepił, ciągnął dalej: - Dlaczego miałbym chcieć chłopca, kiedy mam już jednego.

- Naprawdę? - zapytał Wade i buzia aż otwarła mu się ze zdumienia. - Gdzie on jest?

- Właśnie tutaj - odrzekł Rett i podnosząc chłopca wziął go na kolana. - Ty mi zupełnie wystarczasz, synku.

Przez chwilę poczucie bezpieczeństwa i szczęście, że ktoś go lubi, były tak silne, iż Wade omal nie rozplakał się znowu. Zaczął głośno przetykać ślinę i mocno przytulił główkę do piersi Retta.

- Jesteś przecież moim synkiem, prawda?

- Ale czy można... czy można być synkiem dwóch osób? - zapytał Wade, w którym wierność dla pamięci nigdy nie widzianego ojca walczyła o lepsze z miłością do człowieka, który go tak dobrze rozumiał.

- Tak - rzekł Rett stanowczo. - Tak samo możesz być synkiem twojej mamusi i cioci Meli.

Wade rozważał przez chwilę to zdanie. Wydało mu się rozsądne, uśmiechnął się więc i zaczął się nieśmiało ocierać o ramię Retta.

- Wuj rozumie małych chłopców, prawda, wuju?

Ciemna twarz Retta znowu przybrała dawny, surowy wyraz i wargi mu się skrzywiły.

- Tak - powiedział z goryczą - rozumiem małych chłopców.

Na chwilę Wade'a znowu ogarnęła obawa, obawa i pewnego rodzaju zazdrość. Wuj Rett

nie myślał o nim, ale o kimś innym.

- Ale wuj nie ma innych synków, prawda, wuju?

Rett postawił go na podłodze.

- A teraz napijmy się czegoś razem, Wade. Będzie to twój pierwszy kieliszek wina w życiu, wypijemy toast na cześć twojej siostrzyczki.

- Więc wuj nie ma innych - zaczął Wade, a potem widząc, że Rett sięga po karafkę, przerwał podniecony, że i on będzie brał udział w tak niedzielnym obrzędzie.

- Och, ale mnie nie wolno, wuju Recie! Przyrzekłem cioci Meli, że nie będę pił, póki nie skończę uniwersytetu, a jeżeli dotrzymam słowa, ciocia podaruje mi zegarek.

- A ja ci dam łańcuszek do zegarka... o, ten, który noszę, jeżeli ci się podoba - rzekł Rett i znowu zaczął się uśmiechać. - Ciocia Mela ma rację. Miała jednak na myśli wódkę, a nie wino. Powinieneś się nauczyć pić wino, jak przystało dzentelmanowi, synku, a teraz jest do tego najlepsza sposobność.

Wprawnym ruchem dolał do wina trochę wody z drugiej karafki, aż płyn stał się jasnoróżowy, i podał Wade'owi szklanekę. W tej samej chwili do jadalni weszła Mammy. Przebrała się w najlepszą czarną suknię niedzielną, włożyła czysty fartuch i wykrochmaloną chustkę. Idąc ociężale, mocno poruszała biodrami - spod sukni słychać było szelest jedwabiu. Wyraz zafrasowania ustąpił z jej twarzy, uśmiechała się teraz, ukazując prawie bezzębne dziąsła.

- Prezent urodzinowy, panie Recie! - powiedziała.

Wade ze zdumienia przestał pić. Wiedział dobrze, że Mammy nie lubi jego ojczyma. Nigdy nie nazywała go inaczej niż „kapitan Butler” i odnosiła się do niego grzecznie, ale chłodno. Teraz zaś nagle uśmiechała się i wdzięczyła, i nazywała „panem Rettem”. Co za zwariowany dzień!

- Mammy pewnie woli rum od wina - powiedział Rett schylając się do kredensu i wyjmując pękata butelkę. - Mała jest ślicznym dzieckiem, prawda, Mammy?

- Rozumie się, że ślicznym - odrzekła Mammy, głośno mlaskając po skosztowaniu trunku.

- Czy Mammy widziała kiedyś ładniejszą dziewczynkę?

- No, proszę pana, Miss Scarlett była prawie tak samo ładna, jak się urodziła, ale nie całkiem.

- Niech się Mammy napije jeszcze kieliszek. I, Mammy - ton jego był poważny, ale oczy mu się śmiały - co to ja za szum słyszę?

- Na Boga, panie Recie, to przecież tylko moja czerwona halka jedwabna! - Mammy

zachichotała i zaczęła się wykręcać na wszystkie strony.

- Tylko halka! Nie wierzę. To brzmi jak szelest zeschniętych liści. Proszę mi pokazać, czy to halka. Proszę podnieść suknię.

- Panie Recie, co też pan mówi! O, mój Boże złoty!

Mammy wydała krótki okrzyk, cofnęła się i z odległości kilku kroków skromnie podniosła suknię o parę cali, pokazując falbankę czerwonej taftowej halki.

- Dość długo namyślała się Mammy, czy ją włożyć - mruknął Rett, ale czarne jego oczy rzucały wesołe iskry.

- Tak, proszę pana, za długo.

Wtedy Rett powiedział coś, czego Wade nie zrozumiał.

- A więc już nie jestem mułem w końskiej uprzęży?

- Panie Recie, Miss Scarlett źle zrobiła mówiąc to panu! Nie gniewa się pan o to na starą Murzynkę?

- Nie. Nie gniewam się. Chciałem tylko wiedzieć. Niech się Mammy jeszcze kieliszek napije. Proszę sobie wziąć całą butelkę. Pij, Wade! Za co wypijemy?

- Za zdrowie siostrzyczki! - zawołał Wade i wychylił szklankę do dna. Zakrztusił się i zaczął kaszleć, a dwoje starszych ze śmiechem biło go po plecach.

Od chwili narodzin córki zachowanie Retta stało się tak zastanawiające, że ludzie musieli zmienić o nim wyrobiony pogląd, z którym zarówno miastu, jak i Scarlett trudno się było rozstać. Któż by bowiem mógł przypuszczać, że właśnie on będzie tak bezwstydnie, tak jawnie dumny ze swego ojcostwa? Zwłaszcza wobec kłopotliwej okoliczności, że pierwsze jego dziecko było dziewczynką, a nie chłopcem.

Ojcostwo stało się dla niego źródłem wciąż nowych wzruszeń. Budziło to tajemną zazdrość kobiet, których mężowie nie zajmowali się potomstwem od chwili chrztu dzieci. Rett zaczepiał znajomych na ulicy i opowiadał im szczegóły przedziwnego rozwoju małej, nie poprzedzając nawet swoich uwag pełnym hipokryzji, ale uprzejmym: - Wiem, że wszyscy rodzice uważają swoje dzieci za mądre, ale... - Uważał swoją córkę za dziecko niezwykle, nie do porównania z innymi dziećmi, i wszystko mu było jedno, komu o tym mówił. Kiedy nowa niania dała dziecku do ssania kawałek tłuszczu z wieprzowiny i wywołała pierwszy w życiu dziewczynki atak kolek, postępowanie Retta wywołało wesołość doświadczeńszych ojców i matek. Spiesznie zawezwał doktora Meade i dwóch innych lekarzy i tylko z trudem zdołano go powstrzymać od wysmagania nieszczęsnej niani szpicrutą. Została jednak zwolniona i odtąd zaczęła się odbywać procesja piastunek, które zostawały w służbie co najwyżej tydzień. Żadna nie była odpowiednia i żadna nie zaspokajała wielkich wymagań Retta.

Mammy z niechęcią patrzyła na piastunki, które przychodziły i odchodziły, bo zazdrosna była o każdą obcą Murzynkę, która zjawiała się w domu. Nie widziała powodu, dlaczego nie miałyby się zajmować niemowlęciem tak samo jak Wade'em i Ellą. Mammy jednak starzała się i reumatyzm coraz bardziej kępował ciężkie jej kroki. Rettowi brakło odwagi, aby to podać jako przyczynę godzenia nowych niań. Powiedział jej jednak, że człowiek na jego stanowisku musi mieć więcej niż jedną piastunkę do dzieci. Jedna nie wystarczała. Postanowił zatem przyjąć dwie inne do cięższej roboty, a ją mianować nianią honorową. Takie ujęcie sprawy Mammy zrozumiała doskonale. Wielka ilość służących dobrze świadczyła o stanowisku zarówno Retta, jak i jej. Zapowiedziała wszakże, że nie dopuści, aby byle jakie wyzwolone Murzynki kręciły się jej koło dzieci. Rett napisał zatem do Tary po Prissy. Znał dobrze jej wady, ale ostatecznie należała do rodziny; wuj Piotr sprowadził zaś swoją wnuczkę cioteczną imieniem Lu, która należała niegdyś do kuzynów Pitty, Burrów z Macon.

Jeszcze zanim Scarlett wstała z połogu, zauważyła, jak bardzo Rett zajęty jest dzieckiem, i była trochę zawstydzona i zakłopotana, że nawet przed obcymi nie ukrywa swojej dumy z ojcostwa. Bardzo ładnie, że mężczyzna tak kochał swoje dziecko, ale okazywanie tej miłości było bardzo niemęskie. Rett powinien był raczej udawać obojętnego jak inni mężczyźni.

- Wystawiasz się na głupca - powiedziała ze złością - i najgorsze, wcale nie rozumiem, po co to robisz?

- Nie rozumiesz? Nie przypuszczam zresztą, abyś to mogła rozumieć. Powód jest prosty - jest to pierwsza osoba, która należy wyłącznie do mnie.

- Do mnie należy także.

- Nie, ty masz dwoje innych dzieci. Ona jest moja.

- Do stu piorunów! - rzekła Scarlett. - Ale ja ją urodziłam, prawda? A poza tym, kochanie, ja także należę do ciebie.

Rett popatrzył na nią znad czarnej główki dziecka i uśmiechnął się dziwnie.

- Czy rzeczywiście, moja droga?

Tylko wejście Melanii zapobiegło jednej z krótkich, gorących kłótni, które ostatnio łatwo między nimi wybuchały. Scarlett przełknęła swoje oburzenie i przyglądała się, jak Melania bierze dziecko na ręce. Dla dziewczynki zostały już obrane imiona Eugenia Wiktoria, tego popołudnia jednak Melania bezwiednie obdarzyła ją przezwiskiem, które tak do niej przylgnęło jak Pittypat do ciotki, w rzeczywistości noszącej imiona Sary Janiny.

Rett pochylając się nad dzieckiem powiedział: - Będzie miała oczy zielone jak groszek.

- Ale skądże znowu! - zawołała z oburzeniem Melania zapominając, że Scarlett miała oczy prawie tego samego koloru. - Oczy jej będą tak niebieskie, jak oczy pana O'Hary, tak niebieskie jak nasz sztandar, Bonnie Blue Flag.

- Bonnie Blue Butler - zaśmiał się Rett biorąc od Meli dziecko i patrząc uważnie w małe oczęta. Została więc Bonnie i nawet jej rodzice przestali pamiętać, że nazwana została imionami dwóch królowych.



## ROZDZIAŁ LI

Kiedy wreszcie Scarlett mogła znowu wychodzić, kazała Lu zasnurować sobie gorset możliwie najciaśniej. Potem objęła talię miarką calową. Dwadzieścia cali! Jęknęła głośno. Takie były skutki rodzenia dzieci. Miała teraz talię jak ciotka Pitty, ba! jak Mammy!

- Ściśnij mnie mocniej, Lu. Spróbuj ścisnąć tak, abym mierzyła w taliu osiemnaście i pół cala, bo inaczej nie wejdzie na mnie żadna z moich sukien.

- Pękną sznurowadła - odparła Lu. - Utyła pani w stanie, Miss Scarlett, i nic się na to nie poradzi.

„A właśnie, że się poradzi - myślała Scarlett prując z wściekłością szwy sukni, aby wypuścić potrzebne cale. - Nie będę miała więcej dzieci”.

Pewnie, że Bonnie była śliczna i że mogła być z niej dumna; pewnie, że Rett ubóstwiał dziecko - ale dzieci więcej mieć nie będzie. Jak miała temu zaradzić, właściwie nie wiedziała, bo Rettem nie mogła kierować tak łatwo jak Frankiem. Rett nie bał się jej wcale. Prawdopodobnie nie będzie to rzeczą łatwą, skoro Rett tak wariował za Bonnie. Za rok będzie pewnie chciał syna, chociaż twierdził, że utopiłby każdego chłopca, którego by mu urodziła. Na szczęście nie ma zamiaru dawać mu ani chłopców, ani dziewczynek. Troje dzieci wystarczy każdej kobiecie.

Kiedy Lu zafastrygowała odprute szwy, wyprasowała je i zapięła suknię, Scarlett kazała zaprzęgać i pojechała do tartaku. W drodze humor jej się poprawił i zapomniała o swojej taliu, bo w tartaku miała zobaczyć Ashleya i sprawdzić z nim księgi. Jeżeli będzie miała szczęście, zobaczy go może sam na sam. Widziała go bardzo dawno temu, jeszcze na długo przed urodzeniem Bonnie. Nie chciała go widzieć od chwili, gdy ciąża jej stała się zanadto widoczna. Bardzo jej brakło codziennych z nim spotkań, chociaż nigdy nie bywała z nim sama. Brakło jej pracy i interesów, kiedy była uwięziona w domu. Pewnie, że teraz nie potrzebowała pracować. Mogła łatwo znaleźć nabywcę na tartaki, a pieniądze zainwestować dla Wade'a i Elli. To by jednak znaczyło, że musiałaby przestać widywać Ashleya, chyba że w towarzystwie, z mnóstwem ludzi dokoła. A praca przy boku Ashleya stanowiła teraz największą jej przyjemność.

Kiedy podjeżdżała do tartaku, zauważyła, że stosy drzewa piętrzą się wysoko i że stoi koło nich wielu klientów, rozmawiających z Hugonem Elsingiem. Murzyńscy woźnicy ładowali drzewo na sześć zaprzężonych w muły wozów. „Sześć wozów - pomyślała z dumą. - I wszystko to zdobyłam sama!”



Ashley podszedł do drzwi małego biura, uradowany, że widzi ją znowu, pomógł jej wsiąść z powozu i wprowadził do biura, jak gdyby była królową.

Zasepiła się jednak trochę, kiedy sprawdziła księgi tartaku i porównała je z księgami Jana Galleghera. Ashley zaledwie pokrywał wydatki, gdy tymczasem Gallegher wykazywał znaczne dochody. Wstrzymała się od zrobienia jakiegokolwiek uwagi, Ashley jednak odczytał jej myśli.

- Bardzo mi przykro, Scarlett. Chciałbym cię jednak poprosić, abyś pozwoliła mi przyjąć wyzwolonych Murzynów zamiast więźniów. Pewien jestem, że mógłbym wtedy lepiej pracować.

- Murzynów! Ależ ich płace zrujnowałyby nas zupełnie! Więźniowie są bardzo tani. Skoro Gallegher wykazuje takie dochody zatrudniając więźniów...

Oczy Ashleya patrzyły w przestrzeń na coś, czego nie widziała, i radość z nich znikła.

- Nie mogę wyzyskiwać więźniów tak jak Gallegher. Nie mogę ich zamęczać.

- Do stu piorunów! Gallegher zmusza ich tylko do pracy. Ashleyu, jesteś po prostu zbyt łagodny. Powinieneś starać się, aby pracowali więcej. Gallegher mówił mi, że ilekroć jakiś symulant chce się zwolnić z pracy, mówi ci, że jest chory, i ty mu dajesz dzień urlopu. Na Boga, Ashleyu! W ten sposób nie można nic zarobić! Parę batów wyleczy prawie każdą chorobę z wyjątkiem może złamania nogi...

- Scarlett! Scarlett! Przestań! Nie mogę tego słuchać! - zawołał Ashley patrząc na nią z gwałtownością, która zabiła ją z tropu. - Czy nie rozumiesz, że to tylko ludzie. Niektórzy chorzy, niedożywieni, nieszczęśliwi i... Och, moja droga, nie mogę patrzeć na to, jak on cię brutalizuje, ciebie, która zawsze byłaś tak dobra...

- Kto? Co?

- Muszę to powiedzieć, choć nie mam żadnego prawa. Ale powiem ci jednak. Twój Rett Butler. Zatrzyma wszystko, czego się tknie. Wziął ciebie, która byłaś tak łagodna, szlachetna i dobra, mimo że zawsze nieopanowana, i to z ciebie zrobił - zbrutalizował cię przez sam kontakt ze sobą.

- Och - westchnęła Scarlett, w której poczucie winy walczyło z radością, że Ashley tak głęboko się tym przejął, że jeszcze ciągle uważa ją za dobrą. Dzieli Bogu, iż sądził, że to z winy Retta zaczęła tak dusić grosze. Wprawdzie Rett nie miał z tym nic wspólnego i wina była wyłącznie jej, ale ostatecznie jeszcze jedna plama na reputacji nic Rettowi nie zaszkodzi.

- Gdyby to był jakikolwiek inny człowiek, nie przejmowałbym się tym tak bardzo, ale Rett Butler! Patrzę na to, co on z ciebie zrobił. Bez twojej wiedzy skierował twe myśli w to samo koryto bezwzględności, którym jego myśli płyną. O tak, wiem, że nie powinienem tego

mówić... Uratował mi życie i jestem mu za to wdzięczny, ale bardzo żałuję, że nie zrobił tego ktokolwiek inny, a nie on! Nie mam może prawa w ten sposób do ciebie mówić...

- Och, Ashleyu, masz prawo... właśnie ty, nikt inny!

- Mówię ci, że nie mogę patrzeć, jak z delikatnej stajesz się pod jego wpływem twarda, nie mogę znieść świadomości, że piękność twoja i wdzięk są w mocy człowieka, który... Kiedy pomyślę, że on ciebie dotyka...

„Pocałuje mnie teraz! - myślała Scarlett w upojeniu. - I nie będzie w tym mojej winy!”  
Podążyła ku niemu, on jednak cofnął się nagle, jak gdyby rozumiejąc, że powiedział zbyt wiele, że padły słowa, których nie miał zamiaru wypowiedzieć.

- Przepraszam cię najpokorniej, Scarlett. Dałem ci do zrozumienia, że nie uważam twego męża za dżentelmena, ale własne moje słowa stanowią dowód, że to ja nim nie jestem. Nikt nie ma prawa krytykować męża przed żoną. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, chyba to tylko... że... - Zaciął się i twarz jego zadrgała. Scarlett czekała z zapartym oddechem.

- Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

Przez całą drogę do domu Scarlett była jak w gorączce. Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie, chyba tylko że... chyba to, że ją kocha! I myśl, że Scarlett leży w ramionach Retta, wzbudzała w nim bunt, o który go nigdy nie byłaby posądzała. No, to można zrozumieć. Gdyby nie świadomość, że stosunki Ashleya z Melanią z konieczności stały się takie jak między bratem i siostrą, własne jej życie byłoby udręką... Uściski Retta brutalizowały ją, czyniły złą! A więc jeżeli Ashley tak uważa, doskonale potrafi się bez nich obejść! Myślała, jak to będzie romantycznie i cudownie, jeżeli oboje z Ashleyem będą sobie fizycznie wierni, chociaż poślubieni są innym. Myśl ta nie opuszczała jej - sprawiała jej wielką przyjemność. Poza tym rozwiązanie takie miało i stronę praktyczną - przestanie ją męczyć obawa przed nowym dzieckiem.

Kiedy dojechała do domu i odesłała powóz, radość, która ją wypełniała na słowa Ashleya, zaczęła blednąć, bo zrozumiała, że będzie musiała powiedzieć Rettowi, iż życzy sobie dwóch sypialni i tego wszystkiego, co za tym idzie. Nie będzie to rzecz łatwa. Ponadto zaś, jak powie Ashleyowi, że na jego prośbę przestała fizycznie obcować z Rettem? Jakież znaczenie miała ofiara, o której nikt nie miał wiedzieć? Jakim ciężarem była skromność i delikatność uczuć! Gdybyż to mogła rozmawiać z Ashleyem tak szczerze jak z Rettem! Ale mniejsza z tym. W jakiś sposób da Ashleyowi do zrozumienia, jaki jest prawdziwy stan rzeczy.

Poszła na górę i otworzywszy drzwi pokoju dzieciennego zastała Retta siedzącego przy kołysce Bonnie z Ellą na kolanach i przypatrującego się Wade'owi, który mu pokazywał

zawartość swoich kieszeni. Jak to dobrze, że Rett lubił dzieci i umiał się nimi zajmować! Niektórzy przybrani ojcowie źle traktowali dzieci z poprzednich małżeństw żony.

- Chcę z tobą pomówić - powiedziała i przeszła do sypialni. Lepiej załatwić to teraz, kiedy postanowienie jej, że nie będzie miała więcej dzieci, było mocne, i kiedy świadomość miłości Ashleya dodawała jej sił.

- Rett - powiedziała bez wstępu, kiedy zamknął za sobą drzwi sypialni - postanowiłam nie mieć więcej dzieci.

Jeżeli był zdumiony nagłością tego oświadczenia, nie dał tego po sobie poznać. Wziął krzesło i siadając przechylił się na nim do tyłu.

- Kochanie, przed urodzeniem Bonnie powiedziałem ci, że mało mnie obchodzi, czy będziesz miała jedno dziecko, czy dwa tuziny.

Jak przebiegle z jego strony, że tak to odwrócił, jak gdyby zdając się zapominać, że przychodzenie na świat dzieci łączy się z inną sprawą.

- Uważam, że troje to dość. Nie mam zamiaru mieć za rok dziecka.

- Troje wydaje się i mnie liczbą wystarczającą.

- Wiesz bardzo dobrze - zaczęła i zarumieniła się ze zmieszania. - Wiesz dobrze, co mam na myśli.

- Wiem. Czy zdajesz sobie jednak sprawę, że mam prawo rozwieść się z tobą, ponieważ nie chcesz wypełniać obowiązków małżeńskich?

- Jesteś tak podły, że mógłbyś to rzeczywiście zrobić! - krzyknęła, zła, że wszystko idzie nie tak, jak sobie umyśliła. - Gdybyś był trochę bardziej rycerski, byłbyś... byłbyś tak przyzwoity jak... Popatrz tylko na Ashleya Wilkesa. Melania nie może mieć dzieci, więc on...

- Ashley jest dżentelmenem w każdym calu - rzekł Rett i oczy zaświeciły mu dziwnie. - Proszę cię, skończ swoją przemowę.

Scarlett przełknęła ślinę, bo przemowa jej była właściwie skończona i nie miała nic więcej do powiedzenia. Wiedziała teraz, że płonna była jej nadzieja, aby ważną tę sprawę załatwić po przyjacielsku - było to niemożliwe z egoistą takim jak Rett.

- Byłaś dziś w południe w tartaku, prawda?

- Co to ma z tym wspólnego?

- Prawda, że lubisz psy, Scarlett? Czy lubisz także takie, które i same nie gryzą kości, i innym nie dają?

Sens aluzji uszedł jej uwagi, tak była zła i rozczarowana. Rett wstał lekko z krzesła i podchodząc ku niej wziął ją pod brodę i podniósł jej twarz ku swojej.

- Jakie z ciebie dziecko, Scarlett! Żyłaś z trzema mężczyznami i jeszcze nic nie wiesz o

naturze męskiej. Wydaje ci się, że mężczyźni podobni są do starszych pań w przejściowym wieku.

Uszczypnął ją od niechcenia w podbródek, po czym cofnął rękę. Podniósł jedną brew patrząc na nią przeciągle i chłodno.

- Scarlett, zrozum dobrze, proszę, to, co ci powiem. Gdyby twoje łóżko kryło dla mnie jeszcze jakiegokolwiek ponęty, nie powstrzymałyby mnie od niego ani zamki, ani prośby. I nie wstydzilibym się niczego, co robię, ponieważ zawarłem z tobą umowę - umowę, której dotrzymałem, a którą ty teraz łamiesz. Niechaj łóżko twoje pozostanie czyste, moja miła.

- Czy chcesz powiedzieć - zawołała Scarlett z oburzeniem - że nie obchodzi cię wcale...

- Znudziłem ci się, prawda? A więc wiedz, że mężczyźni nudzą się o wiele łatwiej niż kobiety. Zachowaj swoją cnotę, Scarlett. To nie sprawi mi żadnej przykrości. To nie ma znaczenia - wzruszył ramionami i zaśmiał się złośliwie. - Na szczęście świat pełen jest łóżek, z których większość pełna jest kobiet...

- Czy to ma znaczyć, że byłbyś zdolny do...

- Ach, moje niewiniątko! Ależ oczywiście. To cud, że dotąd nie pobłądziłem. Nigdy nie uważałem wierności za cnotę.

- Będę się zamykała co nocy na klucz!

- Ale po co? Gdybym cię pragnął, żaden zamek nie mógłby mnie powstrzymać.

Odwrócił się, jak gdyby temat został wyczerpany, i wyszedł z pokoju. Scarlett słyszała, że wrócił do dzieci, które powitały go z radością. Usiadła. Przeprowadziła to, czego chciała. Chcieli tego oboje z Ashleyem. Mimo to wcale nie była zadowolona. Próżność jej była zraniona, złościło ją też, że Rett przyjął to wszystko tak lekko, że nie pragnął jej, że przyrównał jej osobę do innych kobiet w innych łóżkach.

Miała zamiar obmyślić, jak w delikatny sposób powiedzieć Ashleyowi, że ona i Rett przestali właściwie być mężem i żoną. Wiedziała jednak, że nie zdobędzie się na to. Teraz wszystko wydało jej się bardzo skomplikowane i żałowała trochę, że w ogóle poruszyła tę sprawę. Brak jej będzie długich zabawnych rozmów z Rettem - w łóżku, gdy w ciemności żarzył się ogieniek jego cygara. Będzie jej brak objęcia jego ramion, gdy budziła się w przerażeniu ze snu, w którym wydawało jej się, że biegnie przez zimną mgłę.

Poczuła się nagle bardzo nieszczęśliwa i opierając głowę o poręcz fotela zaczęła płakać.



## ROZDZIAŁ LII

Pewnego deszczowego popołudnia, wkrótce po pierwszych urodzinach Bonnie, Wade krążył po salonie, od czasu do czasu podchodząc do okna i płaszcząc nos na ociekającej wodą szybie. Był szczupłym, wątłym chłopcem, małym jak na swoje osiem lat, spokojnym i tak nieśmiałym, że nigdy pierwszy nikogo nie zagadnął. Nudził się wyraźnie i nie miał się z kim bawić, bo Ella zajęta była w kącie lalkami. Scarlett siedziała przy biurku i mruczała coś do siebie, dodając długą kolumnę cyfr, a Rett leżał na podłodze i poruszał zegarkiem na długim łańcuszku, tak aby Bonnie nie mogła go schwytać.

Wade brał do ręki kolejno rozmaite książki. Rzucił je na stół z hałasem i głęboko wzdychał, aż wreszcie Scarlett zwróciła się do niego z irytacją.

- Na miłość boską, Wade! Idź na dwór i baw się!

- Nie mogę. Deszcz pada.

- Naprawdę? Nie zauważyłam. No więc, rób coś innego. Denerwujesz mnie, kiedy się tak kręcisz. Powiedz Porkowi, aby zaprzągnął konie i zawiózł cię do Beau.

- Beau nie ma w domu - westchnął Wade. - Jest na urodzinach u Raula Picarda.

Raul był małym synkiem Maybelle i Rene Picardów - obrzydliwym dzieciakiem, zdaniem Scarlett, bardziej podobnym do małpy niż do dziecka.

- No więc, idź gdzie indziej, do kogo chcesz. Biegnij po Porka.

- Nikogo nie ma dziś w domu - odrzekł Wade. - Wszyscy są na urodzinach.

Nie wypowiedziane słowa: „Wszyscy - z wyjątkiem mnie” wisiały w powietrzu. Scarlett jednak, zajęta księgami, nie zwróciła na nie uwagi.

Rett wyprostował się do pozycji siedzącej i zapytał: - A ty dlaczego nie jesteś na zabawie, synku?

Wade podszedł do niego powłócząc nogami i wyglądając bardzo załośnie.

- Nie zaproszono mnie, wuju.

Rett oddał zegarek na pastwę Bonnie i lekko wstał z podłogi.

- Zostaw te przekłete rachunki, Scarlett. Dlaczego Wade nie był zaproszony na te urodziny?

- Na miłość boską, Rett, nie zwracaj mi teraz głowy! Ashley strasznie te rachunki zagmatwał... Och, na te urodziny? To nic niezwykłego, że Wade nie został zaproszony, zresztą nie pozwoliłabym mu pójść, gdyby nawet chciał. Nie zapominaj, że Raul jest wnukiem pani Merriweather, a ona raczej zaprosiłaby do swego świętego salonu

wyzwolonych Murzynów, niż kogoś z nas.

Rett przyglądając się badawczo twarzyczce Wade'a spostrzegł, że chłopiec się wzdrygnął.

- Chodź tutaj, synku - powiedział przyciągając go do siebie. - Czy chciałeś być na tej zabawie?

- Nie, wuju - rzekł Wade odważnie, ale spuścił oczy.

- Hm. Powiedz mi, Wade, czy chodzisz do Józia Whitinga, Franka Bonnella, czy ... no, do któregośkolwiek z twoich kolegów?

- Nie, wuju. Niezbyt często jestem zapraszany.

- Wade, mówisz nieprawdę! - zawołała Scarlett odwracając się od biurka. - Byłeś na trzech zabawach w zeszłym tygodniu, u Bartów, Gelertów i Hudonów.

- Tak doborowa kolekcja mułów w końskiej uprzęży, jaką tylko mogłaś zgromadzić - rzekł Rett przeciągając. - Czy dobrze się tam bawiłeś? Mów.

- Nie, wuju.

- Dlaczego nie?

- Ja... ja nie wiem, wuju. Mammy... Mammy mówi, że to biała hołota.

- Nawymyślam Mammy w tej chwili! - zawołała Scarlett zrywając się z krzesła. - A ty, Wade, nie śmieję odzywać się w ten sposób o znajomych mamusi...

- Chłopiec ma rację, tak samo jak Mammy - rzekł Rett. - Ale, oczywiście, ty nigdy nie potrafisz ocenić prawdy... Nie martw się, synku. Nie będziesz chodził na te zabawy, jeżeli nie masz chęci. Masz tutaj - wyciągnął z kieszeni banknot - powiedz Porkowi, aby zaprzęgał i zawiózł cię do miasta. Kup sobie cukierków - masę, tyle, aby cię po nich rozkosznie rozboleł brzusek.

Wade, rozpromieniony, włożył pieniądze do kieszeni i spojrzał niespokojnie na matkę. Ona jednak ze zmarszczonym czołem obserwowała Retta. Podniósł Bonnie z podłogi i przyciskał do swojej twarzy jej małą buzię. Scarlett nie mogła odczytać jego myśli, ale w oczach jego odmalował się jak gdyby strach - strach i wyrzut.

Wade, zachęcony szczodrością ojczyma, nieśmiało podszedł do niego.

- Wuju Recie, czy mogę o coś zapytać?

- Rozumie się. - Rett mocno przyciskał do siebie główkę Bonnie. Spojrzenie jego było zatroskane i dalekie. - O co chodzi, Wade?

- Wuju Recie, czy wuj... czy wuj był na wojnie?

Oczy Retta ożywiły się, popatrzył na Wade'a badawczo, ale głos jego zabrzmiał obojętnie.

- Dlaczego pytasz o to, synku?

- No, bo Józio Whiting powiedział, że wuj nie był, i to samo mówi Franek Bonnell.

- Ach - rzekł Rett - a ty, co im na to powiedziałaś?

Wade posmutniał.

- Ja powiedziałem, że nie wiem. - I z nagłym ożywieniem: - Ale w każdym razie zbiłem ich za to. Ale czy wuj był na wojnie, wuju?

- Tak - rzekł Rett z nagłą gwałtownością. - Byłem na wojnie. Byłem w wojsku przez osiem miesięcy. Walczyłem wszędzie, począwszy od Lovejoy aż do Franklina w Tennessee. I byłem w pułku Johnstona, kiedy generał skapitulował.

Wade promieniał z dumy, ale Scarlett zaczęła się śmiać.

- Wydawało mi się dotąd, że wstydzisz się swoich czynów wojennych - powiedziała. - Czy nie mówiłaś mi wiele razy, abym je zatajała?

- Cicho - powiedział krótko. - Czy to ci wystarcza, Wade?

- O, tak, wuju! Ja zresztą byłem pewien, że wuj był na wojnie. Wiedziałem, że wuj nie stchórzył, tak jak oni mówią. Ale, ale dlaczego wuj nie był z ojcami innych chłopczyków?

- Ponieważ ojcowie innych chłopczyków byli takimi niedołęgami, że wcielono ich do piechoty. Ja skończyłem szkołę w West Point, więc byłem w artylerii. W regularnej artylerii, nie w gwardii stanowej. Trzeba bardzo dużo umieć, aby być w artylerii, Wade.

- Rozumie się - rzekł Wade, radośnie uśmiechnięty. - A czy wuj był ranny, wuju?

Rett zawahał się.

- Opowiedz mu o swojej dyzenterii - zadrwiła Scarlett.

Rett ostrożnie postawił dziecko na podłodze i wyciągnął koszulę zza paska spodni.

- Chodź tutaj, Wade, to ci pokażę, gdzie miałem ranę.

Wade zbliżył się zaciekawiony i popatrzył na miejsce, które mu Rett wskazywał. Długa wypukła blizna szła przez jego brązową pierś, aż za muskularny żołądek. Była to pamiątka rozprawy nożowej w kalifornijskich kopalniach złota, ale o tym Wade nie wiedział. Oddychał teraz głęboko z widoczną ulgą.

- Sądzę, że wuj był równie odważny jak mój ojciec, wuju.

- Prawie, ale niezupełnie - rzekł Rett wsuwając koszulę w spodnie. - No, a teraz biegnij wydać swego dolara i nabij porządnie każdego chłopca, który ośmieli się powiedzieć, że nie byłem w wojsku.

Wade wybiegł tańcząc z radości i wołając Porka, a Rett znowu podniósł Bonnie.

- No, i po co te wszystkie kłamstwa, mój odważny żołnierzyku? - zapytała Scarlett.

- Chłopiec powinien być dumny ze swego ojca czy ojcyma. Nie mogę dopuścić do



tego, aby wstydził się mnie przed innymi dziećmi. Dzieci to okrutne stworzenia.

- Och, zawracanie głowy!

- Nigdy nie myślałem o tym, jakie to ma dla Wade'a znaczenie - rzekł Rett powoli. - Nigdy nie myślałem, że może tak cierpieć. I nie chcę, aby to samo powtórzyło się z Bonnie.

- Co takiego?

- Czy wydaje ci się, że dopuszczę, aby moja Bonnie wstydziła się swego ojca? Aby nie była zapraszana na zabawy, kiedy będzie miała dziewięć czy dziesięć lat? Czy wydaje ci się, że dopuszczę, aby jak Wade znosiła upokorzenia za rzeczy, które nie są jej winą, ale twoją i moją?

- Och, ważne mi zabawy dziecinne!

- Zabawy dziecinne przeistaczają się w pierwsze bale dla pańienek na wydaniu. Czy sądzisz, że dopuszczę, aby moja córka wyrastała poza nawiasem wszystkiego, co przyzwoite w Atlancie? Nie wyślę jej do szkoły na Północ ani w podróż, dlatego że nie zechcą jej przyjmować tutaj ani w Charlestonie, Savannah czy Nowym Orleanie. I nie chcę, aby zmuszona była poślubić Jankesa czy cudzoziemca, dlatego, że nie zechce jej żadna przyzwoita rodzina z Południa... bo matka jej była idiotką a ojciec łajdakiem.

Wade, który wrócił od drzwi, był zainteresowanym, ale zdumionym słuchaczem tej rozmowy.

- Bonnie może wyjść za męża za Beau, wuju.

Gniew znikł z twarzy Retta, gdy odwrócił się do chłopczyka. Zdawał się słowa jego rozważać z wielką powagą, która cechowała go zwykle, gdy rozmawiał z dziećmi.

- To prawda, Wade. Bonnie może wyjść za Beau Wilkesa, ale z kim ty się ożenisz?

- Och, ja się wcale nie ożenię - rzekł Wade szczerze, lubując się w tej poważnej rozmowie z jedynym człowiekiem, który, poza ciotką Melą, nigdy go nie łajał, a zawsze ośmielał. - Ja pójdę do Harvardu i będę prawnikiem, jak mój ojciec, a potem będę dzielnym żołnierzem, także jak on.

- Szkoda, że Mela nie umie milczeć! - zawołała Scarlett. - Wade, nie pójdiesz do Harvardu. To jankeska uczelnia, a ja nie chcę, abyś chodził na jankeski uniwersytet. Będziesz chodził na Uniwersytet Georgijski, a jak skończysz, będziesz prowadził sklep. A co się tyczy tego, że twój ojciec był dzielnym żołnierzem...

- Cicho - rzekł Rett, którego uwagi nie uszedł blask w oczach Wade'a, gdy mówił o nie znanym mu ojcu. - Wyrośnij tylko i bądź dzielnym człowiekiem jak twój ojciec, Wade. Bądź taki jak on, bo on był bohaterem. Nie pozwalaj też, aby ktoś podawał to w wątpliwość. Ożenił się przecież z twoją matką, prawda? To już jest dostatecznym dowodem bohaterstwa. Ja zaś

postaram się o to, abys pojechał do Harvardu i został prawnikiem. No, a teraz leć i powiedz Porkowi, aby cię zabrał do miasta.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie pozostawił wychowanie moich dzieci! - zawołała Scarlett, kiedy Wade posłusznie wyszedł z pokoju.

- Bardzo z ciebie kiepska wychowawczyni. Popsułaś wszelkie szanse życiowe Elli i Wade'a, nie pozwolę ci jednak tego samego zrobić z Bonnie. Bonnie będzie małą księżniczką i wszyscy na świecie będą się ubiegać o jej względy. Nie będzie takiego domu, do którego by jej nie zapraszano. Dobry Boże, czy sądzisz, że gdy dorośnie, pozwolę jej bratać się z hołotą, która zapełnia ten dom?

- Ludzie ci są dostatecznie dobrym towarzystwem dla ciebie...

- I o wiele za dobrym dla ciebie, kochanie. Ale nie dla Bonnie. Czy przypuszczasz, że pozwoliłbym jej wyjść za któregoś z tej bandy przybłędów, z którymi ty czas spędzasz? Irlandczycy na dorobku, Jankesi, biała nędza, parweniusze, Carpetbaggerzy... Moja Bonnie, w której płynie krew Butlerów i Robillardów...

- O'Harowie...

- O'Harowie byli może niegdyś królami Irlandii, ale ojciec twój był tylko sprytnym irlandzkim dorobkiewiczem. A ty jesteś nie lepsza... Mojej winy także jest w tym dużo. Przechodziłem przez życie ślepo, nie dbając nigdy o to, co robię, ponieważ nic mnie nigdy nie obchodziło. Bonnie mnie jednak obchodzi. Boże, jakimże ja byłem głupcem! Bonnie nie będzie przyjmowana w towarzystwie charlestońskim, bez względu na to, jaką rolę odgrywa w nim moja matka czy twoje ciotki Eulalia i Paulina - i jasne, że nie będzie przyjmowana także tutaj, chyba że zaradzimy temu natychmiast.

- Och, Rett, tak się tym przejąłeś, że to aż śmieszne. Z naszymi pieniędzmi...

- Licho niech porwie nasze pieniądze! Za pieniądze nie kupimy tego, co sobie dla niej wymarzyłem. Wolę, aby Bonnie była zapraszana na kawałek suchego chleba w ubogim domu Picardów czy w rozwalonej stodole pani Elsing, niż aby była królową balu republikańskiego. Scarlett, byłaś idiotką. Powinnaś była zapewnić swoim dzieciom miejsce w towarzystwie już wiele lat temu, a nie zrobiłaś tego. Nie starałaś się nawet utrzymać tej pozycji, jaką sama miałaś. I trudno mieć nadzieję, abys reputację swoją zdołała jeszcze naprawić. Zanadto lubisz pieniądze i z dokuczania ludziom czerpiesz za wiele przyjemności.

- Uważam całą tę sprawę za burzę w szklance wody - rzekła Scarlett chłodno, szeleszcząc papierami, aby dać do zrozumienia, że uważa dyskusję za skończoną.

- Mamy jedynie panią Wilkes po naszej stronie, a ty robisz, co możesz, aby i ją ranić i obrażać. Och, zaoszczędź mi uwag o jej ubóstwie i wyświeconych sukniach. Ona jest duszą i

ośrodkiem wszystkiego, co cenne w Atlantycie. Bogu niechaj będą za nią dzięki. Ona pomoże mi wszystkiemu zaradzić.

- A co masz zamiar zrobić?

- Zrobić? Będę nadskakiwał każdemu smokowi żeńskiego rodzaju ze starej gwardii tego miasta, zwłaszcza zaś pani Merriweather, pani Elsing, pani Whiting i pani Meade. Gdybym miał się nawet czołgać na czworakach przed każdą grubą babą, która mnie nie cierpi, zrobię to. Będę pokornie znosił ich chłód i udawał, że żałuję swoich złych postępów. Będę wspierał ich głupie cele dobroczynne i będę chodził do ich nudnych kościołów. Przyznam się do swoich zasług dla Konfederacji i będę się nimi głośno chwalił, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, przyłączę się do ich przekłętą Klanu. Chociaż mam nadzieję, że miłosierny Bóg nie skarże mnie aż tak ciężko. Nie będę się też wahał wypominać tym głupcom, których uratowałem, że zaciągnęli w stosunku do mnie dług wdzięczności. A ty, o pani, postaraj się łaskawie nie psuć moich starań wytaczaniem spraw o nie zapłacone hipoteki ludziom, którym będę nadskakiwał, ani sprzedawaniem im zgniłego drzewa lub dokuczaniem w inny sposób. Gubernator Bullock nigdy już nie przekroczy progu tego domu! Czy słyszysz? I nikt z tej bandy eleganckich złodziei, z którymi przestawałaś. Jeżeli ich mimo mojego zakazu zaprosisz, znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji, bo na twoim przyjęciu zabraknie gospodarza. Jeżeli zjawią się w tym domu, ja pójdę do baru Belli Watling i będę mówił każdemu, kto zechce mnie słuchać, że nie mogę być w jednym pokoju z tymi ludźmi.

Scarlett, która słysząc te słowa gotowała się z pasji, zaśmiała się krótko.

- A więc szuler i spekulant stanie się teraz przyzwoitym człowiekiem! Uważam zatem, że pierwszym twoim zadaniem powinna się stać sprzedaż domu Belli Watling.

Było to uderzenie na oślep. Nie miała wcale pewności, czy dom Belli istotnie należy do Retta. On jednak roześmiał się nagle, jak gdyby odczytał jej myśli.

- Dziękuję ci za ten pomysł.

Rett nie mógł sobie wybrać trudniejszego okresu dla swego nawrócenia. Nigdy przedtem czy potem nazwa republikanin lub Scallawag nie wzbudzała takiego wstrętu, gdyż wewnętrzny rozkład rządów Carpetbaggerów doszedł teraz do zenitu. A od czasu kapitulacji nazwisko Retta było nierozdzielnie związane z Jankesami, republikanami i Carpetbaggerami.

Ludność Atlanty w r. 1866 przypuszczała, że nie ma nic gorszego od surowej władzy wojskowej, jaką miała wtedy - teraz jednak, pod rządami Bullocka, przeżywała rzeczy stokroć straszniejsze. Dzięki głosom murzyńskim republikanie i ich sprzymierzeńcy obwarowani byli bardzo mocno i panoszyli się nad bezsilną, ale ciągle protestującą mniejszością.

Między Murzynami rozsiewano bajki, że w Biblii wspomniane są tylko dwa stronnictwa

polityczne, celnicy, zwani Publikanami, i Grzesznicy. Żaden Murzyn nie chciał przyłączyć się do partii składającej się z samych Grzeszników, przyłączali się więc pośpiesznie do republikańców. Nowi ich władcy kazali im raz po raz głosować, wybierać Scallawagów i ubogich białych na wysokie stanowiska, wybierać nawet Murzynów. Murzyni ci zasiadali w biurach urzędów i większą część czasu spędzali na jedzeniu i wkładaniu lub zdejmowaniu obuwia, do którego nie byli przyzwyczajeni. Tylko nieliczni umieli czytać i pisać. Przybywali wprost z pól bawełny czy plantacji trzciny cukrowej, ale mieli władze ustanawiania podatków i opłat oraz wielkich funduszy dyspozycyjnych dla siebie i swoich republikańskich przyjaciół. Czynili to z ochotą. Stan uginał się pod brzemieniem podatków, które płacono z wściekłością, bo podatnicy dobrze wiedzieli, że znaczna część pieniędzy, przeznaczonych rzekomo na cele publiczne, szła do prywatnych kieszeni.

Siedziba rządu stanowego była stale otoczona rojem aferzystów, spekulantów, łowców dostaw i tym podobnych, którzy chcieli zarabiać korzystając z orgii rozrzutności i z których większość bogaciła się bezwstydnie i szybko. Nie mieli żadnych trudności Paszowski otrzymywaniu pieniędzy na budowę linii kolejowych, które nigdy nie powstawały, na kupno lokomotyw i wagonów, których nigdy nie dostarczano, na stawianie budynków publicznych, które istniały tylko w głowach projektodawców.

Bony skarbowe wystawiano na miliony dolarów. Większość ich była nielegalna i fałszywa, ale nie przestawano ich mimo to wypuszczać. Zarządca finansów stanu, republikańczyk, ale człowiek uczciwy, protestował przeciw nielegalnym emisjom i nie chciał ich podpisywać, ale tak on, jak i inni, którzy starali się położyć kres nadużyciom, nie mogli się przeciwstawić fali zalewającej wszystko.

Koleje należące do stanu przynosiły niegdyś wielkie dochody, ale teraz pracowały z deficytem i długi ich sięgały miliona. Nie były to już właściwie koleje. Było to olbrzymie koryto bez dna, w którym nurzały się i babrały świnie. Wielu urzędników kolejowych dostawało nominacje z racji przekonań politycznych, bez względu na fachowość i wykształcenie. Zatrudnionych było trzy razy więcej niż potrzeba, republikańskie mieli wolne przejazdy, a całe wagony Murzynów jeździły za darmo na wesołe wyprawy po stanie - aby ciągle na nowo głosować w tych samych wyborach.

Rabunkowa gospodarka w kolejnictwie szczególnie oburzała podatników, ponieważ z dochodów kolei miały powstawać bezpłatne szkoły. Nie było jednak dochodów, były tylko długi - a zatem nie było szkół. Nieliczna tylko garstka osób miała pieniądze na kształcenie dzieci, cała więc generacja młodzieży wyrastała w nieuctwie, które cofnęło ogólny poziom kulturalny o wiele lat.

Wściekłość jednak z powodu rozrzutności, złej gospodarki i złodziejstw nie byłaby tak wielka, gdyby na dodatek gubernator nie przedstawiał Georgijczyków w bardzo złym świetle na Północy. Kiedy Georgia grzmiała przeciw przekupstwu, gubernator pośpiesznie pojechał na Północ, stanął przed Kongresem i opowiedział o gwałtach popełnianych przez białych na Murzynach,

o przygotowaniach do nowego buntu w Georgii i o konieczności wprowadzenia w stanie surowszych rządów wojskowych. Żaden Georgijczyk nie chciał zamieszek z Murzynami, starali się też tych zamieszek unikać. Nikt nie chciał nowej wojny, nikt nie chciał i nie potrzebował rządu bagnetów. Cała Georgia pragnęła spokoju, aby stan mógł wreszcie wrócić do równowagi. Wobec jednak działania tak zwanego „młyna oszczerstw” gubernatora, Północ widziała w Georgii buntowniczy stan, który potrzebował silnej ręki - silna więc ręka dawała się bardzo we znaki.

Były to czasy pomyślności dla bandy, która trzymała Georgię za gardło. Zapanowała orgia grabieży, najgorszy zaś był cynizm, z jakim dokonywano nadużyć w wysokich urzędach, na który nie można było spokojnie patrzeć. Protesty i próby oporu nie doprowadzały do niczego, bo rząd stanowy był osłaniany i podtrzymywany przez armię Stanów Zjednoczonych.

Atlanta przeklinała Bullocka, jego Scallawagów i republikanów oraz tych wszystkich, którzy byli z nimi związani. Do tych zaś należał Rett Butler. Ogólnie twierdzono, że brał udział we wszystkich projektach. Teraz jednak zaczął się przeciwstawiać nurtowi, który jeszcze przed niedawnym czasem i jego unosił, i z wysiłkiem płynął przeciw prądowi.

Kampanię swoją rozpoczął powoli i mądrze, nie wzbudzając podejrzeń Atlanty nagłą zmianą skóry. Zaczął unikać swoich wątpliwych towarzyszy i nie pokazywał się już w towarzystwie oficerów jankeskich, Scallawagów i republikanów. Chodził na zebrania demokratyczne i ostentacyjnie głosował za demokratami. Zarzucił wysoką grę w karty i pił stosunkowo mniej. Jeżeli zachodził jeszcze do lokalu Belli Watling, robił to nocą i ukradkiem, jak bardziej szanowani obywatele, i nigdy nie zostawiał jak dawniej konia uwiązanego po południu przed jej drzwiami, co dotąd bywało niewątpliwym dowodem jego tam obecności.

Wierni kościoła episkopalnego omal nie spadali z ławek, kiedy Rett, spóźniony, wchodził na palcach na nabożeństwo, prowadząc Wade'a za rączkę. Byli w równym stopniu zdumieni obecnością Wade'a jak Retta, bo chłopczyk uważany był za katolika. W każdym razie Scarlett była katoliczką czy też urodziła się w tej wierze. Od lat jednak nie przestąpiła progu kościoła, bo pobożność wywietrzała z niej równie szybko jak inne nauki Ellen.

Wszyscy uważali, że Scarlett zaniedbuje wychowanie religijne swego syna, więc podobało im się, że Rett stara się to naprawić, chociaż zabierał chłopca do kościoła episkopalnego, a nie do katolickiego.

Rett potrafił być poważny i czarujący, kiedy powściągał język i nie błyskał złośliwie oczyma. Przez całe lata nie starał się o to, teraz jednak przywdział powagę i wdzięk, tak jak i kamizelki ciemniejszych kolorów. Nietrudno mu było znaleźć platformę porozumienia z mężczyznami, którzy zawdzięczali mu życie. Wdzięczność swoją okazywaliby mu już dawno, lecz Rett zawsze się tak zachowywał, jak gdyby go ich wdzięczność mało obchodziła. Teraz Hugon Elsing, Rene, młodzi Simmonowie, Andy Bonnell i inni przekonali się, że jest bardzo miły, że nie lubi wysuwać się naprzód i że jest wyraźnie zakłopotany, gdy mówią o długu wdzięczności wobec niego.

- To była drobnostka - zapewniał. - Na moim miejscu każdy z was zrobiłby to samo.

Złożył znaczny datek na odnowienie kościoła episkopalnego i dał dużą, ale nie przesadnie dużą ofiarę na „Towarzystwo ochrony grobów poległych”. Odwiedził w tej sprawie osobiście panią Elsing i ze zmieszaniem prosił, aby zatrzymała tę jego ofiarę w tajemnicy, wiedząc doskonale, że to ją skłoni do tym szybszego rozgłoszenia nowiny. Pani Elsing nie miała ochoty brać „pieniędzy spekulanta”, ale Towarzystwu bardzo były potrzebne fundusze.

- Nie rozumiem, dlaczego właśnie pan składa taką ofiarę? - rzekła złośliwie.

Kiedy Rett odpowiedział jej z odpowiednio skromną miną, że skłoniła go do tego pamięć o dawnych towarzyszach broni, arystokratyczna szczeka pani Elsing opadła ze zdumienia. Dolly Merriweather powiedziała jej, że Scarlett twierdzi, jakoby kapitan Butler służył w wojsku, ale oczywiście wcale w to nie uwierzyła. Nikt w to nie wierzył.

- Pan był w wojsku? W której pan był kompanii, w którym pułku?

Rett wymienił je szybko.

- Ach, był pan w artylerii! Moi znajomi służyli albo w kawalerii, albo w piechocie. Tak, to wszystko tłumaczy... - Przerwała zakłopotana, pewna, że oczy jego błysną złośliwością. On jednak patrzył w podłogę i bawił się dewizką.

- Bardzo chciałem zaciągnąć się do piechoty - powiedział nie zwracając uwagi na jej aluzję - ale kiedy wydało się, że byłem kadetem West Point, chociaż przez młodzieńczą przekorę nie wziąłem dyplomu, wcielono mnie do artylerii, regularnej artylerii, nie zaś milicji. W ostatniej kampanii potrzebni byli ludzie z fachowym wykształceniem. Wie pani zapewne, jak wielkie były straty, ilu artylerzystów padło. Byłem w artylerii dość samotny. Nie spotkałem nikogo ze znajomych. Nie zdaje mi się, abym podczas służby spotkał

kogokolwiek z Atlanty.

- No tak - powiedziała pani Elsing, trochę zawstydzona. Jeżeli Rett służył w wojsku, to znaczy, że się omyliła. Robiła często uwagi na temat jego tchórzostwa i wspomnienie o nich przyprawiło ją teraz o wyrzuty sumienia. - No tak! A dlaczego nigdy nie mówił pan nikomu o swojej służbie wojskowej? Tak się pan zachowuje, jak gdyby się pan tego wstydził. Rett popatrzył jej prosto w oczy.

- Pani Elsing - powiedział poważnie - niech mi pani wierzy, że jestem bardziej dumny ze swej służby dla Konfederacji niż ze wszystkiego, czego dokonałem dotąd czy jeszcze dokonam. Czuję... czuję...

- No więc, dlaczego pan to ukrywa?

- Wstydziłem się mówić o tym w świetle moich... niektórych wcześniejszych postępów.

O ofercie i o szczegółach rozmowy pani Elsing doniosła natychmiast pani Merriweather.

- I wiesz, Dolly, daję ci słowo, że kiedy mówił o tym, jak się wstydził, miał łzy w oczach! Tak, łzy! Sama omal się nie rozplakałam!

- Zawracanie głowy! - zawołała pani Merriweather z niedowierzaniem. - Nie wierzę, że miał łzy w oczach, tak samo jak nie wierzę, że był w wojsku. A o to mogę się łatwo dowiedzieć. Jeżeli naprawdę służył w artylerii, mogę się wreszcie dowiedzieć prawdy, bo pułkownik Carleton, który dowodził jego pułkiem, ożenił się z córką jednej z sióstr mego dziadka. Zaraz napiszę do niego.

Napisała do pułkownika Carletona i ku swemu zdumieniu otrzymała odpowiedź, w której wychwalano Retta pod niebiosa. Urodzony artylerzysta, dzielny żołnierz i prawdziwy dżentelmen, człowiek skromny, który nie chciał przyjąć awansu, choć mu go ofiarowywano.

- To dopiero! - powiedziała pani Merriweather pokazując list pani Elsing. - Nic już nie rozumiem! Możemy nie doceniały tego łajdaka mówiąc, że nie był żołnierzem. Może powinniśmy były wierzyć Scarlett i Melanii, kiedy mówiły, że zaciągnął się w dzień upadku miasta. Ale, mimo wszystko, jest Scallawagiem i łotrem i bardzo go nie lubię!

- A jednak - rzekła pani Elsing niepewnie - a jednak nie wydaje mi się, aby był taki zły. Człowiek, który walczył za Konfederację, nie może być zły. To tylko Scarlett jest zła. Czy wiesz, Dolly, ja naprawdę sądzę, że on wstydzi się za Scarlett, ale jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby się do tego przyznać.

- Wstydzi! Jeszcze czego! Dobrali się oboje jak w korcu maku. Jak wpadłaś na taką głupią myśl?

- To nie jest głupia myśl - rzekła pani Elsing z oburzeniem. - Wczoraj, w ulewny deszcz, wziął dzieci, nawet i to maleństwo, do powozu i jeździł z nimi tam i z powrotem po Brzoskwiniowej. Podwiózł mnie do domu, a kiedy powiedziałam: „Panie kapitanie, przecież to szaleństwo trzymać dzieci na dworze w taką pogodę! Dlaczego ich pan nie zawiezie do domu?” - nic nie odpowiedział, tylko bardzo się zmieszał. Ale Mammy odezwała się za niego i powiedziała: „Dom pełen jest białej hołoty, więc dla dzieci jest zdrowiej na dworze niż w domu!”

- A co on na to?

- Cóż mógł powiedzieć? Popatrzył groźnie na Mammy i przemilczał tę uwagę. Wiesz przecież, że Scarlett miała wczoraj gości na kartach. Były u niej te wszystkie ordynarne kobiety. Przypuszczam, że nie chciał, aby całowały jego dziecko.

- Hm! - chrząknęła pani Merriweather, już ustępliwsza, ale jeszcze nie przekonana. Ale po tygodniu i ona skapitulowała.

Rett miał teraz swoje biurko w banku. Co przy nim robił - tego zdumieni urzędnicy nie wiedzieli, ale był właścicielem tak wielkiego pakietu akcji, że nie mogli przeciw jego obecności zaprotestować. Po jakimś czasie zapomnieli o swej początkowej niechęci, bo Rett zachowywał się spokojnie i grzecznie i nawet znał się trochę na bankowości i lokacie kapitałów. W każdym razie siedział przy biurku i udawał, że pilnie pracuje, bo chciał się wydawać we wszystkim podobny do szanowanych obywateli miasta, którzy pracowali bardzo ciężko.

Pani Merriweather, chcąc rozbudować swoją dobrze prosperującą ciastkarnię, starała się w banku o pożyczkę dwóch tysięcy dolarów na hipotekę swego domu. Odmówiono jej już dwukrotnie, ponieważ na domu były dwie inne hipoteki. Kiedy tęga stara pani wychodziła w oburzeniu z banku, Rett zatrzymał ją, wypytał o przyczynę zdenerwowania i z wyraźnym przejściem powiedział: - Ale to chyba jakieś nieporozumienie, pani Merriweather. Jakieś fatalne nieporozumienie. Właśnie pani nie powinna się kłopotać o hipoteki i tym podobne rzeczy. Ależ ja sam chętnie pożyczylbym pani pieniądze na słowo! Osoba, która tak potrafiła rozwinąć interes jak pani, stanowi najlepszą gwarancję w świecie. Bank chętnie pożyczka pieniądze ludziom pani pokroju. Proszę, niech pani spocznie tutaj, na moim krześle, a ja się już wszystkim zajmę.

Kiedy wrócił, uśmiechał się łagodnie, mówiąc, że rzeczywiście była to pomyłka, jak zresztą przypuszczał. Dwa tysiące dolarów były już w kasie do jej dyspozycji. A co się tyczy domu - czy nie zechciałaby podpisać się, o, tu?

Pani Merriweather, oburzona i dotknięta, wściekła, że musi przyjąć tę grzeczność z rąk



człowieka, którego nie lubiła i nie szanowała, ledwie Rettowi podziękowała.

On jednak wcale tego nie zauważył. Kiedy odprowadzał ją do drzwi, powiedział: - Pani Merriweather, zawsze miałem wiele szacunku dla pani doświadczenia... czy nie byłaby pani łaskawa udzielić mi pewnej informacji?

Pióra na jej czepku ledwie się poruszyły, gdy skinęła głową.

- Co pani robiła, kiedy Maybelle była mała i ssała palec?

- Co takiego?

- Moja Bonnie ssie duży palec. Nie mogę jej od tego odzwyczaić.

- Powinien ją pan od tego koniecznie oduczyć - rzekła pani Merriweather stanowczo. -

To popsuje jej linię ust.

- Wiem! Wiem! A takie ma śliczne usteczka! Nie wiem, co mam zrobić.

- Przecież Scarlett powinna to wiedzieć - rzekła pani Merriweather krótko. -

Wychowała już dwoje dzieci.

Rett popatrzył na czubki swoich butów i westchnął.

- Próbowałem smarować mydłem końce jej palców - powiedział pomijając milczeniem uwagę o Scarlett.

- Mydłem! Skądże znowu! Mydło się do tego zupełnie nie nadaje. Ja smarowałam rączki Maybelle chininą i zapewniam pana, panie kapitanie, że bardzo szybko odzwyczaiłam ją od ssania palca.

- Chininą! Nigdy by mi to na myśl nie przyszło! Nie wiem, jak pani dziękować, pani Merriweather. To mnie bardzo martwiło.

Uśmiechnął się do niej tak uprzejmie i z taką wdzięcznością, że pani Merriweather była przez chwilę zmieszana. Ale żegnając się z nim uśmiechnęła się także. Nie chciała się przyznać przed panią Elsing, że omyliła się co do Retta, ale ponieważ była osobą uczciwą, powiedziała, że człowiek, który kocha swoje dziecko, nie może być zupełnie zły. Jaka szkoda, że Scarlett nie zajmuje się tak ślicznym dzieckiem jak Bonnie! To wzruszające po prostu, że mężczyzna sam musi wychowywać, małą dziewczynkę! Rett doskonale wiedział, że to jest bardzo wzruszające, a że psuło Scarlett opinię - o to mniejsza.

Od chwili gdy Bonnie zaczęła chodzić, zabierał ją ze sobą stale i do powozu, i na konia. Kiedy po południu wracał z banku do domu, zabierał ją na przechadzkę po Brzoskwińskiej, trzymając ją za rączkę, dopasowując swoje długie kroki do jej dziecinnego dreptania, cierpliwie odpowiadając na tysiące pytań. Ludzie siedzieli zwykle o zmierzchu w ogródkach lub na gankach, a ponieważ Bonnie była tak miłą, śliczną dziewczynką, o czarnych lokach i jasnoniebieskich oczach, prawie każdy zatrzymywał ją i zaczynał rozmowę. Rett nigdy nie

brał udziału w tych rozmowach, ale stał na boku, promieniując dumą i wdzięcznością, że ludzie poświęcają jego córce tyle uwagi.

Atlanta niełatwo zapominała, była podejrzliwa i zdanie zmieniała powoli. Czasy były ciężkie, a żal do wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek stosunki z Bullockiem i jego otoczeniem - wielki. Bonnie jednak odziedziczyła wdzięk zarówno po Scarlett, jak i po Recie, ona więc stała się małym klinem, który Rett wbijał w mur oziębłości Atlanty.

Bonnie rosła szybko i co dzień bardziej widoczne stawało się jej podobieństwo do Geralda O'Hary. Miała krótkie, mocne nóżki, duże oczy, niebieskie i bardzo irlandzkie, i mały kwadratowy podbródek, który świadczył o jej uporze w zdobywaniu tego, na co miała ochotę. Po Geraldzie odziedziczyła nagłe wybuchy złości, które mijały, jak tylko spełniono jej życzenia. Kiedy ojciec był przy niej, życzenia te były spełniane natychmiast. Psuł ją, mimo wysiłków Mammy i Scarlett, bo zadowolony był z niej pod prawie każdym względem. Jednej tylko rzeczy nie mógł w niej przewyciężyć: obawy przed ciemnością.

Do drugiego roku życia Bonnie łatwo zasypiała w pokoju dzieciennym, który dzieliła z Wade'em i Ellą. Potem, z niewiadomej przyczyny, zaczynała płakać, gdy tylko Mammy wychodziła z pokoju zabierając ze sobą lampę. Po jakimś czasie zaczęła się budzić w nocy, krzycząc z przerażenia, budząc dzieci i alarmując cały dom. Raz trzeba nawet było wezwać doktora Maede i Rett ostro się z nim rozprawił, kiedy orzekł, że to tylko złe sny. Z dziecka nie można było wydobyć nic prócz słówka „ciemno”.

Scarlett była zła na małą i skłonna do dania jej klapsów. Nie mogła zostawiać światła w pokoju dzieciennym, bo wtedy Wade i Ella nie mogliby spać. Rett, zmartwiony, ale spokojny, starał się wydobyć z dziecka coś więcej i rzekł chłodno, że jeżeli Bonnie dostanie klapsa, on ze swej strony zbije Scarlett.

W rezultacie Bonnie została przeniesiona z dzieciennego do pokoju, w którym Rett sypiał teraz sam. Małe jej łóżeczko ustawiono koło jego łóżka i dobrze osłonięta lampka paliła się na stole przez całą noc. Dowiedziawszy się o tej historii miasto zawrzało. Było coś trochę nieprzyzwoitego w tym, że mała dziewczynka sypia w jednym pokoju z ojcem, chociaż dziewczynka ta miała zaledwie dwa lata. Scarlett podwójnie ucierpiała z powodu tej plotki. Po pierwsze, wyszło na jaw, że mają z mężem oddzielne sypialnie, co samo w sobie było gorszącym zjawiskiem; po drugie, wszyscy uważali, że jeżeli dziecko boi się spać samo, miejsce jego jest przy matce. Scarlett nie mogła przecież tłumaczyć, że nie potrafi spać w oświetlonym pokoju i że Rett nie pozwala jej sypiać z dzieckiem.

- Budziłabyś się na płacz Bonnie i wtedy dawałabyś jej pewnie klapsa - powiedział krótko.

Scarlett była zła, że Rett tyle wagi przypisuje nocnym strachom Bonnie, myślała jednak, że z czasem zaradzi się temu i mała będzie mogła wrócić do dzieciennego pokoju. Wszystkie dzieci bały się ciemności i jedyną na to radą była surowość. Rett okazał się w całej tej sprawie perfidny, wyrobił jej opinię złej matki, aby jej odpłacić za wygnanie go z sypialni.

Nie przestąpił progu jej pokoju ani nawet nie poruszył klamką od dnia, gdy go zawiadomiła, że nie chce więcej dzieci. Odtąd do chwili, gdy zaczął przebywać w domu z powodu strachów Bonnie, rzadko kiedy zjawiał się do kolacji. Czasem nie było go przez całą noc, a Scarlett leżąc bezsenne za swoimi zamkniętymi drzwiami i słysząc, jak zegar wybija wczesne godziny, zastanawiała się, gdzie się podziewa. Przypomniała sobie wtedy jego słowa: „Są jeszcze inne łóżka, moja droga!” i mimo że piekła ją ta myśl, nie mogła na to nic poradzić. Nie mogła nic powiedzieć, co by nie wywołało sceny, podczas której Rett z pewnością by jej przypomniał zamknięte drzwi i rolę, jaką w sprawie tej odegrał Ashley. Tak, upór Retta, aby Bonnie spała w oświetlonym pokoju - w jego pokoju - był tylko próbą odpłacenia Scarlett za zamknięcie przed nim sypialni.

Nie zdawała sobie sprawy z wagi, jaką przywiązywał do fantazji Bonnie, ani z wielkości jego przywiązania do dziecka, aż do pewnej straszliwej nocy. Nikt z domowników nie mógł tej nocy zapomnieć.

Dnia tego Rett spotkał znajomego z czasów blokady, z którym mieli sobie wiele do opowiedzenia. Dokąd poszli na rozmowę i pijatykę, Scarlett nie wiedziała, podejrzewała jednak, że byli oczywiście u Belli Watling. Rett nie przyszedł do domu po południu, aby wyprowadzić Bonnie na spacer, nie wrócił także na kolację. Bonnie, która z niecierpliwością wyglądała oknem przez całe popołudnie, ponieważ chciała się pochwalić przed ojcem kolekcją rozmaitych chrząszczy, w końcu wśród płaczów i protestów została ułożona do snu przez Lu.

Albo Lu zapomniała zapalić lampę, albo też lampa wypaliła się sama. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało - dość że kiedy Rett wrócił wreszcie do domu, trochę podchmielony, w domu panowało zamieszanie, a krzyki Bonnie słychać było aż w stajni. Mała obudziła się w ciemności i zaczęła wołać ojca, którego nie było. Opadły ją wszystkie strachy, zaludniające jej dziecienną wyobraźnię. Nie mogły jej uspokoić ani jasne lampy, które przyniosła Scarlett i służące, ani słowa otuchy, i Rett wbiegając na schody po trzy stopnie na raz wyglądał jak człowiek, który zobaczył śmierć.

Kiedy wreszcie wziął Bonnie w ramiona i w łkaniach jej rozróżnił słowo „ciemno”, zwrócił się z wściekłością do Scarlett i Murzynek.

- Kto zgasił światło? Kto ją zostawił samą w ciemności? Prissy, zabiję cię za to, ty...

- Boże miłosierny, panie Recie! To nie ja! To Lu!

- Na Boga, proszę pana, ja...

- Cicho bądź. Znasz moje polecenia. Na Boga, ja cię... wynoś się stąd! Nie wracaj! Scarlett, daj jej pieniądze i postaraj się, aby się wyniosła, zanim zejdem na dół. A teraz niech wszyscy mi stąd wyjdą, wszyscy!

Murzynki uciekły - nieszczęsna Lu płacząc w fartuch, Scarlett jednak została. Ciężko jej było, gdy widziała najukochańsze swoje dziecko spokojne w objęciach Retta, kiedy tak bardzo płakało na jej rękach. Ciężko było widzieć, jak małe ramionka obejmują go za szyję, a zdławiony głosik opowiada, czego się tak przestraszyła, kiedy ona, Scarlett, niczego od niej nie mogła wydobyć.

- Więc to usiadło ci na piersiach - mówił Rett łagodnie. - Czy to duże?

- O, tak! Strasznie duże. I miało pazury.

- Ach, i pazury też. No, no, no. Ale ja będę tutaj czuwał przez całą noc i zastrzelę je, gdyby jeszcze wróciło. - Głos Retta brzmiał przejęciem, więc łkania Bonnie powoli ucichły. Głos jej stał się spokojniejszy, kiedy zagłębiła się w szczegółowy opis stracha w języku, który tylko Rett mógł zrozumieć. Złość ogarnęła Scarlett, że Rett rozmawia o tym z dzieckiem jak o rzeczy realnej.

- Na miłość boską, Rett...

On jednak gestem nakazał jej milczenie. Kiedy Bonnie wreszcie usnęła, położył ją w łóżku i nakrył kołdrą.

- Obedrę tę Murzynkę żywcem ze skóry - powiedział spokojnie. - To także twoja wina. Dlaczego nie weszłaś na górę i nie sprawdziłaś, czy pali się światło?

- Nie bądź głupi, Rett - wyszeptwała. - Ona doprowadza się do takiego stanu, bo jej na to pozwalasz. Wiele dzieci boi się ciemności, ale im to szybko przechodzi. Wade bał się także, ale ja go nie rozpieszczęłam. Gdyby popłakała przez kilka nocy...

- Ja miałbym jej pozwolić płakać! - Przez chwilę Scarlett myślała, że Rett ją uderzy. - Albo jesteś zupełną idiotką, albo najbardziej okrutną kobietą, jaką znam.

- Nie chcę, aby dziecko stało się nerwowe i tchórzliwe.

- Tchórzliwe? Na Boga! W Bonnie nie ma ani odrobiny tchórzostwa! Ty jednak nie posiadasz wyobraźni i dlatego, oczywiście, nie możesz ocenić tortur ludzi, którzy ją mają... a mają ją szczególnie dzieci. Gdyby coś, co ma rogi i pazury, usiadło na twojej piersi, powiedziałaśby spokojnie, aby się wynosiło do diabła, prawda? Widzę już, jak to robisz! Przypomnij sobie łaskawie, że byłem świadkiem, jak się budziłaś wrzeszcząc jak oparzona, boś śniła, że biegiesz we mgle. I nie było to tak bardzo dawno temu!

Scarlett była zakłopotana, bo nie lubiła przypominać sobie tego snu. Wstydziła się także, ponieważ uświadomiła sobie, że Rett pocieszał ją w taki sam prawie sposób jak Bonnie. Przeszła więc szybko do ataku:

- Ty ją tylko rozpieszczasz i...

- I mam zamiar stale ją rozpieszczać. W ten sposób wyrośnie z tego i zapomni o tym zupełnie.

- A więc - rzekła Scarlett jadownicie - jeżeli masz zamiar bawić się w nianię, powinieneś przychodzić do domu wcześniej i trochę trzeźwiejszy niż dziś.

- Będę wracał do domu wcześniej, ale pijany jak bela, jeżeli tak mi się spodoba.

Odtąd rzeczywiście wracał wcześniej, przychodząc do domu na długo przed porą kładzenia Bonnie na spoczynek. Siadał przy niej i trzymał ją za rączkę, dopóki sen nie rozluźnił jej uścisku. Dopiero wtedy wychodził na palcach z pokoju zostawiając lampę palącą się jasno i drzwi szeroko otwarte, aby mógł usłyszeć jej wołanie, gdyby się obudziła przestraszona. Nie chciał, aby miała nawroty strachu przed ciemnością. Cały dom doskonale pamiętał o palącej się lampie - Scarlett, Mammy, Prissy i Pork często wchodzili na górę i sprawdzali, czy jeszcze się pali.

Zaczął także wracać do domu trzeźwy, to jednak nie było zasługą Scarlett. Od wielu miesięcy pił dużo, chociaż nigdy nie bywał pijany, a pewnego wieczora zalaływało od niego wódką mocniej niż zwykle. Podniósł Bonnie, posadził ją sobie na ramieniu i zapytał: - A czy dasz całuska swojemu tatusiowi?

Zmarszczyła swój mały zadarty noseć i zaczęła się wyrywać z jego ramion.

- Nie - rzekła szczerze. - Brzydki.

- Jaki jestem?

- Zapach brzydki. Wuj Ashley nie pachnie brzydkiem.

- Bardzo mi przykro - rzekł ze skrucą stawiając ją na podłodze. - Nie spodziewałem się, że we własnym domu znajdę rzeczniczkę trzeźwości!

Odtąd jednak ograniczał się do jednej szklanki wina po kolacji. Bonnie, której wolno było wypić ostatnie kropelki z dna, nie uważała, że zapach wina jest brzydki. W rezultacie obrzękłość, która zaczęła zalewać ostre kontury twarzy Retta, znikła z wolna, a obwódki pod jego ciemnymi oczyma stały się jaśniejsze i mniej wyraźne. Ponieważ Bonnie lubiła, aby ją brał na konia, przebywał więcej na powietrzu i opalił się, stając się ciemniejszy na twarzy niż zwykle. Wyglądał zdrowiej, śmiał się częściej i znowu przypominał wytwornego młodego kapitana, który tyle wrzawy wywołał w Atlantycie na początku wojny.

Ludzie, którzy nigdy nie lubili Retta, uśmiechali się teraz do niego, gdy przejeżdżał z

Bonnie konno. Kobiety, które dotąd uważały, że żadna niewiasta nie jest z nim bezpieczna, zaczęły się zatrzymywać, rozmawiać z nim na ulicy i chwalić Bonnie. Nawet najsurowsze matrony doszły do przekonania, że człowiek, który potrafi omawiać choroby i trudności dzieciństwa tak dobrze jak Rett, nie może być zupełnie wyzuty z sumienia.



## ROZDZIAŁ LIII

Był to dzień urodzin Ashleya. Melania postanowiła urządzać tego wieczora jako niespodziankę duże przyjęcie. Wiedzieli o nim wszyscy z wyjątkiem Ashleya. Nawet Wade i mały Beau dopuszczeni zostali do sekretu, co napelniało ich niemałą dumą. Wszyscy przyzwoici ludzie w Atlancie zostali zaproszeni i mieli się zjawić. Generał Gordon z rodziną łaskawie przyjął zaproszenie, Aleksander Stephens przyrzekł przyjść, jeżeli pozwoli mu na to stan zdrowia, spodziewano się nawet Roberta Toombsa, chluby Konfederacji.

Przez cały ranek Scarlett, Melania, India i ciotka Pitty krzątały się po małym domku doglądając Murzynek, które zawieszały świeżo wyprane firanki, czyściły srebro, woskowały podłogi i gotowały, kosztowały i mieszały przeróżne dania. Scarlett nigdy jeszcze nie widziała Melanii tak podnieconej i uszczęśliwionej.

- Widzisz, moja droga, Ashley nie obchodził swoich urodzin od czasu... czy pamiętasz tę barbakoję w Dwunastu Dębach? W dniu, kiedy dowiedzieliśmy się, że Lincoln powołuje ochotników? A więc od tego czasu nie obchodzi urodzin. Pracuje tak ciężko i taki jest zmęczony, gdy wraca wieczorami do domu, że na pewno nie pamięta, że to dziś są jego urodziny. Wyobrażam sobie, jaki będzie zdumiony po kolacji, kiedy zaczną się schodzić goście.

- Jak pani chce zawiesić lampiony w ogrodzie, jeżeli pan Wilkes nie ma ich widzieć, jak przyjdzie na kolację? - zapytał Archie zrzędliwie.

Siedział przez cały ranek w milczeniu, przyglądając się przygotowaniom, zainteresowany, ale nie chcący się do tego przyznać. Nigdy nie widział przygotowań do dużego przyjęcia w mieście i było to dla niego nowym przeżyciem. Robił niegrzeczne uwagi o kobietach, które biegają jak do pożaru, bo mają mieć gości, ale nawet i czwórka koni nie mogłaby go odciągnąć od domu. Lampiony z kolorowego papieru, które pani Elsing i Fanny zrobiły i pomalowały na tę okazję, interesowały go najbardziej, bo nigdy dotąd nie widział „takich sztuczek”. Schowane były w suterenie w jego pokoju, więc obejrzał je bardzo skrupulatnie.

- Zlitujcie się! Nie pomyślałam o tym! - zawołała Melania. - Archie, jak to dobrze, żeście mi o tym wspomnieli. Boże, Boże! Co ja zrobię? Trzeba je zawiesić na krzakach i drzewach i włożyć w nie małe świece, aby je można było zapalić przed przybyciem gości. Scarlett, czy możesz tu przysłać Porka, aby to zrobił, gdy będziemy jedli kolację?

- Pani Wilkes, pani ma więcej rozumu niż większość kobiet, ale łatwo pani traci głowę -



rzekł Archie. - A co się tyczy tego głupiego Murzyna, Porka, to on do tych „sztuczek” wcale nie jest potrzebny. Spaliłby cały dom w jednej chwili. One są całkiem ładne - przyznał. - Już ja zawieszę, jak państwo będą jedli.

- Och, Archie, jak to ładnie z waszej strony! - Melania zwróciła na niego dziecinne spojrzenie pełne wdzięczności i zaufania. - Nie wiem, co bym bez was poczęła. A może byście teraz powtykali świeczki w lampiony, aby nam choć ten kłopot spadł z głowy?

- No dobrze, zrobię to może - rzekł Archie niełaskawie i pokuśtykał w stronę schodów do piwnicy.

- Jak to łatwo podejść mężczyznę - zachichotała Melania, kiedy wąsaty starzec wyszedł z pokoju. - Chciałam przez cały czas, aby Archie zawiesił te latarnie, ale wiesz sama, jaki on jest. Nie robi nic, o co go poprosić. A teraz pozbyliśmy się go stąd na chwilę. Murzyni tak się go boją, że nie mogą pracować, kiedy jest blisko i łypie na nich jednym swoim okiem.

- Melu, ja bym tego starego obwiesia nie trzymała w domu - rzekła Scarlett. Nienawidziła Archiego tak samo jak on jej i ledwie z nim mówiła. Tylko w domu Melanii Archie nie wychodził z pokoju, gdy ona przychodziła. Ale nawet u Melanii przyglądał jej się podejrzliwie i z zimną pogardą. - Narobi ci jeszcze kiedyś przykrości, zobaczysz.

- Och, on jest zupełnie nieszkodliwy, byle mu pochlebiać i okazywać zaufanie - rzekła Melania. - Tak jest zresztą oddany Ashleyowi i Beau, że czuję się bezpieczniejsza, kiedy jest w domu.

- Chcesz powiedzieć, że oddany jest tobie, Melu - rzekła India, a zimna jej twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem, gdy spojrzała na swoją bratową. - Zdaje mi się, że ty jesteś pierwszą osobą, którą ten stary zbój kocha od czasu... od czasu swojej żony... Myślę czasem, że byłby zadowolony, gdyby cię ktoś obraził, aby mógł go zabić na dowód szacunku dla ciebie.

- Zlituj się, Indio! Co też ty wygadujesz! - zawołała rumieniąc się Melania. - Uważa mnie za głupią gęś, wiesz o tym dobrze.

- Nie pojmuję, dlaczego zdanie tego brudnego starego nicponia miałoby, mieć jakiegokolwiek znaczenie - rzekła Scarlett ostro. Myśl o tym, jak Archie ją potępił, kiedy przyjął więźniów do tartaku, zawsze doprowadzała ją do pasji. - Muszę teraz iść. Mam obiad, a potem chcę iść do sklepu i zapłacić subiekptom, wstąpię także do składu drzewa i zapłacę Hugonowi i woźnicom.

- Ach, więc będziesz w składzie? - zapytała Melania. - Ashley ma tam być przed wieczorem, aby widzieć się z Hugonem. Czy mogłabyś go tam zatrzymać do piątej? Jeżeli wróci wcześniej do domu, zastanie nas na pewno przy pieczeniu ciasta lub czymś podobnym i

wszystkiego się od razu domyśli.

Scarlett uśmiechnęła się w duchu i dobry humor wrócił jej natychmiast.

- Dobrze, zatrzymam go - powiedziała.

Mówiąc to zauważyła, że blade, bezrzęse oczy Indii patrzą na nią przenikliwie. „India zawsze tak na mnie dziwnie patrzy, kiedy mówię o Ashleyu” - pomyślała Scarlett.

- No więc, dobrze, zatrzymaj go tam jak najdłużej po piątej - rzekła Melania. - A potem India wstąpi po niego powozem i zabierze go do domu. Scarlett, przyjdź dziś wcześniej wieczorem. Nie chcę, abyś się choćby o minutę spóźniła na przyjęcie.

Jadąc do domu Scarlett myślała z urazą: „Nie chce, abym się choćby o minutę spóźniła? No więc, dlaczego mnie nie prosi, abym czyniła honory domu z nią, Indią i ciotką Pitty?”

Na ogół Scarlett mało dbała o to, aby czynić honory domu na marnych przyjęciach Meli. To jednak przyjęcie było największym, jakie Mela kiedykolwiek wydała, i w dodatku przyjęciem urodzinowym Ashleya, Scarlett więc pragnęła witać gości u jego boku.

Wiedziała jednak, dlaczego Mela nie poprosiła jej o to. Gdyby nawet nie wiedziała, złośliwe uwagi Retta oświeciłyby ją niewątpliwie.

- Przyjaciółka Scallawagów miałyby czynić honory domu, kiedy przychodzą wybitni eks-konfederaci i demokraci? Pomysły twoje są równie wzruszające jak niekonsekwentne. Tylko ze względu na wyjątkową lojalność pani Meli zostałam w ogóle zaproszona.

Po południu Scarlett ubrała się staranniej niż zwykle na wyjazd do sklepu i składu drzewa, nakładając nową zieloną suknię z mieniającej się tafty, która miejscami miała liliowe połyski, i nowy jasnozielony kapelusz z ciemnozielonymi piórami. Gdyby tylko Rett pozwolił jej ściąć grzywkę i ufryzować ją na czole, kapelusz wyglądałby znacznie piękniej! Oświadczył jednak, że ogoli jej całą głowę, jeżeli ośmieli się ściąć włosy na grzywkę. Ostatnio zaś zachowywał się tak wstrętnie, że gotów był to rzeczywiście uczynić.

Popołudnie było piękne, słoneczne, ale niezbyt gorące, a ciepły wietrzyk, który poruszał liśćmi drzew na Brzoskwiniowej, chwiał piórami kapelusza Scarlett. Serce miała rozradowane jak zwykle, gdy czekało ją widzenie z Ashleyem., Jeżeli wypłaci pensję woźnicom i Hugonowi, pójdą do domu wcześniej i zostawią ją samą z Ashleyem, w małym kantorku na środku placu, na którym jest skład. Sposobności widzenia Ashleya sam na sam miała ostatnio bardzo niewiele. I pomyśleć, że to Melania prosiła ją, aby go zatrzymała jak najdłużej! Jakie to śmieszne!

Była bardzo wesoła, kiedy dojechała do sklepu. Wypłaciła pensję Willowi i innym subiektom nie pytając nawet, jakie były dzienne wpływy. Była to sobota, dzień największych obrotów w sklepie, bo farmerzy zwykle przyjeżdżali wtedy po zakupy, ona wszakże nie

spytała o nic.

W drodze do składu zatrzymywała się z dziesięć razy, aby porozmawiać z żonami Carpetbaggerów, jadącymi we wspaniałych powozach - nie tak wspaniałych jednak jak jej własny - i z wieloma paniami, którzy przechodzili przez pokrytą czerwonym pyłem jezdnię, aby odkryć przed nią głowę i chwilę pogawędzić. Popołudnie było cudowne, czuła się szczęśliwa, wyglądała ślicznie i jechała jak królowa. Z powodu tych spotkań zajechała do składu później, niż zamierzała, i zastała Hugona i woźniców czekających już na nią na stercie desek

- Czy jest tu Ashley?

- Tak, jest w biurze - rzekł Hugon i zwykły strapiony wyraz ustąpił z jego twarzy na widok jej roześmianych, zadowolonych oczu. - Stara się, to znaczy przegląda książki.

- Och, nie powinien tego dzisiaj robić - powiedziała, a potem zniżając głos: - Mela przysłała mnie tutaj, abym go zatrzymała, póki nie przygotują wszystkiego na dzisiejsze przyjęcie.

Hugon uśmiechnął się, ponieważ także wybierał się wieczorem do Meli. Lubił zebrania towarzyskie i łatwo było się domyślić, że Scarlett lubi je także, choćby po jej dzisiejszym wyglądzie. Zapłaciła woźnicom i Hugonowi i krótko pożegnawszy się z nimi poszła w stronę biura dając do zrozumienia swoim zachowaniem, że nie życzy sobie, aby jej ktoś towarzyszył. Ashley wyszedł do drzwi na jej spotkanie i stał w słońcu - włosy mu lśniły, a na wargach ukazał się uśmiech prawie złośliwy.

- Ależ Scarlett, co też ty robisz w mieście o tej porze? Dlaczego nie jesteś u nas w domu i nie pomagasz Meli w przygotowaniu do jej niespodzianki?

- No, Ashleyu! - zawołała z oburzeniem. - Nie powinieneś być nic o tym wiedzieć. Mela będzie bardzo rozżalona, jeżeli nie okażesz zdziwienia.

- Och, nie zdradzę się z pewnością. Będę najbardziej zdumionym człowiekiem w Atlancie - rzekł Ashley i oczy mu się śmiały.

- Kto był tak niedobry, że ci o tym powiedział?

- Po kolei każdy z panów zaproszonych przez Melę. Generał Gordon był pierwszy. Powiedział, że wie z doświadczenia, iż panie niespodzianki tego rodzaju urządzają w dni, kiedy mężczyźni postanawiają oczyścić i naoliwić wszystkie dubeltówki w domu. A potem ostrzegł mnie dziadek Merriweather. Powiedział, że pani Merriweather zaprosiła kiedyś gości w sekrecie przed nim i że największą niespodziankę zrobiła samej sobie, bo dziadek leczył wtedy ukradkiem swój reumatyzm butelką whisky i był zbyt pijany, aby wstać z łóżka. Poza nimi ostrzegli mnie jeszcze prawie wszyscy panowie, którzy przeżyli takie niespodzianki.

- Wstrętni ludzie! - zawołała Scarlett, ale uśmiechnęła się mimo woli.

Uśmiechając się tak, Ashley wyglądał jak dawny Ashley z Dwunastu Dębów. Rzadko się ostatnio uśmiechał... Powietrze było tak łagodne, twarz jego tak wesoła, słowa tak swobodne, że serce Scarlett zabiło szczęściem. Wezbrało coś w jej piersi tak bardzo, że aż serce zaczęło bić z radości. Biło tak silnie, że niemal bolało jak pod ciężarem gorących, radosnych, nie przelanych łez. Nagle poczuła się znowu szesnastoletnią, podnieconą i szczęśliwą dziewczyną. Miała ochotę zerwać z głowy kapelusz, podrzucić go w powietrze i krzyknąć: „Hura!” Potem pomyślała, jak by to zdumiało Ashleya, i roześmiała się nagle tak serdecznie, że łzy napłynęły jej do oczu. On także się roześmiał odrzucając w tył głowę, jak gdyby śmiech ten sprawiał mu przyjemność - przekonany był, że to przyjacielska zdrada sekretu Meli była przyczyną wesołości Scarlett.

- Wejdz do biura, Scarlett. Właśnie przeglądałem księgi. Weszła do małego pokoju, rozgrzanego popołudniowym słońcem i usiadła na fotelu przed biurkiem. Ashley, który wszedł za nią, przysiadł na brzegu nie heblowanego stołu kołysząc długimi nogami.

- Och, nie zwracajmy sobie dzisiaj głowy księgami, Ashleyu! Nie chce mi się nic robić. Kiedy mam nowy kapelusz, wydaje mi się, że cyfry wylatują mi z głowy.

- Cyfry mogą się rzeczywiście pomieszać, jeżeli kapelusz jest tak ładny jak ten - powiedział. - Scarlett, piękniejesz z dnia na dzień!

Zsunął się ze stołu i śmiejąc się wziął ją za obie ręce i rozłożył je szeroko, aby móc obejrzeć jej suknię. - Taka jesteś śliczna! Pewien jestem, że nie zestarzejesz się nigdy!

Pod dotknięciem jego uświadomiła sobie, że nie wiedząc, właśnie o tym przez cały dzień marzyła. Przez całe to szczęśliwe popołudnie marzyła o ciepłe jego dłoni, czułości spojrzenia, o słowie, które byłoby dowodem, że ją jeszcze kocha. Od owego zimnego dnia w sadzie Tary byli pierwszy raz zupełnie sami, pierwszy raz ręce ich spotkały się w serdecznym geście, a przez wszystkie te długie miesiące łaknęła bliższego z nim kontaktu. Teraz jednak...

Jakie to dziwne, że dotknięcie Ashleya wcale jej nie podniecało! Niegdyś sama jego bliskość przyprawiała ją o drżenie. Teraz czuła tylko dziwnie ciepłą serdeczność i zadowolenie. Żar nie płynął już z jego dłoni do jej. To ją zdumiało i trochę zaniepokoiło. Był ciągle jeszcze jej Ashleyem, ciągle jej jasnym, świetlanym kochaniem, i kochała go nad życie. Dlaczego więc...

Odsunęła jednak na bok tę myśl. Wystarczyło, że była przy nim, że trzymał jej ręce w swoich i uśmiechał się bardzo serdecznie, bez napięcia czy namiętności. Wydawało się nieprawdopodobne, że mogło tak być, mimo wszystkich nie wypowiedzianych rzeczy, które stały między nimi. Popatrzył jej w oczy i oczy jego były jasne i błyszczące, uśmiechnięte w

ten dawny sposób, który kochała, uśmiechnięte tak, jak gdyby nie łączyło ich nic poza szczęściem. W spojrzeniach ich nie było teraz żadnego przymusu - ani zawodu, ani obcości. Roześmiała się.

- Och, Ashleyu, staję się stara i zgrzybiała.

- Tak, i widać to nawet! Nie, Scarlett, nawet jako sześćdziesięcioletnia staruszka będziesz dla mnie taka sama. Zawsze będę cię pamiętał taką, jaką byłaś w dniu naszej ostatniej barbakoi, kiedy siedziałaś pod dębem otoczona tuzinem chłopców. Mogę ci nawet powiedzieć, jak byłaś ubrana. Nosiałaś białą suknię w małe zielone kwiatuszki i biały koronkowy szal na ramionach. Miałaś malutkie zielone pantofelki z czarnymi sznurowadłami i olbrzymi kapelusz słomkowy z długimi wstążkami. Znam tę suknię na pamięć, bo kiedy byłem w więzieniu i było mi bardzo źle na duszy, przypominałem sobie dawne czasy i na każde wspomnienie patrzyłem jak na obraz, rozpatrując wszystkie szczegóły...

Przerwał nagle i blask znikł z jego twarzy. Puścił lekko jej dłonie - ona zaś czekała, czekała w napięciu na następne jego słowa.

- Długą przeszliśmy obydwójce drogę od owego dnia, prawda, Scarlett? Wędrowaliśmy po ścieżkach, o których nic jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy. Ty szłaś szybko i wprost, ja wolno i niechętnie.

Usiadł znowu na stole, popatrzył na nią i znowu się uśmiechnął. Nie był to już jednak ten sam uśmiech, który tak ją rozradował przed chwilą. Był to smutny uśmiech.

- Tak, ty poszłaś szybko naprzód, ciągnąc mnie za kołami swego wozu. Scarlett, czasem czuję obiektywną ciekawość, co też by się ze mną stało bez twojej pomocy.

Szybko zaczęła go bronić przed samym sobą, tym szybciej, że przypomniały jej się zdradliwe słowa Retta na ten temat.

- Ależ ja nic nigdy nie zrobiłam dla ciebie, Ashleyu. Beze mnie czy ze mną, zawsze jesteś ten sam. Stałbyś się bogatym człowiekiem, wielkim człowiekiem, którym jeszcze zresztą będziesz.

- Nie, Scarlett, nigdy nie było we mnie zadatków wielkości. Sądzę, że gdyby nie ty poszedłbym w zapomnienie - jak biedna Kasia Calvert i tyle innych osób, które niegdyś nosiły wielkie i stare nazwiska.

- Ach, Ashleyu, nie mów tak. To brzmi tak smutno.

- Nie, nie jestem wcale smutny. Już nie. Kiedyś, kiedyś byłem smutny. Teraz jestem tylko...

Przerwał. Domyśliła się, co myślał. Gdy oczy jego popatrzyły poza nią, czyste jak kryształ i dalekie, po raz pierwszy od czasu, kiedy go znała, wiedziała, co myśli. Wówczas,

gdy kochała go bez opamiętania, on był dla niej całkowitą zagadką. Teraz, w spokojnej serdeczności, jaka zrodziła się między nimi, mogła wniknąć w jego myśli, zrozumieć go trochę. Nie był już smutny. Smutny był po kapitulacji, smutny, kiedy błagała go, aby przeniósł się do Atlanty. Teraz był już tylko zrezygnowany.

- Nie chcę, abyś tak mówił, Ashleyu - rzekła gwałtownie. - Mówisz jak Rett. On zawsze bez końca mówi o podobnych rzeczach i o tym, co nazywa prawem przetrwania najsilniejszych, aż chce mi się płakać ze znudzenia.

Ashley uśmiechnął się.

- Czy nigdy nie pomyślałaś o tym, Scarlett, że Rett i ja jesteśmy do siebie zasadniczo podobni?

- Ach, nie! Ty jesteś szlachetny, tak uczciwy, a on... - Przerwała, bardzo zmieszana.

- Ale jesteśmy podobni. Pochodzimy z tej samej sfery, byliśmy wychowani w podobny sposób, nauczono nas myśleć tak samo. Gdzieś po drodze skręciliśmy w różne strony. Jeszcze nadal myślimy podobnie, tylko reagujemy inaczej. Tak na przykład, żaden z nas nie wierzył w wygranie wojny, ale ja zaciągnąłem się od razu i walczyłem w szeregach, a on czekał z tym prawie do końca. Obaj wiedzieliśmy, że ta wojna jest zła. Wiedzieliśmy, że walka jest przegrana. Ja godziłem się walczyć o sprawę z góry przegraną - on nie. Czasem myślę, że on miał rację, potem znowu...

- Ach, Ashleyu, kiedyż wreszcie przestaniesz oglądać każde zagadnienie ze wszystkich stron? - zapytała. Nie mówiła ze zniecierpliwieniem jak dawniej. - Nie można nigdzie dojść, jeżeli się w ten sposób na wszystko patrzy.

- To prawda, ale... Scarlett, a dokąd właściwie chciałybyś dojść? Zastanawiam się nad tym często. Widzisz ja nigdy nie chciałem do niczego dochodzić. Chciałem zawsze być tylko sobą.

Dokąd chciałabyś dojść? To dziwne pytanie. Oczywiście do pieniędzy i bezpieczeństwa. A jednak... Zaczęła się zastanawiać. Miała pieniądze i maksimum bezpieczeństwa, jakie można było zdobyć w tym bardzo niepewnym świecie. Teraz jednak, gdy o tym myślała, nie wydawało jej się, aby to było wystarczające. Teraz, gdy o tym myślała, dochodziła do przekonania, że te rzeczy wcale nie uczyniły jej bardziej szczęśliwą, chociaż stała się mniej zatroskana, mniej niepewna jutra. „Gdybym miała pieniądze, bezpieczeństwo i ciebie, miałabym wszystko, co chciałam osiągnąć” - myślała patrząc na niego tęsknie. Nie wypowiedziała jednak tych słów bojąc się przerwać czar, bojąc się, że przerwie nic porozumienia.

- A więc ty chcesz tylko być sobą? - zaśmiała się trochę boleśnie. - Moim największym

kłopotem było zawsze to, że nie byłam sobą! Jeżeli zaś chodzi o to, dokąd chciałabym dojść, to zdaje mi się, że już doszłam. Chciałam być bogata i bezpieczna...

- Ależ Scarlett, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że ja nie dbam o to, czy jestem bogaty, czy nie?

Nie, nigdy jej nie przyszło na myśl, że ktoś może nie chcieć być bogaty.

- A zatem czego chcesz?

- Nie wiem już teraz. Wiedziałem kiedyś, ale prawie zapomniałem. Chciałem mieć spokój, nie mieć nic wspólnego z ludźmi, których nie lubię, nie być zmuszany do robienia rzeczy, których nie chcę robić. Może... chciałbym, aby znowu wróciły dawne czasy, one zaś nigdy nie wrócą i prześladowuje mnie wspomnienie o nich i o świecie, który rozpada się na moich oczach.

Scarlett wydeła usta z uporem. Doskonale rozumiała, co Ashley miał na myśli. Sam ton jego głosu przypominał dawne dni i sprawiał, że serce jej ścisnęło się boleśnie i ogarniały ją wspomnienia. W chwili jednak, gdy leżała słaba i zrozpaczona w ogrodzie Dwunastu Dębów i powtarzała sobie: „Nie będę patrzyła wstecz”, odgradziła się ostatecznie od przeszłości.

- Wolę czasy obecne - powiedziała. Ale mówiąc to nie patrzyła mu w oczy. - Teraz zdarzają się stale rzeczy interesujące, są zabawy i inne rozrywki. Wszystko ma jakiś blask - dawne czasy były takie nudne. (O, leniwe dni i ciepłe spokojne wiejskie zmierzchy! Łagodne śmiechy dochodzące z chat murzyńskich! Złociste ciepło życia i krzepiąca pewność tego, co przyniesie jutro! Jakże mogę się was wypierać?)

- Wolę czasy obecne - powtórzyła, już z drzeniem w głosie. Zsunął się ze stołu i cicho się śmiał z niedowierzaniem. Kładąc dłoń pod jej podbródek podniósł jej twarz ku sobie.

- Ach, Scarlett, jakże ty źle kłamiesz! Tak, życie ma teraz blask... pewnego rodzaju. Właśnie o to chodzi. Dawne czasy nie miały blasku, ale miały wdzięk, piękno, spokojny czar...

Tak przyparta do muru, spuściła oczy, Dźwięk jego głosu i dotknięcie jego ręki otworzyły łagodnie wrota, które zamknęła na zawsze. Za wrotami tymi leżało piękno dawnych dni; teraz zbudziła się w niej tęsknota za nimi. Wiedziała jednak, że piękna tego nie należy budzić. Nikt nie mógł iść naprzód obciążony brzemieniem bolesnych wspomnień.

Ashley puścił teraz jej twarz, wziął jedną jej dłoń w obie swoje i trzymał ją w nich łagodnie.

- Czy pamiętasz... - zaczął.

Sygnal ostrzegawczy w jej głowie zadzwonił: „Nie patrz wstecz! Nie oglądaj się!”

Nie zwróciła nań uwagi, bo już ją unosiła fala szczęścia. Zaczęła go wreszcie rozumieć,

dusze ich spotkały się wreszcie. Chwila ta była zbyt cenna, aby ją stracić, choćby nie wiem jaki ból miał przyjść potem.

- Czy pamiętasz - powiedział, i pod zaklęciem jego głosu znikły gołe ściany małego kantorku, lata rozstały się: znowu cwałowali razem miedzami podczas dawno minionej wiosny. Kiedy mówił, uścisk jego zacieśniał się na jej dłoni i w głosie zabrzmiał smutny czar dawno zapomnianych pieśni. Słyszała wesołe dźwięczenie uprzęży, kiedy pod krzakami dereni jechali na pikniki do Tarletonów, słyszała własny beztroski śmiech, widziała blask słońca na jego złotosrebrzystych włosach i podziwiała dumny wdzięk, z jakim siedział na koniu. W głosie jego brzmiała muzyka, skrzypce i banjo, pod których dźwięk tańczyli w białym, już nie istniejącym domu. Słysząc było dalekie ujadanie psów tropiących opasy na moczarach w świetle chłodnego jesiennego księżyca i zapach przystrojonych choiną misek nalewki w czasie Świąt Bożego Narodzenia, i uśmiechy na czarnych i białych twarzach. I starzy przyjaciele tłoczyli się w jej wspomnieniu, śmiejąc się, jak gdyby nie odeszli przed laty. Stuart i Brent o długich nogach, rudawych włosach i skłonności do figlów, Tom i Boyd, niespokojni jak młode żrebce, Józio Fontaine o gorących czarnych oczach, Cade i Raiford Calvertowie poruszający się z ospałym wdziękiem. Zjawił się i Jan Wilkes, i Gerald, czerwony od koniaku, i szept, i zapach, którym była Ellen. Wszystko to osnute było poczuciem bezpieczeństwa, świadomością, że jutro przyniesie taką samą radość, jaką dał dzień dzisiejszy.

Głos Ashleya ucichł. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy - stała między nimi słoneczna miniona młodość, którą niegdyś beztrosko dzielili.

„Teraz rozumiem, dlaczego nie możesz być szczęśliwy - myślała smutnie. - Nigdy tego dotąd nie rozumiałam. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego i ja nie byłam zupełnie szczęśliwa. Ależ, przecież rozmawiamy teraz jak starzy ludzie! - pomyślała z posępnym zdziwieniem. - Jak starzy ludzie, wspominający zdarzenia sprzed pięćdziesięciu lat. A nie jesteśmy przecież jeszcze starzy! Tylko że tyle się w tym czasie zdarzyło. Wszystko zmieniło się tak bardzo, jak gdyby minęło pięćdziesiąt lat. A nie jesteśmy wcale starzy!”

Kiedy jednak spojrzała na Ashleya, nie wyglądał on już młodo i radośnie. Pochylił głowę i nie widząc patrzył na jej dłoń, którą jeszcze trzymał w swoich. Spostrzegła, że jego niegdyś jasne włosy bardzo posiwiały, że srebrzą się jak promień księżyca na spokojnej wodzie. Wesoły blask kwietniowego popołudnia znikł gdzieś, radość ustąpiła z jej serca, i smutna słodycz wspomnień stała się gorzka jak piołun.

„Nie powinnam była pozwolić mu wspominać - myślała z rozpaczą. - Miałam rację mówiąc, że nie chcę się za siebie oglądać. To boli za bardzo, to tak ścisza serce, że nie można



już nic robić, tylko trzeba patrzeć w przeszłość. Tak właśnie jest z Ashleyem. Nie może już patrzeć naprzód. Nie widzi teraźniejszości, boi się przyszłości, więc patrzy wstecz. Nigdy tego przedtem nie rozumiałam. Nigdy przedtem nie rozumiałam Ashleya. Och, Ashleyu, najdroższy mój, po cóż oglądasz się za siebie? Cóż ci z tego przyjdzie? Nie powinnam ci była pozwolić na rozmowę o dawnych czasach. Tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek patrzy na minione szczęście - boli go serce, nic go cieszyć nie może”.

Wstała teraz; Ashley jeszcze nie puszczał jej ręki. Musi już iść. Nie może tu zostać, myśleć o dawnych czasach i patrzeć na jego twarz - zmęczoną, smutną i żalną jak teraz.

- Długą drogę przeszliśmy od owych czasów, Ashleyu - powiedziała starając się, aby głos jej nie drżał, starając się zwalczyć ściskanie w gardle. - Mielśmy szlachetne zamiary, prawda? - a potem w nagłym porywie, - Och, Ashleyu, nic nie poszło tak, jak chcieliśmy!

- I nigdy tak nie idzie - powiedział. - Życie nie jest obowiązane dawać nam to, czego oczekujemy. Bierzemy to, co nam daje, i jesteśmy wdzięczni, że nie jest jeszcze gorzej.

Serce jej oniemiało z bólu i ze zmęczenia, kiedy pomyślała o długiej przebytej drodze. Odżyło w jej pamięci wspomnienie Scarlett O'Hara, która lubiła chłopców i piękne suknie, i miała zamiar kiedyś, gdy będzie na to czas, stać się tak wielką damą jak Ellen.

Nagle w oczach jej zabłyśły łzy i stoczyły się wolno po policzkach. Patrzyła teraz na Ashleya jak zranione zdumione dziecko. On nic nie powiedział, ale wziął ją łagodnie w objęcia, przycisnął głowę jej do swego ramienia i pochylając się ku niej przyłożył twarz swoją do jej twarzy. Poddała mu się i otoczyła go ramionami. Uścisk jego osuszył jej od razu łzy. Ach, dobrze było znowu być w jego objęciach, bez namiętności, bez napięcia, być w nich jak najlepsza przyjaciółka. Tylko Ashley, który znał jej wspomnienia i całą jej młodość, który wiedział, jak zaczynała i. co osiągnęła, mógł ją zrozumieć.

Usłyszała kroki na dworze, ale nie zwróciła na nie uwagi myśląc, że to woźnice odchodzą do domu. Przez chwilę stała cicho, wsłuchując się w bicie serca Ashleya. Nagle oderwał się od niej, zdumiewając ją swoją gwałtownością. Spojrzała w jego twarz ze zdziwieniem, on jednak nie patrzył na nią. Patrzył przez jej ramię na drzwi.

Odwróciła się: stała tam India, blada, z błyszczącymi oczyma, i Archie, nieprzyjazny jak jednooka papuga. Za nimi stała pani Elsing.

Kiedy i jak wyszła z kantorku - nie mogła sobie nigdy przypomnieć. Wyszła jednak natychmiast, szybko, na rozkaz Ashleya, zostawiając go w nieprzyjemnej rozmowie z Archiem, a Indię i panią Elsing na dworze, odwrócone do niej plecami. Wstyd i strach pędziły ją do domu. W wyobraźni jej Archie z patriarchalną brodą wyrósł do rozmiarów anioła zemsty ze stronic Starego Testamentu.

Dom był pusty i cichy w kwietniowym zmierzchu. Cała służba wyszła na jakiś pogrzeb, a dzieci bawiły się w ogródku Melanii. Melanii...

Melania! Na myśl o niej dreszcz przejął Scarlett. Melania dowie się o wszystkim! India uprzedziła, że powie jej wszystko. Och, India powie jej z rozkoszą nie dbając o to, że oczernia Ashleya, nie dbając o to, że zrani Melanię, byle tylko mogła Scarlett dokuczyć! I pani Elsing także wszystko rozgada, chociaż nic nie widziała, bo stała w drzwiach kantoru za Indią i Archiem. Ale mimo to będzie gadała. Do kolacji wiadomość rozniesie się po całym mieście. Wszyscy, nawet Murzyni, będą o tym wiedzieli przed śniadaniem. Wieczorem na przyjęciu kobiety będą się gromadziły po kątach i szeptały ze sobą cicho i ze złośliwą przyjemnością. Scarlett Butler strącona ze swego wysokiego i potężnego piedestału! Plotka będzie rosła i rosła. Nie było możliwości jej powstrzymać. Ludzie nie poprzestaną na nagim fakcie, że Ashley tulił ją w objęciach, ponieważ płakała. Przed zapadnięciem nocy będą mówili, że została przyłapana na gorącym uczynku. A wszystko to było tak niewinne, tak słodkie! Scarlett myślała z pasją: „Gdyby przyłapano nas podczas jego urlopu na Boże Narodzenie, kiedy mnie całował na pożegnanie - gdyby nas przyłapano w sadzie w Tarze, kiedy go błagałam, aby ze mną uciekł - gdyby nas przyłapano, kiedy byliśmy naprawdę winni, nie byłoby mi tak ciężko. Ale teraz! Teraz! Kiedy obejmował mnie jak przyjaciel...”

Nikt w to jednak nie uwierzy. Nie będzie ani jednej osoby, która by ujęła się za nią, ani jednego głosu, który by powiedział: „Nie, wierzę, że zrobiła coś złego”. Zbyt długo gorszyła starych przyjaciół, aby teraz znaleźć pośród nich obrońców. Nowi przyjaciele, w milczeniu cierpiący jej arogancję, z radością powitają sposobność oczernienia jej. Nie, wszyscy uwierzą we wszystko złe o niej, chociaż będą może żalowali, że człowiek tak dobry jak Ashley Wilkes został wmieszany w tę brudną sprawę. Jak zwykle - potępia przede wszystkim kobietę i zbagatelizują winę mężczyzny. I w tym wypadku będą mieli słuszność. To ona pozwoliła się wziąć w ramiona.

Och, jeżeli trzeba, zniesie afronty, pogardliwe spojrzenia, dwuznaczne uśmiechy, wszystko, co powie miasto - nie zniesie tylko spojrzenia Melanii! Ach, nie! Nie rozumiała, dlaczego to ją obchodziło najwięcej. Była zbyt przerażona i przytłoczona poczuciem dawnych win, aby starać się to sobie wytłumaczyć. Wybuchła jednak płaczem na myśl o tym, co przeżyje Melania, gdy India powie jej, że przyłapała Ashleya całującego Scarlett. I co zrobi Melania, jeżeli uwierzy? Czy opuści Ashleya? Cóż jej innego pozostaje, jeżeli ma jakąkolwiek godność? „I co wtedy zrobię ja i Ashley? - myślała gwałtownie zalewając się łzami. - Och, Ashley umrze ze wstydu i zniechęci mnie za to, co na niego sprowadziłam”. Nagle przestała płakać i śmiertelny strach przeszył jej serce. A Rett? Co zrobi Rett?

Może się nigdy o tym nie dowie. Jakie to było stare, cyniczne przysłowie? „Mąż dowiaduje się o wszystkim ostatni!” Może nikt mu nie powie. Trzeba będzie odważnego człowieka, który by mu o tym powiedział, bo Rett miał opinię, że najpierw strzela, a potem zadaje pytania. O Boże, nie dopuść, aby ktoś był tak odważny i powiedział mu o tym! Przypomniała sobie jednak twarz Archiego w kantorku, jego zimne, bezwzględne, jasne oko, pełne nienawiści do niej i do wszystkich kobiet. Archie nie bał się ani Boga, ani ludzi i nienawidził niewiernych kobiet. Nienawidził ich tak, że jedną zabił. I zapowiedział jej, że powie o wszystkim Rettowi. Powie mu, mimo starań Ashleya, aby go od tego odwieść. Jeżeli Ashley go nie zabije, Archie powie Rettowi, gdyż będzie to uważał za swoją chrześcijańską powinność.

Zdjęła suknię i położyła się na łóżku, a myśli jej krążyły bez przerwy w kółko. Gdybyż tylko mogła zamknąć drzwi i zostać na zawsze w tym bezpiecznym miejscu i nigdy nikogo nie widzieć! Może Rett nie dowie się o tym dzisiaj. Powie mu, że ma ból głowy i że nie może iść na przyjęcie. Do rana wymyśli jakieś usprawiedliwienie, jakąś obronę, która wytrzyma krytykę.

- Nie mogę o tym myśleć teraz - wyszeptała z rozpaczą, kryjąc twarz w poduszce. - Nie będę o tym teraz myślała. Pomyślę później, kiedy mi łatwiej będzie to znieść.

Słyszała, że służba wróciła, kiedy zapadł zmierzch. Wydawało jej się, że zachowują się wyjątkowo cicho, krzątając się przy gotowaniu kolacji. Czy też gryzło ją tylko sumienie? Mammy przyszła pod drzwi i zapukała, ale Scarlett odesłała ją mówiąc, że nie chce kolacji. Czas mijał - wreszcie usłyszała kroki Retta na schodach. Czekwała w napięciu, aż doszedł do hallu na górze, zbierała siły na rozmowę, on jednak przeszedł do swego pokoju. Odetchnęła z ulgą. Nie wiedział o niczym. Bogu niechaj będą dzięki, że uznaje jej prośbę, aby nigdy więcej nie przekraczać progu jej sypialni, bo gdyby teraz ją zobaczył, wyczytałby z jej twarzy wszystko. Musi się wziąć dobrze w garść, aby mu powiedzieć, że źle się czuje i nie pójdzie na przyjęcie. Jeszcze jest czas, aby się uspokoić. Czy też może już za późno? Od owej strasznej chwili przed wieczorem straciła poczucie czasu. Słyszała, że Rett dość długo chodzi po swoim pokoju i czasem odzywa się do Porka. Jeszcze nie miała odwagi go zawołać. Leżała w ciemności na łóżku i drżała.

Po długiej chwili zapukał do drzwi. Starając się opanować głos odpowiedziała: - Wejdz.

- A więc rzeczywiście pozwalasz mi wejść do sanktuarium? - zapytał otwierając drzwi. Było ciemno, nie mogła widzieć jego twarzy. Nie mogła też niczego wywnioskować z jego głosu. Wszedł zamykając za sobą drzwi.

- Czy jesteś gotowa na przyjęcie?

- Przykro mi bardzo, ale boli mnie głowa. - Jakie to dziwne, że głos jej brzmi normalnie! Dzięki Bogu za ciemność! - Nie pójdę chyba do Meli. Ty idź, Rett, i przeproś Melanię w moim imieniu.

Nastąpiła długa pauza, aż wreszcie Rett powoli i zgryźliwie przemówił z ciemności:

- Jakaż z ciebie tchórzliwa, lękliwa samiczka!

Wiedział! Drżała na całym ciele nie mogąc mówić. Słyszała, jak szperał po ciemku, jak potarł zapałkę. Światło zalało pokój. Podszedł do łóżka i popatrzył na nią. Był we fraku.

- Wstań - powiedział bezbarwnym głosem. - Idziemy na przyjęcie. Będziesz się musiała pośpieszyć.

- Och, Rett, nie mogę iść. Widzisz...

- Widzę. Wstań.

- Rett, czy Archie śmiał...

- Archie śmiał. Archie to bardzo odważny człowiek.

- Powinieneś był go zabić za rozsiewanie kłamstw...

- Nie mam zwyczaju zabijać ludzi, którzy mówią prawdę. Nie ma teraz czasu na sprzeczkę. Wstań.

Usiadła na łóżku otulając się szlafrokiem i patrząc badawczo w twarz Retta. Była ciemna i obojętna.

- Nie pójdę, Rett. Nie. mogę, dopóki to... nieporozumienie nie zostanie wyjaśnione.

- Jeżeli nie pokażesz się ludziom dzisiaj, nie będziesz się mogła pokazać do końca życia nikomu w tym mieście. Mogę znieść, że mam za żonę dziewczkę, ale nie zniosę przy sobie tchórza. Pójdiesz dziś na przyjęcie, choćby wszyscy, od Stephensa poczynając, zrobili ci afront, i choćby pani Wilkes wyprosiła nas z domu.

- Rett, pozwól mi wytłumaczyć.

- Nie chcę nic słyszeć. Nie ma już czasu. Włóż suknię.

- Oni nic nie rozumieją - India, pani Elsing i Archie. Tak mnie nienawidzą. India nienawidzi mnie tak bardzo, że gotowa jest opowiadać kłamstwa o własnym bracie, byleby mnie przedstawić w złym świetle. Gdybyś mi się tylko pozwolił wytłumaczyć...

„Och, Matko Przenajświętsza - myślała z rozpaczą - a jeżeli powie: Proszę, wytłumacz się! Co mogę powiedzieć? Jak mu wytłumaczyć?”

- Oni już z pewnością rozpowiedzieli wszystkim te kłamstwa. Nie mogę tam dzisiaj iść.

- Pójdiesz - powiedział - choćbym cię miał tam zaciągnąć za kark i co krok cię kopać w twoje bardzo ponętne pośladki.

W oczach jego czaił się zimny blask, gdy jednym ruchem postawił ją na nogi. Wziął jej

gorset i rzucił go w jej stronę.

- Włóż to. Ja cię zasznurowuję. O tak, umiem to robić. Nie, nie zawołam Mammy, aby ci pomogła, bo gotowa byłabyś zamknąć drzwi na klucz i ukryć się tutaj, jak przystało tchórzowi, którym jesteś.

- Nie jestem tchórzem! - zawołała dotknięta do żywego. - Nie...

- Och, zaoszczędź mi swojej bajeczki o zastrzeleniu Jankesa i stawieniu czoła żołnierzom Shermana. Jesteś tchórzem... na dodatek do innych swoich cnót. Jeżeli nie ze względu na siebie samą, pójdiesz dzisiaj ze względu na Bonnie. Jak mogłaś bardziej jeszcze popsuć jej szansę życiowe? Wkładaj gorset, śpiesz się.

Szybko zrzuciła szlafrok i została w samej tylko koszuli. Gdybyż spojrział teraz na nią i zobaczył, jak ładnie wygląda w koszuli, może by znikł z jego twarzy ten straszny wyraz. Ostatecznie, nie widział jej w koszuli już od bardzo dawna. On jednak nie patrzył na nią. Stał przy szafie i szybko przeglądał jej suknie. Wreszcie zdecydował się i wyjął jej nową suknię z jasnozielonej mory. Była z przodu głęboko wycięta, spódnica zaś udrapowana była na olbrzymiej turniurze, do której przypięty był wielki pęk różowych aksamitnych róż.

- Włóż tę - powiedział rzucając ją na łóżko i podchodząc do Scarlett. - Na dziś nieodpowiednie byłyby skromne tony perłowe lub lila. Sztandar twój musi powiewać dumnie. I nałóż dużo różu. Jestem przekonany, że kobieta, którą faryzeusze przyłapali na cudzołóstwie, była znacznie mniej błada. Odwróć się.

Wziął w ręce sznurowadła gorsetu i ściągnął je tak mocno, że Scarlett krzyknęła, przerażona, upokorzona, zmieszana jego brutalnością.

- Boli, prawda? - Roześmiał się krótko; nie widziała jego twarzy. - Szkoda, że to nie twoja szyja.

Dom Melanii jarzył się światłem ze wszystkich pokojów, a muzykę słyhać było daleko w ulicy. Kiedy zajechali przed front, doszedł ich przyjemny gwar rozbawionych głosów. Dom był przepelniony gośćmi. Zapelniali werandę, a wielu siedziało na ławkach w oświetlonym lampionami ogródka.

„Nie mogę tam wejść, nie mogę - myślała Scarlett siedząc w powozie i szarpiąc zmiętą chusteczkę. - Nie mogę. Nie wejdę. Wskoczę z powozu i ucieknę, dokądkolwiek, do domu, do Tary. Dlaczego Rett mnie zmusił, abym tu przyszła? Jak zachowają się ludzie? Jak zachowa się Melania? Jak będzie wyglądała? Och, nie mogę jej spojrzeć w oczy. Ucieknę”.

Jak gdyby czytając jej myśli, Rett objął ją mocno za ramię i ścisnął tak, że z pewnością zrobił jej sińca. Ścisnął obojętnie, jak człowiek obcy.

- Nigdy dotąd nie widziałem Irlandczyka, który by był tchórzem. Gdzie się podziała

twoja słynna odwaga?

- Rett, proszę cię, pozwól mi wrócić do domu i wszystko ci wytłumaczyć.

- Masz całą wieczność na tłumaczenie się, a tylko tę jedną noc na męczeństwo na arenie. Wsiądź, kochanie, i pozwól mi patrzeć, jak cię lwy będą pożerać. Wsiądź.

W jakiś sposób przeszła przez alejkę; ramię, na którym się opierała, było twarde i mocne jak granit i udzielało jej nieco odwagi. Na Boga, potrafi im się przeciwstawić. Czymże byli więcej niż garstką rozwścieczonych kotów, bardzo o nią zazdrosnych? Już ona im pokaże. Nie dbała o to, co myślą. Jedynie Melania - jedynie Melania...

Byli już na ganku i Rett kłaniał się na prawo i na lewo; trzymał w ręce kapelusz, a głos jego był chłodny i cichy. Kiedy wchodzili, muzyka przestała grać, a gwar głosów, jak się Scarlett zdawało, to wznosił się jak szum morza, to ucichał, stawał się słabszy i nikł. Czy wszyscy zrobią jej afront? No więc, do stu piorunów, niech zrobią! Podniosła twarz i uśmiechnęła się mrużąc oczy.

Zanim mogła zwrócić się z powitaniem do ludzi stojących najbliżej drzwi, ktoś zaczął się przeciskać przez ciżbę. Zapadła dziwna cisza, od której ścisnęło się serce Scarlett. Między rozstępującymi się ludźmi szła Melania, na drobnych nóżkach, które śpieszyły się, śpieszyły, by spotkać Scarlett przy drzwiach, przemówić do niej, zanim przemówi ktokolwiek inny. Wąskie jej plecy były wyprostowane, a mały podbródek podniesiony; wydawało się, że myśli wyłącznie o Scarlett, że Scarlett jest jej jedynym gościem. Podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

- Jaką masz śliczną suknię, kochanie - powiedziała czystym, dźwięcznym głosem. - Czy chciałabyś mi wyświadczyć wielką przysługę? India nie mogła dzisiaj przyjść, aby mi pomagać. Czy zechcesz czynić ze mną honory domu?



## ROZDZIAŁ LIV

Bezpieczna w swoim pokoju, Scarlett rzuciła się na łóżko nie zważając, że zgniecie suknię z mory, turniurę i kwiaty. Przez czas jakiś leżała bez ruchu i myślała tylko o tym, jak z Melanią i Ashleyem przyjmowała gości. Cóż za koszmar! Wolałaby znowu stawie opór żołnierzom Shermana niż powtórzyć tę komedię! Po dłuższej chwili wstała z łóżka i poczęła nerwowo chodzić po pokoju, rozbierając się po trochu.

Zaczęła odczuwać reakcję po tym wysiłku - dostała dreszczy. Szpilki do włosów wysuwały się z jej rąk i spadały na podłogę, a kiedy zaczęła szczotkować włosy, uderzyła się szczotką w skroń. Niezliczoną ilość razy podchodziła na palcach do drzwi i słuchała, czy z dołu nie usłyszy jakiegoś dźwięku, dom jednak był cichy jak przepaść bez dna.

Po przyjęciu Rett odesłał ją do domu samą w powozie, dziękowała więc Bogu za to odwołanie egzekucji. Dotąd jeszcze go nie było. Bogu dzięki, że jeszcze nie wrócił. Nie potrafiłaby go dzisiaj widzieć, pełna wstydu, przerażona, drżąca. Gdzież się jednak podziewał? Prawdopodobnie znowu był u tej dziewczki. Po raz pierwszy w życiu Scarlett była zadowolona, że istnieją osoby pokroju Belli Watling. Zadowolona, że poza domem jest jeszcze jakieś miejsce, gdzie Rett może się schronić, dopóki mu nie przejdzie drwiący, morderczy nastrój. To źle, że była zadowolona, że mąż jej jest w domu prostytutki, ale na to nie miała rady. Byłaby prawie zadowolona, gdyby nie żył, bo znaczyłoby to, że nie potrzebuje go już tej nocy widzieć.

Jutro - no, jutro będzie inny dzień. Jutro pomyśli o jakiejś wymówce, o jakimś przeciw oskarżeniu, o sposobie oszukania Retta.

Jutro wspomnienie tej okropnej nocy nie będzie na niej ciążyło tak mocno, że aż drżała z przejęcia. Jutro przestanie ją może prześladować wspomnienie twarzy Ashleya, jego zdeptanej dumy i jego wstydu - wstydu, który zawdzięczał jej, do którego nie przyczynił się wcale. Czy znienawidzi ją teraz - ukochany jej, pełen honoru Ashley, ponieważ naraziła go na wstyd? Rozumie się, że będzie ją nienawidził - teraz, kiedy uratowała ich tylko dumna postawa Melanii, jej miłość i wyraźna ufność brzmiąca w jej głosie, gdy śpiesząc przez śliską posadzkę objęła Scarlett i przeciwstawiła się ciekawemu, złośliwemu, wrogiemu tłumowi. Jak doskonale Melania zatuszowała skandal nie pozwalając Scarlett oddalać się od swego boku przez cały ten straszny wieczór! Ludzie byli chłodni, trochę zdumieni, ale grzeczni.

Och, jakaż to była hańba - chować się za suknię Melanii przed tymi, którzy jej nienawidzili, którzy ją na sztuki będą rozrywali swoją obmową! Ocalenie zawdzięczać



ślepemu zaufaniu Melanii, właśnie Melanii!

Scarlett zadrżała na tę myśl jak z zimna. Musi się napić czegoś mocnego, bo inaczej nie będzie się mogła położyć i zasnąć. Zarzuciła na siebie szlafrok i szybko weszła do ciemnego hallu, a ranne jej pantofle głośno stukały w ciszy. Była już na półpiętrze, kiedy spojrzawszy na zamknięte drzwi jadalni zobaczyła pod nimi wąski pasek światła. Serce jej zamarło na chwilę. Czy światło paliło się, gdy przyszła do domu, i tylko była zbyt zgnębiona, aby je zauważyć? Czy też to Rett wrócił do domu? Mógł cicho wejść przez drzwi kuchenne. Jeżeli Rett jest w domu, wróci na palcach do łóżka i położy się nic nie pijąc, chociaż koniak bardzo by się jej przydał. Nie będzie wtedy potrzebowała rozmawiać z Rettem. W pokoju swoim będzie bezpieczna, bo zamknie drzwi na klucz.

Pochyliła się, aby zdjąć pantofle i po cichu móc wrócić na górę, kiedy drzwi jadalni otwarły się nagle i ukazał się w nich Rett odcinający się ciemnym konturem na tle oświetlonego pokoju. Wyglądał jak olbrzym, wydawał się większy niż zwykle, stanowił czarną masę bez twarzy, masę chwiejącą się trochę na nogach.

- Niech mi pani zechce dotrzymać towarzystwa, pani Butler - powiedział trochę zachrypniętym głosem.

Był wyraźnie pijany i Scarlett nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie, chociaż potrafił pić bardzo dużo. Zatrzymała się niepewnie, ale nic nie odpowiedziała, gdy nagle Rett podniósł rozkazująco ramię.

- Chodź tutaj, u diabła! - zawołał ostro.

„Musi być bardzo pijany” - pomyślała z mocno bijącym sercem. Zazwyczaj im więcej pił, tym stawał się grzeczniejszy. Drwił częściej, słowa jego stawały się złośliwsze, ale zachowanie było wtedy z reguły niezwykle uprzejme - aż zbyt uprzejme.

„Nie powinnam dać poznać po sobie, że się go boję” - pomyślała Scarlett i owijając się lepiej szlafrokiem zeszła po schodach z wysoko podniesioną głową, głośno stukając obcasami.

Ustał jej z drogi i przepuścił przez drzwi z ukłonem tak szyderczym, że przez chwilę zawahała się, czy wejść. Spozstrzegła, że jest bez marynarki i że ma rozwiązany krawat. Koszulę miał odpiętą; na piersi jego widać było grubą warstwę czarnych włosów. Włosy miał stargane, a oczy nalane krwią i bardzo zwięzione. Na stole paliła się tylko jedna świeca - wąty promyk światła, który rzucał olbrzymie cienie na wysoki pokój i sprawiał, że masywne bufety i kredensy wyglądały jak nieruchome bestie. Obok świecy na srebrnej tacy stała otwarta karafka i kieliszki...

- Siadaj - powiedział ostro, wchodząc za Scarlett do pokoju. Teraz ogarnął ją strach

innego rodzaju, strach, wobec którego poprzednie jej obawy wydały się bardzo błahe. Rett wyglądał, mówił i postępował jak obcy. Miała przed sobą źle wychowanego mężczyznę, którego dotąd nie знаła. Zawsze dotychczas, nawet w najintymniejszych momentach zachowywał się co najwyżej nonszalancko. Nawet w złości był przesadnie uprzejmy i szydery, a trunek zwykle potęgował te jego cechy. Z początku złościło ją to i starała się tę nonszalancję przełamać, szybko jednak przyzwyczaiła się do niej i przyjęła jako rzecz bardzo wygodną. Przez całe lata myślała, że nic go nie może głęboko przejąć, że wszystko w życiu, nawet i ją, traktuje jak ironiczny żart. Teraz jednak przyglądając mu się zza stołu zrozumiała z mdlejącym uczuciem w żołądku, że wreszcie obeszło go coś, obeszło bardzo.

- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś się napić ze mną, skoro jestem już tak źle wychowany, aby teraz być w domu - powiedział. - Czy mam ci nalać?

- Nie chciałam wcale pić - rzekła sztywno. - Usłyszałam jakiś hałas i przyszłam.

- Nic nie słyszałaś. Nie zeszlabyś, gdybyś przypuszczała, że jestem w domu. Siedziałem tutaj i słuchałem, jak miotasz się tam i z powrotem po pokoju. Koniak robi ci bardzo dobrze. Napij się.

- Ja nie...

Wziął karafkę i nalał trunek do kieliszka.

- Weź to - powiedział wsuwając jej kieliszek do ręki. - Drzysz na całym ciele. Och, tylko mi nie zaczynaj udawać. Wiem, że pijesz ukradkiem, i wiem, ile. Od dawna już chciałem ci powiedzieć, abyś zaniechała swoich wymyślnych sztuczek i piła otwarcie, jeżeli masz na to ochotę. Czy sądzisz, że mnie to obchodzi, że lubisz sobie pociągnąć?

Wzięła wilgotny kieliszek, przeklinając Retta w duchu. Czytał w niej jak w książce. Zawsze w niej tak czytał, choć był jedynym człowiekiem na świecie, przed którym chętnie by ukryła swe prawdziwe myśli.

- Wypij to, mówię.

Podniosła kieliszek i wychyliła jego zawartość jednym krótkim ruchem ręki, ze sztywnym przegubem dłoni, jak zwykle Gerald pijał czysty alkohol - wychyliła go, zanim zdążyła pomyśleć, że robi to zbyt fachowo. Gest jej nie uszedł uwagi Retta; jeden kącik ust podniósł mu się w uśmiechu.

- Usiądź! Odbędziemy teraz przyjemną małżeńską rozmówkę na temat eleganckiego przyjęcia, z którego właśnie wracamy.

- Jesteś pijany - powiedziała chłodno - a ja chcę iść spać.

- Bardzo jestem pijany i przed końcem nocy upiję się jeszcze bardziej. Ty jednak nie pójdziesz spać... jeszcze nie. Siadaj.

W głosie jego słyhać było jeszcze pewne ślady zwykłego przeciągania, ale pod słowami Scarlett wyczuwała gwałtowność, która przeciskała się na powierzchnię, gwałtowność tak ostrą jak smaganie batem. Stała niezdecydowana, gdy nagle Rett zbliżył się do niej i objął ją za ramię bolesnym uściskiem. Szarpnął nią, więc krzyknąwszy z bólu szybko usiadła. Teraz bała się wyraźnie, więcej niż kiedykolwiek w życiu. Kiedy pochylił się nad nią, spostrzegła, że twarz jego jest ponura i zaczerwieniona, a oczy jeszcze ciągle błyszczą przerażająco. W głębi ich kryło się coś, czego nie mogła odczytać, nie mogła zrozumieć, coś mocniejszego od gniewu, od bólu, coś, co go tak męczyło, że oczy zaczęły mu się żarzyć czerwono, jak rozpalone węgle. Patrzył na nią długo, tak długo, że spuściła zuchwały wzrok. Wtedy siadł na krześle naprzeciw niej i nalał sobie nowy kieliszek. Zaczęła szybko myśleć, starając się wytyczyć sobie jakąś linię obrony. Póki Rett milczał, nie będzie wiedziała, co powiedzieć, bo nie wiedziała dokładnie, o co ją zamierza oskarżyć.

Rett pił powoli, patrząc znad kieliszka, na Scarlett, ona zaś starała się opanować nerwowość, powstrzymać drżenie. Przez jakiś czas nie zmieniał wyrazu twarzy, wreszcie jednak roześmiał się, wciąż jeszcze nie spuszczać wzroku; słysząc jego śmiech drgnęła nerwowo.

- To była bardzo wesoła komedia dziś wieczorem, prawda?

Nic nie odrzekła, tylko ścisnęła palce nóg w za luźnych pantoflach, aby choć w ten sposób opanować drżenie.

- Przyjemna komedia, w której wszystkie role były obsadzone. Miasteczko zgromadziło się, aby ukamienować zbłąkaną kobietę, skrzywdzony mąż podtrzymywał żonę, jak przystało na dżentelmena, skrzywdzona żona wtrącała się z chrześcijańskim miłosierdziem i zarzuciła na wszystko płaszcz swojej nieskazitelnej reputacji. A kochanek...

- Proszę cię.

- Nie prosz mnie. Nie dzisiaj. To jest zbyt zabawne. A kochanek wyglądał jak ostatni głupiec i życzył sobie nagłej śmierci. Co czułaś, moja droga, gdy kobieta, której nienawidzisz, osłaniała ciebie i twoje grzechy? Siadaj.

Usiadła.

- Zdaje mi się, że wcale jej dlatego więcej nie lubisz. Głowisz się nad tym, czy ona wie wszystko o tobie i Ashleyu. Zastanawiasz się, po co to zrobiła, jeżeli wie - czy dlatego, aby siebie osłonić? I myślisz, iż głupia jest, że to zrobiła, chociaż uratowała twoją skórę, ale...

- Nie będę tego słuchała...

- Owszem, będziesz. A powiem ci jeszcze i to na pocieszenie. Pani Mela jest może głupia, ale inaczej głupia niż sądzisz. Nie ulega wątpliwości, że ktoś jej o wszystkim

powiedział, nie uwierzyła jednak. Nawet gdyby widziała na własne oczy, jeszcze by nie wierzyła. Zbyt wiele posiada honoru, aby mogła pojąć dyshonor osób, które kocha. Nie wiem, jakie kłamstwo wymyślił Ashley Wilkes, ale nawet najmniej zręczne wystarczyło, bo Melania kocha Ashleya i kocha ciebie. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego cię kocha, ale to fakt. Niechaj to będzie twoim krzyżem.

- Gdybyś nie był pijany i zuchwały, wytłumaczyłabym ci wszystko - powiedziała Scarlett odzyskując trochę godności. - Teraz jednak...

- Nie interesują mnie twoje wyjaśnienia. Znam prawdę lepiej, niż ty sama. Na Boga, jeżeli wstaniesz z tego miejsca raz jeszcze... A więcej nawet od dzisiejszej komedii, bawi mnie to, że w tym samym czasie, kiedy tak cnotliwie odmawiałaś mi przyjemności łóżka z powodu moich licznych grzechów, w sercu swym pożądałaś Ashleya Wilkesa. „Pożądałaś w sercu”. To dobre określenie, prawda? W księdze tej jest wiele dobrych określeń, co?

„W jakiej księdze? W jakiej księdze?” - powtarzała w myśli głupio, bez związku, rozglądając się w popłochu po pokoju, zauważając, jak matowo lśni srebro w bladym świetle - jak przerażająco ciemne są kąty.

- Zostałem wygnany, ponieważ moje grubiańskie zapęły zbyt raziły twoją delikatność, ponieważ nie chciałaś więcej dzieci. Jakże mnie to ubodło, drogie serce! Jakże mnie to dotknęło! Wyszedłem więc i znalazłem pocieszenie, a ciebie pozostawiłem samą, abyś mogła cieszyć się swoją delikatnością. Tyś jednak czas ten spędziła na napastowaniu cierpliwego pana Wilkesa. Niechże go diabeł porwie, czegoż mu brak? Ani nie potrafi być wierny swojej żonie myślami, ani niewierny czynem. Dlaczego się nie decyduje? Nie miałyś nic przeciw temu, żeby rodzić jego dzieci - i przedstawiać je jako moje, prawda?

Z krzykiem porwała się na równe nogi. On także wstał z krzesła śmiejąc się tym cichym śmiechem, który ją mroził. Pchnął ją dużymi ciemnymi dłońmi z powrotem na krzesło i pochylił się nad nią.

- Popatrz na moje ręce, moja droga - powiedział zginając je przed jej oczyma, - Mógłbym cię bez trudu rozerwać nimi na kawałki i zrobiłbym to, gdyby to mogło wymazać Ashleya z twoich myśli. Nie wymazałoby jednak. Sądzę więc, że usunę go na zawsze z twojej duszy w taki oto sposób: położę ręce, ot tak, na twojej głowie, i zgmiotę twoją czaszkę jak orzech laskowy.

Ręce jego znalazły się na jej głowie, pod jej rozpuszczonymi włosami, pieszczotliwe, mocne - odwrócił jej twarz ku sobie. Patrzyła w oblicze nieznanego, pijanego człowieka o miękkim głosie. Nigdy nie brakło jej odwagi, teraz więc w obliczu niebezpieczeństwa krew zagrała szybciej w jej żyłach, plecy wyprostowały się, oczy zwięzły.

- Ty pijany głupcze - powiedziała. - Puść mnie w tej chwili.

Ku jej zdziwieniu puścił ją i siadając na brzegu stołu, nalał sobie znowu kieliszek koniaku.

- Zawsze podziwiałem twoją odwagę, moja droga. Najbardziej zaś podziwiam ją teraz, gdy jesteś osaczona.

Owinęła się lepiej szlafrokiem. Och, gdybyż mogła się tylko dostać do swego pokoju, przekręcić klucz w zamku mocnych drzwi i zostać sama! Musiała jednak przeciwstawić się Rettowi, dopiec mu tak, aby jej uległ - ten nowy Rett, którego dotąd nie знаła. Wstała bez pośpiechu, mimo że kolana pod nią drżały, i odrzuciła włosy z twarzy.

- Nie jestem osaczona - powiedziała dobitnie. - Nie potrafisz mnie nastraszyć, Recie Butler, ani przyprzeć do muru. Nie jesteś niczym więcej jak tylko pijanym chamem, który tak długo przebywał w towarzystwie dziewczek, że rozumie tylko podłość. Nie potrafisz zrozumieć Ashleya ani mnie. Zbyt długo żyłeś w brudzie, aby znać coś więcej. Jesteś zazdrosny o coś, czego nie możesz pojąć. Dobranoc.

Odwróciła się obojętnie i poszła w stronę drzwi, gdy zatrzymał ją wybuch śmiechu. Obejrzała się - Rett szedł zataczając się w jej stronę. Na miłość boską, gdybyż tylko przestał się śmiać tak strasznie! Cóż śmiesznego było w tym wszystkim? Kiedy zbliżył się ku niej, zaczęła cofać się do drzwi i wreszcie oparła się o ścianę. Położył jej dłonie na ramionach.

- Przestań się śmiać.

- Śmieję się, ponieważ bardzo mi cię żal.

- Żal ci mnie? Lituj się raczej nad sobą.

- Tak, na Boga, żal mi ciebie, moja droga, śliczna, głupia istotko. To boli, prawda? Nie znosisz ani śmiechu, ani litości, prawda?

Przestał się jednak śmiać i tak mocno oparł się o jej ramiona, że aż ją zaboląły. Twarz jego zmieniła wyraz - pochylił się nad nią tak nisko i cuchnął tak silnie wódką, że musiała odwrócić głowę.

- Zazdrosny jestem, mówisz? - powiedział. - I czemu nie miałbym być zazdrosny? O tak, jestem zazdrosny o Ashleya Wilkesa. Czemu nie? Och, nie staraj się nic mówić ani tłumaczyć. Wiem, że byłaś mi fizycznie wierna. Czy to chciałaś powiedzieć? Och, wiem o tym od dawna. Przez wszystkie te lata. Skąd wiem? Ot, znam po prostu Ashleya Wilkesa i jemu podobnych. Wiem, że ma honor i że jest dżentelmenem. A to, moja droga, jest więcej, niż mogę powiedzieć o tobie - czy o sobie. My nie jesteśmy dżentelmenami i nie mamy honoru, prawda? Dlatego pełnimy się jak chwasty.

- Puść mnie stąd. Nie chcę tu stać i znosić twych obelg.

- Nie obrażam cię wcale. Wystawiam twoją fizyczną wierność. Ale mimo to nie zdołałaś mnie oszukać ani na chwilę. Uważasz mężczyzn za koronowanych głupców, Scarlett. Źle się wychodzi na niedocenianiu siły i inteligencji przeciwnika. A ja nie jestem głupi. Czy wydaje ci się, że nie wiem, jak leżąc w moich objęciach wyobrażałaś sobie, że jestem Ashleyem Wilkesem?

Otworzyła usta ze zdumienia, przerażenie malowało się jasno na jej twarzy.

- To rzecz niezwykle przyjemna. Raczej nawet niesamowita. To tak, jak gdyby troje leżało w łóżku, w którym jest miejsce na dwoje. - Potrząsnął bardzo łagodnie jej ramionami, czknął i uśmiechnął się drwiąco.

- O tak, byłaś mi wierna, bo Ashley ciebie nie chciał. Ale, u diabła, użyczyłbym mu twego ciała. Wiem, że niewiele znaczą ciała, zwłaszcza ciała kobiet. Nie użyczam mu jednak twego serca i twojej twardej, bezwzględnej, drogiej mi duszy. On nie chce twojej duszy, głupiec, ja zaś nie chcę twego ciała. Mogę mieć kobiet, ile zechcę. Pragnę jednak duszy twojej i twego serca - i nigdy ich nie będę miał, tak samo jak ty nigdy nie posiadasz duszy Ashleya. I dlatego żal mi ciebie.

Mimo zdumienia i przerażenia, dotknęła ją ironia w jego głosie.

- Żal ci mnie?

- Tak, żal mi ciebie, bo jesteś wielkim dzieckiem, Scarlett. Dzieckiem, które płacze, bo chce mieć księżyc. Cóż by zrobiło z księżycem, gdyby go dostało? I cóż byś ty poczęła z Ashleyem? Tak, żal mi ciebie - żal mi, że odrzucasz obiema rękami szczęście i gonisz za czymś, co nigdy ci szczęścia nie da. Żal mi cię, bo jesteś tak głupia, że nie wiesz, iż szczęście może być tylko tam, gdzie łączy się ze sobą dwoje podobnych istot. Gdybym ja umarł, gdyby pani Mela umarła i ty mogłabyś wreszcie mieć swego honorowego kochanka, czy sądzisz, że byłabyś z nim szczęśliwa? Nie. Nie! Nie poznałabyś go nigdy, nie wiedziałabyś, o czym myśli, nigdy byś go nie rozumiała, tak samo jak nie rozumiesz muzyki, poezji, książek czy innych rzeczy - poza pieniędzmi. Podczas gdy my, droga wybranko mego serca, mogliśmy byli być idealnie szczęśliwi, gdybyś to umożliwiła, bo jesteśmy bardzo do siebie podobni. Jesteśmy parą łajdaków, Scarlett, i nie cofamy się przed niczym, jeżeli czegoś bardzo chcemy. Mogliśmy byli żyć szczęśliwie, bo kochałem cię i znam cię, Scarlett, na wylot, tak dokładnie, jak Ashley cię wcale znać nie może. Gardziłby tobą, gdyby cię znał... Ale ty, ty wolałaś przez całe swoje życie gonić za człowiekiem, którego nie możesz zrozumieć. Ja zaś, moje kochanie, będę w dalszym ciągu gonił za dziewczkami. Przy tym wszystkim będziemy żyli ze sobą lepiej niż większość małżeństw.

Puścił ją nagle i znowu chwiejnie podszedł ku karafce. Przez chwilę Scarlett stała jak

skamieniała, a myśli krążyły jej po głowie tak szybko, że żadnej nie mogła uchwycić, nad żadną zastanowić się dłużej. Rett powiedział, że ją kochał. Czy mówił serio? Czy był tylko pijany? Czy może znowu żartował? A Ashley - księżyc - płakać za księżycem... Wybiegła szybko do ciemnego hallu uciekając, jak gdyby ścigały ją demony. Och, gdybyż mogła się dostać do swego pokoju! Wykręciła sobie kostkę i pantofel zsunął jej się z nogi. Kiedy zatrzymała się na chwilę, aby go zrzucić zupełnie, Rett biegnąc lekko jak Indianin dogonił ją w ciemności. Poczula na twarzy jego gorący oddech i ręce, które objęły ją brutalnie, odchyliły szlafrok i przyłgnęły do gołego ciała.

- Zmusiłaś mnie do wyjścia na miasto, a sama goniłaś za nim. Ale, na Boga, dzisiejszej nocy w moim łóżku będzie nas tylko dwoje!

Wziął ją na ręce i zaczął iść po schodach na górę. Głowa jej przyciśnięta była do jego piersi - słyszała mocne uderzenia jego serca. Uścisk ten sprawiał jej ból, krzyknęła więc, ogłuszona, przerażona. Szedł ciągle w górę w zupełnej ciemności, w górę, w górę, ona zaś była oszalała ze strachu. Był obcy, szalony, wrogie ciemność była groźna, czarna, ciemniejsza od śmierci. Był jak śmierć, kiedy ją tak niósł w gniołącym uścisku. Znow krzyknęła, przyduszona, więc nagle zatrzymał się na półpiętrze i odwracając ją szybko ku sobie pochylił się nad nią i pocałował dziko i tak zachłannie, że ze świadomości jej znikło wszystko poza ciemnością, w którą zapadła, i jego ustami na jej ustach. Drżał, jak gdyby wstrząsał nim ostry wiatr, i usta jego wędrując z warg Scarlett w dół po jej ciele wpijały się w nią gwałtownie. Mruczał jakieś słowa, których nie rozumiała, wargi jego budziły w niej nie znane dotąd dreszcze. Była ciemnością i on był ciemnością i nigdy nic nie istniało do owej chwili, tylko ciemność i błędzące po jej ciele jego wargi. Chciała coś powiedzieć, ale usta jego znowu znalazły się na jej ustach. Nagle przeszył ją dreszcz szalony, jakiego nigdy dotąd nie zaznała; była to radość, strach, szaleństwo, podniecenie, poddanie ramionom zbyt silnym, wargom zbyt twardym, przeznaczeniu, które szło zbyt szybko. Po raz pierwszy w życiu zetknęła się z kimś czy z czymś, co było silniejsze od niej, z kimś, kogo nie mogła złamać ani zastraszyć, kimś, kto ją złamał. Ramionami otoczyła jego szyję i wargi jej zaczęły drżeć pod dotknięciem jego warg. Szli znowu w górę, w górę, w ciemność - w ciemność miękką, kołującą, ogarniającą wszystko.

Kiedy zbudziła się następnego ranka, Retta nie było, i gdyby nie zgnieciona poduszka, mogłaby pomyśleć, że zdarzenia minionej nocy były szalonym, niedorzecznym snem. Zacerwieniła się na ich wspomnienie i podciągając kołdrę aż po szyję, leżała w świetle słonecznym, starając się uporządkować bezładne wrażenia.

Dwie rzeczy uderzyły ją najwięcej. Żyła od wielu lat z Rettem, spała z nim, jadła,

klóciła się - urodziła mu dziecko - a przecież nie znała go dotąd. Człowiek niosący ją po ciemnych schodach był nieznanym, którego istnienia nie podejrzewała. Teraz zaś, chociaż chciała go nienawidzić, chociaż chciała się oburzać, nie mogła. Upokorzył ją, poniżył, brutalnie posiadał tej dzikiej, szalonej nocy, ona zaś przyjęła to z zachwytem.

Och, powinna się była wstydzić, powinna była odwrócić się ze wstrętem od samych wspomnień tej gorącej kołującej ciemności! Dama, prawdziwa dama nie może nieść głowy wysoko po takiej nocy. Silniejsze od wstydu było jednak wspomnienie zachwytu, upojenia oddaniem. Po raz pierwszy w życiu poczuła namiętność tak pochłaniającą i prymitywną jak strach, którego doznała w noc

ucieczki z Atlanty, tak mdląco-słodką jak zimna nienawiść, z którą zabiła Jankesa.

Rett kochał ją! W każdym razie powiedział, że ją kochał, a jakże mogła teraz o tym wątpić? Jakie to dziwne, zdumiewające - jakie nieprawdopodobne, że kochał ją ten namiętny nieznajomy, z którym żyła dotąd w takim chłodzie. Nie była pewna, jak przyjąć tę rewelację, ale nagle roześmiała się na głos, bo przyszła jej nowa myśl do głowy. Kochał ją, więc wreszcie miała go w swej mocy. Prawie już zapomniała o pragnieniu zmuszenia go do miłości, aby mogła trzymać bat nad jego czarną zuchwałą głową. Teraz przypomniała sobie o tym z wielką radością. Przez jedną noc miała ją w swojej władzy, ale teraz znała już słaby punkt jego zbroi. Odtąd zacznie nim kierować, jak zechce. Dość długo znosiła już jego kpiny, ale teraz on będzie tańczył, jak mu ona zagra.

Kiedy pomyślała, że zobaczy go twarzą w twarz w trzeźwym świetle dnia, ogarnęło ją nerwowe zakłopotanie, w którym była takie niepokojąca przyjemność.

„Jestem zażenowana jak panna młoda - pomyślała. - I to z powodu Retta!” I na tę myśl zaczęła nerwowo chichotać.

Ale Rett nie zjawił się do obiadu i nie było go przy stole na kolacji. Przyszła noc, długa noc, podczas której czuwała do świtu wyteżając słuch, czy nie usłyszy szczęku jego klucza w zamku. Nie przyszedł jednak. Kiedy drugi dzień minął bez wiadomości od niego, omal nie oszalała z rozczarowania i strachu. Przeszła koło banku, ale i tam go nie było. Poszła do sklepu i bardzo opryskliwie traktowała wszystkich, bo ilekroć otwierały się drzwi przed klientem, podrywała się z miejsca spodziewając się, że to Rett. Poszła do składu i tak zbeształa Hugona, że skrył się wreszcie za stosem desek. Ale Rett i tam się nie zjawił.

Nie mogła się upokorzyć tak bardzo, aby pytać znajomych, czy go nie widzieli. Nie mogła dopytywać się o niego służby. Czuła jednak, że wiedzą coś więcej niż ona. Murzyni zawsze o wszystkim wiedzieli. Mammy była przez te dwa dni niezwykle milcząca. Przyglądała się Scarlett spod oka i nic nie mówiła. Kiedy i druga noc minęła, Scarlett



postanowiła zawiadomić policję. Może zdarzył mu się jakiś wypadek, może spadł z konia i leżał teraz bezradnie w jakimś rowie. Może - och, co za potworna myśl! - może nie żył...

Następnego ranka, gdy zjadła śniadanie i wkładała w swoim pokoju kapelusz, usłyszała na schodach szybkie kroki. Opadła na łóżko, słaba ze wzruszenia - Rett wszedł do pokoju. Był świeżo ogolony, ostrzyżony, wymasowany i zupełnie trzeźwy, chociaż oczy miał nabiegłe krwią, a twarz obrzękłą z przepicia. Skinął do niej obojętnie ręką i powiedział: - Jak się masz?

Jak może człowiek mówić: „Jak się masz?”, kiedy bez usprawiedliwienia znikł na dwa dni? Jak może być tak nonszalancki po takiej nocy? Nie może - chyba że - chyba że - straszna myśl zaświtała jej w głowie. Chyba że noce takie są dla niego sprawą zwykłą. Na chwilę zaniemówiła zapominając o ślicznych gestach i słowach, które miała mu zamiar powiedzieć. Nie podszedł nawet do niej, aby ją obojętnie pocałować, ale stał patrząc na nią z drwiącym uśmiechem, trzymając w dłoni zapalone cygaro.

- Gdzie... gdzieś ty był?

- Nie mów mi, że nie wiesz! Przypuszczałem, że teraz wie o tym całe miasto. Może zresztą wiedzą wszyscy prócz ciebie. Znasz chyba stare przysłowie: „Żona dowiaduje się o wszystkim ostatnia”?

- Co masz na myśli?

- Przypuszczałem, że po najściu policji na lokal Belli przedwczoraj w nocy...

- Belli... tej... tej kobiety. Byłeś u tej...

- Oczywiście. Gdzież mogłem być! Mam nadzieję, że nie niepokoiłaś się o mnie.

- Poszedłeś ode mnie do... och!

- No, no, Scarlett... Przestań udawać zazdrosną żonę. Wiedziałaś chyba od dawna o Belli.

- Poszedłeś do niej ode mnie, po... po...

- Ach, to... - Zrobił niedbały gest. - Straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam cię za moje zachowanie. Byłem bardzo pijany, jak zapewne pamiętasz, i zupełnie oszołomiony twoimi wdziękami... czy mam je wyliczyć?

Chciała nagle zapłakać, położyć się na łóżku i płakać bez końca. Nie zmienił się wcale, nic się nie zmieniło, była głupią, śmieszna, zarozumiała gęsią myśląc, że Rett ją kocha. Wszystko to było jednym z jego wstrętnych, pijanych żartów. Wziął ją i posiadał po pijanemu jak byle dziewczkę z domu Belli. A teraz wrócił, arogancki, ironiczny, niedostępny. Przełknęła łzy i opanowała się. Nigdy, nigdy nie powinien się dowiedzieć, co się w niej działo! Jakżeby się śmiał, gdyby wiedział! A więc nie dowie się nigdy. Spojrzała na niego szybko i zauważyła

jego dawny, niepokojący, badawczy błysk w oczach - przenikliwy, ostry, jak gdyby czekał na następne jej słowa, jak gdyby miał nadzieję, że będą - czego się właściwie spodziewał? Że wystawi się na pośmiewisko i rozplacze, aby znowu się z niej śmiał? Nigdy! Skośne jej brwi zmarszczyły się chłodno.

- Podejrzewałam, oczywiście, jakie stosunki łączą cię z tą kreaturą.

- Tylko podejrzewałaś? Dlaczego nie spytałaś mnie wprost i nie zaspokoilaś swojej ciekawości? Powiedziałbym ci o tym od razu. Żyję z nią od dnia, gdy postanowiłaś z Ashleyem Wilkesem, że mamy mieć oddzielne sypialnie.

- Masz czoło przyznawać się przede mną, twoją żoną, że...

- Och, zaoszczędź mi swego świętego oburzenia. Nigdy nie dbałaś o to, co robię, byleby mi płacił rachunki. I wiesz dobrze, że ostatnio nie zachowywałem się „poprawnie”. A co się tyczy tego, czy jesteś moją żoną - nie byłaś nią od czasu urodzenia Bonnie, prawda? Byłaś złą lokatą kapitału, Scarlett. Bella jest znacznie lepszą.

- Lokatą kapitału? Chcesz powiedzieć, że dałaś jej?...

- „Urządziłem ją”, należałoby chyba powiedzieć. Bella jest dzielną kobietą. Chciałem, żeby do czegoś doszła. Potrzebne jej były tylko pieniądze na założenie własnego przedsiębiorstwa. Powinnaś dobrze wiedzieć, jakich cudów może dokonać kobieta, która ma trochę gotówki. Spójrz na siebie.

- Porównujesz mnie z...

- Jesteście obydwie doskonałymi kupcowymi, dobrze wam się wiedzie. Bella ma, oczywiście, pewną wyższość nad tobą, bo jest dobrą, poczciwą istotą...

- Czy zechcesz opuścić ten pokój?

Poszedł w kierunku drzwi z jedną brwią kpiąco wzniesioną. Jakże mógł ją tak obrażać, myślała z wściekłością i bólem. Starał się wszystkimi siłami dotknąć ją i poniżyć. Wiła się ze złości, kiedy pomyślała, jak cieszyła się na jego powrót, a on przez cały ten czas upijał się i robił burdy z policją u Belli.

- Wyjdź z tego pokoju i więcej nie wracaj. Powiedziałam ci to już raz, tyś jednak nie miał dość ambicji, by to zrozumieć. Odtąd będę zamykała drzwi.

- Nie fatyguj się.

- Zamknę je. Po twoim ostatnim zachowaniu się, kiedy byłeś tak pijany, tak wstrętny...

- Co też ty mówisz, kochanie! Chyba nie wstrętny?

- Wyjdź stąd.

- Nie unoś się. Wyjdę. I przyrzekam ci, że już nigdy nie będę cię niepokoił. To ostateczne postanowienie. A jeżeli moje haniebne postępowanie wydaje ci się nieznośne,

chętnie dam ci rozwód. Daj mi Bonnie. a pozwolę ci odejść.

- Nie mam zamiaru kompromitować rodziny rozwodem.

- Skompromitowałabyś ją jednak bardzo szybko, gdyby na przykład pani Mela umarła, prawda? W głowie mi się kręci, gdy pomyślę, jak szybko byś się ze mną rozwiodła.

- Kiedy wreszcie pójdziesz?

- Już idę. Przyszedłem do domu, żeby ci to właśnie powiedzieć. Wyjeżdżam do Charlestonu, Nowego Orleanu i... och, w dość długą podróż. Wyjeżdżam dziś.

- Och!

- I zabieram ze sobą Bonnie. Każ tej głupiej Prissy zapakować jej fatalaszki. Prissy także zabieram.

- Nie pozwolę ci zabrać z domu mego dziecka.

- To także i moje dziecko, pani Butler. Z pewnością nie masz chyba nic przeciwko temu, abym ją zabrał do Charlestonu do babci?

- Do babci, aha! Czy przypuszczasz, że dam ci dziecko, kiedy będzie się z pewnością co wieczór upijał i zabierał ją do takich domów jak Belli...

Rzucił cygaro tak gwałtownie, że wypaliło dziurę w dywanie, a zapach przypalonej wełny rozszedł się w powietrzu. W jednej chwili przeszedł przez pokój i dopadł do niej z pasją, zmieniony na twarzy.

- Gdybyś była mężczyzną, zabiłbym cię za to. Ponieważ jesteś kobietą, mówię ci, abys wreszcie przestała gadać. Czy wydaje ci się, że nie kocham Bonnie, że zabrałbym ją, moją córkę, dokąd? Ty idiotko! A co się tyczy ciebie i twojego udawania odpowiedzialnej matki, to przecież kotka jest lepszą matką niż ty! Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś dla dzieci? Wade i Ella boją się ciebie śmiertelnie i gdyby nie Melania, nie wiedzieliby wcale, co to miłość i czułość. Ale Bonnie, moja Bonnie! Czy przypuszczasz, że nie potrafię się nią lepiej zajmować niż ty? Czy przypuszczasz, że pozwolę ci kiedykolwiek gniewać się na nią i zahukać ją tak, jak zahukałaś już Wade'a i Ellę? Na Boga, nie! Każ ją zapakować i niech będzie za godzinę gotowa, bo inaczej, uprzedzam cię, że to, co zdarzyło się owej nocy, będzie drobnostką w porównaniu z tym, co zrobię dzisiaj. Zawsze uważałem, że dobre cięgi zrobiłyby ci doskonale.

Odwrócił się na pięcie, zanim zdążyła odpowiedzieć, i szybko wyszedł z pokoju. Słyszała, jak przeszedł przez hali w stronę dziecinnego pokoju i otworzył drzwi. Rozległo się radosne trio dziecinnych głosików, w którym zagórował wreszcie głos Bonnie.

- Tatusiu, gdzieś ty był?

- Zarabiałem na chlebek dla mojej małej Bonnie. Daj buzi tatusiowi, Bonnie, i ty także,

Ellu



## ROZDZIAŁ LV

Kochanie, nie chcę żadnych wyjaśnień i nie mam ich zamiaru słuchać - powiedziała Melania stanowczo, zamykając małą dłonią usta Scarlett. - Obrażasz samą siebie, Ashleya i mnie, jeżeli sądzisz, że między nami potrzebne są jakieś wyjaśnienia. Przecież my troje byliśmy... byliśmy jak żołnierze walczący przez tyle lat razem przeciw światu! Wstyd mi, że możesz sądzić, iż głupie plotki mogłyby nas kiedykolwiek poróżnić. Czy zdaje ci się, że uwierzyłabym, że ty i mój Ashley... Co to w ogóle za pomysł. Czy nie wiesz o tym, że znam cię lepiej niż ktokolwiek w świecie? Czy przypuszczasz, że zapomniałam o tych pięknych, szlachetnych rzeczach, które zrobiłaś dla Ashleya, dla mnie i dla Beau... od uratowania mi życia poczynając, na uratowaniu mnie od nędzy kończąc? Czy sądzisz, że mając w pamięci, jak chodziłaś za pługiem prawie boso i z rękami w pęcherzach, abym ja z moim dzieckiem miała co jeść, mogłabym uwierzyć w tak brzydkie rzeczy o tobie? Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, Scarlett. Ani słowa.

- Ale... - zaczęła Scarlett i przerwała.

Rett wyjechał przed godziną zabierając Bonnie i Prissy i teraz rozpacz dołączyła się do wstydu i upokorzenia Scarlett. Dodatkowy ciężar winy jej wobec Ashleya i obrony ze strony Melanii był już nie do zniesienia. Gdyby Melania uwierzyła Archiemu i Indii, zrobiła jej afront na przyjęciu czy choćby chłodno ją przywitała, mogłaby głowę nieść wysoko i nawet bronić się każdą dostępną jej bronią. Teraz jednak wobec świadomości, że Melania uratowała ją od ruiny towarzyskiej, że opowiedziała się przy niej z ufnością i wyzwaniem w oczach - nie pozostawało jej nic innego do zrobienia, jak wyznać uczciwie wszystko. Tak, wyznać wszystko po kolei, od owych dawno minionych początków na ganku w Tarze.

Szarpał nią głos sumienia, który, choć dawno przytłumiony, potrafił się jeszcze budzić - głos sumienia prawdziwej katoliczki. „Wyznaj swoje grzechy i odpokutuj za nie w smutku i skrusze” - mawiała Ellen po setki razy. W tej więc przełomowej chwili nauki Ellen odżyły Scarlett w pamięci i zaczęły ją gnębić. Wyzna wszystko - tak, wszystko, każde spojrzenie i słowo, tych kilka pocałunków - i wtedy Bóg ułagodzi jej cierpienie i przywróci spokój. A pokutą dla niej będzie widok twarzy Melanii, serdecznej i pełnej ufności, teraz przybierającej wyraz niedowierzania, wstrętu i zgrozy. „Ach, to zbyt ostra pokuta - myślała z rozpaczą - do końca życia przypominać sobie twarz Melanii, wiedzieć, że Melania zna całą moją podłość, złość, dwulicowość i hipokryzję”.

Niegdyś myśl o szyderczym rzuceniu prawdy w twarz Melanii, o zburzeniu ułudy jej

szczęścia podniecała ją, wydawała jej się gestem wartym nawet późniejszych przykrości. Teraz jednak wszystko zmieniło się przez noc i niczego nie pragnęła mniej. Dlaczego tak się stało - nie wiedziała. Zbyt wielki panował w niej zamęt sprzecznych myśli, aby mogła się w nich rozeznaczyć. Wiedziała tylko, że podobnie jak dawniej pragnęła, aby matka uważała ją za skromną, dobrą i czystą, tak teraz namiętnie chciała zachować dobre mniemanie Melanii o sobie. Wiedziała, że nie zależy jej na tym, co sobie o niej myśli świat czy nawet Ashley lub Rett, ale że pragnie serdecznie, aby Melania nie zmieniła o niej zdania.

Bała się powiedzieć Melanii prawdę, ale instynkt uczciwości nie dawał jej spokoju, nie pozwalał na przedstawienie się w fałszywym świetle kobiecie, która jej zawsze broniła. Pobiegła więc do niej rano, natychmiast po wyjeździe Retta i Bonnie.

Po pierwszych jednak słowach, które zdołała wybełkotać. - Melu, muszę ci wytłumaczyć, co zaszło owego wieczora - Melania przerwała jej gwałtownie. Scarlett patrząc ze wstydem w ciemne, oczy, które płonęły miłością i gniewem, wyczuła z zawodem, że nigdy nie zazna spokoju i ukojenia, jakie daje spowiedź. Melania pierwszymi już słowami uniemożliwiła jej wyznanie. Scarlett uświadomiła sobie - i było to jednym z jej nielicznych przeblysków dojrzałości, że wyznanie z głębi jej umęczonego serca byłoby czystym egoizmem. Pozbyłaby się swego brzemienia i złożyłaby je na osobę niewinną i ufą. Winna była Melanii wdzięczność za obronę i dług swój spłacić mogła wyłącznie milczeniem. Jakaż okrutną ceną byłoby zrujnowanie życia Melanii niepożądanym wyznaniem, że mąż nie jest jej wierny i że winę za to ponosi jej ukochana przyjaciółka!

„Nie mogę jej tego powiedzieć - myślała z rozpaczą. - Nigdy, choćby sumienie miało mnie zabić”. Przypomniała sobie bez związku pijaną uwagę Retta: „Melania nie może pojąć podłości w osobach, które kocha... niechaj to będzie twoim krzyżem”.

Tak, to będzie jej krzyżem aż do śmierci - że udrękę tę będzie dusiła w sobie, że będzie nosiła tę włosiennicę wstydu, że będzie odczuwała jej ucisk przez długie lata za każdym czułym spojrzeniem czy gestem Melanii, że zawsze będzie musiała dławić w sobie chęć zawołania: „Nie bądź taka dobra! Nie broń mnie! Nie jestem tego warta!”

„Gdybyś ty nie była taką gąską, taką słodką, ufą, prostolinijną gąską, nie byłoby mi tak ciężko - myślała ponuro. - Dźwigałam już na sobie wielkie ciężary, ten jednak będzie najcięższy i najbardziej gorzki ze wszystkich”.

Melania siedziała naprzeciw niej w niskim fotelu, a stopy opierała o tak wysoki taboret, że kolana sterczały jej wysoko - było to najlepszym dowodem jej podniecenia, bo inaczej nigdy by nie usiadła w tak nieprzyzwoitej pozycji. W ręku trzymała rozpoczęty pas koronkowych ząbków i poruszała lśniącem szydełkiem tak wściekle, jakby to był rapier do

pojedyńku.

Gdyby Scarlett była w równym stopniu oburzona, tupałaby nogami i wrzeszczała jak Gerald w swoich najlepszych chwilach, przywoływałaby Boga na świadka przekłętą fałszu i podłości ludzkiej i rzucałaby ścinające krew w żyłach przysięgi odwetu. Melania przeciwnie - tylko szybkim poruszeniem szydełka i ściągnięciem cienkich brwi wykazywała, że pieni się wewnątrz. Głos jej był chłodniejszy, a słowa bardziej urywane niż zwykle. Ale mocne słowa, które wypowiadała teraz, były jej obce, gdyż rzadko mówiła to, co myśli, a nigdy nie mówiła nic przykrego. Scarlett zrozumiała nagle, że Wilkesowie i Hamiltonowie także są zdolni do wybuchów gniewu, dorównujących lub nawet przewyższających pasję O'Harów.

- Znudziło mi się słyszeć ciągle krytykowanie twojej osoby, kochanie - rzekła Melania - to jest już ostatnia kropla i teraz wreszcie zajmę się tym poważnie. Wszystko to stało się dlatego, że ludzie są o ciebie zazdrośni, bo jesteś mądra i dobrze ci się wiedzie, lepiej niż niejednemu mężczyźnie. Nie bądź na mnie zła, że ci to mówię. Nie uważam wcale, że postępujesz nieodpowiednio jak na kobietę i że zatraciłaś, swoją kobiecość, jak twierdzi wiele osób. Wcale tak nie jest. Ludzie cię po prostu nie rozumieją i nie znoszą, kiedy kobieta jest zaradna. Ale mądrość twoja i powodzenie nie dają jeszcze ludziom prawa do twierdzenia, że ty i Ashley... Wielkie nieba!

Skupiona gwałtowność nadała ostatnim tym słowom cechy nie-ledwie bluźnierstwa. Scarlett popatrzyła na Mełę, zaniepokojona tak niezwykłym jak na nią wybuchem.

- I jeszcze do mnie śmieli przyjść z tymi brudnymi kłamstwami, które wymyślili. Archie, India, pani Elsing! Jakże mogli? Pani Elsing, oczywiście, nie zjawiała się tutaj. Nie, rozumie się, zabrakło jej odwagi. Zawsze cię nienawdziła, kochanie, ponieważ miałaś większe powodzenie niż Fanny. I była bardzo rozgniewana, że odsunęłaś Hugona od zarządzania tartakiem. Miałaś zupełną słuszość. To leniwy, gnuśny niedołęga! - Melania szybko załatwiła się z towarzyszem dziecinnych zabaw i wielbicielem z lat dzieciństwa. - Obwiniam siebie z powodu Archiego. Nie powinnam była przygarnąć tego starego łotra. Wszyscy mi to mówili, ale nie chciałam słuchać. Nie lubił ciebie, kochanie, z powodu tych więźniów, ale jakież on ma prawo krytykować? Morderca, zabójca kobiety! I po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam, przychodzi mi tutaj i mówi... nie byłabym się wcale zmartwiła, gdyby go Ashley zastrzelił! No, ale odprawiłam go po porządnej awanturze, zapewniam cię! Wyjechał z miasta.

Jeżeli zaś chodzi o Indię, tę podłą istotę! Kochanie, kiedy widziałam was obie po raz pierwszy razem, zauważyłam, że ona jest o ciebie zazdrosna i nienawdzi cię, bo byłaś o wiele ładniejsza i miałaś więcej wielbicieli. Zaczęła cię jawnie nie cierpieć z powodu Stuarta



Tarletona. I tak dużo o nim myślała, że - przykro mi to mówić o siostrze Ashleya - ale zdaje mi się, że się jej od tego pomieszało w głowie! Nie ma innego wytłumaczenia jej postępków... Powiedziałam jej, żeby nigdy więcej nie przestąpiła progu mego domu i że, jeżeli dowiem się, iż rozpowiada tak podłe insynuacje, nazwę ją... nazwę ją publicznie kłamczynią!

Melania przestała na chwilę mówić. Gniew ustąpił z jej twarzy, która pokryła się teraz smutkiem. Melania posiadała właściwe Georgijczykom przywiązanie do rodziny i myśl o własnej rodzinnej rozdzierała jej serce. Zawahała się na chwilę. Scarlett jednak zajmowała pierwsze miejsce w jej sercu, ciągnęła więc dalej lojalnie:

- India była zawsze zazdrosna, ponieważ ja ciebie kocham bardziej niż ją, kochanie. Nigdy nie przyjdzie więcej do tego domu, moja zaś noga nigdy nie postanie w domu, w którym ją będą przyjmować. Ashley zgadza się ze mną, ale serce go boli, że własna siostra potrafiła powiedzieć taką...

Na wzmiankę o Ashleyu przeczulone nerwy nie wytrzymały i Scarlett wybuchła płaczem. Czy zawsze będzie musiała zadawać mu serdeczne rany? Jedynym jej pragnieniem było uczynić go szczęśliwym i bezpiecznym, ale przy każdej sposobności zdawała się go ranić. Zatrula mu życie, złamała dumę jego i szacunek dla samego siebie, wstrząsnęła tym wewnętrznym spokojem, który wypływa z uczciwości. A teraz poróżniła go z siostrą, którą tak bardzo kochał! Dla uratowania jej opinii i szczęścia żony, trzeba było poświęcić Indię, zrobić z niej kłamliwą, zazdrosną, na wpół zwariowaną starą pannę - Indię, która była całkowicie usprawiedliwiona we wszystkich swoich podejrzaniach i w każdym słowie oskarżenia, jakie wypowiedziała. Ilekroć Ashley spojrzy teraz w oczy Indii, zobaczy w nich światło prawdy - prawdy, wyrzutu i zimnej pogardy, w której Wilkesowie celowali.

Wiedząc, że Ashley honor ceni wyżej od życia, Scarlett domyślała się, jak musi cierpieć. I on, jak ona, musiał skryć się za spódnicą Melanii. Scarlett, mimo że rozumiała konieczność tego postępowania i wiedziała, że winę za tę fałszywą sytuację ponosi głównie ona, jednak - jednak... Jako kobieta szanowałaby Ashleya bardziej, gdyby zastrzelił Archiego i przyznał się do wszystkiego przed Melanią i całym światem. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale czuła się zbyt nieszczęśliwa, by się nad takimi szczegółami zastanawiać. Przypomniały jej się szydercze i pogardliwe słowa Retta i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście Ashley zachował się jak mężczyzna w tej całej historii. I po raz pierwszy przybladło nieznacznie uwielbienie, którym otaczała go od chwili, gdy go pokochała. Powłoka wstydu i winy, która ją oblekła, przeniosła się i na niego. Z wysiłkiem starała się odpędzić tę myśl, płakała jednak coraz żałośniej.

- Przestań! Przestań! - zawołała Melania opuszczając robótkę, rzucając się na kanapę i

przyciągając głowę Scarlett do swojej piersi. - Nie powinnam była mówić o tym wszystkim i tak cię zasmucać. Rozumiem, jak ci jest na sercu, nie będziemy więc o tym nigdy więcej mówiły. Ani ze sobą, ani z nikim na świecie. Ale - dodała ze spokojną złościwością - Indii i pani Elsing ja jeszcze pokażę! Niech im się nie wydaje, że mogą rozsiewać kłamliwe plotki o moim mężu i mojej bratowej. Tak je urządzę, że żadna z nich nie będzie miała odwagi podnieść oczu w Atlancie. I wszyscy, którzy uwierzą im lub będą je przyjmować, staną się moimi wrogami.

Scarlett, patrząc ze smutkiem na długie pasmo przyszłych lat, wiedziała, że stała się przyczyną rozłamu, który poróżni ze sobą rodzinę i miasto na całe pokolenia.

Melania dotrzymała słowa. Nigdy więcej nie rozmawiała o tej sprawie ze Scarlett ani Ashleyem. Nie chciała też poruszać jej z nikim innym. Przybierała wyraz zimnej obojętności, który szybko się zmieniał w lodowatą oficjalność, jeżeli ktokolwiek ośmielał się zahaczyć o tę sprawę. W ciągu tygodni, które nastąpiły po urodzinach Ashleya, kiedy Rett znikł tajemniczo a miasto gotowało się od plotek, podniecenia i stronnicych głosów - nie przyjmowała u siebie prześladowców Scarlett, niezależnie od tego, czy byli jej starymi przyjaciółmi, czy krewnymi. Nie mówiła wiele - działała.

Trzymała się Scarlett po prostu kurczowo. Kazała jej chodzić jak zwykle co rano do sklepu i składu drzewa i wszędzie jej towarzyszyła. Upierała się, aby wyjeżdżała po południu powozem, chociaż Scarlett nie miała ochoty wystawiać się na zaciekawione spojrzenia współobywateli. Melania siedziała w powozie obok niej. Zabierała ją ze sobą na oficjalne wizyty, łagodnie wprowadzając ją do salonów, w których Scarlett nie bywała od przeszło dwóch lat. I z zajadłością w twarzy prowadziła rozmowę ze zdumionymi paniami domu.

Kazała Scarlett przychodzić wcześniej w takie dni i zostawać, aż odeszli ostatni goście, w ten sposób uniemożliwiając paniom przyjemne zbiorowe dyskusje i plotki - co także wywoływało niemałe wzburzenie. Wizyty te były dla Scarlett szczególną torturą, ale nie ośmielała się nie pokazywać z Melanią. Źle się czuła w gromadzie kobiet, z których każda zastanawiała się w duchu, czy rzeczywiście została przyłapana na gorącym uczynku. Świadomość, że kobiety te nie rozmawiałyby z nią wcale, gdyby nie fakt, że lubiły Melanię i nie chciały tracić jej sympatii, sprawiała jej wyraźną przykrość. Wiedziała jednak, że przyjąwszy ją raz, nie mogły jej potem zrobić żadnego afrontu.

Charakterystyczne dla opinii Scarlett było to, że ludzie na ogół nie opierali swojej obrony czy oskarżenia na przekonaniu o jej osobistej uczciwości. „Po niej się wszystkiego można spodziewać” - to określało ogólną postawę. Scarlett narobiła sobie zbyt wielu wrogów, aby teraz mieć wielu obrońców. Słowa jej i postęпки rozjątrzyły przeciw niej zbyt wiele serc,

aby teraz ludzie mogli się zastanawiać, czy skandal sprawił jej przykrość, czy nie. Wszystkim jednak zależało na tym, aby nie dotknąć Melanii czy Indii, burza więc toczyła się bardziej dokoła nich niż dokoła Scarlett i ogniskowała się koło pytania: „Czy India skłamała?”

Ci, którzy wzięli stronę Melanii, wskazywali tryumfalnie na fakt, że Melania nie odstępowała w tym okresie Scarlett. Czyżby kobieta o czystości przekonania Meli podjęła się bronić sprawy kobiety winnej, zwłaszcza zaś kobiety, która zawiniła z jej własnym mężem? Nie, z pewnością nie! India była zwariowaną starą panną, która nienawidziła Scarlett, skłamała i nakłoniła Archiego i panią Elsing do uwierzenia w jej kłamstwa.

„Ale - zapytywali stronnicy Indii - jeżeli Scarlett nie jest winna, gdzie jest kapitan Butler? Dlaczego nie ma go przy boku żony, dlaczego nie osłania jej swoją osobą?” Na to pytanie nie było odpowiedzi i w miarę mijania tygodni, kiedy rozeszła się pogłoska, że Scarlett jest w ciąży, grupa Indii zaczęła tryumfować. Nie jest to dziecko kapitana Butlera, mówili. Od dawna już nieporozumienie między nimi stanowiło publiczną tajemnicę. Od dawna już miasto gorszyło się, że mają oddzielne sypialnie.

Tak więc plotki kursowały rozdzierając miasto, rozdzierając także ciasno ze sobą związane rodziny Hamiltonów, Wilkesów, Burrów, Whitmanów i Winfieldów. Wszyscy w rodzinie zmuszeni byli do opowiedzenia się za jedną ze stron. Nikt nie mógł pozostać neutralny. O to postarała się już Melania - z chłodną godnością, i India - z gryzącą goryczą. Niezależnie jednak od tego, po czyjej stronie opowiedzieli się krewni, wszyscy byli rozżaleni, że Scarlett stała się przyczyną rozłamu w rodzinie. Wszyscy uważali, że nie zasługuje na to. I wszyscy krewni szczerze żalowali, że India wzięła się do publicznego prania brudnej bielizny i że uwikłała Ashleya w tak nieprzyjemny skandal. Ale ponieważ już to zrobiła, wiele osób opowiedziało się po jej stronie przeciwko Scarlett, gdy tymczasem inni, którzy kochali Melanię, popierali ją i Scarlett.

Półowa Atlanty była spokrewniona lub spowinowacana z Melanią i Indią. Odgałęzienia kuzynów, kuzynów z drugiej linii, kuzynów przez małżeństwo i jeszcze dalszych, były tak zawile i skomplikowane, że mógł się w nich rozeznąć tylko urodzony Georgijczyk. Stanowili zawsze silnie zespolony klan, w czasach krytycznych przeciwstawiający się światu falangą połączonych tarcz, bez względu na osobiste zdanie o postępowaniu poszczególnych krewnych. Oprócz walki podjazdowej, prowadzonej przez ciotkę Pitty przeciw wujowi Henrykowi, która zresztą stanowiła od lat przedmiot żartów całej rodziny, nigdy nie było otwartej waśni i stosunki rodzinne układały się jak najzgodniej. Byli to łagodni, spokojni, opanowani ludzie, nie hołdujący nawet przyjacielskim sprzeczkom, które były charakterystyczne dla innych rodzin Atlanty.

Teraz jednak podzielili się na dwa obozy i miasto mogło oglądać, jak kuzynowie piątego i szóstego stopnia biorą udział w największym skandalu, jaki przeżyła Atlanta. Spowodowało to wiele nieprzyjemnych sytuacji i wymagało wielkiego taktu i wyrozumiałości ze strony osób nie spowinowaconych z Melanią i Indią, bo spór między nimi wywołał echo prawie we wszystkich stowarzyszeniach i organizacjach. „Klub dramatyczny”, „Kółko szycia dla wdów i sierot po konfederatach”, „Stowarzyszenie opieki nad grobami poległych”, „Sobotnie kółko muzyczne”, „Towarzystwo miłośniczek tańca”, „Czytelnia młodzieży” - wszystkie te instytucje zostały wplątane w waśń, tak samo jak cztery kościoły ze swoimi Komitetami Parafialnymi i Towarzystwami Misyjnymi. Trzeba było bardzo uważać, aby członków wojujących partii nie wybierać do tych samych komitetów.

Podczas swoich *jeur fixe*ów damy Atlanty były od czwartej do szóstej stale podniecone z obawy, aby Melania i Scarlett nie zjawiły się w tym samym czasie co India i jej wierne zwolenniczki.

Z całej jednak rodziny ciotka Pitty ucierpiała najwięcej. Pitty, która niczego tak nie pragnęła jak wygodnego życia i miłości swoich krewnych, w tej sprawie chciałaby, aby i wilki były syte, i owce całe. Do tego nie chciały jednak dopuścić ani wilki, ani owce.

India mieszkała z ciotką Pitty i gdyby Pitty opowiedziała się po stronie Melanii, jak to chciała początkowo zrobić, India wyprowadziłaby się od niej natychmiast. Cóż by zaś biedna Pitty wtedy poczęła? Nie mogła mieszkać sama. Musiałaby poprosić o towarzystwo kogoś obcego albo też musiałaby zamknąć swój dom i zamieszkać ze Scarlett. Pitty wyczuwała niejasno, że kapitan Butler nie byłby zachwycony takim obrotem sprawy. Albo też musiałaby mieszkać u Melanii i sypiać w małym pokoiku Beau.

Pitty niezbyt przepadała za Indią, bo India onieśmiała ją swoją sztywnością i chłodem oraz namiętym przestrzeganiem zasad. Umożliwiła jednak Pitty prowadzenie własnego, wygodnego domu. Pitty zaś bardziej powodowała się w życiu wygodą niż zasadami moralnymi. Tak więc India została u niej.

Obecność jej wszakże uczyniła dom Pitty ośrodkiem burzy, bo zarówno Scarlett jak Melania uznały, że oznacza to opowiedzenie się ciotki po stronie Indii. Scarlett stanowczo odmówiła dawania Pitty pieniędzy na prowadzenie domu, dopóki India znajduje się pod jej dachem. Ashley posyłał Indii pieniądze co tydzień i co tydzień India dumnie i milcząco odsyłała je, ku przerażeniu i żalowi starej pani. Finanse w domu z czerwonej cegły znalazłyby się w opłakanym stanie, gdyby nie interwencja wuja Henryka, a Pitty była bardzo upokorzona, ilekroć musiała korzystać z jego pomocy.

Pitty kochała Melanię więcej niż kogokolwiek na świecie prócz siebie samej, a teraz

Mela zachowywała się jak uprzejma, chłodna nieznajoma. Mimo że mieszkała tuż za podwórzem Pitty, nigdy nie zachodziła do niej, choć dawniej zjawiała się po kilkanaście razy dziennie. Pitty odwiedzała ją, płakała i zapewniała o swej miłości i oddaniu, ale Melania nie chciała o tym nawet rozmawiać i nigdy jej nie rewizytowała.

Pitty doskonale wiedziała, ile zawdzięcza Scarlett - właściwie całą swoją egzystencję. Podczas czarnych dni powojennych, kiedy Pitty miała do wyboru albo pomoc brata Henryka, albo ostateczną nędzę, Scarlett dawała jej na dom, żywiła ją, ubierała i umożliwiała jej utrzymanie dawnej pozycji towarzyskiej. A odkąd wyszła za mąż i przeniósła się do nowego domu, była uosobieniem hojności. A ten przerażający, niepokojący kapitan Butler - często po jego wizytach Pitty znajdowała na konsolce nowe portmonetki wypchane banknotami lub koronkowe chusteczki, podstępem wsunięte do jej skrzyneczki z szyciem, w których ukryte były złote monety. Rett zaklinał się, że nic o tym nie wie, i posadzał ją, bardzo zresztą niedelikatnie, że ma skrytego adoratora, którym jest prawdopodobnie wąsaty dziadek Merriweather.

Tak, Pitty żywiła miłość dla Melanii, wdzięczność dla Scarlett - z Indią nie łączyło jej prawie nic. Nic poza tym, że obecność Indii chroniła ją od zmiany przyjemnego trybu życia i samodzielnego decydowania o wszystkim. Było to bardzo smutne i bardzo, bardzo brutalne, toteż Pitty, która nigdy w życiu niczego sama nie postanowiła, po prostu pozostawiła sprawy ich własnemu biegowi i ograniczyła się do spędzenia wielu godzin na bezradnym płaczu.

W końcu, niektórzy ludzie uwierzyli całym sercem w niewinność Scarlett, nie ze względu na jej wrodzoną cnotliwość, ale dlatego, że w nią wierzyła Melania. Inni mieli pewne zastrzeżenia, ale byli dla Scarlett uprzejmi i odwiedzali ją, bo kochali Melanię i chcieli zachować jej sympatię. Zwolennicy Indii kłaniali się jej chłodno, niektórzy zaś udawali, że jej nie poznają. Ci ostatni doprowadzali Scarlett do pasji, zdawała sobie jednak sprawę, że gdyby nie wstawiennictwo Melanii i szybkie jej działanie, całe miasto odwróciłoby się od niej i znalazłaby się poza nawiasem społeczeństwa.



## ROZDZIAŁ LVI

Retta nie było już od trzech miesięcy i przez cały ten czas Scarlett nie miała od niego wiadomości. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak długo go nie będzie. Nie miała pojęcia, czy w ogóle wróci. Przez cały ten czas pracowała jak zwykle, z podniesioną wysoko głową i zbolalym sercem. Nie czuła się dobrze, ale, zmuszona przez Melanię, chodziła co dzień do sklepu i starała się okazywać powierzchowne zainteresowanie tartakami. Sklep jednak po raz pierwszy zaczął ją nudzić i chociaż obroty były trzy razy większe niż w roku poprzednim, a pieniądze płynęły strumieniem, mało się nim interesowała i stała się niesprawiedliwa i zła w stosunku do subiektów. Tartak Galleghera był w rozkwicie, drzewo w składzie sprzedawano łatwo, ale przestało jej się podobać wszystko, co robił Gallegher. Był on równie typowym Irlandczykiem jak Scarlett, zrobił więc awanturę z powodu jej wiecznych przymówek i po długiej tyradzie, która skończyła się słowami: „Niechaj spadnie na panią przekleństwo Cromwella”, zagroził, że odejdzie. Musiała go uspokoić i bardzo pokornie przeprosić.

Do tartaku Ashleya nie chodziła wcale, tak samo jak do kantorku w składzie desek, jeżeli spodziewała się go tam zastać. Wiedziała, że i on jej unika, że stała obecność jej w jego domu, na stanowcze nalegania Melanii, jest dla niego udręką. Nigdy nie rozmawiali ze sobą w cztery oczy, chociaż bardzo chciała go zapytać o wiele rzeczy. Chciała wiedzieć, czy ją znienawidził i co właściwie powiedział Melanii, on jednak trzymał się z daleka i milcząco dawał do zrozumienia, aby nic nie mówiła. Widok jego twarzy, postarzałej i wychudłej ze zgryzoty, jeszcze potęgował jej wyrzuty, a fakt, że tartak jego miał z tygodnia na tydzień większe straty, był dodatkowym powodem zdenerwowania, któremu nie mogła dać ujścia.

Bezradność Ashleya w obliczu wytworzonej sytuacji gniewała ją niezmiernie. Nie wiedziała, co mógłby zrobić, aby załagodzić tę sprawę, czuła jednak, że coś zrobić powinien. Rett zrobiłby coś z pewnością, Rett zawsze działał, choćby nawet niewłaściwie, i Scarlett mimo woli szanowała go za to.

Teraz, kiedy minęła jej pierwsza złość na Retta i jego obelgi, zaczęła za nim tęsknić i tęskniła coraz bardziej a bardziej, w miarę jak mijały dni i nie było od niego wiadomości. Z mieszaniny upojenia, złości, zgryzoty i upokorzenia, jaką po sobie zostawił, wyłoniło się przygnębienie i krążyło nad nią jak kruk nad padliną. Tęskniła za nim, brakło jej jego lekkich, ironicznych anegdotek, z których śmiała się do rozpuku, jego szyderczego uśmiechu, którym przywracał właściwe proporcje jej kłopotom, brakło jej nawet jego drwin, które zmuszały ją do ostrych reakcji. Najbardziej jednak brakło jej rozmów z nim. Rett był tak dobrym

sluchaczem. Mogła mu opowiadać bezwstydnie i z dumą, jak obdzierała ludzi ze skóry, a on jeszcze ją chwalił. Inni ludzie gorszyliby się, gdyby im o takich rzeczach napomknęła.

Czuła się samotna bez niego i Bonnie. Tęskniła za dzieckiem bardziej, niż przypuszczała. Pamiętając ostatnie dotkliwe słowa Retta na temat Wade'a i Elli, starała się wypełniać nimi swoje puste godziny. Nic z tego jednak nie wychodziło. Słowa Retta i reakcje dzieci otworzyły jej oczy na zdumiewająco gorzką prawdę. Podczas dzieciństwa obojga była zbyt zajęta, zbyt skłopotana troskami materialnymi, zbyt surowa i łatwo wpadająca w złość, aby zdobyć ich zaufanie czy miłość. A teraz było już za późno albo też nie miała cierpliwości czy umiejętności w zdobyciu sobie ich małych skrytych serduszek.

Ella! Scarlett z przykrością musiała stwierdzić, że Ella była głupim dzieckiem. Nie umiała skupić uwagi na jednym przedmiocie, a kiedy Scarlett starała się ją zainteresować bajeczkami, Ella robiła dziecinne dygresje, przerywała jej pytaniami, które nie miały nic wspólnego z opowiadaniem, i zapomniała, o co pytała, zanim jeszcze Scarlett mogła jej odpowiedzieć. Co się zaś tyczy Wade'a - może Rett miał rację. Może się Wade jej bał? To było dziwne i bardzo bolesne. Dlaczego własny jej syn, jedyny jej syn, miałby się bać matki? Kiedy starała się wciągnąć go w rozmowę, patrzył na nią łagodnymi, brązowymi oczyma Karola, wiał się w zakłopotaniu i przestępował z nogi na nogę. Ale kiedy był z Melanią, nie przestawał paplać, wyciągał z kieszeni wszystkie skarby, od robaków do wędki, aż po stare sznurki, i pokazywał jej.

Melania umiała postępować z dziećmi. Temu zaprzeczyć nie było można. Jej własny mały Beau był najgrzeczniejszym i najśłodszym dzieckiem w Atlancie. Scarlett porozumiewała się z nim lepiej niż z własnym synem, bo Beau nie wstydził się dorosłych i wdrapywał się na jej kolana, jak tylko przychodziła. Jakież to było śliczne, jasnowłose dziecko, zupełnie podobne do Ashleya. Gdybyż Wade był taki jak Beau... Rozumie się, że Melania mogła Beau wychowywać, bo miała tylko jedno dziecko, nie musiała pracować ani nie miała takich obowiązków jak Scarlett. Scarlett starała się w ten przynajmniej sposób siebie usprawiedliwić, ale uczciwość kazała jej przyznać, że Melania kochała dzieci i cieszyłaby się nawet z całego ich tuzina. Swoje nie wyładowane uczucia zwracała na Wade'a i dzieci sąsiadów.

Scarlett nie mogła zapomnieć swego wzburzenia, kiedy przejeżdżając koło domu Melanii wstąpiła po Wade'a i usłyszała wchodząc po schodkach, że syn jej głośno krzyczy - naśladując dość nawet udatnie krzyk powstańców; ten sam Wade, który w domu był cichy jak myszka. Wrzaskom zaś Wade'a dzielnie wtórował ostry, cieniutki głosik Beau. Kiedy weszła do pokoju, zastała obydwu chłopców atakujących drewnianymi szablami kanapę. Widząc ją



umilkli zawstydzeni, z kryjówki zaś za kanapą wyszła śmiejąc się i poprawiając szpilki i roztargane włosy Melania.

- To jest bitwa pod Gettysburgiem - wytłumaczyła. - Ja jestem wojskiem jankeskim i, jak widzisz, zostałam pobita. To jest generał Lee - wskazała na Beau - a to generał Pickett - położyła dłoń na ramieniu Wade'a.

Tak, Melania umiała postępować z dziećmi. Scarlett wcale jej nie mogła dorównać.

„Ale przynajmniej Bonnie mnie kocha - myślała - i lubi się ze mną bawić”. Lecz uczciwość kazała jej przyznać, że Bonnie nieskończenie bardziej kocha Retta. Może już nigdy nie zobaczy Bonnie. Kto wie, może Rett jest teraz w Persji czy w Egipcie i wcale nie ma zamiaru wrócić?

Kiedy doktor Meade powiedział jej, że jest w ciąży, była zdumiona, bo oczekiwała diagnozy powiększenia wątroby i wyczerpania nerwowego. Potem przypomniała sobie ową szaloną noc i twarz jej pokryła się szkarłatem. A więc dziecko jest rezultatem tych chwil wielkiej rozkoszy - rozkoszy, której wspomnienie zbladło trochę na skutek tego, co zaszło później. Po raz pierwszy była zadowolona, że będzie miała dziecko. Gdybyż to tylko był chłopiec! Ładny chłopiec, nie zastraszone małe stworzenie jak Wade. Jak troskliwie będzie go wychowywała! Teraz, kiedy miała dość czasu dla dziecka i dość pieniędzy na ułatwienie mu życia, jakaż będzie szczęśliwa! Miała chęć napisać do Retta na adres jego matki w Charlestonie i zawiadomić go o tym. Dobry Boże, przecież teraz musi przyjechać do domu! A jeżeli nie wróci do narodzenia dziecka? Nie potrafi tego wytłumaczyć ludziom. Ale jeżeli do niego napisze, będzie przypuszczał, że chce, aby wrócił, i będzie tym ubawiony. Nie powinien zaś nigdy sądzić, że Scarlett potrzebuje go czy pragnie jego towarzystwa.

Bardzo była zadowolona, że nie napisała, ponieważ wiadomość o Recie otrzymała w liście od ciotki Pauliny z Charlestonu, gdzie, jak się okazało, Rett bawił u swojej matki. Jaka ulgą była wiadomość, że przebywał jeszcze w Stanach! Choć poza tym list ciotki był raczej denerwujący. Rett przyprowadził Bonnie z wizytą do niej i do ciotki Eulalii i list był pełen zachwytów.

„To przecież mała piękność! Kiedy dorośnie, będzie z pewnością słynna z urody. Zdaje mi się jednak, że każdy młodzieniec, który zechce się o nią starać, będzie musiał stoczyć walkę z kapitanem Butlerem - bo nigdy w życiu nie widziałam równie oddanego ojca. Teraz, moja droga, muszę Ci coś wyznać. Dopóki nie znałam kapitana Butlera, uważałam, że Twoje małżeństwo z nim jest strasznym mezaliansem, bo jak wiesz, mąż Twój ma w Charlestonie bardzo złą opinię i wszyscy bardzo współczują jego rodzinie. Właściwie Eulalia i ja nie byłśmy nawet pewne, czy możemy go przyjąć - ale, ostatecznie, Bonnie jest naszą cioteczną

wnuczką. Kiedy kapitan Butler przyszedł, byliśmy mile, bardzo nawet mile zdziwione, i zrozumialiśmy, że słuchanie głupich plotek jest uczynkiem niechrześcijańskim. Mąż Twój jest wprost czarujący, bardzo przystojny, bardzo poważny i uprzejmy. A jak oddany Tobie i dziecku!

Muszę jeszcze, moja droga, napisać Ci o czymś, co doszło naszych uszu - o czymś, w co obie z Eulalią nie chciałyśmy z początku uwierzyć. Słyszałyśmy niejednokrotnie, że czasem zachodzisz do sklepu, który Ci został po panu Kennedym. Dochodziły nas takie pogłoski, ale oczywiście, przeczyłyśmy im gorąco. Rozumialiśmy, że w pierwszych strasznych latach po wojnie było to może koniecznością ze względu na warunki. Ale teraz nie widzę konieczności takiego postępowania, bo, jak wiem, kapitan Butler jest w zupełnie dobrym położeniu materialnym, a poza tym doskonale może prowadzić Twoje interesy za Ciebie i zarządzać Twoim majątkiem. Chciałyśmy się przekonać, ile jest prawdy w tych pogłoskach, i zmuszone byłyśmy zadawać kapitanowi Butlerowi wyraźne pytania - co było dla nas bardzo przykre.

Odpowiedział nam z wahaniem, że spędzasz całe poranki w sklepie i nikogo nie dopuszczasz do prowadzenia ksiąg. Przyznał także, że masz pewne udziały w tartaku czy tartakach (nie wypytywałyśmy go o to szczegółowo, ponieważ za bardzo zmartwiła nas ta wiadomość, zupełnie niespodziana), co pociąga za sobą konieczność wyjeżdżania za miasto samej albo pod opieką jakiegoś zbója, który, jak twierdzi kapitan Butler, jest mordercą. Widziałyśmy wyraźnie, jak mąż Twój boleje nad tym, i uważamy, że jest dla Ciebie bardzo wyrozumiały - właściwie zanadto wyrozumiały. Scarlett, to musi ustać! Nie ma już między nami Twojej matki, aby mogła Ci tego zakazać, więc ja muszę to zrobić w jej zastępstwie. Pomyśl o tym, jak to dotknie Twoje dzieci, kiedy dorosną i zrozumieją, że matka ich zajmowała się handlem! Jak będą zmartwione, kiedy się dowiedzą, że wskutek prowadzenia tartaków narażałaś się na zniewagi ordynarnych mężczyzn i niebezpieczeństwo plotek! Takie niekobiece...”

Scarlett z przekleństwem rzuciła nie doczytany list na podłogę. Wyobrażała sobie dokładnie ciotkę Paulinę i Eulalię potępiające ją w na wpół rozwalonym domu na Baterii - mimo że od ostatecznej nędzy chroniło je to, co Scarlett posyłała im co miesiąc. Niekobiece postępowanie? Na Boga, gdyby była „kobieca”, ciotki Paulina i Eulalia nie miałyby prawdopodobnie w tej chwili dachu nad głowami. Niech lichy porwie Retta za to, że opowiedział im o sklepie, buchalterii i tartakach! Z wahaniem to powiedział, co? Wyobrażała sobie doskonale, jaką przyjemność sprawiło mu przedstawienie się starym paniom w roli poważnego, uprzejmego i czarującego człowieka, kochającego męża i ojca. Jaką przyjemność

musiało mu sprawić gorszenie ich opisami zajęć Scarlett w sklepie, tartakach czy szynku. Jakież on był niemożliwy! Dlaczego tyle przyjemności czerpał z takiej perfidii?

Szybko jednak nawet i złość na Retta przeistoczyła się w apatię. Ostatnio życie jej straciło wiele ze swego uroku... Gdybyż choć mogła odnaleźć dawny zapal i podziw dla Ashleya - gdybyż Rett wrócił wreszcie do domu i rozweselił ją trochę...

Zjawili się w domu bez uprzedzenia. Pierwszym zwiastunem ich powrotu był odgłos kufrów wnoszonych do frontowego hallu i wołanie Bonnie: - Mamusiu!

Scarlett wybiegła ze swego pokoju na schody i zobaczyła małą wyciągającą grube, krótkie nóżki i z wysiłkiem drapiącą się na schody. Do piersi przyciskała pręgowanego kociaka o zrezygnowanej minie.

- Babcia mi go dała!- wołała w podnieceniu podnosząc kotka za kark.

Scarlett objęła ją, podniosła i pocałowała, zadowolona, że obecność dziecka zaoszczędza jej spotkania w cztery oczy z Rettem. Patrząc w dół nad głową Bonnie zobaczyła, że Rett w hallu na dole płaci stangretowi, który ich przywiózł. Spojrzał w górę, zobaczył ją, zdjął kapelusz szerokim gestem i skłonił się jej nisko. Kiedy spojrzała w jego czarne oczy, serce zabiło jej mocniej. Bez względu na to, jaki był i co robił - wrócił - i z tego się cieszyła.

- Gdzie jest Mammy? - zapytała Bonnie wyrrywając się z objęć Scarlett. Niechętnie postawiła dziecko na podłogę.

Przywitanie Retta z odpowiednią dozą obojętności będzie trudniejsze, niż przypuszczała, cóż dopiero - zawiadomienie go o nowym dziecku! Patrzyła mu w twarz, kiedy wchodził po schodach, w ciemną, nonszalancką twarz, tak trudną do odczytania, tak gładką. Nie, poczeka trochę, zanim powie mu o tym. Nie może powiedzieć mu tego od razu. A przecież taka nowina należała się mężowi przede wszystkim, mężowie są z takich wiadomości zwykle zadowoleni. Nie miała jednak wrażenia, że Rett się ucieszy.

Stała u wylotu schodów, opierała się o poręcz i zastanawiała się, czy Rett ją pocałuje. Nie pocałował jej jednak. Powiedział tylko: - Wyglądasz blado, pani Butler. Czy w mieście zabrakło rózu? Ani słowa o tym, że za nią tęsknił - choćby tak wcale nie było. I mógł ją pocałować, choćby ze względu na obecność Mammy, która ukłoniwszy mu się prowadziła teraz Bonnie do dziecinnego pokoju. Rett stanął przy Scarlett i niedbale wodził po niej wzrokiem.

- Czyżby ta bladość znaczyła, żeś za mną tęskniła? - zapytał i chociaż uśmiechał się, oczy miał poważne.

A więc tak będzie się do niej odnosił. Znowu będzie tak wstrętny jak dawniej. Nagle

dziecko, które nosiła, stało się dla niej obrzydliwym ciężarem, a mężczyzna naprzeciw niej, trzymający rękę na biodrze, a w niej kapelusz - najzjadlejszym jej wrogiem, przyczyną wszystkich jej zgryzot. Kiedy mu odpowiedziała, w oczach jej był jad, jad tak wyraźny, że trudno go było nie zauważyć. Uśmiech znikł z twarzy Retta.

- Jeżeli jestem blada, to z twojej winy, ale nie dlatego, że tęskniłam za tobą, ty zarozumiałcze! To dlatego... - Ale nie miała zamiaru powiedzieć mu tego w ten sposób; gorące słowa cisnęły się jej jednak na wargi i rzuciła mu je w twarz nie myśląc o służbie, która mogła słyszeć. - To dlatego, że będę miała dziecko.

Złapał gwałtownie oddech i spojrzał na nią szybko. Zbliżył się do niej o krok, jak gdyby chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale ona odsunęła się od niego; widząc nienawiść w jej oczach sposepniał.

- Ach, rzeczywiście! - rzekł chłodno. - No, i kto jest szczęśliwym ojcem? Czy Ashley?

Schwyciła słupek schodów, przy którym stała, i uszy rzeźbionego lwa wpiły się w jej dłoń. Choć znała go tak dobrze, nie spodziewała się takiej obelgi. Rozumie się, że żartował, żarty te były jednak zbyt potworne, aby je znosić. Miała ochotę wydrapać mu ostrymi paznokciami oczy, aby raz na zawsze zniszczyć w nich te dziwne błyski.

- Niechże cię...! - zaczęła, a głos jej drżał z wściekłości. - Ty... ty wiesz doskonale, że dziecko jest twoje. Nie życzę go sobie tak samo jak ty. Żadna kobieta nie chciałaby mieć dzieci z łotrem takim jak ty. Żałuję... och, Boże, żałuję, że nie jest to dziecko czyjekolwiek, byle nie twoje!

Widziała, że jego ogorzała twarz zmieniła się nagle, że i coś, z czego nie zdawała sobie sprawy, wprawiają go w drzenie.

„Nareszcie! - myślała z pasją i z gorzką przyjemnością. - Nareszcie! Teraz ja go dotknęłam!”

Dawna maska obojętności wróciła mu jednak na twarz i jedną ręką podkręcił sobie wąsa.

- Nie martw się - rzekł odwracając się od niej i idąc w górę po schodach - może jeszcze poronisz.

W mgnieniu oka uświadomiła sobie, co znaczy rodzenie dzieci - mdłości, które ją rozrywały, nudne czekanie, trwanie figury, godziny bólu. Sprawy, których żaden mężczyzna nie może zrozumieć. A on ośmielał się żartować! Rozszarpie go. Tylko widok krwi na jego ciemnej twarzy ukoi ból jej serca. Zamierzyła się na niego zwinna jak kot, ale on, trochę zmieszany, lekkim ruchem uskoczył na stronę i wyciągnął rękę, aby odeprzeć jej cios. Stała na brzegu świeżo wywoskowanego stopnia schodów i kiedy ramię jej z całym rozpędem

uderzyło w jego wyciągniętą rękę, straciła równowagę. Sięgnęła w przerażeniu do balustrady, ale nie mogła jej schwycić. Zaczęła spadać tyłem, czując rozdzierający ból w żebrach. I zbyt oszołomiona, aby się zatrzymać, spadała niżej i niżej, aż na sam dół schodów.

Po raz pierwszy w życiu Scarlett była chora - nie licząc oczywiście porodów, które trudno nazwać chorobą. Wtedy nie była przerażona i nieszczęśliwa jak teraz, słaba, zboląła i zgubiona. Wiedziała, że jest poważniej chora, niż jej mówią, zdawała sobie niejasno sprawę, że może umrzeć. Złamane żebro kłuło ją przy oddychaniu, potłuczona twarz i głowa bolały, a całe ciało oddane było na pastwę demonom, które szarpały ją gorącymi cęgami, krajały tępymi nożami i tak męczyły, że nie mogła wcale zebrać myśli w krótkich przerwach między bólami. Nie, rodzenie dzieci nie było do tego podobne. Jadła obfite posiłki w dwie godziny po urodzeniu Wade'a, Elli czy Bonnie, teraz jednak myśl o czymkolwiek prócz zimnej wody przeprowadzała ją o mdłości.

Jak łatwo było urodzić dziecko i jak trudno nie móc urodzić! Dziwne, iż mimo bólu trapiła się, że nie będzie miała teraz dziecka. Jeszcze dziwniejsze było, że tego dziecka pragnęła naprawdę. Starła się przypomnieć sobie, dlaczego je chciała mieć, ale była zbyt słaba, aby myśleć o czymkolwiek poza bliskością śmierci. Śmierć była w jej pokoju, ona jednak nie miała siły stawić jej czoła i tylko się bała. Chciała, żeby ktoś silny stanął przy niej, trzymał ją za ręce i walczył ze śmiercią, do chwili, gdy będzie dość mocna, aby sama podjąć z nią walkę.

Wściekłość przeszła jej pod wpływem bólu i teraz pragnęła bliskości Retta. Nie było go jednak przy niej, a nie mogła się na to zdobyć, by go zawołać.

Pamiętała, jak podniósł ją w ciemnym hallu, pod schodami, pamiętała twarz jego śmiertelnie bladą i wystraszoną, kiedy głośno i ochryple wołał Mammy. Potem majaczyło jeszcze niejasne wspomnienie, że niósł ją po schodach, a potem ogarnęła ją ciemność. Później był już tylko ból, coraz większy ból, pokój pełen szepczących głosów, szloch ciotki Pittypat i urywane rozkazy doktora Meade, i stopy biegnące po schodach i cicho przechodzące przez górny hali. A potem, jak oślepiająca błyskawica, świadomość śmierci i strach tak wielki, że chciała wrzasnąć jakieś imię, ale wrzask był zaledwie szeptem.

Ten słaby szept wywołał jednak natychmiastowe echo z ciemności koło łóżka i cichy głos tej, którą wołała, odpowiadał śpiewnym tonem: - Jestem tutaj, kochanie. Jestem przy tobie przez cały czas.

Śmierć i strach ustąpiły powoli, kiedy Melania wzięła jej dłoń i przyłożyła ją spokojnie do swego chłodnego policzka. Scarlett chciała się odwrócić, aby ją zobaczyć, ale nie mogła. Melania miała mieć dziecko i Jankesi byli już blisko. Miasto płonęło - musiała się śpieszyć,

śpieszyć. Ale Melania rodziła, więc śpieszyć się nie mogła. Musiała z nią zostać, dopóki się dziecko nie urodzi, i musiała być silna, bo Melanii potrzebna była jej siła. Melania sprawiała jej ból - znowu szarpały ją cęgi i krajały tępe noże, znowu powracało cierpienie. Musi trzymać dłoń Meli.

Doktor Meade przyszedł jednak, przyszedł, mimo że potrzebowali go żołnierze na stacji, bo słyszała, jak mówił: - Bredzi. Gdzie jest kapitan Butler?

Noc była ciemna, potem się rozjaśniało i czasem to ona rodziła, czasem krzyczała Melania, ale przez cały czas Mela była przy niej, dłonie jej były chłodne, nie robiła głupich, niespokojnych gestów ani nie płakała jak ciotka Pitty. Ilekroć Scarlett otwierała oczy, mówiła: - Melu? - i głos Meli jej odpowiadał. I zwykle zaczynała szeptać: „Rett - chcę Retta!”, ale przypominała sobie, jak przez sen, że Rett jej nie chce, że twarz jego jest ciemna jak twarz Indianina, a zęby bieleją w drwiącym uśmiechu. Chciała go, ale on jej nie chciał.

Raz jeden powiedziała: - Melu? - głos Mammy odpowiedział: - To ja, dziecino - i Mammy położyła jej zimną chustkę na czole, ona jednak płakała żałośnie: - Melu... Melanio... - ale Melania nie zjawiała się bardzo długo. Bo Melania siedziała wtedy na łóżku Retta, a Rett, pijany, leżał na podłodze i szlochał z głową na jej kolanach.

Za każdym razem, kiedy Mela wychodziła z pokoju Scarlett, widziała go, jak siedział na łóżku w swoim pokoju, którego drzwi były szeroko otwarte, i patrzył na drzwi po przeciwnej stronie hallu. Pokój był stale w nieporządku, zaśmiecony niedopałkami cygar i pełen talerzy nie tkniętego jedzenia. Łóżko było rozwalone i niepościelone, Rett zaś siedział na nim zarośnięty i wychudły i palił bez przerwy. Widząc Melanię nigdy o nic nie pytał. To ona przystawała na chwilę i zdawała raport: - Przykro mi, ale miewa się gorzej. - Lub: - Nie, jeszcze o pana nie pytała. Widzi pan, jest nieprzytomna - albo: - Niech pan nie traci nadziei, panie kapitanie. Każę podać panu gorącej kawy i coś do jedzenia. Wpędzi się pan jeszcze w chorobę.

Serce ją zawsze bolało z litości dla niego, chociaż była zbyt zmęczona i śpiąca, aby cośkolwiek odczuwać. Jak mogli ludzie takie wstrętne, rzeczy o nim opowiadać - mówić, że nie ma serca, że jest zły i że zdradza Scarlett, kiedy widziała, jak chudł w oczach, widziała wypisaną na jego twarzy udrękę? Mimo zmęczenia starała się być specjalnie miła, kiedy przynosiła mu biuletyny o zdrowiu Scarlett. Wyglądał jak potępieniec czekający sądu - jak dziecko, które się nagle znalazło we wrogim otoczeniu. Wszyscy zresztą wydawali się Melanii dziećmi.

Kiedy wreszcie podeszła do jego drzwi rozradowana, aby powiedzieć mu, że Scarlett miewa się lepiej, nie była przygotowana na to, co zastanie. Na stoliku przy łóżku stała na

wpół pusta butelka wódki i cały pokój nią cuchnął. Rett spojrział na nią szklanymi oczyma i zęby mu zaszczekały, chociaż starał się nad sobą zapanować.

- Nie żyje?

- Ach, nie! Miewa się znacznie lepiej.

Powiedział: - O, mój Boże! - i złożył głowę na rękach. Widziała, że jego szerokie ramiona zaczynają się trząść jak w febrze i kiedy przyglądała mu się z litością, litość jej zamieniła się w zgrozę, bo okazało się, że Rett płacze. Melania nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny. Nie sądziła, że może płakać Rett, tak ironiczny, tak obojętny, zawsze tak pewny siebie!

Przerażona była jego rozpaczliwym szlochem. Miała niejasną obawę, że jest pijany - a bała się ludzi nietrzeźwych. Ale kiedy podniósł głowę i kiedy spojrzała mu w oczy, szybko weszła do pokoju, cicho zamknęła za sobą drzwi i zbliżyła się do niego. Nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny, ale pocieszała wiele płaczących dzieci. Gdy położyła miękką dłoń na jego ramieniu, Rett objął ją nagle za kolana. Zanim spostrzegła, jak się to stało, siedziała na jego łóżku, on zaś zesunął się na podłogę, złożył głowę na jej kolanach i objął ją tak mocno, że ją to aż zabolowało.

Głaskała go po ciemnej głowie mówiąc: - Cicho, już cicho! - aby go uspokoić. - Scarlett na pewno wyzdrowieje.

Na te słowa ścisnął ją silniej i zaczął mówić szybko, chrapliwie, bezładnie, jak w grób, który nigdy nie wyda jego tajemnic, po raz pierwszy w życiu mówiąc prawdę, obnażając się bezlitośnie przed Melanią, która nic z początku nie rozumiała, tylko starała się go uspokoić. Mówił urywanie, kryjąc głowę na jej łonie, ciągnąc ją za fałdy sukni. Czasem słowa jego były zniekształcone, niewyraźne, czasem dochodziły do niej zbyt wyraźnie. Były to ostre, gorzkie słowa spowiedzi i skruchy - mówił o rzeczach, których nigdy nie poruszały z nią nawet kobiety, o tajemnych sprawach, przysparzających ją o rumieniec wstydu.

Głaskała go po pochylonej głowie tak samo jak małego Beau i mówiła; - Cicho, panie kapitanie. Nie powinien pan mówić takich rzeczy! Zapomina się pan. Cicho. Cicho! - On jednak nie przestawał się zwierzać i trzymał się jej sukni, jak gdyby ostatniej deski ratunku.

Oskarżał się o postęпки, których nie rozumiała. Mamrotał imię Belli Watling. Nagle potrząsnął nią gwałtownie, krzycząc: - To ja zabiłem Scarlett, ja ją zabiłem! Pani nie rozumie. Ona nie chciała tego dziecka i...

- Niech się pan uspokoi! Nie panuje pan nad sobą! Nie chciała dziecka? Przecież każda kobieta chce...

- Nie! Nie! Pani chce dzieci. Ale nie ona. Nie chce moich dzieci...

- Niech pan przestanie!

- Pani nie rozumie. Nie chciała mieć dziecka, a ja ją zmusiłem. To... to dziecko... to moja wyłączna wina. Nie sypialiśmy razem...

- Cicho, panie kapitanie! To nie wypada...

- A ja byłem pijany i nieprzytomny i chciałem jej zrobić krzywdę, bo ona mnie skrzywdziła. Chciałem tego - i zrobiłem - ona mnie jednak nie chciała. Nie chciała mnie nigdy. Nigdy, a ja się tak bardzo starałem i...

- Och, proszę!

- I nie wiedziałem nic o tym dziecku aż do owego dnia, kiedy upadła. Nie wiedziała, gdzie jestem, nie mogła do mnie napisać i powiedzieć mi o tym. Nie napisałaby zresztą, gdyby nawet wiedziała. Mówię pani, przysięgam, że wróciłbym prosto do domu, gdybym tylko wiedział, czy chciała, abym wrócił, czy nie...

- O tak, ja wiem, że wróciłby pan na pewno.

- Boże, a ja szalałem przez te tygodnie i piłem! A kiedy mi powiedziała o tym na tych schodach - co wtedy zrobiłem? Co jej powiedziałem? Roześmiałem się i rzekłem: „Nie martw się. Może jeszcze poronisz.” A ona...

Melania nagle śmiertelnie zbladła i oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy, gdy spojrzała na czarną, udręczoną głowę, wijącą się w męce na jej kolanach. Słońce popołudniowe świeciło przez otwarte okno - nagle zauważyła jak gdyby po raz pierwszy, jak duże, ciemne i silne są ręce Retta i jak bardzo obrośnięte czarnymi włosami. Mimo woli wzdrygnęła się. Wydały jej się bardzo zaborcze i okrutne, a jednak, gdy się czepiały fałd jej sukni, były bardzo słabe i bezradne.

Czy możliwe, aby Rett słyszał i uwierzył w to nedorzeczne kłamstwo o Scarlett i Ashleyu i aby był zazdrosny? Prawda, że wyjechał z miasta bezpośrednio po wybuchu skandalu, ale... Nie, to nie było to. Kapitan Butler zawsze nagle wyjeżdżał. Nie mógł dać wiary tej plotce. Na to był zbyt rozsądny. Gdyby to było przyczyną tego rozdźwięku, czy nie usiłowałby zastrzelić Ashleya? Albo przynajmniej zażądać wyjaśnień?

Nie, to nie mogło być to. Był po prostu pijany i chory z niepokoju i myśli mieszały mu się w głowie, mówił jak człowiek w malignie, roiły mu się jakieś fantazje. Mężczyźni nie byli tak wytrzymali jak kobiety. Coś go ubodło, miał może jakąś drobną sprzeczkę ze Scarlett i teraz ją wyolbrzymiał. Może zresztą niektóre z tych strasznych rzeczy były prawdą. Ale nie wszystkie. Och, a ostatnie z pewnością nie! Żaden mężczyzna nie mógł takiej rzeczy powiedzieć kobiecie, którą kochał tak namiętnie, jak ten człowiek kochał Scarlett. Melania nigdy nie widziała zła ani okrucieństwa, teraz więc, kiedy patrzyła na nie po raz pierwszy, nie



mogła ich zrozumieć ani w nie uwierzyć. Rett był pijany i chory. A chore dzieci należy uspokoić.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała śpiewnie. - Proszę się uspokoić. Rozumiem.

Podniósł gwałtownie głowę, popatrzył na nią zalany krwią oczyma i zarzucił jej rękę.

- Nie, na Boga, nie rozumie pani! Nie może pani zrozumieć! Jest pani za dobra na to, aby to zrozumieć. Nie wierzy pani, ale to wszystko prawda, a ja jestem podłym psem. A wie pani, dlaczego to zrobiłem? Byłem szalony, nieprzytomny z zazdrości. Ona mnie nigdy nie kochała, a mnie się zdawało, że będę ją mógł w sobie rozkochać. Ale nie udało mi się. Nie kocha mnie. Nigdy mnie nie kochała. Kocha...

Namiętne jego, pijane spojrzenie spoczęło na Melanii - przerwał z otwartymi ustami, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, do kogo mówi. Twarz Melanii była blada i znużona, ale oczy patrzyły łagodnie, były pełne współczucia i niedowierzania. Była w nich świetlana jakaś pogoda; niewinność ich łagodnej brązowej głębi uderzyła go jak cios w twarz, rozpędzając częściowo opary alkoholu, wstrzymując w połowie drogi szalone, nieprzytomne słowa. Zaczął coś mamrotać, spuścił oczy i zamrugał powiekami, z wolna przytomniejąc.

- Jestem łotrem - mruczał, znowu opuszczając zmęczoną głowę na kolana Melanii. - Ale nie tak wielkim łotrem. Gdybym to pani powiedział, nie uwierzyłyby mi pani, prawda? Zbyt pani jest dobra, aby mi uwierzyć. Nigdy dotąd nie znałem nikogo, kto byt naprawdę dobry. Nie uwierzyłyby mi pani, prawda?

- Nie, nie uwierzyłabym panu - powiedziała Melania łagodnie i znowu zaczęła go gładzić po włosach. - Scarlett wyzdrowieje. Cicho, panie kapitanie, niech pan nie płacze! Wyzdrowieje na pewno.



## ROZDZIAŁ LVII

W miesiąc później Rett odprowadzał na pociąg do Jonesboro bladą, chudą kobietę. Wade i Ella, którzy jechali ze Scarlett, siedzieli milcząco i nieswojo przy boku tej matki o nieruchomej, białej twarzy. Tulili się do Prissy, bo po dziecinnemu wyczuwali coś przerażającego w zimnej atmosferze, która cechowała teraz stosunki matki z ojczymem.

Mimo że bardzo słaba, Scarlett jechała do domu, do Tary. Czuła, że zadusi się, jeżeli zostanie w Atlancie choćby jeden dzień dłużej - ze swymi beznadziejnymi myślami, krążącymi w kółko, utartą ścieżką, dokoła ruiny, w jakiej się znalazła. Była chora na ciele i strapiona na duchu i jak zbląkane dziecko znalazła się w koszmarnym kraju, z którego nie było wyjścia.

Tak jak raz uciekła z Atlanty przed armią najeźdźcy, tak uciekała i teraz, odsuwając zmartwienia na dalszy plan swoich myśli, w zwykły stary sposób: „Nie będę o tym myślała teraz. Nie mogłabym tego teraz znieść. Pomyślę o tym jutro w Tarze. Jutro „będzie nowy dzień”. Wydawało jej się, że jeżeli powróci do ciszy zielonych, ojczystych pól bawełny, wszystkie jej troski odpadną, a myśli ułożą się inaczej.

Rett patrzył długo na pociąg, aż znikł mu z oczu; na twarzy jego malował się wyraz skupionej goryczy. Westchnął, odesłał powóz, wsiadł na konia i przez ulicę Bluszczową pojechał w stronę domu Melanii.

Poranek był ciepły, więc Melania siedziała na ocienionej winem werandzie nad koszykiem wysoko napchanym skarpetkami do cerowania. Ogarnęło ją zmieszanie i przerażenie, kiedy zobaczyła Retta zsiadającego z konia i rzucającego lejce na ramię Murzynka z lanego żelaza, który stał na chodniku przed domem. Nie widziała go sam na sam od owego straszego dnia, kiedy Scarlett była chora, a on - no - bardzo pijany. Melania nie lubiła nawet myśleć o pijaństwie. Rozmawiała z Rettem o rzeczach obojętnych podczas rekonwalescencji Scarlett i wtedy wstydziła mu się patrzeć w oczy. On jednak był dla niej jak zwykle uprzejmy i nigdy słowem ani spojrzeniem nie nawiązał do sceny, która zaszła między nimi. Ashley powiedział jej kiedyś, że mężczyźni często nie pamiętają rzeczy, które mówią czy robią po pijanemu. Melania więc modliła się w duchu, aby pamięć kapitana Butlera zawiodła go właśnie w tym wypadku. Wolalaby umrzeć niż dowiedzieć się, że pamięta on swoje wynurzenia. Teraz ogarnęła ją nieśmiałość i zakłopotanie i zarumieniła się, gdy Rett szedł w stronę domu. Może przyszedł tylko zapytać, czy Beau może iść na cały dzień do Bonnie? Z pewnością nie byłby tak niedelikatny, żeby dziękować jej za to, co tego dnia

zrobiła dla niego!

Wstała na jego powitanie dziwiąc się, jak zwykle, że stąpa tak lekko mimo swego wzrostu.

- Czy Scarlett pojechała?

- Tak, Tara dobrze jej zrobi - powiedział z uśmiechem. - Czasem myślę, że podobna jest do olbrzyma Anteusza, który zyskiwał siłę, ilekroć dotykał Matki Ziemi. Scarlett także nie może długo wytrzymać bez tego kawałka czerwonej gliny, którą kocha. Widok wschodzącej bawełny lepiej jej zrobi niż wszystkie leki doktora Meade.

- Może pan usiądzie? - rzekła Melania nie wiedząc, co począć z rękami. Rett był bardzo wysoki i męski - a zdecydowanie męskie istoty zawsze wprawiały ją w niepokój. Zdawały się wydzielać siłę i żywotność, od której czuła się jeszcze mniejsza i słabsza niż w rzeczywistości. Rett był tak śniady i mocny, a grube mięśnie jego ramion rysowały się tak wyraźnie pod białą płócienną marynarką, że ją to aż przerażało. Wydawało jej się teraz niemożliwe, że była świadkiem, jak opuściła go siła i zuchwałość. I że tę czarną głowę trzymała na swoich kolanach.

„O, mój Boże!” - pomyślała w rozpacz i znowu się zarumieniła.

- Pani Melu - powiedział łagodnie - czy obecność moja nie przeszkadza pani? Czy nie wolałaby pani, abym poszedł? Niech mi pani szczerze odpowie.

„Och! - pomyślała. - A więc pamięta! I wie, że jestem zdenerwowana!”

Spojrzała na niego błagalnie i nagle minęło jej zakłopotanie i zmieszanie. Oczy Retta była tak spokojne, tak dobre, tak wyrozumiałe, że zaczęła się zastanawiać, jak mogła się w ogóle tak zaniepokoić. Miał twarz zmęczoną i, myślała ze zdziwieniem, jak gdyby smutną. Jak mogła sądzić, że będzie tak źle wychowany, aby poruszać sprawy, o których oboje woleli nie pamiętać?

„Biedny człowiek, tyle miał zmartwienia z powodu Scarlett” - myślała i uśmiechając się powiedziała: - Niech pan spocznie, panie kapitanie.

Usiadł ciężko i przyglądał się jej, kiedy się wzięła znowu do cerowania.

- Pani Melu, przyszedłem prosić panią o wielką łaskę - uśmiechnął się i opuścił kąciuki ust - i zapewnić sobie pomoc w przeprowadzeniu pewnego podstępu, choć wiem, że trudno pani będzie na to się zgodzić.

- Podstępu?

- Tak. Przyszedłem porozmawiać z panią o interesach.

- O Boże. W takim razie powinien pan raczej porozmawiać z panem. Wilkesem. Ja się bardzo mało znam na interesach. Nie jestem taka zdolna jak Scarlett.

- Obawiam się, że Scarlett na swoich zdolnościach bardzo źle wychodzi - powiedział - i właśnie o tym chciałbym z panią porozmawiać. Wie pani, jak ciężko była chora. Kiedy wróci z Tary, zacznie znowu pracować w sklepie i w tych tartakach, którym pobożnie życzę jak najszybszego pożaru. Obawiam się o jej zdrowie, pani Melu.

- Tak, ona rzeczywiście za dużo pracuje. Powinien pan kazać jej przestać i bardziej dbać o swoje zdrowie.

Roześmiał się.

- Wie pani, jaka jest uparta. Nawet nie usiłuję się z nią spierać. Przypomina samowolne dziecko. Nie pozwala, abym jej pomagał... nie pozwala, aby ktokolwiek jej pomagał. Staralem się ją namówić, aby sprzedała swoje udziały w tartakach, ale nie chce. A teraz, pani Melu, przejdę do interesu. Wiem, że Scarlett sprzedałaby resztę swoich udziałów w tartakach panu Wilkesowi, ale nikomu innemu, chcę więc, aby ją pan Wilkes spłacił.

- Och, Boże drogi! To byłoby świetnie, ale - Melania przerwała i przygryzła wargi. Nie mogła rozmawiać z obcym człowiekiem o sprawach pieniężnych. W dziwny sposób, mimo zarobków z tartaku, nie mieli z Ashleyem nigdy pieniędzy. Martwiła się, że oszczędzają tak mało. Sama nie wiedziała, co się dzieje z pieniędzmi. Ashley dawał jej dość dużo na dom, ale kiedy zdarzały się nadzwyczajne wydatki, nigdy nie mogli ich pokryć. Pewnie, że rachunki jej lekarzy były spore, poza tym książki i meble, które Ashley sprowadził z Nowego Jorku, także wiele pochłoneły. Żywili też i odziewali wszystkich nieszczęśników, którzy nocowali w ich piwnicy. I Ashley nigdy nie mógł odmówić pożyczki dawnym żołnierzom Konfederacji. I...

- Pani Melu, ja pani na to pożyczę pieniędzy - rzekł Rett.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, ale my nigdy nie będziemy w stanie tego spłacić.

- Ja nie chcę spłaty. Proszę się na mnie nie gniewać, pani Melu! Niech mnie pani wysłucha. Dostateczną zapłatą będzie dla mnie to, że Scarlett nie będzie się męczyła jeżdżeniem do tych tartaków. Sklep wystarczy jej, aby miała zajęcie i czuła się zadowolona... Czy pani tego nie rozumie?

- No... owszem... - rzekła Melania z wahaniem.

- Chciałaby pani, aby pani synek miał kucyka, prawda? I chciałaby pani, aby poszedł na uniwersytet do Harvardu i pojechał w wielką podróż po Europie?

- Och, rozumie się! - zawołała Melania i twarz jej rozjaśniła się, jak zwykle na wzmiankę o Beau. - Chciałabym, aby miał to wszystko, ale wszyscy są tak teraz biedni, że...

- Pan Wilkes może się z czasem bardzo wzbogacić na tartakach - rzekł Rett. - Mnie zaś byłoby przyjemnie, gdyby Beau miał to wszystko, na co zasługuje.

- O, panie kapitanie, jaki z pana przebiegły człowiek! - zawołała Mela z uśmiechem. -

Pochlebia pan matczynej dumie! Czytam w panu jak w otwartej księdze.

- Mam nadzieję, że nie - rzekł Rett i po raz pierwszy oczy załśniły mu żywiej. - A więc, czy pozwoli pani, abym pożyczył pani pieniądze?

- Ale gdzie tu miejsce na podstęp?

- Musimy zachować tajemnicę i podejść zarówno Scarlett, jak pana Wilkesa.

- O, mój Boże! Tego nie potrafię!

- Gdyby Scarlett wiedziała, że ukułem coś za jej plecami, nawet dla jej własnego dobra - no, zna pani jej wybuchy gniewu! Obawiam się także, że pan Wilkes odmówiłby pożyczki, którą bym ja mu zaproponował. Tak więc żadne z nich nie może wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze.

- Och, jestem pewna, że pan Wilkes nie odmówiłby panu, gdyby zrozumiał, o co chodzi. On tak lubi Scarlett.

- Tak, o tym nie wątpię - rzekł Rett gładko. - Mimo to odmówiłby chyba. Wie pani, jacy dumni są Wilkesowie.

- O Boże! - zawołała Melania ze smutkiem. - Wolałabym... Doprawdy, panie kapitanie, nie będę mogła podejść swojego męża.

- Nawet dla przysłużenia się Scarlett? - Rett wydawał się bardzo dotknięty. - A ona tak panią lubi!

Łzy zawisły na powiekach Melanii.

- Wie pan doskonale, że uczyniłabym dla Scarlett wszystko. Nigdy, przenigdy nie będę mogła jej się odwdziaczyć za to, co dla mnie zrobiła. Wie pan o tym dobrze.

- Tak - powiedział krótko - wiem, co zrobiła dla pani. Czy nie mogłaby pani powiedzieć panu Wilkesowi, że pieniądze zostawił pani w spadku jakiś krewny?

- Och, panie kapitanie, nie mam żadnego krewnego z pieniędzmi!

- A gdybym przysłał panu Wilkesowi pieniądze pocztą, bez podania nazwiska tego, kto je wysyła, czy dopilnuje pani, aby zostały zużyte na kupno tartaków, a nie rozdane na przykład ubogim eks-konfederatom?

Z początku Melania była trochę dotknięta słowami Retta, bo zawierały jak gdyby krytykę Ashleya, ale Rett uśmiechnął się tak pobłaźliwie, że odpowiedziała mu uśmiechem.

- Rozumie się.

- A zatem załatwione? Pozostanie to naszą tajemnicą, dobrze?

- Ale ja nigdy nie miałam żadnej tajemnicy przed mężem!

- Tego jestem pewien, pani Melu.

Kiedy spojrzała na niego, pomyślała, że nigdy się co do niego nie myliła tak jak inni

ludzie. Ludzie mówili, że jest brutalny, ironiczny, źle wychowany, nawet nieuczciwy. To prawda, że coraz więcej bardzo miłych osób przyznawało się teraz do swojej pomyłki. Ona jednak od samego początku wiedziała, że kapitan jest szlachetnym człowiekiem. Doznawała od niego zawsze najuprzejmiejszego zachowania, życzliwości, głębokiego szacunku i wielkiego zrozumienia. Poza tym zaś, jakże kochał Scarlett! Jak to z jego strony ładnie, że w tak określony sposób starał się uwolnić ją od ciężarów, które dźwigała.

W nagłym przypływie uczucia powiedziała: - Scarlett powinna być szczęśliwa, że ma męża, który tak jest dla niej dobry!

- Tak pani sądzi? Obawiam się, że nie zgodziłaby się z panią, gdyby to słyszała. Poza tym staram się być dobry także i dla pani, pani Melu. Daję pani znacznie więcej niż Scarlett.

- Mnie? - zapytała zaskoczona. - Och, myśli pan dla Beau.

Wziął do ręki kapelusz i wstał. Przez chwilę patrzył na nieładną twarzyczkę w kształcie serca i na ciemne poważne oczy Meli. Jaka to uduchowiona twarz, twarz bez siły przeciwstawiania się życiu.

- Nie, nie dla Beau. Staram się dać pani więcej nawet niż przyszłość Beau, jeżeli może sobie pani coś takiego wyobrazić.

- Nie, nie mogę - rzekła, znowu zdumiona. - Nie ma na świecie nic droższego dla mnie niż Beau, z wyjątkiem Ash... pana Wilkesa.

Rett nic nie powiedział, ale nie przestawał na nią patrzeć z nieruchomą twarzą.

- Bardzo pan jest dobry, że chce pan coś dla mnie zrobić, panie kapitanie, ale doprawdy, ja jestem tak bardzo szczęśliwa. Mam wszystko w świecie, o czym może marzyć kobieta.

- To doskonale - powiedział Rett szeptem nagle. - Postaram się więc, aby mogła to pani zachować.

Kiedy Scarlett wróciła z Tary, z twarzy jej znikła niezdrowa bladość, a policzki były pełniejsze i lekko zaróżowione. Zielone jej oczy znowu były żywe i błyszczące i po raz pierwszy od wielu tygodni roześmiała się na głos, kiedy Rett i Bonnie przyszli po nią i dzieci na stację - roześmiała się, rozbawiona i trochę zła. Rett miał zatknięte za kapelusz dwa indycze pióra, Bonnie zaś, ubrana w rozpaczliwie podartą sukienkę, niegdyś odświętną, wymalowane miała na policzkach jaskrawoniebieskie poprzeczne pasy, a we włosach sterczało jej pawie piórko niemal tak duże jak ona. Odbywała się najprawdopodobniej zabawa w Indian, kiedy nadeszła pora wyjścia na stację, i z zakłopotanej i bezradnej miny Retta i z oburzenia Mammy wynikało, że Bonnie nie pozwoliła się przebrać nawet na spotkanie matki.

Scarlett powiedziała: - Co też z ciebie za oberwaniec - całując dziecko i nadstawiając policzek pod wargi Retta. Na stacji były tłumy ludzi i dlatego przywitała się z nim tak

serdecznie. Mimo zakłopotania z powodu wyglądu Bonnie zdołała zauważyć, że wszyscy w tłumie uśmiechali się do ojca i córki nie kpiąco, ale z prawdziwym ubawieniem i sympatią. Wszyscy wiedzieli, że najmłodsze dziecko Scarlett całkowicie zawojowało ojca, i Atlanta bardzo to pochwalała. Wielka miłość Retta do córki bardzo się przyczyniła do przywrócenia mu łask w opinii publicznej.

W drodze do domu Scarlett opowiadała nowiny z powiatu. Upały i susza tak się przyczyniły do wzrostu bawełny, że rosła po prostu w oczach, ale mimo to Will mówił, że ceny będą na jesieni niskie. Zuela znowu spodziewa się dziecka - wymówiła to tak, aby dzieci nie zrozumiały - a Ella wykazała niezwykłą jak na siebie energię i pogryzła najstarszą córeczkę Zueli. Na to zresztą, zdaniem Scarlett, mała Zuzia zupełnie zasłużyła, bo wdała się w swoją matkę. Zuela jednak wpadła we wściekłość i pokłóciły się ze sobą tak jak w dawnych czasach. Wade zabił wodnego węża, zupełnie sam. Randa i Kamila Tarleton uczą w szkole, czy to nie zabawne? Żadne z rodziny Tarletonów nigdy nie wiedziało, jak się pisze „róża”! Betsy Tarleton wyszła za tęgiego jednorekiego mężczyznę z Lovejoy i z mężem Hetty, Jimem Tarletonem zajmują się majątkiem. Pani Tarleton miała klacz i źrebca, i była z tego tak zadowolona jak z miliona dolarów. A w dawnym domu Calvertów mieszkają Murzyni! Całe ich roje - są właścicielami plantacji! Kupili ją z licytacji. Dom jest prawie rozwalony i serce się kraje na jego widok. Nikt nie wie, co się dzieje z Kasią i jej mężem nicponiem. A Aleks Fontaine ma się żenić z Sally, wdową po jego bracie! To dopiero, po tylu latach mieszkania pod jednym dachem! Wszyscy mówią, że to małżeństwo z rozsądku, bo ludzie zaczęli już plotkować na temat ich mieszkania we dwoje, po śmierci starej i młodej pani Fontaine. To omal nie złamało serca Dimity Munroe. Ale dobrze jej tak. Gdyby miała trochę rozumu, złapałaby sobie innego męża, zamiast czekać, aż Aleks tak się wzbogaci, aby móc się z nią ożenić.

Scarlett paplała wesoło, ale wiele było wiadomości o powiecie, które przemilczała, wiele spraw, o których myślała z bólem. Jeździła z Willem po okolicy i starała się nie pamiętać czasów, gdy tysiące urodzajnych akrów zieleniły się bawełną. Teraz plantacja za plantacją pokrywały się lasem i gdzie dawniej stały domy i ciągnęły się łąny bawełny, pola zarosłe były jałowcem, karłowatym dębem i sosną. Uprawiano teraz jeden akr ziemi, gdzie dawniej orało się sto. Miała wrażenie, jak gdyby przejeżdżała przez umarły kraj.

- Ta okolica nie odrodzi się i za pięćdziesiąt lat, jeżeli odrodzi się w ogóle - powiedział Will. - Tara jest najlepszą fermą w powiecie, dzięki mnie i tobie, Scarlett, ale to jest ferma, nie plantacja. Majątek Fontaine'ów idzie za Tarą, potem zaś ferma Tarletonów. Nie mają pieniędzy, ale jakoś żyją i dają sobie radę. Ale reszta ludzi, reszta ferm...



Nie, Scarlett nie chciała sobie przypominać, jak wyglądał opustoszały powiat. Teraz, na tle ruchu i dobrobytu Atlanty, było to tym bardziej smutne.

- A co się tutaj działo? - zapytała, kiedy wreszcie dojechali do domu i usiedli na ganku. Po drodze ze stacji mówiła dużo i szybko, obawiając się, że zapadnie kłopotliwe milczenie. Nie rozmawiała sam na sam z Rettem od dnia, kiedy spadła ze schodów, i nie bardzo chciała być z nim teraz sama. Podczas jej rekonwalescencji był uosobieniem dobroci, ale była to dobroć obojętnego znajomego. Uprzedzał jej życzenia, pilnował, aby dzieci jej nie męczyły, i doglądał sklepu i tartaków. Nie powiedział jednak - Przepraszam cię, Scarlett. - Może zresztą wcale niczego nie żałował. Może w dalszym ciągu sądził, że dziecko, które się nie urodziło, nie było jego dzieckiem. Skądże mogła wiedzieć, co się działo w tym mózgu za układną, ciemną twarzą? Ale starał się być uprzejmy, po raz pierwszy w ich życiu, i zdradzał chęć, aby życie szło naprzód, jak gdyby nie było nigdy nieprzyjemnych zająć między nimi - jak gdyby, myślała Scarlett ze smutkiem, jak gdyby nic ich nigdy ze sobą nie łączyło. Skoro więc tego sobie życzył, ona gotowa była także się przystosować.

- Czy wszystko w porządku? - powtórzyła. - Czy dostarczono do sklepu nowych dachówek? Czy zamieniłeś muły? Na miłość boską, Rett, wyjm już te pióra z kapelusza. Wyglądasz jak wariat i gotów jesteś pójść tak do miasta, jeżeli zapomnisz je wyjąć.

- Nie - powiedziała Bonnie zaczepnie, biorąc kapelusz ojca.

- Wszystko szło jak najlepiej - odparł Rett. - Bardzośmy się dobrze z Bonnie bawili, ale zdaje mi się, że nie widziała grzebienia od czasu twego wyjazdu. Nie oblizuj tych piór, kochanie, to brzydko. Tak, dachówkę już położono i muły zamieniłem bardzo korzystnie. Nie, naprawdę, nie ma żadnych nowin. Było właściwie zupełnie nudno. - Po chwili, jak gdyby przypomniawszy coś sobie, dodał: - Wielmożny pan Ashley był tutaj wczoraj wieczorem. Chciał wiedzieć, czy nie miałabyś chęci sprzedać mu swego tartaku oraz udziału w tartaku, który on prowadzi.

Scarlett, która bujała się w fotelu i wachlowała wachlarzem z piór kogucich, nagle zatrzymała się.

- Sprzedać? A skądże Ashley ma pieniądze? Wiesz, że nigdy ani grosza nie mieli. Melania wydaje równie szybko, jak on zarabia.

Rett wzruszył ramionami. - Uważałem ją zawsze za osobę bardzo skromną, ale oczywiście nie jestem tak dokładnie poinformowany o intymnych szczegółach życia Wilkesów jak ty.

Ten docinek bardziej już przypominał dawny styl Retta, więc Scarlett rozżłościła się.

- Idź sobie teraz, kochanie - powiedziała do Bonnie. - Mamusia chce porozmawiać z

tatusiem.

- Nie - rzekła Bonnie stanowczo i wdrapała się na kolana Retta.

Scarlett zmarszczyła brwi, ale Bonnie w odpowiedzi spojrzała na nią spod oka i tak przy tym była podobna do Geralda O'Hary, że Scarlett miała ochotę roześmiać się.

- Pozwól jej zostać - rzekł Rett łagodnie. - A co się tego tyczy, skąd Ashley ma pieniądze, to zdaje mi się, że przysłał mu je ktoś, kogo pielęgnował podczas ciężkiej ospy w Rock Island. Świadomość, że wdzięczność jeszcze istnieje na tym świecie, przywraca mi wiarę w człowieka.

- Kto to taki? Czy jakiś znajomy?

- List nie był podpisany, a przyszedł z Waszyngtonu. Ashley był w kłopotcie, bo nie wiedział, kto to może być. No, ale człowiek tak pozbawiony egoizmu jak Ashley chodząc po świecie spełnia tyle dobrych uczynków, że trudno, aby wszystkie pamiętał.

Gdyby nie była tak zdumiona szczęśliwym dla Ashleya zrządzeniem losu, podniosłaby tę rękawicę, chociaż w Tarze postanowiła już nigdy się nie kłócić z Rettem na temat Ashleya. Grunt pod jej nogami był w tej sprawie zbyt niepewny i dopóki nie wyjaśniła całkowicie sytuacji z nimi obydwoma, nie miała ochoty dawać się wciągać w rozmowę.

- Chce odkupić ode mnie tartaki?

- Tak. Powiedziałem mu, że ty, oczywiście, nie sprzedasz.

- Wolałabym, abyś się nie wtrącał do moich spraw.

- No, ale przecież to jasne, że nie zechcesz się rozstać z tartakami. Powiedziałem mu, że wie chyba tak dobrze jak ja, że lubisz wglądać we wszystko, a gdybyś mu sprzedała tartaki, nie mogłabyś mu radzić, jak prowadzić interesy.

- Ośmieliłeś się to o mnie powiedzieć?

- Czemu nie? To przecież prawda. Wydaje mi się, że podziela moje zdanie, ale, oczywiście, jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby przyznać to głośno.

- To kłamstwo! Sprzedam mu tartaki! - zawołała Scarlett ze złością.

Do tej chwili nie miała zamiaru rozstawać się z nimi. Miała wiele powodów, aby je zatrzymać, przy czym wartość ich była najmniej ważna. Mogła je była sprzedać niejednokrotnie w ciągu ostatnich lat, i za dobrą cenę, odrzucała jednak wszystkie oferty. Tartaki były namacalnym dowodem tego, co dokonała, bez pomocy i mimo wielkich przeszkód; dumna więc była z nich i z siebie. Przede wszystkim zaś nie chciała ich sprzedać, bo stanowiły jedyną możliwość spotkania się z Ashleyem. Jeżeli tartaki przestaną być jej własnością, będzie musiała widywać Ashleya rzadziej i nigdy nie będzie z nim sam na sam. Musiała zaś go widywać. Nie mogła dłużej żyć w ten sposób, nie wiedząc, jakie Ashley żywi

dla niej uczucia, zastanawiając się, czy miłość jego zabił wstyd owego okropnego wieczoru, gdy było przyjęcie Melanii. Podczas załatwiania z nim interesów mogła znajdować wiele sposobnych do rozmowy chwil i nikt nie mógł jej podejrzewać, że go prześladowuje. Wiedziała, że z biegiem czasu może odzyska to, co w jego sercu straciła. Gdyby jednak sprzedała tartaki...

Nie, nie chciała ich wcale sprzedawać, ale wzburzona myślą, że Rett przedstawił ją przed Ashleyem w tak prawdziwym i niepochlebnym świetle, zdecydowała się w jednej chwili. Ashley może mieć tartaki, i po takiej cenie, że zrozumie wreszcie, jak jest wspaniałomyślna.

- Sprzedam je! - krzyknęła z pasją. - No, i co teraz powiesz?

W oczach Retta ukazała się iskierka tryumfu, gdy pochylił się, aby zawiązać Bonnie sznurowadło.

- Powiem, że tego pożałujesz - rzekł spokojnie.

Już żałowała swoich nierozważnych słów. Gdyby powiedziała je komuś innemu, nie Rettowi, zaparłaby się ich bezwstydnie. Dlaczego uniosła się w ten sposób? Spojrzała na Retta ze złością i zauważyła, że patrzy na nią dawnym swoim, przenikliwym spojrzeniem. Kiedy zobaczył jej zmarszczone brwi, zaśmiał się nagle i zęby mu błysnęły. Scarlett miała niejasne wrażenie, że Rett z rozmysłem doprowadził ją do tego kroku.

- Czyś ty miał coś wspólnego z tą sprawą? - zapytała ostro.

- Ja? - Rett podniósł brwi w udanym zdziwieniu. - Powinnaś mnie lepiej znać. Nigdy nie staram się spełniać dobrych uczynków, jeżeli mogę tego uniknąć.

Tego samego wieczora Scarlett sprzedała Ashleyowi tartaki i wszystkie swoje udziały. Nic na tym nie straciła, bo Ashley nie chciał przyjąć jej pierwszej niskiej oferty i zapłacił jej najwyższą cenę, jaką jej kiedykolwiek ofiarowano. Kiedy podpisała papiery i tartaki już nieodwołalnie przestały być jej własnością, a Melania dla uczczenia transakcji podała Ashleyowi i Rettowi małe szklaneczki wina, Scarlett poczuła się tak osierocona, jak gdyby sprzedała jedno ze swoich dzieci.

Tartaki były jej ukochaniem, chlubą jej, dorobkiem jej małych, zaborczych dłoni, W tych ponurych dniach, gdy Atlanta zaczynała się odradzać z ruin i popiołów, a niedostatek zaglądał jej w oczy, zaczęła od jednego małego tartaczku. Walczyła o nie, zabiegała i chroniła je w trudnych czasach, gdy groziła konfiskata jankeska, gdy ciężko było o pieniądze i nawet mężczyzn zewsząd wypierano. A teraz, kiedy rany Atlanty zabiły się, kiedy nowe budynki wyrastały wszędzie, a nowi przybysze napływali z każdym dniem do miasta, miała dwa doskonałe tartaki, dwa składy drzewa, tuzin mułów i wozów, i robotników-więźniów, którzy

umożliwiali jej niską kalkulację cen. Pożegnanie tego wszystkiego równało się dla niej zamknięciu drzwi za szmatem życia, trudnym i ciężkim - który jednak wspominała z nostalgią i dumą.

Zbudowała to przedsiębiorstwo, a teraz sprzedawała je i gnębiło ją przecucie, że bez jej pomocy Ashley wszystko straci - wszystko, co zbudowała własną pracą. Ashley ufał wszystkim i dotąd nie rozróżniał wymiarów desek. A teraz nie będzie go mogła wspierać nawet radą - ponieważ Rett go uprzedził, że lubi się do wszystkiego wtrącać.

„Ach, niech licho porwie Retta!” - myślała i obserwując go była niemal pewna, że on to wszystko urządził. Jak i dlaczego - nie wiedziała. Rozmawiał teraz z Ashleyem; zastanowiły ją jego słowa.

- Sądzę, że teraz zwolni pan od razu więźniów - powiedział.

Zwolnić więźniów? Cóż to znowu za pomysł? Rett wiedział doskonale, że tartaki dawały wielkie zyski właśnie dzięki taniej robociźnie. I dlaczego Rett z taką pewnością mówił o planach Ashleya? Cóż mógł wiedzieć o jego zamiarach?

- Tak, odprawię ich natychmiast - odrzekł Ashley unikając wzroku zaskoczonej Scarlett.

- Czyś ty zwariował? - zawołała. - Stracisz złożoną za nich kaucję. I jakich robotników znajdziesz na ich miejsce?

- Przyjmę wyzwolenców - odparł Ashley.

- Wyzwolenców! Zawracanie głowy! Wiesz, ile będziesz im musiał płacić, poza tym zaś będziesz miał co chwila na karku Jankesów, którzy będą sprawdzali, czy dajesz im trzy razy dziennie drób i czy śpią na edredonowych puchach. A jeżeli przyłożysz leniwemu Murzynowi parę batów, aby wziął się do roboty, Jankesi podniosą wrzawę na cały stan i skończysz jeszcze w więzieniu. Więźniowie są jedynym...

Melania patrzyła na swoje splecione na kolanach dłonie, Ashley miał minę smutną, ale stanowczą. Przez chwilę milczał. Potem spojrzał na Retta i w spojrzeniu jego wyczytał zrozumienie i jak gdyby zachętę, które nie uszły uwagi Scarlett.

- Nie będę zatrudniał więźniów, Scarlett - powiedział spokojnie.

- Też dopiero! - aż jej dech zaparło. - Ale dlaczego? Czy obawiasz się, że ludzie będą cię tak krytykowali jak mnie?

Ashley podniósł głowę.

- Nie obchodzi mnie to, co mówią ludzie, jeżeli wiem, że mam słuszność. Nigdy zaś nie uważałem, aby zatrudnianie więźniów było słuszne.

- A dlaczego...

- Nie mogę się bogacić na przymusowej pracy i na nieszczęściu innych.

- Miałeś przecież niewolników!

- Nie byli nieszczęśliwi.. Poza tym zaś po śmierci ojca dałbym im wolność, gdyby nie okoliczność, że zyskali ją dzięki wojnie. To jednak jest inna sprawa, Scarlett. System ten pozwala na zbyt wiele nadużyć. Może ty o tym nie wiesz, ja jednak wiem. Wiem doskonale, że Gallegher zabił u siebie przynajmniej jednego człowieka. Może nawet i więcej, bo ktoś dba o to, ilu jest więźniów - jeden mniej czy więcej? Mówił, że człowiek został zabity, kiedy usiłował uciec, ale z innej strony słyszałem cc innego... Wiem także, że zmuszał do pracy ludzi chorych i słabych. Nazwij to przesądem, ale nie wierzę, aby człowiekowi mogły przynieść szczęście pieniądze zdobyte dzięki cierpieniom bliźnich.

- Do stu tysięcy piorunów! Chcesz powiedzieć... na miłość boską, Ashleyu, przecież nie przejąłeś się chyba kazaniem księdza Wallace'a na temat skalanych pieniędzy?

- Nie, nie przejąłem się wcale. Wierzyłem w to, zanim usłyszałem owo kazanie.

- A więc musisz wobec tego uważać, że cały mój majątek jest skalany! - zawołała Scarlett, trochę już zła. - Ponieważ zatrudniałam więźniów i jestem właścicielką szynku i... - Przerwała. Wilkesowie byli zakłopotani, a Rett uśmiechał się złośliwie. „Niech go wszyscy diabli - pomyślała Scarlett gwałtownie. - Myśli, że znowu wtrącam się w cudze sprawy, i Ashley myśli to samo. Żałuję, że nie mogę im porozbijać głów!” Opanowała złość i bez powodzenia starała się przybrać wyraz obojętnej godności.

- To mnie oczywiście mało wzrusza - powiedziała.

- Scarlett, nie sądz, że cię potępiam! Skądże znowu. Patrzymy tylko na wiele spraw zupełnie odmiennie, i to, co tobie odpowiada, może nie być dobre dla mnie.

Nagle zaczęła żałować, że nie są sami, że Rett i Melania nie znajdują się na drugim końcu świata, tak, by mogła zawołać: - Ale ja chciałabym patrzeć na wszystko tak samo jak ty! Powiedz mi, co masz na myśli, abym cię mogła zrozumieć i stać się podobna do ciebie.

W obecności Melanii, drżącej z zakłopotania z powodu tej sceny, i Retta, wygodnie rozpartego i uśmiechającego się do niej z ironią, mogła tylko powiedzieć bardzo chłodno i z obrażoną godnością: - Zresztą to są twoje sprawy, Ashleyu, i nie mam się bynajmniej zamiaru do nich wtrącać. Muszę jednak przyznać, że nie pojmuję ani twego punktu widzenia, ani twoich uwag.

Och, gdybyż tylko byli sami, aby nie musiała mówić mu tych chłodnych słów, które go zasmuciły!

- Obraziłem cię, Scarlett, choć nie miałem zamiaru tego robić. Sądzę, że uwierzysz mi i przebaczysz. Nie ma nic zagadkowego w tym, co powiedziałem. Przekonany tylko jestem, że pieniądze zdobyte w pewien sposób rzadko przynoszą szczęście.

- Ależ mylisz się! - zawołała nie mogąc się dłużej opanować. - Spójrz na mnie! Wiesz, w jaki sposób dorobiłam się majątku. Wiesz przecież, w jakiej byłam sytuacji, zanim zaczęłam zarabiać! Pamiętasz chyba tę zimę w Tarze, kiedy były mrozy, kiedy robiliśmy sobie buty z dywanów, kiedy nie mieliśmy dość jedzenia i zastanawialiśmy się, w jaki sposób wychowamy Beau i Wade'a. Pamięć...

- Pamiętam - rzekł Ashley znużonym głosem - ale wolałbym zapomnieć.

- Nie możesz chyba twierdzić, że ktokolwiek z nas był wtedy szczęśliwy, prawda? A popatrz na nas teraz! Ty masz ładny dom i zapewnioną przyszłość. A czy jest ktoś w mieście, kto by miał piękniejszy dom, ładniejsze suknie czy lepsze konie niż ja? Nikt tak pięknie nie przyjmuje ani ładniej nie nakrywa do stołu, a dzieci moje mają wszystko, czego zapragną. No, a w jaki sposób doszłam do pieniędzy, które mi wszystko umożliwiają? Czy spadły z nieba? Nie, mój drogi! Dali mi je więźniowie, czynsz z szynku i...

- Nie zapominaj także o zamordowaniu tego Jankesa - rzekł Rett cicho. - To właściwie dało ci start życiowy.

Scarlett odwróciła się do niego odpowiadając ostro.

- I pieniądze te uczyniły cię bardzo szczęśliwą, prawda, kochanie? - zapytał z jadowitą słodyczą.

Scarlett zatrzymała się w pół słowa, z otwartymi ustami, i szybko przebiegła wzrokiem po twarzach trojga obecnych. Melania omal nie płakała z zakłopotania, Ashley nagle spochmurniał i zamknął się w sobie, a Rett obserwował ją z obojętnym uśmiechem. Chciała krzyknąć: „Rozumie się, że uczyniły mnie szczęśliwą!”

Nie wiadomo jednak dlaczego, nie mogła nic powiedzieć.



## ROZDZIAŁ LVIII

W okresie, który nastąpił po jej powrocie do zdrowia, Scarlett zauważyła zmianę w Recie, która na ogół nie bardzo jej się spodobała. Rett był trzeźwy, spokojny i zamknięty w sobie. Częściej bywał teraz w domu na kolacji, był grzeczniejszy dla służby i czulszy dla Wade'a i Elli. Nigdy nie nawiązywał do niczego z ich wspólnej przeszłości, ani do rzeczy przyjemnych, ani do niemiłych, i jak gdyby czekał milcząco, że Scarlett coś o tym wspomni. Scarlett jednak chciała spokoju, łatwiej było zostawić sprawy własnemu ich biegowi, bo życie układało się pozornie dość gładko. Obojętna uprzejmość Retta, którą zaczął jej okazywać podczas rekonwalescencji, trwała dalej: przestał jej teraz docinać i dokuczać. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że chociaż doprowadzał ją do pasji złośliwymi uwagami i zmuszał do gniewnych odpowiedzi, czynił to wyłącznie z zainteresowania tym co robi czy mówi. Zastanawiała się, czy go to teraz jeszcze obchodzi. Był grzeczny i obojętny - jej zaś brakło dawnych sprzeczek i przekomarzań.

Rett był teraz dla niej tak uprzejmy jak człowiek obcy; ale tak samo, jak dawniej za nią, teraz wodził wzrokiem za Bonnie. Mogło się wydawać, że wartki nurt jego życia mieścił się teraz w jednym wąskim łożysku. Czasem Scarlett myślała, że gdyby Rett dawał jej połowę tej uwagi i czułości, którą poświęcał Bonnie, życie byłoby zupełnie inne. Czasem trudno było jej się uśmiechać, kiedy ludzie mówili: - Ależ kapitan Butler ubóstwia to dziecko! - Ale gdyby się nie uśmiechała, ludzie zaczęliby się dziwić, Scarlett zaś nie chciała się przyznawać, nawet przed samą sobą, że jest zazdrosna o córeczkę, zwłaszcza że Bonnie była jej najukochańszym dzieckiem. Scarlett zawsze chciała mieć pierwsze miejsce w sercach ludzi, którzy ją otaczali, a teraz stało się jasne, że Rett i Bonnie zawsze będą dla siebie najbliżsi.

Rett wychodził dość często późnym wieczorem, ale wracał zawsze trzeźwy do domu. Czasem słyszała, jak cicho pogwizduje schodząc na dół koło jej zamkniętych drzwi. Czasem przychodził w nocy w towarzystwie jakichś mężczyzn, z którymi rozmawiał w jadalni przy butelce koniaku. Nie byli to ci sami mężczyźni, z którymi pijał w pierwszych latach małżeństwa. Nie zapraszał teraz nigdy do domu ani bogatych Carpetbaggerów, ani Scallawagów, ani republikanów. Scarlett wykradając się na palcach do górnego hallu starała się podsłuchiwać i ku swemu zdumieniu często słyszała głosy Rene Picarda, Hugona Elsinga, młodych Simmonsów i Andy Bonnella. Zawsze także przychodził dziadek Merriweather i wuj Henryk. Razu pewnego, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dosłyszała nawet głos doktora Meade. A ludzie ci uważali kiedyś, że szubienica jest dla Retta za dobra!



Ta grupa ludzi kojarzyła się zawsze w jej pamięci ze śmiercią Franka, a późne powroty Retta w owe dni przypominały jej czasy poprzedzające wyprawę Klanu, w której Frank postradał życie. Przypomniała sobie z przerażeniem uwagę Retta, że dla zyskania sobie szacunku przystąpiłby nawet do przekłętego Klanu, choć prosi Boga, aby nie wyznaczał mu tak ciężkiej pokuty. A jeżeli Rett jak Frank...

Pewnej nocy, kiedy nie było go dłużej niż zwykle, nie mogła już znieść niepewności. Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, narzuciła szlafrok i wyszedłszy do oświetlonego gazem hallu spotkała go na schodach. Wyraz jego twarzy, zamyślony i daleki, zmienił się w zdziwienie, kiedy ją zobaczył.

- Rett, ja muszę wiedzieć! Muszę wiedzieć, czy ty... czy to Klan jest przyczyną, że wracasz tak późno? Czy należysz...

W jasnym świetle gazowym popatrzył na nią uważnie, a potem się uśmiechnął.

- Nie wiesz, co się dzieje na świecie, Scarlett - powiedział. - Nie ma już Klanu w Atlancie ani prawdopodobnie w całej Georgii. Zbyt uważnie przysłuchujesz się opowiadaniom twoich przyjaciół Carpetbaggerów i Scallawagów o okrucieństwach Klanu.

- Czy kłamiesz teraz, aby mnie uspokoić?

- Moja droga, czy kiedykolwiek starałem się ciebie uspokoić? Nie, nie ma już teraz Klanu. Zdecydowaliśmy, że bardziej nam szkodzi, niż pomaga, bo tylko podniecał Jankesów i dostarczał wody na młyn oszczerstw jego ekscelencji, gubernatora Bullocka. Gubernator wie, że pozostanie przy władzy dopóty, dopóki uda mu się utrzymać rząd federalny i dzienniki jankeskie w przekonaniu, że w Georgii krzewi się bunt i że członkowie Klanu czają się za każdym drzewem. Dla utrzymania się przy władzy rozpaczliwie zmyśla historyjki o okrucieństwach Klanu, w ogóle nie zdarzających się, i opowiada, że lojalni republikanie wieszani są za palce, a uczciwi Murzyni linczowani dla przyjemności. Mierzy jednak w nie istniejący cel i zdaje sobie z tego sprawę. Dziękuję ci za twoją troskliwość, ale Klan zawiesił swoją działalność wkrótce potem, gdy przestałem być Scallawagiem i stałem się pokornym demokratą.

Większa część tego, co powiedział o gubernatorze Bullocku, weszła jej w jedno ucho, a wyszła drugim, bo wypełniło ją uczucie ulgi, że Klan przestał istnieć. Rett nie zostanie zabity jak Frank; nie straci sklepu swego ani pieniędzy. Jedno jego słowo utkwiło jej ostro w pamięci. Powiedział: „zdecydowaliśmy”, łącząc się w sposób oczywisty z tymi, których dawniej nazywał „starą gwardią”.

- Rett - zapytała nagie - czyś to ty przyczynił się do rozwiązania Klanu?

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i oczy mu zabłyśły.

- Tak, kochanie, ja. Jest to zasługą głównie Ashleya Wilkesa i moją.

- Ashleya... i twoją?

- Tak, to banalne, ale prawdziwe - polityka dziwnie łączy ludzi. Ani Ashleyowi, ani mnie nie bardzo zależy na związku tak ścisłym, ale... Ashley nigdy nie miał przekonania do Klanu, bo przeciwny jest zasadniczo gwałtom. Ja zaś nie miałem przekonania, bo to był głupi i zły sposób dochodzenia do celu. Obstając przy Klanie mielibyśmy Jankesów na karku do skończenia świata. Razem więc z Ashleyem przekonaliśmy resztę tych zapaleńców, że obserwowanie, czekanie i praca dalej nas zaprowadzą niż koszule i ogniste krzyże.

- Chcesz więc powiedzieć, że Klan usłuchał twojej rady, mimo że byłeś...

- Mimo że byłem spekulantem? Scallawagiem? Zausznikiem Jankesów? Zapominasz jednak, pani Butler, że jestem teraz dobrze widzianym demokratą, do ostatniej kropli krwi oddanym sprawie oswobodzenia naszego ukochanego stanu z rąk najeźdźców! Rada moja była dobra, więc jej usłuchano. W innych politycznych kwestiach rada moja jest nie mniej dobra. Prawda, że mamy teraz większość demokratyczną w rządzie stanowym? A wkrótce już, moja kochana, kilku dobrych naszych przyjaciół republikanów zasiądzie za kratkami. Wszyscy oni stali się ostatnio trochę zbyt łapczywi, zbyt bezwstydni.

- I ty przyczynisz się do ich uwięzienia? Ale przecież jesteś z nimi w przyjaźni! Dopuszcili cię do budowy kolei, na której zarobiłeś tysiące!

Rett uśmiechnął się nagle swoim dawnym drwiącym uśmiechem.

- Och, toteż ja bynajmniej nie mam do nich żalu. Ale stoją teraz po przeciwnej stronie i jeżeli będę się mógł przyczynić do wsadzenia ich tam, gdzie ich miejsce, zrobię to z ochotą. I jakże to poprawi moją opinię! Wiem dość dużo o niektórych z tych interesów, aby być bardzo użytecznym, gdy prokuratura zacznie się nimi zajmować - a to nastąpi już wkrótce, jeżeli sądzić po tym, jak się sprawy teraz przedstawiają. Wytoczy się dochodzenie przeciw gubernatorowi i jeżeli dobrze pójdzie, zamknie się i jego w więzieniu. Powiedz lepiej swoim przyjaciołom, Gelertom i Hundonom, aby się przygotowali do wyjazdu z miasta, bo jeżeli capną gubernatora, przytrzymają i ich.

Scarlett zbyt długo widziała republikanów, popieranym przez armię jankeską, u szczytu władzy w Georgii, aby uwierzyć w słowa Retta. Pozycja gubernatora była zbyt mocna, aby go rząd mógł utrać, tym bardziej zaś zamknąć w więzieniu.

- Co też ty wygadujesz - powiedziała tylko.

- Jeżeli nie wsadzą go do więzienia, to przynajmniej nie wybiorą po raz drugi. Będziemy mieli już wkrótce gubernatora demokratę.

- A ty prawdopodobnie i w tym będziesz brał udział? - zapytała z sarkazmem.

- Będę brał udział, moja złota. Już mam z tym dużo wspólnego. Dlatego tak późno wracam wieczorami. Pracuję przy organizowaniu nowych wyborów cięższej, niż kiedy kopałem złoto. I wiem, że to cię niemile dotknie, pani Butler, ale daję bardzo dużo na tę organizację. Czy pamiętasz, jak mi wiele lat temu powiedziałaś w sklepie Franka, że to nieuczciwe z mojej strony, abym zatrzymywał pieniądze Konfederacji? Zgodziłem się wreszcie z tobą i wydaję teraz złoto Konfederacji na przywrócenie konfederatów do władzy!

- Rzucasz pieniądze w błoto!

- Co takiego? Nazywasz błotem partię demokratyczną? - Oczy jego spojrzały drwiąco, a potem stały się spokojne, bez wyrazu. - Nic mnie to nie obchodzi, kto zwycięży w wyborach. Obchodzi mnie tylko to, aby wszyscy wiedzieli, że pracowałem przy nich i dawałem pieniądze. To zaś ludzie zapamiętają i za wiele lat policzą na korzyść Bonnie.

- Prawie się już obawiałam, słysząc twoje bogobojne słowa, żeś zmienił się w duszy, ale widzę teraz, że nie jesteś szerszy w stosunku do demokratów niż w stosunku do kogokolwiek innego.

- W duszy nie zmieniłem się wcale. Zmieniłem tylko skórę. Można prawdopodobnie ztrzeć plamy ze skóry lamparta, ale mimo to lampart pozostanie lampartem.

Bonnie, zbudzona dźwiękiem rozmowy w hallu, zawołała sennie, ale rozkazująco: - Tatusiu! - i Rett minąwszy Scarlett skierował się w stronę jej pokoju.

- Rett, poczekaj chwilkę. Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Musisz przestać zabierać Bonnie na popołudniowe zebrania polityczne. To nie wygląda właściwie. Cóż to za pomysł, aby małą dziewczynkę zabierać w takie miejsca! I ty także wyglądasz z tym głupio. Nigdy tego nie podejrzewałam, ale wuj Henryk wspomniał mi o tym, przekonany zresztą, że o tym wiem.

Odwrócił się ku niej ze zmarszczonymi brwiami.

- Jak możesz dopatrywać się czegoś złego w tym, że mała dziewczynka siedzi na kolanach ojca podczas zebrań politycznych? Możesz zresztą uważać, że to głupio wygląda, ale zapewniam cię, że tak nie jest. Ludzie przez długie lata będą pamiętali, że Bonnie siedziała na moich kolanach, kiedy pomagałem wypędzać republikanów z Georgii. Ludzie będą pamiętali to przez długie lata... - Rozpogodził się i w oczach jego ukazały się złośliwe błyski. - Czy wiesz, że kiedy pytają ją, kogo kocha najbardziej, odpowiada: „Tatusia i demokratów” a kogo najbardziej nienawidzi, odpowiada: „Skallwagów”. Ludzie, Bogu dzięki, pamiętają takie rzeczy.

Głos Scarlett nabrzmiał wściekłością. - I prawdopodobnie mówisz jej, że i ja należę do Scallawagów?!

- Tatusiu! - zabrzmiał cienki głosik, teraz już pełen oburzenia, i Rett, jeszcze się śmiejąc, poszedł przez hali do pokoju córeczki.

W październiku tego roku gubernator Bullock podał się do dymisji i uciekł z Georgii. Nadużywanie publicznych pieniędzy, rozrzutność i przekupstwo doszły podczas jego kadencji do takich rozmiarów, że cały gmach administracji walił się pod własnym ciężarem. Nawet we własnej partii gubernatora nastąpił rozłam, tak wielkie było oburzenie opinii publicznej. Demokraci mieli teraz większość w rządzie stanowym i to było groźnym znakiem. Wiedząc, że zostanie mu wytoczone śledztwo, i bojąc się oskarżenia, Bullock postanowił nie czekać. Pośpiesznie i ukradkiem uciekł, tak to urządziwszy, że rezygnacja jego stała się wiadoma dopiero wtedy, gdy był już bezpieczny na Północy.

Kiedy w tydzień potem rozeszła się wiadomość o jego ucieczce, w Atlancie zapanowało podniecenie i radość. Ludzie wylegli na ulice, mężczyźni śmieli się i winszowali sobie, panie całowały się i płakały. Wszyscy dla uczczenia tej nowiny zaczęli wydawać przyjęcia, a straż ogniowa była bez przerwy zajęta pożarami, które wybuchały od zniczów palonych przez małych chłopców.

A zatem prawie zwycięstwo! Rekonstrukcja prawie minęła! Zastępca gubernatora był właściwie także republikaninem, ale wybory miały się odbyć w grudniu i nikt nie miał wątpliwości co do ich wyniku. A kiedy wreszcie nadeszły, mimo rozpaczliwych wysiłków partii republikańskiej Georgia znowu zyskała gubernatora-demokratę.

Wtedy także zapanowało podniecenie i radość, ale innego już rodzaju niż w chwili, gdy Bullock wziął nogi za pas. Radość była wstrzemięźliwsza i głębsza, bardziej podobna do uczucia wdzięczności, i kościoły były pełne, kiedy duchowni pokornie dziękowali Bogu za wyzwolenie stanu. Z radością i poczuciem ulgi mieszała się także дума, że Georgia jest znowu pod rządami swoich ludzi, mimo wysiłków administracji w Waszyngtonie, mimo wojska, Carpetbaggerów, Scallawagów i miejscowych republikanów.

Siedem razy Kongres uchwalał ustawy wymierzone przeciw stanowi, aby utrzymać go w charakterze podbitej prowincji, trzy razy wojsko deptało prawo cywilne. Murzyni kręcili się po urzędach, zachłanni przybysze popełniali nadużycia, ludzie prywatni bogacili się z funduszów publicznych. Georgia była bezsilna, udręczona, wyzyskiwana, przybita. Teraz jednak, dzięki wysiłkom swoich obywateli, Georgia mimo wszystko była znowu sobą.

Nagle odtrącenie republikanów od władzy nie wszystkich nappełniło radością. W szeregach Scallawagów, Carpetbaggerów i republikanów zapanowała konsternacja. Gelertowie i Hundowie, powiadomieni prawdopodobnie o wyjeździe Bullocka przed ogłoszeniem jego rezygnacji, wyjechali nagle z miasta znikając w niebycie, z którego

przybyli. Inni Carpetbaggerzy i Scallawagowie, którzy jeszcze zostali, czuli się niepewnie, byli przerażeni i skupiali się razem, aby pocieszać się wzajemnie i zastanawiać się, jakie ich sprawy dojdą do światła dzienne. Nie byli już teraz bezczelni. Byli zdumieni, oszołomieni, wystraszeni. A panie, które odwiedzały Scarlett, powtarzały raz po raz:

- Ale któż by mógł przypuszczać, że sprawy wezmą taki obrót? Uważaliśmy, że gubernator ma zbyt wielką na to władzę. Przypuszczaliśmy, że będzie tu zawsze. Myśleliśmy...

Scarlett, mimo przepowiedni Retta, była także zdumiona biegiem wypadków. Nie znaczy to, aby martwiła się, że Bullock uciekł i demokraci wrócili do władzy. Chociaż nikt by w to nie uwierzył, i ona czuła ponurą radość, że skończyło się wreszcie panowanie Jankesów. Pamiętała zbyt dokładnie swoje pierwsze przejścia na początku rekonstrukcji, stały lęk, że żołnierze i Carpetbaggerzy skonfiskują jej pieniądze i majątek. Pamiętała swoją bezradność i płynący z niej strach, i nienawiść do Jankesów, którzy narzucili tę upokarzającą władzę całemu Południu. I nigdy nie przestała ich nienawidzić. Ale starając się wyzyskać jak najlepiej koniunkturę, starając się o zupełne bezpieczeństwo, poszła za zwycięzcami. Mimo że bardzo ich nie lubiła, przebywała z nimi, odgrodziła się od starych przyjaciół i dawnego sposobu życia. Teraz panowanie zwycięzców było skończone. Scarlett postawiła na trwanie rządów Bullocka i przegrała.

Kiedy spoglądała wokół siebie w to Boże Narodzenie 1871 r., najszcześniejsze dla Georgii Boże Narodzenie od lat dziesięciu, czuła pewien niepokój. Wiedziała doskonale, że Rett, niegdyś najbardziej znienawidzony człowiek w Atlancie, był teraz jednym z najbardziej popularnych obywateli, ponieważ wyparł się pokornie swoich republikańskich herezji i oddał czas swój, pieniądze, myśli i pracę na pomaganie Georgii w odzyskaniu wolności. Kiedy przejeżdżał ulicami miasta uśmiechając się i uchylając kapelusza, z małą, niebieską Bonnie, usadowioną przed nim na siodle, wszyscy odpowiadali mu uśmiechem, przemawiali przyjaźnie i patrzyli z czułością na małą dziewczynkę. Gdy tymczasem ona, Scarlett...



## ROZDZIAŁ LIX

Nie ulegało wątpliwości, że Bonnie Butler jest bardzo rozpieszczona i że przydałaby jej się silna ręka, była jednak tak powszechną ulubienicą, że nikt nie miał serca postępować z nią surowo. Przestała być posłuszna w czasie długiej podróży z ojcem. Kiedy była z Rettem w Nowym Orleanie i Charlestonie, pozwalał jej siedzieć wieczorami, jak długo chciała, i zasypiać na jego kolanach w teatrach, restauracjach czy przy stolikach karcianych. Odtąd nic z wyjątkiem przemocy nie mogło jej skłonić do pójścia spać o tej samej porze, co posłuszna Ella. Kiedy była z Rettem w podróży, pozwalał jej nosić sukienki, jakie chciała, i odtąd gniewała się, ilekroć Mammy usiłowała ubrać ją w perkaliki i śliniaczki, a nie w niebieskie taftowe suknie i koronkowe kołnierzyki.

Nie było sposobu na wzięcie jej w karby - bo rozpuściła się podczas nieobecności w domu, podczas choroby Scarlett i długiego jej pobytu w Tarze. W miarę jak Bonnie rosła, Scarlett starała się ją ukrócić i zwalczać w niej upór i zepsucie, z małym jednak powodzeniem. Rett zawsze brał stronę małej, choćby żądania jej były szalone, a zachowanie niegrzeczne. Ośmielał ją do rozmowy i traktował jak dorosłą, przysłuchując się jej opiniom z pozorną powagą i udając, że się do nich stosuje. W rezultacie Bonnie przerywała starszym, gdy miała ochotę, przeczyła ojcu i odpowiadała mu ostro. On śmiał się tylko i nie pozwalał, aby Scarlett dawała jej za karę klapsy.

„Gdyby nie była taka słodka i kochana, byłaby zupełnie nieznośna - myślała Scarlett z żalem, zdając sobie sprawę, że dziecko ma równie silną wolę jak ona. - Ubóstwia Retta, jemu byłoby łatwo kazać jej zachowywać się grzecznie”.

Rett jednak nie zdradzał żadnej w tym kierunku chęci. Przyznawał Bonnie rację we wszystkim, co robiła, i choćby zapragnęła gwiazdki z nieba, dostałaby ją z pewnością, gdyby to było w jego mocy. Był niezmiernie dumny z jej urody, loczków, dołeczków i pełnych wdzięku ruchów. Lubił jej żywość, wesołość i rozkoszne sposoby okazywania mu swej miłości. Mimo zepsucia i uporcu Bonnie była tak miłym dzieckiem, że nie miał serca jej poskromić. Był jej bogiem, osią jej małego światka i cenił to sobie tak bardzo, że nie chciał tego tracić na skutek surowości i napomnień.

Bonnie trzymała go się jak cień. Budziła go wcześniej, niż miał ochotę wstawać, siedziała obok niego przy stole i jadła na przemian z jego talerza i ze swego, jeździła z nim konno i tylko jemu pozwalała się rozbierać i układać do snu.

Scarlett była ubawiona i wzruszona widząc, jak to małe dziecko potrafi rządzić ojcem.

Któż by mógł przypuszczać, że właśnie Rett tak się całkowicie odda swemu ojcostwu? Czasem jednak strzała zazdrości kłuła jej serce, bo Bonnie jako czteroletnia dziewczynka lepiej rozumiała Retta niż ona i znacznie lepiej umiała z nim postępować.

Kiedy mała skończyła cztery lata, Mammy zaczęła gderać, że to nieprzyzwoite, aby mała dziewczynka jeździła „na oklep z podwiewającą sukienką na siodle ojca”. Rett wysłuchał uważnie tych uwag, jak wszystkich uwag Mammy dotyczących właściwego wychowania małych panienek. Wynikiem ich był mały brązowo-biały kucyk szetlandzki z długą jedwabistą grzywą i ogonem i maleńkie siodło ze srebrnymi okuciami. Kucyk był rzekomo dla wszystkich trojga dzieci i Rett kupił Wade'owi osobne siodło. Wade jednak znacznie bardziej lubił swego psa św. Bernarda, a Ella bała się zwierząt. Tak więc kucyk stał się wyłączną własnością Bonnie i nazwany został „Panem Butlerem”. Jediną chmurą na niebie radości Bonnie było to, że nie mogła jeszcze jeździć po męsku jak ojciec, ale kiedy wytłumaczył jej, że znacznie trudniej jest jechać na damskim siodle, uspokoiła się i szybko nauczyła jeździć konno. Rett był niezmiernie dumny z jej dobrej postawy i mocnych rączek.

- Poczekaj, aż będzie dość duża, aby jeździć na polowania - przechwalał się. - Będzie najlepszą amazonką w całym stanie. Wtedy zabiorę ją do Wirginii. Tam tylko istnieją prawdziwe polowania z nagonką. I do Kentucky, gdzie umieją oceniać dobrych jeźdźców.

Kiedy trzeba było sprawić jej amazonkę, Bonnie jak zwykle miała sama zdecydować o kolorze i wybrała, oczywiście, niebieski.

- Ależ kochanie! Nie ten niebieski aksamit! Ten materiał jest dla mnie na suknię balową - zaśmiała się Scarlett. - Małe dziewczynki powinny nosić amazonki z czarnego sukna. - Widząc jednak, że czarne brwi małej zaczynają się marszczyć, dodała: - Na miłość boską, Rett, powiedz jej, że to nieodpowiedni materiał i że się od razu zabrudzi.

- Och, pozwól jej wziąć ten niebieski aksamit. Jak się pobrudzi, sprawię jej drugi kostium - rzekł Rett pojednawczo.

Tak więc Bonnie dostała niebieską aksamitną amazonkę, o długiej spódnicy, która zwieszała się z boku kucyka, i do tego czarny kapelusz z czerwonym piórem - ponieważ pamiętała opowiadania cioci Meli o piórze generała Stuarta. W jasne i pogodne dni można było widzieć ojca z córką konno na Brzoskwiniowej - Rett wstrzymywał swego wielkiego czarnego wierzchowca, aby opasły kucyk mógł dotrzymać mu kroku. Czasem cwałowali po spokojnych drogach za miastem, płosząc ptactwo, psy i dzieci. Bonnie z rozwianymi lokami okładała szpicrutą „Pana Butlera”, a Rett mocną dłonią wstrzymywał swego konia, aby sądziła, że zwycięża w wyścigu.

Kiedy Rett upewnił się co do stylu jazdy Bonnie, pewności jej ręki i odwagi,



postanowił, że już czas, aby nauczyła się brać niskie przeszkody, jedyne, jakie mógł pokonać „Pan Butler”. W tym celu kazał zbudować na podwórzu płotek i płacił Washowi, siostrzeńcowi wuja Piotra, po dwadzieścia pięć centów dziennie za uczenie „Pana Butlera” skoków. Zaczął od drążka ułożonego o dwa cale nad ziemią i stopniowo przeszedł aż do całej stopy.

Zarządzenie to spotkało się ze sprzeciwem trzech stron najbardziej zainteresowanych - Washa, „Pana Butlera” i Bonnie. Wash bał się koni i tylko książęce wynagrodzenie skłaniało go do przegania upartego kuca po kilkanaście razy dziennie przez przeszkodę; „Pan Butler”, który znosił bez gniewu, gdy mała jego pani ciągnęła go bez litości za ogon i ciągle oglądała mu kopyta, uważał, że twórca kucyków nie przewidział, aby kucyki miały swoje tłuste ciała przenosić przez płotki; Bonnie, która nie znosiła, aby ktokolwiek zbliżał się do jej własności, kręciła się niecierpliwie, kiedy „Pan Butler” miał lekcję.

Gdy Rett orzekł wreszcie, że „Pan Butler” dość dużo umie, aby powierzyć mu Bonnie, dziewczynka nie posiadała się z podniecenia. Skoczyła od razu doskonale i odtąd mniej gustowała w wyjazdach z ojcem na miasto. Scarlett śmiała się z dumy i entuzjazmu ojca i córki, miała jednak nadzieję, że kiedy minie podniecenie nowością, Bonnie zwróci się ku innym rzeczom i sąsiedztwo będzie miało spokój. Sport ten jednak nigdy Bonnie nie zbrzydł. Na krańcu ogrodu była niezadrzewiona alejka wiodąca od altany do płotku, i przez cały ranek ogród rozbrzmiewał wrzaskami radości. Dziadek Merriweather, który w roku 1849 wiele podróżował po Stanach, twierdził, że wrzaski te przypominają mu zupełnie krzyki Apaczów po udanym oskalpowaniu.

Po upływie pierwszego tygodnia Bonnie zaczęła prosić o ustawienie płotka na półtorej stopy od ziemi.

- Jak skończysz sześć lat - odpowiedział Rett. - Będiesz wtedy dość duża, aby skakać wyżej, i kupię ci większego konia. „Pan Butler” ma za krótkie nogi.

- Wcale nie. Skakałam przez krzaki róż w ogrodzie cioci Meli, a one są strasznie wysokie.

- Nie, musisz poczekać - powiedział Rett, tym razem stanowczo. Ale stanowczość jego zaczęła kruszeć po ustawicznych prośbach i grymasach Bonnie.

- Och, dobrze już - rzekł wreszcie ze śmiechem pewnego poranka i przesunął wąski biały drążek wyżej. - Ale jeżeli spadniesz z konia, nie płacz i nie miej do mnie żalu!

- Mamusiu! - krzyknęła Bonnie w stronę okien sypialni Scarlett. - Mamusiu! Przyjrzyj się! Tatuś pozwolił mi skoczyć!

Scarlett, która się właśnie czesała, podeszła do okna i uśmiechnęła się do małej

podnieconej istotki, zabawnie wyglądającej w poplamionej niebieskiej amazonce.

„Muszę jej koniecznie sprawić nową amazonkę - pomyślała. - Bóg jeden wie, jak ją namówić, aby zdjęła tę brudną”.

- Mamusiu, patrz!

- Patrzę, kochanie! - rzekła Scarlett z uśmiechem.

Kiedy Rett podniósł dziecko i posadził na kucu, Scarlett zawołała w nagłym przypiływie dumy z urody i postawy Bonnie:

- Jesteś śliczna, mój skarbie!

- I ty także - odrzekła Bonnie łaskawie i uderzając obcasem w bok „Pana Butlera”, pogalopowała przez ogród w stronę altany.

- Mamusiu, patrz, jak skaczą! - zawołała okładając konia szpicrutą.

„Patrz, jak skaczą!”

Jakieś wspomnienie odezwało się echem w mózgu Scarlett. Słowa te zabrzmiały złowrogo. Dlaczego? Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć? Patrzyła na swoją małą córeczkę, tak lekko siedzącą na galopującym koniku, i zmarszczyła czoło, bo nagle przeszył ją zimny dreszcz. Bonnie jechała pędem, z rozwianymi czarnymi lokami, z ogniem w niebieskich oczach.

„Ma takie oczy jak mój ojciec - myślała Scarlett - niebieskie, irlandzkie, i jest we wszystkim do niego podobna”.

I na myśl o Geraldzie wspomnienie, którego szukała, wróciło jej szybko, wróciło z przeraźliwą jasnością letniej błyskawicy, na chwilę oświetlającej nienaturalnym blaskiem widnokrąg. Usłyszała znowu głośny irlandzki śpiew, szybki, twardy tętent kopyt pędzących przez pastwisko w Tarze, usłyszała odważny głos, tak podobny do głosu jej córki: - Ellen, patrz, jak skaczą!

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Och, Bonnie, stój!

W chwili gdy wychylała się z okna, rozległ się straszny trzask pękającego drzewa, ochrypy krzyk Retta - zamajaczyła plama niebieskiego aksamitu i rozbiegane końskie kopyta. Po chwili „Pan Butler” wstał na nogi i odszedł truchcikiem z pustym siodłem.

Trzeciego wieczora po śmierci Bonnie Mammy ciężko wdrapała się na schodki kuchenne domu Melanii. Ubrana była na czarno od stóp obutych w olbrzymie rozcięte na noskach męskie buty, aż po czarną chustkę na głowie. Zamglone stare oczy były nabiegłe, krwią i zaczerwienione i cała jej wielka postać wyrażała ciężkie strapienie. Twarz była pomarszczona i smutna, ale usta wyrażały mocne postanowienie.

Powiedziała parę cichych słów do Dilcey, która zyczliwie skinęła głową, jak gdyby nie

pamiętając o dawnych waśniach. Dilcey odstawiała talerze, które trzymała w ręku, i przeszła przez pokój kredensowy do jadalni. Po minucie Melania wpadła do kuchni trzymając w ręku serwetkę, a na twarzy jej malował się niepokój.

- Czy pani Scarlett...?

- Miss Scarlett trzyma się jak zwykle - rzekła Mammy ponuro. - Nie chciałam przerywać pani kolacji, Miss Melu. Poczekam, aż pani skończy, i potem powiem, co mam na sercu.

- Kolacja może poczekać - rzekła Melania. - Dilcey, podaj resztę do stołu. Mammy, proszę iść za mną.

Mammy poczłapała za nią przez jadalnię, w której siedział przy stole Ashley z małym Beau i dwojgiem hałasujących dzieci Scarlett. Rozbawione głosy Wade'a i Elli wypełniały pokój. Było dla nich wielką uciechą, że wolno im tak długo być u cioci Meli. Ciocia Mela była bardzo dobra, a teraz jeszcze lepsza niż zwykle. Śmierć małej siostrzyczki obeszała ich bardzo niewiele. Bonnie spadła z kucyka, mamusia płakała bardzo długo, a ciocia Mela wzięła ich do swego domu, gdzie bawili się w ogródku z Beau i jedli tyle ciastek, ile chcieli.

Melania skierowała się do małego, pełnego książek gabinetu, zamknęła drzwi i usadowiła Mammy na kanapie.

- Wybierałam się do was natychmiast po kolacji - powiedziała. - Przypuszczam, że wobec przyjazdu matki pana Butlera, pogrzeb odbędzie się jutro rano.

- Pogrzeb. O to właśnie chodzi - westchnęła Mammy. - Miss Melu, mamy wielkie zmartwienie, więc ja przyszedłam do pani o pomoc. Ciężkie to brzemię, kochanie, ciężkie brzemię...

- Czy pani Scarlett się załamała? - zapytała Melania z troską. - Ledwie ją widziałam od chwili, gdy Bonnie... Zamknęła się w swoim pokoju, a kapitana Butlera nie było w domu i...

Nagle łzy zaczęły spływać po czarnej twarzy Mammy. Melania usiadła koło niej i klepała ją po ramieniu, po chwili Mammy podniosła brzeg czarnej spódnicy i otarła nią oczy.

- Pani musi nam pomóc, pani Melu. Ja robię, co mogę, ale to nic nie pomaga.

- Czy pani Scarlett...

Mammy wyprostowała się.

- Pani Melu, pani zna Scarlett równie dobrze jak ja. Wszystko, co musi znieść, z pomocą Bożą jakoś znieść potrafi. To nieszczęście zламаło jej serce, ale wytrzyma. Ja przyszedłam w sprawie pana Retta.

- Bardzo chciałam go zobaczyć, ale ilekroć u was byłam, był albo w mieście, albo zamknięty w swoim pokoju z... A Scarlett wyglądała jak duch i nie chciała rozmawiać...

Powiedz mi szybko, Mammy. Wiesz, że chętnie pomogę, jeżeli będę mogła.

Mammy utarła nos wierzchem dłoni.

- Powiedziałam, że Miss Scarlett potrafi znieść zrządzenia boskie, bo już dużo w życiu zniosła, ale pan Rett... Pani Melu, on nigdy nie musiał znosić, czego nie chciał. Przyszłam do pani w jego sprawie.

- Ale...

- Pani Melu, musi pani iść ze mną do nas dziś wieczorem. - W głosie Mammy brzmiało naleganie. - Może pan Rett pani usłucha. Zawsze bardzo się liczył z pani zdaniem.

- Och, Mammy, o co chodzi? Co się stało?

Mammy podniosła głowę.

- Pani Melu, pan Rett... pan Rett... stracił rozum. Nie chce pozwolić zabrać małej panienki.

- Stracił rozum? Och, Mammy, to niemożliwe!

- Ja nie kłamię. To szczerą prawdą. Nie chce nam pozwolić na pogrzeb dziecka. Powiedział mi to sam, nie więcej niż godzinę temu.

- Ależ nie może... nie powinien...

- Dlatego mówię, że stracił rozum.

- A dlaczego...

- Miss Melu, powiem wszystko. Nie powinnam mówić nikomu, ale pani należy do naszej rodziny i jest jedyną, której mogę powiedzieć. Pani wie, jak on to dziecko kochał. Nigdy jeszcze w życiu nie widziałam mężczyzny, czarnego czy białego, który by tak kochał swoje dziecko. Wariował zupełnie, kiedy doktor Meade powiedział, że Bonnie nie żyje. Złapał rewolwer, wybiegł z domu i zastrzelił tego biednego konika, i, na Boga, sądziłam, że i siebie zabije. Nie wiedziałam, co mam robić, bo Miss Scarlett zemdliała, wszyscy sąsiedzi zebrali się w domu, a pan Rett trzymał to dziecko i trzymał i nie pozwolił mi nawet umyć jej buzi przeciętej kamieniem. A kiedy Miss Scarlett oprzytomniała, pomyślałam sobie: „Bogu dzięki! Teraz będą się mogli wzajemnie pocieszyć”.

Znowu łzy zaczęły jej ciec po twarzy, ale tym razem Mammy nie starała się ich nawet obetrzeć.

- Ale jak oprzytomniała, weszła do pokoju, gdzie siedział z Bonnie, i powiedziała: „Oddaj mi dziecko, które zabiłeś”

- Ach, nie! To niemożliwe!

- Tak, proszę pani. Tak powiedziała. Powiedziała: „Zabiłeś ją”. A mnie się tak żal zrobiło pana Retta, że zaczęłam płakać, bo wyglądał jak zbity pies. Więc powiedziałam:

„Niech pan da dziecko starej niani. Ja nie chcę takich scen nad moją małą panienką”. I zabrałam od niego dziecko, wzięłam je do pokoju i obmyłam jej twarz. Ale słyszałam, co mówili, i krew we mnie zastygła, takie to były straszne rzeczy. Miss Scarlett nazwała go mordercą, bo pozwolił jej tak wysoko skakać, a on mówił, że Miss Scarlett nigdy nie dbała ani o Bonnie, ani o żadne z dzieci...

- Dość, Mammy! Proszę mi więcej nie mówić. Nie powinnam takich rzeczy wiedzieć! - zawołała Melania wstrząśnięta obrazem, jaki jej Mammy odmalowała.

- Ja wiem, że nie powinnam tego mówić, ale mam już za dużo na sercu, aby wiedzieć, czego nie mogę mówić. Potem sam zabrał ją do zakładu pogrzebowego, a jak przyniósł z powrotem, położył na łóżku w swoim pokoju. A kiedy Miss Scarlett powiedziała, że powinna leżeć w trumnie w salonie, sądziłam, że pan Rett ją uderzył. Powiedział zupełnie zimno: „Jej miejsce jest w moim pokoju”. I zawołał mnie do siebie, i powiedział: „Mammy, ty pilnuj, żeby jej stąd nikt nie ruszył, póki nie wrócę”. Potem pojechał gdzieś konno sprzed domu i nie było go aż do zachodu słońca. Kiedy wrócił, widziałam, że pił, i to dużo, ale jak zwykle nic nie można było po nim poznać. Wszedł do domu i nawet nie odezwał się do Miss Scarlett ani do Miss Pitty, ani do innych pań, które przyszły, ale pobiegł na górę, otworzył drzwi swojego pokoju i potem na mnie krzyknął. Kiedy przybiegłam, jak mogłam najszybciej, stał przy łóżku, ale w pokoju było tak ciemno, że ledwie go mogłam widzieć, bo okiennice były zamknięte.

I powiedział do mnie ze złością: „Otwórz okiennice. Dlaczego tak ciemno?” A kiedy je otworzyłam, popatrzył na mnie i, pani Melu, pode mną aż kolana zdrząły, tak dziwnie wyglądał. Potem powiedział: „Przynies świece. Mnóstwo świec. Niech się palą. I nie zaciągaj portier ani nie zamykaj okiennic. Czy nie wiesz, że Bonnie boi się ciemności?”

Przerażone oczy Melanii spotkały wzrok Mammy - Mammy złowrogo skinęła głową.

- Tak właśnie powiedział: „Bonnie boi się ciemności”.

Mammy wzdrygnęła się.

- Kiedy przyniosłam z tuzin świec, powiedział: „Odejdź!” Potem zamknął się z małą panienką i nie otworzył drzwi, choć Miss Scarlett biła w nie i krzyczała do niego. I tak trwa już od dwóch dni. Nic nie mówi o pogrzebie, rano zamyka drzwi na klucz, siada na koń i jedzie do miasta. A po zachodzie wraca pijany i znowu się tam zamyka, i nic nie je ani nie śpi. A teraz przyjechała na pogrzeb jego matka, stara pani Butler z Charlestonu, i pani Zuela, i pan Will z Tary, ale pan Rett z nikim nie chce rozmawiać. Och, pani Melu, to straszne! A będzie jeszcze gorzej, bo ludzie zaczną mówić okropne rzeczy.

- A potem, dziś wieczorem - Mammy przerwała i znowu otarła nos ręką. - Dziś

wieczorem Miss Scarlett przyłapała go w hallu na górze, jak przyszedł do domu, weszła z nim do pokoju i powiedziała: „Pogrzeb odbędzie się jutro rano”. A on odpowiedział: „A więc jutro cię zabiję”.

- Och, z pewnością zmysły postradał!

- Tak, proszę pani. A potem mówili ciszej, więc nie wszystko słyszałam, tylko znowu o tym, że Bonnie boi się ciemności, a w grobie jest bardzo ciemno. A po chwili Miss Scarlett powiedziała: „Teraz się tak niby przejmujesz, a zabiłeś ją, aby dogodzić swej dumie”. A on odpowiedział: „Czy ty nie masz litości?” A ona: „Nie. I dziecka także już nie mam. Dość mam tego, jak zachowujesz się od śmierci Bonnie. Robisz skandal na całe miasto. Jesteś bez przerwy pijany i jeżeli sądzisz, że nie wiem, gdzie spędzasz całe dnie, toś głupi. Wiem, że chodzisz do tej kreatury, do Belli Watling”.

- Och nie, Mammy, nie!

- Tak p'sze pani. Tak powiedziała. I to jest, proszę pani, prawda. Murzyni wiedzą o wszystkim prędzej niż biali ludzie, więc i ja wiedziałam, gdzie on chodzi, ale nic nie mówiłam. A on wcale temu nie przeczył. Powiedział: „Tak, moja droga, byłem tam i nie powinnaś się tym gorszyć, bo to cię nic nie obchodzi. Dom publiczny jest spokojną przystanią po piekle tego domu. A Bella ma dobre, poczciwe serce. Nie wyrzuca mi bez przerwy, że zabiłem swoje dziecko”.

- Och! - zawołała Melania, ukłuta w serce.

Jej własne życie było tak przyjemne i spokojne, otoczona była ludźmi, którzy ją tak kochali i byli tak pełni dobroci, że to, co Mammy mówiła, było dla niej prawie nie do pojęcia. Nagle jednak nasunęło jej się wspomnienie, obraz, który szybko od siebie odepchnęła jak myśl o cudzej nagości. Rett mówił o Belli Watling w dniu, kiedy płakał złożony głowę na jej kolanach. A przecież kochał Scarlett. Nie mogła się wówczas co do tego pomylić. I Scarlett, oczywiście, także go kochała. Cóż zatem stało między nimi? Jak mogli mąż i żona krajać się nawzajem na kawały ostrymi nożami?

Mammy dalej ciągnęła swoje opowiadanie:

- Po chwili Miss Scarlett wyszła z pokoju biała jak płótno, ale z podniesioną głową, i kiedy mnie zobaczyła, powiedziała: „Mammy, pogrzeb będzie jutro”. I minęła mnie jak duch. We mnie wtedy serce zamarło, bo Scarlett dotrzymuje słowa. A pan Rett - tak samo. A powiedział, że zabije ją, jak to robi. Stałam jak skamieniała, pani Melu, bo miałam coś na sumieniu, co mi bardzo ciążyło. Pani Melu, to ja nastraszyłam małą panienkę ciemnością.

- Och, Mammy, to teraz już nie ma znaczenia.

- Owszem, proszę pani, ma znaczenie. Stąd poszło całe zmartwienie. I pomyślałam

sobie, że lepiej powiem panu Rettowi, choćby mnie nawet miał zabić, bo ciąży mi to na sumieniu. Więc wśliznęłam się szybko przez drzwi, nim je zamknął, i powiedziałam: „Panie Recie, przyszedłam się wyspowiadać”. A on rzucił się do mnie jak wariat i powiedział: „Idź stąd!” Na Boga, nigdy w życiu tak się nie bałam! Ale powiedziałam: „Proszę pana, panie Recie, niech mi pan pozwoli coś powiedzieć. Może mnie pan potem zabić. To ja straszylam małą panienkę ciemnością”. Potem, pani Melu, spuściłam głowę i czekałam, żeby mnie uderzył. Ale on nic nie odrzekł. Więc powiedziałam: „Nie miałam nic złego na myśli. Ale, panie Recie, Miss Bonnie była nieostrożna i niczego się nie bała. I stale wychodziła z łóżka, kiedy wszyscy się już pokładli, i biegała po domu boso. Ja bardzo się martwiłam, bo się bałam, że sobie krzywdę zrobi. Więc powiedziałam jej, że w ciemności są duchy i diabły”.

I wie pani, co on wtedy zrobił? Twarz mu złagodniała, zbliżył się do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Zrobił to pierwszy raz w życiu. I powiedział: „Prawda, jaka Bonnie była odważna? Nie bała się niczego prócz ciemności”. A kiedy wybuchłam płaczem, powiedział: „No, przestań, Mammy”, i poklepał mnie po ramieniu. „Mammy, proszę się tak nie przejmować. Jestem rad, żeś mi o tym powiedziała. Ja wiem, że kochałaś Bonnie, a ponieważ ją kochałaś, to nie ma znaczenia. Tylko serce ma znaczenie”. To mnie trochę pocieszyło, więc powiedziałam: „Panie Recie, a co będzie z pogrzebem?” Wtedy spojrzał na mnie jak dziki człowiek, oczy mu zabłyśły i powiedział: „Dobry Boże, sądziłem, że przynajmniej Mammy mnie zrozumie! Czy Mammy myśli, że pozwolę położyć moje dziecko w ciemnym grobie, kiedy ona tak bardzo bała się ciemności? Jeszcze dotąd słyszę, jak płakała, kiedy budziła się po ciemku. A nie chcę, aby się bała”. Pani Melu, wtedy przekonałam się, że stracił rozum. Pije ciągle, nie śpi i nic nie je, ale to jeszcze nie wszystko. Zupełnie zwariował. Na koniec wypchnął mnie z pokoju i krzyknął: „Wynoś mi się stąd do diabła!”

Zeszłam na dół i zaczęłam myśleć: Pan Rett mówi, że nie będzie pogrzebu, Scarlett mówi, że pogrzeb będzie, więc z tego z pewnością wyniknie strzelanina. Dom pełen krewnych, sąsiedzi już paplają jak stado kwok, więc pomyślałam o pani, Miss Melu. Pani musi przyjść i nam pomóc.

- Och, Mammy, ja nie mogę się wtrącać!

- Jeżeli pani nie może, to kto może?

- Ale cóż ja mogę zrobić, Mammy?

- Miss Melu, ja nie wiem. Pani już coś poradzi. Może pani porozmawia z panem Rettem i może on panią wysłucha. On bardzo się z pandą liczy, Miss Melu. Może pani o tym nie wie, ale tak jest. Słyszałam, jak często mówił, że pani jest jedyną wielką damą, jaką zna.

- Ale...

Melania zerwała się na równe nogi. Serce zamierało jej na myśl o spotkaniu z Rettem. Możliwość sprzeczki z człowiekiem oszalałym z bólu napełniała ją przerażeniem. Na myśl o wejściu do jasno oświetlonego pokoju, w którym leżała mała, tak przez nią kochana dziewczynka, ścisnęło się jej serce. Co miała zrobić? Cóż mogła powiedzieć Rettowi, co by pocieszyło go i wróciło mu rozum?

Przez chwilę stała niezdecydowana, kiedy przez zamknięte drzwi doszedł ją dźwięk śmiechu jej synka. Jak zimny nóż przeszła jej serce myśl, że i on mógłby nie żyć. A gdyby to jej mały Beau leżał na górze, zimny, sztywny, milczący na wieki...

- Och! - zawołała na głos w przestrachu i w myśli przytuliła go mocno do serca. Wiedziała już, co odczuwał Rett. Gdyby Beau umarł, jakżeby się mogła zdobyć na rozstanie z nim, na pozostawienie go samego na pastwę wiatru, deszczu i ciemności?

- Och! Biedny, biedny kapitan Butler! - zawołała. - Idę do niego w tej chwili.

Wbiegła z powrotem do jadalni, powiedziała coś po cichu Ashleyowi i zadziwiła Beau namiętym przytuleniem go do siebie i ucałowaniem jego jasnych loczków.

Wyszła z domu bez kapelusza, trzymając serwetkę w zaciśniętej dłoni, i szła tak szybko, że Mammy nie mogła za nią nadążyć. Kiedy znalazła się w domu Scarlett, sztywno ukloniła się krewnym zebranych w bibliotece - przerażonej pani Pittypat, dostojnej starej pani Butler, Willowi i Zueli. Szybko weszła na schody, a za nią zadyszana Mammy. Na chwilę przystanąła przed zamkniętymi drzwiami pokoju Scarlett, Mammy jednak syknęła: - Nie, niech pani tego nie robi.

Przeszła przez hali, wolniej już teraz, i przystanąła przed drzwiami Retta. Przez chwilę stała niezdecydowana, jak gdyby miała chęć uciec. Potem, wyprostowawszy się jak mały żołnierz idący w bój, zapukała do drzwi i cicho zawołała: - Proszę, niech mnie pan wpuści, panie kapitanie...Tu Melania Wilkes. Chcę zobaczyć Bonnie.

Drzwi otwarły się od razu i Mammy, cofając się w cień hallu, zobaczyła wielką postać Retta, odcinającą się czarno na tle płonących świec. Chwiał się na nogach - czuć było buchający od niego zapach wódki. Popatrzył przez chwilę na Melę, potem wzięwszy ją pod ramię wciągnął do pokoju i zamknął drzwi.

Mammy osunęła się cicho na krzesło przy drzwiach i usiadła na nim zmęczona. Siedziała bez ruchu, płacząc i modląc się w milczeniu. Od czasu do czasu podnosiła brzeg sukni i ocierała oczy. Mimo że bardzo wytężała słuch, nie słyszała z pokoju słów, tylko niski, przerywany jakiś szmer.

Po nie kończącej się chwili drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich twarz Meli, blada i zmęczona.



- Przynieś mi dzbanuszek kawy, szybko, i parę kanapek.

W razie potrzeby Mammy potrafiła ruszać się tak zwinnie jak szesnastolatka, teraz zaś gnała ją w dodatku ciekawość, co się dzieje w pokoju Retta. Ale nadzieja jej zamieniła się w zawód, kiedy Mela ledwie uchyliła drzwi i wzięła od niej tacę. Przez dłuższy czas Mammy natężyła słuch, ale nie mogła niczego odróżnić poza dźwiękiem porcelany i stłumionym, cichym głosem Melanii. Potem usłyszała skrzyp łóżka, jak gdyby upadło na nie ciężkie ciało, i po chwili stuk rzuconych na podłogę butów. Po przerwie Melania ukazała się w drzwiach, ale mimo usiłowań, Mammy nie mogła nawet zajrzeć do pokoju. Melania była zmęczona i łyzy błyszczały jej na rzęsach, ale twarz jej była znowu pogodna.

- Idź powiedzić Miss Scarlett, że kapitan Butler zgadza się, aby pogrzeb odbył się jutro  
- szepnęła.

- Na miłość boską! - wykrzyknęła Mammy. - Jakże to...

- Nie mów tak głośno. Pan kapitan położył się teraz. I, Mammy, powiedz Miss Scarlett, że ja spędzę tutaj noc. Przynieś mi trochę czarnej kawy.

- Do tego pokoju?

- Tak, przyrzekłam panu kapitanowi, że jeżeli się położy, będę czuwała tutaj przez całą noc. Teraz powiedz o tym pani Scarlett, aby wreszcie przestała się martwić.

Mammy ruszyła na drugą stronę hallu, podłoga ugięła się pod jej ciężarem, a serce jej śpiewało radośnie: „Alleluja! Alleluja!” Przystanęła w zamyśleniu przed drzwiami Scarlett, bardzo uszczęśliwiona i bardzo ciekawa.

- Nie mogę pojąć, jak to Miss Mela zrobiła. Aniołowie jej pomagali z pewnością. Powiem Scarlett, że pogrzeb będzie jutro, ale lepiej przemilczę, że pani Mela czuwa przy Bonnie. Scarlett wcale z tego nie będzie zadowolona.



## ROZDZIAŁ LX

Coś się popsulo na świecie, ponura, przerażająca niepewność ogarnęła wszystko niczym ciemna, nieprzenikliwa mgła i ukradkiem zacieśniła się wkoło Scarlett. Sięgała głębiej jeszcze niż strata Bonnie, bo teraz pierwsza nieznośna rozpacz przeistoczyła się już w zrezygnowane pogodzenie się z losem. A jednak niesamowite poczucie nieszczęścia trwało dalej, jak gdyby czarna jakaś, zakapturzona zjawa stała tuż za nią, jak gdyby ziemia pod jej stopami przemieniała się w lotne piaski.

Nigdy dotąd nie знаła obaw tego rodzaju. Przez całe życie mocno stała na gruncie zdrowego rozsądku i jedynymi sprawami, których się obawiała, były rzeczy namacalne - ból, głód, bieda, utrata miłości Ashleya. Chociaż nie umiała analizować, starała się to robić teraz - bez powodzenia jednak. Straciła najukochańsze dziecko, ale musiała to jakoś przetrzymać, jak przetrzymywała inne wielkie ciosy. Miała zdrowie, miała pod dostatkiem pieniędzy i miała jeszcze Ashleya, chociaż widywała go teraz coraz rzadziej. Nie, strach jej nie wynikał z bólu, głodu czy utraty miłości. Tamte obawy nigdy jej nie gnębiły tak bardzo jak to poczucie niepewności, jak ten mrozący strach, który przypominał trochę dawny jej koszmar - gęstą, lotną mgłę, prze\* którą biegła z walącym sercem niczym zbłąkane dziecko, szukające niewidocznej przystani.

Wspominała teraz, że Rett zawsze umiał wyśmiać jej obawy. Wspominała pokrzepienie, jakie dawało jej złożenie głowy na jego ciemnej szerokiej piersi czy objęcie jego mocnych ramion. Zwróciła się więc ku niemu i przypatrzyła mu się po raz pierwszy od wielu tygodni. Przeraziła ją zmiana, jaką zobaczyła. Człowiek ten nie umiał się już śmiać ani nie mógł jej pocieszyć.

Przez pewien czas po śmierci Bonnie Scarlett była zbyt na niego rozżalona, zbyt zajęta własnym cierpieniem, aby zdobyć się na coś więcej niż grzeczną rozmowę w obecności służby. Zbyt była zajęta przypominaniem sobie szybkiego dreptania nówek Bonnie i jej srebrzystego śmiechu, aby zastanawiać się nad tym, że on może także to pamiętać i wspomina z większym jeszcze niż ona bólem. Przez wszystkie te tygodnie widywali się i rozmawiali ze sobą chłodno, jak nieznajomi spotykający się w zimnych murach hotelu, dzielący ten sam dach nad głową, ten sam stół - nigdy nie myśli.

Teraz, gdy była przerażona i samotna, chciała przełamać tę barierę, ale spostrzegła, że Rett trzyma ją z daleka, jak gdyby nie chciał zamieniać z nią słów innych niż obojętne. Teraz, gdy gniew jej przeminął, chciała mu powiedzieć, że nie przypisuje mu winy za śmierć

Bonnie. Chciała wypłakać się w jego ramionach i wyznać, że i ona była bardzo dumna z odwagi dziecka, i ona była zbyt dla niej pobłażliwa. Teraz by się upokorzyła z rozkoszą i przyznała, że rzuciła na Retta oskarżenie z rozpaczy, sądząc, że ulży sobie w ten sposób. Nigdy jednak nie było właściwej chwili do wyjaśnień. Rett patrzył na nią czarnymi, obojętnymi oczyma, które nie zachęcały do wyznań. Wyjaśnienia raz odwleczone stawały się coraz trudniejsze, aż wreszcie stały się niemożliwe

Dziwiła się, dlaczego tak się stało. Rett był jej mężem; łączyła ich mocna więź, zespalająca dwoje ludzi, którzy dzielili to samo łóżko, spłodzili, wychowali i przedwcześnie złożyli do grobu ukochane dziecko. Tylko w objęciach ojca dziecka mogła znaleźć pociechę, tylko w wymianie wspomnień i żalów, które bolałyby z początku, ale z czasem pomogłyby zaleczyć rany. Teraz jednak stosunki między nimi tak się ułożyły, że równie dobrze mogłaby pójść w objęcia człowieka obcego.

Rett rzadko bywał w domu. Kiedy zasiadał z nią do kolacji, był zwykle pijany. Nie upijał się tak jak dawniej, nie stawał się coraz bardziej uprzejmy i cięty, gdy władał nim alkohol, nie mówił zabawnych, złośliwych rzeczy, które ją rozśmieszały mimo woli. Teraz upijał się milcząco i ponuro, a w miarę mijania godzin stawał się coraz mniej przytomny. Czasem, nad ranem, słyszała, jak zajeżdżał na podwórze i pukał do drzwi domu służby, aby Pork pomógł mu wejść na kuchenne schody i ułożył do łóżka. Pork układał Retta do snu! Retta, który zawsze bez trudu upijał innych i innych odprowadzał do domu!

Dawniej był przesadnie elegancki - teraz stał się nieporządny i dopiero oburzone perswazje Porka skłaniały go do zmiany bielizny przed kolacją. Nadużywanie trunku odbijało się na jego wyglądzie: ostra linia podbródka zatarła się pod niezdrową obrzmiałością, a pod nabiegłymi krwią oczyma potworzyły się worki. Ciało jego, o niegdyś twardych mięśniach, wyglądało teraz miękko i wiotko, zaczął coraz bardziej tyć.

Czasem wcale nie wracał do domu ani nie zawiadamiał, że nie wróci na noc. Bywało, że chrapał wtedy w jakimś pokoju nad barem, Scarlett jednak zawsze przypuszczała, że spędza noc u Belli Watling. Kiedyś spotkała Bellę w jakimś sklepie - była teraz tęgą, przekwitłą kobietą z resztkami dawnej urody. Ale mimo szminki i krzyczących sukien, wyglądała pocziwie i prawie po mieszczańsku. Zamiast spuścić oczy lub patrzeć wyzywająco, jak zwykle kobiety lekkich obyczajów w obecności dam, Bella spojrzała jej prosto w twarz badawczym, prawie współczującym spojrzeniem, pod którym Scarlett splonęła rumieńcem. Scarlett nie mogła jednak teraz winić Retta, nie mogła się na niego gniewać, wymagać wierności czy starać się go zawstydząć - tak samo jak nie mogła się zdobyć na wyjaśnienie, dlaczego obwiniła go o śmierć Bonnie. Ogarnęła ją apatia, niezadowolenie, którego nie mogła

pojąć, sięgające głębiej niż Wszystko, czego kiedykolwiek zaznała. Była samotna - a nigdy dotąd nie odczuwała samotności! Może nigdy nie miała czasu, aby czuć się samotną. Była osamotniona, przerażona i nie mogła zwrócić się do nikogo z wyjątkiem Melanii. Bo teraz nawet Mammy, wierna jej podpora, wróciła do Tary. Wróciła tam na stałe.

Mammy nie wytłumaczyła przyczyny swego wyjazdu. Jej zmęczone stare oczy patrzyły smutnie na Scarlett, kiedy poprosiła o pieniądze na bilet do domu. Na lzy Scarlett i zakłęcia, aby została, Mammy odpowiadała tylko: - Zdaje mi się, jak gdyby Miss Ellen do mnie mówiła: „Mammy, wracaj do domu. Twoja praca skończona”. Jadę więc do domu.

Rett, który się przysłuchiwał tej rozmowie, dał Mammy pieniądze i poklepał ją po ramieniu.

- Mammy ma rację. Miss Ellen ma rację. Praca Mammy tutaj skończona. Niech Mammy jedzie do domu. Proszę do mnie napisać, gdyby Mammy czegoś potrzebowała. - A kiedy Scarlett na nowo zaczęła ją prosić i zatrzymywać, powiedział: - Cicho, głupia! Puść ją do domu! Po cóż by ludzie chcieli być tutaj - teraz?

W oczach jego, kiedy to mówił, był tak dziki, ostry blask, że Scarlett, przerażona, odsunęła się od niego.

- Panie doktorze, czy to możliwe, aby postradał zmysły? - zapytała doktora Meade, do którego poszła nie wiedząc, jak sobie poradzić.

- Nie - odparł doktor - ale pije jak gąbka i zabije się, jeżeli nie przestanie. Kochał Bonnie, Scarlett, i wydaje mi się, że pije, aby o niej zapomnieć. Radzę ci dobrze, daj mu jak najszybciej drugie dziecko.

„Aha!” - pomyślała Scarlett z goryczą, wychodząc z gabinetu doktora. To było łatwiej powiedzieć niż zrobić. Z ochotą urodziłaby drugie dziecko, kilkoro dzieci, gdyby dzięki temu znikł wreszcie z oczu Retta straszny wyraz i gdyby mogły się znowu zappełnić puste przestrzenie jej serca. Chciałaby chłopca, który by odziedziczył ciemną urodę Retta, i jeszcze jedną dziewczynkę. Ach, dziewczynkę, śliczną, roześmianą i mądrą, nie taką jak roztrzepana Ella. Dlaczego, ach, dlaczego Bóg nie zabrał Elli, skoro przeznaczone jej było stracić jedno ze swoich dzieci? Ella nie była dla niej żadną pociechą, teraz, gdy zabrakło Bonnie. Rett jednak nie miał widocznie chęci na inne dzieci. W każdym bądź razie nigdy nie wchodził do jej sypialni, chociaż drzwi nie były teraz nigdy zamknięte - przeciwnie - zachęcająco otwarte na oścież. Mało go to chyba obchodziło. Interesowała go teraz wyłącznie wódka i ta nalana, ruda kobieta.

Był teraz zgorzkniały - a dawniej nawet docinki jego były przyjemne, i brutalny - gdy dawniej złośliwość jego zaprawiona była humorem. Po śmierci Bonnie poczciwe panie z

sąsiedztwa, które przekonały się do niego z powodu jego niezwykłego stosunku do córki, starały mu się okazać współczucie. Zatrzymywały go na ulicy, aby mu okazać sympatię, i zaczepiały znad żywopłotów swoich ogródków mówiąc, że dobrze go rozumieją. Teraz jednak, kiedy nie było Bonnie - przyczyny jego układnych manier, dobre maniery także minęły. Rett zbywał krótko i panie, i ich szczere kondolencje - krótko i niegrzecznie.

Panie jednak, o dziwo, wcale nie były dotknięte. Rozumiały go albo wydawało im się, że rozumieją. Kiedy wracał o zmroku do domu, zbyt pijany, aby trzymać się prosto na siodle, i patrzył pochmurnie na tych, którzy go zaczepiali, panie mówiły: „Biedny człowiek!” i jeszcze bardziej starały się być dla niego miłe i dobre. Bardzo mu współczuły, że ze swym złamanym sercem wraca do tak kiepskiej pocieszycielki jak Scarlett.

Wszyscy wiedzieli, jaka jest zimna i bez serca. Wszyscy zdumieni byli pozorną łatwością, z jaką przyszła do siebie po śmierci Bonnie, nie wnikając ani nie starając się wniknąć w wysilek, który krył się za rzekomym spokojem. Miasto darzyło najgłębszym współczuciem Retta, który nie dbał o nie i o nim nie wiedział. Scarlett zdobyła niechęć miasta, a po raz pierwszy w życiu cieszyłaby się z objawów sympatii starych znajomych.

Prócz ciotki Pitty, Melanii i Ashleya nie odwiedzał jej teraz nikt z dawnych przyjaciół. Tylko nowi znajomi zajeżdżali do niej w lśniących powozach, starając się zapewnić ją o swoim współczuciu i rozerwać trochę plotkami o innych znajomych, którymi się wcale nie interesowała. Wszyscy „nowi ludzie” byli przecież dla niej obcy! Nie znali jej wcale i nigdy nie będą znali. Nie mieli pojęcia, jakie było jej życie, zanim zyskała obecną bezpieczną pozycję w pałacu na Brzoskwiniowej. Nie opowiadali nigdy, jakie było ich życie, zanim zdobyli sztywne brokaty i powozy o pięknych zaprzęgach. Nie wiedzieli nic o walkach Scarlett, o jej wyrzeczeniach, o wszystkich przejściach, dzięki którym zbudowała wielki dom, doszła do pięknych sukien, sreber i przyjęć, na które warto było przychodzić. Nie wiedzieli nic. Nie obchodziło ich to nawet - tych ludzi Bóg wie skąd, którzy zawsze zdawali się ślizgać po powierzchni zdarzeń, którzy nie mieli wspólnych z nią wspomnień o wojnie, głodzie i walce, którzy nie mieli wspólnych korzeni, zapuszczonych w tę samą czerwoną glebę.

Teraz, w swojej samotności, chciałaby spędzać popołudnia z Maybelle lub Fanny, z panią Elsing lub panią Whiting czy nawet w towarzystwie starej groźnej wojowniczką, pani Merriweather. Albo z panią Bonnell czy... czy którąkolwiek z dawnych przyjaciółek i sąsiadek. One bowiem wiedziały. Przeżyły wojnę, terror i pożar, widziały przedwczesną śmierć swoich najbliższych; głodowały, chodziły w łachmanach i żyły pod stałą groźbą nędzy. I z ruin odbudowały swoje fortuny.

Byłoby dla niej pociechą posiedzieć z Maybelle, ponieważ Maybelle pochowała

dziecko, zmarłe podczas szalonej ucieczki przed Shermanem. Ulgę sprawiłby jej widok Fanny, bo wiedziała, że straciły jednocześnie mężów w czarnych dniach powojennego ucisku. Mogłaby się śmiać gorzko z panią Elsing, wspominając jej twarz, gdy zaciągała konia w dniu zdobycia Atlanty, pędząc przez Pięć Znaków i wysypując z powozu łupy z magazynów. Przyjemnie byłoby słuchać historyjek pani Merriweather, teraz pewnej dobrych dochodów z piekarni, przyjemnie byłoby mówić: „Czy pamięta pani, jak nam było źle po kapitulacji? Czy pamięta pani, jak nie wiedziałyśmy, za co kupimy sobie nowe buty? A jak wyglądamy teraz!”

Tak, to wszystko byłoby bardzo przyjemne. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego byli konfederaci spotykając się mówili o wojnie z rozkoszą, z dumą, z tęsknotą. Wspominali czasy, które były próbą ich serc, które przebyli zwycięsko. Teraz byli weteranami. Ona także była weteranką, ale nie miała towarzyszków broni, z którymi by mogła wspominać dawne boje. Och, czego by nie dała za to, by znowu być wśród swoich, wśród ludzi, którzy przeszli to samo co ona i wiedzieli, jak bolesne były to przejścia - i jak wielką część duszy wypełniły!

W jakiś sposób ludzie ci gdzieś się rozpierchli. Zrozumiała teraz, że było to jej własną winą. Nigdy jej to nie obchodziło aż dotąd - do czasu, gdy po śmierci Bonnie stała się samotna i przerażona i gdy ponad lśniąca taflą stołu widziała śniadego, zapitego człowieka, który marniał na jej oczach.





## ROZDZIAŁ LXI

Scarlett była w Mariece, kiedy dostała pilny telegram od Retta. Najbliższy pociąg do Atlanty odchodził za dziesięć minut, zdążyła nań jednak, nie zabrawszy żadnego bagażu prócz torebki podręcznej i zostawiwszy w hotelu Wade'a i Ellę pod opieką Prissy.

Do Atlanty było zaledwie dwadzieścia mil, ale pociąg włókł się, bez końca przez mokre jesienne popołudnie i zatrzymywał na każdym przystanku. Przerażona wezwaniem Retta, dygocąca z niecierpliwości, Scarlett omal nie płakała na każdej stacji. Pociąg szedł przez lasy zaczynające się już jesienią, mijał czerwone pagórki, jeszcze noszące ślady zasieków, stare reduty i zarośnięte chwastem doły strzeleckie, szedł wzdłuż drogi, po której tak nieustępliwie cofali się ludzie Johnstona tocząc walki na każdym kroku. Każda stacja, każde rozdroże, które oznajmiał konduktor, było nazwą bitwy, miejscem utarczki. Kiedyś nazwy te wywoływałyby w Scarlett przerażające wspomnienia, teraz jednak nie mogła o nich myśleć.

Depesza Retta brzmiała:

„Pani Wilkes chora. Przyjeżdżaj natychmiast”.

Zmrok już zapadał, gdy pociąg zatrzymał się w Atlancie; lekki mżący deszczyk przesłaniał miasto. Uliczne lampy gazowe świeciły we mgle mdło jak żółte krople. Rett czekał na nią na dworcu w powozie. Widok jego twarzy przeraził ją jeszcze bardziej od depeszy, nigdy dotąd bowiem nie była tak pozbawiona wyrazu.

- Przecież nie... - zawołała.

- Nie. Jeszcze żyje. - Rett pomógł jej wsiąść do powozu. - Do państwa Wilkes, jak możesz najszybciej! - rozkazał stangretowi.

- Co jej się stało? Nie wiedziałam, że się źle czuje. W zeszłym tygodniu wyglądała zupełnie dobrze... Czy zdarzył się jakiś wypadek? Och, Rett, to chyba nie może być tak poważne...

- Umiera - rzekł Rett i głos jego miał równie mało wyrazu jak twarz. - Chce cię zobaczyć.

- Och, to niemożliwe! Niemożliwe, aby Mela... Co jej się stało?

- Miała poronienie.

- Poro... ależ Rett... ona - Scarlett zająknęła się. Ta wiadomość w parze z przerażającą nowiną zupełnie zbiła ją z tropu.

- Więc nie wiedziałaś, że spodziewa się dziecka?

Nie mogła się nawet zdobyć na potrząśnięcie głową.

- No tak. Nie mogłaś wiedzieć. Nie sędzę, aby o tym komuś powiedziała. Chciała, aby to było niespodzianką. Ja jednak wiedziałem.

- Ty wiedziałeś? Ale przecież Mela nie powiedziała ci chyba tego?

- Wcale nie potrzebowała mi mówić. Wiedziałem. Była tak... rozradowana przez ostatnie dwa miesiące, iż domyśliłem się, że to z pewnością dlatego.

- Ale Rett, doktor powiedział, że następne dziecko ją zabije!

- Toteż ją zabiło - rzekł Rett. I do woźnicy: - Na miłość boską, czy nie możesz jechać szybciej?

- Rett, ona nie może umrzeć! Ja... ja nie umarłam, a...

- Ona nie ma takiej wytrzymałości jak ty. Nigdy nie była odporna. Miała tylko serce.

Powóz wstrzymał się raptownie przed płaskim małym domkiem i Rett pomógł jej wysiąść. Drżąca, przejęta nagłym poczuciem samotności, chwyciła się jego ramienia.

- Czy wejdiesz ze mną, Rett?

- Nie - powiedział i wrócił do powozu.

Wbiegła na frontowe schodki, potem na ganek i otworzyła szeroko drzwi. W pokoju, w żółtym świetle lampy, siedzieli Ashley, ciotka Pitty i India. Scarlett pomyślała: „Co India robi tutaj? Melania zabroniła jej przechodzić przez próg tego domu”. Wszyscy troje wstali, gdy weszła, ciotka Pitty zagryzła wargi, aby opanować ich drżenie, India patrzyła na nią bez nienawiści, spojrzeniem pełnym bólu. Ashley wyglądał jak lunatyk, kiedy podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu, i mówił jak lunatyk.

- Pytała o ciebie - powiedział. - Pytała o ciebie.

- Czy mogę ją teraz widzieć? - Zwróciła się ku zamkniętym drzwiom pokoju Melanii.

- Nie. Jest tam teraz doktor Meade. Zadowolony jestem, żeś przyjechała, Scarlett.

- Przyjechałam, jak mogłam najszybciej. - Scarlett zrzuciła kapelusz i płaszcz. - Pociąg... Czy ona rzeczywiście... Powiedz mi, prawda, że czuje się lepiej, Ashleyu? Mów do mnie! Nie patrz tak na mnie! Przecież ona chyba...

- Nie przestaje pytać o ciebie - powiedział Ashley i popatrzył jej w oczy. Wyczytała w nich odpowiedź na swoje pytanie. Serce ustało jej na chwilę, potem zaś wstrząsnął ją dziwny strach, mocniejszy od niepokoju, mocniejszy od żalu. „To nie może być prawdą - myślała gwałtownie, starając się odpędzać lęk. - Lekarze się mylą. Nie chcę myśleć, że to prawda. Nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Zaczęłabym płakać. Muszę myśleć o czymś innym”.

- Nie wierzę w to! - krzyknęła zapalczywie, patrząc kolejno na napięte twarze tych trojga, jak gdyby chciała ich zmusić do zaprzeczenia. - I dlaczego mi Mela nic nie mówiła? Nigdy bym nie pojechała do Marietty, gdybym wiedziała!

Oczy Ashleya ożywiły się trochę i ukazała się w nich rozpacz.

- Nie chciała nic nikomu mówić, zwłaszcza zaś tobie, Scarlett. Bała się, że ją skrzyczysz, jeżeli się dowiesz. Chciała czekać trzy... aż wszystko będzie w porządku i potem zrobić niespodziankę tobie i innym, i śmiać się z was, i cieszyć się, że się lekarze omylili. Była tak szczęśliwa. Wiesz przecież, jak kocha dzieci, jak bardzo chciała mieć córeczkę. Wszystko szło bardzo dobrze... a potem bez żadnego powodu...

Drzwi pokoju Melanii otwały się i do hallu wyszedł doktor Meade, zamykając je cicho za sobą. Zatrzymał się przez chwilę, z siwą brodą opuszczoną na piersi i popatrzył na nagle ucichłą czwórkę osób. Wreszcie spojrzenie jego spoczęło na Scarlett. Kiedy szedł w jej stronę, poznała, że w oczach ma żal, niechęć i pogardę, która napełniła jej przerażone serce poczuciem jakiejś winy.

- A więc wreszcie przyjechałaś - rzekł.

Zanim mogła odpowiedzieć, Ashley rzucił się w stronę zamkniętych drzwi.

- Jeszcze nie ty - rzekł doktor. - Chce mówić ze Scarlett.

- Doktorze - powiedziała India łapiąc go za rękaw. Mimo że głos jej był cichy, brzmiał bardziej błagalnie niż głośne zakłęcia. - Niech mi pan pozwoli wejść do niej na chwilę. Jestem tutaj od rana i czekam, ale ona... Niech mi pan pozwoli ją zobaczyć. Chcę jej powiedzieć... muszę powiedzieć... że omyliłam się... co do pewnej rzeczy.

Mówiąc to nie patrzyła na Ashleya ani na Scarlett, ale Scarlett poczuła na sobie zimne spojrzenie doktora Meade.

- Zobaczę, panno Indio - rzekł krótko. - Ale tylko jeżeli mi pani da słowo, że nie zmęczy jej pani opowiadaniem o swej pomyłce. Ona wie o tym i zmartwi się tylko, że pani ją przeprasza.

Pitty zaczęła nieśmiało: - Panie doktorze, proszę...

- Panno Pitty, wie pani doskonale, że zacznie pani płakać i mdleć.

Pitty wyprostowała całą swoją tęgą postać i spojrzała ostro na doktora. Oczy jej były suche, a twarz wyrażała godność.

- No dobrze, moja droga, może później - rzekł doktor trochę łagodniej. - Chodź, Scarlett.

Przeszli na palcach przez hali do zamkniętych drzwi; tam doktor mocno szarpnął Scarlett za ramię.

- Słuchaj, Scarlett - szepnął - tylko bez hysterii i wyznań przedśmiertnych, bo klnę się Bogiem, że cię zatłukę! Nie patrz na mnie z niewinną minką. Wiesz, co mam na myśli. Mela musi mieć lekką śmierć i nie chcę, abyś oczyszczała swoje sumienie opowiadaniem jej

czegokolwiek o Ashleyu. Nigdy dotąd nie zrobiłem krzywdy kobiecie, ale jeżeli coś jej powiesz, będziesz miała ze mną do czynienia.

Otworzył drzwi, zanim mogła odpowiedzieć, wepchnął ją do pokoju i zamknął je za nią. Mały, skromnie umeblowany pokój tonął w półmroku, bo lampa była osłonięta gazetą. Był to pokój tak mały i skromniutki jak pokój pensjonarki, stało w nim wąskie, niskie łóżeczko, w oknach wisiały gładkie firanki, na podłodze leżały spłowiałe, ale czyste dywaniki - różnił się też bardzo od zbytkownej sypialni Scarlett o ciężkich rzeźbionych meblach, różowych brokatowych draperiach i dywanie w różę.

Melania leżała w łóżku, malutka i płaska pod kołdrą jak mała dziewczynka. Dwa czarne warkocze spływały po obu stronach jej twarzy, a zamknięte oczy były wpadnięte i podkrążone czerwonymi obwódkami. Na jej widok Scarlett stanęła jak wryta i musiała oprzeć się o drzwi. Mimo mroku w pokoju widziała, że twarz Melanii jest woskowożółta. Krew z niej odpłynęła, a nos dziwnie jakoś wystawał. Do tej chwili Scarlett miała nadzieję, że doktor Meade się myli. Teraz jednak wiedziała. Podczas wojny zbyt wiele napatrzyła się w szpitalach na twarze o dziwnie wystających nosach, aby nie wiedzieć, czego to jest nieomylną wróżbą.

Melania umierała, ale Scarlett nie chciała jeszcze w to uwierzyć. Melania nie mogła umrzeć. Niemożliwe było, aby umarła. Bóg nie pozwoli jej umrzeć, kiedy ona, Scarlett, potrzebuje jej tak bardzo. Nigdy dotąd nie myślała o tym, że potrzebuje Melanii. Teraz jednak prawda objawiła jej się i wypełniła ją całą. Opierała się na Melanii w równym stopniu jak na samej sobie, choć nigdy o tym nie wiedziała. Teraz Melania umierała i Scarlett zrozumiała, że nie da sobie bez niej rady. Teraz dopiero, kiedy na palcach przechodziła od drzwi do małego łóżka, a strach szarpał jej serce, zrozumiała, że Melania była jej mieczem i tarczą, ucieczką jej i siłą.

„Muszę ją zatrzymać! Nie mogę jej pozwolić odejść!” - myślała i z szelestem spódnicy osunęła się przy łóżku. Szybko pochwyciła bezwładnie leżącą na kołdrze rękę i znowu przestraszyła się, że jest tak chłodna.

- To ja, Melu - powiedziała.

Mela odemknęła trochę oczy, a potem, jak gdyby przekonawszy się, że to naprawdę Scarlett, zamknęła je znowu. Po pewnej pauzie zaczerpnęła oddechu i wyszeptała:

- Przyrzekniesz mi?

- O tak, wszystko!

- Beau, opiekuj się nim.

Scarlett skinęła tylko głową, bo nie mogła mówić i na znak zgody lekko uściśnęła dłoń

Meli.

- Daję go tobie. - Na twarzy ukazał się słaby ślad uśmiechu. - Dałam ci go już raz, pamiętasz, nim się urodził.

Czy pamiętała? Czy mogła o tym kiedykolwiek zapomnieć? Prawie tak wyraźnie, jak gdyby ten okropny dzień wrócił, poczuła duszny upał wrześnieego południa, przypomniała sobie strach przed Jankesami, usłyszała marsz cofających się wojsk i głos Melanii, błagający ją, aby uratowała dziecko, gdyby ona nie przeżyła porodu - przypomniała sobie także, jak bardzo tego dnia nienawidziła Meli i jak pragnęła jej śmierci.

„Zabiłam ją - myślała z zabobonną rozpaczą. - Tak często pragnęłam, aby umarła, aż Bóg wysłuchał mnie i pokarał”.

- Och, Melu, nie mów tak, proszę! Wiesz, że wyjdiesz z tego...

- Nie. Przyrzeknij.

Scarlett przeknęła ślinę.

- Wiesz dobrze, że przyrzekam. Będę go uważała za własnego syna.

- Liceum? - zapytał słaby głos Melanii.

- O tak! Uniwersytet, Harvard i podróż do Europy, i wszystko, czego zechce i... i... kucyk... i lekcje muzyki... Och, błagam cię, Melu, postaraj się! Zrób wysiłek!

Znowu zapadło milczenie. Na twarzy Melanii widać było ślady walki, aby znowu zebrać siły i mówić.

- Ashley - powiedziała. - Ashley i ty... - Głos jej załamał się i umilkł.

Na dźwięk imienia Ashleya serce Scarlett zamarło, stało się zimne jak granit. Melania wiedziała przez cały czas! Scarlett opuściła głowę na koldrę i łkanie, które nie chciało się wydobyć, schwyciło ją za gardło. Melania wiedziała. Scarlett nie mogła się już teraz wstydzić, nie mogła czuć nic prócz dzikich wyrzutów sumienia, że raniła to słodkie stworzenie przez tyle długich lat. Melania wiedziała - a przecież została jej oddaną przyjaciółką. Och, gdybyż mogła przeżyć wszystkie te lata na nowo! Nigdy by więcej nie spojrzała na Ashleya.

„O Boże - modliła się szybko - pozwól jej żyć. Wynagrodzę jej to wszystko. Będę dla niej bardzo dobra. Nigdy więcej nie odezwę się do Ashleya, dopóki żyć będę, jeżeli pozwolisz jej żyć!”

- Ashley - powiedziała Melania słabo, wyciągnęła rękę i dotknęła palcami pochylonej głowy Scarlett. Kciukiem i palcem wskazującym pociągnęła ją za włosy, z nie większą siłą niż niemowlę. Scarlett wiedziała, co to znaczy, wiedziała, że Melania chce, aby podniosła głowę. Nie mogła jednak - nie mogła spojrzeć Meli w oczy i wyczytać w nich przykrej

prawdy.

- Ashley - wyszeptała znowu Melania i Scarlett opanowała się wreszcie. Gdy będzie patrzyła w dniu Sądu Ostatecznego w twarz Boga i wyczyta w Jego oczach wyrok na siebie, nie będzie to w połowie tak straszne. Wiła się w bólu, ale głowę podniosła.

Zobaczyła tylko te same ciemne, kochające oczy, zapadnięte i zamglone śmiercią, te same słodkie usta, z trudem łapiące oddech. Nie było w nich wymówki ani oskarżenia czy obawy - tylko niepokój, że nie będzie miała siły mówić.

Przez chwilę Scarlett była zbyt zdumiona, aby odczuć jakąkolwiek ulgę. Potem, kiedy mocniej objęła dłoń Melanii, wypełniła ją falą cieplej wdzięczności do Boga i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa zmówiła w duchu pokorną modlitwę.

„Dziękuję ci, Boże. Wiem, że nie jestem tego warta, ale dziękuję Ci, żeś nie dopuścił, by się dowiedziała”.

- Co z Ashleyem, Melu?

- Czy... będziesz się nim opiekowała?

- Ach, tak!

- On się łatwo... zaziębia.

Nastąpiła pauza.

- Pilnuj jego interesów, czy rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Będę pilnowała.

Melania zrobiła wielki wysiłek.

- Ashley nie jest... praktyczny.

Tylko śmierć mogła Melanię skłonić do takiej nielojalności.

- Opiekuj się nim, Scarlett, ale... nie daj mu tego nigdy poznać. Poddawaj mu tylko pomysły.

Melania uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale był to uśmiech tryumfu, gdy znowu spojrzała na Scarlett. Spojrzenia ich przypieczętowały układ, że obowiązek chronienia Ashleya Wilkesa przed zbyt okrutnym światem przechodzi z jednej kobiety na drugą i że jego męska duma nigdy nie ucierpi.

Teraz wyraz wysiłku ustąpił ze zmęczonej twarzy, jak gdyby po przyrzeczeniu Scarlett wróciła Meli otucha.

- Ty jesteś taka mądra - taka odważna - byłaś dla mnie zawsze dobra...

Na te słowa łkanie wyrwało się wreszcie z gardła Scarlett - musiała zamknąć sobie ręką usta. Nie, nie będzie ryczała jak dziecko, nie krzyknie: - Byłam podła! Skrzywdziłam cię bardzo! Nie dla ciebie to robiłam! To wszystko było dla Ashleya!

Porwała się na nogi i zaczęła gryźć palce, aby odzyskać panowanie nad sobą. Przyszły jej znowu na pamięć słowa Retta: „Ona cię bardzo kocha. Niechaj to będzie twoim krzyżem”. Krzyż stał się teraz jeszcze cięższy. Było źle, że starała się wszystkimi siłami zabrać Meli Ashleya. Gorzej jednak było, że Melania, która przez całe życie ufała jej ślepo, nawet i w chwili śmierci darzyła ją tą samą miłością i zaufaniem. Nie, nic jej nie powie. Nawet już nie powtórzy: „Postaraj się żyć”. Musi pozwolić jej odejść lekko, bez walki, bez łez, bez smutku.

Drzwi uchyliły się trochę, doktor Meade stanął na progu wzywając ją rozkazująco. Scarlett pochyliła się nad łóżkiem, przelknęła łzy i podnosząc rękę Melanii przyłożyła ją do swego policzka.

- Dobranoc - powiedziała - a głos jej brzmiał mocniej, niż się spodziewała.

- Przynajmniej mi - szept Meli był już bardzo cichy.

- Wszystko, kochanie.

- Kapitan Butler... bądź dla niego dobra. On... tak cię kocha. „Rett?” - pomyślała Scarlett ze zdumieniem; słowa te były dla niej pustym dźwiękiem.

- Tak, rozumie się - rzekła machinalnie i lekko pocałowawszy rękę Melanii, położyła ją na kołdrze.

- Powiedz tym paniom, żeby od razu weszły - szepnął doktor, kiedy mijają go w drzwiach.

Przez zamglone łzami oczy zobaczyła, jak India i Pitty wchodzi za doktorem do pokoju przytrzymując spódnice na bokach, aby nie szeleściły. Drzwi zamknęły się za nimi i w domu znów zapadła cisza. Ashleya nigdzie nie było widać. Scarlett oparła głowę o ścianę, jak postawione do kąta niegrzeczne dziecko, i rozcierała sobie bolące gardło.

Za zamkniętymi drzwiami Melania odchodziła ze świata, a z nią siła, z której czerpała bezwiednie przez tyle lat. Dlaczego, ach, dlaczego nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo kochała i potrzebowała Melanii? Któż by jednak mógł pomyśleć, że mała, nieładna Melania jest źródłem siły? Melania, którą do łez onieśmielali obcy, która nigdy nie chciała wypowiadać własnego zdania, bała się krytyki starszych pań, nie miała odwagi przeciwstawić się nikomu. A przecież...

Myśli Scarlett cofnęły się o wiele lat do cichego popołudnia w Tarze, gdy szary dymek unosił się nad trupem w niebieskim mundurze, a Melania stała u szczytu schodów z szablą Karola w dłoni. Scarlett przypomniała sobie, że pomyślała wtedy: „Jakie to śmieszne! Mela nigdy nie mogła unieść tej szabli!” Teraz wiedziała jednak, że w razie konieczności Melania zbiegłaby po schodach i zabiła Jankesa lub sama została zabita.

Tak, Melania dnia tego była gotowa walczyć ze Scarlett z szablą w małej dłoni. Teraz,

patrząc ze smutkiem w przeszłość, Scarlett zrozumiała, że Melania zawsze stała u jej boku z szablą w dłoni, nieodstępna jak cień, kochająca ją, walcząca za nią ze ślepych, namiętnym oddaniem, zwalczająca Jankesów, pożar, głód, biedę, opinię publiczną i nawet ukochaną rodzinę.

Kiedy Scarlett zrozumiała, że miecz, który ją odgradzał od świata, został na zawsze złożony do pochwy, uczuła, że odpływa z niej odwaga i wiara w siebie.

„Mela jest jedyną przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam - myślała z rozpaczą - jedyną kobietą, poza matką, która mnie naprawdę kochała. Podobna jest też do mojej matki. Wszyscy, którzy ją znali, czepiali się fałd jej sukni”.

Nagle wydało jej się, że to Ellen leży za zamkniętymi drzwiami i po raz wtóry schodzi ze świata. Nagle znowu znalazła się w Tarze, i znowu miała świat cały przeciw sobie, była przerażona świadomością, że bez straszliwej siły słabych, łagodnych, czułych serc nie potrafi się przeciwstawić życiu.

Stała w hallu bez ruchu, niezdecydowana, przerażona, a ogień płonący jasno na kominku w salonie rzucał zamglone cienie na ściany dokoła, niej. Dom był zupełnie cichy - cisza wsiąkała w nią jak drobny, chłodny deszcz. Ashley! Gdzie jest Ashley?

Poszła w stronę salonu jak zmarznięte zwierzę, które chce się ogrzać przy ogniu - ale tam nie było Ashleya. Musi go odszukać. Odkryła siłę Melanii i swoją zależność od niej po to tylko, aby stracić je w tej samej chwili - ale jeszcze pozostał jej przecież Ashley. Ashley był silny i mądry. W Ashleyu i jego miłości była teraz jej siła, o którą oprze swoją słabość - odwaga, która ukoji jej strach - pociecha dla jej smutku.

„Musi być w swoim pokoju” - pomyślała i przeszedłszy na palcach przez hali zapukała cicho do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc je otworzyła. Ashley stał przed toaletą i patrzył na pocerowane rękawiczki Melanii. Najpierw podniósł jedną i przyjrzał jej się, jak gdyby nigdy jej dotąd nie widział. Potem odłożył ją ostrożnie, jak przedmiot ze szkła, i wziął do ręki drugą.

Zawołała drżącym głosem: - Ashleyu! - Odwrócił się powoli i popatrzył na nią. Senna otępiałość znikła z jego oczu, które teraz były szeroko otwarte i szczerze. Wyczytała w nich strach, który dorównywał jej strachowi, bezradność większą jeszcze od swojej, zdumienia głębsze, niż mogła przypuszczać. Przerazenie, jakie odczuła w hallu, pogłębiło się, gdy spojrzała mu w oczy. Szybko do niego podeszła.

- Boję się - powiedziała. - Och, Ashleyu, przytul mnie. Tak się boję!

Nie poruszył się wcale, tylko patrzył na nią, mocno w obu rękach ściskając rękawiczkę. Położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła: - Co to?



Oczy jego wpatrywały się w nią uparcie, szukając, szukając czegoś, czego nie znajdował. Wreszcie odezwał się głosem, który zabrzmiał obco.

- Chciałem cię widzieć - powiedział. - Chciałem biec do ciebie, jak dziecko, które szuka pociechy, a widzę dziecko jeszcze bardziej przerażone, które przybiega do mnie.

- Ty nie... ty nie możesz się bać! - zawołała. - Tyś się nigdy niczego nie bał. Ale ja... Byłeś zawsze taki silny...

- Jeżeli kiedykolwiek byłem silny, to dlatego, że ona stała za mną - powiedział; głos mu się łamał, patrzył na rękawiczkę i prostował jej palce. - A teraz cała moja siła uchodzi wraz z nią.

W cichym jego głosie brzmiała nuta tak szalonego strachu, że Scarlett puściła jego ramię i cofnęła się o krok. W ciężkim milczeniu, które zapadło, poczuła, że teraz dopiero rozumie go naprawdę po raz pierwszy.

- Ależ - powiedziała wolno. - Ależ, Ashleyu, ty kochasz ją, prawda?

Mówił z widocznym wysiłkiem:

- Ona jest jedynym moim marzeniem, które żyło, oddychało i nie znikło w zetknięciu z rzeczywistością.

„Marzenia! - pomyślała z nawrotem dawnej irytacji. - Zawsze tylko marzenia! Nigdy nie mówił do rzeczy!”

Z sercem ciężkim i pełnym gorzkości powiedziała:

- Byłeś bardzo niemądry, Ashleyu, niemądry. Dlaczego nie rozumiałeś, że ona jest milion razy więcej warta ode mnie?

- Scarlett, proszę cię! Gdybyś wiedziała, co przeszedłem od chwili, gdy doktor...

- Co przeszedłeś! Czy przypuszczasz, że ja... Och, Ashleyu, powinieneś być od lat wiedzieć, że kochasz ją, a nie mnie! Dlaczegoś tego nie rozumiał? Wszystko byłoby zupełnie inne, zupełnie... Och, powinieneś być to wiedzieć, a nie trzymać mnie w napięciu swoimi słowami o honorze i poświęceniu! Gdybyś mi to powiedział przed laty, ja... Zabiłoby mnie to może, ale może bym to jakoś przetrzymała. Czekaleś jednak aż do teraz, aż do ostatnich chwil Meli, żeby zrozumieć - gdy teraz już jest na wszystko za późno. Och, Ashleyu, to mężczyźni powinni wiedzieć takie rzeczy, nie kobiety! Powinieneś być jasno wiedzieć, że przez cały ten czas ją kochałeś, a mnie tylko pragnałeś - jak Rett pragnał Belli Watling!

Wzdrygnął się na jej słowa, ale jeszcze ciągle patrzył jej w oczy, błagając o milczenie, o pociechę. Każdy rys jego twarzy potwierdzał prawdę jej słów. Bezradne zwieszenie ramion wskazywało, że sam robił sobie cięższe zarzuty niż te, które mógł od niej usłyszeć. Stał przed nią w milczeniu, ściskając rękawiczkę, jak gdyby to była współczująca dłoń; w ciszy, która

zapadła po jej słowach, minęło jej oburzenie, i litość, zaprawiona pogardą, pojawiła się na to miejsce. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Kopała zbitego i bezradnego człowieka - a przyrzekła Melanii, że będzie się nim opiekowała.

„I zaraz po przyrzeczeniu jej tego powiedziałam mu złe, bolesne rzeczy, których nie powinnam była powiedzieć mu ani ja, ani nikt inny. Zna prawdę i zabija go ona - pomyślała w rozpacz. - On nie jest dorosły. Jest dzieckiem jak ja i jest nieprzytomny ze strachu, że traci Melę. Mela wiedziała, że tak będzie, Mela знаła go znacznie lepiej niż ja. Dlatego prosiła mnie, abym opiekowała się nim i Beau, prosiła o to jednym tchem. Jak Ashley to wszystko przetrzyma? Ja - przetrzymam. Ja potrafię wszystko przetrzymać. Już tyle przesłam. On jednak nie może - on nie potrafi żyć bez niej”.

- Przebacz mi, kochanie - powiedziała łagodnie, wyciągając do niego ręce. - Wiem, jak cierpisz. Pamiętaj jednak, że ona o niczym nie wie, nigdy nawet nie podejrzewała. Bóg był dla nas dobry.

Podszedł do niej szybko i mocno ją objął. Wspięła się na palce, aby ogrzać go swoim policzkiem, i pogładziła go po głowie.

- Nie płacz, kochany. Ona chce, abyś był silny. Zawoła cię za chwilę, musisz więc być odważny. Nie powinna widzieć, żeś płakał. To by ją zmartwiło.

Trzymał ją w tak mocnym uścisku, że nie mogła oddychać. W uszach jej zabrzmiał jego zdławiony głos:

- Co ja teraz pocznę? Nie mogę, nie mogę bez niej żyć!

„I ja nie mogę” - pomyślała wzdrygając się na myśl o długich latach bez Melanii. Ale opanowała się już po chwili. Ashley jej zaufał, Melania jej zaufała. Podobnie jak dawniej, w księżycową noc w Tarze, kiedy była wyczerpana i pijana, pomyślała: ciężary są dla ramion dość silnych, aby je dźwigać. Jej ramiona były silne, a Ashleya słabe. Wyprostowała się, jak gdyby nadstawiając je pod to nowe brzemie, i z pozornym spokojem pocałowała go w wilgotny policzek - bez podniecenia, namiętności czy miłości, chłodno i łagodnie.

- Damy sobie jakoś radę - powiedziała.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i doktor Meade zawołał ostro:

- Ashleyu! Szybko!

„Mój Boże! - pomyślała Scarlett. - Odeszła! A Ashley nie zdążył się z nią pożegnać! Ale może...”

- Spiesz się! - zawołała na głos popychając go, bo patrzył na nią jak skamieniały. - Śpiesz się!

Otworzyła drzwi i pociągnęła go za sobą. Zelektryzowany jej słowami, wybiegł do

hallu, ciągle jeszcze trzymając rękawiczkę. Przez chwilę słyszała jego szybkie kroki, potem zamknięcie drzwi.

Powiedziała znowu na głos: - Mój Boże - i wolno podszedłszy do łóżka usiadła na nim i złożyła głowę na rękach. Poczła się nagle zmęczona, bardziej zmęczona niż kiedykolwiek w swoim życiu. Z trzaskiem zamykanych drzwi napięcie, które ją podtrzymywało i dawało jej siłę, nagle minęło. Czła się wyczerpana fizycznie i wyprana z wszelkich uczuć. Teraz nie odczuwała smutku ani wyrzutu, strachu ani zdumienia. Była zmęczona i myśli jej krążyły tępo, mechanicznie, w kółko, jak wskazówki zegara na kominku.

Po chwili zarysowała się wyraźniej jedna myśl. Ashley nie kochał jej, nigdy jej nie kochał - i to wcale nie bolało. Powinno ją było boleć. Powinna być zrozpaczona, złamana, gotowa do skarg na swój zły los. Tak długo wierzyła w jego miłość, która podtrzymywała ją w tylu strasznych chwilach. A jednak jej nie kochał. Taka była prawda. Nie kochał jej i wcale ją to nie obchodziło. Nie obchodziło ją, bo go nie kochała. Nie kochała go, więc nie raniło ją nic, co robił czy mówił.

Położyła się na łóżku i złożyła zmęczoną głowę na poduszce. Na nic się nie zda duszenie tej myśli i powtarzanie: „Ależ ja go kocham. Kochałam go przez tyle lat. Miłość nie może zmienić się w jednej chwili w obojętność”.

Widocznie jednak może, bo się zmieniła.

„Ashley istniał właściwie tylko w mojej wyobraźni - myślała ze znużeniem. - Kochałam coś, co sama stworzyłam, coś, co teraz umarło razem z Melą. Stworzyłam sobie piękne ubranie i zakochałam się w nim. A kiedy Ashley przejechał koło mnie, taki piękny, taki inny, włożyłam to ubranie na niego i kazałam mu je nosić, choć na nim źle leżało. Nie chciałam go widzieć takim, jakim jest naprawdę. Kochałam ciągle piękne ubranie - a wcale nie jego”

Teraz mogła już patrzeć wstecz, na przeszłe lata: widziała się w zielonej kwiciastej sukience perkalowej, stojącą w słońcu w Tarze, zachwyconą młodym jeźdźcem, którego blond włosy świeciły jak srebrny hełm. Widziała teraz zupełnie jasno, że był tylko dziecinną zachcianką, wcale nie ważniejszą od ochoty posiadania kolczyków z akwamaryn, które wreszcie wyprosiła u Geralda. Bo kiedy już miała kolczyki, straciły dla niej natychmiast wartość, jak traciło ją wszystko raz zdobyte, z wyjątkiem pieniędzy. Tak więc i Ashley przestałby ją pociągać, gdyby w owych dawnych czasach miała przyjemność odmówienia mu swej ręki. Gdyby kiedykolwiek zdał się na jej łaskę, gdyby widziała, jak rozkochuje się, staje natrętny, zazdrosny, nachmurzony jak inni chłopcy - szalone zadurzenie, które ją ogarnęło, przeszłoby z pewnością w chwili spotkania innego mężczyzny, rozwiałoby się lekko jak opary poranne pod promieniami słońca.

„Jakaż ja byłam głupia - myślała z goryczą. - A teraz muszę za to płacić. To, czego życzyłam sobie tak często, zdarzyło się wreszcie. Chciałam, aby Mela umarła i abym ja mogła mieć Ashleya. A teraz ona nie żyje, mogę go mieć i nie chcę go wcale. Jego przekłety honor skłoni go do zapytania mnie, czy chce się rozwieść z Rettem i wyjść za niego. Wyjść za niego? Nie chcę go, choćby go ozłocono! Ale i tak będę go miała na karku do końca moich dni. Dopóki będę żyła, będę się musiała nim opiekować i uważać, aby nie umarł z głodu i aby ludzie nie ranili jego uczuć. Będzie się trzymał mojej spódnicy jak jeszcze jedno dziecko. Straciłam ukochanego, a zyskałam nowe dziecko. I gdybym nie przyrzekła Meli, nie zmartwiłabym się wcale, gdybym go więcej nie miała widzieć!”



## ROZDZIAŁ LXII

Usłyszała jakieś szepty za drzwiami i wyrzawszy zobaczyła w kuchennym korytarzu przerażonych Murzynów - Dilcey, uginającą się pod ciężarem śpiącego Beau, płaczącego wuja Piotra i kucharkę ocierającą fartuchem szeroką twarz. Wszyscy troje patrzyli na nią niemo, pytając jak gdyby, co teraz poczną. Spojrzała przez hali w stronę jadalni i zobaczyła Indię i ciotkę Pitty, milczące, trzymające się za ręce. India po raz pierwszy w życiu straciła swoją przyrodzoną sztywność. Podobnie jak Murzyni, patrzyły na nią błagalnie, oczekując jakichś instrukcji. Weszła do salonu i obie kobiety zbliżyły się do niej.

- Och, Scarlett, co... - zaczęła ciotka Pitty, a jej grube i dziecinne wargi drżały.

- Niech ciocia do mnie nie mówi, bo zacznę krzyczeć - powiedziała Scarlett. Napięcie nerwowe sprawiło, że głos jej zabrzmiał ostro, a dłonie zacisnęły się w pięści. Myśl, że będzie musiała mówić o Melanii, że będzie musiała wydawać zarządzenia, które są następstwem każdej śmierci, znowu spowodowała skurcz gardła. - Nie odzywajcie się do mnie ani słowem.

Słyszając stanowczość w jej głosie cofnęły się i na twarzach ich ukazał się wyraz bezradności i urazy. „Nie chcę płakać w ich obecności - myślała Scarlett. - Nie mogę się teraz załamać, bo i one zaczną płakać, a potem Murzyni, i wreszcie wszyscy poszalejemy z rozpacz. Muszę się wziąć w garść. Tyle mam do roboty. Powinnam iść do przedsiębiorcy i zająć się urządzeniem pogrzebu, dopilnować, aby dom był sprzątnięty, i rozmawiać z ludźmi, którzy będą płakali w moich objęciach. Ashley, Pitty ani India nie wyręczą mnie. Wszystko to muszę zrobić sama. Och, jakież to ciężkie brzemie! Cudze ciężary zawsze spadają na mnie - zawsze tak było!”

Spojrzała znowu na osłupiałe, urażone twarze Indii i Pitty i ogarnął ją żal. Melania miałaby jej za złe, że jest taka szorstka dla tych, które ją kochały.

- Przepraszam, że się uniosłam - powiedziała, ledwie mogąc mówić. - To dlatego, że... przepraszam, że byłam zła, ciociu. Wyjdę na chwilę na ganek. Muszę być sama. Potem wrócę i zajmiemy się...

Pogładziła ciotkę Pitty po ręce i szybko ją mijając poszła ku frontowym drzwiom, wiedząc, że gdyby choć minutę dłużej została w pokoju, straciłaby panowanie nad sobą. Musiała być sama. I musiała się wypłakać, aby jej serce nie pękło.

Wyszła na ciemny frontowy ganek i zamknęła za sobą drzwi, poczuła na twarzy chłodną wilgoć powietrza. Deszcz przestał padać i panowała zupełna cisza, przerywana tylko spadaniem kropli z okapu. Świat spowity był w gęstą, chłodną mgłę, która pachniała

zamierającym latem. Domy po przeciwnej stronie ulicy były ciemne, prócz jednego okna; światło palącej się w nim lampy, padające snopem na ulicę, przebijało się z trudem przez mgłę; w promieniach jego wirowały złote pyłki. Wydawało się, jak gdyby świat owinięty był nieruchomym całunem szarego dymu. Panowała śmiertelna cisza.

Scarlett oparła głowę o jeden ze słupków ganku i chciała zapłakać, ale łzy wcale nie napływały jej do oczu. Strata jej była zbyt wielka. Drżała na całym ciele. Jeszcze miała w uszach huk dwóch walących się nie zdobytych twierdz swego życia, które teraz rozsypywały się w proch. Przez chwilę stała bez ruchu, przywołując na pomoc dawne swoje zaklęcie: „Pomyślę o tym wszystkim jutro, kiedy będę to mogła lepiej znieść”. Zaklęcie straciło jednak swoją siłę. Musiała myśleć teraz o dwóch rzeczach - o Meli i o tym, jak bardzo była jej droga i potrzebna; o Ashleyu i upartej ślepotcie, wskutek której nie chciała go widzieć takim, jakim był naprawdę! Wiedziała, że myśli te będą tak samo bolesne jutro i we wszystkich jutrach jej życia.

„Nie mogę wrócić tam teraz i rozmawiać - myślała. - Nie mogę widzieć dzisiaj Ashleya ani go pocieszać. Nie dziś. Jutro rano przyjdę wcześniej i zrobię wszystko, co trzeba, dam im słowa pociechy, jakich ode mnie czekają. Byle nie dziś. Nie mogę. Pójdę do domu.

Dom odległy był tylko o kilka przecznic. Nie będzie czekała, aż szlochający Piotr zaprzęgnie bryczkę, nie poczeka, by doktor Meade podwiózł ją do domu. Nie mogła znieść łez Piotra ani milczącego potępienia doktora. Szybko zeszała po ciemnych schodkach, bez płaszcza i kapelusza, prosto w mglistą noc. Skręciła za rogiem i zaczęła iść pod górę w stronę Brzoskwiniowej, idąc przez cichy, wilgotny świat, przesuwając się przezeń bezszelestnie jak cień.

Kiedy tak szła pod górę ze ściśniętą od nie przelanych łez piersią, ogarnęło ją poczucie nierealności, wrażenie, że była już kiedyś na tych chłodnych ulicach, w podobnych okolicznościach - nie raz, ale wiele razy przedtem. „Jakie to dziwne” - myślała niespokojnie, przyśpieszając kroku. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Ale wrażenie nie mijało, tylko przenikało ją całą. Rozglądała się niepewnie wkoło - wrażenie spotęgowało się jeszcze, niejasne, ale znajome, i raptem podniosła głowę jak zwierzę czujące niebezpieczeństwo. „Jestem po prostu przemęczona - myślała, aby się uspokoić. - Noc jest dziwna, upiorna. Nigdy w życiu nie widziałam tak gęstej mgły, tylko... tylko...”

Nagle zrozumiała i strach ścisnął jej serce. Już wiedziała. W setce koszmarów nocnych uciekała przez taką mgłę, przez nawiedzony pusty kraj, osnuty grubą, nieprzeniknioną mgłą, zaludniony widmami i cieniami. Czyżby znowu śniła, czy też sprawdził się jej dawny sen?

Na chwilę opuściło ją poczucie rzeczywistości i zgubiła się zupełnie. Ogarnęło ją

dawne, znane z koszmarów uczucie, silniejsze niż zwykle, i serce jej zaczęło walić jak szalone. Znalazła się znowu między ciszą a śmiercią, jak już raz przedtem w Tarze. Wszystko, co miało dla niej wartość w świecie, odeszło, życie było w gruzach, w sercu jej był strach niczym zimny wichur. Groza, kryjąca się we mgle, wzięła ją w posiadanie. Zaczęła biec. Podobnie jak setki razy we śnie, biegła teraz, biegła na ślepo, nie wiedząc dokąd, gnana nie nazwanym strachem, szukając w szarej mgle bezpieczeństwa, które gdzieś się kryło.

Uciekała w górę mrocznej ulicy, z opuszczoną głową, walącym sercem, smakiem wilgoci na wargach - konary drzew zastopowały jej drogę. Gdzieś, gdzieś daleko w tym dzikim bezmiarze wilgotnej ciszy znajdowała się bezpieczna przystań! Dysząc ciężko biegła pod górę, mokre spódnice uderzały ją po kostkach, płuca pękały, ciasno zasznurowany gorset ścisnął żebra.

Potem przed oczyma jej zamajaczyło światło, rząd świateł migotliwych i mdłych, ale mimo to rzeczywistych. W koszmarze swoim nigdy nie widziała świateł, była w nim tylko szara mgła. Uczepiła się myślami tych świateł. Znaczyły ocalenie, ludzie, rzeczywistość. Nagle przestała biec, zacisnęła pięści, zaczęła walczyć ze sobą, aby opanować strach, i wpatrzyła się bacznie w rząd lamp gazowych, który mówił, że to już Brzoskwiniowa, że jest w Atlancie, a nie w szarym świecie mar i widm.

Usiadła ciężko dysząc na słupku przed jakimś domem i starała się opanować nerwy rozedrgane jak struny.

„Biegłam - biegłam jak obłąkana! - Myślała trzęsąc się jeszcze ciągle od ustępującego strachu, zamroczona prawie gwałtownym biciem serca. - Ale dokąd biegłam?”

Oddychała teraz swobodniej, siedząc z dłonią przyciśniętą do serca. Popatrzyła w górę ulicy. Tam, na szczycie pagórka, stał jej dom. Wydało jej się, jak gdyby wszystkie okna były oświetlone, jak gdyby światła rzucały wyzwanie mgle, że nie zaćmi ich blasku. Dom! Był zatem realny! Popatrzyła na majaczące w oddali jego zarysy z wdzięcznością, z tęsknotą i ogarnął ją względny spokój.

Dom! Tam właśnie chciała iść. Tam właśnie biegła. Do domu, do Retta!

Kiedy to pojęła, wydało jej się, że opadają z niej krępujące ją łańcuchy, z nimi zaś mija strach, który nawiedzał ją w snach od owej nocy, kiedy dowlokła się do Tary, aby zastać ruinę swego świata. U kresu drogi do Tary nie znalazła ani bezpieczeństwa, ani siły, mądrości, czułości czy zrozumienia - wszystkiego tego, co, uosobione w Ellen, stanowiło podporę jej dzieciństwa. I mimo że odtąd zyskała materialne zabezpieczenie, w snach swoich była nadal przerażonym dzieckiem, szukającym straconego bezpieczeństwa w świecie, który przeminął.

Teraz rozumiała, co jest przystanią, której szukała w snach - ciepłem,



bezpieczeństwem, które zawsze kryło się przed nią we mgle. Nie był to Ashley - ach, skądże znowu Ashley! Posiadał nie więcej ciepła niż błędny ogień na bagnach, był nie bardziej pewny od lotnych piasków. Był to Rett - Rett, który miał mocne ramiona i szeroką pierś, gdzie może złożyć umęczoną głowę, i drwiący śmiech obracający wniwecz wszystkie jej kłopoty. U niego znajdzie pełne zrozumienie, bo Rett prawdopodobnie jak ona potrafi widzieć prawdę, nie przysłoniętą mało istotnymi zasadami honoru, poświęcenia czy wzniosłej wiary w człowieka. Rett ją kochał! Dlaczego nie rozumiała, że kocha ją mimo wszystkich dokuczliwych zaprzeczeń? Melania to wiedziała i w ostatnim tchnieniu powiedziała jej: „Bądź dobra dla niego”

„Och - pomyślała - nie tylko Ashley był ślepym głupcem. Ja też nic nie widziałam”.

Przez całe lata opierała się o mocny mur miłości Retta, uważała ją za tak oczywistą jak miłość Melanii i schlebiała sobie, że siłę swoją czerpie z samej siebie. I tak samo jak wcześniej tego wieczora zrozumiała, że Melania stała przy niej we wszystkich gorzkich walkach jej życia, tak teraz pojęła, że milcząco w cieniu stał za nią Rett kochając ją, rozumiejąc, śpiesząc zawsze z pomocą. Rett z owej pierwszej wenty, kiedy wyczytał niecierpliwość w jej oczach i poprosił do tańca. Rett, który pomógł jej wyzwolić się z pęt żałoby, Rett, który wyprowadził ją przez pożary i wybuchy w dniu zdobycia Atlanty, Rett, który pożyczył jej pierwsze pieniądze, Rett, który uspokajał ją, gdy budziła się w nocy krzycząc z przerażenia przed koszmarem - ależ żaden mężczyzna nie zrobiłby tego, gdyby nie kochał kobiety do szaleństwa!

Z drzew kapały na nią krople, ale nie czuła tego. Mgła kłębiła się dokoła niej, ale nie zwracała na nią uwagi. Bo kiedy pomyślała o Recie, o śniadej jego twarzy, białych zębach i ciemnych, żywych oczach, ogarnęło ją drżenie.

„Kocham go - pomyślała i jak zwykle przyjęła prawdę bez zdziwienia, jak dziecko, które dostaje podarunek. - Nie wiem, od kiedy go kocham, ale wiem, że to prawda. I gdyby nie Ashley, zrozumiałabym to już dawno temu. Nigdy nie widziałam świata, jakim jest naprawdę, bo na przeszkodzie stał mi zawsze Ashley”.

Kochała Retta - drania, łotra, człowieka bez skrupułów i honoru - przynajmniej honoru w rozumieniu Ashleya. „Niech licho porwie honor Ashleya! - pomyślała. - Honor Ashleya zawsze mnie zawodził. Tak, od samego początku, kiedy przyjeżdżał do mnie, chociaż wiedział, że musi się ożenić z Melanią. Rett nigdy mnie nie zawiódł, nawet owego straszego dnia, kiedy było przyjęcie u Melanii, chociaż powinien był mi gości połamać. Nawet kiedy zostawił mnie na środku drogi, gdy zdobywano Atlantę, wiedział, że będę bezpieczna. Wiedział, że jakoś dam sobie radę. Nawet kiedy udawał, że chce, abym mu się oddała za

pieniądze. Nie tknęłyby mnie nawet. Chciał mnie tylko wypróbować. Kochał mnie przez cały czas, a ja byłam dla niego zawsze niedobra. Raniłam go ciągle na nowo, on zaś był zbyt dumny, aby się do tego przyznać. A kiedy Bonnie umarła... Och, jakże ja mogłam?!”

Wstała, wyprostowała się i popatrzyła w stronę domu na wzgórzu. Jeszcze pół godziny temu sądziła, że straciła wszystko na świecie prócz pieniędzy, wszystko, co stanowiło urok życia - Ellen, Geralda, Bonnie, Mammy, Melanię i Ashleya. Musiała ich wszystkich stracić, aby zrozumieć, że kocha Retta - kocha go, ponieważ jest silny i nie ma skrupułów, ponieważ jest namiętny i przyziemny jak ona.

„Powiem mu wszystko - pomyślała. - Zrozumie mnie. Zawsze mnie rozumiał. Powiem mu, jaka byłam głupia i jak bardzo go kocham, i wszystko mu jeszcze wynagrodzę”.

Nagle poczuła się silna i szczęśliwa. Nie bała się już ciemności ani mgły i wiedziała z radością w sercu, że już nigdy się ich nie ulęknie. Choćby nie wiedzieć jakie mgły skupiały się dokoła niej w przyszłości, znała już przystań. Poszła szybko w stronę domu i droga wydała jej się bardzo długa. O wiele za długa. Podniosła spódnicę do kolan i zaczęła lekko biec. Teraz jednak nie pędził jej strach. Biegła, ponieważ na końcu ulicy czekały na nią objęcia Retta.



## ROZDZIAŁ LXIII

Drzwi frontowe były lekko uchylone. Wbiegła do hallu i zatrzymała się na chwilę pod rzucającym tęczowe blaski kryształowym kandelabrem. Mimo zapalonych świateł dom był bardzo cichy, nie była to jednak pogodna cisza, tylko czujne, zmęczone, trochę złowrogie milczenie. Jednym rzutem oka ustaliła, że Retta nie ma w salonie ani w bibliotece, i serce w niej zamarło. A jeżeli nie ma go w domu - jeżeli jest u Belli czy w innym jakimś miejscu, gdzie spędzał wieczory, gdy nie zjawiał się do stołu? Tego nie przewidziała.

Zaczęła iść na górę, aby go poszukać, kiedy spostrzegła, że drzwi jadalni są zamknięte. Serce jej ścisnęło się wstydem, na ten widok, bo przypomniała sobie, ile wieczorów w ciągu ostatniego lata Rett spędził tam sam, pijąc do utraty przytomności, póki Pork go nie zabrał i nie ułożył do snu. To była jej wina, teraz jednak wszystko będzie inaczej - może Bóg zrządzi, że nie jest dzisiaj pijany. Jeżeli jest pijany, nie uwierzy jej i wyśmieje ją, a to złamie jej serce.

Cicho otworzyła drzwi jadalni i zajrzała. Rett siedział przy stole, rozwalony na krześle; przed nim stała zakorkowana, pełna karafka i czysty kieliszek. Dzięki Bogu, był trzeźwy! Otworzyła drzwi wstrzymując się z trudem od rzucenia mu się w objęcia. Ale kiedy spojrzał na nią, spojrzenie jego zatrzymało ją u progu drzwi, zmroziło jej słowa na wargach.

Patrzył na nią przenikliwie ciemnymi oczyma, podkrążonymi ze zmęczenia, ale nie pojawił się w nich żaden błysk. Mimo że włosy spadały jej na ramiona, pierś wznosiła się bez tchu, a suknia była uwalana błotem do kolan, nie zmienił wyrazu twarzy, nie zapytał o nic, nie uśmiechnął się drwiąco. Siedział bezwładnie na krześle, ubranie fałdowało mu się nieporządnie na brzuchu - każdy szczegół jego osoby świadczył o ruinie pięknego ciała i zniszczeniu mocnej twarzy. Trunek i rozpusta wyryły ślady na jego rzeźbionym profilu i teraz nie był to już profil młodego pogańskiego księcia na nowej złotej monecie, lecz głowa zmęczonego, dekadentckiego cezara na miedziaku startym przez długie użycie. Popatrzył na nią, kiedy długo stała bez ruchu, z ręką na sercu - popatrzył ze spokojem, prawie z dobrocią, i to ją przeraziło.

- Chodź tutaj i usiądź - powiedział. - Czy umarła?

Skinęła głową i zbliżyła się ku niemu z wahaniem, zaniepokojona teraz tym nowym wyrazem jego twarzy. Nie wstając odsunął nogą krzesło od stołu. Scarlett usiadła. Żałowała, że od razu wspomniał Melanię. Nie chciała teraz o niej rozmawiać ani przeżywać na nowo rozpacz ostatniej godziny. Miała przed sobą resztę życia na rozmowy o Melanii. Teraz zaś, kiedy rozpierało ją pragnienie wykrzyknięcia: „Kocham cię!”, zdawało jej się, że ma tylko tę

noc, tę godzinę na wyznanie Rettowi wszystkiego, co leżało jej na sercu. Coś jednak w jego oczach powstrzymało ją od tego i nagle zawstydziła się, że chce mówić o miłości, gdy ciało Melanii jeszcze nie ostygło.

- Panie świeć nad jej duszą - powiedział Rett ze smutkiem. - Była jedyną prawdziwie dobrą istotą, jaką znałem.

- Och, Rett! - zawołała z rozpaczą, bo słowa jego zbyt żywo przypominały jej wszystko, czego od Meli doznała. - Dlaczego nie poszedłeś tam ze mną? To było straszne - i tak mi ciebie brakło!

- Nie mógłbym tego znieść - powiedział z prostotą i umilkł na chwilę. Potem przemówił znowu cicho i z widocznym wysiłkiem: - Była bardzo wielką damą.

Odwrócił od Scarlett smutny wzrok. W oczach jego wyczytała to samo, co przy świetle pożaru Atlanty, kiedy powiedział jej, że idzie z cofającą się armią - zdziwienie człowieka, który zna siebie na wylot, a przecież odkrywa w sobie lojalność i wzruszenia, o które się nie podejrzewał, i czuje się trochę śmiesznym z powodu tego odkrycia.

Nachmurzone jego oczy spoczęły gdzieś poza Scarlett, jak gdyby widział Melanię cicho przechodzącą przez pokój. W jego pożegnalnym spojrzeniu nie było smutku ani bólu, tylko zdziwienie nad samym sobą, tylko ostre przeżywanie wzruszeń zastygłych od lat. Powtórzył znowu: - Była bardzo wielką damą.

Scarlett zadrżała i z serca jej uszedł żar, przyjemne ciepło, zachwyt, pod którego wpływem biegła do domu ile sił w nogach. Na wpół tylko pojmowała, co dzieje się w duszy Retta przy żegnaniu jedynej osoby, którą szanował - i znowu poczuła rozpacz z powodu tej straty, rozpacz zupełnie pozbawioną egoizmu. Nie mogła całkowicie zrozumieć ani zanalizować tego, co Rett odczuwał, ale wydało jej się, jak gdyby i ją lekko musnęły szeleszczące suknie w ostatniej, miękkiej pieszczocie. Widziała w oczach Retta przemijanie nie tylko kobiety, ale legendy łagodnych, nieśmiałych, niezłomnych kobiet, na których Południe opierało się podczas wojny i do czyich kochających i dumnych objęć wróciło po klęsce.

Rett spojrział teraz na Scarlett i głos mu się zmienił. Brzmiał teraz swobodnie i chłodno.

- A więc umarła. To się dobrze składa dla ciebie, prawda?

- Och, jakże możesz mówić takie rzeczy! - zawołała, bardzo dotknięta, i łzy napłynęły jej do oczu. - Wiesz dobrze, jak ją kochałam!

- Nie, tego nie mogę powiedzieć. To bardzo niespodziewane i bardzo dobrze o tobie świadczy, że mimo swego upodobania do hołoty potrafiłaś i ją wreszcie ocenić.

- Jakże możesz tak mówić? Rozumie się, że ją ceniłam! Tyś jej nie cenił. Nie znałeś jej

tak jak ja! Nie jesteś wcale w stanie jej zrozumieć... jaka była dobra...

- Rzeczywiście? Może masz słuszość.

- Myślała zawsze o wszystkich, z wyjątkiem siebie. Ostatnie jej słowa ciebie dotyczyły.

W oczach Retta błysnęło prawdziwe wzruszenie, kiedy zwrócił się do Scarlett.

- Co powiedziała?

- Och, nie teraz, Rett.

- Powiedz mi.

Mówił obojętnie, ale ścisnął ją za rękę tak mocno - że aż zabolęło. Nie chciała tego powiedzieć, nie w taki sposób chciała skierować rozmowę na temat swojej miłości, ale ręka jego mocno ją ścisnęła.

- Powiedziała... powiedziała: „Bądź dobra dla kapitana Butlera. On bardzo cię kocha”.

Popatrzył na nią i puścił jej dłoń. Opuścił powieki i twarz mu pociemniała. Nagle wstał i podchodząc do okna odsunął firanki i popatrzył na ulicę, choć nic nie mógł widzieć poza szarą mgłą.

- Czy jeszcze coś mówiła? - zapytał nie odwracając głowy.

- Prosiła mnie, aby zaopiekowała się małym Beau, więc przyrzekłam jej, że będę go uważała za własnego syna.

- Co jeszcze?

- Powiedziała - o Ashleyu - prosiła, abym zaopiekowała się Ashleyem.

Zamilkł na chwilę, a potem roześmiał się cicho.

- To bardzo przyjemnie mieć zgodę pierwszej żony, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Odwrócił się do niej. Mimo zmieszania zdziwiła się, że w twarzy jego nie było szyderstwa. Nie malowało się też na niej większe zainteresowanie niż na twarzy człowieka, który widzi ostatni akt niezbyt zabawnej komedii.

- Myślę, że to zupełnie jasne. Pani Mela umarła. Z pewnością możesz zebrać dostateczną ilość dowodów przeciw mnie, aby się ze mną rozwieść, a opinię masz tak niedobłą, że rozwód nic ci nie zaszkodzi. Nie jesteś już wierząca, więc Kościół nie ma dla ciebie znaczenia. A zatem Ashley i spełnienie marzeń pobłogosławione przez panią Melę.

- Rozwód? - krzyknęła. - Nie! Nie! - Niespokojna, zerwała się na nogi i podbiegając ku niemu schwyciła go za ramię. - Och, mylisz się bardzo! Nie chcę rozwodu... Ja... - przerwała, ponieważ nie mogła znaleźć innych słów.

Położył jej rękę pod brodę, spokojnie odwrócił jej twarz ku światłu i popatrzył jej przez dłuższą chwilę w oczy. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym namiętności, a wargi jej drżały,

kiedy starała się mówić. Nie mogła jednak znaleźć słów, bo wypatrywała w jego twarzy jakiegoś wzruszenia, jakiegoś błysku nadziei czy radości. Z pewnością domyślał się już teraz wszystkiego! Jednak układna i mroczna obojętność, która zdumiewała ją tak często, była jedynym, co widziały jej szalone, niecierpliwe oczy. Puścił ją wreszcie, wrócił do krzesła i rozparł się na nim znowu, zwiesiwszy głowę na piersi, z zainteresowaniem patrząc na Scarlett spod lekko zmarszczonych brwi.

Podeszła załamując ręce i zatrzymała się przed nim.

- Mylisz się, Rett - zaczęła znowu, znajdując wreszcie słowa. - Rett, dziś, kiedy zrozumiałam, biegłam do domu, aby ci to powiedzieć. Och, kochanie, ja...

- Jesteś zmęczona - powiedział nie przestając jej obserwować. - Połóż się lepiej spać.

- Ale muszę ci to powiedzieć!

- Scarlett - powiedział poważnie - nie chcę słyszeć... nic.

- Nie wiesz przecież, co chciałam powiedzieć!

- Złotko, to jest wyraźnie wypisane na twojej twarzy. Coś czy ktoś sprawił, żeś zrozumiała, iż nieszczęsny pan Wilkes jest jednak dla ciebie owocem Morza Martwego. I to samo zrozumienie ukazało ci nagle moje wdzięki w nowym ponętym świetle - westchnął lekko. - O tym zaś nie warto mówić.

Zachłysnęła się prawie ze zdumienia. Prawda, że czytał w niej łatwo. Dotąd była tym zawsze urażona, teraz jednak, po pierwszym zdumieniu, że jest tak wnikliwy, odetchnęła z zadowoleniem i uczuciem ulgi. Wiedział, rozumiał, więc zadanie jej zostało znakomicie ułatwione. Nie warto o tym mówić?! Pewnie, że miał jej za złe długie zaniedbywanie go, pewnie że nie miał przekonania do tej nagłej zmiany. Będzie musiała zdobyć go dobrocią, przekonać go dowodami mocnej miłości - i z jakąż radością to zrobi!

- Kochanie, chcę ci wszystko powiedzieć - zaczęła kładąc ręce na poręczy jego fotela i pochylając się ku niemu. - Tak się myliłam, taka byłam głupia...

- Scarlett, nie rób tego. Nie upokarzaj się przede mną. Nie mogę tego znieść. Zostaw trochę godności, trochę dyskrecji we wspomnieniu o naszym małżeństwie. Zaoszczędź mi przynajmniej tego.

Wyprostowała się raptownie. Zaoszczędzić tego? Co to ma znaczyć? Przecież to miał być początek, pierwsze jej wyznanie!

- Ale ja chcę ci powiedzieć - zaczęła szybko, jak gdyby w obawie, że Rett położy jej rękę na ustach i nakaże milczenie. - Och, Rett, najmilszy mój, jakże ja ciebie Kocham! Kocham cię z pewnością od wielu lat, tylko byłam tak głupia, że o tym nie wiedziałam. Rett, musisz mi uwierzyć!

Spojrzał na nią, stojącą tak przed nim, i patrzył długą chwilę. Dojrzała w oczach jego przekonanie o prawdzie jej słów, ale mało zainteresowania. Och, czyżby znowu, właśnie teraz, chciał być zły i wstrętny? Czy będzie ją znowu dręczył, odpłacał własną jej monetą?

- Och, wierzę ci - powiedział wreszcie. - A cóż Ashley Wilkes?

- Ashley! - zawołała i zrobiła niecierpliwy ruch ręką. - Nie, nie zdaje mi się, abym go kochała naprawdę od wielu lat. Było to może czymś w rodzaju nawyku z czasów dzieciństwa. Rett, nigdy by mi się nawet nie zdawało, że go Kocham, gdybym wiedziała, jaki jest naprawdę. Jest takim bezradnym, zalęknionym człowiekiem mimo całej swojej gadaniny o prawdzie, honorze i...

- Nie - rzekł Rett. - Jeżeli chcesz już go widzieć takim, jakim jest naprawdę, bądź sprawiedliwa. Jest tylko dżentelmenem, który dostał się w świat dla siebie nieodpowiedni i stara się doń przystosować nie przestając żyć wedle prawideł świata, który przeminął.

- Och, Rett, ale nie mówmy o nim! Jakież to ma znaczenie... teraz? Czy nie jesteś rad z tego, że... Teraz, gdy ja...

Kiedy znowu spojrzał na nią, przerwała z zakłopotaniem, nieśmiała jak podłotek w obecności pierwszego kochanka. Gdybyż chciał jej to ułatwić! Gdybyż wyciągnął ręce, aby mogła wdrapać się na jego kolana i złożyć mu głowę na piersi! Pocałunkiem powiedziałałaby mu to wszystko lepiej niż urywanymi słowami. Ale kiedy przyjrzała mu się dokładniej, zrozumiała, że nie zachęca jej nie tylko dlatego, że chce jej dokuczyć. Wyglądał jak człowiek zupełnie zobojętniały, dla którego słowa jej nie miały żadnego znaczenia.

- Rad? - zapytał. - Kiedyś postem dziękowałbym Bogu za te twoje słowa. A teraz już mi wszystko jedno.

- Wszystko jedno? O czym ty mówisz? To nie jest wszystko jedno! Rett, Kochasz mnie, prawda? Musisz kochać? Mela przecież tak powiedziała.

- Tak, miała rację, mówiła to, co wiedziała. Ale, Scarlett, czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że nawet najbardziej nieśmiertelna miłość może się wyczerpać?

Patrzyła na niego oniemiała, z ustami otwartymi w duże O.

- Moja wyczerpała się już - ciągnął dalej - przez Ashleya Wilkesa i twój morderczy upór, który każe ci trzymać się zębami wszystkiego, czego pragniesz... Moja się wyczerpała.

- Ale miłość nie może się wyczerpać!

- A jednak skończyła się twoja dla Ashleya...

- Ja nigdy nie kochałam Ashleya naprawdę!

- No więc, bardzo dobrze naśladowałaś miłość... aż do dzisiaj. Scarlett, ja cię nie oskarżam, nie robię ci wymówek ani cię nie potępiam. Minęła na to pora. Zaoszczędź mi więc



słów obrony i wyjaśnień. Jeżeli możesz mnie słuchać przez kilka minut nie przerywając mi, wytłumaczę ci, co mam na myśli. Chociaż, Bóg jeden wie, czy potrzeba wyjaśnień. Prawda jest bardzo prosta.

Usiadła, a ostre światło lampy padało na jej bladą, zdumioną twarz. Patrzyła w oczy, które tak dobrze знаła - i tak mało, słuchała jego spokojnego głosu, który mówił słowa nie mające dla niej zrazu żadnego znaczenia. Po raz pierwszy od czasu, gdy się znali, mówił do niej jak człowiek do człowieka, bez docinków, drwin czy zagadek.

- Czy zdawałaś sobie z tego sprawę, że kochałem cię tak bardzo, jak może kobietę kochać mężczyzna? Kochałem cię przez długie lata, zanim cię wreszcie zdobyłem. Podczas wojny wyjeżdżałem i starałem się o tobie zapomnieć, nie mogłem jednak i zawsze musiałem wracać. Po wojnie naraziłem się na areszt, byle wrócić i ciebie odnaleźć. Kochałem cię tak bardzo, że zabiłbym prawdopodobnie Franka Kennedy'ego, gdyby w porę nie zginął. Kochałem cię, ale nie wolno mi było wyznać ci tego. Jesteś bardzo brutalna w stosunku do tych, którzy cię kochają, Scarlett. Bierzesz ich miłość i trzymasz ją nad ich głowami niczym bat.

Z tego wszystkiego zrozumiała to tylko, że Rett ją kochał. Ogarnęło ją znowu podniecenie, kiedy usłyszała słabe echa namiętności w jego głosie. Siedziała bojąc się oddychać, słuchając, czekając.

- Wiedziałem, że mnie nie kochałaś, kiedyśmy się pobrali. Wiedziałem wszystko o Ashleyu. Ale jak głupiec wierzyłem, że potrafię cię w sobie rozkochać. Śmieję się, jeżeli masz ochotę, ale chciałem się tobą opiekować, psuć cię i pieścić, dawać ci wszystko, czego chciałaś. Chciałem ożenić się z tobą, aby móc się tobą opiekować i pozwalać ci na wszystko, co ci sprawi przyjemność... tak jak pozwalałem Bonnie. Tyle się w życiu namęczyłaś, Scarlett. Nikt lepiej ode mnie nie wiedział, ile przeszłaś, chciałem więc, abyś przestała walczyć ze światem i pozwoliła mi, abym cię wyręczał. Chciałem, abyś się bawiła jak dziecko - bo byłaś dzieckiem: odważnym, przestraszonym, upartym dzieckiem. Sądzę, że jeszcze dotąd nim jesteś. Tylko dziecko może być tak bezwzględne i nieczułe.

Głos jego był spokojny i zmęczony, ale w brzmieniu jego były tony, które zbudziły w Scarlett jakieś wspomnienia. Słyszała już podobny głos w innej przełomowej chwili swego życia. Gdzie to było? Był to głos człowieka patrzącego na siebie i na świat bez przejęcia, bez wzruszenia, bez nadziei...

Ależ... to przecież Ashley w zimnym, wietrznym sadzie Tary mówił o życiu i teatrze cieni ze znużonym spokojem i w brzmieniu jego głosu było więcej tragizmu, niż gdyby był pełen rozpacz i goryczy. Podobnie jak wtedy głos Ashleya natchnął ją obawą przed

sprawami, których nie mogła pojąć, tak teraz głos Retta przyprowadził ją o bolesny skurcz serca. Głos jego i zachowanie się więcej niż treść słów zmieszały ją, uświadomiły jej, że przyjemne podniecenie sprzed kilku chwil jest nie na czasie. Coś się zepsuło, bardzo zepsuło. Nie wiedziała, co to takiego, ale słuchała z rozpaczą, nie odrywając oczu od jego ciemnej twarzy, spodziewając się ciągle, że wreszcie usłyszy słowa, które rozwieją jej obawy.

- Było oczywiste, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Tak oczywiste, że to właśnie ja byłem jedynym z kręgu twoich znajomych, który mógł cię kochać, chociaż wiedziałem, jaka jesteś naprawdę - chciwa, bezwzględna, pozbawiona skrupułów, jak ja. Kochałem cię, więc zaryzykowałem. Przypuszczałem, że obraz Ashleya zblednie w twym sercu. Ale - wzruszył ramionami - próbowałem wszystkiego i nic się nie udawało. A tak bardzo cię kochałem, Scarlett. Gdybyś mi na to pozwoliła, kochałbym cię bardziej delikatnie i czule, niż kiedykolwiek mężczyzna kochał kobietę. Nie mogłem jednak dać ci tego poznać, bo wiedziałem, że wyda ci się, że jestem słaby, i wyzyskasz wtedy moją miłość przeciw mnie. I zawsze, wiecznie prześladował mnie Ashley. Doprowadzało mnie to do obłądzenia. Nie mogłem siedzieć naprzeciw ciębie wieczorem przy stole, bo wiedziałem, że żałujesz, iż to nie Ashley zajmuje moje miejsce. I nie mogłem cię trzymać w ramionach w nocy, gdyż wiedziałem - no, ale teraz to nie ma znaczenia. Teraz dziwię się, że to tak bolało. To mnie pchnęło ku Belli. Ma się pewną świńską pociechę ze stosunku z kobietą, która kocha z całego serca i szanuje cię za to, że jesteś wytwornym dzentelmenem - chociaż jest analfaberką i dziewczką. To schlebialiło mojej próżności. Ty mi nie pochlebiałaś nigdy, moja droga.

- Och, Rett... - zaczęła, jak zwykle nieszczęśliwa na wzmiankę o Belli, ale gestem nakazał jej milczenie i ciągnął dalej:

- A potem, tej nocy, kiedy zaniósłem cię na górę, sądziłem... miałem nadzieję... tak szaloną nadzieję, że bałem się spojrzeć ci w oczy następnego ranka, aby się nie zawieść, aby się nie dowiedzieć, że jeszcze mnie nie pokochałaś. Tak bardzo się bałem, że mnie wyśmiejesz, że wyszedłem z domu i upiłem się. A kiedy wróciłem, trząsałem się ze strachu; gdybyś mnie wtedy ośmieliła, dała mi jakieś słowo, padłbym ci z wdzięczności do nóg. Ale tyś tego nie zrobiła.

- Ależ Rett, chciałam to zrobić, ale ty byleś taki wstrętny! Kochałam cię! Sądzę, tak, sądzę, że wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że cię kocham. Nigdy już odtąd nie dbałam naprawdę o Ashleya, ale tyś był tak niedobry, że...

- No, dobrze już... - powiedział. - Nigdyśmy się nie mogli zrozumieć, prawda? Ale teraz, to już nie ma znaczenia. Mówię ci to tylko po to, abyś się nigdy nie dziwiła. Kiedy byłaś chora z mojej winy, stałem za drzwiami twego pokoju z nadzieją, że mnie zawołasz, ale

nie zawołałaś mnie, i wtedy zrozumiałem, że byłem głupcem i że wszystko skończone.

Przerwał, popatrzył na nią i poprzez nią, daleko, jak często to robił Ashley, na coś, czego nie mogła dojrzeć. Wpatrywała się więc bez słowa w jego zamyśloną twarz.

- Wtedy jednak miałem Bonnie, wiedziałem więc, że jeszcze nie koniec wszystkiego. Wyobrażałem sobie, że Bonnie jest tobą, małą dziewczynką, taką, jaką byłaś, zanim zepsuły cię wojna i nędza. Była tak do ciebie podobna, taka samodzielna, odważna, wesoła i mądra - i mogłem pieścić i psuć - tak samo, jak chciałem pieścić ciebie. W przeciwieństwie jednak do ciebie, ona mnie kochała. Było to błogosławieństwem dla mnie, że mogłem tę miłość, której tyś nie chciała, dać jej... Kiedy odeszła, zabrała wszystko.

Nagle poczuła litość dla niego, tak wielką litość, że znikł wobec niej własny jej żal i obawa przed całkowitym zrozumieniem jego słów. Po raz pierwszy w życiu litowała się nad kimś nie gardząc nim jednocześnie, bo po raz pierwszy rozumiała innego człowieka. Mogła zrozumieć jego upartą dumę, która nie pozwalała mu się przyznać do miłości z obawy przed zawodem.

- Ach, kochanie - rzekła idąc ku niemu w nadziei, że wyciągnie ręce i weźmie ją na kolana. - Kochanie, tak bardzo mi przykro, ale wszystko to ci wynagrodzę! Możemy jeszcze być szczęśliwi, teraz, kiedy już znamy prawdę - i... słuchaj, Rett... popatrz na mnie, Rett! Możemy mieć jeszcze inne dzieci... nie takie jak Bonnie, ale...

- Dziękuję ci, nie - rzekł Rett tak, jak gdyby dziękował za kawałek chleba. - Nie narażę swego serca po raz trzeci.

- Rett, nie mów tak! Och, cóż mam powiedzieć, abyś zrozumiał? Powiedziałam ci, że tak bardzo żałuję...

- Kochanie, jesteś wielkim dzieckiem. Wydaje ci się, że mówiąc „przepraszam” uleczasz wszystkie omyłki i błędy minionych lat, że wymazujesz je z pamięci, że zmywasz truciznę z dawnych ran. Weź moją chusteczkę, Scarlett. Nigdy, w żadnej przełomowej chwili życia nie masz przy sobie chusteczki.

Wzięła chusteczkę, wydmuchała nos i usiadła znowu. Było jasne, że Rett nie weźmie jej teraz w objęcia. Zaczynała rozumieć, że to wszystko, co mówił o miłości do niej, nie miało znaczenia. Była to bajeczka o czasach dawno minionych i Rett opowiadał ją, jak gdyby dotyczyła kogoś zupełnie obcego. To było przerażające. Patrzył na nią z dobrocią i skupieniem w oczach.

- Ile masz lat, moja droga? Nigdy mi nie chciałaś powiedzieć.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedziała niewyraźnie, zasłonięta chusteczką.

- To nie jest jeszcze wiek podeszły. Dość nawet młody wiek jak na kobietę, która

zdobyła cały świat i straciła duszę, prawda? Nie bój się. Nie mam na myśli ognia piekielnego, w którym będziesz płonęła za swoją miłość z Ashleyem. Mówię w przenośni. Od chwili gdy cię poznałem, chciałaś tylko dwóch rzeczy, Ashleya i dość pieniędzy, aby móc plunąć na cały świat. Teraz jesteś dość bogata, dość się już przeciwstawiłaś światu i możesz mieć Ashleya, jeżeli zechcesz. Ale to wszystko nie zdaje ci się teraz wystarczać.

Scarlett była przerażona, lecz nie z powodu groźby ognia piekielnego. Myślała: „To Rett jest moją duszą i jego teraz tracę. A jeżeli stracę jego, wszystko inne przestanie mieć znaczenie! Wszystko - przyjaciele - pieniądze - i reszta. Gdybym jego mogła odzyskać, nie wahałabym się znowu być biedna. Nie, nie wahałabym się cierpieć znowu głodu i zimna. Och, on chyba nie mówi serio... To niemożliwe!”

Otarła oczy i powiedziała z rozpaczą:

- Rett, jeżeli kiedyś kochałeś mnie tak bardzo, musisz przecież mieć dla mnie jeszcze jakieś uczucie!

- Z tego wszystkiego okazuje się, że zostały mi dwie rzeczy - te, których najbardziej nienawidzisz - litość i uczucie pewnej dobroci.

„Litość! Dobroć! Och, mój Boże! - myślała z rozpaczą. - Wszystko inne, byleby nie litość i dobroć”. Ilekroć miała dla kogoś te dwa uczucia, towarzyszyła im jeszcze i pogarda. Czy i Rett nią gardził? Wszystko byłoby od tego lepsze. Nawet cyniczny jego chłód z czasów wojny lub pijany szal owej nocy, kiedy na rękach niósł ją na górę, a twarde jego palce gniotły jej ciało - czy ostre, przeciągłe słowa, pod którymi kryła się gorzka miłość... Wszystko - z wyjątkiem tej obojętnej dobroci, która tak wyraźnie wypisana była na jego twarzy.

- Czy... czy to ma znaczyć, że zniszczyłam to wszystko, że już mnie wcale nie kochasz?

- Tak, to właśnie znaczy.

- Ale - powiedziała z uporem jak dziecko, które nie przestaje wierzyć, że stwierdzenie pewnego życzenia równa się jego spełnieniu. - Ależ ja ciebie Kocham!

- Na tym polega twoje nieszczęście.

Spojrzała na niego szybko, żeby sprawdzić, czy za słowami tymi kryje się szyderstwo. Nie, stwierdził po prostu fakt. Był to jednak fakt, w który jeszcze nie chciała uwierzyć - nie mogła uwierzyć. Patrzyła na niego skośnymi oczyma, w których płonął rozpaczliwy upór, i nagle wysunęła naprzód podbródek, zdecydowanym, twardym ruchem Geralda.

- Nie bądź niemądry, Rett! Potrafię...

Podniósł dłoń w udanym przerażeniu i czarne jego brwi uniosły się w dawne, sardoniczne łuki.

- Nie miej miny tak zdecydowanej, Scarlett! Przerażasz mnie. Widzę, że naprawdę

zamierzasz przenieść swoje burzliwe uczucia z Ashleya na mnie, i zaczynam się obawiać o swoją wolność i całość. Nie, Scarlett, nie chcę, abyś mnie prześladowała tak jak nieszczęsnego Ashleya. Poza tym zaś postanowiłem wyjechać.

Usta jej zadrzały bezradnie. Wyjeżdża? Nie, tylko nie to! Czymże będzie życie bez niego? Wszyscy od niej odeszli, wszyscy, na których jej zależało, prócz Retta. On odejść nie może. Jakże go jednak zatrzyma? Była bezradna wobec jego chłodu i jego obojętnych słów.

- Wyjeżdżam, Scarlett. Miałem ci to powiedzieć, gdy wrócisz do domu z Marietty.

- Opuuszczasz mnie?

- Nie udawaj zaniedbanej, dramatycznej żony, Scarlett. Nie odpowiada ci ta rola. A zatem, jak rozumiem, nie chcesz rozwodu czy separacji? No więc, będę przyjeżdżał często, aby ludzie nie plotkowali.

- Cóż mnie plotki obchodzą! - zawołała gwałtownie. - Zależy mi na tobie. Zabierz mnie ze sobą!

- Nie - odparł i głos jego zabrzmiał bardzo stanowczo. Przez chwilę chciała wybuchnąć głośnym, dziecinnym płaczem. Chciała rzucić się na podłogę, kląć i krzyczeć, i kopać. Powstrzymywała ją od tego jakaś resztką dumy czy zwykłego rozsądku. Pomyślała: „Jeżeli to zrobię, będzie się śmiał albo popatrzy na mnie obojętnie. Nie będę płakała, nie będę żebrała. Nie mogę zrobić nic, czym zasłużyłabym na jego pogardę. Musi mnie szanować, choćby - choćby mnie nawet nie kochał”.

Podniosła głowę i zapytała z pozornym spokojem:

- Dokąd pojedziesz?

W oczach jego błysnął pewien podziw, gdy odpowiedział.

- Może do Anglii lub do Paryża. Może do Charlestonu, aby postarać się pogodzić z rodziną.

- Przecież ich nie cierpisz! Śmiałeś się z nich tak często i..

Wzruszył ramionami.

- W dalszym ciągu się śmieję, ale nie mogę już być włóczęgą, Scarlett. Mam czterdzieści pięć lat, Scarlett, a to wiek, kiedy mężczyzna zaczyna szanować wiele rzeczy, które lekko odrzucał w młodości - przywiązanie do rodziny, honor i bezpieczeństwo, korzenie, zapuszczone głęboko... Och, nie! Nie zarzekam się niczego ani nie żałuję swoich postępów. Bawiłem się w życiu znakomicie... tak dobrze, że mi się to wreszcie sprzykrzyło i pragnę teraz czegoś innego... Nie, nigdy nie mogę się zmienić do gruntu. Tęsknię jednak do zewnętrznych pozorów, jakie znałem dawniej, do śmiertelnej nudy przyzwoitości - przyzwoitości innych ludzi, kochanie, nie swojej własnej - do spokojnej godności życia ludzi

dobrze urodzonych, do wdzięku dni, które minęły. Kiedy żyłem w tym wszystkim, nie rozumiałem łagodnego ich uroku...

Znowu Scarlett przypomniała sobie dzień w sadzie w Tarze, znowu oczy Retta miały taki sam wyraz jak wtedy oczy Ashleya. Słowa Ashleya brzmiały jej w uszach tak wyraźnie, jak gdyby to on mówił, nie Rett. Ułamki słów przypomniały jej się i zacytowała jak papuga: - Czar, doskonałość, symetria jak w greckiej rzeźbie.

Rett zapytał ostro: - Dlaczego powiedziałaś to właśnie? Miałem to na myśli...

- To słowa, które... które Ashley kiedyś powiedział o dawnych czasach...

Wzruszył ramionami i błysk znikł z jego oczu.

- Zawsze Ashley - rzekł i na chwilę umilkł. - Scarlett, kiedy będziesz miała czterdzieści pięć lat, zrozumiesz może, o czym mówiłem, i wtedy może i ty będziesz zmęczona imitowaną arystokracją, złymi manierami i tanimi przyjemnościami. Wątpię o tym jednak. Przypuszczam, że zawsze będzie cię bardziej pociągał blichtr niż złoto. W każdym zaś razie nie mogę czekać dość długo, aby się o tym przekonać. I nie mam na to wcale ochoty. Po prostu mnie to nie interesuje. Chcę szukać w starych miastach i starych krajach zapachu dawnych czasów, który się tam jeszcze unosi. Taki jestem sentymentalny... Atlanta jest dla mnie zbyt ordynarna, zbyt nowa.

- Przestań - powiedziała nagle. Ledwie słuchała tego, co mówił. Z pewnością zaś mało co z tego zapamiętała. Wiedziała jednak, że nie będzie mogła dłużej znieść dźwięku jego głosu, w którym nie było już dla niej miłości.

Przerwał i popatrzył na nią dziwnie.

- Przypuszczam, żeś zrozumiała sens moich słów? - zapytał wstając od stołu.

Wyciągnęła do niego ręce z otwartymi dłońmi, w odwiecznym geście błagania.

- Nie! - zawołała z głębi serca. - Wiem tylko, że mnie nie kochasz i że odchodzisz! Och, kochanie, coż pocznę, gdy ciebie przy mnie nie będzie?

Przez chwilę zawahał się, jak gdyby zastanawiając się, czy miłe kłamstwo jest na długą metę lepsze od prawdy. Potem wzruszył ramionami.

- Scarlett, nigdy nie lubiłem cierpliwie zbierać połamanych kawałków i zlepiać ich razem, i wmawiać sobie, że sklejoną całość jest równie ładna jak nowa. Co jest złamane - zostanie złamane - i wolę wspominać to takim, jakim było w najlepszych chwilach, niż sklejać i przez całe życie patrzeć na ślady połamań. Może, gdybym był młodszy... - westchnął. - Jestem jednak za stary, aby wierzyć w tak sentymentalne brednie jak zmazywanie win i zaczynanie od początku. Jestem za stary, aby dźwigać ciężar stałych kłamstw, które towarzyszą życiu w uprzejmej uludzie. Nie mógłbym żyć z tobą i okłamywać

ciebie. Z pewnością zaś nie potrafiłbym okłamywać samego siebie. Nawet teraz nie mogę ci skłamać. Bardzo bym chciał, aby obchodziło mnie więcej to, co zrobisz i dokąd pójdziesz, ale nie mogę się tym przejąć.

Zaczerpnął oddechu i powiedział lekko, ale łagodnie:

- Kochanie, nic mnie to nie obchodzi.

W milczeniu patrzyła za nim, gdy wchodził na schody, i czuła, że udławi się z bólu. Z cichnącym odgłosem jego kroków na górze zgasła ostatnia rzecz na świecie, która była dla niej ważna. Wiedziała teraz, że ani uczucie, ani rozsądek nie skłoni chłodnego umysłu Retta do zmiany swego postanowienia. Wiedziała teraz, że każde jego słowo było szczere, chociaż niektóre z nich powiedział jakby mimochodem. Wiedziała o tym - bo wyczuwała w nim siłę, nieustępliwą, nieubłaganą - wszystkie te zalety, których szukała w Ashleyu i znaleźć nie mogła.

Nigdy nie rozumiała tych dwóch mężczyzn, których kochała, i dlatego straciła ich obu. Miała niejasne przeczucie, że gdyby kiedykolwiek rozumiała Ashleya, nie mogłaby go kochać, gdyby rozumiała Retta, nie straciłaby go nigdy. Zaczęła się z rozpaczą zastanawiać, czy w ogóle rozumiała kogokolwiek na świecie.

W myślach jej panowało teraz otępienie, które, jak wiedziała z doświadczenia, ustąpi wkrótce miejsca ostremu bólowi.

„Nie chcę o tym teraz myśleć - postanowiła posepnie, przyzywając dawne swoje zakłęcie. - Oszaleję, jeżeli będę myślała o stracie Retta. Pomyślę o tym jutro”.

„Ale - krzychało jej serce, odsuwając zakłęcia i zaczynając boleć. - Nie mogę mu pozwolić odejść! Musi się znaleźć jakieś wyjście”.

„Nie chcę o tym teraz myśleć - powiedziała znowu, starając się odsunąć rozpacz, starając się znaleźć jakąś tamę, która by wstrzymała nowy napływ bólu. - Jutro - jutro pojedę do domu, do Tary...” I trochę wzmocniła się na duchu.

Pojechała kiedyś do Tary w przestkach i klęsce i wyszła z jej mocnych murów silna i uzbrojona do zwycięstwa. To, co zrobiła już raz - zrobi z pomocą Boga znowu! Jak - jeszcze nie wiedziała. Nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Pragnęła jedynie zakątka, gdzie by się mogła ukryć, spokojnego miejsca, gdzie by mogła zaleczyć rany, przystani bezpiecznej, gdzie by mogła obmyślić nową kampanię. Pomyślała o Tarze i wydało jej się, jak gdyby chłodna, łagodna dłoń spoczęła na jej sercu. Widziała biały dom, witający ją z daleka przez gąszcz poczerwieniałych jesiennych liści, poczuła ciszę wiejskiego zmierzchu, ogarniającą ją jak błogosławieństwo, poczuła rosę opadającą na pola zielonych, usianych białymi gwiazdkami krzaczków, widziała ostrą barwę czerwonej ziemi i ciemną, ponurą piękność sosen na

łagodnych pagórkach.

Poczuła się trochę pocieszona, pokrzepiona tym obrazem, a ból i gwałtowny żal ustąpiły teraz. Przez chwilę przypominała sobie fragmenty Tary - aleję ciemnych cedrów, prowadzącą do dworu, kępy krzewów jaśminu, jaskrawozielone na tle białych ścian, powiewające na wietrze białe firanki. I Mammy tam będzie. Nagle zatęskniła rozpaczliwie do Mammy, jak tęskniła do niej, gdy była małą dziewczynką, zapragnęła przytulić głowę do jej szerokiej piersi, poczuć na swoich włosach dotknięcie jej sękatych czarnych dłoni. Mammy, ostatnie ogniwo, łączące ją z przeszłością...

Podniosła głowę z odwagą właściwą swojej rasie, właściwą ludziom, którzy nie chcieli uznać klęski, choćby zaglądała im w oczy. Potrafi odzyskać Retta. Czują, że potrafi. Nie było takiego mężczyzny, którego nie potrafiłaby zdobyć, jeżeli raz to sobie postanowiła.

„Pomyślę o tym wszystkim jutro, w Tarze. Zniosę to wtedy lepiej. Jutro pomyślę, jak go odzyskać. Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy”.